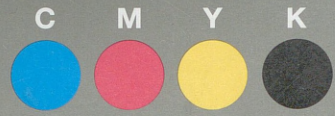
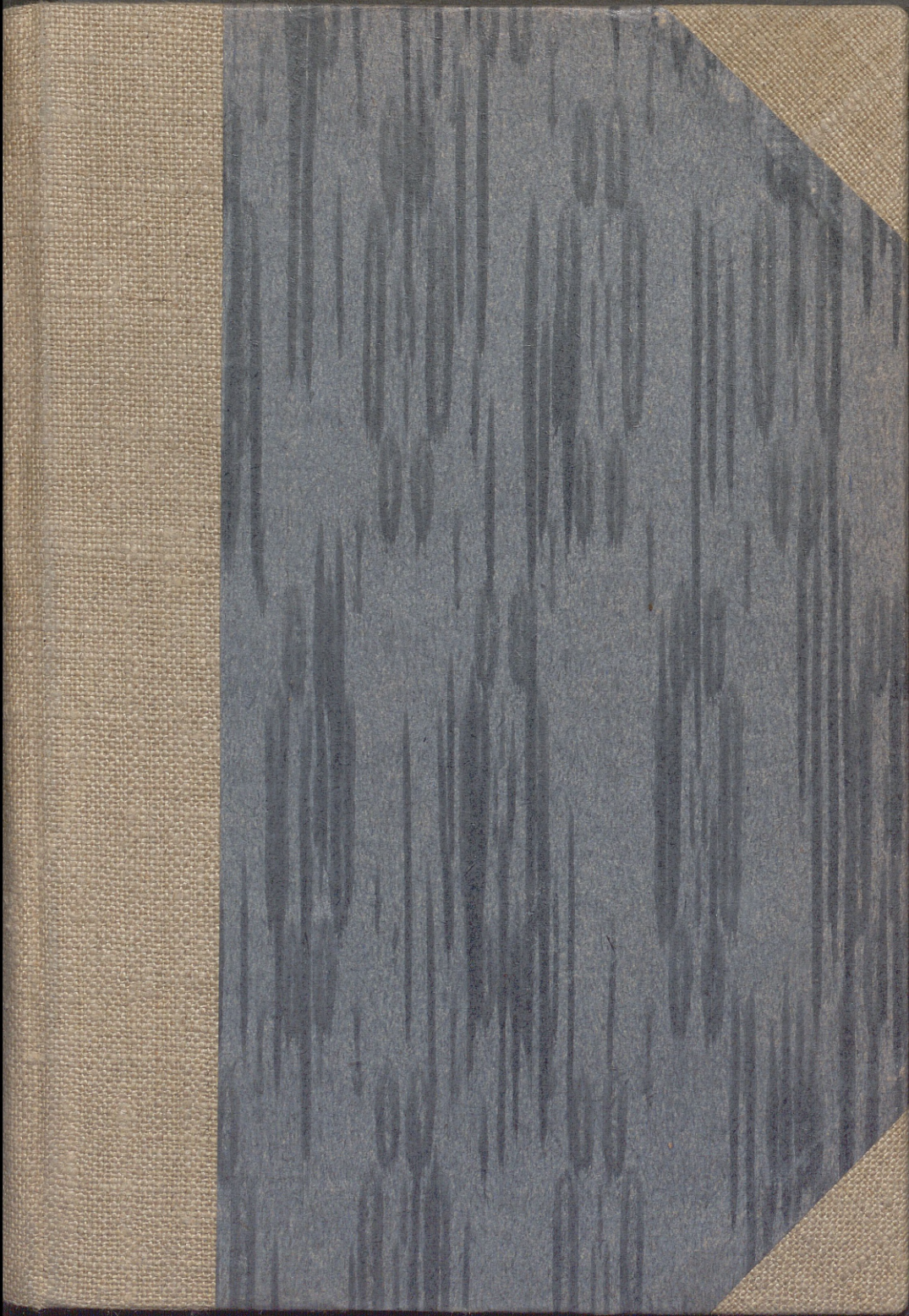


Grey Scale #13

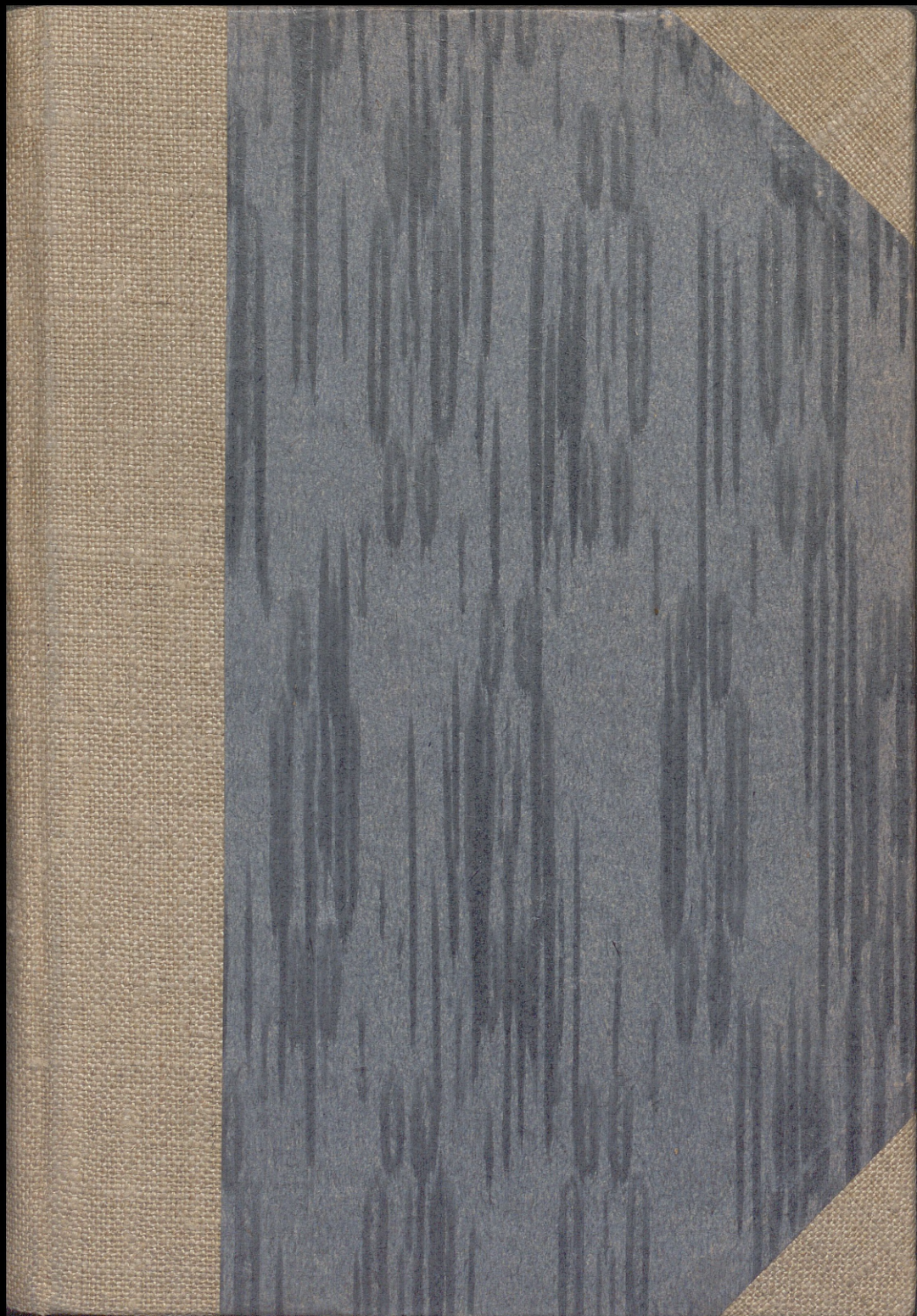


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

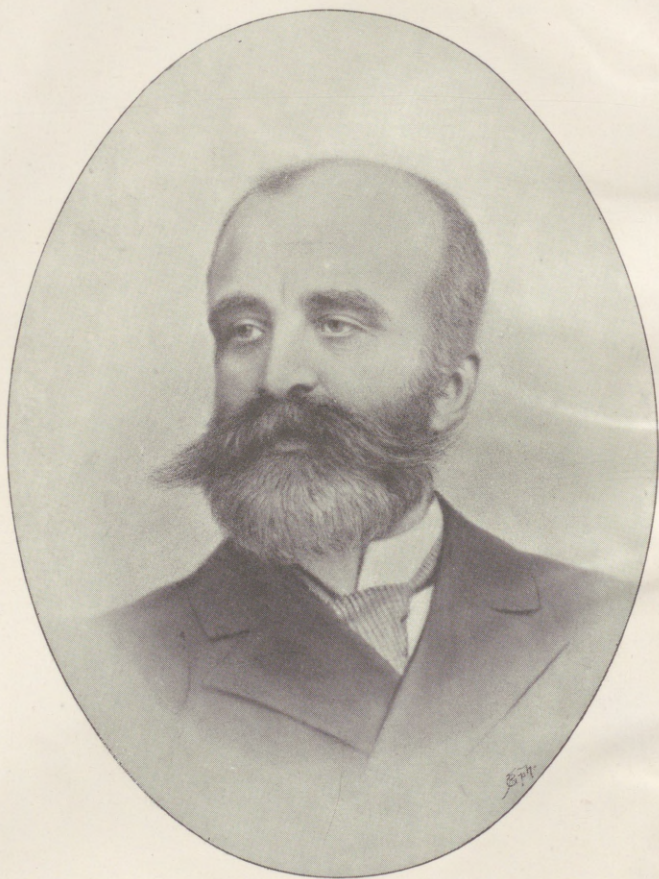


Colour Chart #13





WSPÓLZAWODNICTWO  
I WSPÓLDZIAŁANIE ❁



J. K. Pollock.

J. K. POTOCKI

# WSPÓŁZAWODNICTWO I WSPÓŁDZIAŁANIE

SPOŁECZEŃSTWO JAKO ORGANIZM — GIENIUSZ  
I TŁUM — DOBÓR MIŁOSNY — KOBIETA I MĘŻ-  
CZYŻNA — WROGOWIE NAUKI



WYDANIE WZNOWIONE

LWÓW 1907 @ NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO  
WARSZAWA @ E. WENDE I SP. @@ LWÓW @ H. ALTENBERG

J. K. FOTOKI  
 WSPÓLZAWODNICZTWO  
 I WSPÓLDZIAŁANIE  
 SPOLKOWSTWA W KRAKOWIE  
 I TUM - WYDZIAŁ  
 CENNYCH

30459 / 2



## PRZEDMOWA.

Na książkę tę złożyły się różne studia i szkice socyologiczne, drukowane w *Głosie* od r. 1889 do 1894. Konieczność nadawania im w swoim czasie większej aktualności kazała nam zespałać je ze zjawiskami naszego życia umysłowego. Jakoż prace te przedsiębrane były zazwyczaj z powodu ukazywania się w naszym, niekiedy w obcym piśmiennictwie, dzieł socyologicznych. Nie są to jednak rozbiory i sprawozdania, których czytelnik nie mógłby zrozumieć należycie, nie znając pracy rozbieranej. Przeciwnie, są to przeważnie próby samoistnego oświeclania różnych zagadnień społecznych, próby, do których przedsięwzięcia autor szukał jedynie powodu w fakcie ukazania się takiej lub innej książki socyologicznej.

W książkowym wydaniu szkiców postarano się przede wszystkim o związanie poruszanych tam zagadnień z najnowszą literaturą socyologiczną, a przynajmniej z dziełami niektórych pisarzy, wypowiadających już po autorze poglądy pokrewne bądź jego własnym, bądź też tym, które on zwalczał. W taki sposób uwzględniono właśnie prace

Pigingsa, Karejewa, Warda, Abramowskiego, Delage'a, Nowikowa i innych. Nadto w szkicu pierwszym dodano jeden rozdział, zapowiadziany lecz nie drukowany na szpaltach *Głosu*. Pozatem przeróbki i uzupełnienia były bardzo nieznaczne i dotyczyły jedynie zmian, nieodzownych ze względu na książkowe wydanie szkiców.

J. K. P.

Warszawa 1898.

## Współzawodnictwo i współdziałanie.

---

W roku 1891 grono uczonych angielskich wydało zbiorową pracę p. t. *Obrona wolności (Plea for liberty)*; zadaniem jej jest przeciwdziałać szerzącym się coraz bardziej ruchom i teoryom socjalistycznym, które, zdaniem autorów, właśnie mają krępować bronioną przez nich wolność. W książce owej spotykamy imiona: Wordswortha, Stanleya, Robertsona, Donisthorpe'a, George'a, Howella, Auberona Herberta i innych, zaś wstępny rozdział, streszczający w sobie cele i charakter całej pracy, napisany jest przez Herberta Spencera. Jednocześnie prawie ukazało się też małe dziełko Dawida Ritchiego, jednego z członków londyńskiego *Fabian Society*, poświęcone roztrząsnięciu stosunku darwinowskiej teorii walki o byt do nauk oraz zjawisk społecznych. Nakoniec Laurence Gronlund wydał prawie równocześnie książkę p. t. *Our Destiny*, w której roztrząsa stosunek współdziałania do współzawodnictwa. Ponieważ ideałem i głównym środkiem zaradczym, przez pierwszą grupę autorów proponowanym, jest wolne współzawodnictwo jednostek ludzkich, zaś Ritchiego i Gronlunda książki prawie wyłącznie rozbiorowi skutków i prawowitości takiego współzawodnictwa się oddają, przeto zestawienie i krytyczna ocena poglądów Spencera, Gronlunda i Ritchiego może, całkiem właściwie, utworzyć przedmiot

osobnego studyum, mającego na celu wyświeetlenie owego, tak często przedstawianego opacznie, stosunku pomiędzy współdziałaniem a współzawodnictwem. Streścimy naprzód poglądy Spencera, później zaś krytykę ich tu i owdzie popierać będziemy argumentacją, czerpaną z książek Ritchiego i Gronlunda.

Obecną rozprawę swoją zaczyna Spencer od paradoksu, na który kładzie nawet dość wielki nacisk, pragnąc odpowiednio przygotować umysły czytelników. Jednym z najwybitniejszych przykładów sprzeczności pomiędzy popolitymi wnioskami o sprawach społecznych oraz wyrażeniami rzeczywistości jest ten fakt, że im bardziej się poprawia jakaś sfera społecznych stosunków, tem głośniejszemi się stają wyrzekania na ich ujemność: kiedy np. położenie kobiet było okropne, nikomu nie przychodziło na myśl ujmować się za niemi; dzisiaj, gdy jest im bez porównania lepiej — powszechnemi prawie są krzyki o ich niedoli. Nie wytłumaczywszy swym czytelnikom przyczyn tego mniemanego «paradoksu», w którym więzami przyczynowości złączono domyślnie dwa, bynajmniej nie łączące się w taki sposób, zjawiska, autor zaznacza tylko, że «paradoks» stosuje się również do t. zw. kwestyi robotniczej; o niedoli klas pracujących najwięcej mówi się teraz właśnie, kiedy jest im daleko lepiej, niż było dawniej.

Ale obrońcy warstw pracujących, a i one same, nie zadawalniają się prostem li tylko utyskiwaniem, myślą o pewnej organizacyi wytwarzania, podziału i spożywania bogactw. Plany ich nie doprowadzą do celów pożądaných, natomiast wtrąca ludzkość w otchłań niewoli.

Kiedy, czytamy dalej, jednostka znajduje się pod nieosobowym przymusem przyrody, mówimy o niej, iż jest wolną: kiedy zaś podlega przymusowi kogós, co stoi ponad nią, wówczas, odpowiednio do stopnia jej zależności, nazywamy ją: niewolnikiem, pańszczyznianym sługą, wasa-

lem, albo też — dodałbym od siebie — najemnikiem, oficyalistą, dzieckiem, uczniem, wychowawcą i t. d. <sup>1)</sup>

Używając wyrazu kooperacya (współdziałanie) w jego znaczeniu szerokim, nie zaś w nadawanem mu dziś popolicie ograniczonym znaczeniu, możemy powiedzieć — ciągle słowa Spencera — iż życie społeczne toczyć się musi (*must be carried on*) za sprawą kooperacyi, bądź dobrowolnej, bądź też przymusowej. Systemat pierwszej cechować ma, zdaniem autora, przemysłową działalność dzisiejszych społeczeństw cywilizowanych; wcieleniem systematu przymusowej kooperacyi jest wojsko. Oprócz świadomej kooperacyi dobrowolnej każdego z zakładów przemysłowych, spostrzegamy, nadto, w społeczeństwach dobrowolną kooperację bezwiedną — o wiele rozciąglejszą — kooperację pracowników wszelkiego stopnia w społeczności całej. Kooperacya przymusowa niegdyś, jak np. w starożytnym Peru, cechowała całą społeczność wogóle — tak, iż słudzy, niewolnicy, kobiety, były tylko jak gdyby stałym «komisaryatem» wojującej części. Z biegiem czasu jednak więzy owego przymusu rozluźniły się i nadszedł okres «wolnego» współzawodnictwa jednostek.

Tymczasem, ustawiczny niepokój z powodu ciężkich warunków bytu stale wywołuje w nas żądę spróbowania, czy inny układ stosunków społecznych nie będzie lepszy — i oto zjawiają się ludzie, którzy dla zaradzenia złemu proponują znowu system kooperacyi przymusowej, zasadniczo podobny do tego, jaki przeżyła już ludzkość, od jakiego uwolniła się kiedyś z taką radością. System ten musi być przymusowym: będą musiały istnieć tam stopnie wyższe

---

<sup>1)</sup> Szczególny wstręt Spencer'a do subordynacji i zależności hierarchicznej pozostaje w rażącej sprzeczności z jego teorią organizmu. Niekonsekwencję tę wskazywaliśmy wielokrotnie. Z potępieniem jej spotykamy się również u prof. Kariejewa (*Wwiedzenie w izuczenie Socjologii* str. 269).

i niższe oraz wzajemna ich subordynacja; nie inaczej będzie można uczestniczyć w dobrach życia społecznego, jak tylko za cenę poddania żywej swojej osobowości pod rozkazy i reglamentację innych. Ale ustrój taki, w jego postaci idealnej, przez projektodawców oczekiwanej, utrzymać się długo nie zdoła. Prawem wszystkich zjawisk świata jest ciągle przeobrażenie. Zmiana w sprawach społecznych jest rzeczą równie nieuchronną, jak i w innych. Reformy i konstytucje papierowe wywołują tylko uśmiech na oblicza praktycznych mężów stanu, wiedzących, iż najważniejszym czynnikiem w dziele przeobrażeń społecznych jest charakter jednostek. Otóż, jeśli tylko nie nastąpi cudowne jakieś podniesienie się ludzkiej przyrody — projektowane reformy doprowadzą do straszliwego biurokratyzmu, o jakim państwa dzisiejsze nie dają prawie wyobrażenia.

Obecny stan społeczeństw, czytamy jeszcze, jest stanem przejściowym, taksamo jak stany minione. Nastąpi kiedyś stan inny, o tyleż różniący się od obecnego, o ile ten różni się od przeszłości. W *Statyce społecznej*, jak również we *Wstępie do Socjologii*, oraz w *Instytucjach politycznych* jasno wypowiedzianem jest pragnienie jakiegoś innego stanu, bardziej sprzyjającego dobrobytowi ludzi, niż obecny. Opozycya przeto autora przeciwko socjalizmowi wypływa z jego wiary, iż socjalizm powstrzyma postępy nasze ku owemu stanowi wyższemu i cofnie nas ku niższości. Jedyne tylko powolne przeobrażenie przyrody ludzkiej — za sprawą dyscypliny społecznego życia — może spowodować zmiany stale pożyteczne.

Zasadniczym błędem wszystkich prawie stronnictw, tak politycznych, jak i społecznych, jest przypuszczenie, że złe może być uleczone natychmiast i radykalnie. Wszelka wiara podobna nie ma podstawy należytej. Możliwym jest usunięcie przyczyn, złe potęgujących, możliwą przemiana jednej postaci złego na inną, наконец, możli-

wem jest i bardzo pospolitem pogarszanie złego za sprawą wysilków, mających mu zapobiegać; ale niemożliwością jest wszelkie wyleczenie natychmiastowe. W ciągu lat tysięcy ludzkość, rozradzając się coraz bardziej, zmuszoną była przejść od pierwotnej dzikości, kiedy małe grupy żywiły się pokarmem surowym, do stanu cywilizacji, gdzie sprawa wyżywienia mas wielkich domaga się pracy ustawicznej. Charakter, duchowa i fizyczna przyroda jednostek, niezbędne do tego drugiego rodzaju życia, różnią się bardzo od tych, jakich wymagało życie tamte; to też potrzeba będzie przebywać jeszcze długi okres cierpień, zanim przeobrażenie niezbędne się dokona. Z wszelkich ustaw, niezgodnych z dzisiejszą przyrodą człowieka — klęski tylko mogą wypłynąć; z drugiej zaś strony, ustawy, odziedziczone po ludziach pierwotnych, niezgodne są z warunkami, wśród jakich żyć muszą dzisiejsi. Ztąd to niemożliwością jest natychmiastowe utrwalenie jakiegoś stanu całkiem zadawalniającego. Ani taka przyroda jednostek, jaka nappełniła Europę milionami ludzi zbrojnych — tu żadnych podboju, owdzie odwetu; ani taka, co popycha narody, zwane chrześcijańskimi, do współzawodnictwa w przedsięwzięciu zbójceckich po całym świecie wypraw — bez uwzględnienia praw tubylców — na co dziesiątki tysięcy kapłanów religii miłości patrzą przychylnie; ani taka przyroda, która w stosunku do ras słabszych przekroczyła pierwotną zasadę «życia za życie», biorąc «życie wielu za jedno» — ani żadna tego rodzaju przyroda nie może posłużyć ku wytworzeniu społeczności harmonijnej. Źródłem wszelkich prawidłowych (*well ordered*) działań społecznych jest uczucie sprawiedliwości, domagające się jednocześnie wolności własnej i troskliwe o cudzą wolność; otóż obecnie istnieje bardzo mały zasób tego uczucia.

Ztąd wypływa potrzeba dalszego jeszcze trwania takiej dyscypliny społecznej, wymagającej, aby każdy sam

prowadził swoje sprawy, uwzględniając przytem także prawo innych — dyscypliny, która, domagając się, aby każdy odnosił wszelkie korzyści swego postępowania, żąda również, aby nie obarczał on innych złymi skutkami swych czynów, chyba że sami oni zechcą wziąć na siebie to brzemie. Ztąd, nakoniec, pochodzi przeświadczenie autora, że chęć usunięcia owej dyscypliny nietylko nie może być zaspokojoną, ale doprowadzi do gorszych klęsk, niż te, jakich mamy uniknąć.

Dlatego też bynajmniej nie w interesie samych li tylko pracodawców, ale również w interesie robotników, powiada autor, należy opierać się socyalizmowi. Wytwarzanie regulowanem być musi w taki lub inny sposób; kierownicy zaś jego z samego porządku rzeczy muszą stanowić zawsze klasę nieliczną w porównaniu z wytwórcami rzeczywistymi. Wobec współdziałania dobrowolnego, jakie widzimy dzisiaj, kierownicy biorą sobie taką część wytworu, jaką zdobyć mogą dzięki przymotom swym osobistym; ale, jak to wskazują nam codziennie postępy Trades-unionów, samolubna kierowników tych pogoń za zyskiem znajduje hamulec. Przy współdziałaniu przymusowem, do jakiego musiałby doprowadzić socyalizm, kierownicy, ścigając osobiste swe cele z niemniejszym sobkostwem, nie napotykaliby już zjednoczonego oporu pracowników wolnych; władza zaś ich, niepowściągnięta już przez bezrobocia, urosłaby, rozszerzyła się i wzmocniła tak dalece, iż stałaby się niepokonaną. Ostatecznym tego wynikiem, jak zaznaczono wyżej, byłaby społeczność taka, jak w starożytnym Peru, gdzie ogół narodu, podzielony na dziesiątki, trzydziestki, setki, pięćsetki i tysiące, podległy oficerom odpowiednich stopni, przytwierdzony do danych dzielnic kraju, znosić musiał dozór zarówno w życiu swem domowem, jak i w zatrudnieniach, i dźwigał beznadziejnie brzemie trudu ku utrzymaniu organizacyi rządowej.

Taką jest treść artykułu Spencera; poglądy Ritchiego i Gronlunda poznamy później, oceniając ostatni utwór jednego z największych obrońców *laissez-faire'*yzmu.

## II.

Paradoks Spencera, że im lepiej stoją jakieś sprawy społeczne, tem głośniejszemi stają się krzyki o złym ich stanie, ma niby dowodzić błędności sądów opinii, poprawy odnośnych stosunków, oraz niesłuszności utyskiwań. O poprawie stosunków świadczyć to może, lecz nie o błędności opinii.

Autor całkiem niewłaściwie węzłami przyczynowości połączył dwa te zjawiska: poprawę stosunków i wzmaganie się ostrości sądów. Jeżeli ma być tu związek przyczynowy, to chyba wprost przeciwny temu, jakiego domyślać się każe Spencer: nie krytycyzm wzrasta wskutek poprawienia się stosunków, ale raczej wzmaganie się krytycyzmu na poprawę ich wpływa. Pospolicie jednak oba owe zjawiska są tylko skutkami innych przyczyn wspólnych: powolnego przeobrażania się warunków przedmiotowych i coraz większego rozwoju społecznej świadomości. «Głośniejsze utyskiwania» poprawie owej towarzyszą istotnie i dlatego, pośrednio, mogą być jej wyrazem; głośniejszemi jednakże stają się nie wskutek tego, że stosunki się poprawiają, ale z powodu, iż dla bardziej rozbudzonej świadomości społecznej, dla żywszych i wyżej rozwiniętych uczuć altruistycznych mniejsze złe może być i bywa bardziej nieznośnem, niżli większa jakaś niesprawiedliwość dla uczuć pierwotnych i uspiętej społecznej świadomości. Jako przykład weźmy sprawę t. zw. emancypacji kobiet. Dziki obojętnie patrzy na to, jak słabsza od niego niewiasta wykonywa roboty najcięższe. John Stuart Mill z obu-

rzeniem mówi o tem, iż cieszące się już za jego czasów wszelkimi względami towarzyskimi i prawie równoprawnione pod innymi względami kobiety nie mają jeszcze praw politycznych. Nie znaczy to jednak, że John Stuart Mill byłby mniej «głośno» utyskiwał, gdyby jego żona musiała łowić dlań ryby, brodząc po kolana w chłodnej, prawie marznącej wodzie; nie znaczy to, iż wówczas byłby on z położenia kobiet bardziej zadowolonym. Znaczą zaś tylko, że, naprzód, warunki zewnętrzne zmieniły się już o tyle, iż pozwalają ludziom marzyć o większem uniezależnieniu kobiet; że, powtóre, dzięki konstrukcyjnej sile idei, zdolali oni wytworzyć sobie takie pojęcie społecznych stosunków, jakich całokształtu otoczenie jeszcze im nie ukazuje, że, nakoniec, uczucia altruistyczne, zwłaszcza uczucie sprawiedliwości, spotęgowały się już w ludziach o tyle, iż nie tylko nie stają na zawadzie urzeczywistnieniu owych pojęć, ale, przeciwnie, jedynie w realizacji ich przedmiotowej znaleźć mogą zaspokojenie swe całkowite.

Niemniej podstępem, a niemniej też fałszywem i dowolnem jest Spencerowskie określenie wolności i zależności. Kiedy, powiada on, jednostka jakaś znajduje się pod nieosobowym przymusem przyrody, wówczas mówimy o niej, że jest wolną; kiedy zaś podlega przymusowi kogoś, co stoi ponad nią, wówczas, odpowiednio do stopnia jej zależności, nazywamy ją: niewolnikiem, pańszczyźnianym sługą, albo wasalem. Określenia te mogłyby dać komuś do myślenia, że wszelki stosunek subordynacyi jednostki wobec innych jednostek oraz że wszelki stosunek ulegania jest antytezą wolności. Byłoby to wielkim błędem. Powiedziałbym inaczej: kiedy jednostka jakaś znajduje się tylko pod nieosobowym przymusem przyrody, wówczas nazywamy ją jednostką dziką. Jestto wolność, ale, jak się w innych okolicznościach wyraził pewien krytyk Dar-

wina, jest to «wolność zwierza szalejącego na boru». Zgromadzenie ludzi, jak najzupełniej od siebie niezależnych, nie pozostających ze sobą w żadnym a żadnym stosunku koordynacyi lub subordynacyi, jest tylko luźną kupą osobników danego gatunku i nie przedstawia nietylko społeczności ludzkiej, ale nawet stada. Koordynacya i subordynacya (uwspółrządzenie i podporządkowanie) stanowią jak najistotniejszy wyraz stosunków społecznych w przeciwstawieniu do stosunków życia dzikiego. O ile wnosić możemy z naszych dziejów ubiegłych, nie było dotąd jeszcze społeczeństwa, w któremby się znajdowała jednostka, podległa li tylko przymusowi przyrody i nie podlegająca nikomu, co «stoi ponad nią».

W państwach starożytnych królowie i cesarze miewali ponad sobą boga lub bogów, będących wyrazem najwyższych w danej epoce mniemań uczuć i pragnień ogółu; w republikańskich państwach naczelnicy rządu mieli nad sobą zbiorową wolę jednej albo kilku klas panujących. Można byłoby zauważyć tutaj, iż jedynie koniecznym i oczywistym jest w społeczeństwie stosunek koordynacyi; ale, jak zobaczymy za chwilę, koordynacya jednostek jest tylko pewną szczególną formą subordynacyi — jest subordynacją wzajemną.

Spencer podstępnie mówi o takich tylko stosunkach zależności, jak: niewolnictwo, pańszczyzna, wasalizm; nie wspomina jednak o takich, jak: urzędy publiczne — państwowe i obywatelskie, jak najemnictwo, jak stanowisko dzieci wobec rodziców, uczniów wobec nauczycieli, holdowników pewnej idei wobec jej apostoła, członków danej spółki wobec gerenta, tancerzy i tancerek wobec wodzireja, muzykantów wobec dyrektora orkiestry i t. d. Innemi słowy, nie zaznacza on tego, iż niema ani jednej sfery stosunków społecznych, ani jednej postaci społecznej działalności, w których w ten albo inny sposób, w takim

lub innym stopniu, nie ukazywałoby się podporządkowanie jednych jednostek innym.

Można pozostawać na stanowisku, przez Spencera bronionem, można zgodzić się na określenie jego, iż wolność jest uleganiem li tylko przymusowi przyrody, ale z jednym bardzo ważnym zastrzeżeniem: oto, musielibyśmy rozszerzyć pojmowanie przyrody na jednostkę ludzką, do rzędu przyrodzonych czynników zaliczyć ludzką świadomość wogóle, a świadomość społeczną w szczególności. W takim wypadku uleganie «przymusowi przyrody», niczem nie będzie się różniło od ulegania pewnym wymaganiom społecznego życia, służącym ku utrzymaniu bytu społeczeństw.

Czem jest przystosowanie się w życiu organizmów, tem jest posłuszeństwo w życiu nadorganicznych ustrojów. Przystosowanie się jest posłuszeństwem wobec wymagań przyrody martwej, posłuszeństwo jest przystosowaniem się do wymagań społecznego aglomeratu. To też Gronlund uważa posłuszeństwo za najbardziej zasadniczy pierwiastek życia społecznego, za rdzeń naszej moralności. Nie podobna, mówi on, wyobrazić sobie ani jednego czynu moralnego, któryby nie był aktem posłuszeństwa: słuchamy bądź głosu naszego sumienia, bądź natchnień naszych i uczuć, bądź głosu opinii, prawa lub honoru, — zawsze, postępując moralnie, jesteśmy posłuszni komuś albo czemuś. Można byłoby odpowiedzieć tutaj, że jednak, słuchając kogoś albo czegoś, niezawsze bywamy moralni; innemi słowy, można zaznaczyć, że i postępowanie niemoralne również zawsze jest aktem jakiegoś posłuszeństwa. Wobec takiego zarzutu należy ściślej określać, że tak powiem, gatunek posłuszeństwa moralnego.

Dla każdej ludzkiej społeczności jest to oczywiście uleganie takim wymogom życia, jakich ostatecznym wynikiem będzie powiększenie jej szczęścia. Wymagania,

dawniej odczute, zrozumiane i zaspakajane, stają się dla nas kierowniczymi zasadami etyki; żądza zadowolenia ich staje się naszą moralnością instytucyjną, naszym sumieniem, naszym instynktem moralnym; zdolność oryentowania się podług ich nakazów staje się naszym moralnym zmysłem. W tem oświeceniu sprawy moralność ukazuje się nam jako potężny czynnik społeczny, mający źródło swe w najdalszych głębiach zachowawczego instynktu jednostki albo rasy i nie mogący nie oddziaływać na losy ludzkości na równi z czynnikami innymi, nie mogący nie rozwijać się i nie potęgować — bądź całkiem samorzutnie, bądź — tembardziej jeszcze — przy udziale świadomości, wskazującej nam źródła potęgi jego i prawa jego rozwoju.

Uleganie przeto, a *respective* posłuszeństwo --- jest takim samem prawem przyrody w dziedzinie życia społecznego, jak przystosowywanie się w sferze organicznego życia. Patrząc na rzeczy z tego stanowiska, powiemy, że ilekroć tylko dwie jednostki ludzkie połączone są ze sobą jakimś stosunkiem innym, niżli stosunek prostego istnienia obok siebie, ilekroć są ze sobą związane stosunkiem społecznym, zawsze ukazuje się tam cząstkowa albo zupełna subordynacja jednej z nich względem drugiej, częściowe albo zupełne uleganie, częściowe albo całkowite posłuszeństwo. Koordynacja jest owego posłuszeństwa wypadkiem poszczególnym; jest ona bądź w z a j e m n e m uleganiem jednostek sobie równych, bądź też uleganiem dwu nierównych jednostek, domagających się w danym stosunku równej dla siebie daniny posłuszeństwa. Taka wymiana uległości jest jednak stosunkiem teoretycznym idealnym — o tyle trudnym do urzeczywistnienia, o ile niemożliwością jest znaleźć dwie jednostki zupełnie sobie równe, albo wymierzyć ściśle jednaką dozę uległości stron obu. Innemi

słowy — subordynacja wzajemna bardzo łatwo staje się jednostronną subordynacją, w której przewaga posłuszeństwa jest po jakiejś stronie jednej.

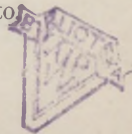
Ale, zapytajmy siebie, czym się różni przystosowanie się od posłuszeństwa? Różni się obecnością czynnika nowego, który w przystosowaniu odgrywa rolę tylko przypadkową — czynnika świadomości. Być posłusznym, znaczy przystosowywać się świadomie. Ze stanowiska przedmiotowego zarówno przystosowanie się, jak i posłuszeństwo, zawsze jest musowem, t. j. nieuchronnem; ze stanowiska naszej świadomości, na jakim przy ocenie zjawisk społecznych stać musimy, posłuszeństwo wtedy tylko każe domyślać się przymusu, kiedy jest mimowolne <sup>1)</sup>. Zachodzi przeto pytanie: jakiego rodzaju posłuszeństwo odpowiadałoby Spencerowskiej formule wolności? Oczywiście takie, które w analizie swej ostatecznej byłoby uleganiem prawom przyrody, rządzącym w zakresie życia społecznego. Pod względem przedmiotowym musi ono odznaczać się uczuciem wolnego wyboru czynnika, któremu się ulega, brakiem uczucia wszelkiego przymusu; pod względem zewnętrznym, przedmiotowym, musi mu towarzyszyć możli-

---

<sup>1)</sup> W nowo wydanej pracy prof. Kariejewa czytamy: »Zależność faktyczna jednostki od środowiska kulturalno-społecznego może dochodzić do całkowitego niemal pochłonięcia osobnika, ale świadomość owej zależności w tymże osobniku może być bardzo słabą«. (*Wiedzenie w izuczenje Sociologii* 1897, str. 265). Dlatego też oprócz podmiotowego probierza wolności niezbędnymi są inne jeszcze sprawdziany, gdy chcemy się przekonać, czy dane położenie jednostek, nie czujących żadnego przymusu, sprzyja rozwojowi indywidualności. Wiemy już, że takim probierzem przedmiotowym jest możność osiągnięcia większej szczęśliwości społeczeństwa. Poczucie indywidualne, będąc tedy jedynym i wystarczającym probierzem indywidualnego zadowolenia oraz indywidualnej szczęśliwości, nie może być probierzem przydatności warunków zewnętrznych do rozwoju indywidualizmu.

wie największa łatwość zmiany danego stosunku ulegania na inny. Poza tem, czy stosunek ten będzie stosunkiem subordynacyi, czy też poszczególnym jej wypadkiem — koordynacją, w niczem nie urazi on ani szczęścia jednostek, ani przyrodzonych praw bytu, których jedynie będzie wyrazem. Subordynacja jest takim samym stanem równowagi sił niejednakich, jak koordynacja sił równych; dążyć do zniesienia subordynacyi (podporządkowania) — znaczy to działać wbrew prawu zachowania energii, znaczy dążyć do tego, aby przyczyna większa nie wywoływała skutków odpowiednio większych.

Spoleczeństwo jednostek idealnie egoistycznych, t. j. mających li tylko świadomość własnej jaźni oraz jej potrzeb, byłoby niemożliwością; byłoby ono zbiorowiskiem wiekuiście unicestwiających się wzajem albo odtrącających się pierwiastków; stan zespolenia, będący najogólniejszym wyrazem życia społecznego, nie mógłby się tam nigdy ukazać. To też nawet Spencer, pomimo nieprzepartej słabości swej do *laisser-faire'y*zmu, nie wyobraża sobie społeczeństwa z takich złożonego jednostek. Jego zdaniem, każdy osobnik danego społecznego aglomeratu winien osiągać wszystkie skutki cech swoich dobrych, z jedynem zastrzeżeniem — nie wdzierania się w podobne prawa osobników innych. To «powinien» jest tylko sformułowaniem jednego z zasadniczych warunków wspólnego pożycia, mającego prowadzić całe skupienie do szczęśliwości możliwie największej. Najglówniejszem więc zastrzeżeniem co do prawowitości naszych postępów jest to, iżby nie gwałciły one praw innych jednostek, iżby nie szkodziły innym. W praktyce przeto wszystko sprowadza się do dwu zapytań: czy dany postęp jest szkodliwym i jak się o szkodliwości jego dowiedzieć. Twierdząca odpowiedź na pytanie pierwsze pozwala nam nietylko potępić wszelką na pozór najbardziej niewinną i prawowitą czynność, ale, nadto



jeśli wierzymy w etyczny postęp całego aglomeratu — dokonywający się w moc wiadomych nam, nieuchronnych praw przyrodzonych — pozwala utrzymywać, że wcześniej lub później czynność owa zostanie ze społeczności wyeliminowaną.

Pozostaje pytanie drugie — jak się o szkodliwości danego postępku dowiedzieć. W najprostszych stadyach walki o byt, przy sporadycznym tylko i krótkotrwałym stykaniu się niewielu jednostek, szkodliwość naszych działań dla przeciwnika jest bezpośrednim i oczywistym skutkiem stosunków bezpośrednich; ale już nawet w bardziej zawitych wypadkach walki w świecie organicznym oczywistość i bezpośredniość szkody znika zupełnie, ustępując miejsca szkodliwości pośredniej i tak dalece niewidocznej na pierwszy rzut oka, że tylko specjalne badanie danej sfery stosunków wykryć ją może. Przekonamy się o tem, biorąc klasyczny przykład Darwina — stosunku liczebnej ilości starych panien w danej okolicy do... urodzaju koniczyzny. Stare panny chowają koty; koty niszczą myszy polne; mysz polna żywi się robakami, podgryzającymi korzenie roślin — ztąd zależność urodzaju koniczyzny od obecności starych panien. Rzecz jasna, że w rozwiniętych społeczeństwach ludzkich zawilość i pośredniość stosunków, a ztąd pośredniość ewentualnej szkody, wyrządzanej innym przez nasze postęпки, jest nieskończenie większa. Jedynie tylko gruntowna i rozległa znajomość danej sfery stosunków może dopomagać nam w orientowaniu się co do prawowitości naszego postępowania w tej sferze; ale już nawet taka znajomość nie pozwoli wyrokować, czy poza tą sferą postęпки nasze odbijają się echem dodatniem, czy też ujemnem; do tego potrzebną jest znowu znajomość wzajemnych ustosunkowań sfer kilku. Naturalnem jest, że podobna znajomość nie może jednako cechować jednostek rozmaitych, oraz że dążenie do nadania przewagi jednostce,

ze stosunkami nie obeznanej, nad jednostką, znającą dobrze jedna albo więcej sfer stosunków, równałoby się dążeniu do oparcia bytu społecznego na podstawach antyspołecznych — na podstawach, pozwalających sądzić li tylko o bezpośrednich i oczywistych następstwach bezpośrednich stosunków życia dzikiego.

Na mocy wiadomego już nam zachowawczego instynktu ras i jednostek, w społeczeństwie wzajemne stosunki osobników wcześniej lub później ułożyć się będą musiały w taki sposób, że każda jednostka ulegnie pracom przyrodzonym, mogącym prowadzić cały aglomerat do szczęśliwości coraz większej. Uległość ta wyrazi się jako świadome i dobrowolne posłuszeństwo jednostek o mniejszem natężeniu uczuć dodatnich — względem jednostek o skali i natężeniu większem. Jeżeli, jak tego chce Spencer, wolnością nazywamy taki stan rzeczy, kiedy jednostka znajduje się li tylko pod nieosobowym przymusem przyrody, to znajdziemy łatwo, iż członkowie społeczności, w powyższy sposób zrównoważonej, będą o wiele wolniejsi: lepsze przystosowanie się do wymagań życia społecznego pozwoli im nie odczuwać zbyt częstych i zanadto brutalnych ciosów dzikiego życia. Będzie to, w rozbiorze ostatecznym, również uleganie li tylko nieosobowym wymaganiom przyrody w sferze takiego życia, gdzie czynnik świadomości ludzkiej w grę wchodzi, ale, dzięki właśnie owemu czynnikowi, zniknie już potrzeba ciągłego odczuwania przymusu, gdyż przystosowanie się lepsze z jednej strony, zaś możność przewidywania z drugiej — nie pozwolą jednostkom przekraczać co chwila takich praw przyrodzonych, których pogwałcenie mści się albo śmiercią osobnika, albo też przymusowem poddaniem go całej surowości skutków tego pogwałcenia.

Zabacmy teraz czy Spencerowski szemat *laissez-faire*'yzmu odpowiada zasadniczym wymaganiom życia

społecznego, czy też jest on tylko sprzężeniem dwu sprzecznych wymagań: życia dzikiego, oraz życia w społeczeństwie.

### III.

Ponieważ subordynacja (podporządkowanie) jednych jednostek względem innych jest jedynym stosunkiem, jaki łączyć może członków, tworzących jakąś społeczność, ponieważ nawet koordynacja (uspółrzedzenie) jest tylko poszczególnym wypadkiem subordynacji, jest subordynacją wzajemną, przeto utrzymywać, że ideałem społeczeństwa jest takie, którego członkowie nie podlegają żadnej subordynacji, znaczy to samo co twierdzić, iż ideałem społeczeństwa jest aglomerat, trwający na zasadach antyspołecznych; utrzymywać, że subordynacja jednostek jest pozbawieniem ich wolności, jest ich unieszczęśliwieniem, znaczy to znajdować, że wolnemi czuć się one mogą li tylko w warunkach, uniemożliwiających pożyte wspólne, że szczęśliwymi bywają jedynie w okolicznościach życia dzikiego.

Zupełnie inaczej przedstawi się nam sprawa, gdy zamiast wyrazu subordynacja, użyjemy terminu przymus; natężenie tego ostatniego zawsze pozostawać będzie w stosunku odwrotnym do szczęśliwości jednostek, oraz do możliwości wolnego i szybkiego rozwoju całego społeczeństwa. Ale przymus nie jest bynajmniej synonimem subordynacji, jest on tylko środkiem podporządkowania mimowolnego, to zaś możliwem i niezbędnem okazuje się tem więcej, im życie społeczne bliższem jest dzikiego życia. O szczęśliwości przeto jednostek, o sprawności ich działań zbiorowych, a tem samem — o szybkości rozwoju całego aglomeratu nie możemy jeszcze wnosić z samego tylko

faktu ich subordynacji, gdyż fakt ten cechuje wszelkie — zarówno rozwinięte, jak i pierwotne, zarówno szczęśliwe, jak i dręczące, zarówno wolne, jak i niewolnicze życie społeczne, którego jest najpierwszym i nieodłącznym współobjawem. Wnioskować o tem moglibyśmy dopiero wtedy, gdybyśmy się dowiedzieli: czy i o ile faktowi subordynacji towarzyszy nadto fakt przymusu.

O dobrowolności przeto współdziałania stanowi nie brak subordynacji, którego sobie w normalnem życiu społecznem nawet wyobrazić nie możemy, ale brak przymusu. O sprawności dobrowolnych działań zbiorowych orzeka nie brak reglamentacji, który byłby sprowadzeniem społecznego życia na stopień bezpośrednich działań i oddziaływań życia dzikiego, ale brak uznawania potrzeby reglamentacji ze strony osobników kierowanych, oraz znajomości jej zasad — ze strony kierujących jednostek.

Przymus nie ukaże się zgoła — ani jako środek, ani jako stan podmiotowy, jeśli posłuszeństwo będzie dobrowolne. Posłuszeństwo dobrowolnem nazwiemy wówczas, gdy nieusłuchanie sprawia nam przykrość nie ze względu na swoje następstwa zewnętrzne, lecz ze względu na samą treść swoją.

Mówiąc teoretycznie, posłuszeństwo dobrowolne możliwem staje się wówczas, gdy jest ono świadomem albo bezwiednem uleganiem pewnym nalogom lub popędom, wyrobionym w sferze życia społecznego, a mającym na celu bądź utrzymanie (nalogi bezwiedne), bądź dalszy rozwój (świadome popędy) tegoż życia. Jednostka, której się w takim razie ulegnie, jest jak gdyby tylko przedstawicielką, uzmysłowieniem owych popędów, a w ten sposób subordynacja traci swój charakter osobowy i staje się tem, co u Spencera jest synonimem wolności, staje się uleganiem nieosobowemu przymusowi przyrody; tylko poj-

mowanie przyrody musi być rozszerzone tutaj: do sil jej nieorganicznych oraz organicznych dodajemy jeszcze siły nad-organiczne t. j. społeczne. W zakresie życia praktycznego dobrowolne posłuszeństwo możliwem staje się wtedy, gdy istnieje wszelka łatwość zamiany jednego stosunku subordynacyi na inny, t. j. kiedy żadne zmiany zewnętrzne, grożące potrzebom ducha lub ciała rokoszan, nie ukazują się jako bezpośrednie skutki nieposłuszeństwa.

Posłuszeństwo mimowolne zjawia się zazwyczaj jako skutek ulegania popędom albo instyngtom, których początek sięga w przeszłość o wiele dalszą, niżli początek popędów oraz instyngtów społecznych; jest to uleganie popędom i nałogom organicznym takim, jak głód, pragnienie, obawa chłodu i t. p. pozostaje ono natomiast w sprzeczności z nałogami nad-organicznymi t. j. społecznymi.

Uległość niewolnika, który z rozkoszą pozwala się zabić na grobie ukochanego pana, jest posłuszeństwem dobrowolnem, jest uleganiem li tylko instyngtowi, wyrobionemu przez życie społeczne. Ale posłuszeństwo nawet wysoko płatnego oficjalisty względem pryncypała, wynikające z obawy stracenia miejsca, jest posłuszeństwem przymusowem, zgodnem li tylko z jego popędami organicznymi, ale bynajmniej nie zgodnem z jego nadorganicznymi t. j. społecznymi popędami. Innemi słowy: uleganie przymusowi nieosobowemu przyrody odbywa się tutaj o tyle tylko, o ile sprawa dotyczy zakresu popędów przed-społecznych, t. j. organicznych, o ile zaś dotyczy ona społecznych popędów, uleganie odbywa się wbrew ich działaniu zaś gwoli tylko osobowemu przymusowi chlebobdawcy, który w danym wypadku nie jest uosobieniem społecznych nałogów i pożądań pracownika. Na szczeblach wyższych mimowolne posłuszeństwo może być również uleganiem któremukolwiek z elementarnych, prostszych instyngtów społecznych, np. obawie nagany. W takim wypadku oka-

zuje się uległość nie względem nieosobowego przymusu wyższych popędów społecznych, ale względem osób, tworzących opinię; pod ich nieobecność posłuszeństwo nie byłoby się ukazało. Tak więc przymus jest tutaj osobowym.

Słowem, dobrowolne posłuszeństwo jest zawsze dążeniem do osiągnięcia rozkoszy, mimowolne zaś jest dążeniem do uniknięcia przykrości. Dobrowolne jest uleganiem nieosobowemu przymusowi przyrody w dziedzinie tak organicznych jak i nad-organicznych instynktów; mimowolne jest uleganiem przymusowi przyrody w pierwszej, zaś osobowemu przymusowi — w drugiej z tych dziedzin.

Uprzedzić tu należy dwa możliwe zarzuty. Naprzód, powiedzą nam, że często, ulegając li tylko naszym instynktom społecznym — spełniając akt posłuszeństwa, którego niespełnienie sprawiłoby nam wielką przykrość, nie ze względu na skutki, lecz ze względu na samą treść swoją — doznajemy jednak przykrego uczucia przymusu. Bywa tak wówczas, kiedy stosunek posłuszeństwa pozbawia nas możliwości zaspokojenia innych naszych popędów. Uczucie przymusu wiąże się tutaj li tylko z ową niemożnością zaspokojenia potrzeb innych i jedynie dzięki pewnej iluzji uczuć zespala się z samym aktem posłuszeństwa; co większa, w takim stanie rzeczy jedyną osłodą owej przykrej nieodzowności ulegania jest właśnie to, że jej ulegamy, (zaspakajając w ten sposób pewien instynkt społeczny). Jako przykład, weźmy tu dobrowolne (t. j. podjęte nie ze względu na opinię i t. p.) czuwanie u łóżka chorego. Czynność ta pozbawiać nas może wielu rozkoszy, i zdaje nam się, iż odczuwamy jej przymusowość. Jest to złudzenie: jest ona w owej chwili jedynym zadowoleniem, niespełnienie jej sprawiłoby nam wielką

przykrość; uczucie przymusu dotyczy tu właściwie owej nieodzowności powstrzymania się od rozkoszy innych.

Zarzut drugi mógłby przybrać formę następującą. Skoro posłuszeństwo dobrowolne jednostek względem innych jednostek jest właściwie uleganiem nieosobowemu przymusowi przyrodzonych popędów organicznych i nadorganicznych, a przeto jest uleganiem prawom przyrody, więc ideałem społeczności będzie taka, której wszyscy członkowie pozostaną raz na zawsze w stałym stosunku subordynacyi, zaś nieposłuszeństwo zawsze być musi objawem dla społeczeństwa niepożądanym. Odpowiem na to, że dla danego typu społeczności nieposłuszeństwo, jako czynnik przeobrażający, jest istotnie zawsze niepożądanem. Dwojakiego rodzaju bywa ten objaw: albo jest on rokoszem jednostki czy jednostek, jeszcze nieprzystosowanych do wymagań społeczeństwa danego typu, albo też jest buntem jednostek, już przewidujących i odczuwających typ wyższy..

Nieposłuszeństwo tego drugiego rodzaju jest właściwie uleganiem nieosobowemu przymusowi wyższych praw przyrody życia społecznego, a, jako takie, jest czynnikiem postępu. Oba rodzaje nieposłuszeństwa zniknąłby mogły jedynie wówczas, gdyby społeczność, dosięgnąwszy najwyższego, idealnego szczybla rozwoju, pozostawała na nim dość długo -- aż do chwili popadnięcia w stan zupełnego automatyzmu. Przed tym okresem nieposłuszeństwo rodzaju drugiego, jako objaw ulegania wyższym prawom przyrody, będzie zawsze czynnikiem dodatnim. Po uchyleniu tych zarzutów, zwróćmy uwagę na ważne bardzo praktyczne wywody, do jakich nas upoważnia rozbiór powyższy. Skoro posłuszeństwo dobrowolne jest takim uleganiem nieosobowemu przymusowi popędów społecznych, na które nie wpływa nieodzowność ulegania przymusowi popędów organicznych, tedy oczy-

wistem się staje, że tem bardziej dobrowolną będzie subordynacya, tem większe poczucie wolności, tem bardziej plastycznymi stosunki jednostek, — im mniej o tych stosunkach wyrokować będą potrzeby przed-społeczne, t. j. organiczne. Tem łatwiej będzie zanalizować przyrodę danego stosunku subordynacyi, tem łatwiej będzie można modyfikować go i zmieniać, tem wyraźniej wskazać społeczne źródło i potrzebę danego aktu posłuszeństwa, tem łatwiej usunąć subordynację atawistyczną albo cząstkową, im mniej do sprawy zamieszane będą czynniki, zakłócające działanie instynktów społecznych, t. j. popędów organicznych. Tak samo, jak procesy myślenia mogą się odbywać i organizować tem łatwiej, im lepiej są już uorganizowane procesy życia roślinnego, tak też sprawy ustosunkowań społecznych rozwijać się mogą tem swobodniej, im lepiej już zorganizowanemi zostały sprawy roślinne aglomeratu społecznego. Ale organizacya taka każe domyślać się znajomości i uwzględnienia nietylko bezpośrednich stosunków jednostek, lecz nadto każe ona domyślać się znajomości uwzględniania sfer stosunków pośrednich; każe się domyślać przewidywania nietylko bezpośrednich następstw czynności danej jednostki lub jednostek wewnątrz ich własnej sfery, ale również następstw pośrednich działania poza ich sferą własną a wewnątrz sfer innych. Nakoniec, podobna znajomość i przewidywanie niemożliwemi są bez szerokiej reglamentacyi nietylko stosunków grup jednostek pomiędzy sobą, bez reglamentacyi, uprzedzającej nietylko bezpośrednie skutki postępków, ale i skutki bardziej pośrednie i odległe — zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Reglamentacya taka pociąga za sobą podporządkowanie jednostek, mniej ze stosunkami obecnymi — jednostkom obecnym więcej; podporządkowanie zaś umożliwi kooperację — dobrowolną, jeśli podstawą jego jest posłuszeństwo względem przyrodzonych instynk-

tów społecznych, zaś przymusową, jeśli wynika ona z ulegania przyrodzonym organicznym instynktom i na pozór społecznym.

Przypuszczać, że taka kooperacja dobrowolna może być samorzutnym wytworem automatycznych działań jednostek, znaczy to utrzymywać, że: 1) wszystkie jednostki posiadają w stopniu jednakim znajomość wszelkich najdalszych i najbliższych stosunków społecznych, wszelkich bezpośrednich i pośrednich następstw swoich czynności w czasie i w przestrzeni, — oraz że, posiadając ją, wszystkie one zechcą i potrafią zastosować się do jej wymagań; przypuszczenie możliwe li tylko w stosunku do społeczności, stojącej na najwyższym szczeblu rozwojowym, na szczeblu idealnego automatyzmu, na szczeblu, w którego osiągnięcie nie możemy wierzyć dopóty, dopóki nie wykazemy możliwości jakiegoś ostatecznego kresu rozwoju, dopóki nie udowodnimy, iż sfera coraz nowych przystosowań społeczności do warunków otoczenia może być wyczerpaną. Dopóki w to nie wierzymy, dopóty przypuszczać, iż wzmiankowana wyżej dobrowolna kooperacja może być samorzutnym wytworem automatycznych działań jednostek, znaczy to sądzić, że: 2) społeczne obcowanie może odbywać się li tylko na podstawie deintegracji społecznych działań, co jednakże jest takąż niemożliwością, jak integracja biologicznych procesów organizmu na podstawie deintegracji poszczególnych czynności jego pierwiastków. Autonomia komórki (np. komórki zapładniającej) kończy się z chwilą, gdy wejdzie ona do organizmu; autonomia jednostki kończy się z chwilą, gdy wejdzie ona do społecznego aglomeratu, dalszemu jej trwaniu bowiem stają na zawadzie wymagania koordynacji i subordynacji społecznej, bez których aglomerat tak samo nie byłby społeczeństwem, jak gromada luźnych komórek, nie podlegających koordynacji i subordynacji biologicznej, nie byłaby

organizmem. Utracie autonomii może towarzyszyć albo też nie towarzyszyć, uczucie przymusu — odpowiednio do tego, czy w danej formie koordynacji społecznej znalazła jednostka zaspokojenie swoich społecznych, czy też tylko przedspołecznych (organicznych) popędów. Wynikające z koordynacji takiej albo z subordynacji współdziałania nie może być dobrowolnem albo przymusowem — w zależności nie od samego stosunku subordynacji, ale w zależności od tego, czy jest on li tylko uleganiem nieosobowemu przymusowi przyrodzonych instynktów społecznych, czy też uleganiem jednostce, nie będącej zgola owych instynktów upostaciowaniem; czy jest uleganiem, mającym na celu uniknięcie jakiejś przykrości, czy też uleganiem, którego cele zasadzają się na ściganiu rozkoszy; czy towarzyszy mu wszelka łatwość zmiany na stosunek inny bez poddawania się rygorowi następstw postronnych, czy też nie towarzyszy.

Tak więc, broniony przez Spencera system *laissez-faire*'yzmu jest skojarzeniem dwu sprzecznych ze sobą zasad: nakaz uwzględnienia praw i potrzeb bliźniego jest tu sformulowaniem wymagań społecznej subordynacji; ale pozostawienie sądu o tych potrzebach i prawach li tylko samej jednostce, uzależnienie ich li tylko od samorzutnej, automatycznej działalności jednostkowej jest wprowadzeniem do życia społecznego czynników, rządzących zjawiskami życia dzikiego, jest pragnieniem oparcia sprawy integracji społecznej na podstawach deintegracji. Zobaczmy rychło, czy i o ile praktyczne zastosowanie owego systemu uwydatni jego wadliwość zasadniczą, teoretyczną.

IV.

Spencerowski system *laissez-faire*'yzmu, zapoznający główną zasadę życia społecznego, zasadę subordynacji, musi też w praktyce prowadzić do następstw oplakanych. Niczem nieskrępowane współzawodnictwo jednostek, będące zasadniczą cechą życia dzikiego, nie może, jakeśmy widzieli, być podstawą społecznego życia. Z drugiej strony, skrepowanie tegoż współzawodnictwa względami na dobro innych — albo jest skojarzeniem dwóch pierwiastków sprzecznych, albo też doprowadzić musi do następstw, o jakich nie śniło się twórcy ewolucjonizmu. Przypatrzmy się naprzód praktycznym wynikom jednostkowego współzawodnictwa — krepowanego w teorii «poszanowaniem praw innych jednostek» — zaś w praktyce krepowanego jedynie brutalnymi następstwami starć wzajemnych.

Z pomiędzy rozmaitych przesądów, trapiących dzisiejszą ludzkość, do najszkodliwszych należy dość upowszechnione mniemanie, że nieograniczone współzawodnictwo jednostek jest podstawą rozwoju naszej indywidualności. Pogląd ten, będący skutkiem ciasnego pojmowania darwinowskiej teorii «walki o byt», stanowi właśnie przyczynę tego, iż współzawodniczy ustój społeczny nie tylko nazwaliśmy ustrojem indywidualistycznym, ale, nadto, w nazwie owej skłonni jesteśmy widzieć coś więcej, niż się w niej zawiera. Jedynym prawowitem znaczeniem takiej nazwy jest tylko to, że jednostkę t. j. indywiduum pozostawia się tutaj, teoretycznie, własnemu przemyślowi, oraz że, również w teorii, pozostawiono jej wszelką wolność inicjatywy. Tymczasem, bardzo wielu sądzi, iż nazwa ustroju «indywidualistycznego» każe nadto domyślać się faktycznej wolności inicjatywy; dalej, że pozwala ona przewidywać, iż dany ustrój nie tylko umożliwia, ale nawet

wspiera i potęguje sprawę rozwoju naszej indywidualności; na koniec, że rozwojowi temu jak najbardziej stawałby na przeszkodzie — wspierający się na podstawach społecznej subordynacji i koordynacji — ustrój współdzielczy <sup>1)</sup>.

Przedewszystkiem więc słówko o t. zw. «zasadzie walki o byt». Gdyby Darwin, którego naiwni nazywają niekiedy jej «wynalazcą», pojmował ją był tak, jak ją rozumie czasem najbardziej tępy z jego adeptów, t. j. jako bezpośrednio zapasy dwu pożerających się wzajem osobników, wówczas twierdzenie, iż pomiędzy zasadą współdziałania oraz zasadą «walki o byt» istnieje podstawowa sprzeczność, nie byłoby pozbawionem pozorów słuszności. Darwin, jednakże, przewidując, że zarówno dwuznaczność samego terminu, jak i płytkość niektórych, studyujących jego teorię, umysłów, mogłaby nadać użytemu przezeń słownictwu znaczenie zbyt ciasne, poświęcił sporo miejsca wykazaniu tego, iż 1) walka o byt bynajmniej nie zawsze oznacza zapasy pomiędzy istotami żyjącymi, lecz często oznacza li tylko pokonywanie ujemnych oddziaływań przyrody martwej; 2) zapasy pomiędzy żyjącymi istotami zgoła niezawsze odbywają się w sposób bezpośredni; częstokroć strony walczące nie znajdują się wzajem i o sobie nie wiedzą, takim np. jest antagonizm pomiędzy ptakiem, tępiącym owady, oraz kwiatem, który przez owady owe bywa zapładniany; 3) zarówno bezpośrednio, a bardziej jeszcze pośrednio zapasy toczą się nietylko pomiędzy osobnikami pojedynczymi, ale i pomiędzy ich gromadami.

<sup>1)</sup> Zdanie podobne wygłosił niedawno, między innymi, jeden z naszych filozofów, (odznaczający się głęboką erudycją i niemniej głębokim brakiem oryginalności oraz pojmowania rzeczy społecznych), krytykując rozgłosną powieść *Looking Backward*. Prywatna forma krytyki nie pozwoliła nam na publiczne wykazanie jej niedoręczności.

Oprócz tych, wyraźnie i z naciskiem zaznaczonych przez Darwina objaśnień, wymieńmy tu jeszcze pewien posiłkowy wniosek, domyślnie wypływający z całej teorii ewolucyjnej: oto sama walka o byt, podobnie jak i kształtowane przez nią organizmy, podlega prawu stopniowego rozwoju; formy jej, zrazu najprostsze, stają się coraz bardziej złożonemi; z najbardziej bezpośrednich przeobrażają się na takie, co zmierzają do celu pośrednio — tak w czasie, jak i w przestrzeni.

Coraz większa złożoność walki o byt jest pośrednim skutkiem działania jej samej; jest to następstwo coraz większej złożoności kształtowanych przez nią ustrojów. Łatwo zrozumieć, że walka organizmu, mającego liczniejsze rodzaje oręży w swem rozporządzeniu — może być bardziej urozmaicona, niż walka ustroju, posiadającego jeden tylko oręż. Coraz większa pośredniość wyższych postaci walki o byt jest wynikiem działającej wszędzie zasady zdążania po linii najmniejszego oporu — zasady, która, po ukazaniu się i wejściu w grę czynnika świadomości — staje się zasadą działania w kierunku najmniejszych wysiłków. Dzięki tej właśnie zasadzie usiłujemy osiągnąć celu nie przez działanie bezpośrednie, ale wprowadzając pośrednie ogniwa, t. j. czynniki, usuwające potrzebę własnych wysiłków; podważanie drągiem jest czynnością bardziej pośrednią, niż obalanie rękami; rozsadzanie prochem jest bardziej pośrednim, niż podważanie za pomocą drąga, zaś rozsadzanie dynamitem jest ilościowo jeszcze bardziej pośrednim.

Dziwić się coraz większej złożoności walki o byt znaczy to nie rozumieć zasadniczego charakteru jej własnego działania; znaczy to wymagać, aby walka organizmu o większej liczbie rodzajów broni była tak prostą, jak walka ustrojów najprostszyc, aby przyczyna nie wywoływała swych skutków. Dziwić się coraz większej po-

średniości walki o byt — znaczy to nie rozumieć, że że zarówno w świecie zjawisk żywiolywych jak i w świecie takich zjawisk, gdzie jednym z czynników jest świadomość — działanie odbywa się zawsze po linii najmniejszego oporu, *respective* po linii wysiłków najmniejszych.

Po tych uwagach możemy bardziej szczegółowo roztrząsnąć znaczenie trzeciego z przytoczonych wyżej zastrzeżeń samego Darwina co do walki o byt, oraz zająć się niemniej szczegółowem roztrząśnieniem socyologicznych zastosowań wywodu, wypływającego z całej teorii ewolucyjnej — wywodu, że walka o byt stawać się musi coraz bardziej złożoną i pośrednią.

Skoro zapasy wśród organizmów żyjących toczą się nietylko pomiędzy pojedynczymi ustrojami, ale też pomiędzy gromadami ich, to zachodzi pytanie, czym się różni wzajemny stosunek członków danej gromady od stosunku ich do członków gromady wrogiej? Odpowiedź może tu być jedna tylko: walcząc z członkami gromady wrogiej, członkowie danej grupy nietylko nie walczą w tymże czasie ze sobą, ale przez sam już fakt wspólności pokonywanych wrogów działają ze sobą wespół. Taki wypadek, kiedy każdy poszczególny przedstawiciel gromady A. walczy, na własną rękę ale w gronie innych, z jakimś poszczególnym członkiem grupy B, jest najprostszym owego współdziałania wyrazem: stoimy tu o jeden szczebel wyżej, niż w wypadku samodzielnej walki każdego osobnika, działającego poza gromadą. Zarówno stopień złożoności jak i pośredniości jest tutaj większy. Do liczby rozmaitych rodzajów oręża, do liczby czynników, zwycięztwo ułatwiających, przybywa świadomość wspólności celów obrony i płynące ztąd uczucie większej pewności, większej odwagi; w walce przeto zjawiają się pierwiastki nowe — jakich nie spostrzegamy w zapasach pojedynczych ustrojów, walczących poza gromadą; ztąd też mówimy z całą słusnością, że ta

postać walki o byt jest już bardziej złożoną. Z drugiej strony, stopień pośredniości wzmagają się tu również: każdy osobnik nie tylko bezpośrednio zwalcza przedstawicieli gromady wrogiej, ale zwalcza ich również za pośrednictwem swoich towarzyszy.

Od tego najniższego stopnia walki gromad przejść możemy do stopnia wyższego — kiedy gromada dana przeciwstawia się innej grupie jako całość — już nie tylko ze względu na wspólność celów, nie tylko ze względu na mechaniczne skupienie się swoich członków, ale nadto, przeciwstawia się jej, jako odrębna całość, ze względu na wewnętrzne, nie-mechaniczne zespolenie swych członków, ze względu na stosunki ich, o tyle różniące się od stosunku prostego przylegania w przestrzeni, o ile różniczkowanie oraz integracja różnią się od prostego trwania obok siebie jednostek luźnych, o ile koordynacja i subordynacja różnią się od zupełnej autonomii osobników, o ile ustroj różni się od prostego aglomeratu komórek. Nie trzeba wskazywać, że zarówno stopień złożoności podobnej walki, jak i stopień jej pośredniości staje się tutaj większym. Natomiast należy zwrócić uwagę naprzód na okoliczność, że podobne komplikacje mogą się ukazywać i ukazują się nie tylko wtedy, gdy walka o byt toczy się pomiędzy dwiema gromadami ustrojów żywych, ale i wówczas, gdy grupa jakaś walczy o byt z otoczeniem przyrody martwej. Powtóre, zauważyć należy, iż świadomość wspólności celów, płynące z tego uczucie większej pewności, ukazując się tylko sporadycznie, w wypadkach większego natężenia walki, stają się z biegiem czasu chronicznymi, a w ten sposób współdziałanie, będące zrazu tylko sporadycznym objawem bardziej złożonej walki o byt, staje się jej cechą stałą. Większa złożoność i pośredniość takiego stanu rzeczy jest faktem oczywistym. W każdym poszczególnym wypadku bardziej zaognionej walki o byt wchodzi

w grę już nietylko czynniki, powołane przez ten wypadek, ale i inne czynniki, powołane do życia dawniej — li tylko w przewidywaniu potrzeby gorętszej; czynniki, wyległe już nie na łonie jednorazowego odczucia niezbędności współdziałania, ale i takie, co wypłynęły ze stałej świadomości potrzeby działania wspólnego.

Oczywiście przeto wyrazem coraz wyższych stopni rozwoju walki o byt, coraz większej złożoności jej i pośredniczości — zarówno w odniesieniu do przyrody martwej jak i w stosunku do walczących ze sobą gromad — będzie coraz częstsze zlewanie się grup najmniejszych w większe, coraz znaczniejszy stopień integracji i zróżniczkowania wewnątrz grup pochodnych. Ale coraz częstsze zlewanie się gromad poszczególnych każe przypuszczać w nich coraz znacniejszą ilościowo domieszkę współdziałania, jako czynnika walki, zaś coraz większe zróżniczkowanie oraz integracja grup pochodnych pozwala się domyślać coraz większej w nich jakościowo dozy współdziałania — coraz znaczniejszej koordynacji i subordynacji pierwiastków niegdyś luźnych.

Najwyższą więc postać walki o byt wyobrazić sobie możemy nie inaczej, jak tylko w terminach następujących. Po pierwsze, pod względem ilościowym muszą to być zapasy wszystkich osobników danego gatunku — np. ludzi — o ile zaś można, zapasy osobników możliwie największej liczby gatunków — np. ludzi i zwierząt domowych — zespolonych w jedną gromadę, zapasy skierowane wyłącznie przeciwko wrogowi owej olbrzymiej gromady otoczeniu. Dalej, pod względem jakościowym, zapasy te wyróżniać się mają doskonałym zróżniczkowaniem grupy, oraz doskonałą jej integracją. W ten sposób zarówno ilościowy jako też jakościowy wpływ współdziałania musi walkę taką cechować w stopniu największym. Mówiąc językiem socjologii, największy być musi

w takiej gromadzie zakres koordynacji i subordynacji jednostek.

Rozbiór trzeciego z przytoczonych wyżej zastrzeżeń Darwina — (walka toczy się nie tylko pomiędzy osobnikami, lecz i gromadami) i roztrząśnięcie wywodu, płynącego z całej teorii ewolucyjnej (walka o byt musi przybierać postacie coraz wyższe) doprowadziły nas tedy do takich samych wniosków, do jakich doszliśmy przy apiorystycznym rozbiórce zasady *laisser-faire*'yzmu: życie społeczne w przeciwstawieniu do dzikiego życia — cechuje się coraz większą koordynacją i subordynacją jednostek.

Ale osoby, niejasno zdające sobie sprawę z tego, że postacie walki o byt stawać się muszą coraz wyższymi, że rozwój ich stanowi właściwie o rozwoju form życia społecznego w ogólności, osoby zdolne do ujęcia jedynie najprostszego szematu walki o byt, szematu zapasów bezpośrednich pomiędzy jednostkami, uczują tu pewne niezadowolenie: w obawie o postępy ludzkości zapytywać nas one będą, co się stanie ze sprawą doskonalenia się ludzkiego rodzaju, gdy walka jednostek ustanie? Jaką rolę odegra wówczas jednostka? Odpowiemy na to, że skoro wszystkie jednostki danego gatunku zespolić się muszą w grupę jedną, skoro wewnętrznym regulaminem tej grupy nie może być współzawodnictwo jednostek, lecz tylko ich współdziałanie, tedy jednostkowa walka o byt wewnątrz gromady owej będzie mogła przybrać jedną tylko postać, jedną — postać współubiegania się we współdziałaniu. Najwyższa złożoność i najwyższa pośredniość takiego stanu rzeczy jest faktem zbyt oczywistym, aby się potrzeba było nad nim rozwodzić.

Ciągłe zaznaczanie przez Spencera konsolidującego wpływu wojowniczości, która miała popychać grupy mniejsze do łączenia się w większe, a natomiast ciągle pomijanie przez niego, a przynajmniej uwzględnianie zbyt słabe

tego faktu, że wpływ «indystryalizmu» jest i musi być również konsolidującym, że musi on do stopnia znacznie nawet wyższego doprowadzić sprawę konsolidacji społeczeństw — było właśnie następstwem nie dość szerokiego pojmowania walki o byt — było skutkiem domyślnego jej ograniczenia li tylko do zapasów gromad pomiędzy sobą, oraz pominięciem walki tychże gromad z otoczeniem martwym, pominięciem tego faktu, że często nawet walka samych gromad bywała skutkiem walki z otoczeniem martwym. Dalej, ciągle przez tego pisarza wskazywanie, że t. zw. przez niego «kooperacja przymusowa», będąca wyrazem coraz większej koordynacji i subordynacji jednostek, stanowić ma znamioną cechę wojowniczości, podczas gdy charakterystycznym rysem «indystryalizmu» będzie coraz większa niezależność działań jednostek od działań całości — było li tylko samowolnem i nieuzasadnionem napomknięciem, że koordynacja i subordynacja, stanowiące najdzielniejszy oręż walki o byt, toczącej się między gromadami, przestaną być takim orężem w walce gromad z ich otoczeniem martwym. Zobaczymy też rychło, o ile życie społeczeństw cywilizowanych zadaje kłam podobnym twierdzeniom, zasadniczo sprzecznym z wymaganiami tegoż życia; zobaczymy, o ile udział jednostki staje się nieznacznym wskutek pominięcia owych wymagań, o ile rozwój indywidualności spaczony jest i skrepowany, dzięki temu, że w warunkach życia społecznego kazano mu chwilowo rządzić się prawami życia dzikiego, że zachowując wolne pole działania dla instynktów i żądz, przyniesionych ze stanu dzikości, nie dano tam wolnego pola instynktom i żądom, wyrabiającym się pod wpływem stanu uspołecznienia.

V.

Tak samo, jak nieuzasadnionemi są obawy, że walka o byt przestanie kiedykolwiek wpływać na doskonalenie się jednostek i społeczeństw, tak samo, jak obawy te rozproszą się, gdy tylko szerzej teorię Darwina poczniemy rozumieć, tak podobnie uzasadnionemi są napaści niektórych pisarzy socjalistycznych oraz pewnych teologów i moralistów na uznawanie walki o byt za kierowniczy i kształtujący pierwiastek życia. Błąd *laissez-faire*'ystów, jakieśmy widzieli, polega nie na przychylnem spoglądaniu ich na walkę o byt wogólności, ale na dowolnem ograniczeniu jej wpływu niższemi tylko postaciami działania, na tem, iż, wprowadzając ją jako pierwiastek czynny do wyższych form życia społecznego, samemu działaniu jej formę wyższą nadać zapominają. Błędem Spencera nie jest to, że walkę o byt, że współzawodnictwo jednostek uznał za jeden z czynnych pierwiastków społecznego rozwoju, ale to tylko, że owemu współzawodnictwu kazał (domyślnie przynajmniej) ograniczyć się do form najprostszych, do form, nie uwzględniających faktycznie ani zakresu, ani pośredniości społecznych stosunków.

Po tych zastrzeżeniach z pożytkiem będziemy mogli zapoznać się z poglądami Gronlunda, które tu podam w streszczeniu, o ile dotyczą one sprawy współzawodnictwa; pamiętać tylko musimy, że, zamiast bezwzględnego potępienia walki o byt, wszędzie domyślać się należy potępienia jej form niższych na korzyść bardziej rozwiniętych postaci.

«Przyczyną największych naszych cierpień obecnych jest bezplanowość; co stanowi najpilniejszą potrzebę naszą, co mieć musimy, co dać nam powinien ustrój współdzielczy, co w pewnej mierze dają już nam trusty — to

właśnie planowość, ujęcie działań społeczno-ekonomicznych w pewien system». «Bezplanowość i anarchia jest wielką kłeską, właściwą ustrojowi współzawodniczemu». Mamy tu powiedzieć o «pewnej koncepcyi fałszywej, najgorszej może ze wszystkich — jest ona bowiem nietylko zaślepieniem wobec faktu, ale apoteozowaniem kłamstwa». Mam tu na myśli walkę o byt, którą Herbert Spencer wystawia, jako «najpowszechniejsze, najbardziej kierownicze i najwięcej ogarniające uogólnienie». «Przypuściwszy, iż stosuje się to do zwierząt oraz plemion dzikich, nie uznajemy, iżby stosowała się ona, iżby kiedykolwiek przeznaczonem jej było stosować się do ludzi cywilizowanych: tutaj zastępuje ją właśnie coś wręcz przeciwnego (fakt, wobec którego są oni ślepi): przeznaczeniem naszym jest widocznie zgodna praca wspólna, jako walka przeciwko przyrodzie. Ta walka o byt jest w teoryi tem, czem współubieganie się jest w praktyce; istotnie, wieleby się zyskało na poprawności rozumowania, gdybyśmy mogli zawsze używać tego drugiego wyrazu zamiast pierwszego, albowiem gdy tylko zwolennicy ustroju współdzielczego mówią o usunięciu współzawodnictwa, przeciwnicy ich gotowi są insynuować, że tamci pragną zniszczyć wszelką, jaka tylko jest we współzawodnictwie, emulacyę. Jedynie takie tylko pogmatwanie terminów może wytlómaczyć tę okoliczność, że ekonomiści mówią nam, iż współzawodnictwo jest tem dla życia społecznego, czem siła powszechnego ciężenia — dla mechanizmu niebios. Niech więc raz już zrozumieją, że, pragnąc zniszczyć współzawodnictwo, chcemy jedynie usunąć na zawsze walkę o życie, o byt, gdy tymczasem emulacyę pragniemy podsycać». «Mówimy, że praca, znajdująca się jeszcze w niewoli współzawodnictwa — z powodu, iż nie zdążyła przybrać postaci swej racjonalnej jest czemś tragicznem. Ta teoria walki o byt jest szatańska, antyspołeczną i w najwyższym stopniu

marnotrawną. Jest ona szatańską, a nawet, ani mniej ani więcej, ateuszowską. Raz pozwoliwszy, iżby walka o byt stała się prawem wszechmożnem, nawet wśród ludzkości, będziecie musieli pogodzić się z bezlitością logiką Haeckla, mówiącego, że tylko szkoła idealistyczna, zamykająca oczy na prawdę istotną, może dalej opowiadać nam bajkę o moralnym porządku świata».

Przypominając to, cośmy mówili wyżej o przyrodzonych podstawach moralności, o znaczeniu czynników moralnych w życiu społecznem, zrozumiemy, że samo już potępienie niższych postaci walki o byt li tylko ze stanowiska moralności jest, a przynajmniej może być, zapowiedzią zniknięcia ich z dziedziny tegoż życia: idzie tylko o to, czy potępienie owo wspiera się na podstawach realnych, czy dalsze budzenie się społecznej świadomości, zdola wykazać antagonizm pomiędzy niższemi postaciami walki o byt oraz wymaganiami instynktu zachowawczego. Oto w jakim znaczeniu względy moralne mogą wchodzić do nauk społeczno-ekonomicznych w charakterze danych jak najbardziej istotnych i realnych, z którymi nie rachować się byłoby takim samym błędem naukowym, jak nie liczyć się np. z zasadą rozszerzania się ciała pod wpływem temperatury w badaniach hydrostatyki. Po tej uwadze wróćmy znów do Gronlunda. «Naturalnie, walka o byt jest antyspołeczna. Samo jej określenie mówi nam o posuwaniu się jednego kosztem innych, o spychaniu tych innych z drogi... Jest to ślepa, pełna rozgoryczenia, rozpaczna wojna domowa, bardziej okrutna i żarta, niżli zapasy na barykadach, wojna — w której głód i nędza oblegają domy, w której się walczy o bogactwo, wytworzone wspólnemi siłami. Najgorszem zaś jest to, że niszczy ona moralne bogactwo narodu — prędzej, niż jego bogactwo materyalne: czyni ona ludzi rozgoryczonymi, podejrzliwymi i okrutnymi; zwraca sąsiada przeciwko są-

siadowi. To jedno już wskazuje, że współzawodnictwo jest okropnem marnotrawstwem. Nie wytwarza ono, ani też nie przyczynia się do wytwarzania czegokolwiek bładź». Dość przypomnieć owe rywalizujące ze sobą koleje amerykańskie, z których każda zatrudnia całą armię ludzi pracą niepotrzebną; dość pomyśleć o olbrzymich zasobach różnych wytworów, nie mogących znaleźć zbytu, wskutek nadprodukcji. «Z wielu twierdzeń Spencera można byłoby wnosić, że w miarę postępów ewolucyi więzy pomiędzy jednostką a społeczeństwem słabną», tymczasem «zarówno historia, jak i polityka praktyczna bez ceremonii pomijają protest Spencera i anarchistów». «Wytworzenie społeczeństwa i życia w niem każe domyślać się zaraz współdziałania; to znów domyślać się każe subordynacji elementarnej — czyli że, zarówno tworząc społeczeństwo, jak i działając wspólnie z bliźnimi, jesteśmy posłusznymi. Bez wątpienia, wyraz ten w naszym wieku targa niemile nerwami, ale niema na to rady: tłumacząc uczciwie fakty naszego bytowania, powiedzieć musiny, iż posłuszeństwo jest najistotniejszą podwaliną zarówno społeczności jak i socyologii».

«Ale wszelkie współdziałanie domaga się organu, któryby je reprezentował; bez takiej koncentracji jest ono plonne. Ztąd to niemożliwe jest społeczeństwo bez rządu. Pytanie nie polega tu na tem, czy ma istnieć władza, czy też nie ma istnieć, ale na tem, czy ma ona być tylko cieniem, czy też władzą istotną. Jedyną, ostatecznie, prawdziwą władzą jest porządek świata, porządek powszechny, zaś wszelka władza inna musi się z nim zgadzać».

Rozumowania, przytoczone dawniej, powinny przypomnieć nam tutaj w jakim znaczeniu oraz z jakimi zastrzeżeniami wyrazów tych mamy używać tak, iżby się uwydatniła przed nami cała nieodzowność — posłuszeństwa, iżby «nerwami naszymi ono nie targalo». «Gdyby

zarzut co do złego wpływu usunięcia walki o byt na sprawę rozwoju naszej indywidualności był słuszny, powiada dalej autor, byłby on w moich oczach niepokonanym. O ile bowiem nienawidzę indywidualizmu, o tyle utrzymuję, że indywidualność, tj. suma wszystkich przymiotów, które wyróżniają nas od innych, jest rzeczą najświętszą. Ona to właśnie pozwala nam służyć krajowi i ludzkości, zaś wyplenienie jej byłoby zaiste klęską, większą jeszcze dla społeczeństwa, niż dla nas samych».

Po tem, zarówno naszym własnym, jak i dokonaniem przez Grunlanda teoretycznym obaleniu zasady, upatrującej w niższych postaciach współzawodnictwa podwalinę rozwoju naszej indywidualności — będziemy już mogli rychło przejść do wykazania tego, jak dalece ustroj współzawodniczy, zwany niesłusznie «indywidualistycznym», przyczynia się w praktyce życiowej do spaczenia i skrepowania indywidualności. Ten wpływ złowrogi spostrzedz będziemy mogli we wszelkich a wszelkich sferach, w jakich indywidualność nasza może działać, we wszelkich warunkach, w jakich rozwijać się może. Jako przykład weźmy Amerykę.

Spoglądając na cały obszar stosunków tamecznego życia, spostrzeżemy od razu, że toczyć się ono może li tylko za cenę unicestwienia przerażającej masy indywidualności — na korzyść wątpliwych bardzo zysków indywidualności innych. Aby się o tem przekonać, zapytajmy siebie naprzód: w czym najsilniej, najwyraźniej wypowiada się indywidualność? Sferą taką jest oczywiście sfera naszej twórczości — naszej pracy wytwórczej — pod wszelkimi jej postaciami: twórczości duchowej i fizycznej — twórczości naszej, jako organizmów biologicznych i jako pierwiastków składowych społeczeństwa, a więc: rozmnażanie się, wytwórczość naszych mięśni, praca na-

ukowa, artystyczna i t. d. We wszystkich tych sferach spostrzegamy bądź krepowanie, bądź spaczenie dążeń indywidualnych; ludziom naiwnym, albo świadomie przekraczającym fakty — wolno mówić, że przyczyną takiego stanu rzeczy jest pochłonięcie jednostki przez ogół, przez państwo; co do nas jednak, to powinniśmy rozumieć, że raczej wprost przeciwnie jest to wynik pożerania ogółu przez jednostki nieliczne, jest to skutek przywłaszczenia sobie praw i korzyści ogółu przez owe nieliczne jednostki: nie państwo, jako pewna istność mistyczna, jest tutaj winne, gdyż bez państwa nie możemy sobie życia społecznego wyobrazić, ale uzurpacya i eksploatacya praw i zadań jego przez garstkę przywłaszczycieli.

Jednakże, aby pojąć w jaki sposób odbywa się ta sprawa wywłaszczenia, aby się przygotować należyte do zrozumienia jej przebiegu w rozmaitych dziedzinach życia, musimy raz jeszcze zwrócić się do wywodów teoretycznych. O ile działalność nasza — duchowa lub fizyczna — jest subiektywnym (podmiotowym) wykładnikiem naszej indywidualności, o tyle znów wykładnikiem jej przedmiotowym jest własność — czyli bezpośredni owej działalności wytwór. Własność, w należytem jej rozumieniu, stanowi najcenniejszą, najbardziej niezbędną podstawę społecznego życia: jest ona nieuchronnym warunkiem istnienia społeczeństw oraz najbardziej nieodłącznym i nieodzownym czynnikiem istnienia i działania naszej indywidualności; jest to indywidualności owej rozszerzenie, uzewnętrznienie. To też odjęcie tej części zewnętrznej, przedmiotowej tak samo uboży naszą indywidualność, jak unicestwienie jakiegoś przymiotu wewnętrznego. Żądza własności — duchowej lub materialnej, poczucie duchowego albo materialnego władania, jest najgłębszą naszych działań sprężyną; jeżeli prawdą jest, że zdrowy organizm już w samym działaniu swem znajduje rozkosz, to niemięj też jest oczywiste,

że działanie owo przestałoby dlań być źródłem rozkoszy, gdyby nie było jego działaniem.

Uprzedzić tu potrzeba możliwy zarzut. Przytaczają nam przykład takich jednostek, które cieszą się i doznają żywej rozkoszy na widok działalności innych. Odpowiem na to, że 1-o, uznając własność i żądę posiadania za niezbędne czynniki życia społecznego, nie uznaję ich za czynniki jed y n e; 2-o w jednostce, któraby stale i zawsze cieszyła się widokiem działalności innych, więcej niżli poczuciem własnej, mogłyby się rozwijać wszelkie przymioty oprócz indywidualności.

Ale zarówno pojmowanie, jak i odczuwanie własności zmieniało się z biegiem społecznego rozwoju. Łatwo spostrzeżemy, że podane tu przez nas określenie jej — ani w teorii ekonomicznej, ani w praktyce życia częstokroć uznawanem nie było. W życiu szczególnie widujemy z jednej strony, jak miano własności stosowane bywa do przedmiotów, nietylko nie będących bezpośrednim albo pośrednim owocem wytwórczej działalności samego posiadacza, ale, co większa, do przedmiotów, nie mogących zgoła być pośrednim lub bezpośrednim wytworem czyjejkolwiek bądź działalności. Z drugiej strony znajdujemy często, iż nazwy tej w stosunku do wytwórcy odmawia się owocom jego własnej pracy.

Nasze określenie własności -- bezpośredni owoc (albo jego równoważnik) wytwórczej działalności osobnika — domaga się przeto uzasadnienia. Tak samo jak Marksowskie określenie wartości nie jest wyrazem żadnego z poszczególnych stosunków konkretnych, lecz stanowi tylko abstrakcyjne sformułowanie schematu owych stosunków — sformułowanie, z którego usunięto wszelkie wahania i zboczenia konkretne, tak też i nasze określenie własności, nie odpowiadając bynajmniej rzeczywistym faktom poszczególnym, jest tylko sformulowaniem ogólnego kierunku,

w jakim rozwijają się stosunki własnościowe, dążąc do przejścia w stan równowagi ruchomej, odpowiadającej wymaganiom życia społecznego. Zanim pomówimy o pozornych albo istotnych wyjątkach od tego prawa, musimy postarać się o należyte wykazanie, iż rzeczywiście stanowi ono modłę, podług której kształtują się z biegiem czasu stosunki własnościowe, podług której kształtować się one muszą, jeśli społeczeństwu nie ma grozić zagłada zupełna. Innemi słowy, konieczność ulegania owemu prawu umotywować tu trzeba, wskazując jego związek z jakąś przyrodzoną, podstawową zasadą społecznego bytowania.

## VI.

Określając własność, jako bezpośredni wytwór pracy osobnika albo jej równoważnik, mieliśmy na względzie nie tyle konkretne stosunki ekonomiczne, ile raczej ogólny kierunek, w jakim rozwijać się one muszą, jeśli społeczeństwu nie ma grozić zagłada zupełna. Łatwo zrozumieć — i jest to przez wszystkich już uznaną prawdą — że pracownik otrzymywać powinien taką część wytworu swych trudów, jaka zapewnia mu możliwość powetowania sił, wyłożonych przy produkcyi tegoż wytworu. Następstwem zapoznania podobnych wymagań byłoby stopniowe wyczerpanie się wytwórczej siły społeczeństwa. Jeżeli jednak zgodzimy się na to, że wegetacya, że samo trwanie w warunkach niezmiennych nie jest ani ostatecznym, ani pożądanym celem istnienia społeczeństw, jeżeli rozwój ich uznamy za cel nie mniej doniosły i, co główniejsza, za wyraz takiegoż prawa przyrody, jak i samo trwanie, zaś dążność rozwojową za objaw takiegoż zachowawczego instynktu, jak i dążność odżywczą, to będziemy zniewoleni

przyjść do wniosku, że z ogólnej sumy wytworów osobnika własność jego stanowić musi nie tylko ta ich część, która służy do wetowania poniesionych wysiłków, ale i ta również, która niezbędną jest do zapewnienia osobnikowi możliwej w danym stanie społecznienia skali rozwojowej. Jedynym «potrąceniem» z owej ogólnej sumy wytworów może być to, jakiego wymaga od osobników dobro ogółu. Gdy przypomnimy sobie, jak dalece sama możliwość pracy wytwórczej zależną jest od nagromadzonych, tak w czasie jak i w przestrzeni, wysiłków tegoż ogółu, jak potężnym sprzymierzeńcem jednostki w sprawie wytwarzania jest właśnie ów ogół, to znajdziemy, że wszelka na jego korzyść danina byłaby drobnym tylko procentem od olbrzymiego kapitału dorobków cywilizacji, z jakich korzysta osobnik.

Natomiast, mniej zrozumiałą, i mniej dla wielu oczywistą jest ta prawda, że własność nie powinna też być większą nad sumę bezpośrednich wytworów pracy (albo też nad sumę jej równoważników). Prawda ta jednak jest tylko odwrotną stroną twierdzenia, wygłoszonego wyżej: skoro cały wytwór (po odtrąceniu daniny na rzecz ogółu) stanowić ma własność jednostki, tedy oczywiście jest, że wszelkie powiększenie własności danego osobnika ponad skalę jego pracy wytwórczej może odbywać się jedynie kosztem osobników innych. Wśród publiczności, a nawet wśród wielu ekonomistów istnieje głęboko zakorzeniony przesąd, że takie nadmierne powiększenie skali własności jednostek niektórych niezbędne jest do tego, aby społeczność zdobywać sobie mogła dobra cywilizacji. Nie pojmuję się tutaj tej prawdy, że nie owa nadmierna własność, ale możliwość zdobywania dóbr cywilizacji jest dla społeczeństwa niezbędna; możliwość zaś taka w pewnych tylko warunkach nienormalnych pozostawać musi w ścisłym związku z nadmierną skalą posiadania jednostkowego; w pewnych warunkach innych, w warunkach dla

życia społecznego jedynie normalnych, dostarczanie możności owej, będące jak najzupełniej funkcją ogółu, będące wykładnikiem jego uspołecznienia, musi też pozostawać w najściślejszym związku z własnością ogółu nie zaś jednostek. Obok bezpośrednich wytworów pracy, mających stanowić własność osobnika, istnieją nadto jej narzędzia i warsztaty: niezbędność należytego regulowania procesów wytwórczych, przekraczająca zupełnie sferę działań jednostki, drogą naturalną prowadzi nas do wniosku, iż stanowić one muszą również własność ogółu. Twierdzenie to zbyt często było już bronione, zbyt wielu dzisiaj znajduje szermierzy w gronie ekonomistów, abyśmy mieli tu powtarzać dowody, na jego korzyść przytaczane. Dla konsekwencyi zaznaczymy więc tylko, że pominięcie tych wymagań ekonomii politycznej — przy istotnem rozumieniu złych następstw podobnego kroku — spotkałoby się tak samo z silnym protestem naszego instynktu zachowawczego, jak np. chęć pozbawienia jednostki wytworów jej pracy.

Zarzucić tu nam mogą, że oprócz narzędzi i warsztatów pracy, nie podpadających kontroli osobnika, oraz oprócz bezpośrednich wytworów jego pracy, podlegających już jego kontroli, własność jego stanowić mogą nadto wytwory pracy innych — darowane mu lub przekazane. Ale przyrost taki, nie zawierający w sobie możliwości nieograniczonego gromadzenia bogactw, pożądany będzie dla jednostki o tyle tylko, o ile nie przekroczy sfery materialnego jej albo duchowego spożycia, (którą zapelniać może własna jej wytwórczość); poza tem byłby on dla niej tylko brzemieniem. Świadomość tej prawdy z biegiem czasu musiałaby naprzód doprowadzić do minimum darowania i przekazywania jednostkom wytworów pracy, następnie zaś musiałaby skierować dobre chęci ofiarodawców i testatorów wyłącznie prawie ku pożytkowi ogółu.

Upewniwszy się tedy, że zarówno własność ogółu jak

i własność jednostek stanowi, we właściwym sobie zakresie działań, jak najniezbędniejszą podwalinę społecznego życia, przypominając raz jeszcze, że w odniesieniu do jednostki własność jest tylko rozszerzeniem, uzewnętrznieniem jej indywidualności, zapytajmy się teraz, w jaki sposób wpływa na stosunki własnościowe t. zw. ustrój indywidualistyczny, oparty na zasadzie wolnego, nie ograniczonego niczem współzawodnictwa jednostek.

Zwracając się znowu do Ameryki, spostrzeżemy łatwo, iż życie jej społeczne toczyć się może jedynie kosztem ustawicznego a odbywającego się na olbrzymią skalę wywłaszczenia jednych jednostek przez drugie. Naprzód, mamy tutaj wywłaszczanie pośrednie, będące wynikiem przekroczenia przez jednostkę sfery właściwego jej posiadania, a tem samem będące wynikiem niemożności planowego kierownictwa wysiłków wytwórczych. Oto, olbrzymie masy mniej i średnio-zamożnych ulegają przemownemu a zgubnemu dla nich wpływowi konkurencyi z jednostkami bardziej zamożnymi: jest to znany proces kapitalizacji, proces coraz większego skupiania się kapitałów w coraz «mniejszej rąk liczbie»; pod wpływem tej samej przyczyny, to jest braku planowości, ukazują się już nie tak powszechne, niemniej jednak przytrafiające się dość często, wypadki wywłaszczania jednostek najbardziej nawet zamożnych (bankructwo) przez inne, nie mniej bogate.

Godnym uwagi jest fakt zrzeszania się posiadaczy drobniejszych lub nawet posiadaczy największych, fakt tworzenia się stowarzyszeń, syndykatów, trustów i t. p. mających zapobiegać zgubnym skutkom bezplanowości i nieograniczonego współzawodnictwa. Fakt ten świadczy, że przedstawiciele ustroju indywidualistycznego znajdują osłonę praw swoich indywidualnych o tyle właśnie, o ile zrzekają się indywidualistycznych uroszczeń w sferze, przekracza-

jącej możność kontroli jednostkowej — w sferze władania narzędziami i warsztatami produkcji. Każdy ze stowarzyszonych posiada tu nieograniczone niemal prawo użytkowania z tego, co słusznie lub niesłusznie uważa za wytwór swojej pracy; natomiast prawo rozporządzania warszatem tej pracy — fabryką, domem, ziemią — nie przysługuje mu bynajmniej; pozostaje to całkowicie w rękach czynnego reprezentanta spółki a pod kontrolą zbiorową. Z liczby 80 wielkich gorzelni Stanów tylko połowie pozwolił funkcjonować trust gorzelniany; druga połowa jest nieczynna, właściciele zaś ich otrzymują li tylko przypadającą na nich część zysków z ogólnego przedsiębiorstwa.

Z drugiej strony, mamy tam na olbrzymią rozwinięte skalę wywłaszczenie bezpośrednie t. j. odbieranie jednostkom najbiedniejszym części wytworów ich pracy (tak zwana nadwartość) na korzyść jednostek innych. Proces ten jest właśnie najgłówniejszą sprężyną porządku indywidualistycznego, wspierającego się na nieograniczonym współzawodnictwie jednostek. Tak samo, jak jednostki wywłaszczane pośrednio znajdowały ucieczkę w syndykatach, trustach i t. p., wogóle — w zrzeczeniu się przez jednostkę praw, które nie mogą nie przekraczać sfery jej działania, tak też i tutaj osobniki, wywłaszczane bezpośrednio, poczynają znajdować ocalenie, tworząc grupy nazw rozmaitych, odbierające jednostce prawo rządzenia się, nie uwzględniającego należycie praw jednostek innych.

Aby uzasadnić jeszcze lepiej nasze określenie własności, jako sumy wytworów pracy jednostek, określenie, będące wyrazem ogólnego kierunku, w jakim podążać musi rozwój stosunków ekonomicznych, zrobimy tu pewną uwagę nawiasową: kiedy, zamiast współzawodnictwa luźnych jednostek, ukazuje się współzawodnictwo grup jednostek, wywłaszczanych pośrednio (pracodawców z grupami jednostek bezpośrednio wywłaszczanych pracowników) —

wówczas coraz wyraźniej zarysowuje się przed nami proces, mocą którego: z jednej strony jednostki bezpośrednio wywłaszczane zatrzymują coraz większą część owoców swojej pracy, zaś jednostki wywłaszczane pośrednio mogą zatrzymywać coraz mniejszą część wytworów, nie będących plodem ich pracy własnej. W ten sposób, stosunki własnościowe dążą stale do przybrania takiego kształtu, kiedy własność każdej jednostki przedstawiać się będzie jako suma owoców jej własnej działalności wytwórczej.

Tak więc, powziąwszy zamiar przekonania się, o ile ustroj «indywidualistyczny» sprzyja lub przeszkadza rozwojowi naszej indywidualności, a zwracając uwagę naszą najpierw na stosunki własnościowe, jako na zewnętrzny, przedmiotowy wyraz owej indywidualności, znaleźliśmy, że z tej strony indywidualność nasza jak najmniej oczekiwać może od nieograniczonego współzawodnictwa jednostek, że, przeciwnie, skutkiem owego współzawodnictwa jest ciągle i w olbrzymich granicach odbywające się wywłaszczanie — tak pośrednie jak i bezpośrednio. Znaleźliśmy dalej, że wywłaszczanie to jest następstwem przekroczenia przez jednostkę właściwej skali posiadania, oraz, co z tego wynika, następstwem niemożliwości ustanowienia porządku i planu w zakresie wytwarzania i podziału bogactw. Nakoniec, znaleźliśmy, że jednostki, żyjące w ustroju «indywidualistycznym», o tyle tylko znajdują osłonę praw swoich indywidualnych, o ile, zrzekając się indywidualistycznych uroszczeń w sferze niedostępnej dla kontroli jednostkowej, powierzają kontrolę ową przedstawicielom grup współdzielczych.

Skoro własność, będącą podstawowym czynnikiem życia społecznego, uznaliśmy tutaj za przedmiotową, zewnętrzną część naszej indywidualności, tedy zawczasu już powiedzieć możemy, iż system współzawodniczy musi tem

samem ubożyć i paczyć indywidualność naszą w innych, bardziej podmiotowych dziedzinach jej rozwoju. Przewidywanie to nasze apriorystyczne stanie się jeszcze bardziej uzasadnionem, gdy przypomnimy sobie, że w takim okresie dziejów, kiedy jednostka, przekraczając sferę działalności sobie właściwej, bierze na siebie funkcję ogółu, że w okresie takim zależność indywidualności jej od stosunków władania osobistego musi być znacznie większa, niż wtedy, gdy szkodę, zrządzoną przypadkowo przez wydarzenie zbyt wielkiej części własności, wynagradza jej ogół, otaczając ją ową atmosferą kultury i dóbr cywilizacyjnych, jaką w ustroju współzawodniczym otoczyć się można li tylko przy pomocy własności indywidualnej, przekraczającej znacznie granice indywidualnego wytwarzania.

Jakoż tak jest istotnie. Oceniając wytwórczość naszą, jako jednostek biologicznych, jako fizycznych machin produkcji materialnej, jako narzędzi umysłowej twórczości, a w końcu, jako istot moralnych, spostrzeżemy zawsze i wszędzie, że we wszystkich tych dziedzinach wytwarzania indywidualność nasza albo karleje i znika, albo też rozwija się w kierunku bynajmniej nie pożądanym.

Najpierwej przyjrzymy się wpływowi współzawodnictwa na naszą wytwórczość biologiczną t. j. na rozrodczość gatunku ludzkiego i na rozwój związanych z nią instynktów oraz urządzeń.

## VII.

Mamy teraz zobaczyć, w jaki sposób współzawodnictwo wpływa na biologiczną stronę naszej indywidualności, na indywidualność naszą, jako jednostek biologicznych oraz przedstawicieli danego gatunku. W rozbiorze tym najpierwej zwrócimy uwagę na przeobrażenia, jakim ulega pod wpływem współzawodnictwa nasza zdolność rozrodcza; to

zaś drogą naturalną doprowadzi nas do przeobrażeń pewnej instytucji, będącej społecznem owego rozradzania się podzielnikiem — instytucji rodziny.

Działanie doboru płciowego, albo tego, co w odniesieniu do ludzi nazwałbym doborem małżeńskim, bywa tem korzystniejsze dla danego gatunku, im mniej podlega wpływom postronnym, im rozwijać się może swobodniej. Skrepowanie takiego doboru względami, nie mającymi nic wspólnego z przyrodzonym ciężeniem ku sobie dwu organizmów różnopłciowych, łatwo spowodować może ich «nie-dobranie się» t. j. zespolenie takich ustrojów, z których żaden nie podsyca i nie zaspakaja odnośnych instynktów drugiego. Potomstwo, z takiego związku zrodzone, będzie się zazwyczaj odznaczało mniejszą energią życiową, mniejszą odpornością na wpływy nieprzyjemne, niż potomkowie rodziców, skojarzonych normalnie. Otóż, trudne warunki istnienia w atmosferze nieograniczonego współzawodnictwa, związanie dobrobytu jednostki nie tyle z wartością jej społeczną lub pracą, ile z jednostkowym jej posiadaniem, będącym częstokroć rzeczą przypadku, sprawia, że w doborze małżeńskim czynnikiem orzekającym bywają, tak z jednej jak z drugiej strony, względy majątkowe. W odniesieniu do kobiet z pośród tak zwanej inteligencji — jest to regułą, nie podlegającą prawie wyjątkom; odsunięcie kobiet tej sfery od bezpośredniego uczestniczenia w trudach i dorobkach cywilizacji nakazuje im szukać uczestnictwa pośredniego, jakie znaleźć mogą najczęściej, oddając się w opiekę mężowi. Z drugiej strony, kobiety zamożne same niejednokrotnie odgrywają rolę takich pośredników, dostarczających danemu mężczyźnie owych dóbr materialnych, które w zwykłym biegu rzeczy powinien on byłby zdobywać pracą własną.

Oprócz takiego skrepowania doboru małżeńskiego spostrzegamy jeszcze inne. Niezmierne nateżenie toczącej się

wszędzie jednostkowej walki o byt zmusza wiele jednostek męzkich do poświęcenia całego prawie czasu sprawie zdobycia chleba albo karyery. Utrudnia to znakomicie, czasem zaś uniemożliwia gruntowne poznanie i wybór żony, utrudnia tem bardziej, że w owej sferze kobiety dość rzadko bywają współpracowniczkami mężczyzn, a przez to obcowanie płci obu może być tylko dorywcze i powierzchowne. Nakoniec, niektórych mężczyzn ta okoliczność odstręcza raz na zawsze od szukania związków, złączonych z tyloma ciężarami, obiecujących im tak mało pożytku i grożących osamotnionym ich żonom tyloma pokusami. Wykwitem takiego pochłonięcia pracy jednostkowej jest właśnie ów ultra-kapitalistyczny sposób poznawania się i żenienia «przez gazety» — sposób, znajdujący już nawet u nas nietylko przymusowych zwolenników, lecz i obrońców.

Ale nie lepiej się też dzieje w takich wypadkach, kiedy kobieta, zamiast pośrednio korzystać z dóbr cywilizacyi, korzysta z nich bezpośrednio — za cenę pracy własnej. Szanse poznania się i zbliżenia płci obu są już tutaj większe, ale możliwość strzeżenia nowo-założonej rodziny znika prawie zupełnie. Społeczeństwo, wzięwszy już na siebie funkcye bezpośredniego żywiciela kobiety (zamiast żywienia jej za pośrednictwem męża), nie zdążyło jeszcze przeobrazić odpowiednio do tego swoich urządzeń, nie zdążyło zapanować nad skutkami takiego bezpośredniego uczestnictwa kobiet — mianowicie nie zdołało jeszcze wziąć na siebie ich funkcyj wychowawczych. Nie potrzebujemy dodawać, że owa nadmierna praca rodziców, krępując naprzód ich indywidualność biologiczną w zakresie rozmnażania się i przyczyniając się później do pośredniego osłabienia ich potomstwa — wskutek braku dozoru z ich strony — nadto przyczynia się do tego bezpośrednio przez osłabienie organizmu samych życiodawców.

Ostatnia uwaga przenosi myśl naszą do sfery pracowników fizycznych, gdzie skrepowanie indywidualności, a raczej uszczuplenie jej w zakresie rozradzania się działa daleko groźniej. Przedewszystkiem faktyczne, jeżeli nie prawne, zburzenie dawnej postaci rodziny jest tutaj prawie zupełne. W niektórych miejscowościach Anglii o przemyśle kapitalistycznym, silnie rozwiniętym, wzajemne współzawodnictwo fabrykantów, żądza znalezienia robotnika jak najtańszego — tak dalece odciągnęły kobietę i dziecko od domowego ogniska, że role małżonków w domu prawie się zastąpiły wzajem: mężowie gotują obiad, doglądają gospodarstwa, niańczą dzieci młodsze, zaś kobiety i starsze dzieci pracują w fabrykach. W miejscowościach jeszcze bardziej licznych zburzenie rodziny dosięgło takiego tylko stopnia, że wskutek nieobecności w domu obojga rodziców i wskutek niezapanowania przez społeczeństwo nad wynikami takiej «emancypacji» kobiet — dozór nad dziećmi, a tem samem fizyczne bezpieczeństwo ich i rozwój ich ciała w oplakanyam pozostają stanie.

Oprócz takiego pośredniego marnowania owoców biologicznej twórczości jednostek, ustrój współzawodniczy trwoni je w pewien inny sposób pośredni, oraz w pewien sposób bardziej bezpośredni: oto nadmierna praca organizmu życiodawców sprowadza tutaj, tak samo jak w sferze inteligencyi, skarłowacenie i zwyrodnienie stopniowe potomstwa; do takich samych też wyników prowadzi bezpośrednio praca i systematyczne głodzenie się samych dzieci. A. R. Wallace w niedawno wydanej pracy swojej o działaniu doboru płciowego w warunkach nieograniczonej konkurencyi wykazał, iż dziesięcioletnie np. dzieci pracowników miejskich pod względem wagi ciała i cielesnego rozwoju odpowiadają dziewięcioletnim dzieciom wiejskiej ludności. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że zaznaczone wyżej warunki nie wywierają wpływu na fizyczny

rozwój nietylko wiejskiej warstwy robotniczej, oraz jej potomstwa, ale też na rozwój drobnych posiadaczy rolnych, kupców drobnych, rzemieślników, a tem samem też na ich dzieci: natężenie współzawodnictwa jest już tak wielkie, że nietylko proletaryusz bezrolny i bezdomny, ale i posiadacze mniejszych warsztatów produkcji pracować muszą nadmiernie.

Ale na skrępowanie naszego rozwoju cielesnego, a tem samem na spętanie albo spaczenie biologicznej indywidualności tak w nas samych, jak i w potomkach naszych, ustrój współzawodniczy wpływa innymi jeszcze sposobami: jedne z nich są bezpośrednim skutkiem działania wolnej konkurencji, drugie stanowią objaw dodatniego nawet postępu ludzkości, do którego wymagań jednak współzawodnictwo nie pozwala się jej przystosować. W liczbie pierwszych spostrzegamy niehygieniczność warunków pracy. Wszyscy wiemy o szczególnie zabójczym wpływie zajęć niektórych, o t. zw. chorobach zawodowych. Fabrykacya wielu przedmiotów nietylko zbytku, ale i codziennej potrzeby zmusza pracowników do poddania się zgubnym oddziaływaniom pewnych substancji trujących; wyrabianie produktów, w skład których wchodzi: rtęć, siarka, fosfor, produkcyja farb anilinowych, praca w kopalniach — są to znane wszystkim przykłady zajęć, szkodzących zdrowiu. Natomiast zapomina się zazwyczaj, że tak w wypadkach powyższych, jak i we wszystkich innych zawodach, podkopujących zdrowie robotnika, istotną przyczyną złego jest system nieograniczonej niczem, wolnej konkurencji. Wprowadzenie wszelkich możliwych środków ostrożności i asenizacyi, zredukowanie do minimum liczby godzin pracy w takich zawodach, gdzie nauka dzisiejsza nie zdołałaby szkodliwych wpływów zubożętnić całkowicie — są to reformy jak najzupełniej niemożliwe dla przedsiębiorców, zmuszonych walczyć o byt własny ze współza-

wodnikami, walczyć bodajby kosztem zdrowia i życia swych bliźnich. Uwzględnienie wszystkich wymagań higieny w fabrykach i warsztatach, a więc też znakomite ograniczenie czasu zajęć zwykłych, oraz możliwe zredukowanie czasu szkodliwych zajęć byłoby pozbawiło kapitalistę wszelkich prawie zysków z przedsiębiorstwa. Dokonać reformy takiej mógłby ten tylko, dla kogo «wartość dodatkowa» nie byłaby bodźcem w działalności wytwórczej.

Do rzędu czynników drugiej kategorii, czynników, będących objawem społecznego i technicznego postępu, lecz, pomimo to, rujnujących zdrowie i życie jednostek dzięki zasadzie współzawodnictwa, zaliczyć potrzeba specjalizację pracy. Obecny system wytwarzania doprowadził ją do ostatnich krańców możliwości. Specjalizacja zajęć jest nieuniknionym współobjawem wszelkich skoordynowanych działań zbiorowych, ale współzawodnictwo nie pozwala nam wyciągnąć z niej wszelkich możliwych korzyści. Zanim będziemy mówili o intelektualnym wpływie dzisiejszej specjalizacji, zaznaczmy tutaj, że w obecnych swoich granicach działania wpływa ona ujemnie na organizację cielesną jednostek, wywołując w niej przystosowanie jednostronne, a więc, tem samem, ubożąc naszą indywidualność cielesną. Nieodzowna potrzeba pochłonięcia całego wolnego czasu pracowników nie pozwala przedsiębiorcy pozostawić im możliwości ćwiczenia innych narządów ciała nad te, jakie w danej produkcji czynnymi być mają; przeniesienie pracy ludzkiej na rynek — na równi z towarami innymi — nadprodukcya tego towaru, a ztąd łatwość zastąpienia zużytych machin ludzkich przez inne — zubożniają zupełnie przedsiębiorców na sprawę wszechstronnego cielesnego rozwoju pracownika. Zaradzić złemu mógłby taki tylko przedsiębiorca, dla którego wszechstronny rozwój pracowników byłby celem nie mniej doniosłym,

niż należyte wyćwiczenie ich w specjalności danej; przedsiębiorcą takim może być oczywiście li tylko sama społeczność pracownicza.

Tak samo, jak w zakresie posiadania, będącego przedmiotowym indywidualności naszej wyrazem, współzawodnictwo nie tylko krępowało tę naszą indywidualność przez wyłączenie jednostek, ale nadto paczyło ją, nadając własności postać albo rozmiary niewłaściwe, tak też i tutaj, w sferze cielesnych przymiotów osobnika i jego potomstwa, współzawodnictwo nie tylko uboży tę podmiotową stronę naszej indywidualności, ale nadto sprzyja czasem rozwojowi jej nienormalnemu.

Podczas kiedy z ogólnej masy społeczeństwa niezmiernie trudne warunki egzystencji raz po raz eliminują słabsze pod względem fizycznym jednostki, nawet z pominięciem ewentualnej ich wartości duchowej, a tem samem ze szkodą dla ogółu, to znowu w wypadkach mniej licznych ślepa, niekierowana niczem walka o byt pozwala utrzymywać się przy życiu i rozmnażać jednostkom nie tylko słabym fizycznie, ale upośledzonym umysłowo albo moralnie. Dalej, nieograniczone współzawodnictwo jednostek, krępując, jakieśmy widzieli, naturalne a pożądane działanie doboru małżeńskiego i o tyle też krępując indywidualność jednostek, z drugiej strony doborowi owemu wyznacza kierunek albo zakres jak najbardziej dla społeczeństwa niepożądany. Zarówno krańcowe ograniczenie indywidualności jednych osobników w sferze ich posiadania, jak i niewłaściwe tejsze sfery rozszerzenie na korzyść osobników innych sprawia, że tak jedni, jak i drudzy znajdują zaspokojenie swoich instynktów rozrodczych w instytucjach, nie mających nic wspólnego ani z dobrem ogółu, ani z normalnym rozwojem indywidualności jednostek. Dla jednych bowiem założenie i utrzymanie rodziny w warunkach danych staje się przedsięwzięciem nie do wykonania, albo

też przedstawia się jako skojarzenie wielkiej liczby obowiązków i małej ilości uciech. Dla drugich, którym ślepy traf pozwala posługiwać się siłą kupczą, o wiele przewyższającą ich moralną wartość, rodzina jest znowu przedsięwzięciem zbyt skromnym, zbyt mało dającym rozkoszy. Jedni więc i drudzy szukają zaspokojenia odnośnych instynktów w takich stosunkach, które, sprowadzając do minimum brzemień obowiązków rodzinnych, potęgują natomiast lub przynajmniej symulują najlepiej rozkosze rodzinnego życia. Pomijając nateraz moralne skutki takiego stanu rzeczy, zaznaczamy tylko, że na biologiczną stronę rozwoju naszej indywidualności, jako przedstawicieli gatunku, wywiera on wpływ niepożądany.

Tak więc, roztrząsając znaczenie współzawodnictwa dla rozwoju naszej indywidualności cielesnej — zarówno w zakresie sił i uzdolnień fizycznych, jako też w sferze rozrodczych zdolności naszego ustroju oraz związanych z nimi urządzeń, znaleźliśmy, że wpływa ono ujemnie — już to uszczuplając i ubożąc indywidualność naszą, już nadając rozwojowi jej kierunek fałszywy.

Jakkolwiek brak przykładów konkretnych nie pozwolił nam tutaj wykazać, (jakośmy to uczynili, mówiąc o stosunkach własnościowych), że współdziałanie musiałoby również zapobiedz i tym ujemnym wpływom współzawodnictwa, to jednak napomknienia apriorystyczne powinny były przekonać nas o tem; dopóki inne jakieś, nieznane nam fakty nie obalą naszego wywodu, że pogodzenie interesów materialnych pracownika z moralnymi oraz cielesnymi i umysłowymi jego potrzebami stanowczo zaradzi zlemu, dopóty wywód ten uważać musimy za prawomocny; dopóki zaś nic nie staje na przeszkodzie wniosкови, że pogodzenie takie może być li tylko następstwem wcielenia zasady współdziałania, jedynie umożliwiającej plano-

wość gospodarki społecznej, dopóty wnioszek ten uznawać musimy za uzasadniony.

Zanim przejdziemy do roztrząsania wpływów współzawodnictwa na rozwój moralnej i umysłowej strony naszej indywidualności, zaznaczmy tutaj, co zresztą wypadnie nam powtarzać niejednokrotnie, iż tak w przytoczonych wyżej, jak i we wszystkich innych wypadkach, «wolne współzawodnictwo» jak najzupełniej zawodzi oczekiwania tych, którzy spodziewali się, że raczej wszechstronny rozwój indywidualności musi być następstwem tej «wolnej gry sił przyrodzonych». Zawód ten jednak nie może spotkać takich, co rozumieją, że powstrzymanie walki o byt na stopniu niższym, pomimo wyższego już rozwinięcia się form życia społecznego, nie jest to ani «wolna», ani «przyrodzona» gra sił natury, ale raczej jest jak najbardziej krępującem i sztucznem skojarzeniem nieprzystosowanych do siebie czynników.

## VIII.

Specjalizacja zajęć jest taką zdobyczą technicznego i społecznego postępu, której dodatnich stron współzawodnictwo nie pozwala nam wyzyskać, potęgując natomiast jej strony ujemne. Niepodobna byłoby wyliczyć, bodaj w przybliżeniu, wszystkich strat, jakie umysłowość ludzka ponosi skutkiem owej niczem nie skrepowanej konkurencji; zarówno w zakresie samodzielnej intelektualnej twórczości jednostek, jak w przyswajaniu owoców twórczości cudzej, a tem samem w upowszechnianiu się nabytków wiedzy — zawsze i wszędzie spostrzegamy ten wpływ złowrogi.

Łatwo zrozumiemy, jak źle oddziaływać musi na inteligencję wszelkie przeciążenie pracą — bądź fizyczną, bądź umysłową. Pedagogia dzisiejsza o tyle przekonała już

nas o zgubnych jego skutkach, że rozwozić się nad tą sprawą nie potrzebujemy. Ale o czym nie wszyscy pamiętają, to naprzód o tem, że przestrogi wychowawców-hygienistów stosują się nietylko do szkół i zakładów naukowych, lecz wogóle do wszelkich ognisk pracy, powtóre zaś o tem, że, jeśli przeciążenie wogólności jest szkodliwe, to tem szkodliwsze jest przeciążenie wyspecjalizowane, t. j. nadmierne a ciągle posługiwanie się jedną jakąś kategorią zdolności, albo, jakby powiedział fizyolog, jedną jakąś grupą mięśni oraz włókien i ośrodków nerwowych; przyprowadzenie umysłowości do stanu zupełnego prawie idiotyzmu jest w takich razach nieuniknionem następstwem nadużywania sił organicznych. Narówni z zasadą umiarkowanego ćwiczenia naszych władz umysłowych pedagogia dzisiejsza stawia też zasadę «umysłowego plodozmianu» t. j. potrzebę różnorodności zajęć i ćwiczeń. Wiemy jednak, że wykonywaniu wszystkich tych przepisów wychowawczych jak najusilniej sprzeciwia się współzawodnictwo.

Zredukowanie działalności pracowników fizycznych do postaci możliwie najprostszej, wprawienie ich w stan możliwego automatyzmu jest dziś zarówno celem jak i skutkiem technicznych i społecznych warunków wytwarzania; zaś przedłużenie owej oglupiającej swą jednostajnością i jednostronnością roboty po przez wszystkie godziny świadomej egzystencji pracownika jest nieuniknionem następstwem zażartej walki, jaką toczyć muszą współzawodnicypracodawcy ze sobą, zaś współzawodnicypracownicy w swojej sferze. Na tę ostatnią postać zapasów konkurencyjnych pragnąłbym mimochodem zwrócić uwagę czytelnika, gdyż przy ocenie skutków ustroju współzawodniczego szczególnie bywamy skłonni do pomijania zgubnych następstw współzawodnictwa samych warstw pracujących.

Ktokolwiek choć trochę obeznany jest z historią myśli

ludzkiej, z historią nauki, ten musiał spostrzedz, jak dalece, nawet w sferach jej najbardziej oderwanych od postępów i stanu konkretnych warunków życia, nawet w zakresie np. badań matematycznych każdy krok nowy danego myśliciela zależny był od działalności jego duchowych przodków oraz od otaczającej go atmosfery kulturalnej. Czytając prace poprzedników takiego nawet Newtona albo Darwina, widzimy, iż świetne teorie powszechnego ciężenia czy też naturalnego doboru były tylko ostatniem słowem kształtującego się przez kilkanaście wieków światopoglądu, były krokiem ostatnim na drodze, po której od czasów niepamiętnych zdążyły już całe zastępy badaczy. Z drugiej strony spostrzegamy, że wielkość pożytku, jaki teorie owe ludziom przyniosły, że szybkość krzewienia się ich — zależne były od lepszego albo gorszego przewodnictwa środowiska, od zakresu i stopnia oświetlenia oraz ogrzania atmosfery, w której przebiegać miały prądy genialnych idei. Ci, którzy — nie bez słuszności — podziwiają chyżość dzisiejszego postępu nauk i wynalazków, nie zawsze chcą pamiętać, że najglówniejszą owej chyżości przyczyną jest właśnie znakomite rozszerzenie sfery, w jakiej promieniować już może twórcza myśl ludzka; ale nawet tacy, którym przyczyna szybszego naszego postępu nie jest obca, nie łączą wyobrażają sobie, czem istotnie byłby ów postęp, jak szerokiem morzem rozlewałyby się fale światła po świecie, gdyby wszyscy ludzie biernie lub czynnie uczestniczyć mogli w ich przesyłaniu, gdyby sfera promieniowania myśli, nie ograniczając się już li tylko garstką wybranych, ogarnęła sobą masy najszersze. Widzieliśmy jednak, że, obok bezpośredniego ogłupiania ludzi przez posunięcie do absurdu zasady specjalizacji, oraz obok takiegoż ogłupiania przez zbyteczne przedłużenie owych zajęć wyspecylizowanych, współzawodnictwo ogłu-

pia ich pośrednio, pozbawiając możności nabywania wiedzy szerszej.

Znane powszechnie spencerowskie przyrównanie społeczeństwa do organizmu, tak zwolennikom ustroju współzawodniczego, jak i jego przeciwnikom, wydaje się czemś bardzo groźnem: pierwsi widzą w niem niepokonany oręż, drudzy — zamach skrytobójczy na wszelkie zamiary wszechświatowego rozkrzewienia i uprzystępnienia wiedzy. Przypominając sobie, że w organizmie zwierzęcym tylko układ nerwowy bierze bezpośredni udział w sprawie umysłowej działalności, natomiast wszystkie układy inne, np. trawienia, oddychania i t. d. biorą w niej udział tylko pośredni, bezpośrednio zaś wykonywają czynności życia roślinnego, stronnicy *laissez-faire*'yzmu oznajmniają, że, tem samem, w ustroju społecznym bezpośrednia wytwórczość umysłowa musi być również funkcją pewnego tylko narządu, podczas gdy narządy inne, przyczyniając się do niej pośrednio, bezpośrednio sprawować mają roślinne funkcje życia społeczeństw. Przeciwnicy teorii «społecznego organizmu», uważając wniosek powyższy za nieodpartą wobec przesłanki, przyrównywającej społeczność do ustroju biologicznego, odrzucają bez namysłu przesłankę. Sądziłbym, że obie strony są w błędzie. Nieprawowitym w rozumowaniu Spencera wywodem nie jest bynajmniej zaznaczenie podobieństw pomiędzy społecznością a organizmem, lecz przeoczenie pewnych różnic, jakie pomiędzy nimi istnieją<sup>1)</sup>.

Zasadniczą cechą jednostek, umożliwiającą powstawanie, istnienie i rozwój społeczeństwa, nie są ich własności biologiczne ale psychiczne. Jako organizm biologiczny, jednostka istnieje poza społeczeństwem. Z drugiej strony, skupienie biologicznych ustrojów, nie posiadających

---

<sup>1)</sup> Obszerniej nad różnicami temi zastanawiamy się poniżej w szkicu *Społeczeństwo jako organizm*.

ani jednej cechy psychicznej, niezbędnej do życia społecznego, nie stanowi bynajmniej społeczeństwa. Ztąd też, nasze przymioty duchowe — w odniesieniu do ustroju społecznego — nie są bynajmniej tem, czem okazują się być w stosunku do biologicznego ustroju: nie są one ostatecznym wykwitem społecznego rozwoju, ale jego warunkiem wstępnym, zasadniczym; nie stanowią własności niektórych, odpowiednio wyspecjalizowanych pierwiastków składowych, ale wszystkich pierwiastków. Zestawiając przeto ustrój nadorganiczny (społeczny) z organicznym ustrojem, znaczenie duchowych sił jednostek porównywać należy nie ze znaczeniem psychicznych własności układu nerwowego, lecz ze znaczeniem innej cechy tego organizmu, cechy bardziej (dla niego) zasadniczej, wspólnej wszystkim jego, nie zaś tylko niektórym, składowym pierwiastkom. Cechą taką jest metabolizm biologiczny czyli poprostu zdolność przemiany materyi, a dalej odżywiania się. Utrzymywać, że w społeczeństwie procesy duchowe bezpośrednio rozwijać się mają szczególnie w pewnej ograniczonej grupie jednostek, nie jest bynajmniej analogią twierdzenia, iż w organizmie biologicznym także procesy rozwijać się bezpośrednio mają tylko w pewnej ograniczonej grupie składników: pogładowi pierwszemu, pod względem jego niedorzeczności, odpowiadałoby raczej twierdzenie inne — że w organizmie biologicznym procesy jakież zasadnicze, np. procesy przemiany materyi odbywać się mają tylko w pewnej ograniczonej grupie składników. Żądać np. od warstwy pracowników fizycznych, aby wyrzekli się rozwoju duchowego i spraw myślenia na rzecz wybranej garści umysłowych pracowników, nie jest bynajmniej tem samem, co żądać od komórek wątroby, aby się zrzekły procesów myślenia na rzecz komórek mózgu: żądaniu pierwszemu pod względem jego niedorzeczności odpowiadałoby raczej inne — aby komórki wątroby, wyra-

biając zółc, zrzekły się jednak procesów metabolicznych (przemiany materji) na rzecz komórek mózgu.

Uprzedzić tu trzeba pewien zarzut: znane twierdzenie o większej sprawności pracy automatycznej. Zarzut taki, uwzględniając interes danego stanu albo danego stadyum społecznienia, nie uwzględnia interesów społecznego rozwoju. Zapomina się tutaj, iż ożywiony metabolizm psychiczny tak samo stanowi o łatwości przystosowywania się do nowych warunków życia społecznego, jak ożywiony biologiczny metabolizm o plastyczności organizmów biologicznych, że, innemi słowy, wysokie natężenie wymiany uczuciowo-ideowej stwarza właśnie ową atmosferę, przyjazną zarówno powstawaniu, jak i przyjmowaniu się nowych form działalności społecznej — tak samo, jak wysokie natężenie procesów wymiany materji jest atmosferą, sprzyjającą powstawaniu i zaszczepianiu się nowych postaci czynności biologicznych, narzuconych organizmowi przez nowe zewnętrzne warunki. Bez metabolizmu idei i uczuć drobne warsztaty rzemieślnicze, pomimo wszelkich warunków materialnych, nie zintegrowałyby się w duże fabryki; bez metabolizmu biologicznego luźne komórki żółciowe pierwotnych ustrojów nigdyby się nie zespoliły w wątrobę organizmów wyższych.

Ale oprócz ujemnego oddziaływania na intelektualny rozwój społeczny przez ograniczenia sfery metabolizmu psychicznego, przez usunięcie olbrzymiej masy jednostek od psychicznej twórczości, współzawodnictwo innemi jeszcze drogami wpływa ujemnie na rozwój intelektualny. Nietylko w sferze pracowników fizycznych, ale i w sferze umysłowych pracowników pochłonięcie całego czasu na pewną robotę jednostajną tak dobrze usuwa możliwość zasilania danej sfery myśli dopływami sfer innych, jakoteż znakomicie utrudnia śledzenie postępów w owej sferze. Chemik danej cukrowni, sprawdzający przez 12-cie lub więcej go-

dzin procentową zawartość cukru w wytworze, równie mało przyczynić się jest w stanie do postępów analizy tego produktu, jak pracujący obok niego wyrobnik do postępów mechaniki: zupełny brak czasu nie pozwoliłby mu na to nawet wtedy, gdyby rutyniczna czynność nie była go doprowadziła do stanu, graniczącego z idyotyzmem, oraz gdyby znużenie fizyczne i umysłowe nie zabijało w nim chęci i nie zobojętniało potrzeby odznaczenia się. Jedy-  
nym sprzymierzeńcem jego może być tutaj przypadek.

Obok takich jednostek, nie mogących nic zrobić dla dobra uprawianego przez siebie zawodu — z przyczyny zbyt jednostronnego i długiego ćwiczenia się w nim, spotykamy inne jednostki, nie mogące również przyczynić się do owych postępów z braku ćwiczenia: niemożność wprowadzenia planu do gospodarki społecznej stwarza dziś coraz częściej nadprodukcję umysłów, w pewnym zawodzie uzdolnionych: nie mogą też one posuwać naprzód zdobytej wiedzy z braku narzędzi i atmosfery, właściwej ich powołaniu.

Nakoniec, spostrzegamy też działanie bardziej bezpośrednie. Konkurencja zarówno przedsiębiorców jak i pracowników sprawia, że bardzo często nowe zdobycze wiedzy, zwłaszcza stosowanej, nie rozchodzą się ani w takim zakresie, ani tak szybko, jak byłyby się mogły upowszechnić nawet przy obecnym stanie uspołecznienia — przy obecnych rozmiarach sfery asymilującej zdobycze naukowe, oraz przy obecnych środkach umysłowego obcowania. W ten sposób «czas społecznie niezbędnej pracy» w wielu zawodach powiększa się nadmiernie — już nietylko z powodu niemożliwości powszechnego zastosowania znanych ulepszeń, co jest pośrednim następstwem współzawodnictwa, ale i z powodu niemożliwości zastosowania ulepszeń, trzymanyh przez monopolistę w tajemnicy, co stanowi skutek współzawodnictwa bezpośredni. O marnotrawstwie jednak,

o straszliwym powiększaniu ciężaru pracy ludzkiej nie będziemy mówili tu obszerniej, gdyż celem naszym głównym jest wykazanie wpływów współzawodnictwa na indywidualność jednostek.

Nieograniczona niczem konkurencya, krępując rozmaitymi sposobami umysłową działalność naszą, niekiedy przyczynia się jeszcze do jej spaczenia, do nadania rozwojowi jej kierunku nienormalnego, niepożądanego dla społeczeństwa. Gdyby ktoś, pomieszawszy narzędzia muzyczne jakiejś orkiestry, rozkazał odzywać się skrzypcom podług nut trąby, klarinetowi — wtedy, gdy powinna dźwięczeć wiolonczela, i gdyby później napisał pracowite dzieło o tem, jak właściwie należałoby ustosunkować instrumenty w każdym poszczególnym wypadku, aby otrzymać jaką taką harmonię, powiedzielibyśmy, iż cała ta praca była strasznie zmarnowaniem energii. Współzawodnictwo jednostek, stworzywszy naprzód niemożliwy chaos stosunków społecznych, jak najbardziej nie odpowiadających przyrodzie społecznego życia, później wytworzyło t. zw. naukę prawa — mówiącą o tem, jak w każdym poszczególnym wypadku można byłoby wybrnąć z tego chaosu. Cała prawie dzisiejsza nauka prawa jest okropnym marnowaniem energii umysłów ludzkich, częstokroć najlepszych. Poza tem sprzyja ona rozwijaniu się myśli naszej w kierunku opacznym — w kierunku uznawania sztucznej atmosfery indywidualistycznego współzawodnictwa za przyrodzoną atmosferę życia społeczeństw.

Nietylko na podstawie wywodów apriorystycznych, ale już na zasadzie konkretnych faktów możemy dziś utrzymywać, że wszystkim owym ujemnym wpływom współzawodnictwa na rozwój umysłowej strony naszej indywidualności zaradzić może współdziałanie. O bezpośrednim wpływie współdziałania w sferze samych pracowników naukowych przekonywał towarzyszy swych pewien uczony

niemiecki na jednym z ostatnich kongresów naukowych; powzięto też tam uchwałę zbiorowego opracowania przez specjalistów zagadnień naukowych, uchwałę bardziej systematycznego i zorganizowanego powiadamiania się o wynikach badań i t. p. O wiele donioślejszemi jednak dla postępów umysłowości ludzkiej są te objawy współdziałania, które z czasem dopiero i w sposób pośredni przyczynią się do olbrzymiego rozszerzenia sfery umysłowego metabolizmu. Mam tu na myśli owe pierwsze próby ograniczenia czasu zajęcia pracowników fizycznych, będące dalszym lub bliższym skutkiem zgodnego współdziałania pracowniczej warstwy, a objawiające się bądź jako mimowolne ustępstwo pracodawców, bądź też jako ustępstwo prowizoryczne — prawodawstwa.

Zanim przystąpimy do streszczenia naszych wywodów ogólnych — pozostaje nam jeszcze roztrząsnąć tu bardziej szczegółowo wpływ współzawodnictwa na stronę moralną naszej indywidualności, na rozwój czynnego charakteru jednostek.

## IX.

W ciągu naszych rozumowań niejednokrotnie już zawadzaliśmy o tę sferę wpływów współzawodnictwa, o której teraz mówić mamy obszerniej; jest nią zakres oddziaływań moralnych.

Wskutek przeoczenia przez ustrój indywidualistyczny zasadniczych wymagań życia społecznego, wskutek pominięcia zasady koordynacji i subordynacji społecznej oraz postawienia na jej miejscu zasady luźnego współzawodnictwa, jednostka w owym ustroju nietylko nie osiąga przewidywanej wolności, ale popada coraz bardziej w zależność najgorszego rodzaju, w zależność indywidualistyczną. Po-

nosząc pewne ciężary względem społeczeństwa, spełniając względem niego pewne obowiązki, nagrodę prac swoich i prawa, z obowiązków owych płynące, otrzymuje ona nie bezpośrednio od społeczeństwa samego, ale od jednostki innej. Łatwo można wyobrazić sobie, jak dalece szkodliwym jest taki stosunek: zamiast zapłaty, o której stanowi ma bezstronny, żadnymi ubocznymi względami nie krępowany wyrok społeczeństwa, otrzymuje się tutaj zapłatę, o której stanowi wyrok innej jednostki, skrępowany nie tylko względami jej celów egoistycznych, ale nadto skrępowany niekiedy względami nieprzyjaznych uczuć, ograniczonością umysłu, brakiem poczucia sprawiedliwości i t. p.

To uzależnienie jednostki w takiej sferze, gdzie jedna od drugiej zależeć nie powinna, stanowi właśnie ogólny grunt zepsucia na którym plenią się wszelkie zбочenia i potworności moralne, właściwe ustrojowi współzawodniczemu. Niepodobnięstwem byłoby nie tylko opisać tutaj, ale nawet wyliczyć wszystkich wad, zrodzonych w tej atmosferze, wszystkich ułomności, znajdujących w niej jak najbardziej przyjazne warunki rozwoju: wybudanie wszelkich instynktów egoistycznych, chciwości i zawiści, fałszu i podstępny, pochlebstwa i obłudy, pychy i służalczości — są to cechy naszych charakterów dzisiejszych, dość już powszechnie przypisywane szkodliwym wpływom współzawodnictwa. Ale, nie nurzając się w tem olbrzymim morzu upodlenia i nędzy moralnej, przyjdziemy tu od razu do roztrząśnienia wpływów «indywidualizmu» na najwyższą sferę naszej indywidualności, na sferę energii czynnej, na sferę naszej inicjatywy w zakresie działań życia codziennego i publicznego.

Do należytej oceny danego historycznego stadium rozwoju przeszkadza nam bardzo często nie tylko niemożność porównania go z przeszłością bliższą lub dalszą, ale też nieumiejętność zestawienia go w myśli z okresem bliż-

szej albo dalszej przyszłości. Ponieważ przeszłość przedstawia się nam w postaci mniej lub więcej wyraźnej, określonej, której odtworzeniem zajmuje się dla nas i za nas historia, przeto wyobrazić ją sobie możemy łatwiej. Inaczej ma się rzecz z przyszłością: w ukształtowaniu jej postaci twórczy pierwiastek myśli ludzkiej bierze udział daleko znaczniejszy. Rzeczywistość nie daje nam tutaj obrazu wykończonego: na podstawie niektórych tylko danych — a przy pomocy konstrukcyjnej siły idei — tworzymy ten gmach idealny o kształtach mniej pochwytnych, o niedoskonałej jeszcze i ginącej w cieniu budowie szczegółów. Przyszłość, jako mniej lub więcej wykończony obraz całości, rodzi się najpierw w głębiach umysłów twórczych; rzeczywistość zawiera w sobie tylko rozpierzchle, niczem nie związane jego pierwiastki. Oto dlaczego zestawienie terażniejszości z możliwą przyszłością bardzo rzadko uzupełnia naszą ocenę stanu terażniejszego.

Oceniając dzisiejszą wolność jednostek, mimowoli porównujemy ją z okresem ograniczeń kastowych albo cechowych; natomiast bardzo rzadko próbujemy zestawić ją w myśli z epoką rozwiniętego i zorganizowanego współdziałania. Innemi słowy, usunąwszy już z naszego obrazu myślowego wszystkie krępujące indywidualność czynniki, jakie usunęła historia, nie możemy jeszcze usunąć z niego innych czynników krępujących, jakie terażniejszość zatrzymała aż dotąd, a jakie dzisiaj usuwać mogłaby jedynie wyobraźnia twórcza, kształtująca postać przyszłości na podstawie luźnych, rozpierzchłych pierwiastków doby obecnej.

Jeden z naszych bardzo świątłych i cenionych przyrodników, nie mający jednak o rzeczach społecznych należytego pojęcia, w rozmowie ze mną wypowiedział zdanie, że cokolwiek powiemy o wadach i brakach indywidualistycznego ustroju, sprzyja on jednak dzielnie powstawaniu

i rozwijaniu się jednostek samodzielnych. Tam szczególnie, dodał nasz przyrodnik, gdzie, jak w Ameryce, ustrój liberalistyczny posunął się najdalej — tam spostrzegamy też najwięcej owych *self-manów*, budzących nasz podziw. W poglądzie tym tkwi właśnie metodyczny błąd, o jakim mówiłem przed chwilą: porównywając mimowoli stan Ameryki dzisiejszej z okresem jej niewolnictwa, z okresem dziejów starego świata, kiedy istniały kasty, stany i cechy, interlokutor mój nie umiał zestawić go z takim okresem możliwej przyszłości, kiedy znikną skrępowania i ograniczenia, wypływające ze współzawodnictwa jednostek. W odniesieniu do Stanów Zjednoczonych pogląd ów grzeszył nadto przeoczeniem tej okoliczności, że są one i były zbiorowiskiem jednostek jak najbardziej samodzielnych, o indywidualności jak najwybitniejszej, napływających tam ze wszystkich stron świata, że więc to, co się uważało tam za przyczynę — rozkwit liberalizmu — było w znacznej mierze następstwem mniemanego skutku, oraz że skutek ów — silna indywidualność — był raczej przyczyną zjawiska. Pogląd owego przyrodnika jest poglądem panującym, a jednocześnie jest on największem ze złudzeń, jakie żywiono kiedykolwiek. Napozór zdawać się może, istotnie, że nie tak nie sprzyja rozwojowi energii czynnej, jak współzawodnictwo; w rzeczywistości jednak jest inaczej.

W aktach naszej woli — uczucia, jako pobudki działania, odgrywają rolę pierwszorzędną; niemniej jednak samo ich natężenie nie jest tu jeszcze pierwiastkiem orzekającym; zbyt wysoka skala natężenia częstokroć paraliżuje, ubezwładnia jednostkę czynną, takim jest np. działanie zbyt wielkiego strachu, wściekłości i t. p. Z drugiej strony, o ile niebezpieczna jest stała przewaga jednego z uczuć — wprawiająca nas w stan monoideizmu — o tyle znów w każdym poszczególnym wypadku musi chwilowo przeważać jakieś uczucie dane, jeżeli czyn ma nastąpić. Zbyt

długa walka dwóch albo kilku jednako silnych pobudek wyczerpuje energię osobnika, nie rodząc czynu. Nakoniec, gdy idzie już nie o samo ukazanie się postępku, ale o stopniowy rozwój energii czynnej, pożądaną jest możliwie najlepsza koordynacja uczuć i pobudek, łatwość opanowywania jednych, podsyłania innych, to zaś możliwym się staje tylko w wypadku spokojnej gry uczuć oraz przy dość znacznym zasobie idei i wyobrażeń kierowniczych (oświeclających). Natomiast niemożliwym bywa przy chaotycznym bezładnym wyładowywaniu się energii wielu bodźców, albo przy niepodzielnym, monoideicznym panowaniu pobudki jednej.

Nasza dzisiejsza walka o byt, nasze współzawodnictwo nie jest bynajmniej atmosferą, sprzyjającą owej spokojnej, skoordynowanej grze uczuć i myśli: jest to pożar albo powódź, wśród których wielkie natężenie instynktu zachowawczego odbiera jednym możliwość spokojnego zapanowania nad sytuacją, innych wprawia w stan monoideizmu, jeszcze innych popycha do naśladowczego przedsięwzięcia środków ratunkowych, albo odbiera im odwagę w sprawie inicjatywy oryginalnej.

Mówiąc o wpływie współzawodnictwa na wynalazczość, widzieliśmy już, jaki jest mechanizm tego działania: usunięcie jednych osobników od udziału w dobrach kultury, doprowadzenie innych do stanu oglupienia przez nadmiar pracy, odebranie jeszcze innym możliwości stosowania wiedzy nabytej, popchnięcie jednych do ukrywania wynalazku już zrobionego, drugich do naśladowania znanych wynalazków i t. d.

Chęć zysku i niepewność wygranej, żądza nabytków nowych i strach przed utratą dawniejszych, zawiść względem bliźniego, obawa o powodzenie własne — oto są sprzeczne i zobojętniające się wzajem pobudki, których gra chaotyczna wyczerpuje energię wielu, nie popychając ich

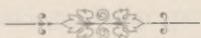
jednak do czynu. Stan monoideizmu — ciągła troska o jutro — sprzyja znakomicie naśladownictwu; w taki to sposób powstają owe niezliczone a rażące swą niedorzecznością przedsiębiorstwa jednorodne tam, gdzie zaledwie jedno mogłoby się utrzymać.

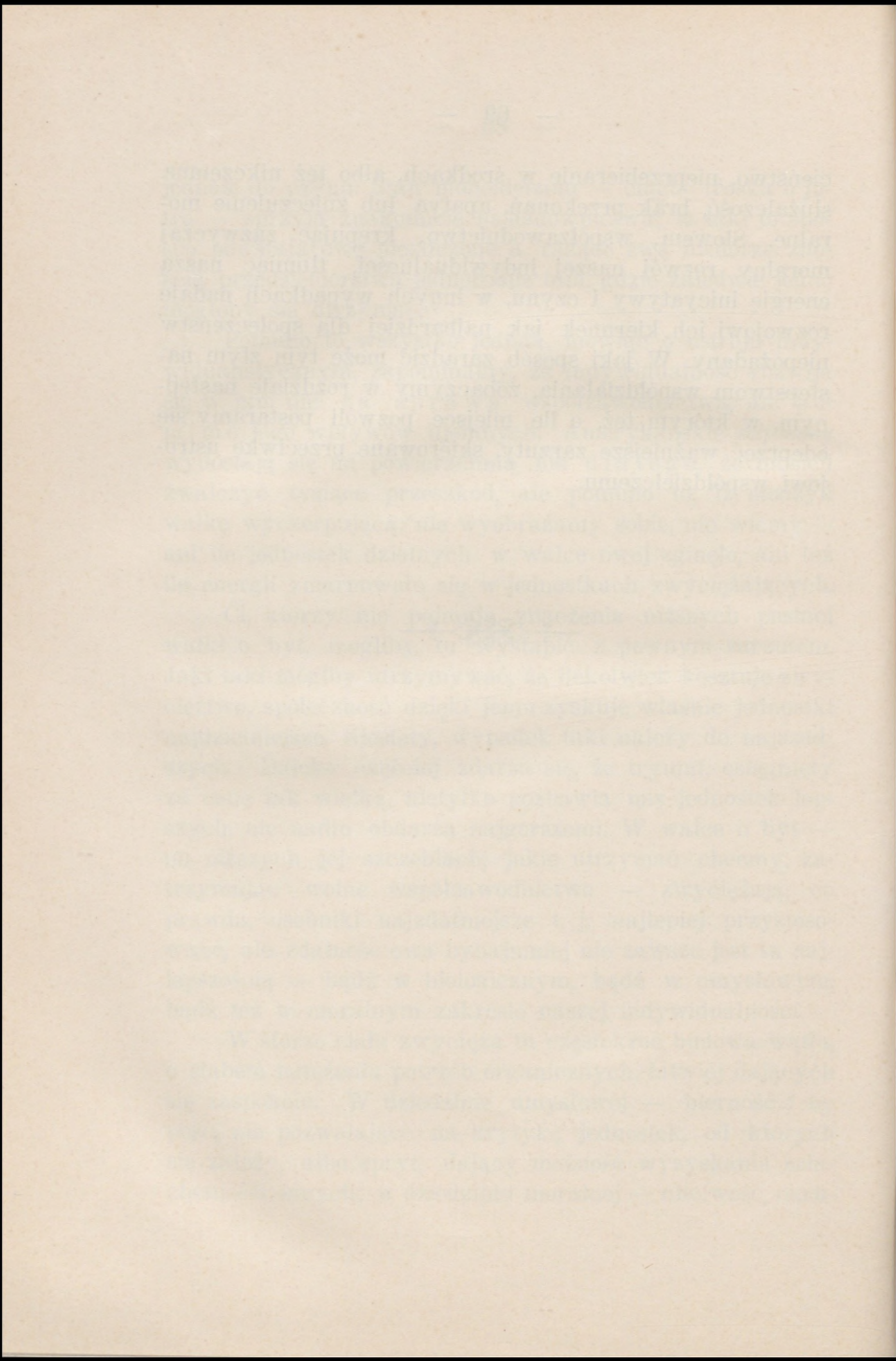
Pomimo to wszystko jednak, mówiąc o ustroju indywidualistycznym, zapominamy, że indywidualność rozwija się w nim nie za sprawą współzawodnictwa, ale pomimo jego wpływów ujemnych. Amerykańskie *self-mans* wydostają się na powierzchnię nie dla tego, że musieli zwalczyć tysiące przeszkód, ale pomimo to, iż stoczyli walkę wyczerpującą: nie wyobrażamy sobie, nie wiemy — ani ile jednostek dzielnych w walce owej zginęło, ani też ile energii zmarnowało się w jednostkach zwyciężających.

Ci, którzy nie pojmują znaczenia niższych postaci walki o byt, mogliby tu wystąpić z pewnym zarzutem. Jaki taki mógłby utrzymywać, że ilekolwiek kosztuje zwycięstwo, społeczność dzięki jemu zyskuje właśnie jednostki najdzielniejsze. Niestety, wypadek taki należy do najrzadszych. Daleko częściej zdarza się, że tryumf, osiągnięty za cenę tak wielką, nie tylko pozbawia nas jednostek lepszych, ale nadto obdarza najgorszemi. W walce o byt — na niższych jej szczeblach, jakie utrzymać chcemy, zatrzymując wolne współzawodnictwo — zwyciężają, co prawda, osobniki najzdatniejsze t. j. najlepiej przystosowane, ale zdatność owa bynajmniej nie zawsze jest tu najlepszością — bądź w biologicznym, bądź w umysłowym, bądź też w moralnym zakresie naszej indywidualności.

W sferze ciała zwycięża tu częstokroć budowa wątła, o słabem natężeniu potrzeb organicznych, łatwiej dających się zaspokoić. W dziedzinie umysłowej — bierność i tępość, nie pozwalające na krytykę jednostek, od których się zależy, albo spryt, dający możność wyzyskania szlachetności innych; w dziedzinie moralnej — cheiwość, okru-

cieństwo, nieprzebieranie w środkach, albo też nikczemna służalczość, brak przekonań, apatya lub znieczulenie moralne. Słowem, współzawodnictwo, krępując zazwyczaj moralny rozwój naszej indywidualności, tłumiąc naszą energię inicjatywy i czynu, w innych wypadkach nadaje rozwojowi ich kierunek jak najbardziej dla społeczeństw niepożądany. W jaki sposób zaradzić może tym złym następstwom współdziałania, zobaczymy w rozdziale następnym, w którym też, o ile miejsce pozwoli postaramy się odeprzeć ważniejsze zarzuty, skierowane przeciwko ustrojowi współdzielczemu.





## SPOŁECZEŃSTWO JAKO ORGANIZM.

---

W piśmiennictwie naszym dwie książki rozważały obszerniej tak zw. *teorię organizmu społecznego*. Krytykę jej znajdujemy w *Szkicach filozoficznych* p. Jelenty i w *Szkicach socjologicznych* Krusińskiego. Dając poniżej rozbiór obu tych dziełek, będziemy mieli sposobność rozważyć najważniejsze strony tego zagadnienia, budzącego niegdyś spory tak ożywione.

### I.

Przymiotnik «filozoficzny», w nagłówku naszych książek od czasu do czasu umieszczany, napęla mię zawsze jakimś uczuciem łagodnego smutku. Jestem prawie pewny, że, zajrzawszy do wnętrza dziełka, znajdę albo znęcanie się nad postępami nauki obok komplementów dla św. Tomasza z Akwinu, albo majaczenia opętanego matoida, dowodzącego, że wszystko na świecie powstało z siódemki i do niej też powraca po zgonie, albo wreszcie oklepane ogólniki i zapewnienia, że «jest coś w naturze, czego rozum ludzki dosięgnąć nie zdołał i zapewne nigdy nie dosięgnie».

Pseudonim p. Jelenty dawał mi rękojmię, że w sto

sunku do św. Tomasza autor nie przekroczy granic obojętności; dawniejsza osobista znajomość z samym właścicielem pseudonimu pozwalała mniemać, że z siódmki początku wszechrzeczy nie wyprowadza; mogłem więc obawiać się tylko banalności, ale i ten niepokój byłby nieuzasadnionym. *Studia i Szkice* można śmiało polecić czytającemu ogółowi, jako książkę, nietylko budzącą wiele myśli, ale i pouczającą, a nawet, tu i owdzie, całkiem w poglądach swych oryginalną. Zatrzymam się nad szkicem «Czy społeczeństwo jest organizmem?» rozbiiera on bowiem zagadnienie, znane już mniej więcej ogółowi.

Nieszczęśliwa «teoria» organizmu społecznego zniosła już tyle ciosów krytyki, tak u nas jak i zagranicą, a nade wszystko w Rosyi, że niepodobna prawie zrozumieć czyjejkolwiek bądź chęci znęcania się nad nią. A jednak — fakt zapewne dość dziwny — poważyłbym się twierdzić, iż ani socjologia, ani filozofia w ogólności nie odniosły z krytyki owej żadnego prawie pożytku, oraz, że dotąd nie wyzyskano tego «organicznego» porównania ani na rzecz właściwej definicyi istoty stosunków społecznych, ani na korzyść praktycznego tychże stosunków kierownictwa. Krytycy gubili się zawsze i dotąd gubią się w szczegółach analogii, atakując je z bardzo miernem, jak sądziłbym, powodzeniem, lecz nie zdobywając się na właściwą ogólną formułę różnic i podobieństw między organizmem cielesnym a ustrojem społecznym. Walka toczy się bezładnie; w szamotaniu się przeciwników analogii widać jakgdyby ślady jakiegoś przeświadczenia, że całej słuszności wrogowi swemu nie mogą odebrać. «Organizm» społeczny stał się dla nich samych niemal jakąś kategorią myślenia; czują oni, że po obaleniu wszystkich podobieństw pozostaje im jeszcze do zwalczenia jakieś licho niepochwytne, które nadal umysłów szerokiego tłumu uwodzić nie przestanie. Jedną z przyczyn chaotyczności zapasów upatrywałbym

w ścisłym związku zagadnienia tego ze stosunkami praktycznymi; potrafilibyśmy rozprawiać chłodno i rozważnie gdyby szło o kwestyę bardziej oderwaną; ale tutaj wszelkie ustępstwo grozić może zgubą najdroższych naszych wierzeń lub ideałów społecznych. «Albo społeczeństwo jest organizmem, a wówczas zgubioną jest komórka jednostka, zgubionym indywidualizm, usprawiedliwionem redukowaniem milionów ludzi do znaczenia ślepych bezmyślnych narzędzi, albo społeczeństwo organizmem nie jest — a w takim razie — jak uzasadnić potrzebę subordynacji jednostki wobec całości, nieodzowność społecznej... organizacyi?»

Pan Jellenta powiększył liczbę szamoczących się krytyków «teorii» społecznego organizmu. Widzimy u niego takie same, t. j. równie bezładne i nieskuteczne, atakowanie poszczególnych punktów analogii, także same łatwe wydziwianie jej krańcowości, częstokroć nie bronionych już przez nikogo, także dowodzenie, że ludzie nie są ze sobą zrośnięci albo że tysiąc jednostek nie posiada jednej głowy — obok takiegoż, jak u innych, braku ogólnej formuły różnic i podobieństw. Niekiedy z rozpaczą prawie, a przynajmniej z widoczną niecierpliwością wyrzuca on swoim przeciwnikom, że niedorzeczności, tak bardzo oczywiste dla niego — w ich mniemaniu takimi nie są. Podobny nastrój, usprawiedliwiony mniej więcej wobec Schöfflego, Lilienfelda, lub wogóle tych, którzy analogii owej nadali znaczenie niewłaściwe, razi zapamiętałością w odniesieniu do socjologii Spencera. Nikt wyraźniej i dobitniej nad tego myśliciela nie określił roli owego nieszczęśliwego porównania. Użył on go, jak powiada, tylko dlatego, że organizm zwierzęcy wydaje mu się czemś takim, co najlepiej i po raz pierwszy w dziejach przyrody daje nam pojęcie o wzajemnym stosunku zależności pomiędzy częściami jakiegoś całokształtu. Jeżeli zaś, wyszedłszy z tego podobieństwa ogólnego, ilustrował je dalej w szczegółach —

to musimy taki rodzaj wykładu tolerować dopóty, dopóki nie przekracza on granic sobie właściwych. Porównywanie dróg żelaznych z tętnicami i t. p. nie znaczy wcale, iżby Spencer utożsamiał arteryje z szynami kolei; znaczy tylko, że tutaj upatruje on podobieństwo dwu stosunków zależności. Zamiast wydziwiać to porównanie, należy raczej powiedzieć, czy i o ile różnią się pomiędzy sobą oba stosunki. O ile płonnem jest obalanie podobieństw poszczególnych, można się przekonać z tego, iż dotąd nie obalono ani jednego z nich, pomimo całych tomów krytyki.

Aby odpowiednio usposobić umysł czytelników p. Jellenta mówi, że «uciekać się do analogii z faktami lepiej zgłębnionymi i bliżej nam znajomymi znaczy podpisać sobie świadectwo ubóstwa». Zauważmy nawiasem, iż analogia z faktami bliżej znajomymi nietylko była po wszystkie czasy jedyną metodą wszelkich badań płodnych — od Newtonskiego jabłka aż do przykładów sztucznej hodowli u Darwina, ale że jest ona jedynym u ludzi, a zapewne też u istot innych, sposobem wszelkiego poznania. Co prawda, autor, rozwodząc się nad istotą organizmów, nie ucieka się do faktów «bliżej sobie znajomych», a nawet, jak się zdaje, bawi prawie zawsze wśród obcych; ale też wyniki tej metody nie są świetne.

Zobaczmy teraz, o ile strasznymi będą wszelkie zarzuty, mające obalać poszczególne znamiona podobieństwa.

Spotykamy tu naprzód osławioną, a przez samego Spencera zaznaczaną wielokrotnie rozdzielność czy też rozłączność składowych części społeczeństwa w przeciwstawieniu do fizycznej łączności komórek organizmu. Pominąwszy wskazywaną dość często względność zespolenia składowych pierwiastków organizmu, oraz większą lub mniejszą ich samodzielność (pierścienie robaków, jajka, pączki roślin i zwierząt, części polipa, kolonialne ustroje mszaniek, zjawiska symbiozy i t. p.), zwracamy tu uwagę

na to, iż w każdym z organizmów wyższych pewna kategoria komórek rozłącznych stale i nieuchronnie zmienia miejsce, znajduje się w ciągłym ruchu, oraz że stanowi to nawet niezbędny warunek życia całości. Komórkami temi są ciała krwi <sup>1)</sup>. Ten kto pokładał jakąkolwiek nadzieję w wykazaniu tej «zasadniczej» różnicy — spójności i rozdzielności — musiałby nadziei owej wyrzec się nazawsze. Nie lepiej też ma się rzecz z innymi «różnicami».

«Społeczeństwa, jak wiadomo, posiadają dar wzrostu, obcy zupełnie jednostkom, a mianowicie drogą podbijania innych gromad ludzkich i wcielenia ich w siebie. Następnie, pojęcie śmierci, w ścisłym znaczeniu wyrazu, nie może mieć zastosowania w historii społeczeństw». Trudno domyślić się co autor chce tutaj powiedzieć. Niepodobna podejrzawać go o nieznanomość takich faktów biologicznych, jak pochłanianie jednej jednostki przez drugą w sprawie np. koniugacji wodorostów, albo wreszcie faktów odżywiania się zwierząt jednych kosztem innych. Jeśli mu idzie o to, że w pierwszym (biologicznym) wypadku organizmy pochłonięte tracą samodzielność, w drugim zaś jej nie tracą, to zapomina, że 1-o zrastanie się dwu lub więcej organizmów albo ich części z pozostaniem pewnej odrębności nie jest rzadkiem w świecie biologicznym, zaś 2-o że w wypadku drugim następuje również asymilacja a tem samym utrata pierwiastkowej odrębności socjologicznej, to jest takiej właśnie, jakiem jest pochłonięcie. O ile asymilacja tak się nie odbędzie, nie może być mowy o «wzroście» społeczeństwa pochłaniającego; mamy wówczas bądź tylko proste przyleganie w przestrzeni, bądź też

---

<sup>1)</sup> Przynajmniej u ptaków i zwierząt zimnokrwistych (por. *De-lage La structure du protoplasma et les théories sur l'hérédité* itd. 1895 str. 55).

tkwienie w ciele obcem, czemu odpowiada w zupełności mnóstwo zjawisk świata biologicznego (pasorzytnictwo, komensalizm a nawet symbioza). Używając wyrazu «pochłonięcie» i «wzrost» nie powinien autor zapominać, że albo posługuje się terminologią biologiczną, a w takim razie wolno mu mieć na myśli tylko ludożerstwo, przez co wszelka różnica dwu asymilacji zniknie, albo też, że mimo woli ulega pokusie zwalczanego przez się porównania, a wówczas nie ma prawa zestawiać prostego przylegania w przestrzeni lub tkwienia — z asymilacją. Równoległość w wypadku tym jest zupełna: nie dostrzegł jej autor, gdyż walczył z wiatrakami tożsamości. Co do śmierci fizycznej społeczeństwa, to jest ona najzupełniej możliwą w teorii — świadczą o tem bodaj wygasłe gatunki zwierząt. Czy ze społeczeństw ludzkich które wymrze kiedykolwiek — zależy to będzie od warunków zewnętrznych, jak się zdaje niemożliwych do urzeczywistnienia, gdyż naprzód od zupełnego odosobnienia danej społeczności; ale śmierć biologiczna nie ma tu wielkiego znaczenia, zaś socjologiczny zgon — jedynie mogący nas obchodzić tutaj — należy do pospolitych wypadków historii.

Można było wykazać, że we wszystkich przytoczonych przez autora przykładach mniemanej przeciwstawności organizmów oraz społeczeństw widnieje tylko przeciwieństwo pomiędzy jego nieznanością faktów biologii oraz znajomością ich u Spencera. Jednakże dla braku miejsca rozpatrzymy jeszcze tylko jeden «zarzut», robiony najczęściej.

«Skupienia ludzkie swojej jaźni nie mają, ich zaś świadomość jest to łączna świadomość wszystkich jednostek, gdy tymczasem w ustroju rzeczywistym komórki są czemś zupełnie bezmyślnym, głuchym i ślepym proletaryatem, biernie zachowującym się wobec rozkazów mo-

narchy-despoty, jakim jest duch, unoszący się nad niemi jako coś wyższego, niezależnego i odrębnego».

Przeciwieństwo zarysowałoby się o wiele wyraźniej, a nadewszystko prawdziwiej, gdybyśmy powiedzieli, że komórki nie mówią po francusku i nie grywają w winta. Trudno o bardziej fałszywe przedstawienie stosunku naszego ducha do komórek, nad to, jakie znajdujemy w drugiej połowie dowodzenia autora. Natomiast zdanie jego o jaźni społecznej, jako o łącznej świadomości wszystkich jednostek, o ile tylko jest prawdziwem, stosuje się najzupełniej i w sposób najbardziej dosłowny do świadomości albo jaźni osobnika. Istotnie, świadomość nasza i samowiedza tak dalece są wytworem «łącznej świadomości» składowych jednostek organizmu (komórek), że, jak wykazują doświadczenia kliniczne, można ją na kawałki prawie rozbiierać, można ją zmieniać, uszczuplać, zbogacać, działając odpowiednio na rozmaite grupy ołych jednostek, dających w wyniku ostatecznym świadomość ogólną. Żadna komórka nie posiada świadomości całego ustroju, natomiast każda z nich, odznaczając się właściwą sobie świadomością, przyczynia się do wytworzenia owej ogólnej. Sprawa szczególnego natężenia świadomości w pewnej danej grupie komórek jest sprawą całkiem inną i znajdującą również analogię w streszczaniu się i natężaniu świadomości społecznej wśród danych grup jednostek; tak w jednym, jak w drugim wypadku świadomość całości jest zbiorową. Nie tylko jedność, lecz natężenie, ilość samowiedzy «ducha-despoty» zależnemi są od stanu komórek «proletaryatu» np. wątroby, nerek, kiszek i t. p. Ten, kto by opierał dowodzenia swe na jedności jaźni ograniczonej i zbiorowości jaźni społecznej, zawiedzie się jak najzupełniej.

Ciekawa rzecz, co uczyniłby pogromca rozmaitych podobieństw poszczególnych, dowiedziawszy się, że łączność społecznych ustrojów jest tylko skrajnym wyra-

zem tego, co napotyamy w organizmach osobistych; że organizmy te mogą tak jak i społeczeństwa powiększać się kosztem ustrojów innych, że świadomość osobnicza, podobnie jak i społeczna świadomość, jest «łącznym wytworem składowych jednostek całości?» Jeżeli tylko na owych mniemanych różnicach miało się opierać obalenie «teorii» organizmu, — tedy usunięcie ich równa się uzasadnieniu teorii. A jednak różnica przecie być musi. Jakoż istnieje ona, ale dla jej wykrycia należy zaniechać podjazdowych utareczek z poszczególnymi przerośniętymi autorów, należy zrzec się łatwych tryumfów wykazywania, że komórki nie noszą parasolek, a natomiast — rozpocząć sumienny rozbiór zasadniczych pierwiastków i znamion skupienia społecznego.

Liczbę znamion podobieństwa społeczności do organizmu można byłoby powiększać prawie dowolnie. Niekiedy mielibyśmy tu analogie bardzo odległe, czasem znów bardzo bliskie pokrewieństwo objawów. Nietylko w stanie dojrzałości, ale i w historii rozwoju obu rodzajów skupień spostrzegamy zjawiska, żywo przypominające się wzajem. Niepodobna np. nie widzieć, że w dziejach ewolucji społecznej, tak samo jak w embriologii ustrojów biologicznych t. zw. narządy tymczasowe, narządy szczytkowe albo zjawiska atawizmu odgrywają rolę jedną. Te i tym pokrewne cechy podobieństwa od niepamiętnych czasów podsuwały ludziom myśl porównywania, albo nawet przeświadczenia o tożsamości społeczeństw i organizmów; gdyby zaś czas i miejsce były po temu, moglibyśmy wykazać, że myśli takie nie pozostawały bez wpływu na dzieje ludzkości.

Obecnie jednak musimy się zająć wyświetleniem przyczyny owych porównań, to znaczy, wykazaniem ogólnej cechy podobieństwa pomiędzy organizmem a społecznością, podobieństwa, dającego podstawę wszelkim analo-

giom poszczególnym; uzupełnieniem tego rozbioru będzie sformułowanie najogólniejszej różnicy pomiędzy nimi, zaś ta ogólna formuła różnic i podobieństw pozwoli nam wysnuć pewne wnioski praktyczne, będące jądrem całego sporu, wnioski co do stosunku jednostki względem społeczeństwa, a więc co do przyszłości społeczeństw.

Podstawową różnicę pomiędzy ciałami nieorganicznymi a organicznymi stanowi większa złożoność a, dalej, większa też niestalość budowy i wynikająca ztąd większa ruchomość składowych części tych ostatnich. Mam tu na myśli nie tylko wysoką złożoność i niestalość chemicznych cząstek, jaką odznaczają się np. sama protoplazma, albo niektóre znajdujące się w tkankach substancje organiczne, ale nadewszystko ową niezmierną ruchliwość i niestalość biologicznych jednostek składowych protoplazmy, umożliwiającą tak zmianę zewnętrznych kształtów skupień protoplazmatycznych, jako też i wewnętrzne przeobrażenia ich składników i będącą jakgdyby podścieliskiem wszystkich swoistych spraw i własności ich, jak: kurczliwość, wymiana materji, asymilacja. Zaznaczamy tu mimochodem, że ukazanie się tych własności ciał organicznych nie jest bynajmniej czemś nagłym i niespodziewanem. Można byłoby wskazać dwa szeregi zjawisk świata nieorganicznego, będące niejako zapowiedzią i przygotowaniem do tych objawów wyższego rzędu. Mamy tu naprzód zjawisko rośnięcia i zablizniania się kryształów, nie będące wprawdzie jeszcze asymilacją t.j. upodobnieniem cząsteczek odmiennej budowy chemicznej do tych, jakie składają całość, lecz polegające już jednak na przyłączeniu pewnych jednorodnych z całością cząsteczek podług pewnego planu budowy i kształtów zewnętrznych. Z drugiej strony, tak zw. ciała plasonowe, wielkie galaretowate masy materji nieorganicznej, znajdujące się na dnie oceanów, ruchliwością swoją i zdolnością chłonięcia

nie tylko już jednorodnych z nimi ale i podobnych substancji tak blisko przypominają sprawy asymilacji, że trudno byłoby wyobrazić sobie jakieś ogniwo, lepiej od nich łączące świat nieorganiczny z organicznym.

Tak tedy większa złożoność, niestalość, ruchliwość, a tem samem większe, niż u minerałów, wyodrębnienie się części składowych stanowią z jednej strony znamioną cechę, z drugiej zaś podścielisko niezbędne biologicznych własności ustrojów. Najogólniejszym tych własności wyrazem, a w pewnym rozumieniu ich sumą poprostu, jest wymiana materji, lub, mówiąc ściślej, asymilacja. Wymiana materji w postaci swojej najprostszej, jako łączenie się i rozkład pierwiastków chemicznych, istnieje już w nieorganicznym świecie; istotę zaś przeobrażeń, zachodzących w dziedzinie ustrojowej, stanowi asymilacja, dzięki której ów rozkład i łączenie się pierwiastków chemicznych nie tylko odbywać się muszą w pewnym określonym kierunku — w kierunku związków z żywą całością jednorodnych, ale nadto, w dalszym przebiegu sprawy, zniewolone są wytwarzać biologiczne jednostki składowe, jednorodne z istniejącymi już jednostkami całości. Asymilacja, znana szerszemu ogółowi jako odżywianie się, stanowi najbardziej podstawową i powszechną sprawę biologiczną; pamiętajmy, że, podług zapatrywań dzisiejszych, rozradzanie się bezpłciowe osobników jest również jednym z jej następstw, zaś mnożenie się płciowe przedstawia się nam jako proces, którego najpierwszem ogniwem jest asymilacja ciała nasiennego przez jajko.

Ale na tem nie koniec; asymilacja jest najpierwszem w przyrodzie zjawiskiem, dającym pojęcie o czynności albo funkcji we właściwym tego słowa znaczeniu. Mamy tu zjawiska nie prostej zmiany lub wymiany, jak przy połączeniach chemicznych, ale zmiany takiej, w której

jedno z ciał występuje jak gdyby w roli czynnej, drugie zaś w biernej.

Mówiąc o wymianie materji wogóle, zaś o asymilacji w szczególności, zwykle zanadto mamy na myśli wymianę, że tak powiem, zewnętrzną, wymianę cząstek pomiędzy ustrojem a jego otoczeniem, wymianę czysto chemiczną; zapominamy natomiast o wewnętrznej, międzycząsteczkowej albo międzyorganarządowej wymianie samego organizmu. Jednakże to właśnie wyższe stadyum wymiany orzeka nietylko o właściwej istocie skupień biologicznych, ale i o dalszym rozwoju ich, to jest o sprawach różniczkowania i całkowania. Istota spraw biologicznych polega nie tyle na tem, że dana organiczna substancja asymiluje t. j. upodabnia i pochłania pewne substancje chemiczne nadając im kształt biologicznych jednostek, ile raczej na tem, że w następstwie tego owe biologiczne jednostki dokonywają pomiędzy sobą wymiany biologicznej i asymilują wymienione wzajem substancje. Gdyby w substancjach żywych odbywała się zawsze tylko owa zewnętrzna, chemiczna asymilacja, pozostałyby one wiekuiście na stanowisku ciał plasonowych, o jakich mówiliśmy wyżej; ale oto biologiczne cząstki pierwotnego ustroju, nie zadawalniając się chemiczną wymianą substancji ze swoim zewnętrznym albo wewnętrznym środowiskiem, trwają ze sobą w zespoleniu lub rozpadają się samorzutnie dzięki swym biologicznym oddziaływaniom; najpierwszym tego przykładem, a zarazem najpierwszym przykładem następstw takiego oddziaływania niech będą dla nas stosunki, zachodzące pomiędzy jądrem oraz ogólną masą protoplazmy komórki. Jakkolwiek cała pomiędzy nimi różnica zdaje się być tylko ilościową i polegać na większym skupieniu biologicznych cząsteczek w jądrze, to jednak widzimy, iż sam ten fakt stanowi już o innej, prawdopodobnie większej zdolności asymilacyjnej jądra i, co za tem idzie, o bardziej

czynnej jego roli w sprawie mnożenia się t. j. dzielenia się komórki.

Podkreśliwszy ten nasz wywód, że o zespoleniu cząstek całości ustrojowej stanowią ich własności biologiczne, (dla których fizyko-chemiczne przymioty są z kolei podścieliskiem bezpośrednim), zauważmy teraz, że istnienie biologicznej wymiany międzycząsteczkowej, a później międzynarodowej (jądro i plazma) orzeka o istnieniu pewnej, całkiem nowej cechy skupień organicznych. Przypominając sobie, że wymiana substancji wogóle, zaś w szczególności asymilacja, są najpierwszym w przyrodzie przykładem funkcji albo czynności właściwej — zrozumiemy, że następstwem owej międzycząsteczkowej czy też międzynarodowej wymiany biologicznej musi być funkcjonalna *v.* czynnościowa zależność części skupienia. Tymczasem więc, wszelki organizm biologiczny możemy określić, jako całość o funkcjonalnej albo czynnościowej zależności części. Zaznaczywszy jeszcze, że zależność ta ujawnia się zarówno w czasie, jak w przestrzeni, t. j. że funkcje narządów odbywać się muszą nie tylko współcześnie, w pewnym następstwie i t. p. ale nadto w pewnym stałym ustosunkowaniu topograficznym, przypatrzmy się jeszcze jednemu owej zależności przykładowi. Występuje ona w całej pełni i zawisłości u organizmów wyższych. Spostrzegamy tam bowiem nie tylko wymianę substancji pomiędzy biologicznymi cząsteczkami komórek — wymianę międzycząsteczkową — nie tylko wymianę pomiędzy komórkami — wymianę międzykomórkową, dającą już początek funkcjonalnej zależności drugiego stopnia, nie tylko wymianę substancji między narządami coraz bardziej złożonymi, która jest źródłem funkcjonalnej zależności trzeciego, czwartego, piątego i t. d. stopnia, ale nadto spostrzegamy tam wymianę w pływów i oddziaływań, będących pośrednim lub bezpośred-

niem następstwem wymiany substancji, takim, jak np. wpływ ośrodków nerwowych na dany gruczoł, wpływ gruczołu na dany ośrodek i t. d. Taka wymiana wpływów i oddziaływań mniej jest widoczna w organizmach najpierwotniejszych, gdyż stosunek części, ich funkcjonalna zależność, ujawnia się głównie w bezpośredniej wymianie substancji.

Ale w wypadku obecnym najglówniej obchodzić nas musi stosunek indywidualnej asymilacji każdego z narządów (albo części) do asymilacji międzynarodowej. Pierwsza z nich, będąc bezpośrednio przyczyną drugiej, z kolei wszakże od tej drugiej zależy. Międzynarządowa asymilacja jest tylko nową, wyższą fazą asymilacji poszczególnych narządów; natężenie jednej pozostaje w stosunku prostym do natężenia drugiej. Bez asymilacji międzynarodowej skupienie pozostałoby zawsze na stanowisku plasona, ale bez asymilacji narządowej *vel* cząsteczkowej międzynarodowa nie byłoby możliwą. Podobnie też po utrwaleniu się zależności funkcjonalnej między narządami (częściami) niemożliwą jest asymilacja narządowa bez międzynarodowej.

Pewien równoważnik tego, co nazywamy u siebie świadomością, odpowiadać musi najpierwotniejszym objawom życia, wyraża się on w t. zw. drażliwości protoplazmy. Jaka przepaść ilościowych i jakościowych różnic oddziela te pierwsze zaczątki od świadomości naszej — trudno jest sobie wyobrazić. To jednak pewna, że jakieś jej zaczątki stanowią jedyną różnicę pomiędzy skupieniami żywymi a martwymi, lecz zdradzającymi wszelkie inne elementarne właściwości życia (plasony); przypuszczać wolno, że najpierwotniejszej sprawie asymilacji, u ameby np. towarzyszy pewien równoważnik tego, co w stadyach wyższych otrzymuje od nas nazwę świadomości. Na korzyść tego poglądu przemawiają zarówno pewne teoretyczne

domysły, jak i pewne fakty z zakresu patologii ducha ustrojów wyższych. Tak czy inaczej, z biegiem rozwoju te poszczególne świadomości elementarne stają się bezpośrednio podścieliskiem naszej samowiedzy t. j. świadomości naszego «ja». Szerszy ogół zbyt często utożsamia pojęcie świadomości z pojęciem samowiedzy; jest to błąd poważny, utrudniający właśnie najbardziej zrozumienie tego, że oprócz naszej mogą istnieć inne postacie świadomości o niezliczonych stopniach natężenia i różnicach jakościowych. Samowiedza, świadomość jaźni, świadomość siebie jako podmiotu — w przeciwstawieniu do przedmiotu — nie jest bynajmniej nieodłącznym współobjawem świadomości wogóle. Wszystkie organizmy żywe uznać musimy za świadome, lecz tylko najwyższe ustroje za samowiedne; istnieją niezbite dowody tego, że nawet człowiek, będąc świadomym jakiegoś czucia, nie zawsze świadomym jest tego, że sam stanowi podmiot owej świadomości. Odsyłając czytelnika do *Psychofizjologii* Herzena i do *Chorób osobowości* Ribota, pozwolę tu sobie zakończyć te uwagi dokładniejszym już sformulowaniem istoty organizmu: jest to całość, składająca się z części świadomych, zespolonych dzięki swym własnościom biologicznym, pozostających w stosunku funkcjonalnej zależności, tak w czasie jak i w przestrzeni, i doprowadzających niekiedy całość do samowiedzy.

Chociaż świadomość owa, poczynając już od stadyów najniższych, wywiera wpływ pewien na sprawy biologiczne ustroju, w stadyach zaś wyższych wywiera na nie wpływ potężny, to jednak tak o zespoleniu pojedynczych części organizmu, jak i o ich zależności funkcjonalnej orzekają tutaj najpierwej własności biologiczne; cząstki plasonu dokonywają właściwej sobie asymilacji i trwają w zespoleniu bez cienia przymiotów psychicznych. Jakkolwiek niechętnie godziłbym się na upowszechniony dzisiaj i modny

pogląd, upatrujący w świadomości zjawisko «dodatkowe» życia (epifenomen), jakkolwiek sądzę, że i dla istoty spraw życiowych ma ona znaczenie o wiele poważniejsze i początkami swymi sięga daleko głębiej na skali ustrojowości, to jednak mniemałbym, że najglówniejsza rola świadomości, najglówniejsze jej działanie, tak wsteczne (na własności biologiczne ustrojów), jak i postępowe (na dalszy rozwój psychiczny, społeczny i t. d.) rozpoczyna się dopiero tam, gdzie się ukazuje ona jako elementarny czynnik skupień nowego porządku, skupień nadorganicznych.

Zapytajmy teraz siebie, jaka zmiana zachodzić może i musi w organizmach, których części składowe odznaczają się większą dozą odrębności i niezależności. Ze wszystkich znanych nam tego rodzaju ustrojów najlepiej uzmysłowi tę sprawę tasiemiec. Poszczególne pierścienie owego robaka odznaczać się muszą wielką stosunkowo świadomością, każdy z nich bowiem posiada osobne ośrodki nerwowe, oraz inne narządy. Jakoż materyalne ich zespolenie jest im prawie niepotrzebne: pierścień, oddzielony od całości, rozwijać się może samodzielnie, dając życie nowej kolonii. W wypadku tym jednak każdy z pierścieni posiada wszystko, co mu do życia potrzebne; nie wykonywał on żadnej poszczególnej czynności w gospodarce ustroju, ale wszystkie mniej więcej funkcyje. Wyobraźmy jednak sobie, że z pomiędzy dwu części jakiegoś zwierzęcia, rozerwanych w ten sposób i prawie mogących żyć samodzielnie, jedna zawiera w sobie narządy rozrodcze męzkie, druga zaś żeńskie, oraz, że posiadają one jakiś różnoważnik świadomości; zależność ich czynnościowa nie ustanie, lecz w stosunku do przestrzeni zmniejszy się znakomicie; przez cały czas, z wyjątkiem okresu zapłodnienia, będą one mogły pozostawać w rozmaitych względem siebie odległościach i położeniach; w rzeczonym okresie natomiast zbliżą się do siebie, o ile jakieś równoważniki świadomości

w formie popędów i czuć popchną je do tego <sup>1)</sup>. W zamierzchlej przeszłości przyroda dokonała już takiego jakgdyby przepolowienia istoty żyjącej, stwarzając osobniki różnoplciowe. Wiemy też, że stosunek funkcyjonalnej pomiędzy niemi zależności możliwym bywa jedynie dzięki tymże czynnikom, zależność stała się mniejszą w odniesieniu do warunków przestrzennych. Wyobraźmy dalej, że nie funkcyje płciowe, ale rozmaite inne funkcyje np. odżywcze, obronne i t. p. są udziałem rozdzielonych w powyższy sposób części. Widocznem jest, że zależność funkcyjonalna wtedy tylko pomiędzy niemi nie ustanie, gdy jakieś własności psychiczne pozwolą im zapanować nad zmienionym stosunkiem przestrzennym, niezbędnym niegdys dla części, zespolonych głównie na mocy swoich własności biologicznych nie zaś psychicznych.

Najprostsze składowe pierwiastki społeczeństwa — jednostki — wchodzą ze sobą w stosunek i trwają w zespoleniu li tylko na podstawie swoich psychicznych własności (świadomość), dla których podścieliskiem są przymioty ich biologiczne, mające znowu za podkład fizykochemiczne cechy; możemy więc tutaj zaraz pokusić się o określenie społeczeństwa.

Jest to całość, składająca się z części świadomych (niekiedy samowiednych), zespolonych dzięki swym własnościom psychicznym i pozostających w stosunku funkcyjonalnej zależności, ujawniającej się najglówniej w czasie.

---

<sup>1)</sup> Nie znaczy to bynajmniej, aby świadomość była jedynym warunkiem, umożliwiającym łączenie się płci odmiennych. Przypadek, zewnętrzne prądy środowiska zastąpić ją mogą (wodorosty); ale ekonomia przyrody dążyć będzie do zastąpienia takiego przypadkowego, marnotrawnego sposobu skojarzeń, zużytkowując w tym celu czynniki psychiczne, gdy tylko się ukażą. (Ob. F. Ward. *Psychic Factors of Civ.*).

Przeniesienie się funkcjonalnej zależności z dziedziny przestrzeni do dziedziny czasu jest następstwem przyrody elementarnych własności składowych jednostek społeczeństwa, własności psychicznych, dzięki którym odbywa się i utrwała zespolenie.

Dwa podane wyżej określenia organizmu i społeczeństwa zawierają w sobie formułę ich podobieństw i różnic: funkcjonalna zależność w jednym i w drugim wypadku stanowi o ich podobieństwie, zgoła nie małoważnym; przyroda zaś elementarnych własności, orzekających o zespalaniu się pierwiastków składowych, a dalej płynące z niej przeniesienie w znacznej mierze zależności funkcjonalnej z dziedziny przestrzeni do dziedziny czasu — stanowi o ich różnicach. Dwa określenia powyższe pozwalają nam również odróżnić społeczeństwo i organizm z jednej strony od wszelkich brył martwych, sztucznych lub przyrodzonych, w których zależność części jest tylko statyczna, z drugiej zaś od wszelkiej maszyny albo układu planetarnego, gdzie zależność jest poprostu bądź hetero-dynamiczną, bądź też autodynamiczną, ale nie funkcjonalną.

Pan Jellenta utrzymuje, że z równą łatwością można byłoby porównywać z organizmem maszynę; zapewne, gdybyśmy, patrząc na rzeczy powierzchownie, zapomnieli, że pomiędzy częściami jej nie ma żadnej zależności funkcjonalnej, czego nie można powiedzieć ani o społeczeństwie, ani o organizmie.

Stwierdzenie tego faktu, że elementarnymi własnościami najprostszych pierwiastków składowych społeczeństwa (jednostek), orzekającymi o ich zespalaniu się, są przymioty psychiczne, pozwoli nam z całą swobodą rozwijać porównanie pomiędzy społecznością a organizmem — pomiędzy funkcjonalną zależnością jednego z nich i drugiego, nie narażając się ani na smutną nieodzowność

zaprzeczania faktowi owej równoległości, ani na niebezpieczeństwo dojścia do niepożądanych wywodów praktycznych.

Wzajemność oddziaływania podstawowych w tym wypadku (psychicznych) znamion jednostek sprowadza funkcjonalną tychże jednostek zależność; bez tego nie mamy nawet zarodków społeczeństwa <sup>1)</sup>. Zdolności te odpowiadają, co do znaczenia, elementarnym, biologicznym przymiotom składowych jednostek organizmu; materialnej zaś asymilacji indywidualnej i międzynarodowej tamtych odpowiada p s y c h i c z n a asymilacja indywidualna i międzynarodowa społeczeństw. Ważną jest rzeczą zrozumienie tego, iż nie idzie tu tylko o proste porównanie, ale o stwierdzenie istotnej równoległości z n a c z e n i a obu tych funkcji w dwu odmiennych wypadkach. Tak samo jak we wszystkich sferach funkcjonalnej zależności biologicznej, ostateczną b i o l o g i c z n ą podstawą jest wymiana materji, tak też ostateczną podstawą s o c y o l o g i c z n ą we wszelkich zakresach funkcjonalnej zależności socjologicznej jest wymiana psychicznych stanów świadomości (pojęć, idei, pożądań, instyktów i t. d.). To też stosunek, jaki widzieliśmy pomiędzy indywidualną a międzynarodową wymianą materji, odpowiada w zupełności stosunkowi pomiędzy indywidualną a międzynarodową wymianą stanów świadomości. Porównywać wymianę materji w organizmie z wymianą materji (nie zaś stanów świadomości) w społeczeństwie mogą ci tylko, którzy zapominają, że społeczna

---

<sup>1)</sup> W podobny sposób pojmuje sprawę cała psychologiczna szkoła socjologów, do której można zaliczyć prace Giddings'a, Ward'a, Kariejewa, wydane już po ogłoszeniu drukiem słów powyższych. Tak np. u prof. Kariejewa (str. 265) czytamy: »...społeczeństwo nie jest li tylko prostym skupieniem ustrojów, ale pewnym układem, urastającym na gruncie wewnętrzznego życia duchowego oraz zewnętrznych duchowych oddziaływań jednostek«.

wymiana materji nie jest procesem pierwiastkowym, lecz wtórnym, możliwym li tylko dzięki pierwiastkowemu procesowi wymiany stanów świadomości i od niego jak najściślej zależnym. Do zaciemnienia tej prawdy w czasach ostatnich znakomicie przyczyniła się t. zw. «materiałystyczna» teoria Marksa. Zapominając, że wszelki wynalazek techniczny bywa zazwyczaj następstwem indywidualnej asymilacji psychicznej, oraz, że krzewi się on w społeczeństwie w miarę postępów psychicznej asymilacji międzynarodowej, pamiętając zaś tylko o tem, że stany świadomości przystosowują się w pewien sposób do nowego wynalazku, wygłosił on teorię, z której można byłoby wnioskować, że materiałne czynniki są pierwiastkową nie zaś wtórną przyczyną społecznych przeobrażeń.

Należyte zrozumienie podstawowości znamion psychicznych dla ustrojów społecznych, oraz pojmowanie istotnego stosunku asymilacji psychicznej indywidualnej do międzynarodowej nazawsze powinno usunąć — w pewnych wypadkach — obawę, iż asymilacja psychiczna może się stać w przyszłości udziałem pewnych tylko jednostek, zaś całkowicie odebraną będzie innym. Ten, kto się zgadza na to, że właśnie psychiczne cechy stanowią zasadniczo o zespalaniu się jednostek w społeczeństwa, równie łatwo dojrzy płonność takiej obawy, jak dojrzałby niedorzeczność przypuszczenia, że w organizmie niektóre tylko komórki będą się odżywiać, inne zaś trwać mogą bez asymilacji. Jedno z dwojga: albo podobny, chorobliwy stan komórek musiałby powrócić do równowagi zwykłej, albo też ów stan ich pociągnąłby za sobą śmierć całego ustroju. To też cały rozwój społeczeństw (ludzkich) nie w innym posuwa się kierunku, jak tylko w kierunku coraz większego natężenia indywidualnej i międzynarodowej asymilacji psychicznej.

Funkcyjnalna zależność części tak w organizmach,

jak i w społeczeństwach, wyraża się w podziale pracy, oraz w towarzyszącem mu różniczkowaniu się i całkowaniu narządów. Trudnem a bodaj niemożliwem byłoby roztrzygnięcie sporu: czy pierwiastkowa odrębność czynności wpływa na kształtowanie odmiennych narządów, czy też, naodwrot, odmienność organu rodzi odmienną funkcję. Włoski socyolog Colajanni poświęca temu zagadnieniu dużo miejsca w swojej *Sociologia Criminale*, przychyłając się na korzyść pierwiastkowości funkcyi. Można byłoby, jak sądzę, utrzymywać, że najpierwsze zróżniczkowania czynności, a dalej narządów powstały wskutek niejednakiego oddziaływania środowiska na jednorodne zrazu części ustroju. Podobny różniczkujący wpływ otoczenia na czynności jednakich zrazu składowych pierwiastków społeczeństwa jest faktem stwierdzonym; z niemnniejszą też pewnością wnioskować możemy, że to samo stosuje się do rozwoju organizmów biologicznych. Zewnętrzne części (powłoki) zwierzęcia, wystawione na ciągle działanie wody morskiej, nie tylko muszą się zmienić inaczej, aniżeli części jego wewnętrzne, nie stykające się z wodą, lecz, co większa, zdolano np. wykazać, że rozmaita zawartość soli w wodzie stanowi o większej lub mniejszej twardości powłoki niektórych ustrojów.

Ale oddziaływanie środowiska na jednorodne zrazu części skupienia społecznego każe już domyślać się samego skupienia, a nadto pozwala przypuszczać, że w skupieniu tem istnieje już pewien podział pracy, pewne różniczkowanie. W najwcześniejszych początkach społecznego życia, a raczej w wypadkach, sprowadzających mniej lub więcej przelotne obcowanie dwu albo więcej jednostek, a będących jak gdyby zawiązkiem stosunków społecznych, społeczny podział pracy wylania się powoli, nieznacznie, z podziału biologicznego, z którym niekiedy zlewa się prawie zupełnie. Innemi słowy, podstawą jego są ilościowe

biologiczne różnice ustrojów. Należytemu zrozumieniu tego, iż życie społeczne jest dalszym rozwojem, rozszerzeniem życia wogólności, że więc społeczeństwo musi przedstawiać pewne cechy podobieństwa do złożonych ustrojów biologicznych, najczęściej stawiała na przeszkodzie ta właśnie okoliczność, iż porównywano z biologicznymi ustrojami społeczności najwyższe, w których zawilość stosunków maskowała pierwiastkowe pokrewieństwo znamion. Drugą przyczyną nieporozumień jest to, że się porównywa najwyższe, a przynajmniej wtórne, trzeciorzędowe i t. d. czynności społeczne z biologicznymi, zapominając o najprostszych, stojących jak gdyby na granicy pomiędzy sferą zjawisk społecznych a biologicznych. Trzecią natomiast i niemniej ważną przyczyną jest nieumiejętność należytego klasyfikowania objawów psychicznych, nieudolność dopatrzania się w nich wyższego i dalszego szczebla rozwoju procesów życiowych, które, jako takie, podlegać muszą w ewolucyi swej pewnym zasadniczym prawom biologicznym.

Przykładem ilościowych różnic biologicznych, dających początek społecznym różniczkowaniom, mogą być tutaj rozmaite stopnie fizycznej siły jednostek. Przykładem najpierwotniejszych biologicznych jakościowych odrębności osobników może być różnica płci. Obcowanie płciowe, o ile każe domyślać się współdziałania dwu albo więcej osobników, powodowanych pewnymi instynktami, przedstawia już zaczątek zjawiska społecznego; czystobiologiczny charakter posiada ono np. w wypadku konjugacji wodorostów.

Jednocześnie prawie z oddziaływaniem biologicznego podziału pracy na podział socyologiczny występuje też odwrotne działanie społecznych funkcji na biologiczne. Jeżeli właściwości płciowe samiczki u niektórych owadów stanowią o jej społecznej roli wśród skupienia tychże, to,

nie mniej społeczne potrzeby skupienia mogą przy pośrednictwie psychicznych przymiotów jego członków wpłynąć na wytworzenie samicy z zarodka, przeznaczonego zrazu na robotnicę bezpłciową. Brak miejsca nie pozwala nam tutaj wykazać bardziej szczegółowo ani tego, jak ściśm jest w początkach splatanie się biologicznych i społecznych czynników, ani też tego, że psychiczne własności jednostek, a dalej społeczeństw, są w znaczeniu jak najdosłowniej tylko dalszym rozwojem spraw życiowych. Odesławszy więc czytelnika po odnośne fakty do dzieł Espinasa i Guyau, powrócimy do właściwego przedmiotu tej pracy.

Psychiczność własności, stanowiących o wzajemnem oddziaływaniu składowych części społeczeństwa, usuwa, jak wiemy, w znacznej większości wypadków potrzebę bezpośredniego przylegania tychże części, czyli funkcjonalną ich zależność przenosi mniej więcej z dziedziny przestrzeni do dziedziny czasu. O ile przyleganie owo, tj. stosunek funkcjonalnej zależności w przestrzeni pozostaje w związku z mniejszą psychicznością jednostek, przekonywamy się z tego, że w wypadkach najmniejszej indywidualnej lub międzyjednostkowej asymilacji psychicznej funkcjonalna zależność przybiera postać czysto biologiczną, (ssanie, pocałunek, wszelkie zetknięcia i dotyknięcia bezpośrednie, zdradzające bądź stan aideizmu lub monoideizmu, bądź też słabe opanowanie sił przyrody). Dalej, w wypadkach mniejszej psychiczności społecznych skupień spostrzegamy również ściślejszą i bardziej bezpośrednią zależność czynności społecznych od biologicznych czynności jednostek. Zarówno same funkcje społeczne, jak i społeczna funkcjonalna zależność osobników, jest tutaj tylko uzewnętrznieniem bezpośrednim funkcji i zależności biologicznej. Królowe, robotnice, trutnie rojów lub mrowisk, tak wzajemnym stosunkiem swym, jak stałością i nie-

zmiennością poszczególnych funkcyi przypominają organizm biologiczny w sposób o wiele wyraźniejszy, niż społeczeństwa istot wyższych. Są to — w znaczeniu bardziej już dosłownem — organy, które jedynie pewna doza ich zdolności psychicznych uniezależniła nieco od przestrzeni. Zauważmy nadto, że owe psychiczne zdolności dążą tu stale do przejścia w stan bezwiednych instynktów, przez co podobieństwo z organizmem biologicznym wzrasta również. Gdyby społeczeństwa ludzkie odznaczały się cechami podobnemi, wówczas analogia ich z organizmem nie miałyby przeciwników; ale i teraz nie powinniśmy zapominać, o ile przejście od prostego skupienia biologicznego do najwyższych społecznych skupień jest stopniowe, ani też o tem, o ile w ustrojach najwyższych mniejszą wyrazistość analogii należy przypisać li tylko większej komplikacyi zjawisk, oraz, jak zobaczymy później, głównie temu, że funkcjonalna zależność w czasie, zastępując coraz bardziej zależność przestrzenną, nie doszła jeszcze jednak do wytworzenia właściwego sobie typu; mamy tu mieszaninę obu typów zależności, utrudniającą wszelkie porównania.

W pierwotnych społecznościach ludzkich, tak samo jak i w zwierzęcych, mniejsza psychiczność jednostki nadaje skupieniu również większe podobieństwo do organizmów. Ściślej tam jest związek funkcyi społecznych z taką zależnością funkcjonalną, jaka wyloniła się na gruncie funkcjonalnej zależności biologicznej; kasty kapłanów, wojowników, rolników i t. p. są tylko społecznem przedłużeniem takiej zależności funkcjonalnej, jakiej przyczyną pierwotną były biologiczne własności jednostek. Społeczne następstwo pokoleń każdej kasty związane jest ściśle z biologicznem następstwem; zależność funkcjonalna nie tylko w czasie ale i w przestrzeni jest prawie tak wielką, jak w organizmie. Takiemu stanowi rzeczy odpowiada też mniejsza psychiczność jednostek, dochodząca prawie do

stanu bezwiednego instynktu. Ale do stanu tego dojść ona ostatecznie nie może i w tem właśnie tkwi zagadka dal-  
szego rozwoju społeczeństw, przenoszącego funkcjonalną  
zależność ich części jeszcze bardziej do dziedziny czasu  
i maskującego podobieństwo ich do organizmów.

Tak więc, poczynając od organizmów prostych i prze-  
chodząc do złożonych, od tych znowu do takich, których  
poszczególne ogniwa przedstawiają się, jako całości jedno-  
stajne, złożone jednak z różnorodnych części i połączone  
ze sobą materyalnie tylko do czasu (ta siemiec), dalej,  
idąc do takiego zespolenia organizmów, w którym składowe  
jednostki są już niejednakie, z różnych składają się  
części (ssanie, rozmnażanie płciowe) i również tylko do  
czasu łączą się ze sobą materyalnie, przechodzimy do in-  
nych skupień (mrówki), w których odmienne, zróżniczo-  
wane jednostki jak najwyraźniej odgrywają rolę narządów  
i gdzie, wskutek małej psychiczności przymiotów indywi-  
dualnych, spostrzegamy stosunki, żywo przypominające  
organizm. Nakoniec mamy pierwotne społeczeństwa ludz-  
kie, w których słabe natężenie własności psychicznych,  
a raczej słaba indywidualna i międzynarodowa asymila-  
cja psychiczna, dochodząca niemal do stanu instynktów  
bezwiednych, nie pozwala na większe uniezależnienie się  
części skupienia od warunków przestrzennych, a w ten  
sposób wyraźniej niżli społeczeństwo istot wyższych przy-  
pomina nam ustroje czysto biologiczne.

Doszliśmy do wniosku, że gdyby społeczeństwa ludz-  
kie, na podobieństwo pszczół i mrówek, mogły być do-  
stać się całkowicie w moc instynktu, podobieństwo ich  
do organizmu nie mogłoby ulegać zaprzeczeniu.

Wspomniany wyżej Guyau, krytykując moralistów  
angielskich, wypowiedział w swoim czasie pogląd, który  
zwrócił uwagę wszystkich psychologów i socjologów.  
Utrzymywał on mianowicie, że w rodzaju ludzkim osta-

teczne utrwalenie się instynktów jest niemożliwe, gdyż samo uświadomienie się ich w nas sprowadza ich zagładę. Przytacza on mnóstwo przykładów modyfikacji i rozprzęgania się najbardziej podstawowych i zakorzenionych instynktów pod wpływem świadomości (instynkt płciowy we Francji, instynkt karmienia piersią wobec względów zdrowia dziecka i t. d.). Prawo to, streszczając w sobie fakt olbrzymiej doniosłości, sformułowanem zostało mylnie: instynkty rozprzęgają się nie pod działaniem samej świadomości, jako takiej, lecz za sprawą instynktów innych. Świadomość służy tu tylko do wyświetlania stosunku obu stron walczących, np. instynktu karmienia piersią z instynktem miłości macierzyńskiej, pragnącej uchować dziecko przed niebezpieczeństwami tegoż karmienia. Dla nas ważną tu jest ta okoliczność, że instynkty, uznane przez świadomość za szkodliwe, mogą i muszą ulegać rozprzężeniu (pod wpływami instynktu zachowawczego). Otóż, zachodzi pytanie: czy jest w jednostkach ludzkich jakaś potęga, pozwalająca mniemać, że wszelki instynkt szkodliwy wcześniej lub później przez świadomość wykrytym i zgładzonym będzie. Czy jest jaki instynkt zasadniczy, najwyższy, który ją do badań takich popychać będzie. Instynktem takim jest ciekawość. Czy jest, dalej, coś takiego, co mogłoby stanowić trwałą i pewną podstawę ciekawości. Nie podobna mi wdawać się tu w szczegółowy rozbiór zjawiska, poważylbym się jednak utrzymywać, że podstawą ciekawości jest to, co stanowi różnicę pomiędzy najwyższymi organizmami oraz ustrojami niższymi, że jest nią ta szczególna postać świadomości, zwana przez nas samowiedzą a właściwa prawie wyłącznie człowiekowi. Istotnie, samowiedza — owo ciągle, jak gdyby organiczne przeciwstawianie siebie przedmiotom zewnętrznym, nie może nie być rodzicielką ciekawości. Wszelki przedmiot, fakt albo stosunek niewyjaśniony, niewyodrębniony jasno,

nieprzeciwstawiony jej należycie, jest dla samowiedzy tem, czem dla czuciowości ogólnej byłoby jakieś ciało obce, przywierające boleśnie do tkanek ustroju, albo też ból jakiś niepokojący, ale nie umiejscowiony.

W ostatecznym przeto rozbiorze, sędzę, iż samowiedza jednostek jest siłą, nie pozwalającą przechodzić psychicznym ich własnościom w stan instynktów niezmiennych, zaś opartym na tych własnościach instytucjom w stan niezmiennych urzędzeń; myślę, że samowiedza ta dokonywa dalszej ewolucyi skupień nadorganicznych, oddalając je coraz bardziej od pierwotnego typu zależności przestrzennej i biologicznej, tak bardzo spokrewniającej je z organizmami. Samowiedza, słowem, nadaje psychicznym własnościom coraz wybitniejsze znaczenie w sprawie rozwoju społecznego.

Zobaczymy teraz, przelotnie, w jaki sposób ukształtować się muszą stosunki funkcjonalnej zależności w społeczeństwach, dla których podstawą rozwoju jest samowiedza jednostek.

Przedewszystkiem zarówno indywidualna jak i międzyorganizmowa asymilacja psychiczna musi tu osiągnąć największego swego natężenia. Natężenie to nie pozwoli, aby biologiczna zależność funkcjonalna danej chwili stała się prototypem przyszłych a licznych stanów społecznej funkcjonalnej zależności, aby np. całe biologiczne potomstwo wojowników miało odgrywać w społeczeństwie rolę również kasty wojowniczej. Miejsce dziedziczenia biologicznego zajmuje teraz jego tradycja. Samowiedza osobnika, jako podstawowy warunek społecznej ewolucyi, wysuwa go na plan pierwszy. O społecznej roli jednostki muszą wyrokować jej własne psychiczne i biologiczne przymioty, a tem samem nie biologiczne i psychiczne przymioty jej życiodawców; biologiczne następstwo pokoleń w stanach, kastach, warstwach i t. p. schodzi z widowni, a na jego

miejsce ukazuje się społeczne następstwo pokoleń w instytucjach, synowstwo biologiczne ustępuje miejsca społecznej adaptacji osobnika przez daną instytucję. Komórki wątroby mogą dać życie tylko komórkom wątroby, i oba ich pokolenia mogą tylko wydzielać żółć, dokonywają się zaś te sprawy dzięki asymilacji materjalnej. Jednostki organów wytwórczych, np. fabryki, dają życie następnemu pokoleniu jednostek tychże organów, jednostek, wykonywujących czynność tę samą, odbywają się zaś te sprawy dzięki międzyjednostkowej asymilacji psychicznej bądź w samych pracowniach, bądź w związanych z nimi funkcjonalnie zakładach naukowych.

Samowiedza i związane z nią przymioty psychiczne, będące podstawą społecznego rozwoju, usuwają wybitniejszą potrzebę przylegania jednostek, ale dla tego właśnie utrzymanie funkcjonalnego związku z całością może odbywać się nie inaczej, jak tylko za sprawą uświadomienia sobie przez jednostkę spraw i potrzeb społecznych. Uświadomienie to stanowić musi główną podstawę jej asymilacji psychicznej, tak samo jak odczuwanie normalnych lub nienormalnych, dalszych lub bliższych wpływów całego organizmu stanowi zasadniczy warunek biologicznej asymilacji komórki. Na tle owej ogólnej psychicznej asymilacji osobnika odbywać się może jego asymilacja poszczególna a dalej związane z nią poszczególne funkcje jego, jako organu całości.

Do tego jednak, aby społeczna rola jednostki odpowiadała w zupełności jej indywidualnym cechom, potrzebom samowiedzy, czyli podstawowym warunkom istnienia społeczeństw, niezbędnem jest takie zharmonizowanie funkcjonalnej zależności organów społecznych, żeby nie stawały one tamy osobistym celom jednostki; zharmonizowanie to nie jest możliwem bez ich uprzedniej społecznej integracji. Społeczeństwa pierwotne w kastach swych i t. p.

dawały już nam przykład integracji społecznej, ale takiej, która nie mogła zaspakajać potrzeb samowiedzy osobnika, gdyż opierała się na podstawach funkcjonalnej zależności, uwzględniającej zaledwie pierwiastkową organizację psychiczną, taką np. jakiej odpowiada w pewnej mierze organizacja mrówek. Samowiedza jednostki rozprzegąła aż dotąd owe narządy, integrowane z pominięciem jej wymagań. Wymaganiom tym odpowie integracja, oparta na uznaniu psychicznych nie zaś biologicznych, jak w kastach, stosunków jednostki do otoczenia, na dalszem jeszcze przeniesieniu funkcjonalnej zależności z dziedziny przestrzeni do czasu. Obecnie żyjemy właśnie w epoce takiego integrowania się narządów społecznych, że jednak nie przestały jeszcze działać zasady integracji dawniejszej, kastowej, przeto mamy chaos zjawisk, w którym trudno byłoby wykazać jakikolwiek typ zależności funkcjonalnej.

Do jakich wyników doprowadzić może potrzeba integracji narządów społecznych w poszczególnych dziedzinach: wytwarzania, wymiany, rządzenia, spożycia i t. p. to nas w tej chwili nie obchodzi. Zaznaczamy tylko raz jeszcze, że integracja owa będzie nieuniknionem następstwem a zarazem niezbędnym warunkiem normalnego zaspakajania potrzeb samowiedzy jednostkowej.

Po utrwaleniu się nowego typu funkcjonalnej zależności narządów społecznych znowu z większą niż dzisiaj wyrazistością ujawni się podobieństwo społecznego skupienia do organizmu, podobieństwo, polegające na wzajemnej zależności funkcji całości od funkcji części i naodwrot, tylko że, dzięki psychiczności podstawowych czynników społecznego życia, zależność przeniesiona zostanie jak gdyby do wymiaru czwartego. Zrozumienie tej innowymiarowości powinno uchronić nas przed rozczochranym indywidualizmem, który z faktu większego uniezależnienia się funkcji społecznych od stosunków przestrzeni gotów

jest wnioskować o zupełnym braku wszelkiej zależności i który zapomina, że świadomość jednostki o tyle tylko znajdzie dla siebie pole rozwoju, o ile nie będzie się rozbiła co chwila o bezładne fale anarchii niezintegrowanych funkcyi i narządów społecznych.

## II.

*Szkice socyologiczne* wyłącznie prawie poświęcone są zagadnieniu, które przed laty kilkunastu, a i dziś jeszcze żywo zaprzęta teorytyzujące umysły tak u nas, jak gdzieindziej — rozbiorowi tak zwanej teorii «społecznego organizmu». Nagłówek jednego ze «szkiców» «Czy społeczeństwo cywilizowane jest organizmem?» każe domyślać się, że jakieś (np. niecywilizowane) społeczności autor może uznawać za organizm (albo naodwrot, że nazwy organizmu nie uznaje za błędną w stosunku do społeczeństw niektórych). Jakoż tak jest istotnie. Wspierając się na analogiach, ze świata biologicznego zaczerpniętych, Krusiński przychodzi do wniosku, że dawne społeczeństwa rodzinne, rozwijające się z pnia wspólnego i zharmonizowane we wszystkich swych częściach, można było nazywać organizmami. Natomiast, wbrew znanej «teorii» Spencerowskiej utrzymuje on, że dzisiejsze społeczności — z ich pochodzeniem podbojowem, z ich wewnętrznymi, zasadniczymi rozterkami, i przeciwieństwami klas — bynajmniej porównania z organizmem nie wytrzymują. Autor różni się od owych krytyków Spencera, którzy odpychali ze wstrętem analogię «organizmu», sądząc naiwnie, wraz z najpierwotniejszym jej twórcą — Meneniuszem Agrypą, że obowiązuje ona do wiekuistego utrzymywania całych mas ludności w ciężkiej niewoli, ciemnocie i w trudach nadmiernych. Przeciwnie, nietylko zdaje się on nie obawiać,

lecz nawet pożąda takiego stanu rzeczy, w którymby społeczność przedstawiała organiczną harmonię części; zaznacza jednak, iż obecnie harmonia ta nie istnieje i nie może istnieć.

Poza tem wszakże autor popelnia zasadniczy błąd, właściwy wszystkim, o ile wiem, dotychczasowym krytykom Spencera: nie określa ani podstawowej, niczem nie dającej się usunąć analogii pomiędzy organizmem a społeczeństwem, ani podstawowej pomiędzy nimi różnicy. Wskutek tego traci on łatwo nić podobieństwa tam, gdzie działanie różnicy staje się widoczniejszym, zaś z drugiej strony zbyt niewolniczym jest wyznawcą biologicznej analogii tam, gdzie głębiej ukryła się różnica. Oprócz tego błędu zasadniczego, popelnia on jeszcze inny, nie mniejszej może doniosłości: oto, wyraziwszy głębokie uznanie dla «metody» ewolucyjnej, sam jednak albo nie poznał jej dostatecznie, albo nie uwzględnił. Błąd pierwszy stał się przyczyną tego, że autor przecenia doniosłość «pochodzenia od pnia wspólnego» w sprawie analogii społeczeństwa z organizmem; błąd drugi pozwolił mu porównywać wybitnie dynamiczne ogniwo rozwoju, jakim jest stan społeczeństw dzisiejszych, ze statycznym ogniwem, jakie przedstawia nam dojrzały organizm zwierzęcy.

Na innym miejscu starałem się wykazać parokrotnie, że cechą zasadniczego podobieństwa pomiędzy organizmem a społecznością jest czynnościowa zależność ich części, zaś cechą podstawowej różnicy pomiędzy nimi jest to, że o bezpośrednich stosunkach składników organizmu stanowią ich własności biologiczne, zaś o bezpośrednich stosunkach składników społeczeństwa ich psychiczne przymioty. Dzięki właśnie tej różnicy, czynnościowa zależność pomiędzy częściami społeczeństwa coraz bardziej wylamuje się z pod tyranii stosunków przestrzennych i wogóle z pod władzy materialnych czynników:

fizycznych, biologicznych, ekonomicznych i t. p. Rozwój a względnie postęp polega w obu wypadkach na ciąglem wzmaganiu się czynnościowej zależności. Określenia te ogarniają wszelkie pomniejsze różnice i podobieństwa, a nadto pozwalają nam one jasno spostrzegać tak dobrze odmienność tam, gdzie rozwój życia społecznego niewolniczo zdaje się naśladować życie organizmu, jak również podobieństwo w takich razach, kiedy czynnościowa zależność trwa w całej mocy, pomimo usunięcia się czynników materyalnych na plan dalszy.

Autor wyrzekł się tej nici przewodniej. Oto dlaczego, przeprowadziwszy czytelników przez pierwotne zbiorowisko społeczeństw rodzinnych i wskazawszy im chaos dzisiejszego życia społecznego, pozostawił ich, rzecz można, w niepewności co do przyszłych losów nieszczęśliwej analogii organicznej. W dzisiejszem społeczeństwie Krusiński analogii tej znaleźć nie umiał. Zbyt niewolniczo przypisując «organiczne» własności społeczeństw pierwotnych czynnikowi biologicznemu, t. j. «wspólnemu» ich pochodzeniu, uczuł się on nagle pozbawionym prawa do upatrywania podobieństw «organicznych», gdy mu owego czynnika zabrakło. Przeczenie jego, zresztą, pod tym względem, jakkolwiek dość stanowcze, zlagodzonem jednakże zostało, kiedy ubocznie przyznał się on do tego, że procesy biologicznego rozkładu, jako mniej znane, nie mogą tak łatwo dostarczyć analogii tym, którzy w obecnem życiu społecznem widzą rozkład socjologiczny. To znaczy, że gdyby owe procesy były autorowi znane, nie wahałby się on zapewne uznać nawet w dzisiejszych podbojowych społeczeństwach analogii z organizmem, a to pomimo braku wewnętrznej harmonii ich części, pomimo, że nie pochodzą od «pnia wspólnego». Powiem więc: nie tylko poznanie praw biologicznego rozkładu, ale należyta znajomość praw rozwoju biologicznego byłaby

pozwołała autorowi analogii owej nie przeoczyć. Utrzymałbym, że od najpierwszych brząsków rozwoju społeczeństw aż do dnia dzisiejszego analogia ta ani przez chwilę nie była zawieszoną; należałoby raczej dziwić się, iż formy czynnościowej zależności pomiędzy częściami społeczeństwa tak mało jeszcze odbiegły od form czynnościowej zależności pomiędzy częściami organizmu, że pierwsze są tak niewolniczym odtworzeniem drugich, że czynniki wyższe zbyt słabo jeszcze owały niższymi czynnikami.

Wychodząc z naszych określeń podstawowych, mogliśmy, co prawda, nie zwracać zbyt wielkiej uwagi na to, czy i o ile dotychczasowe dzieje społecznego rozwoju były odtworzeniem w pewnej płaszczyźnie dziejów rozwoju biologicznego, odbywającego się niejako w płaszczyźnie tylko innej; należałoby może wskazać, jakim stadiom organicznego rozwoju odpowiada stan społeczeństw dzisiejszych. Nie uważając organizmu za kopię, lecz tylko jak gdyby za trójwymiarową projekcję czterowymiarowego skupienia społecznego, nie mamy ani potrzeby, ani obowiązku wykazywania równoległości ich rozwoju, doświadczyłoby zaznaczyć, że czynnościowa zależność istnieje w obu wypadkach, a następnie badać tę zależność w każdym z nich z osobna. Ale fałszywe stanowisko zwolenników «teorii organizmu», którzy, zbyt niewolniczo holdując analogiom biologicznym, nie umieli jednakże nigdy należycie ich uwydatnić, gdyż nigdy nie starali się zająć stanowiska naprawdę rozwojowego, dynamicznego — zniewała nas do analizy bardziej szczegółowej. W wypadku danym przemawia też za nią obowiązek krytyka.

Cokolwiek powiemy tutaj, zadaniem naszym nie będzie obrona jakiejś nie istniejącej, materialnej tożsamości organizmu oraz społeczeństwa, tak nieudolnie bronionej przez zwolenników «teorii» i zwalczanej niepotrzebnie przez jej przeciwników, ale stwierdzenie istotnego podo-

bieństwa czynnościowej zależności składowych części ustroju, oraz części społeczeństwa.

Już mówiąc o najpierwotniejszych społecznościach rodzinnych i nazywając je organizmami, pomimo, że ich częściom składowym brakowało tak ważnej i prawie powszechnej cechy organizmów biologicznych — bezpośredniego przylegania w przestrzeni, autor tem samem wykazał, iż pojmując na czem właściwie zasadza się ich «organiczność» — oto na pewnych stosunkach tych części, na stosunkach ich zależności czynnościowej. Że zaś owa zależność utrzymywała się pomimo braku przylegania — przeto źródłem jej było oczywiście coś takiego, co nad warunkami przestrzeni mogło zapanować; były niem czynniki psychiczne; skoro tak jednak, skoro czynniki owe zastąpiły najbardziej może podstawowy warunek życia organicznego — bezpośrednio przyleganie — tedy mimowoli zapytujemy siebie, czy nie zastąpią one z czasem innego warunku — «pochodzenia od pnia wspólnego», warunku, który nietylko nie jest nieodzowną podstawą organicznego rozwoju, ale wprost uniemożliwia wyższe jego stadya. Autor, odpowiadając na pytanie to przecząco, popełnił błąd podwójny: naprzód spaczył on prawdę biologiczną, uważając domyślnie rozmnażanie się i rozwój bezpłciowy za jedyne rozrodcze procesy organizmów, potwóre zaś, nie umiał uwydatnić właściwej przyrody czynnika socyologicznego, który sprawia, że analogia czynnościowej zależności części społeczeństw i części organizmów trwa ciągle, pomimo rozluźniania się i usuwania więzów biologicznych, bardziej zależnych od przestrzeni. Oba te błędy uniemożliwiły nietylko wyzyskanie, ale wprost nawet dostrzeżenie istniejącego naprawdę, jak najbardziej istotnego podobieństwa pomiędzy rozwojem dzisiejszych społeczeństw i rozwojem organizmów wyższych.

Naprzód zaznaczmy tu w sposób jak najbardziej sta-

nowczy, iż żaden z organizmów wyższych nie rozwija się «z pnia wspólnego», lecz jedynie z dwu pni przynajmniej, z których każdy jest wytworem dwu innych i t. d. Nieprawdą jest, że tylko społeczeństwa pierwotne podobne są do organizmu, że tylko czynnościowa zależność ich spraw rozrostu, żywienia się, rozmnażania — przypomina czynnościową zależność organizmów biologicznych. Natomiast słusznym byłoby twierdzenie, że społeczności takie podobne są do niższych ustrojów bezpłciowych. Nieprawdą jest, że ze zlania się dwu odrębnych osobników nie może powstać organizm nowy, gdyż tylko w taki sposób powstają wszystkie organizmy wyższe. Autor bardzo nieumiejętnie posługiwał się bronią analogii, chcąc odpowiedzieć na pytanie: czy może organizm społeczny być wynikiem zespolenia dwu albo więcej społecznych ustrojów. Idąc śladem zapewne Espinasa, roztrząsał on tutaj stosunki pasorzytnictwa, komensalizmu, mutualizmu <sup>1)</sup> i wyprowadził z nich wnioski przeczące. Ależ zjawiska owe, gdyby nawet całkowicie należały do zakresu biologii (czego nie można o nich powiedzieć) nie byłyby mogły dostarczyć tutaj przesłanek do jakiegokolwiek wniosku na korzyść możliwości powstawania jednego organizmu biologicznego z dwu organizmów odrębnych, a tem samym (przez analogię, którą autor chciał niby przestrzegać) na korzyść lub niekorzyść możliwości takiegoż powstawania społecznych ustrojów. Uczępiwszy się tak niewolniczo biologicznej analogii rozmnażania się komórek z jednego pnia wspólnego — gdy była mowa o społecznościach najniższych — autor nagle opuszcza tę jedynie prawowitą analogię czynników i stosunków rodzonych, a natomiast

---

<sup>1)</sup> Pomiął przytem jednakże stosunek symbiozy np. porostów z grzybami, w których dwa różne rodzajowo ustroje stanowią istotną całość biologiczną — z rzetelną wymianą usług.

szuka objaśnień i wzorów w socyologicznej sferze od-  
ż y w c z y c h stosunków (komensalizm, mutualizm, paso-  
rzytnictwo). Z równem powodzeniem można byłoby dowieść,  
że gdy wąż np. owinie się trzy razy dokoła drzewa, to  
podobne zetknięcie się dwu tych różnych ustrojów nigdy  
nie wytworzy nowej istoty organicznej; albo jeszcze —  
aby karykatura zbyt nie odbiegała od swego pierwo-  
wzoru — że kiedy wilk dusi jagnię, to ten «mutualizm»  
nie da życia jakiemuś owco-wilkowi. Tak więc, analogia  
biologiczna nie tylko upoważnia nas do przypuszczenia, że  
z dwu organizmów społecznych może powstać nowy spo-  
leczny organizm, ma się rozumieć z wewnętrzną harmonią  
części, ale wprost nakazuje powiedzieć, że inaczej wyższe  
organizmy nie powstają. Pozostaje nam tylko zobaczyć,  
o ile rozradzanie się płciowe w świecie biologicznym od-  
powiada procesowi powstawania społeczeństw «podbojo-  
wych» — w dziedzinie społecznych zjawisk; o ile stosunki  
czynnościowej zależności w jednym wypadku odpowia-  
dają stosunkom takiejże zależności w drugim — gdyż je-  
dynie o tej zależności, nie o jakimś somatycznym podo-  
bieństwie można tu mówić. Dodajmy, że w społeczeństwach  
najprostszych dla socjologa właściwa analogia zasadzała  
się również nie na mnożeniu się cielesnem (gdyż to, nie  
odpowiadając zresztą bynajmniej procesowi bezpłcio-  
wego dzielenia się komórek, jednakowo odbywać się może  
i odbywa w społeczeństwach podbojowych, czasem zaś  
stanowi *primum movens* ich powstawania), ale na czynności-  
owej zależności, na owej «harmonii» części.

Rozmnażanie się płciowe — z pewnego stanowiska —  
można nazwać istnym podbojem; mała grupa, pełnych  
energii, katabolicznych cząsteczek nasienia opanowywa  
spokojne, liczniejsze, anaboliczne, t. j. przeważnie «groma-  
dzące» cząsteczki jajka, tracąc przytem swoją indywidual-  
ność jako grupa i narzucając ją w zmienionej postaci

cząsteczkom tegoż jajka, wśród których rozpoczyna się dalszy rozwój -- istna orgia przewrotów... Analogia czynnościowej zależności składników powstającego organizmu oraz czynnościowej zależności składowych części ukazującego się «podbojowego» społeczeństwa jest tutaj daleko większa, aniżeli wymaga nasze własne pojmowanie podstawowych różnic i podobieństw pomiędzy ustrojem a społecznością; zaś w stopniu zadziwiającym, gdyż w sferze o wiele liczniejszych zjawisk i stosunków, niż to było u społeczeństw najprostszych, odpowiadałaby ona «organicznym» ideałom autora, gdyby analogii owej szukał on we właściwym zakresie.

Ważną jest rzeczą zrozumienie tego, że zarówno w przytoczonych wyżej jak i w dalszych przykładach podobieństwo to nie jest rzeczą przypadku: nie trzeba tylko szukać trywialnej analogii kształtów, barw, rozmiarów, i t. p. dwu skupień. Ale czynnościowa zależność ich części musi być podobną, gdyż w obu wypadkach jest ona wyrazem pewnego układu spraw jednakich; w wypadku drugim przybywa tylko nowa siła między-narządowa — siła psychiczna, ona to właściwie stanowi o różnicy, polegającej przedewszystkiem na większem uniezależnieniu składowych części od przestrzeni, ale potęgującej się jedynie zwolna i stopniowo.

Wszystkie dalsze nieporozumienia, błędy i sprzeczności autora ztąd wypływają, że porównywał on doskonały organizm wyższy z rozwijającym się społecznym ustrojem. Ztąd to właśnie owe niemal rozpaczające zapytania Krusińskiego, któremi miał on widocznie zamiar zdruzgotać, unicestwić teorię organizmu. «Cóż to bowiem za organizm, którego różne członki są obce pochodzeniem, którego rozwój przedstawia szereg przewrotów, w którym wrze nieustanna walka wszystkich przeciwko wszystkim» i t. d. Biolog wobec tych zapytań nie

może się obronić zgorzeniu. Jakto, «co za organizm?» Ale każdy, wszelki rozwijający się organizm wyższy. W każdym takim organizmie dwie zespolone najpierwej grupy cząsteczek są obce sobie pochodzeniem (nasienie i jajo); przypuszczać zaś wolno, że i później najbardziej anaboliczne narządy (trawienia) stają się siedliskiem anabolicznych własności jajka, zaś bardziej kataboliczne narządy (nerwy) stają się siedliskiem katabolicznych własności nasienia. We wszelkim organizmie wyższym rozwój przedstawia, między innymi, «szereg przewrotów»; o tem, co się dzieje z biedną substancją jajka po zapłodnieniu, wiedzą dobrze ci, którym nie obce są zjawiska karyokinezy. We wszelkim rozwijającym się organizmie wyższym, w pewnych tego rozwoju okresach, «wre nieustanna walka wszystkich przeciwko wszystkim». Żadna rewolucya społeczna lub polityczna nie daje wyobrażenia o takim stanie, o takiej orgii zniszczenia, jaka odbywa się np. w pewnych rozwojowych stadyach niektórych owadów. Przyczyną tej walki nie są pasorzyty ani «wrogie siły zewnętrzne», ale jak najbardziej wewnętrzne, przyrodzone, nieuchronne prawa jak najbardziej organicznego rozwoju; jest nią zmieniający się w pewien sposób pod działaniem wpływów najrozmaitszych stosunek czynnościowej zależności składników. Zarówno postępowe jak i wsteczne, zarówno normalne jak i chorobne ogniwa tego rozwoju, zarówno jego bodźce jak i jego hamulce aż do złudzenia odtwarzają rozwój społeczeństw.

Po opanowaniu pracowitej, anabolicznej, skupiającej i względnie znacznej rzeszy cząsteczek jajka przez zaborcze «wiecznie głodne», jak mówią biologowie, kataboliczne i nieliczne względnie cząsteczki nasienia — następuje pierwiastkowa segmentacja jajka, t. j. podział jego na równe cząstki, okręgi, «marki», podział, którego następstwem (w jajku — bezwiednem, w społeczności — świadomem)

jest możliwe równomierny rozkład siły czynnej, ze-  
środkowanie jej w poszczególnych centrach (jąderka nowo-  
powstałych komórek). Dalej, następuje wytwarzanie się  
znanych embryologom trzech warstw zarodkowych — nie  
organów, jakie autor jedynie pozwolił posiadać organizmom,  
ale warstw, z których dopiero później rozwiną się trzy  
grupy organów «zawodowych» — ochronno-kierowniczych,  
odżywczych i pośredniczących. Przyczyną powstawania  
ich w ustrojach (społecznych i zwierzęcych) jest naprzód  
stosunek do otoczenia, dzięki któremu powstają dwie war-  
stwy, powtórze zaś nieodzowność koordynacji ich obu —  
dzięki czemu powstaje warstwa trzecia. Ma się rozumieć,  
że o takim lub innym ustosunkowaniu się do otoczenia  
stanowią w organizmie i społeczeństwie już wewnętrzne  
przemyoty składników — czynność i bierność, katabolizm  
i anabolizm.

Brak miejsca nie pozwala tu przedstawić podobień-  
stwa w całkowitej jego pełni. Zaznaczymy więc tylko, że,  
już nie mówiąc o wspomnianych wyżej przewrotach orga-  
nicznych, dzięki którym cała mozolnie stawiana budowa  
dawnych ukształtowań idzie na marne, dzieje rozwija-  
jącego się organizmu bynajmniej nie usprawiedliwiają  
eptymistycznych złudzeń autora, że tam «każda komórka  
pracuje według sił swoich i dostaje podług potrzeb». Roz-  
wój ten jest to ciągła walka wewnętrzna narządów da-  
wnego typu z narządami typu nowego — w której dostaje  
się nieraz jednym i drugim: mamy tam powolne marnienie  
z głodu (organy cząstkowe), mamy całkowite odrzucanie  
i wyrzucanie narządów (organy prowizoryczne), mamy  
w pewnych okresach rozwój jednych organów kosztem  
drugich (szczęki i łuki szklowe), a poza tem wszystkim  
mamy cały szereg procesów patologicznych, które  
w najkrytyczniejszych razach mogą uratować stanowisko

«organicznika», a z których tak przeciwnicy, jak zwolennicy organicznej teorii — bardzo mały robili dotąd użytek.

Zobaczmy teraz, o ile w oświeceniu właściwie, t. j. naprawdę «ewolucyjnie» stosowanej teorii organicznej — społeczeństwa dzisiejsze mogą być porównywane z biologicznym ustrojem.

Nie umiając zająć stanowiska naprawdę ewolucyjnego, tak stronnicy jak i przeciwnicy organicznej teorii społeczeństw wikłali się zawsze w tysiącznych sprzecznościach i trudnościach nie do wybrnięcia. Z jednej strony niepodobna im było unikać potwornych wniosków, do jakich prowadziła np. biologiczna zasada specjalizacji pracy, z drugiej znowu trudno było nie dostrzedz podobieństw, które się narzucały z siłą nieubłaganą. Każdej ze stron obu przeciwnik, po wysłuchaniu wszystkich jej dowodów, mógł odpowiedzieć zawsze: *eppur si muove* — «a jednak organizm jest czemś innym, aniżeli społeczeństwo».

Największą atoli przeszkodą do należytego rozwiązania trudności, do zbudowania jako tako naukowej teorii społeczeństw, pozwalającej przewidywać przyszły ich rozwój i tłómaczyć miniony, nadewszystko zaś teorii, dającej możność nieprzeczenia faktom istotnego podobieństwa i różnicy — było nieuznawanie tej prawdy, że tak samo jak podstawowem zjawiskiem życia organicznego jest asymilacja, albo, mówiąc ogólniej, wymiana materji (odbywająca się z konieczności w granicach bezpośredniego przylegania), tak zasadniczem zjawiskiem społecznego życia jest asymilacja, albo mówiąc ogólniej, wymiana psychicznej substancji — myśli, uczuć, dążeń i t. p. odbywająca się w coraz większem uniezależnieniu od czynników biologicznych (np. bezpośredniego przylegania, pokrewieństwa); że tak samo jak komórki organizmu tylko wtedy stanowią narząd, kiedy się utrwali pomiędzy niemi łączność biologiczna, tak jednostki społecznego skupienia wówczas

jedynie tworzą jego organ, gdy zjawi się pomiędzy niemi psychiczna łączność; że nakoniec — tak samo jak w ustroju zwierzęcym materya odżywcza musi przybrać pewną postać ogólną, aby mogła być asymilowana, oraz pewną szczególną postać, aby mogła stanowić przedmiot wymiany pomiędzy narządami i wpływać na jej przebieg, tak też psychiczna substancya musi przybrać pewną ogólną postać (np. altruizm) oraz pewną postać szczególną (np. idei albo dążeń klasowych) aby mogła być asymilowana, aby stanowić mogła przedmiot wymiany pomiędzy narządami i na przebieg jej wpływać.

Do zapoznania tej zasadniczej prawdy socyologicznej (podstawowe znaczenie psychicznej asymilacji w rozwoju społeczeństw), dającej zupełną możność zwalczenia wszystkich krańcowości organiczników — bez usuwania jednak istniejącej naprawdę «organicznej» analogii — przyczynili się najbardziej niektórzy z teoretyków socjalizmu, t. j. ci właśnie, którzy najżarliwiej na krańcowości owe napadali, a którzy, wykazawszy całkowitą doniosłość czynników, aż dotąd zapoznawanych (materyalnych), mieli, jak się zdawało, najwięcej widoków zbudowania umiejętnej teorii socyologicznej. Ale wielkość zdobyczy właśnie utrudniała i opóźniła pochod ich dalszy. Zapatrzeni w materyę, w narzędzia i wytwory materyalne, zapomnieli oni o wewnętrznych przyczynach przeobrażeń. Postępowali przytem, jak byłby postąpił biolog, któryby, mówiąc o zanikaniu oskrzeli kijanki i o tworzeniu się w niej płuc, podnosił li tylko działanie czynników zewnętrznych, materyalnych (wody, powietrza), pomijając podstawowe biologiczne własności komórek oraz zjednoczone tychże własności działania. Tymczasem, nie dość jest zaznaczyć, że jednostka ludzka ma świadomość, podczas gdy komórka jej nie ma; różnica ta bowiem — pomijając jej nieścisłość — nie daje nam rękojmi,

że z biegiem czasu niektóre jednostki świadome nie staną się automatami, (tę właśnie obawę rodzi w nas «organiczna» teoria w jej sformułowaniu spencerowskim); należy wykazać, że w społeczeństwach ludzkich świadomość ta nie zaginie, oraz że wymiana owej świadomości jest podstawowym życia społecznego zjawiskiem. Usiłowałem dowieść tego gdzieindziej<sup>1)</sup>, tutaj więc postaram się tylko uwydatnić, jak łatwo dają się usunąć rzekome sprzeczności pomiędzy organizmem i społeczeństwem, oraz jak błahemi są wszystkie «niebezpieczeństwa» teorii organicznej — jeśli się owe zasadnicze prawdy uwzględni.

Jako przykład, roztrząśniemy jedno tylko zjawisko społeczne — takie wszakże, które było przyczyną największych napaści na «teorię organiczną», które przeciwnikom jej dostarczało najsilniejszych na jej niekorzyść argumentów, (jakkolwiek było wspaniałym potwierdzeniem organicznej analogii), a w którego rozbiorze tak przeciwnicy jak i zwolennicy społecznego organizmu wykazali największą nieudolność zajęcia stanowiska rozwojowego i zrozumienia istotnej przyrody podstawowego socjologicznego czynnika.

Ubolewając nad położeniem warstw pracujących, czyli t. zw. «proletaryatu», Krusiński, jak i wszyscy krytycy jego pokroju, z największą pewnością pokonania przeciwników zapytuje wszech wobec i każdego z osobna: w jakimże to organizmie pierwiastki najbardziej produkcyjne giną z wycieńczenia, zaś najmniej produkcyjne mają się najlepiej? Jednostki owe są dla autora tylko dlatego

---

<sup>1)</sup> Oceniając *Szkice filozoficzne* p. Hirszbanda, starałem się dowieść, że świadomość przybiera wśród ludzi wyższą postać samowiedzy, ta zaś, dążąc z samej przyrody swojej do coraz wyraźniejszego wyodrębnienia naszej jaźni od osób i przedmiotów otaczających, sprawia, że na miejsce dawnych zautomatyzowanych form świadomości ukazują się wciąż nowe.

najbardziej produkcyjnymi, że ten zażarty przeciwnik ciasto pojmowanej teorii społecznego organizmu ani na chwilę nie umiał uwolnić się z jej kleszczów. Jak najpośledniejszy organicznik stoi on tutaj niewolniczo na gruncie analogii biologicznej. Nie domyśla się nawet, że gdyby stosował porównanie socyologiczne, t. j. z uwzględnieniem podstawowej różnicy i zasadniczego czynnika życia społecznego (asymilacja psychiczna), wówczas tak owej jego największej produkcyjności, jak i samym produkcyjnym jednostkom, odpowiadałoby w organizmie zwierzęcym coś zgoła innego, aniżeli np. komórki żołądka oraz ich działalność; gdyby zaś nadto porównania swego zażywał ewolucyjnie t. j. zestawiał dwa odpowiadające sobie nie zaś całkiem różne okresy rozwoju społeczności i organizmu, byłby z łatwością znalazł, czemu mianowicie to może odpowiadać. Co do nas, to jakeśmy powiedzieli dawniej, ubolewamy jedynie nad tem, że postęp społeczny jest tutaj tak niewolniczem odbiciem organicznego rozwoju, że podstawowy proces społecznego życia (asymilacja psychiczna) odbywa się tak słabo, iż wszelkie przeobrażenia społeczne odznaczać się muszą tak ślepą żywiowością.

Tyle wiemy dziś wszyscy z biologii, że rozwój osobnika streszcza w sobie jak gdyby rozwój minionych pokoleń jego przodków; technicznie wyrażamy tę prawdę, mówiąc, że ontogenia jest skróconą filogenią. Prawo to stosuje się do wszystkich organizmów wyższych, ale szeroki ogół najczęściej widuje działanie jego w tak zwanych przeobrażeniach owadów: pelzająca po drzewie gąsienica jest odtworzeniem typu niższego (robaków), jaki w epoce zamierzchłej poprzedził ukazanie się owadów. W każdym z tych poszczególnych stadyów rozwijający się organizm jak gdyby «zapędza się» zbytnio w kierunku owego niższego typu: dla osiągnięcia szczybli wyższych niezbędnem się staje mniej lub więcej znaczne zaburzenie budowy

już ukształtowanej. Wytworzone już tkanki (np. mięśnie) ulegają w takich razach stłuszczeniu; komórki tłuszczu, będące tedy produktem biologicznego rozkładu, wytworem narządów zanikających — najluźniej ze sobą spojone, najmniej ważne w sprawie czynnego posuwania rozwoju, biernie odgrywają rolę bardzo doniosłą: gromadzą one materię odżywczą dla innych komórek i same stają się ich lupem. Tak jest, w pewnych stadyach rozwoju wszelki organizm żywi się, między innymi, kosztem własnych swych tkanek. Im wyższym jest organizm, a nade wszystko im dłużej na wyższym szczeblu pozostawał, tem krótszymi są owe powroty do typów niższych, tem słabszymi zboczenia, tem łagodniejszą i mniej wyczerpującą walka z dawnym ukształtowaniem. Dawny narząd tem łatwiej będzie się przeobrażał (łuki i szczęki), tem mniej będzie luźnych produktów rozkładu. Inną, jak gdyby zewnętrzną przyczyną takich ułatwień może być już nie sam stopień rozwoju, ale szczególnie sprzyjające otoczenie biologiczne, fizyczne i t. p. (woda morska i zewnętrzne powłoki rakowatych).

W czasie tworzenia się organów nowych istnieją narządy prowizoryczne, które pełnią ich czynność zastępczo, a potem również znikają lub odpadają.

W rozwoju społecznym archaiczna forma tak zwanych społeczeństw rodzinnych, mocno zależnych od czynnika biologicznego, jest prototypem, pierwowzorem, do którego powracają czasowo wszystkie wyższe ustroje społeczne. Kastowe społeczeństwo epoki dawniejszej, cechowo-feudalne skupienia wieków średnich, były to właśnie takie organizmy społeczne, w których, pomimo znacznego wyzwolenia się z pod mocy czynników biologicznych, budowa społeczna kształtowała się podług rodzinnych wzorów; dziedziczenie godności i zawodów, zależne od związków cielesnych, stosunki ojcowsko-synowskie (w złem i dobrem

znaczeniu) pomiędzy jednostkami niespokrewnionymi — były tego objawem. W epoce wieków średnich zboczenie to było mniej wyraźne i trwało krócej, aniżeli w tysiącletnim okresie kastowego życia społeczeństw.

Jak dalece «podbojowość» pochodzenia była tylko ofiarnym kozłem autora, dzięki temu, iż nie umiał on ewolucyjnie porównywać stadyów społecznego rozwoju z okresami rozwoju biologicznego, świadczy najlepiej ten fakt, że kastowe społeczności dawniejsze i feudalno-cechowe społeczeństwo wieków średnich, pomimo mniejszej odległości od owego «podbojowego» początku, były bardziej organicznymi, niż dzisiejsze. Jakkolwiek bowiem dalecy już jesteśmy od owej naiwnej wiary w nieruchomość i zakrzepłość wieków średnich, to jednak niepodobna nie uznać — a uznanie tego wypowiadali wszyscy socjologowie od Janeta do Marksa — że stosunki ówczesne były bardziej ustalone, harmonijne i «organiczne», aniżeli owa burza przewrotów, jaką w Anglii np. sprowadził wielki przemysł fabryczny w czasach późniejszych — bardziej odległych od «podbojowego» początku społeczeństw. Dla czego owa podbojowość poczęła działać wtedy, kiedy się prawie zatary ślady różnic pochodzenia, języka, religii, kiedy przez tyle wieków operowała jak ultraorganiczny społeczny «rękami», «głowami», «pazurami» i t. p. to w teorii Krusińskiego, (rozwijanej konsekwentnie), pozostać musi tajemnicą.

W obu dziedzinach zjawisk — biologicznej i socjologicznej — przyczyną uwstecznień czynnościowej zależności są nie tylko czynniki materialne i zewnętrzne, ale nadto wewnętrzny czynnik doniosłości ogromnej: rozpęd dziedziczności biologicznej — w jednym, socjologiczne dziedziczenie (tradycja) — w drugim wypadku.

Przypisując zbyt wielką wagę formom produkcji i wogóle czynnikom materialnym, socjologowie niektórzy

nie umieją uwydatnić całej doniosłości innych czynników, kształtujących owe kasty — czynników tradycyi, wierzeń, zwyczajów, które sprawiały, że prawie nie umiano sobie wyobrazić, aby potomkowie rolników mogli być czemś innym, niż rolnikami.

Aż do znudzenia powtarzali nam wszyscy, że obecna doba historyczna jest epoką przejściową, nigdy jednak nie uwydatniono należycie całej socyologicznej doniosłości tego twierdzenia. Co ono znaczy? Oto w społeczeństwach dzisiejszych niektóre z organów społecznej budowy, ukształtowane podług typów archaicznych, ulegają zburzeniu, natomiast powstają nowe narządy, bardziej od czynników biologicznych wyzwolone, więcej pozostawiające wolności zasadniczemu czynnikowi życia społecznego — asymilacyi psychicznej. Organy, dające się porównać najlepiej z mięśniami — rzemiosło i rolnictwo — będące dawniej istotnymi narządami społecznej budowy, gdyż połączone stosunkiem psychicznej asymilacyi ogólnej i szczególnej (tradycye, obyczaje) — ulegają zburzeniu. Proletaryat pierwsiastkowy, złożony z luźnych, rozproszonych jednostek, nie jest bynajmniej «organem» społeczeństwa — nawet wtedy, gdy pracuje najwięcej; jest on tylko produktem rozkładu organów dawniej istniejących. Mówiąc «socyologicznie» — nietylko nie jest on «najbardziej produkcyjnym», ale zgoła produkcyjnym nie jest; jednostki jego, będące produktem socyologicznego rozkładu, wytworem narządów zburzonych, najmniej ze sobą spojone, najmniej ważne w sprawie czynnego posuwania postępu, biernie odgrywają rolę bardzo doniosłą: gromadzą one materię odżywczą dla innych komórek i same stają się ich łupem, gdyż, jak wiemy, wszelki organizm w pewnych stadyach rozwoju żywi się, między innymi, kosztem własnych swych tkanek. Tu właśnie spostrzegamy ową nieubłaganą a smutną równoległość rozwoju społecznego, jakiej tak niewolniczo

przestrzega on w stosunku do biologicznego rozwoju, tutaj to z całą wyrazistością widzimy, jak mało jeszcze pierwszy oddalił się od drugiego. Postęp prawdziwy, uspołecznienie się rozwoju, większa jego emancypacja wobec wzórów biologicznych ukazuje się wtedy, kiedy szersze dla siebie pole i ujście łatwiejsze znajduje zasadnicza społeczna sprawa — asymilacja psychiczna.

Dopiero z jej ukazaniem się i rozrostem poczyną wytwarzać się istotny «organ» społeczny, pełniący czynność zburzonego narządu w sposób bardziej odpowiadający nowym wymaganiom zewnętrznym, zaś dopiero wtedy, gdy asymilacja owa przybierze postać szczególną, organowi temu właściwą, (np. postać idei klasowej), nowy narząd zdobywa formę bardziej określoną i wykończoną. Wtedy też znikają lub odpadają organy prowizoryczne, które czynność jego pełniły zastępczo przed jego utworzeniem się a po zburzeniu narządów typu dawnego.

Im wyższym jest ustrój społeczny, tem krótszymi będą okresy uwstecznień, tem łagodniejszą i mniej wyczerpującą wewnętrzną walką. Dawny narząd tem łatwiej będzie się przeobrażał, tem mniej będzie luźnych produktów rozkładu. Inną, jakgdyby zewnętrzną takich ułatwień przyczyną może być już nie sam stopień rozwoju, ale szczególnie sprzyjające otoczenie socjologiczne (przykład społeczeństw innych). W społeczeństwie, mającem przed sobą wzory wyższe, drobni posiadacze np. mogą przystosować się do wyższej, zrzeszonej formy produkcji, nie przechodząc przez piekło wydziedziczeń, lecz wprost zrzeszając się ze sobą w celu wspólnego wytwarzania (Kalifornia).

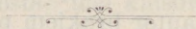
Brak miejsca nie pozwala już nam rozebrać bardziej szczegółowo innych «szkiców» autora. Poglądy Krusińskiego na «duszę społeczną» w zestawieniu jej z duszą organizmu, odznaczają się niepospolitą trafnością, pomysłem

zaś swoim co do możliwości przyszłego «przenikania się» dusz wszystkich nie tylko każe on mniemać, iż nie był tępo głowym sekciarzem pozytywistycznym, lecz zdradza blizkie pokrewieństwo duchowe z tak oryginalnym i sympatycznym myślicielem francuskim, jak Guyau, którego zresztą w tym wypadku uprzedził.

W szkicu o moralności i oświacie autor, jak sądziłbym, niewłaściwie rozodzi się nad tem, jaką byłaby moralność jednostki «izolowanej». Dwa te pojęcia: moralności i absolutnego odosobnienia jednostki (w czasie i przestrzeni) od społeczeństwa — wykluczają się wzajem i trudno byłoby chyba wyciągnąć z owej hipotezy odosobnienia jakiegokolwiek wnioski logiczne w rozprawie o moralności. Niemniej też grzeszy tu autor brakiem przedwstępnej analizy samego pojęcia moralności. Powtarza on za innymi, że moralność jest względną, jakkolwiek w zamian za ten oklepiany a płytki ogólnik czytelnicy chcieliby zapewne dowiedzieć się: co też jest bezwzględnego w każdej bez wyjątku etyce ludzkiej.

Dzielku Krusińskiego nadałem nazwę «prób młodzieńczych»; należy rozumieć ją w znaczeniu najlepszym. W poglądach autora — jakkolwiek niewłaściwą wyda się ta pochwała w ocenie teorii filozoficznej — uderza przede wszystkim ich szlachetność. Po za tem, cechą również młodzieńczego umysłu jest tam ciągle zbaczanie do zagadnień ulubionych i ważnych, lecz nie wiążących się bezpośrednio z przedmiotem: dzieje rodziny, odtworzone podług Morgana i powtórzona za Marksem historia ekonomicznego rozwoju Anglii mogłyby być o połowę krótsze. Krusiński ulegał tu żądzy uprzystępnienia ogółowi prawd, tak doniosłych dla niego samego, tak mało znanych jeszcze albo tak poniewieranych. W tym oto urywku końcowym streszczają się najlepiej dążności autora. «Jeżeli więc

chcemy być prawdziwymi przyjaciółmi ludzkości, różnicujemy każdą iskierkę szczerego, ludzkiego uczucia, głosimy wzajemną tolerancję i rzetelne poszanowanie dla każdej indywidualności ludzkiej, ale obok tego nie ludźmy się zbyt optywizmem i nie pozwalajmy na to, aby niskie samolubstwo przywdziewało na się obłudną maskę miłości braterskiej».



## GENIUSZ I TŁUM.

---

Dwa zagadnienia przedstawiamy tutaj w pobieżnym zarysie: sprawę «świadomości w życiu społecznem» i sprawę «stosunku jednostek wielkich do ogółu».

### I.

Ze wszystkich bardziej znanych socyologów najbliższym istotnej metody naukowej w zasadzie był, jak sądzimy, Spencer. On też najdalej może stanął od prawdy w ostatecznych wynikach i wnioskach swych badań. Przyczyną takiego zboczenia była rażąca niekonsekwencya i niezgodność z własnymi założeniami.

Przystąpienie do socyologii z myślą, powziętą z góry, z zamiarem stwierdzenia w jej zjawiskach ogólnego prawa ewolucyi, nie miało jeszcze w sobie nic groźnego ani dla metody, ani dla prawdy. Musimy wyrzec się złudzenia, że ktokolwiek przystępował lub przystępować będzie kiedykolwiek do jakichkolwiek badań bez myśli ogólnej co do przyrody nowo-badanego zjawiska. Ta myśl jedynie zwraca uwagę badacza na przedmiot, ona też umożliwia mu najpierwsze kroki w badaniu. Możemy jedynie doma-

gać się, aby rozpierzchle atomy owej ogólnej mgławicy gromadziły się później i ześrodkowywały dokola jądra faktów, przez poszukiwanie bliższe wykrytych. Stwierdziwszy, (jak mu się zdawało), pewien przebieg ewolucyi w całej dziedzinie zjawisk przedspołecznych, Spencer nie mógł, nie powinien był wątpić, że ostateczny wykwit owych zjawisk ulega również wszechogarniającemu prawu. Jeżeli, przynosząc ze sobą pochodnię swojej «myśli ogólnej» ku wyświetleniu zjawisk społecznych, Spencer korzystał tylko z prawa, przysługującego każdemu filozofowi, to natomiast, podkreślając wielokrotnie potrzebę badania konkretnych faktów socyologicznych, umocnił on znakomicie zakładaną podówczas podwalinę nauki o społeczeństwie. W rozważaniu tych faktów pominął on prawie zupełnie zjawiska bardzo ważne. Błąd ten jednakże, niezmiernie doniosły w skutkach, był, że tak powiem, tylko «ilościowym». Stanowił on zresztą najpierwszą niekonsekwencyę pisarza, który tak wymownie bronił szczegółowej i sumiennej indukcji. Ogólna myśl «ewolucjonistyczna» ani trochę nie przyczyniła się do tak niefortunnego przeoczenia. Przeciwnie, największa socyologiczna zasługa Spencera wypłynęła właśnie z tego, że do zjawisk społecznych przystępował on jako filozof, który już zdążył połączyć w jedną całość prawa fizycznego, biologicznego i psychicznego rozwoju i który teraz szukał tylko dalszego ich uzupełnienia. Tą największą zasługą Spencera było, jak sądzimy, zespolenie socjologii z psychologią. Obok konkretnych faktów fizycznych, biologicznych i t. p., obok wpływów otoczenia martwego, «materyjalnego», w nierozzerwanej spójni postawił on konkretne fakty pierwotnych idei i świadomości pierwotnej. Było to skojarzenie, którego najwspanialsze owoce mogłyby zasilić naukę o społeczeństwie, gdyby nie klątwa niekonsekwencyi. Wyprowadziwszy skupienie społeczne z organicznych i nadawszy mu nazwę «nadorga-

nicznego», Spencer dołożył później wszelkich starań, aby z «nadorganiczności» tej nic, prócz nazwy, nie zostało. Uznawszy świadomość oraz «idee człowieka pierwotnego» za podstawowy czynnik życia społeczeństw, myśliciel ten przemocą usiłował później przedstawić koleje społecznego rozwoju w terminach ewolucyi organicznej i — w sposób równie dowolny, jak niekonsekwentny — usuwał zupełnie prawie świadomość z samego rozwoju tegoż życia <sup>1)</sup>.

Gdy dodamy do tego niemal całkowite przeoczenie pewnych zjawisk i czynników doniosłych (np. ekonomicznych), gdy uprzytomnimy sobie paczący wpływ niektórych apriorycznych uprzedzeń, bynajmniej jednak nie związanych z ogólną dążnością i formą ewolucyi (np. euhemeryzm, znaczenie wojowniczości) będziemy mogli łatwo wyobrazić, jak dalekimi od prawdy musiały być ostateczne wnioski tego tak niekonsekwentnego wyznawcy poglądów własnych.

Bądź co bądź, zasługa zespolenia socjologii z psychologią pozostaje w całej swojej mocy <sup>2)</sup>. Gdyby nie wspomniane błędy zasadnicze i przeoczenia, socjologia, dzięki owemu zespoleniu, stałaby już dziś o wiele wyżej. «Odkrycie» czynników ekonomicznych nie stałoby się wówczas objawieniem, zaćmiewającym wszystkich mistrzów i nauczycieli dawniejszych. Idea «ugody społecznej», przyobleczona w szaty naukowe, uzależniona od materialnych czynników, wypowiedająca się w urządzeniach i warunkach konkretnych, przestałaby śmieszyć jednych i odstraszać innych. Z osławionych «form produkcji», mających znaczenie siły, która przyspiesza tylko przyrodzone działanie rozrostu ludności, (przy wszelkich formach musiałby

<sup>1)</sup> Por. Kariejew. Op. cit. str. 269.

<sup>2)</sup> Zarówno tę zasługę jak i odpowiedzialność za niedość umiejętnego wyzyskanie zespolenia, tudzież za brak konsekwencji Spencer dzielić powinien z Augustem Comte'em.

on z biegiem czasu doprowadzić do zespolenia pojedynczych usiłowań, wywalczenia praw jednostki i planowego urządzenia społecznej gospodarki), nie zrobionoby fetysza, tyrana logiki i uczuć ludzkich.

Ale Spencer nietylko zaznaczył związek socjologii z psychologią, nietylko wskazał potrzebę badania psychicznych czynników życia społeczeństw; dokonał on i tego, co zasługę jego i znaczenie dla socjologii znacznie podnosi, postarał się o szczegółowy rozbiór «idei człowieka pierwotnego». Wykazując żelazną konsekwencję owych poglądów zamierzonych, wyświetlając ich nieuchronność i względną słuszność, zarazem przedstawił on nam ich rozpaczliwą naiwność w stosunku do prawd istotnych, ich fałszywość wobec rzeczywistości, a nadewszystko ich odmienność w porównaniu z poglądami dzisiejszymi, ich odległość niezmierną od obecnego stanu naszej nauki.

Zasługa ta aż dotąd nie została spożytkowana należycie. Nie widząc w ludach pierwotnych takiej świadomości społecznej, jaką spostrzegamy w dzisiejszych społeczeństwach, uczeni odmawiają im wszelkiej wogóle świadomości. Nie wprowadziwszy czynnika psychicznego do rzędu podstawowych czynników społecznego życia, umięją oni w jakiś nie dość zrozumiały sposób wprowadzić ten czynnik do późniejszych okresów rozwoju. Brak należytego rozumienia praw i zjawisk socjologicznych uważają za brak wszelkiego wogóle rozumienia. Dziwny ten stosunek socjologów do czynnika świadomości społecznej, do czynnika ideowego, znamionuje nawet takich, którzy, jak Ward np., rozumieją bardzo dobrze, iż odmienny sposób pojmowania spraw przyrodzonych nie jest bynajmniej brakiem wszelkiego pojmowania. Wspomniany socjolog amerykański, zaznaczywszy wyraźnie, że właściwie zwiększa się tylko stopień racjonalności tłumaczenia

i pojmowania zjawisk społecznych, że jakieś ich pojmowanie i tłumaczenie istniało zawsze, dzieli, pomimo to, ogólny rozwój społeczeństw na dwa okresy — genetyczny czyli żywiołowy i teleologiczny, czyli celowy, świadomy.

«Materyaliści» postępują w sposób podobny. Podług nich rozwój odbywał się żywiołowo, idea jest jego zjawiskiem wtórnym; ale przewidują oni czas, w którym świadomość poprzedzać będzie zmiany społeczne i przeobrażenia. Nastąpi to nie wcześniej, aż odpowiednie planowe uporządkowanie stosunków społecznych otworzy, utworzy drogę racjonalnemu ich przewidywaniu i kierownictwu. Wtedy ideę, świadomość społeczną można będzie uważać za czynnik, kształtujący warunki materialne, wtedy stanie się ona czemś więcej, aniżeli zjawiskiem «wtórnym». U nas np. p. Kulczycki zdaje się w zupełności zgadzać pod tym względem z krytykowanymi przez siebie materyalistami <sup>1)</sup>. Sądziłbym, że, przedstawiając rolę świadomości w taki sposób, ulegamy tylko złudzeniu. Jeżeli «idea człowieka pierwotnego» albo to, co inny socjolog, de Graeff, nazywa pewnym *consentement*, stanowią zasadniczy, rozwojowy czynnik społecznego życia, to powinniśmy wykazać i uwydatnić jego działanie we wszelkich okresach społecznego rozwoju. Nadewszystko powinniśmy zbadać, jakim prawom podlega sam ten czynnik, jakie przebywa koleje. Tego nikt dotąd nie uczynił.

Z podobnego badania wypłynąć mógłby, jak sędzę, wniosek zgola nieoczekiwany przez olbrzymią większość socjologów. Oto władza idei w zaraniu życia społecznego jest o wiele bardziej despotyczną, niż dzisiaj, warunki i czynniki materialne ulegają jej w stopniu o wiele znaczniejszym, co zaś do scholastycznego nieco pytania o pierwotności i wtórności idei oraz czynników materialnych,

<sup>1)</sup> *Głos* r. 1893.

to doszlibyśmy, jak sądzę, do wniosku, że o ile idea staje się czynnikiem społecznym, zawsze występuje ona jako coś pierwiastkowego i kształtującego i zawsze w takiej roli występowała, o ile zaś jest wytworem jednostki, o ile, że tak powiemy, nie stała się jeszcze ideą «społecznie niezbędną», zawsze powstawała i powstaje dotąd pod wpływem jakichś zewnętrznych, materialnych i duchowych, teraźniejszych i przyszłych warunków, działających na indywidualność osobnika; innymi słowy — zawsze pozostaje wówczas zjawiskiem wtórnym.

Dziwna rzecz, jak dalece stronnym był materializm historyczny względem ulubionych przez się warunków rzeczowych i czynników materialnych. Tak np. wartość określa on jako pewną skryształizowaną ilość społecznie niezbędnej pracy. Kiedy zaś wskazano mu przykłady takiej wartości, w której, dzięki zmonopolizowaniu albo ukryciu pewnych środków technicznych, wartość towaru wielokrotnie przewyższa «skryształizowaną pracę», materializm najspokojniej odpowiadał, że narzędzia jej nie stały się jeszcze społecznie niezbędnymi. Ztąd anomalia. Natomiast, do tłumaczenia zjawisk ideowych nie probowano zastosować tej metody. Spostrzegłszy, że idea w życiu jednostki jest czynnikiem wtórnym i kształtowanym, materializm uznał ją za czynnik wtórny w życiu społecznym. Tymczasem idea taka, nie będąca jeszcze siłą «społecznie niezbędną», nie powinna była wcale zaprzętać jego uwagi; natomiast, jako czynnik «społecznie niezbędny», stawała się ona i staje się zawsze potęgą czynną, kształtującą i w stosunku do wytworów swych konkretnych — pierwiastkową.

Brak znajomości istotnych potęg przyrody i praw społecznego rozwoju, nie zaś brak społecznej świadomości, znamionuje przede wszystkim życie ludów pierwotnych. Murzyni, skazujący na chłostę bożyszcza swoje za nieudaną wyprawę, ani trochę nie są mniej świadomi po-

niesionej klęski i potrzeby środków zaradczych, aniżeli Francuzi np., którzy po Sedanie reorganizują armię, budują twierdze, pancerniki, leją armaty i t. p. W wypadku drugim głębszą jest tylko znajomość istotnych przyczyn zjawiska, a ztąd też środki zaradcze mogą się okazać bardziej skutecznymi. Ale na tem nie koniec. Pierwotne jakieś plemię, tworzące niewielką jeszcze lecz zorganizowaną całość, mające «rządy starszych» i narady wspólne dojrzałych obywateli społeczności, w stopniu daleko większym posiada świadomość spraw, potrzeb, celów i środków ogólnych, niżeli niejeden z nowożytnych olbrzymich aglomeratów społecznych, składający się z nierozwikłanej gmatwaniny interesów i zabiegów indywidualnych. Co większa, nawet uorganizowane i zcałkowane należycie społeczeństwa późniejsze czasem robią na nas wrażenie mniej świadomych.

Porównyując taką społeczność pierwotną — bądź typu pokojowego, bądź też wojowniczego — z dużem państwem peruwiańskiem np., stojącym nieskończenie wyżej pod względem złożoności budowy, spostrzeżemy, iż w żaden sposób nie można chyba uważać tłumu niewiedzących o niczem niewolników za ludzi bardziej świadomych, aniżeli owych «dojrzałych» doradców starszyny w społeczeństwach pierwotnych.

Nie wiem, dlaczego nasz materializm historyczny, mówiąc o wzroście świadomości, pomija owe najwcześniejsze ze znanych nam okresy społecznego rozwoju, które jasno wskazałyby materialistom, że wzrost świadomości społecznej podlega jakimś prawom bardziej zawilym, aniżeli np. wzrost staczającej się lawiny śnieżnej.

Jakież to są te prawa? Świadomość społeczna jest to pod względem umysłowym takie lub inne pojmowanie całokształtu społecznych zjawisk i stosunków, pod względem zaś uczuciowym jest to odczuwanie wspólności i za-

leżności interesów różnych ukształtowań społecznych, wchodzących w skład całości. Otóż zachodzi pytanie: kiedy pojęcie całokształtu społecznych stosunków zarysowuje się najjaśniej w umyśle jednostek, kiedy najżywiej odczuwają one wspólność albo zależność interesów? Nie idzie tu bynajmniej o to, czy pojęcie jest prawdziwe, czy jest fałszywe, czy odczuwanie nie błądzi, lecz o to tylko: czy wyrazistemi są pojęcia i odczuwanie? Innemi słowy — nie idzie o poprawność społecznej świadomości, ale o jej natężenie i rozszerzenie. Odrazu spostrzegamy, że natężenie to nie powiększa się tak sobie poprostu — w miarę postępów cywilizacji, w miarę samego tylko poznawania bardziej istotnych sił i przyczyn zjawisk przyrodzonych. Murzyni, wymierzający chłostę swojemu bóstwu, jaśniej uprzytomniają sobie całą swoją społeczność, żywiej odczuwają wspólność interesów, aniżeli dwaj mieszkający obok siebie i nie znający się wzajem, wysoko wykształceni rentyerzy, technicy, astronomowie wielkiego państwa, aniżeli, (jak zobaczymy później), cała ludność takiegoż państwa, znajdująca się na przelomie pomiędzy jedną epoką społeczną integracji a drugą.

W rodzaju i wzroście świadomości społecznej spostrzegać się dają kolejne okresy natężenia i osłabienia. Pierwsze odpowiadają chwilom społecznej integracji, drugie — deintegracji, rozprzężenia. W społeczności silnie zintegrowanej silną jest zawsze świadomość społeczna (bez względu na swoją postać). Przytoczony wyżej przykład państwa peruwiańskiego przekonywa nas o tem. Tylko ustawiczne gmatwanie pojęć «świadomości» społecznej oraz «znajomości» właściwych praw i zjawisk przyrody i społecznego życia nie pozwala nam tego zrozumieć i pozostawia w nas wrażenie, iż niewolnicy peruwiańscy byli «nieświadomym tłumem». Posiadali oni daleko wyraźniej-

szą świadomość społeczną, aniżeli ogół ludności każdego z najbardziej oświeconych ludów dzisiejszych.

Znali oni dobrze rolę Inków, kapłanów, wojowników i własną swą rolę w społeczeństwie, godzili się z nią, nie mogli sobie wyobrazić społecznego ustroju inaczej, a w chwilach największej integracji państwa byłiby prawdopodobnie urządzili peruwiańską Wandę. Fidżyanin, stojący dobrowolnie na miejscu kaźni i poddający głowę pod topór — bynajmniej nie jest dowodem braku świadomości społecznej: przeciwnie, świadomość pewnego typu społecznych stosunków i solidarność z nimi wydatnia się w jego postępku najwyraźniej. Przy pierwszych objawach społecznej deintegracji świadomość społeczna znika — zarówno jako «pojmwanie» całokształtu stosunków oraz jako «odczuwanie» wspólności interesów. Zanikanie takie trwa dopóty, dopóki nie ukaże się nowe pojmwanie całokształtu i nowe odczuwanie wspólności: pojmwanie to i odczuwanie wyprzedzają zazwyczaj faktyczny, materialny stan rzeczy. Wyprzedzanie takie nie jest bynajmniej znamieniem li tylko doby najnowszej. Ponieważ rozwój społeczny prowadził zawsze do częściowych społecznych ugrupowań, więc też społeczna świadomość w stosunku do owych części przybierała zazwyczaj postać idei albo uczuć odpowiednich: rodowych, klasowych, stanowych, klanowych; kojarzenie się tych świadomości częściowych w jednym umyśle dawało ogólną świadomość społeczną — z zabarwieniem, oczywiście, odpowiadającym głównemu czynnikowi cząstkowemu.

Wiele czynników — a między nimi — ogólny dorobek kulturalny i antropologiczny, wzrost ludności oraz przecenianie przez materializm «formy produkcji» — sprowadzały ową chwilę, kiedy po integracji dawniejszej, po deintegracji poczynają ukazywać się zaczątki nowej in-

tegracyi, kiedy świadomość społeczna przybierała postać idei klasowej, stanowej i t. p.

Bywała to właśnie chwila, gdy świadomość danego typu stawała się czynnikiem społecznie niezbędnym.

Należyte wyświetlenie właściwego stosunku czynników w życiu społecznym, właściwego mechanizmu ich działań, posiada jak największą doniosłość teoretyczną i praktyczną. Należy jasno i wyraźnie zaznaczyć: 1) z jakimi zasobami ducha i ciała organizm biologiczny wogóle, zaś w szczególności człowiek, może już wytworzyć skupienie nadorganiczne i jakie minimum owych jednostkowych albo osobniczych warunków jest nieodzownem; 2) jakie zewnętrzne, materyalne, rzeczowe warunki otoczenia winny nieuchronnie odpowiadać owemu minimum; 3) na czym polega mechanizm wzajemnego oddziaływania jednych czynników i drugich. Dwa pierwsze z tych pytań dotyczą propedeutyki socjologicznej, należą do dziedziny badań wstępnych. Odpowiedzią na pytanie trzecie musi być właściwie cała dynamika socjologiczna.

Praktyczne znaczenie tych pytań oraz dawanych na nie odpowiedzi widocznem jest chyba dla wszystkich.

Wyczerpująca odpowiedź na trzy pytania powyższe zawarłaby w sobie całą socjologię ogólną. Nie kusząc się o rozwiązanie tak dokładne, zobaczmy jednak, do czego upoważnia nas w tej mierze rozbiór najprostszych zjawisk socjologicznych.

Pomińmy wszystkie, rozważane przez Espinasa, najpierwotniejsze związki jednostek, stojące na pograniczu pomiędzy luźnemi gromadami osobników a i ich skupieniem społecznym; pomińmy pasorzytnictwo, współzycie (symbiozę), współstołownictwo (komensalizm), wzajemnictwo (mutualizm), pomińmy mniej trwałe, jakkolwiek bardziej popolite i stale się powtarzające związki płciowe i przejdźmy odrazu do stałego, t. j. do tego, co stanowczo uważać na-

leży za wyodrębniony już i zcałkowany zaczątek skupienia społecznego.

Określając społeczeństwo, jako skupienie jednostek, związanych wzajemną wymianą usług i dokonywających tej wymiany za sprawą pewnego podziału pracy, a więc nie tylko uzależnionych od siebie, ale i zjednoczonych w pewną całość hierarchiczną, znajdziemy, że stada niektórych ssaków — z ich hierarchicznym podziałem na kilka kategorii — osobników przewodniczących, obrończych, matek i młodzieży — w zupełności odpowiadają już powyższemu określeniu.

Jakie też jest minimum zasobów ducha i ciała, niezbędne dla każdej jednostki tego skupienia, nadewszystko zaś, jakie tam jest minimum jednostkowej i społecznej świadomości? W zakresie umysłowym niezbędną tu jest naprzód zdolność wyobrażania sobie i poznawania osobników podobnych, pojmowania korzyści wymiany usług; w zakresie uczuć — zdolność uciechy z owego wyobrażania i z wymiany; w zakresie czynu zdolność poddawania pewnych pobudek bezpośrednich innym, bardziej odległym. W braku którejkolwiek z tych zdolności zwierzę, stojące z kądiną bardzo wysoko pod względem duchowego rozwoju, może się okazać niezdatnym do życia społecznego. Należy więc położyć nacisk na to, że nie jakiegokolwiek uzdolnienia psychiczne, ale pewne, ściśle określone przymioty są tutaj nieodzowne. Nie można tego powiedzieć o najpierwszych, materialnych warunkach otoczenia: w tych samych warunkach — np. zielonej łąki, porosłej bujną trawą — żyć może «społeczny» związek bawolów oraz gromady samotnie istniejących osobników klas albo gatunków innych, np. owadów. Myliłby się jednakże ten, kto by chciał ztąd wnioskować o niezależności duchowych czynników socjologicznych od czynników materialnych. Musimy tylko pamiętać, że zależność ową wyświetliłaby nam w danym

wypadku już nie socyologia, lecz biologia: pewien stopień psychicznego rozwoju osiągniętym być musiał przez jednostki w ich życiu organicznem, zanim możliwemi się stały dla nich nadorganiczne skupienia, rozwój zaś ów podążał ciągle w zależności od materyalnych warunków środowiska. Zobaczymy za chwilę, jak ważnem jest uwzględnienie i zaznaczenie tej przygotowawczej, jak gdyby przedspołecznej skali duchowego rozwoju, jak niezbędnem jest ono do należytego rozumienia różnych form społecznej działalności, zwłaszcza zaś do pojęcia istotnego stosunku pomiędzy czynnikami świadomości oraz warunkami rzeczowymi.

W przytoczonym, jako przykład, stadzie bawolem brak jednego bardzo ważnego, a w stosunku do wyższych społecznych skupień niezbędnego, czynnika — brak tam rzeczowych wytworów życia zbiorowego, brak tego, co można byłoby nazwać społeczną formą produkcji. Produkcya czyli przerabianie materyałów otaczających pozostaje tu na szczeblu czysto biologicznej wymiany materyi (odżywiania się osobników dojrzałych) albo nawpół biologicznej (ssanie). Wypadek ten jest bardzo pouczający. Świadczy on, że jednostki, niezdolne do społecznego wytwarzania, nietylko musiały osiągnąć jakiegoś stopnia duchowego rozwoju, (co każdy uznaje), lecz, że stopień tego rozwoju pozwala im nawet na wytwarzanie związków społecznych, to zaś odrazu przygotowuje nas do wniosku, że stosunek świadomości do materyalnego otoczenia, do mających się ukazać później form produkcji — musi być raczej czynny, niż bierny. Zanim przekonamy się o tem, zwrócimy jeszcze uwagę na pytanie: czy i o ile wytwórność pozabiologiczna może być nieodłącznem znamieniem społecznych skupień? Stada bawołów, końskie tabuny i wspomniane już na innem miejscu gromady małąp, kradnących owoce, świadczą o istnieniu mniej lub więcej sta-

łych skupień społecznych bez wytwarzania pozabiologicznego albo z bardzo słabymi tegoż zaczątkami. Z drugiej strony pozaorganiczne urabianie i przerabianie surowych materiałów otoczenia znamionować może jednostki, niezdolne zkądnąć do życia społecznego. Nie mówiąc już o gniazdach wielu rodzin ptasich, nie stanowiących jeszcze społeczności w stopniu takim, w jakim stanowi ją stado, możemy wspomnieć tutaj o całkiem samotniczych domkach fryganid, budowanych z materiału pozaorganicznego, albo o «urabianiu» dna okrętów przez skalotocza.

Jeżeli jednak ani brak wytworów materialnych nie może być znamieniem braku życia społecznego, ani też ich obecność li tylko znamieniem obecności tego życia, to z drugiej strony niepodobna zaprzeczyć, że wyższe okresy społecznego rozwoju niemożliwymi byłyby bez takich wytworów.

Jakim też jest stosunek ich do świadomości z chwilą, gdy się już ukazą w społecznym skupieniu?

Najpierwsze ogniwa tej sprawy nieuchronnie wyprowadzają nas po za granice nie tylko socjologii, lecz i psychologii. Wytwory materialne są tam jeszcze w bardzo znacznej mierze, jeżeli nie całkowicie, wytworami biologicznymi, są owocem fizyologicznej nie zaś psychicznej działalności organizmu, są następstwami pewnych działań, którym świadomość albo wcale nie towarzyszy albo też towarzyszy tylko biernie. Wzorowym przykładem mogą być oprędy gniazd pewnych owadów. Na pozór zdradzają one wysoką celowość i świadomość. Tymczasem owad dokonujący owych użytecznych dla swego gniazda postępów mimowoli a często bezwiednie. Zawartość gruczołów, wydzielających opręd, zmusza owady do pocierania się około przedmiotów otaczających. Najbliższym z takich przedmiotów jest gniazdo, to też ono najpierwej zostaje

«wzmocnione misterną tkanką». Tego rodzaju wytwarzanie materialne najłatwiej może cechować działalność osobników, nie wchodzących jeszcze w skład społecznych skupień.

W życiu społecznym rozwój wytwarzania materialnego w dwu głównie posuwa się kierunkach: z jednej strony staje się ono coraz mniej fizyologicznym, zaś coraz bardziej mechanicznym, z drugiej — twórcze akty jednostek coraz częściej ulegać muszą takiemu lub innemu zespoleniu. Oba te kierunki wytwarzania każą domyślać się coraz większego udziału świadomości, zrazu jednostkowej, a potem społecznej. Świadomość potrzebną się staje już dla opanowania materiału pozaorganicznego, już dla połączenia, powstałych taką lub inną drogą wytworów, w jedną całość.

Bardzo powolnym i stopniowym jest przebieg tej sprawy. U znacznej większości istot towarzyskich (społeczeństw zwierzęcych) spostrzegamy skojarzenie fizyologicznego oraz mechanicznego sposobu wytwarzania: do budowli np. używanym już jest materiał zewnętrzny, pozaorganiczny, ale jako cement służy tym istotom jakaś wydzielina ich ustroju. Można utrzymywać, że z dwu części budowania bardziej «świadomą» jest wyprawa po materiał, aniżeli jego fizyologiczne cementowanie. Większy stopień «mechaniczności» pracy znajdujemy np. u bobrów albo też w innych, nie budowniczych czynnościach pewnych zwierząt, np. w rolnictwie niektórych mrówek, w stosunku ich do mszyc, oraz do innych «owadów domowych».

Pod względem socyologicznym jednak szczególnie ważnym jest postęp wytwórczości w kierunku coraz większego zespolenia wysilków (bądź fizyologicznych, bądź mechanicznych) poszczególnych. Mechaniczność roboty, jej zupełne uwolnienie się od budowlanych (np. cementujących) wydzielin ustroju, spostrzegamy już u zwierząt samotnych

(legowiska niedźwiedzi, zapasy wiewiórek i wiele innych). Większa mechaniczność wyrobu domaga się większej świadomości osobnika; większe zespolenie w poszczególnych wypadkach każe przypuszczać większą społeczną świadomość. Jedynie wtedy, gdy wytwory poszczególne bądź fizyologicznie, bądź mechanicznie łączą się z sobą, lub, mówiąc ogólniej, wchodzą w jakiś stosunek — możemy rozprawiać o nich, jako o czynnikach życia społecznego. Łączność ich może się ujawniać bądź w chwili samego wytwarzania, bądź też wcześniej lub później. Bez tej łączności, bez wzajemnego na siebie oddziaływania, nie są one jeszcze «społecznie niezbędną» formą produkcji.

W społeczeństwach ludzkich oprócz nieuchronnego rozradzania się osobników pozostał jeden tylko jedyny szczątek wytwarzania biologicznego, mający w stanie zwykłym znaczenie społeczne: szczątkiem tym jest pokarm niemowląt.

Poza tem jednostki ludzkie wchodzą do społeczeństwa ze zdolnościami do wytwarzania li tylko mechanicznego. Wiemy już, że takie wytwarzanie domyślać się każe większej świadomości jednostkowej. Zespolenie jego owoców jakimkolwiek stosunkiem domaga się też, rzecz prosta, większej społecznej świadomości.

Przyjrzyjmy się bliżej jej działaniom.

Nie na podstawie domysłów apriorycznych, nie z przykładów społecznego życia zwierząt, ale wprost z etnografii dowiadujemy się, że wytwarzanie pozaorganiczne nie zawsze bywa spójnią społeczeństw ludzkich. Nie mówiąc już o prawdopodobnym istnieniu, w dalszej lub bliższej przeszłości, osobników samotnych i rodzin, posługujących się pewnymi najprostszymi narzędziami lub zdobywających żywność albo osłonę w sposób mniej lub więcej sztuczny, nieraz czytaliśmy o takich ludach, u których nawet rodzina jest skupieniem bardzo nietrwale, u których dzieci, nie prze-

kroczywszy jeszcze wieku właściwego, oddzielają się od rodziców, zamieszkując osobne lepianki. Bez względu na to, czy stan podobny będziemy uważali za najpierwsze brzaski społecznego rozwoju, czy też za objaw upadku, uwstecznienia, dojdziemy do wniosku, że istnieją takie fazy społecznego życia, kiedy wytwór zewnętrzny (lepianka) oraz narzędzia pozaorganicznego wytwarzania nie są jeszcze ogniwem zespalającym, nie są czynnikiem «społecznie niezbędnym». Jeżeli w jakichkolwiek warunkach jednostki takie tworzą czasowe, przemijające skupienia większe, to najpierwszą podstawą takiego zjawiska muszą być na przód wspólne znamiona rasy, a następnie zdolność pamiętania, odtwarzania tych znamion, oraz zdolność wynucenia pewnych z owej wspólności wniosków. Okoliczności zewnętrzne, powołujące do życia takie większe skupienie, np. pogoń za zdobyczą albo obrona przed wspólnym wrogiem, ożywionym lub nieożywionym, nigdy nie wywołałyby wspólnego działania bez owych zdolności. Wniosek ten jest zrozumiały sam przez się. Wielu jednak sądzi, że poza tem nie ma już nic do powiedzenia o roli świadomości w życiu społecznym. Byłoby tak istotnie, gdyby świadomość ta polegała zawsze na biernym przystosowywaniu się do warunków zewnętrznych; tak wszakże nie jest. Sam termin wytwarzanie, produkcja — świadczy, iż świadomość owa występuje w roli czynnej, w roli czegoś takiego, co przerabia w pewien sposób swoje otoczenie. Utrzymywać przeto, że rozwój społeczny zależy wyłącznie albo nawet głównie od form oraz narzędzi wytwarzania, znaczy to twierdzić, że zależy on od wszystkiego oprócz siły wytwarzającej oraz jej takich lub innych postaci. Dla biologa niedorzeczność podobnego twierdzenia byłaby odrazu widoczną. Zgodzi się on z tem, że budowa mrowisk zależy od materiału surowego, z których one powstają, że położenie, kształt i wielkość domku bobra zależnemi są od

sąsiedztwa i kierunku rzeki oraz znowu od przyrody użytego do robót materiału, ale nie zgodzi się, że budowle owe nie zależą od gruczołów mrówek, albo od zębów bobra. Dla socjologów jednak niektórych ów magazyn narzędzi najrozmaitszych oraz ich użytków i połączeń, owa pracownia niestrudzona skojarzeń nowych — zwana świadomością — nie jest czynnikiem dość ważnym i o tyle orzekającym, aby historia jego działalności zasługiwała na jednaki uwzględnienie w dziejach społecznego rozwoju z narzędziami i formami produkcji.

Przedewszystkiem zauważyć należy, iż nawet większa zdolność biernego przystosowania się do środowiska, jakkolwiek na pozór nie sprzyja rozwojowi świadomości, w istocie rzeczy służy do jej celów i wpływy jej potęguje. Naprzód zdolność taka stanowi o większej trwałości, długowieczności społecznego skupienia, a w ten sposób pozwala przekazywać i utrwać wszelkie nabytki biologiczne i psychiczne. Powtóre, dając osobnikom i skupieniu możność zżywania się z większą liczbą i różnorodnością warunków zewnętrznych, dopomaga dalszemu rozwojowi świadomości, powołuje do życia nowe jej formy, nowe skojarzenia dawniej znanych sposobów oddziaływania na środowisko. Innemi słowy, szersza świadomość bierna łatwiej może stać się czynną, łatwiej wyjść może ze stanu odruchów i nalogów. «Ten sam gatunek mrówek, jak to Forel zauważył, mieszka w Alpach pod kamieniami, które je osłaniają od wpływów nieprzyjaznych, w lasach — w spróchniałych pniach drzew, na łąkach — w wyniesionych wzgórkowato kopcach ziemi». Prawdopodobnem jest, że istoty, mogące się biernie przystosować do zewnętrznych warunków A i B, z większą łatwością przystosowują się do nowych warunków C, które będą miały w sobie coś z tamtych dwojga. W zakresie przystosowania się biernego człowieka, pod niektórymi zwłaszcza względami, stoi najwyżej ze

wszystkich istot bardziej złożonych. Tak np. żadna z tych istot nie zniosłaby olbrzymich różnic temperatury, jakie nie kładą jeszcze kresu życiu ludzkiemu.

Ale największą potęgą człowieka a zarazem jego znamieniem najwybitniejszym jest zdolność przystosowania się czynnego, zdolność odpowiedniego urabiania, przeobrażania środowiska i wogóle warunków rzeczowych. Ponieważ zaś, jak wiemy, wytwarzanie człowieka nie jest już biologiczne, lecz wyłącznie prawie mechaniczne, więc owym zmianom i przeistoczeniom środowiska towarzyszyć musi świadomość tem większa.

Nikt nigdy nie zaprzeczał temu, gdy była mowa o jednostce. Utrzymywano jednak, że wytwarzanie społeczne odbywa się bezwiednie, oraz że wytwór, nie będąc zgoła owocem świadomości, sam staje się raczej narzędziem takiej lub innej społecznej budowy.

Sądźmy, że nie tylko teraz, ale i dawniej działo się wprost przeciwnie. Nowy jakiś wynalazek, nowe narzędzie produkcyi nie zdążyło jeszcze rozszerzyć się odpowiednio, nie zdążyło stać się narzędziem «społecznie niezbędnem», a już opanowywała je świadomość społeczna.

Nieznajomość historii pozwala nam uważać starożytność lub wieki średnie, np. za epoki jakiegoś bezmyślnego zastoju lub ruchów bezwiednych, żywiołowych. Dość jest wszakże zatrzymać się z Momsenem nad wewnętrznymi dziejami Rzymu, albo z Brentanem — nad historią cechów, aby się przekonać, jak wielką rolę przewidywanie, planowanie, rządzenie odgrywały zawsze w dziejach ludzkości, jak «warunki rzeczowe» wyzyskiwanymi bywały w duchu świadomych interesów takiej lub innej kasty, warstwy itp. Nie dajmy się tylko uwieść pokusie utożsamiania «świadomości» ze «znajomością». Pamiętajmy, że nakazywanie modłów zbiorowych, postów, pielgrzymek wobec zarazy albo szarańczy było równie stanowczym wyrazem

świadomego oddziaływania na czynniki zewnętrzne, jak dzisiejsza dezynfekcja, sterylizacja, izolacja i t. p. Jedynie tylko stopień znajomości istotnych przyczyn zjawiska był wówczas mniejszym. Ta mała znajomość, nawet w warstwach przewodniczących, mogła nieraz nadawać oddziaływaniu postać mniej skuteczną, mogła pozostawiać niekniętami przyczyny istotne, mogła w warstwach rządzonych wywoływać oddziaływanie niewłaściwe lub żadnych zgoła oddziaływań nie wywoływać, wszystko zaś to paczy dzisiaj nasz sąd o roli świadomości w życiu społecznem. Przechodzenie pewnych, całkiem świadomych stanów społecznego życia w bezwiedne, przeobrażanie się idei czynnych w bierne, postępowych w zachowawcze, działań celowych w tradycje, zwyczaje — jest tak nieuchronną i równie zbawienną sprawą w rozwoju społeczeństw, jak w życiu psychicznem jednostki przeobrażanie się czynności świadomych w nałogi, jak w życiu biologicznem — przeistaczanie się postępków w bezwiedne funkcje organizmu.

W walce nie giną wszelkie ślady urządzeń i zdobyczy dawnych. Pozostaje z nich to, co ma być trwałem dziedzictwem ludzkości — to, co było owocem poznania istotnych praw i zjawisk życia społecznego. Ale te raz poczynione i wiekami utrwalone zdobycze zstępują niejako poniżej progu świadomości, dokąd zstąpiły już podstawowe i niegdyś zapewne świadome sprawy przyswajania. Znałogowienie takie jest przyrodzonym następstwem należytego utorowania dróg, po których odbywa się dana sprawa. Z drugiej strony jest ono nieodzownym warunkiem dalszego postępu, jeżeli uwaga organizmu jednostkowego albo społecznego skupienia nie ma beznadziejnie i wiekuiście rozpraszać się na wykonywanie czynności już nabytych. Oto dlaczego można i należy powiedzieć, że w pewnem rozumieniu rzeczy coraz większa ilość spraw społecznych

przestaje uświadamiać się w życiu społecznym, staje się społecznym nalogiem. Nie znaczy to, aby społeczności groził w przyszłości automatyzm: skarbnica doświadczenia dosyć jest rozległą, aby się kiedykolwiek miała wyczerpać, ale o tej sprawie kapitalizacji przez społeczeństwo minionego doświadczenia dobrze jest pamiętać wtedy, gdy się mówi o stopniowym «wzroście» świadomości społecznej.

W sporze idealistów i materyalistów o pierworodztwo materyalnych oraz idealnych czynników życia społecznego czynnikom materyalnym przypisuje się pierwszeństwo. Czynniki duchowe, zdaniem materyalistów, mają być nie tylko wtórnymi, pochodnymi, ale też wybitnie zachowawczymi. Co do sprawy pierworodztwa, to wykazywaliśmy już na innym miejscu, jak dalece zagadnienie to jest scholastycznym. Badacza zjawisk społecznych wyprowadziłoby ono poza granicę właściwych mu poszukiwań, nie dając jeszcze odpowiedzi zadawalniającej. Sądziłibyśmy, że nie ma tu innej rady, jak tylko uznawszy łączne i wspólne działanie obu kategorii czynników, starać się o wyświetlenie ich wpływu na życie społeczne i wzajemnego stosunku do siebie.

Pozostaje nam sprawa wyłącznej niby postępowości, mającej znamionować czynniki materyalne i wyłącznej zachowawczości, która stanowić ma cechę idei.

Zaślepienie materyalistów dochodzi w tym wypadku tak daleko, że uwzględniają oni zazwyczaj tylko końcową, istotnie zachowawczą fazę działania wszelkiej idei. Jeden z naszych socjologów, rozważając niedawno «szlachecką gościnność», jako przykład «idei klasowej», wylęglej na gruncie czynników materyalnych (obfitości bogactw), zaznacza z zadowoleniem, że idea ta staje się hamulcem w rozwoju klasy szlacheckiej i wogóle w rozwoju społecznym. Pominiemy tu niewłaściwość uważania gościnności za «ideę klasową», zwrócimy zaś uwagę tylko na to,

że gdyby ów socyolog uwzględnił nie krańcową wyłączenie, ale inne też fazy działania «gościnności», byłby niewątpliwie dopatrzyl się w niej: 1) czynnika, który z kolei oddziaływał sam w pewien sposób na postęp i rozwój wytworów materialnych; 2) czynnika postępowego w znaczeniu socyologicznem t. j. takiego, który oddziaływał na powstanie nowej budowy społecznej, bądź wzmacniając łączność wśród danej warstwy, bądź też powiększając jej urok i znaczenie w oczach przedstawicieli warstw innych.

Jakie też jest naprawdę znaczenie materialnych i duchowych czynników w sprawie postępu albo zachowania form dawnych? Stawiając to pytanie, musimy mieć przede wszystkim w pamięci postęp socyologiczny, czyli zmianę wzajemnych stosunków warstw społeczeństwa oraz stosunku jednostki do społecznej całości. Łatwo byłoby się przekonać, że zmiany czysto materialne, mechaniczne, polegające np. na wprowadzeniu takiego lub innego sposobu wytwarzania, same przez się nie stanowią jeszcze o zmianie ukształtowań socyologicznych w znaczeniu powyższem. Istotnie historia daje nam przykłady zarówno takiego niewolnictwa, przy którym niewolnicy posługiwali się narzędziami produkcji jednostkowej, jak i takiego, przy którym używali narzędzi zbiorowej produkcji. Jedynie tylko pojęcie się czynników świadomości i łączne działanie ich z materialnymi czynnikami wywołało tak w jednym jak i w drugim wypadku właściwą zmianę społeczną.

Praktyka codziennego życia przekonywa nas, o ile niesłusznem jest przypisywanie jakiejś wyłącznej postępowości i przewrotowości narzędziom i czynnikom materialnym. Z równem powodzeniem można byłoby utrzymywać, że są to środki i narzędzia, utrwalające i umacniające dany porządek społeczny. Dla materialistów społeczeństwo jest jakąś bezwładną masą, którą kształtują i urabiają czysto mechanicznie czynniki materialne. Za-

pomina się tutaj, że ostateczny wynik owego urabiania zależy nadto od świadomości klasowej, która, o władnąwszy nowymi urządzeniami, znakomicie przyczynia się do nadania takiego lub innego kierunku ich działania.

Najbardziej może postępowym ze wszystkich dokonanych dotąd wynalazków był wynalazek druku. A jednak, zastanawiając się nad niezliczonym mnóstwem upowszechnianych przy jego pomocy dzieł treści moralnej i religijnej i wogóle pism, oddziaływających w pewien sposób na świadomość i uczucia jednostek, przyjdziemy do wniosku, że wynalazek ten, w stopniu większym niż jakikolwiek bądź inny, przyczynił się i przyczynia do zachowania społecznego porządku, do utrzymania budowy społecznej danego typu, do zwalczania rewolucyjnych wpływów tak jego samego, jak i wynalazków innych.

Taką dwustronnością działania — z przewagą już postępowości, już zachowawczości — odznaczają się wszystkie a wszystkie bez wyjątku czynniki najbardziej nawet «materiałne», o przewadze zaś tej nie stanowi bynajmniej ani stopień ich materialności, ani głębokość zmiany materialnej, przez nie spowodowywanej, ale jedynie i wyłącznie wzajemny stosunek takich nowonarodzonych czynników do zakresu i natężenia społecznej świadomości. Jeżeli czasem fakty zdają się temu przeczyć, jeżeli samo ukazanie się czynnika materialnego (machina parowa) sprowadza zbyt głębokie zmiany w sferze właściwych stosunków socjologicznych t. j. w budowie i wzajemnej zależności warstw społeczeństwa, to sprzeczność ta jest tylko pozorną. Dzieje się tak właśnie dlatego, że nagromadzona przez wieki społeczna świadomość staje się niejako dźwignią, potęgującą wielokrotnie działanie czynnika materialnego. W rozwoju każdego społeczeństwa, zawsze można wskazać taki okres, w którym dany wynalazek rzeczowy albo dana idea są czynnikami postępu, jak również taki okres, kiedy zarówno

ów wynalazek, jak i owa idea stają się narzędziem zachowania i utrwalenia społecznej budowy.

\* \* \*

Opuszczając na teraz sprawę stosunku świadomości do czynników materialnych, sprawę, która i tak zabrała nam zbyt wiele miejsca, przejdźmy do zagadnienia innego. Jak się zmienia z biegiem czasu stosunek jednostek genialnych do tłumu?

Przedewszystkiem, nie zgodzilibyśmy się na samo określenie geniusza, podane w krótkiej rozprawce p. K. i, jak się zdaje, cieszące się uznaniem prawie powszechnem. Geniuszem nie nazwalibyśmy jednostki, która życiu społecznemu na czas jakiś nadaje kierunek odmienny. Określenie to zaznacza tylko pewien fakt, istotnie spostrzegany bardzo często w stosunkach geniuszów do tłumu, ale nie będący wcale ani nieodłącznym znamieniem tych stosunków, ani też nieuchronnym wynikiem genialności. Należałoby pamiętać, że «nadawanie kierunków» nie jest bynajmniej wynikiem działania jednej tylko siły — wpływu genialnej umysłowości; jest to raczej wypadkowa, jest to jak gdyby iloczyn dwu liczb wielkości niejednakiej: potęgi geniusza oraz tego, co nazwalibyśmy przygotowaniem społecznem, a czemu pospolicie nadaje się nazwę społecznego środowiska. Zrozumiemy przeto, że ów wynik ogólny zmienić się może i zmienia wraz ze zmianą obu czynników.

Nie koniec na tem: stosunek ten jest jeszcze bardziej złożonym. Przekonaamy się za chwilę, że skuteczność wpływu geniusza, owo «nadawanie kierunku» zależy nawet od pewnego nieprzekraczalnego *maximum* genialności. W braku lepszego określenia geniusza, sądzilibyśmy, że mianem tego należy oznaczać jednostkę, wznoszącą się niepospolicie nad

poziom ogólny w zakresie jakiegokolwiek bądź działalności. Zarówno w życiu codziennem, jak i w piśmiennictwie uwzględniamy w tym wypadku działalność li tylko dodatnią, z tej zaś ze szczególnem upodobaniem wykluczamy przykłady cielesnej działalności. Nie będę tu mówił, o ile ograniczenia takie okazałyby się niesłusznemi przy należytem uwzględnianiu różnych stopni społecznego rozwoju.

Nasze określenie geniusza pozostawia szerokie pole dowolności. Jak oznaczyć szczebel wzniesienia, ponad którym rozpoczyna się genialność?

Na pytanie to nie umielibyśmy odpowiedzieć, sądzymy jednak, iż grozi ono wszelkim określeniom, usiłującym z nieskończonego, wiecznie żywego i zmieniającego się łańcucha zjawisk wyodrębnić jedno jego ogniwo, zapominając o tem, że mamy do czynienia z całością żywą i ruchliwą. Określenia bardziej wyraziste możliwemi są w takich razach jedynie wtedy, gdy sztucznie oddzielimy ogniwo od jego żywej całości, gdy je unieruchomimy i spaczymy w kleszczach definicji.

Tak czy inaczej, wiedząc, że o genialności jednostki wyrokuje stopień wzniesienia się jej nad poziom ogólny, zrozumiemy teraz, że «nadawanie kierunków» przez taką jednostkę bynajmniej nie pozostaje w stosunku prostym do owej wysokości, jakiej ona dosięgła. Przeciwnie, zdarzyć się może, iż właśnie z powodu niedościgłych dla ogółu wyżyn wpływ jej albo będzie bardzo nieznacznym, albo też oddziała w kierunku przez nią niepożądanym i nieprzewidzianym. Sprawa, jak mówimy tutaj, staje się wypadkową łącznego oddziaływania genialności jednostki oraz «przygotowania społecznego», z tem jednak zastrzeżeniem, że do spotęgowania ogólnego rezultatu bynajmniej nie dość jest powiększać *ad libitum* rozmiary któregośkolwiek bądź z czynników. Powiększanie czynnika genialności, po przekroczeniu pewnego szczebla, prowadzi do zmniejszenia wpływów ge-

niusza, aż w końcu geniusz ten, po osiągnięciu pewnego *maximum* (po przejściu ostatecznej granicy zrozumiałości), żadnego nie wywiera wpływu i przestaje «nadawać kierunek» życiu społeczeństwa.

Posługując się analogią z zakresu matematyki, powiedzielibyśmy, że wpływ geniusza jest niejako iloczynem dwu liczb nierównych. Otóż gdy jedna z nich (przygotowanie społeczne) równa się zeru, iloczyn również zeru będzie się równał, bez względu na najznacniejszą bodaj wielkość czynnika drugiego (genialności). Należy jednak zaznaczyć, że w tych obliczeniach musimy brać pod uwagę nie bezwzględną, absolutną wielkość przygotowania społecznego, lecz względną, stosunkową jego wielkość, w zestawieniu z genialnością jednostki. Bezwzględne zero przygotowania możliwem jest tylko w stanie dzikości zupełnej, względne zero znajdujemy wtedy, gdy geniusz z powodu nadmiernego wyniesienia się swego nad poziom przestaje być zrozumiałym dla ogółu, albo raczej kiedy najmniejsza częśćka jego genialności nie może być zużytkowaną przez ogół w jakikolwiek bądź sposób.

Teraz nie wyda się nam już paradoksem twierdzenie, że najwięksi geniusze świata bądź żadnego w swoim czasie nie wywierali wpływu, bądź też oddziaływali w takim duchu i w takim kierunku, w jakim oddziaływać nie chcieli i nie myśleli, oraz że w tem ostatniem ich oddziaływaniu czynnikiem przemożnym, orzekającym, bywało takie lub inne przygotowanie społeczne nie zaś ich genialność. Z drugiej strony łatwiej też zrozumiemy, w jaki sposób jednostki nawet niezbyt wybitne, albo, co większa, jednostki chore, obłąkane i t. p. głęboko oddziaływać mogą na zmianę społecznego życia danej epoki albo danej warstwy. Zjadanie papierowej recepty przez murzynów, nie znających się na cywilizowanej medycynie Europy, świadczyć może o słabym bardzo wpływie jednostki stosunkowo «genialnej»

wobec nieskończenie małego «przygotowania». Wprowadzenie jakiejś drobnej zmiany technicznej np. w wytapieniu glinu, dokonane przez wykształconego jako tako lecz bynajmniej nie genialnego chemika, mogłoby w Europie zachodniej i Ameryce spowodować daleko większą zmianę w społecznych stosunkach, daleko łatwiej mogłoby «nadać kierunek» życiu społeczeństw cywilizowanych, aniżeli ustawienie gotowej lokomotywy, maszyny drukarskiej, telefonów, lamp elektrycznych i t. p. w wiosce murzyńskiej.

Pojmując w sposób powyższy rolę i znaczenie geniuszów, zapytajmy siebie, jak z biegiem czasu będzie się zmieniał stosunek ich do tłumu.

## II.

W braku odpowiedniej miary do oznaczenia geniusza, do określenia wysokości owego szczebla, po nad którym rozpoczyna się genialność, można byłoby powiedzieć, że geniuszem jest jednostka tak dalece wyprzedzająca daną epokę lub warstwę, iż staje się dla ogółu wręcz niezrozumiałą. Byłby to socjologiczny probierz genialności, wbrew przeciwny temu, jaki znajdujemy w «nadawaniu kierunków» życiu społeczeństw, gdyż, jak wiemy, jednostka taka albo żadnego nie nadaje kierunku, albo też oddziaływa w sposób przez siebie nieprzewidziany i niepożądany. W przeciwstawieniu do geniuszów jednostki wybitne łączą się z ogółem przy pomocy nieznacznych stopniowań wybitności innych jednostek i w ten sposób nie unoszą się w górze nad poziomem ogólnym, ale raczej stoją niejako na szczycie piramidy z szeroką, trwałą podstawą.

Wiele mówiono o intuicyjności geniuszów, o ich zdolności odtwarzania całego spłotu zjawisk, prawd naukowych i praktycznych działań przy pomocy drobnego ja-

kiegoś szczegółu, napotykanego przez innych. W chwili obecnej sprawa ta nas nie obchodzi, jest to wewnętrzna indywidualna strona genialności, wewnętrzny mechanizm twórczości genialnej. Pod jednym wszakże względem musimy zwrócić na nią uwagę: zajmować nas będzie nie bezwzględna intuicyjność, ale intuicyjność względna, t. j. rozważana w stosunku do zasobów danej kultury. Zajmować nas będzie nie to, czy i o ile dana jednostka ujęła prawdę, do której zrozumienia i odtworzenia nie miała wyraźnych danych we własnej świadomości, ale to: czy i o ile pewna jednostka ujęła prawdę, do której rozumienia i odtworzenia nie miała dość wyraźnych i uporządkowanych materyałów w kulturze danej epoki.

W ten sposób, jeszcze raz zarysuje się jasno przed nami różnica pomiędzy socyologicznym stosunkiem jednostki wybitnej a genialnej. Pierwsza układa tylko największe (za jej czasów) cegielki piramidy w porządku oraz w ilości, wskazanej dokładnie przez budowniczych dawnych, druga samodzielny lotem wzbija się ponad wierzchołek tejże piramidy i odrazu spostrzega możliwość rozszerzenia jej podstaw i podwyższenia szczytu; pierwsza jest porządnym spadkobiercą kulturalnego dorobku swojej epoki, spadkobiercą, na którego przelano spuściznę wraz z dołączeniem systematycznego wykazu jej bogactw, druga jest spadkobiercą biologicznego dorobku rasy, któremu często nie przekazano nie z bogactw kulturalnych, lecz który wśród porządnie ustawionych i skatalogowanych zażytków umiał dojrzeć w prochu zapomnienia albo pod stosami rupieci nowe skarby, nie zauważone i niewzmiankowane przez rozrzutną albo naiwną spadkodawczynię. Dlatego to właśnie pomiędzy geniuszem a tłumem istnieje tak często odległość, której nie można przebyć przy pomocy znanych ogółowi stopni teoretycznej albo praktycznej wybitności. To też w warunkach zwykłych odkrycia

i twierdzenia geniusza nie wcielają się w życie jako część jego składowa, lecz pozostają jak gdyby w zawieszeniu ponad niem, jak widziadło innego całkiem porządku, innego świata.

Nie wypowiadając się przeto na korzyść lub na niekorzyść takich albo innych, modnych dzisiaj poglądów psychofizjologii i psychiatrii, uznać możemy, iż ze stanowiska socyologicznego geniusz jest pewnego rodzaju potwornością; jest to wybijalność o tyle odbiegająca od poziomu przeciętności w jednym kierunku, o ile idyotyzm oddala się od niego w drugim. Nie idzie tu bynajmniej o to, czy pod względem anatomicznym, fizyologicznym, patologicznym i t. p. genialność stanowi dokładne przeciwieństwo idyotyzmu, lecz jedynie o to, że w sprawie zużytkowania dawnych i tworzenia nowych dorobków kultury geniusz o tyle wyprzedza swoją epokę, o ile idyota pozostaje za nią w tyle. Obaj też oddziałują ujemnie.

Nie ma prawie takiego zakresu życia społecznego, w którymby wpływ geniusza nie okazał się dla społeczeństwa szkodliwym. W przeciwstawieniu do jednostek wybitnych, związanych ze społecznością i prowadzących ją wolnym lecz pewnym krokiem, drogą rozwoju, geniusze stawali się zawsze przyczyną wstrząśnień i drgań konwulsyjnych, uwstecznień i zaburzeń, których wynagrodzić nie mogły żadne, najdalsze nawet, najbardziej szalone skoki ku odległemu ideałowi. Jakkolwiek zresztą wyda się to paradoksem, wpływ geniuszów bywał zwykle powściągniętym raczej nie zaś przyspieszającym bieg dziejowego rozwoju. Każda jednostka potężna, wskazując jedną ręką odległy słup ognisty albo odległy kres postępowej wędrówki, drugą ręką hypnotyzowała głowy i serca zdumionych, oszołomionych tłumów, unieruchomiła im oczy, wpatrzone w ów znak przewodni, ubezwładniała wolę i na całe szeregi wieków czyniła automatami. Każda jednostka potężna

była zawczasu wrogiem innej, potężniejszej jeszcze lub równiej silnej, która po niej przyjść miała i poprowadzić ludzkość dalej albo odwrócić jej wzrok osłupiały w inną stronę, ku innym gwiazdom i znakom przewodnim <sup>1)</sup>. Błogosławieństwa prawdy, ujętej intuicyjnie, dojrzanej przez mgły przyszłości, splywały na ludzkość dopiero wtedy, kiedy, dzięki jednostkom wybitnym, dosięgała ona stopniowo wskazanych wyżyn, kiedy budziła się ze snów magnetycznych, kiedy powolny rozwój dziejowy zdołał już «odczytać» rzucone przez geniusza uroki, wtedy to w cudackich bestyach firmamentu, w smokach i niedźwiadkach wzrok odhypnotyzowany spostrzegał nowe gwiazdozbiory, gromady nowych słońc i światów. Słońca te i gwiazdy oko geniusza widziało już przed wiekami, ale zbyt wysoko wznosiły się one nad poziomem tłumu, aby nie miały przybrać dla niego kształtów fantastycznych; to więc, co miało być odkryciem nowych praw przyrody, stawało się kultem bałwochwalczym, usypiającym na długo tłumy, udaremniającym wysiłki jednostek wybitnych, niweczącym mrówczą ich pracę.

Nie sądźmy, że w którejkolwiek z dziedzin społecznego życia owa działalność geniuszów bywała niezbędną, błogosławioną w skutkach, że gdziekolwiek wynagradzała ona zrządzone szkody i spustoszenia. Jedno z dwojga: albo

---

<sup>1)</sup> Czytamy u Nietzsche'go: »Po śmierci Buddy przez ciąg wieków całych pokazywano jeszcze w jednej pieczarze cień jego. «Cienie takich posiada ludzkość mnóstwo, w objęciach cieni tych martwych zamiera, karleje, żywotność swą traci. Przyjdzie jednakże czas i przyjdzie człowiek, który uwolni ludzkość od tych martwych cieni». (Marya Czesława Przewóska. *Fryderyk Nietzsche jako moralista i krytyk*. Warszawa 1894). Zgadzaamy się najzupełniej, że ludzkość marnieje w objęciach martwych cieni, nie podzielamy jednak złudzeń co do nadejścia wybawcy. Robotę jego tak samo będzie musiała odrabiać praca ludzkiego mrowia, jak i robotę owych cieni. Fetyszyzm dla Nietzsche'go nie będzie lepszy od fetyszyzmu dla Buddy.

wskazany przez geniusza znak ognisty był kresem, do którego w niedługim już czasie miały dojść wraz z młodszymi braćmi jednostki wybitne, a w takim razie działalność geniusza była prawie zbyt dużą, sama zaś genialność jego stanowiła jedynie pewien cokolwiek znaczniejszy stopień wybitności, — albo też pomiędzy owym znakiem, a najwybitniejszymi jednostkami epoki pozostawała jeszcze odległość bardzo znaczna, a wówczas rozpoczynał się ów sen wiekowy, owa hipnotyzacja umysłów i sumień, z którymi długo i mozolnie borykać się musiały jednostki wybitne. Przed tym letargiem nieprzespanym występowały zazwyczaj, jak wiemy, epileptyczne drgania, konwulsje, ludzkość wyla się w bólach kurezowych, pławiła się we krwi, gorzała w ognjach nienawiści i fanatyzmu.

Poglądy te w zastosowaniu do wielu najgenialniejszych jednostek, do geniuszów starożytności, do geniuszów czynu, do bohaterów i półbogów, są zbyt prawdziwe, aby potrzeba ich było dowodzić. Umieśmy tylko odróżnić zawsze jednostki wybitne od genialnych t. j. nauczycieli i wodzów, zespolonych licznymi więzami z szarym tłumem, rozumiejących jego dążenia i rozumianych przez niego, od takich mistrzów i wodzów, za którymi tłum oszołomiony wdierał się na zawrotne wyżyny, spadając z nich później w otechlanie mroku, w czeluści, ziejące ogniem walk bratobójczych.

Ale dogmatyzację prawd, odkrytych przez geniusza, unieruchomienie wpatzonego w nie wzroku małuczkich, bałwochwalstwo myśli, fetyszyzm, słowem to wszystko, co z lichwą wydierało tłumom spuściznę po geniuszach — znajdujemy nawet w takiej dziedzinie, która z życiem powszednim, trwogą i troską codziennych walk naszych nie ma bezpośredniego związku: znajdujemy to wszystko w dziedzinie naukowej. Geniusz Arystotelesów i Cuvierów o wiele mniej dał ludzkości, aniżeli urok ich imienia odebrał. Teorya

kataklizmów nie dlatego tak długo ostawała się w walce z teorią przeobrażeń stopniowych, iż szczególniej miała przypadać do upodobań i mniemań epoki, ale dlatego, że na straży jej stało potężne imię. Imię to przez długi okres było zupełnie wystarczającym powodem do całkowitego pomijania rozumowań przeciwników, do zupełnego ich lekceważenia; to samo imię stanowiło też najpotężniejszy, najdłużej trzymający się i nie wymagający żadnych wysiłków myśli argument, kiedy wszystkie inne dowody zostały już obalone lub podane w wątpliwość.

Najmniej założeniu naszemu zdaje się odpowiadać artystyczna działalność geniuszów; przedewszystkiem jednak, zaznaczymy, że w tym zakresie twórczości sama przyroda jest bardzo wyraźnym i niedościgłym ludzkości mistrzem. Nauki jej, w sposób mniej lub więcej widoczny, oddziaływują na tłumy najszersze, stwarzając tem samem atmosferę odpowiedniego «przygotowania», dając mnóstwo jednostek wybitnych, łączących tłum z geniuszem i t. p., z drugiej strony, najwięksi nawet geniusze częstokroć nie dosięgają tutaj połowy wyżyn piękna, dostępnych stale i ciągle wzrokowi jednostek przeciętnych. Działalność geniusza sztuki mniej wyraźnie odrywa się do życia, jeżeli nie tłumów, to przynajmniej tłumy wykształconego; jest więc ona raczej działalnością ludzi wybitnych. Ze stanowiska społecznego a w rozumieniu, wskazanem wyżej, geniusz artystyczny najmniej jest geniuszem, pomimo że właśnie wielkich artystów najchętniej obdarzamy znamieniem genialności.

Zresztą ubezwładniający, hypnotyzujący wpływ geniuszów nawet w tym zakresie bynajmniej nie jest tak słaby i uwydatnia się w zakresie twórczości umysłowej albo praktycznego działania. Rytmika i sztuczność hexametrow od dawna już przestała być zachwycać szerszy ogół, a urok imienia Homerów, Horacych i Wergiliuszów nie

pozwalal jeszcze koryfeuszom naszej poezyi wyrwać się z objęć pseudo-klasycyzmu. Ale i w innych dziedzinach twórczości artystycznej znaleźlibyśmy też niemal dowodów tej prawdy: nadawanie postaci namiotów kamiennym budowom egipskim, rembrandtowskie światła i cienie, bizantyjska sztywność, greckie szaty, oto są niektóre z jej niezliczonych przykładów. Nakoniec, zauważyć trzeba, że w wypadkach istotnie znacznej odległości pomiędzy geniuszem a tłumem wpływ jednostki genialnej albo wcale się nie objawia, albo, jak wyżej, zwraca się w kierunku niepożądanym i nieprzewidzianym. Jako dowód wspomnieć tu można o zupełnej obojętności dzikich albo ludzi mało wykształconych wobec muzyki europejskiej albo też wobec łagodnych, niejaskrawych tonów genialnego dla znawców obrazu. Idealnie wyrzeźbiony posąg zrodziłby napewno wśród Hotentotów nowy kult religijny (kierunek nieprzewidzialny), nie wywołując w nich jednak przez czas długi żadnej a żadnej chęci naśladowania. Myliliby się ten, kto by sądził, że twór genialny posiada znaczenie przyświecającego z wyżyn ideału, ku któremu ludzkość podąża z wolna.

Trwale zapasy, jakie się toczyły od wieków pod hasłem najpiękniejszych godel etycznych, ciemnota, nędza i niedola, na których straży długo i wytrwale stały albo dziś jeszcze stoją niezrozumiane zasady mistrza, przedzierzgnięte w smoki i straszydła, teroryzujące umysł i ubezwładniające wolę, zadalyby klam temu mniemaniu. Czyż warto było pożądać ideału, do którego zrozumienia społeczność dążyła przez tysiące lat mordów, zbrodni i który pojęła inną zupełnie drogą, pod wodzą innych pracowników zbliżyła się ku niemu, aż pracownicy owi zdjęli z niego kłatwę niezrozumiałości i odczynili urok, rzucony przez genialność.

Pozostaje tylko pytanie, czy jednostki wybitne, stojące najbliżej ideału w danej chwili, znalazłyby do niego

drogę bez owej przewodniej gwiazdy geniusza? Wątpić o tem znaczyłoby to nierozumieć przyrody i mechanizmu całego dotychczasowego rozwoju ludzkości; znaczyłoby to przypuszczać — że w jakimkolwiek zakresie zjawisk zasada nagłych przewrotów działa skuteczniej i potężniej od zasady przeobrażeń stopniowych; znaczyłoby to, słowem, zwracać się od wyznawanej przez dzisiejszą naukę teorii ewolucyjnej ku porzuconej przez nią doktrynie katalizmów.

Zobaczmy teraz, w jaki sposób odbywał się rozwój ludzkości w tej sferze stosunku jej do geniuszów.

Wiadomo z biologii, że wypadki atawizmu, uwstecnień i powrotów do minionego typu organizacyi, zdarzają się tem częściej, im bliższą jest jeszcze rasa swego pierwotnego źródła, im bliższą jest owego typu. To samo stosuje się do zbroczeń, potworności i wybujałości wszelkiego rodzaju; tem rzadziej ukazują się one, im bardziej utrwalonym i, że tak powiemy, osiedlonym w swem środowisku jest dany gatunek. Wspierając się na tej podstawie biologicznej, a uważając geniusz za pewnego rodzaju spaczenie lub spotwornienie władz zwykłych, biologowie i psychiatrzy mogliby utrzymywać, że liczba i wybitność geniuszów czyli owo wznoszenie się ich nad poziom ogólny maleją w miarę dojrzewania gatunku. Co do nas, to, nie uciekając się do takich lub innych przypuszczeń biologicznych i stojąc wyłącznie na stanowisku socyologii, możemy wygłosić pogląd całkiem podobny: liczba oraz wybitność geniuszów zmniejszają się z postępem cywilizacyi.

Zmniejszenie się takie następuje zapewne pod wpływem coraz lepszego utrwalania się i ustalania gatunku, nas jednak zajmuje inna, czysto socyologiczna tego objawu przyczyna. Przyczyną tą jest, mówiąc ogólnie, chłonięcie albo maskowanie geniuszów przez kulturę powszechną,

w szczególności zaś pochłanianie ich przez wybitne jednostki.

Słusznie zauważył Morgan, że imiona największych geniuszów świata pozostaną dla nas na zawsze ukrytymi. Wynalazcom ognia, koła, dźwigni, klina i t. p. ludzkość będzie mogła wznosić pomniki li tylko jako *deis ignotis*, jako bogom nieznanym. Wyobraźmy sobie gromadę osobników ludzkich, jak najbardziej zbliżoną jeszcze do poziomu zwierzęcości. Kulturalny dorobek tej gromady niczem jeszcze nie dopomaga jej najzdolniejszym jednostkom: rozporządzać one mogą tylko jedynie biologiczną spuścizną rasy — niepospolicie rozwiniętym układem nerwów i mięśni. Wyobraźmy dalej, że na owem szarem tle zupełnej prawie niekulturalności, wobec idealnego niemal zera «przygotowania» społecznego, ukazuje się jakieś nieznaczne zwycięstwo genialnej jednostki nad przyrodą, jakieś najprostsze zachowanie i zużytkowanie sił przyrodzonych do potrzeb codziennego życia. Jakkolwiek błahym byłby taki wynalazek w zestawieniu z umysłową potęgą najbardziej nawet przeciętnej z pośród jednostek cywilizowanych, to jednak, w zestawieniu z owem prawie bezwzględnie zerem przygotowania, bywał on objawem genialności, przewyższającej o wiele wszelkie maszyny parowe i teorie powszechnego ciężenia. Jako przykład, weźmy przypuszczalny wypadek, kiedy po raz pierwszy zużytkowano własności walcowatego pnia, o tyle już ogolconego z korzeni i gałęzi, że mógł się toczyć po płaszczyźnie poziomej lub przynajmniej po równi pochyłej. W obecnym stanie kultury skłonni jesteśmy sądzić, że takie zużytkowanie kłosa oczywiście było samo przez się i narzucało się niejako umysłowi dzikich.

Zdaje się, że kilkomiesięczne niemowlęta nasze zdolnemi byłyby do podobnych wysiłków myśli, o ile, rzecz prosta, pień drzewny zmniejszyłby się do rozmiarów okrągłego

patyka, przypuszczać jednak wolno, że w zaraniu ludzkości umysł dzikiego mniej był wynalazczym i twórczym od umysłowości niemowląt ludów cywilizowanych. Kulturalna działalność pewnych gatunków zwierzęcych (mrówek) świadczy zresztą wymownie, jak daleko posuwa się czasem umysłowość w bezpośrednim użytkowaniu własności ciała i zjawisk przyrody, nie posuwając się jeszcze w użytkowaniu bardziej pośrednim. To też, nie dziwna, że zdaniem socjologów niektórych (Ward), owa pośredniość drogi, wiodącej do celu, stanowi najwybitniejszą może i coraz bardziej uwydatniającą się cechę postępów kultury.

Wynalazca okrągłaka ukazuje się nam jako geniusz prawowity, zawdzięczający odkrycie swe własnym zdolnościom nie zaś kulturalnemu dorobkowi społeczeństwa. Nie sądźmy jednak, że wpływy takiego odkrycia były istotnie wielkimi zaraz po jego dokonaniu. Przypuszczać wolno, że najpierwszem wrażeniem «tłumu», oglądającego to nigdy niewidziane dziwowisko, było wrażenie obawy, która bądź przykuwała przerażonych widzów do miejsca, bądź zniewalała ich do ucieczki, tak samo, jak w wiele tysięcy lat później, skręcająca się samoistnie miernicza taśma jednego z podróżników europejskich rozpędziła tłum Indyan, przyglądających się jego robocie. Najpierwszy przeto wpływ geniusza działał mniej więcej tak samo, jak i wpływy geniuszów późniejszych: wynalazek albo weale nie zmienił biegu codziennego życia, albo też wprowadził tam zmiany nieprzewidziane i niepożądane. Potrzeba było całego szeregu lat i pokoleń, rozwijających stopniowo mózgi «motłochu», albo też całego zastępu jednostek wybitnych, poznających powoli części obrotowego ruchu kłosa, aby można było mówić o «nadawaniu kierunku», aby ewentualny rydwan fetysza stał się zwyczajnym wozem.

Podług Morgana, okresy, oddzielające jeden z wynalazków pierwotnych od drugiego, były daleko dłuższe, ani-

zeli przestrzenie czasu, które oddzielają wynalazki dzisiejsze. Znaczyłyby to, że liczba geniuszów zwiększa się coraz bardziej.

Jednakże, zauważyć należy, iż wynalazcy późniejsi coraz mniej odpowiadają naszemu określeniu geniusza: są to wybitne jednostki, coraz potężniej zasilane dorobkami kultury swojego czasu. Zresztą, być bardzo może, iż coraz większą jest liczba jednostek takich, które, dzięki wyżej już rozwiniętemu a dziedziczonemu po przodkach mózgowi, całkiem samodzielnie dochodzą do poznania prawd i robią odkrycia «genialne» w stosunku do świadomych zasobów własnej ich umysłowości. Ale tutaj to właśnie odbywa się ów proces chłonięcia ich przez kulturę, o jakim mówiliśmy wyżej. Wieśniak, całkiem samodzielnie odkrywający własności krążka (bloka), zmieniający za jego pomocą kierunek sznura, którym windował siano — byłby istotnie geniuszem; obudziłby on jednak śmiech powszechny, gdyby, przyszedłszy do miasta, zechciał uzyskać patent na ten, tak dawno zrobiony już, wynalazek. Niemowle, używające resztek zupy wiśniowej do kreślenia barwnych gzygzaków na obrusie, jest niezaprzeczoną jednostką, jakże rzadko jednak ta genialność znajduje zasłużone uznanie piastunki. Z biegiem czasu to pochłanianie geniuszów przez kulturę epoki odbywać się będzie w rozmiarach coraz szerszych. Naprzód zbiorowa praca coraz większego zastępu uczonych, artystów, działaczy praktycznych i t. p. tak nieznacznie a licznymi ścieżkami zbliża nas do najwyższego poziomu prawdy, dostępnego dawnej epoce, że ktokolwiek utorałby sobie drogę samodzielną i osiągnął cel, ujrzałby się zawsze w licznej towarzystwie innych wędrowców, dążących tuż za nim, z boków, a nawet wyprzedzających go, jakkolwiek nie tak blizkich drogi najwłaściwszej. Po wtóre, jak mówiliśmy wyżej, mnóstwo jednostek «psychologicznie» genialnych pochłania i pochłaniać będzie kul-

tura, nie dopuszczając ich do genialności «socylogicznej», słowem, tak czy inaczej, genialne jednostki coraz częściej i coraz powszechniej ustępować będą miejsca jednostkom wybitnym.

Szerząca się coraz bardziej i utrwalająca koordynacja prac poszczególnych z jednej strony dopomaga jednostkom wybitnym do szybszego osiągania niepospolitych wyników ich działalności, z drugiej zaś nie daje im czasu do wzniesienia się zbyt wysoko nad ogólny poziom. Wypadki jednoczesnego odkrywania zjawisk niektórych, a nawet jednoczesnego stwarzania rozległych teorii, coraz częściej zdarzać się będą. Dzieje nauki, zwłaszcza nowożytnej, świadczą niezbicie, że najwspanialsze nawet poglądy naukowe były jedynie ostatnim rozdziałem, że nie powiemy ostatniem słowem książki, do której zarówno wstęp wyczerpujący jak i rozdziały inne napisała już zbiorowa praca jednostek wybitnych albo nawet mniej znanych.

Z jednej strony biologiczny rozwój długo ćwiczonych mózgów, z drugiej zaś gotowe opracowanie i usystematyzowanie metody badania, a nakoniec uporządkowany naleźycie faktyczny materiał wiedzy sprawiają, że zarówno w zakresie «intuicji», jak i zdolności obejmowania bardzo licznych i odległych grup zjawisk, geniusz znajduje pomoc niepospolitą. Ale te same czynniki stają się też przyczyną tego, że genialność mniej jaskrawo odbija już dzisiaj na owem tle ogólnem, że liczniejszymi więzami łączy się ona z życiem. Tak samo, jak w dziedzinie działań mechanicznych, dzięki podarowanemu przez cywilizację orężowi, ciura obozowy pokonywa bezbronny stosunkowo chociaż o wiele zdolniejszego i waleczniejszego wodza dzikich, jak mało zdolny lecz wdrożony do pewnych czynności maszynista prowadzi olbrzymi parostatek, wobec którego geniusz Archimedesza na razie ujrzałby się bezsilnym, tak też i w dziedzinie oderwanych zagadnień myśli prowadzony

niejako za rękę uczeń wszechniczy nowożytny zdobywa się nieraz na sformułowanie lub uogólnienie, o wiele przewyższające uogólnienia Anaksimenesów i Talesów.

Nie wszyscy rozumieją od razu, że głębokie wywody i rozległe uogólnienia abstrakcyjne mogą być tak samo dziełem skoordynowanej pracy zbiorowej, jak wynalazki, twory przemysłu i t. p. A jednak mechanizm zastępowania geniuszów przez tłumy będzie w tych obu dziedzinach całkiem podobny.

Zbyt chętnie przeciwstawiamy teorię — działalność praktycznej; należałoby wszakże rozumieć, że teoria jest wynalazkiem w dziedzinie myślenia, podobnie jak wynalazek jest utworem teoretycznym (t. j. uporządkowaniem i uzależnieniem) działań mechanicznych. Umysł, nie mogący pochwycić zależności przyczynowej pomiędzy odległymi ogniwami A i Z, pochwyci ją, gdy pozna ogniwa pośrednie, tych zaś wykrywanie i szeregowanie nie przewyższa sił przeciętnych. Lubimy powtarzać, że unyślny zwykły tysiąc razy byłby przeszedł np. koło pręcików róży, nie domyślając się w nich zwężonych nad miarę płatków korony, w tych zaś nie widząc zmienionych liści kielicha — słowem, nie dając nam znanej teorii Goethego. Ale, naprzód, badacz przyszłości nie będzie potrzebował takich skoków: są one jedyną nieraz ucieczką w okresie anarchii naukowej, ale przestaną być pożądane i potrzebne w okresie porządku. Jednocześnie z badaczem róży tysiące innych badaczy opisać i uszeregują pręciki i płatki kosaćców, firletek i t. d. u których bądź pręciki zdradzają większe podobieństwo do płatków, bądź też płatki zbliżają się ku pręcikom. Wówczas «wykrycie» pokrewieństwa pomiędzy pręcikiem a płatkiem stanie się zadaniem zbyt łatwym nawet dla jednostki przeciętnej. W praktyce codziennego życia, w nauczaniu dzieci, w owej metodzie samistnego rozwiązywania przez nie zadań arytmetycznych,

mamy właśnie przykład takiego stopniowego zbliżania się do odpowiedzi ostatecznej, bardziej odległej, przez kolejne rozwiązywanie zagadnień łatwiejszych i bliższych. Słynna metoda Sokratesa była również uzmysłowieniem tej zasady.

Otóż nauka dzisiejsza tem się tylko różni od nauczyciela arytmetyki albo greckiego filozofa, że podsuwa nam owe zagadnienia pomniejsze (w wynikach badań poszczególnych uczonych) bez świadomości wyvodu ostatecznego i nie zawsze w porządku, najprędzej wiodącym do celu. Ale porządkowanie drobnych a blisko sobie pokrewnych zagadnień nie przewyższa zasobów umysłowości przeciętnej, co zaś do ostatecznego wyvodu, to wcześniej lub później ukazuje się on samorzutnie, jako jedna z odpowiedzi poszczególnych, albo też pochwyconym zostaje przez umysłowość wybitniejszą z pominięciem paru ostatnich ogniw pośrednich.

Dewiza «geniusz to wytrwałość», o ile nie mamy na myśli genialności woli, dewiza ta, będąca właściwie zaprzeczeniem geniuszu, powstać mogła jedynie w czasach takich, kiedy prowadzone wytrwale na pasku cywilizacyjnym niemowlęta dosięgają kresów, dostępnych niegdyś tylko bystremu lotowi geniuszów. Przytaczany tak często przykład Keplera, «odkrywającego» prawa swoje drogą zgadywania, świadczy aż nadto wymownie, co zdziałać może jednostka zaledwie przeciętna lecz uzbrojona we wszystkie pomocnicze środki i metody cywilizacyi. Przypuszczać wolno, że gdyby przed laty trzydziestu paru w jakiejś wszechnicy kilkudziesięciu studentom za temat do rozprawy dano: «niezmiennosc gatunków», wskazując przytem piśmiennictwo przedmiotu i zmuszając do zgłębienia tegoż, wielu z pomiędzy nich, nie dla samego tylko paradoksu i oryginalności, napisałoby rzecz «o zmienności gatunków». Darwina i Wallace'a pewne zauważone fakty

jednocześnie prawie doprowadziły do wniosków niemal jednakich, lecz nie ulega chyba wątpliwości, że nie o wiele później do takich samych wniosków musieliby dojść uważni czytelnicy Lamarków, Büchnerów, Geoffroi St. Hilairów itp.

Nie ma tak świetnego odkrycia, któregooby dzisiaj wcześniej lub później dokonać nie mogła zorganizowana praca zbiorowa albo też zasilona pomocą kultury praca jednostki przeciętnej. Odkrycia te zresztą, uogólnienia i sformułowania, dokonywają się codziennie; ogół dowiaduje się o najgłośniejszych tylko, jakkolwiek nie zawsze najważniejszych, poznaje imiona częściej może najszcześniejsze, aniżeli najbardziej zasłużone. Dzieje zarówno nauki, jak i rozmaitych ulepszeń i urządzeń technicznych, roją się podobnymi przykładami.

Przepowiedni naszej o coraz częstszym i skuteczniejszym zastępowaniu geniuszów przez zorganizowaną pracę jednostek przeciętnych najsilniej zdaje się uragać dziedzina odkryć i twórczości artystycznej. Profani z oburzeniem powitaliby myśl, że pisanie pięknych powieści, malowanie obrazów genialnych można się nauczyć; ale też profani nie powinni byłiby mieć głosu w tej sprawie. Sumienne zestawienie artystycznych tworów przeszłości z dziełami teraźniejszych artystów przekonałoby nas, jak olbrzymią pomocą jest nauka i technika nowożytna dla liliputów, pnących się na wyżyny artyzmu; dzieje zaś każdej ze sztuk pięknych odsłoniłyby nam cały szereg osobistości, tłumowi nieznanym, których poszczególne drobne wysiłki, innowacje i ulepszenia torowały drogę wielkościom, stwarzającym później nowe szkoły, nadającym nowe kierunki.

W tym ostatnim zakresie, tak samo jak i we wszystkich innych, era właściwej genialności już przeminęła. Bez przesady powiedzieć można, że jaskiniowiec, kreślący ochrą albo krzemieniem na ścianach swojej siedziby niezgrabne trójkąty i kółka z dwiema lub czterema kreskami, mające

wyobrażać ptaków i ludzi, o całe niebo przewyższał naszych Matejków, Meissonierów, Munkaczych i t. d. Dziecko jest stosunkowo bardziej genialnem, wynalazczem, twórczem i pomyslowem, niż człowiek dojrzały, jest ono geniuszem z konieczności.

Oprócz chłonięcia domorosłych geniuszów, odkrywających po raz drugi Amerykę, kultura epoki maskuje ich w inny jeszcze sposób. Odkrycie jakiegoś genialnego adepta danej gałęzi wiedzy może stać się światłem z nieba dla całego zastępu specjalistów, znających przedmiot lepiej, w ten sposób oni to właśnie wymówią ostatnie słowo zagadki, której w przeciwnym razie nigdyby chyba nie rozwiązali, a której w paru genialnych wzlotach byłby może już niezadługo dosięgnął umysł owego odkrywcy.

Nakoniec kultura w sposób już bardziej bezpośredni przyczynia się do osłabienia «intuicyjności» geniuszów czyli jednego ze znamion, które dość powszechnie uważanem jest za nieomylny probierz genialności. Na osłabienie tego przymiotu wpływa systematyczność dociekań i wywodów, doprowadzająca nieraz umysły słabsze do zupełnej rutyny. Jest to ciemna strona owego dodatniego działania systematyczności, bez którego nie tylko przeciętne ale i bardzo wybitne jednostki nie mogłyby się oryentować w olbrzymim lesie faktów i zjawisk. Dodamy nawiasowo, że, jak o tem zresztą wspominaliśmy gdzieindziej, rutynizowanie umysłów oświeconych zdaje się być jedną z przyczyn t. zw. większej intuicyjności kobiet. Można zauważyć również, że systematyczność kształcenia staje się w ciągu wieków sprzymierzeńcem owej dążności biologicznej do usuwania i równoważenia genialnych wybujałości.

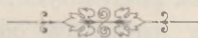
Tak więc, sądzilibyśmy, że zarówno liczba, jak społeczne znaczenie geniuszów zmniejszać się będzie w przyszłości coraz bardziej; utrwalenie się i równoważenie cielesnych przymiotów gatunku zatamują biologiczne źródło

ich powstawania; nagromadzenie zaś zasobów kulturalnych oraz koordynacja tychże zmniejszą doniosłość ich socjologiczną; natomiast, olbrzymią wagę uzyska czynnik społecznego przygotowania. Będzie to epoka najszybszego i zarazem najbardziej prawidłowego postępu, epoka, w której najblahszy wynalazek jednostki najmniej wybitnej nie pozostanie bez wpływu na kierunek życia społecznego — dzięki olbrzymiej sile społecznego przygotowania. Iloczyn ogólny, powstały z pomnożenia wynalazczości jednostek przeciętnych i wybitnych przez czynnik społecznego środowiska, nieskończenie przewyższać będzie owe dawniejsze iloczyny, tak nieznaczne albo nawet tak blizkie wielkości ujemnych. Perspektywa panowania przeciętności przerażać może tych, którzy nie zdają sobie sprawy, na czym właściwie zmiana polegać będzie. Łudzimy się, sądząc, że to miłość ideału każe nam pożądać takich jego proroków i wodzów, przed którymi moglibyśmy leżeć w prochu czolobitności albo zahypnotyzowani wpatrywać się nieruchomo w ich nimby. Są to raczej szczątki owego pędu, właściwego pierwotnej, niezindywidualizowanej gromadzie ludzkiej. Panowanie przeciętności będzie właśnie dobą najwyższego rozkwitu wszelkiej jaźni, nawet najuboższej. Nagromadzone przez stulecia zasoby światła ożywczego i ciepła rozleją się po wszystkich głowach i sercach, pobudzając każde z nich do spełniania wszystkiego, co przy współdziałaniu zmarłych i żywych pokoleń spełnić będzie mogło.

Jałowym i nedorzecznym byłby dzisiaj spór o to, czy ludzkość szczęśliwszą byłaby w przyszłości bez geniuszów, czy dalej posunęłaby się już dzisiaj w rozwoju, gdyby nie owe uwstecznienia i konwulsje, o jakich mówiliśmy wyżej. Z jednej strony samo ukazywanie się geniuszów, z drugiej zaś taki a nie inny względem nich stosunek były nieuchronnymi zjawiskami przyrody, koniecznością dziejową. Ale nie ulega też wątpliwości, że przyszły

spokojny i ciągly rozwój społeczeństw zarówno szybkością swą jak i rozległością o wiele przewyższy epokę dawną. Spływające na ludzkość światło wiedzy geniuszów podobnem było do niesfornego strumienia, który za ożywczą i użyźniającą robotę swoją od czasu do czasu brał ofiary w ludziach, siedzibach i zwierzętach, pustoszył ląny, splukiwał wszelki ślad odwiecznych, mozolnych trudów człowieka. Światło nauki dzisiejszej podobnem będzie do olbrzymiej i potężnej, ale ujętej już w karby wstęgi Nilowej, która za dobrodziejstwa, świadczone cywilizacyi, nie każe sobie płacić ofiarami z teje cywilizacyi.

Nie sądzmy zresztą, że, pochłonawszy spotwornienia i wybujałości, kultura czasów przyszłych nie pozostawi dość szerokiego pola jednostkom nawet najbardziej wybitnym. Już samo przyswojenie nagromadzonych przez ludzkość i uporządkowanych materyałów domagać się będzie niezwyklej pojemności mózgu, zaś nowe ich skojarzenia i uogólnienia, pomimo ułatwień i systematów, najczęściej będą dziełem umysłów wybitnych. Ale o głębokości ich wpływu, o «zmianie kierunku» stanowić będzie najglówniej i coraz wyraźniej czynnik społecznego środowiska. Dzięki temu też czynnikowi zwiększać się będzie znaczenie jednostek wybitnych nie w takim rozumieniu, iżby coraz potrzebniejszymi stawały się one dla ludzkości, gdyż, jak wiemy, obyć się bez nich będzie coraz łatwiej — lecz w takim, że najdrobniejszy nawet wysilek myśli i czynu znajdować będzie coraz lepszą dźwignię w przygotowaniu społecznem.



## DOBÓR MIŁOSNY.

---

### I.

Sir George Campbell wypowiedział wojnę szanowanemu od wieków zwyczajowi «kochania się». Co prawda, niezliczone stadła rodzicielskie prowadzą taką walkę już od czasów zamierchłej starożytności, ale zwracały się one jedynie przeciwko wypadkom poszczególnym, nie wążąc się na zwalczanie ogólnych podstaw tego szlachetnego zwyczaju. Doświadczony wielkorządca Indyj przywykł wszystko obrabiać podług wzorów innych, radby on był tak jakoś kierować życiem ludzkim, jak, nieprzymierzając, jakimś wydziałem indyjskiej administracji. Dlatego to sir George Campbell pragnąłby oddać wybór mężów i żon w ręce szczególnego zarządu, któryby poprowadził wzorową «hodowlę ludzi». «Prawdopodobnie, powiada on, posiadamy dość wiedzy fizyologicznej, aby dokonać znakomitej poprawy potomstwa przez łączenie jednostek jednej jakiejś rasy albo ras pokrewnych; zastosujmy tylko tę wiedzę do kojarzenia małżeństw odpowiednich i nie pozwalajmy na panowanie wśród młodzieży niedorzecznych pojęć o miłości, na rządzenie się upodobaniami tym, którym niepodobna prawie powierzyć wyboru ich własnych

kapeluszy, a tymbardziej nie można zaufać tam, gdzie oddziałują na nich wpływy nieuzasadnionych przesądów i uprzedzeń». Innemi słowy chciałby on uwolnić nas od głęboko zakorzonego instynktu skłonności fizyologicznych, a na ich miejsce wprowadzić spokojny i beznamiętny ale sztuczny wybór towarzysza lub towarzyszki na ojca albo matkę przyszłych pokoleń.

Jest to, oczywiście, przedmiot poważny, zasługujący też na poważne i pełne szacunku roztrząśnięcie. Zdaje mi się jednak, że wniosek sir George'a Campbella jest właśnie wprost przeciwnym temu, do jakiego zniewala ludzi nauki badanie fizyologicznych i psychologicznych pierwiastków owego wielce zawilego zagadnienia dziedziczności. Nie uważając bynajmniej miłości za «niedorzeczne pojęcie», wrogie interesom rasy, sędzę, że raczej wszyscy najbardziej świadomi rzeczy fizyologowie i psychologowie, zwłaszcza zaś należący do szkoły ewolucyjnej, uznawać ją będą za najbardziej dobroczynny i zachowawczy instynkt, wyległy i utrzymujący się w nas za sprawą przyczyn przyrodzonych, właśnie ku zapewnieniu owych korzyści i poprawy, jakie sir Campbell chciałby osiągnąć drogą świadomego i rozważnego wyboru. Co większa, mnie mam, (a większość ewolucjonistów zgodzi się ze mną zapewne), że ów dziedziczny instynkt «zakochiwania się» dosięga celu swego o wiele lepiej, subtelniej i w sposób bardziej zadawalniający, aniżeli mógłby był tego dokonać urzędowy dobór sztuczny. Słowem, teoria moja jest tylko naukowym wyrazem tego, że «śmierć i żona od Boga przeznaczona» — z dodatkiem, że niebo urządza te sprawy o wiele lepiej, aniżeli byłby to uczynił sir George Campbell.

Przedewszystkiem zobaczymy, w jaki sposób «kochanie» oddziaływa na przeciętną sprawność ludzkiego organizmu; następnie zaś rozważymy, jakim musiałby być

prawdopodobny wynik zastąpienia go przez świadomy wybór zewnętrzny.

Zakochanie się, jak uczy nas biologia nowożytna, nie jest niczem innym, jak tylko ostatniem, najwyższem, najbardziej złożonem umysłowieniem — w rodzaju ludzkim — owej najpowszechniejszej sprawy doboru, jaką Darwin pozwolił nam oglądać w całej olbrzymiej dziedzinie królestwa zwierzęcego. Motyl, krążący w napowietrznych płaszcach dokola spostrzegawczej swej towarzyszki, pragnie zachwycić ją pięknnością barw i pokonać jej obojętność swoją zwinnością. Paw, roztaczający powaby swoje wobec uważnych samiczek, w rzeczywistości przyczynia się do utrwalenia piękności i siły przyszłych pokoleń, a to zbierając dokola siebie harem, za pomocą którego przekaże on im cenne przynioły, jakie właśnie na niego ściągnęły uwagę płci słabszej. Wallace wykazał już, że być pięknym znaczy celować sprawnością organizmu; dobór zaś płciowy jest tylko jak gdyby boczną gałęzią doboru naturalnego — jest on ostawianiem się najzdadniejszych w sprawie wzajemnego pociągu i odpowiedności, co, mówiąc ogólnie, daje w potomstwie największą sumę najlepszych własności gatunku. Nie potrzebuję zatrzymywać się dłużej nad tą stroną zagadnienia, gdyż od chwili ukazania się dzieła Darwina *Pochodzenie człowieka* jest ona już znana wszystkim.

W gatunku ludzkim sprawa doboru odznacza się wszystkimi temi znamionami, jakie widzimy w całym państwie zwierzęcem. Ale nadto, jak tego można było oczekiwać, jest ona bardziej wyspecjalizowaną, bardziej zindywidualizowaną i o wiele czujniejszą na cechy osobiste oraz pomniejsze właściwości osobnika. Dalej — odbywa się ona o wiele więcej w zakresie nie tylko fizycznych już, ale umysłowych i moralnych znamion jednostek.

Nie możemy zakochać się w kimkolwiek bądź. Jedni

kochają się w takich, inni — w innych. Na ten głęboko zakorzeniony instynkt wyodrębniania musimy spoglądać, jako na wynik dodatkowych moralnych, umysłowych, albo fizycznych znamion dwu osobników; w ogromnej zaś liczbie wypadków doświadczenie wskazuje nam, że gdy uczucie miłości bywa wzajemne — wywiązuje się ono jak gdyby wskutek harmonijnego zespolenia cech przeciwnych i dopełniających się wzajemnie.

Niepodobna wątpić o zachowawczym i doskonalącym nawet wpływie miłości. Kochany się zwykle w osobach młodych, pięknych, silnych i zdrowych nie zaś w podeszłych, brzydkich, słabych i chorych. To też niepotrzebnym był chyba religijny zakaz żenienia się z babką... Moraliści zawsze żywili jakieś uprzedzenie do ładnych twarzy, ale jakto pięknie (a na długi czas przed Darwinem) wykazał Herbert Spencer: twierdzenie, iż piękność stanowi jedynie zewnętrzną powłokę ciała, samo jest powierzchowną tylko gadaniną. W rzeczywistości, o ile sprawa dotyczy zachowania gatunku, piękność jest jednym z najbardziej nieomylnych przewodników wyboru danego mężczyzny albo kobiety na męża lub żonę; piękna postawa, kibić zgrabna, ładny biust, okrągłe ramiona i szyja, świeża cera, oblicze hoże — są to wszystko oznaki cieleśnych przymiotów, które w całokształcie swym tworzą zdrową, silną żonę i matkę; każą one domyślać się czerstwości, płodności, dobrego krążenia krwi i dobrego trawienia. Przeciwnie żółtość i bladość świadczą o złym trawieniu i niedokrwistości; pierś wklęsła o słabych zdolnościach rozrodczych, zaś to, co nazywamy nieładną powierzchownością, jest zwykle jakimś niezdrowym zboczeniem od przeciętnego typu rasy. Piękne zęby — to sprawa spożywania pokarmów, oko jasne — to ożywiona działalność wątroby, zaś nieczysta pleć i karłowatość świadczą zwykle o braku dzielności. Niemniej też uznanymi

czynnikami piękności osobistej są przymioty umysłowe i moralne. Twarz wesola już tem samem jest prawie ładną. Uprzejmy uśmiech wynagradza poniekąd rysy niezbyt pociągające. Ociężałe, ponure, napół idyotyczne usposobienie nigdy nie dodaje piękności. Czolo niskie i w tył podane nigdy nie uspasabia nas przyjaźnie. Inteligencya i dobroć są prawie tak nieodzownymi pierwiastkami naszego ideału pięknej twarzy i powierzchowności człowieka, jak zdrowie i siła.

Tak więc, jako rasa, kochamy się zwykle w tem, co stanowi o sprawności i zdolności osobnika, zaś jako jednostki — w tem, co jest naszym umysłowem, moralnem i cielesnem uzupełnieniem. Nie kochamy się, jak sądzę, w czemś podobnem do nas, lecz wprost przeciwnie — w tem, co jest inne, co da się nam przeciwstawić. Biorąc ogół wypadków, znajdziemy, że spostrzeżenie owo, będące znanym ogólnikiem rozmów towarzyskich, jest też zarazem naukową prawdą.

Bracia i siostry miewają więcej znamion wspólnych, aniżeli dwa jakiegokolwiek bądź osobniki gatunku; to też nikt nie kocha się w bracie lub siostrze. Głęboko zakorzeniony instynkt ostrzega najczęściej nawet niższe rasy ludzkości przed takimi związkami. W rasach wyższych nawet myśl podobna prawie nigdy się nie ukazuje. Nawet cioteczni i stryjeczni kochają się dość rzadko, jeśli uwzględnimy przysługującą im łatwość obcowania. W małych społeczeństwach, gdzie mnożenie się kazirodcze jest prawie nieuniknionem, przyroda upomina się o swoje prawa, stwarzając mnóstwo kretynów oraz innych istot upośledzonych. Ale w bardziej otwartych okolicach wiejskich dziewczęta i mężczyźni pobierają się zwykle, (jeśli tylko nie ulegają przemocy rodziców albo moralistów), z jednostkami, pochodzącymi z zewnątrz, a stanowiącemi ich uzupełnienie przyrodzone. U wielu mężczyzn ten wstręt do

żenia się z temi, które się chowały z nimi od dziecka, jest tak wielki, iż staje się wprost jak gdyby instynktem. Wśród plemion egzogamicznych — biorących żony z zewnątrz — instynkt taki, (wspierany przez inne jeszcze czynniki), stał się zwyczajem; istnieją zaś powody do mniemania, że wszystkie przedniejsze rasy pochodzą od podobnych plemion egzogamicznych. Co do szczegółów mniej ważnych, to np. uznaje się pospolicie, iż mężczyźni wzrostu małego kochają się w kobietach wysokich i na odwrót; ciemnowłosy kojarzy się najchętniej z blondynką. Ludzie oddawna zauważali, że owo dążenie do przeciwieństwa służy ku utrzymaniu przeciętnego typu rasy, ale nie każdy może pamiętać, iż w ten sposób, jednostka znajduje zwykle swe uzupełnienie. Rzecz naturalna — nie wyszukujemy i nie wykrywamy świadomie takich znamion uzupełniających; instynkt pociąga tu w sposób o wiele bardziej intuicyjny, ale później znajdujemy w końcu, jak prawdziwemi i godnemi zaufania były jego wskazówki. To znaczy, iż ci właśnie ludzie tak postępują, którzy byli dość mądry i szczęśliwi, aby pójść za głosem najwcześniejszej skłonności serca, nie wstydząc się owej najpiękniejszej i najgłębszej intuicji ludzkiej — pokochania odrazu.

Jak dalece subtelną bywa owa intuicja, możemy nieraz odgadnąć z pozornej kapryśności i niezrozumiałości jej działania. Wiemy, iż niektórzy mężczyźni i kobiety zakochują się dość łatwo, inni zaś potrzebują do tego wielu warunków szczególnych. Wiemy, że jednego pobudzi każda piękna twarzyczka, drugiemu zaś potrzeba koniecznie przymiotów umysłu albo moralnej piękności. Niekiedy spotykamy jednostki o wszelkich możliwych cnotach i powabach, a jednak, dla jakichś powodów niezrozumiałych, nie możemy się zakochać w nich tak samo, jak nie mogliśmy się zakochać w dekalogu. Nie sądzą, naturalnie, jak dawni romantycy, że się kocha raz tylko w życiu,

albo że każdy i każda mają gdzieś na świecie swoje uzupełnienie, z którym się muszą koniecznie spotkać, gdyż w przeciwnym razie do końca życia nie doznają zadowolenia w miłości. Prawie każdy normalny i zdrowy mężczyzna lub kobieta (z wyjątkiem wypadków bardzo wczesnego małżeństwa) w ciągu życia kochali się po kilka razy i mogliby znaleźć po kilka osób, w których przy odpowiedniej sposobności byliby zdolni zakochać się znowu. Zazwyczaj tak mężczyźni, jak i kobiety uczuwają miłość wśród tych towarzystw i w takich miejscowościach, w jakich przebywają. Indyanin z Kolorado nie odbywa łowów po całym świecie dla znalezienia swej bogdanki, ale pomiędzy temi, jakie spotyka, nie każda piękność robi na nim wrażenie; tylko dwie lub trzy zwracają uwagę jego, jako możliwe na żonę, zaś ostatecznie (poza granicami Mormonów) jedna tylko staje się jego towarzyszką.

Otóż właśnie owa obojętność na mnóstwo naszych współobywaterek albo współobywateli, owa niezmiernie wysoka skala zdolności wyboru w ludzkim gatunku — jest oznaką niezwykłego naszego wyspecjalizowania się, piętnem i znamieniem naszej wyższości. Zwierzęta nie wyszukują tak i nie wybierają — chociaż i tam spostrzegamy już zaczątki wyboru osobistego, jak o tem świadczy Darwin: nawet motyl samiczkę swą musi zdobywać zalotami. Jedynie wszakże w rodzaju ludzkim wybór dotyczy tak drobnych, subtelnych i nie dających się czasem określić wyróżnień. Dlaczegoż to powszechny popęd w gatunku naszym podlega takim ograniczeniom? Dlaczego jesteśmy tak dowolni nieraz i tak niejednakowi w upodobaniach? Z pewnością cel tego jest dość poważny i dobroczynny. Żadna z głęboko zakorzenionych w nas potrzeb organizmu nie mogłaby być bez powodu i bez pożytku ograniczoną w ten sposób. Niekiedy możemy nawet znaczenie owych ograniczeń zrozumieć. Raz przekonujemy się jak wielką jest

rola piękności, kiedyindziej znowu widzimy całą doniosłość siły, dobrego ułożenia, wdzięku, przymiotów moralnych. Żywość, jak powiada Galton, jest jednym z największych powabów człowieka i tłumaczy nam częstokroć to, co inaczej byłoby nie do wytłumaczenia. Ale ostatecznie pozostaje zawsze całe mnóstwo pierwiastków niepojętych, jakaś potęga głęboka i bardziej cudowna w swych niezbadanych rozgałęzieniach, aniżeli świadomość ludzka. «Co też ten A widzi w tej B» — powiadamy nieraz. Właśnie tę niewytłumaczalność zjawiska uważam za znamię wielkiej doniosłości. Taki niezbadany, ciekawy instynkt musi być jakimś kierowniczym głosem przyrody, przemawiającym w nas dla dobra naszego rodzaju i pokoleń przyszłych.

Z drugiej strony, wyobraźmy na chwilę, że ludzkość wyrzekła się «tych niedorzecznych pojęć o miłości oraz upodobań młodzieży», i sprawę kojarzenia par powierzyła komisji antropologów pod prezydencją sir George'a Campbella. Zkąd doszłaby owa komisya do znajomości wszystkich tych jednostkowych różnic budowy i czynności, tak ważnych w harmonijnem zespoleniu odmiennych upodobań i wstrętów? Czyliż żywa istota ludzka, ze wszystkimi jej narządami, zdolnościami i skłonnościami, jest tak łatwą do odczytania zagadką. Sądzę, że nie moglibyśmy powiedzieć z góry, dlaczego hanowerski milicyant i jego ociężała ciemna, nieokrzesała małżonka dają życie takiemu np. Williamowi Herschlowi (słynny astronom). Gdy zapagniemy ulepszać «hodowlę» ludzką bądź za pomocą wyboru narzuconego, bądź też przez wytwarzanie niezależnych uczuć moralnych, a z pominięciem owego instynktowego upodobania, jakie nazywamy miłością, to sądzę, że bynajmniej nie poprawimy rasy, a natomiast albo wykoszlawimy budowę przyszłej jednostki, albo też wytworzymy jakies mdle, stereotypowe wzory słodkiego niedołęztwa. Zmiażdżylibyśmy w ten sposób wszelką inicjatywę, samorzutność,

rozmaitość upodobań i oryginalność, otrzymalibyśmy poruszające się kodeksy moralności, nie zaś ludzi żywych.

Przypatrzmy się analogii zwierząt domowych. Zwolennicy «hodowli» z dumą wskazują zawsze ten przykład. Ale czegoż uczy on nas w istocie? Że nie możemy spotęować sprawności zwierzęcia w danym kierunku i stopniu, nie zakłócając ogólnej równowagi jego ustroju. Koń rasowy może w oznaczonym dniu i w miejscowości oznaczonej przebiec wiorst parę ze zdumiewającą szybkością, zdobywać przeszkody i t. p., ale do tego też tylko jest zdolny. Ogólne jego zdrowie staje się natomiast tak delikatnem, iż pielęgnować go trzeba, jak podzwrotnikową roślinę. W stosunku do zwierząt i roślin, powiada sir Campbell, nauczyliśmy się już zużytkowywać prawa dziedziczności w celu potęgowania dobrych znamion, osłabiania złych. Prawda, ale o tyle tylko, o ile dotyczy to punktów niektórych, cenionych przez nas dla naszych własnych celów. Ale, czyniąc to, do takiego stopnia zmniejszyliśmy siłę zwierzęcych i roślinnych ustrojów, że winnice nasze i kartofle ustawicznie prawie podlegają chorobom, że zwierzęta domowe w przybliżeniu nawet nie dorównywuują sile i sprawności swoich dzikich przodków. Cóż więc moglibyśmy osiągnąć, postępując w taki sam sposób ze stokroć bardziej zawilą przyrodą ludzką? Potęgując zdolności umysłu — moglibyśmy osłabić zalety serca lub ciała; dążąc do jednostajnego rozwinięcia władz wszystkich — doszlibyśmy do stereotypowej martwoty Chińczyka.

Równowaga narządów i zdolności rasy jest sprawą niezmiernie subtelną i zawilą. Przekonać się o tem możemy, widząc np. dzisiaj wymieranie Papuańczyków albo Indyan paragwajskich — pod działaniem warunków otoczenia, do jakiego nie nawykli byli ich ojcowie. Cóż za szaleństwem byłoby przeto krępować cudowny, utrzymujący dziś ową równowagę, instynkt na korzyść jakiegoś

niewypróbowanego systemu sztucznego, który prawdopodobnie okazałby się tak chybionym bezmyślnie, jak dzisiejszy system wyższego wychowania kobiet, zabójczo oddziałujący na macierzyńskie uzdolnienie najlepszych kobiet Anglii.

Ale czy w obecnem położeniu naszego rodzaju wybór miłosny i przyrodzony dobór zgodnie działają ku udoskonaleniu wszystkiego, co jest w nas dobrem i, przeciwnie, naprawiają wszelkie usterki przyrody? Dzieci słabowite bowiem, ociężałe, głupkowate, schorowane rodzą się za sprawą tegoż kochania, jak dzieci zdrowe i normalne.

Aby wytłómaczyć to sobie, musimy rozważyć jeszcze dwie strony zagadnienia. Przedewszystkiem żaden instykt nie jest doskonałym. Każdy z nich szwankuje pod takim albo innym względem. Jeżeli jednak wpływ jego, biorąc ogólnie, okazuje się dodatnim, jest on zupełnie usprawiedliwiony. Dalej, materiał, z jakim musimy mieć tutaj do czynienia, nie jest najlepszy. Każdy mężczyzna żeni się nie z kobietą możliwie najlepiej przystosowaną do jego właściwości osobistych, ale z najlepszą z pośród dostępnych dla niego. Domagam się też tutaj uznania tylko tego, że wynik całej sprawy byłby o wiele gorszym, gdyby wyboru dokonywał za niego ktoś inny, albo też gdyby on sam wybierał na podstawie abstrakcyjnych kombinacyj biologicznych.

Powtóre, należy zauważyć, że miłość nie miewała dotąd, przynajmniej wśród ludów cywilizowanych, całkiem wolnego pola działania i nie cieszyła się przychylnością zupełną. Wiele małżeństw koiarzy się na podstawach zgola innych — próżnej dumy, chciwości, przekonań religijnych albo wygody. Można powiedzieć, że w klasach wyższych i średnich bardzo mały procent małżeństw koiarzy się pod wpływem samej miłości. Takąż działaniu jej przeszkodą

są niektóre sekty religijne, co widzimy np. w stosunku chrześcian do żydów.

Jednakże przeciwko wszystkim owym wpływom krepującym walczą dość skutecznie poezya i powieściopisarstwo. Powieści — są to najczęściej blahe i nieużyteczne twory piśmiennictwa i żałować nawet wypada, że proste prawo podaży i popytu skierowało tak wielką liczbę najzdolniejszych umysłów na drogę owej twórczości, najczęściej tak znikomej; ale obok wad rozmaitych powieściopisarstwo posiadało zawsze tę zaletę, iż walczy z samolubnymi wpływami osób postronnych na korzyść przyrodzonych a dobroczynnych wpływów miłości. Dziwna to bowiem, że zawsze nie moralisci i doktrynerzy miewali słusność w tym wypadku, lecz sentymentalisci i rokoszanie. Gdyby pospolite zasady moralności towarzyskiej znalazły posłuch szeroki, gdybyśmy wszyscy wybierali żony i mężów nie dla ich urody albo mężkości, nie dla oczu lub wąsów, nie dla powabu ich i żywości, ale dla «trwałych zalet ich umysłu i charakteru», bylibyśmy już dotychczas napewno rasą mędrków i książkowych mólów, maryonetek i purytanek, zdenerwowanych niedolęgów i słabowitych idyotów.

Przez cały czas, dla uproszczenia rozumowań, mówiłem tu umyślnie tak, jak gdyby w małżeństwie chodziło tylko o dobro pokoleń przyszłych. Nie sądzę jednak bynajmniej, iż pokolenie istniejące ma być poświęconem dla dobra tego, które się dopiero narodzi. Otóż właśnie najsilniejszym może dowodem na korzyść «zakochiwania się» jest to, że, czyniąc zadość wymaganiom przyszłości, jednocześnie pozwala ono najlepiej dobierać się ludziom chwili bieżącej. W tem też upatruję największą zaletę miłości. Ludzie kojarzą się w pary zazwyczaj w takim wieku, kiedy jeszcze nie mają dość praktyki życiowej i nie umieją się poznać na wartości swych bliźnich. A jednak w życiu ich późniejszym okazuje się najczęściej, że się do-

brali dobrze. Uwzględniając jak najszerzej wpływy przyzwyczajenia się i t. p. będziemy jednak musieli znaczną część tych wyników przypisać samemu instynktowi miłosnemu. Ale najbardziej nieomylnym, najważniejszym i jak gdyby najbardziej gorliwym bywa ów instykt w sprawie wytwarzania zdrowego i sprawnego potomstwa — co, oczywiście, musi stanowić główny cel jego istnienia.

Nie wątpię, że w miarę postępów świata potęgować się też wśród nas będzie uczucie moralnej odpowiedzialności wobec małżeństwa. Ale uczucie to nie pójdzie drogą fałszywą — drogą pomijania tego najgłębszego i najświętszego instynktu. «Małżeństwa dla pieniędzy» mogą przeminąć; «małżeństwa dla stanowiska» — również, ale małżeństwa z miłości trwać będą wiecznie. Ludzie przyszłości czuć będą zapewne, że związek z bliskim krewnym lub krewną jest szkodliwy; że łączenie się z osobą zbyt podobnych usposobień lub powierzchowności jest co najmniej niepożądane, że związki, oparte na względach majątkowych lub jakichkolwiek innych względach — poza przyrodzoną skłonnością — są rzeczą niską, ale aż do końca świata będą oni najmocniej przekonani, że głos przyrody lepszym jest od głosu doktrynerów.

## II.

### Współzależność zjawisk i nauk.

Grant Allen w swojej obronie praw doboru płciowego ukazuje się nam jako biolog krwi czystej — za mało uwzględniający społeczne czynniki tego, co nazwałbym «doborem miłosnym». A jednak raz na zawsze powinniśmy się byli przejąć myślą, że ilekroć idzie o stosunki

i zjawiska, zdarzające się pomiędzy ludźmi, tyle razy sędzią najwyższym, jedynie mogącym wydawać wyroki ostateczne, musi być socjologia, nie zaś jakakolwiekbądź z nauk, stojących niżej. Stanowisko socjologa, nie przestając być stanowiskiem przyrodniczem — w najszerszym znaczeniu tego wyrazu — nie jest już jednak wyłącznie biologicznem albo nawet psychologicznem. Mógłby ktoś powiedzieć, że biologia i psychologia są to jak gdyby dwa najpóźniej otworzone składy, w których postęp umysłowości zgromadził ostatnie już materiały, niezbędne do zbudowania gmachu socjologii; w pierwszym z nich mieszczą się cegły i bryły kamienne, belki i deski, w drugim — cement i środki spajania poszczególnych części. Jednostka biologiczna jest surowym materiałem społeczeństwa, psychiczne jej własności są cementem, zespalającym odrębne głazy. Ale wadą przerośniętą powyższej jest to, iż przedstawia nam społeczność w postaci unieruchomionego, stalego zespolenia części martwych, kiedy tymczasem, jak wiemy, jest to skupienie ruchome, żywe, dynamiczne. Nie koniec na tem. Gdyby nawet społeczność była nieruchomym gmachem brył nieruchomych, to do utworzenia jego podwalin, ścian, sklepień, mniej lub więcej trwałych i ozdobnych, niezbędnym byłby architekt. Mówiąc ogólnie, rolę budowniczego odgrywa samo życie społeczne, w szczególności zaś o kształtach i przeznaczeniu gmachu stanowi w każdym okresie przewodnia idea klasy przewodniej — umiejącej odpowiednio wyzyskać tak biologiczne i psychiczne przymioty klas innych, jak i fizyko-chemiczne własności surowych materiałów przyrody, oraz wytwarzanych na łonie społeczeństwa narzędzi, wynalazków i t. p. Jest to więc budowla, jeśli tak powiedzieć wolno, budująca się samoistnie. Siłą czynną w tej pracy budowania są właśnie biologiczne i psychiczne własności brył składowych; ztąd też uroszczenie biologów i psychologów, aby im pozwolono

wyrokować o stosunkach społecznych, wydaje się niepozabawionem podstawy logicznej. Nie mają oni wszakże słuszności.

Twierdzenie Spencera, że charakter całości jest wytworem charakterów części składowych, posiada jedynie wartość naukowej tautologii. O wzajemnych stosunkach części, o stosunku ich do całości, o zmianie przymiotów ich i znamion pod wpływem owych wzajemnych stosunków, dowiadujemy się z twierdzenia tego równie mało, jak w swoim zakresie byłby się dowiedział matematyk, myślący nad zawilem zagadnieniem, gdyby mu ktoś oznajmił, że w równaniu, jakie ma on nakreślić, jedna część musi z pewnością równać się drugiej. W praktyce naukowej podobna tautologia byłaby naiwnością szkodliwą. Nawet w sferze zjawisk i stosunków o wiele prostszych przekonujemy się o jej bezowocności. Charakter wody jest najnieważliwiej wytworem «charakterów» tlenu i wodoru, ale, dodajmy też, charakterów takich, których ani w tlenie samym, ani w wodorze zmysły nam nie odsłaniają. Fizyk, któryby, mieszając odpowiednie objętości tych gazów i poddając je ciśnieniu, łudził się, że otrzyma pewną przewidywaną przezeń objętość mieszaniny, byłby doznał zawodu i po wytłómaczenie sprawy musiałby się zwrócić do chemii. Chcę przez to powiedzieć, iż w niektórych wypadkach, «charaktery» części składowych, wziętych odrębnie, tak dalece różnią się od charakterów tychże części, trwających w zespoleniu, że własności otrzymanego skupienia, oraz skupienie samo muszą stać się przedmiotem nauki nowej. Fizyk na krańcach swojej gałęzi wiedzy spotyka się z badaczem chemii; obadwaj, zdążając dalej, dochodzą do zakresu poszukiwań biologa; w trzech, nie mogąc wytłómaczyć sobie zjawisk niektórych — udają się do psychologa, наконец, wszyscy czterej zmuszeni bywają szukać objaśnień w socjologii. We wszystkich tych wypadkach

potrzeba objaśnień ze strony innej nauki ukazuje się wtedy, kiedy własności nowootrzymanego skupienia nie są li tylko prostem zsumowaniem znamion części składowych, ale różnią się od sumy ich jakościowo, różnica zaś owa występuje zawsze, ilekroć wzajemne oddziaływanie składników wywołuje w nich takie własności, jakich nie spostrzegamy w każdym z nich — w stanie odosobnienia. Mieszając w pewnych warunkach dwa pierwiastki chemiczne, otrzymamy jedynie masę, której własności przedstawiać będą ilościowe zsumowanie przymiotów ciał zmieszanych; ale mieszając te same pierwiastki w warunkach innych np. w wyższej albo niższej temperaturze, czyli zmuszając je do takiego oddziaływania, jakie wywoła w nich własności, aż dotąd utajone, otrzymamy związek chemiczny, którego przymioty jakościowo różnią się od sumy własności pierwiastków, pozostających w stanie wolnym. Pewnego rodzaju oddziaływania chemiczne wywołują w ciałach, na siebie oddziaływających, przymioty nowe — tak, że własności utworzonego z owych ciał skupienia nie są już prostą sumą chemicznych własności składników: mamy tu skupienie biologiczne. Skupienie cząsteczek protoplazmy w komórki, komórek w tkanki i t. d. odznacza się takim wzajemnem oddziaływaniem składników, iż w następstwie ukazują się nowe tychże składników przymioty, a ztąd charakter samego skupienia nie jest już prostą sumą charakterów części składowych: mamy tu już świadomość — mamy jednostkę psychologiczną<sup>1)</sup>. Skupienie jednostek świadomych w związki społeczne odznacza się takim wzajemnem oddziaływaniem składników, iż w następstwie

---

<sup>1)</sup> Zwracam uwagę, że rozumowanie to nie dotyka bynajmniej sprawy istnienia lub nieistnienia ducha albo wogóle jakiejś nieznamnej nam postaci energii. Zaznaczamy tu tylko przeobrażenia, jakim w miarę wzrastającej komplikacji skupień podlegają znane nam postacie materii i ruchu.

ukazują się nowe tychże składników przymioty, a ztąd charakter samego skupienia nie jest prostą sumą charakterów części składowych: mamy tu już przymioty społeczne, mamy skupienie, stanowiące przedmiot socjologii.

Szczegółowe wykazanie tego, że we wzajemnym na siebie oddziaływaniu jednostki czujące zdobywają takie własności, jakich nie posiadały w stanie odosobnienia, że, tem samem, własności skupienia społecznego nie są li tylko ilościową sumą przymiotów owych jednostek — równałoby się uzasadnieniu praw socjologii do stanowiska nauki odrębnej. Podjęcie takiego zadania na tem miejscu byłoby niewłaściwem, tyle jednak, ile wymaga zagadnienie miłego doboru, powiedzieć będzie można.

Przejsie od najprostszych skupień materji do najbardziej złożonych jest nieznaczne i stopniowe. Przyczyną powstawania skupień nowego porządku bywa zawsze wzrastająca złożoność niektórych z pomiędzy skupień porządku niższego, odgrywających rolę części składowych. Do tego aby skupienie nowe stało się możliwem — złożoność owa musi osiągnąć pewnego, dość znacznego i określonego stopnia; wtedy tylko może się rozpocząć wzajemne oddziaływanie składowych części, doprowadzające w końcu do wytworzenia skupień nowych, nadające im w pewien sposób te przymioty składników, jakie istniały już w stanie ich rozłączności. Fizyczne cząsteczki (drobiny) ciał muszą osiągnąć pewnego stopnia złożoności, zanim niektóre z pomiędzy nich, oddziaływając na siebie wzajem, będą mogły dać początek związkom chemicznym. Związki takie niemożliwe są w warunkach, uniemożliwiających pożądany stopień złożoności cząsteczek fizycznych, które mają na siebie oddziaływać np. w warunkach temperatury zbyt wysokiej. W utworzonym związku chemicznym obok większej złożoności budowy spostrzegamy też zmianę różnych własności fizycznych, jakie istniały w pierwiastkach

składowych, a więc inną już barwę, topliwość, rozpuszczalność, ciepłochłonność, przewodnictwo ciepła, światła, elektryczności: wszystko to są własności, które badać może fizyk, ponieważ jednak pozostają one w zależności od większej komplikacji budowy, którą studjuje chemik, ponieważ nadto komplikacja ta rodzi pewne własności skupienia, jakich poszczególne składniki nie miały wcale, a jakie tylko w związku ich objawiać się mogą, więc badanie owo musi odbywać się przy pomocy chemii. Niektóre skupienia chemiczne, dosięgnąwszy dość znacznego stopnia złożoności, mogą — we wzajemnem na siebie oddziaływaniu i w pewnych warunkach — wytworzyć związek wyższego rzędu, a mianowicie skupienie biologiczne. W nowopowstałym związku biologicznym, obok większej złożoności budowy, spostrzegamy też zmianę różnych własności fizycznych i chemicznych, jakie istniały w pierwiastkach składowych: wszystkie te własności badać mogą łącznie fizyk i chemik, ponieważ jednak pozostają one w zależności od większej komplikacji budowy, którą tutaj studjuje biologia, ponieważ, nadto, komplikacja ta rodzi pewne własności takie, jakich poszczególne składniki nie miały wcale, a mianowicie własności biologiczne, więc badanie owo winno odbywać się przy pomocy biologii. Budowa i własności biologiczne (drażliwość, kurczliwość, zdolność asymilacyjna) muszą dosięgnąć dość znacznego stopnia komplikacji, zanim — we wzajemnem na siebie oddziaływaniu i w odpowiednich warunkach — zdolnemi się staną do utworzenia związku wyższej kategorii. Za jednostkę biologiczną należy uważać cząsteczkę (drobinę) protoplazmy. Nic nas nie upoważnia do przypuszczeń, aby odznaczała się ona jakimkolwiek wyraźnym równoważnikiem tego, co nazywamy świadomością: drażliwość jej na bodźce zewnętrzne w połączeniu z kurczliwością i zdolnością asymilacyjną — wystarczają zupełnie do utrzymania jej bytu

bez wszelkiego udziału świadomości <sup>1)</sup>. Ale oto niektóre skupienia biologiczne, dosięgnawszy dość znacznego stopnia rozwoju mogą — we wzajemnem na siebie oddziaływaniu i w pewnych warunkach — dać początek nowym skupieniom psychicznym. Fizyczne, chemiczne i biologiczne własności tych skupień, znacznie zmienione, mogą być przedmiotem badań fizyki, chemii i biologii, ponieważ jednak pozostają one w zależności od większej komplikacji budowy, którą tutaj studyuje psychologia, ponieważ nadto komplikacja owa rodzi pewne własności, jakich poszczególne składniki nie miały wcale (świadomość) więc badania owe winny odbywać się przy pomocy psychologii. Niektóre skupienia psychiczne, (obdarzone świadomością), dosięgnawszy bardzo niekiedy znacznego stopnia rozwoju, mogą — we wzajemnem na siebie oddziaływaniu i w pewnych warunkach — dać początek nowym skupieniom społecznym. Fizyczne, chemiczne, biologiczne i psychiczne własności tych skupień — podległe zmianom i przeobrażeniom — mogą być przedmiotem badań fizyki, chemii, biologii i psychologii, ponieważ jednak pozostają one w zależności od większej komplikacji budowy, którą tutaj studyuje socjologia, ponieważ nadto komplikacja owa rodzi pewne własności, jakich poszczególne składniki nie miały wcale — np. altruizm — więc badania owe winny odbywać się przy pomocy socjologii.

Zaznaczymy tu wywody, do jakich doprowadzają nas opisy powyższe.

Przedewszystkiem spostrzeżemy wielką stopniowość w przechodzeniu od jednej kategorii zjawisk do drugiej,

---

<sup>1)</sup> Równoważnik świadomości zawiera się w jednostce biologicznej w takim tylko znaczeniu, w jakim np. słony smak soli kuchennej zawiera się w chlorze i sodzie, z których jednak żaden nie jest słonym.

a tem samem od jednej do drugiej gałęzi wiedzy. Zakreślenie pomiędzy nimi granic dokładnych nazawsze musi pozostawać rzeczą dobrowolnej ugody badaczy, nie zaś wynikiem zupełnej odrębności zjawisk.

Powtórę, łatwo znajdziemy, że jak to już zauważono wielokrotnie, w pochodzie naszym posuwamy się od coraz większej prostoty ku coraz znaczniejszej złożoności. Ponieważ zaś ową złożonością większą odznaczają się w każdym wypadku niektóre tylko skupienia danej kategorii, zaś w wypadku następnym znowu niektóre tylko z pomiędzy skupień niektórych i t. d. przeto postęp nasz odbywa się nadto w kierunku coraz większej szczególności i specjalności skupień. Niektóre tylko ze związków chemicznych tworzą skupienia biologiczne; z tych ostatnich tylko niektóre dają początek psychicznym skupieniom, ze skupień psychicznych niektóre jedynie tworzą ze siebie związki społeczne, będące przedmiotem socjologii.

Po trzecie, dla wytworzenia skupień nowej kategorii same części składowe muszą osiągnąć pewnej, dość znacznej miary złożoności. Związki chemiczne nie tworzą się z materji, rozpierzchłej na atomy, lecz z substancji, złożonej z drobin. Nie najprostsze, ale już bardziej złożone związki chemiczne dają początek biologicznym skupieniom. Nie w jednostkach biologicznych (cząsteczek protoplazmy), lecz w zespoleniach, bardziej skomplikowanych, spostrzegamy pierwsze objawy własności psychicznych. Nakoniec nie najprostsze, ale już znacznie rozwinięte (skomplikowane) skupienia psychiczne stają się składowymi częściami związków społecznych.

Po czwarte, zauważyliśmy również, że owo wzajemne oddziaływanie składników, dające w następstwie związek nowej kategorii, możliwem bywa li tylko w pewnych odpowiednich warunkach, w warunkach, dodamy tutaj, mniej

albo więcej zewnętrznych — w stosunku do danego skupienia bądź też do jego składowych części. Pewna temperatura jest takim warunkiem powstawania związków chemicznych; temperatura oraz pewne środowisko fizyczne — należą do liczby zewnętrznych warunków, umożliwiających powstawanie najpierwszych skupień biologicznych. Pewne fizyczne i chemiczne warunki oraz pewne środowisko biologiczne (organizm macierzysty) należą do rzędu warunków, niezbędnych do wytwarzania się psychicznych skupień. Oprócz wszystkich czynników powyższych, pewne otoczenie zniewalające do współdziałania oraz pewne tego współdziałania narzędzia należą do szeregu zewnętrznych warunków, umożliwiających powstawanie związków społecznych.

Ale ważniejszymi dla nas w danym wypadku są dwa wywody następujące.

Po piąte, o bezpośrednich stosunkach składników, tworzących skupienie nowej kategorii, stanowią własności ich najwyższe, t. j., te jakich dosięgły one w kategorii uprzedniej; własności zaś niższe wpływają na te stosunki pośrednio. W skupieniach chemicznych składniki oddziaływać mogą na siebie dzięki temu, iż fizyczne cząsteczki dosięgły już pewnego stopnia złożoności. W biologicznych związkach o bezpośrednim oddziaływaniu składników stanowią ich własności chemiczne, umożliwiające już przedtem za sprawą fizycznych własności. W psychicznych skupieniach bezpośrednio oddziaływanie składników odbywa się mocą ich przymiotów biologicznych (kurczliwość serca, pobudliwość tkanki nerwowej), umożliwionych, dzięki chemicznym własnościom, mającym z kolei za podstawę przymioty fizyczne. W związkach społecznych o bezpośrednich stosunkach składników stanowią ich przymioty psychiczne, możliwe dzięki biologicznym własnościom, wspierającym się na własnościach chemicznych, które z kolei znajdują

oparcie w fizycznych przymiotach. Wywód ten nie przeczy bynajmniej faktowi, że wskutek wzajemnych oddziaływań składników danego skupienia, a pod wpływem warunków odpowiednich, owe własności najwyższe znacznemu mogą uleść uwstecznieniu.

Nakoniec, szóstym i najbardziej mogącym obchodzić nas wywodem jest mało zazwyczaj uwzględniany, fakt, zwrotnego oddziaływania skupienia na wszystkie wyższe i niższe przymioty składników: stanowi to jak gdyby antytezę owej formuły, iż charakter całości jest wytworem charakterów części, to też możnaby było prawdę ową wyrazić słowami, że charaktery części są wytworem charakteru całości.

Aż do przesyty prawie uczeni dzisiejsi mówią nam ciągle o zależności zjawisk a tem samem o zależności badających je działów nauki. Ale domyślnie albo jawnie zależność ową przedstawia się zazwyczaj li tylko w jej postaci wstępującej (ascendent) t. j. tak, jak gdyby tylko wyższe dziedziny zjawisk oraz nauki wyższe zależnemi były od niższych. Tymczasem współzależność i wzajemne splatanie się zjawisk przyrody oraz studyujących je nauk jest obustronna — nietylko wstępująca, ale i zstępująca. Prawdą jest, że zjawiska chemiczne niezrozumiałe są bez znajomości fizyki, ale niemniej też prawdą jest, że dokładna znajomość zjawisk fizycznych staje się dla nas niedostępną bez znajomości chemii (galwanizm i reakcyje chemiczne). Prawdą jest, że badania biologa wspierają się na znajomości chemii, oraz że biologiczne zjawiska są jak gdyby dalszą komplikacją chemicznych; ale niemniej też jest prawdą, że niektóre zjawiska chemiczne tylko przy pomocy biologii wytlómaczyć się dadzą (fermentacya).

Prawda, że biologiczne przymioty skupienia są bezpośrednią podstawą jego przymiotów psychicznych, ale faktem powszechnie znanym jest również zwrotne oddzia-

ływanie spraw psychicznych na biologiczne sprawy; nie tylko psycholog nie może badać swojej dziedziny wiedzy, nie znając biologii, ale i biolog bez znajomości psychologii nie wytlómaczy mnóstwa objawów biologicznych. Prawdą jest, że psychiczne własności jednostek są jak gdyby podstawą bezpośrednią skupień społecznych, ale niezmiernie też doniosłym jest i ten fakt, że skupienia społeczne potężnie oddziałują na psychiczny charakter jednostek. Socyolog nie może badać faktów swojej dziedziny, nie znając psychologii, ale dla psychologa większa część zjawisk psychicznych pozostanie niezrozumiałą bez należytej znajomości socjologii. Nie koniec na tem: znajomość nauki najwyższej niekiedy pożyteczną, niekiedy zaś niezbędną bywa dla przedstawicieli wszystkich nauk niższych, gdyż zjawiska dziedziny najwyższej wpływają na odmienne kształtowanie się zjawisk wszystkich dziedzin, leżących poniżej. W związku chemicznym wszystkie niemal fizyczne przymioty składników — ich barwa, ciepłochłonność, rozpuszczalność, kształty, stosunek do światła i elektryczności — ulegają zmianie. W skupieniu biologicznem fizyczne i chemiczne własności składników poddane są pewnym przeobrażeniom: wielkość i waga skupienia zależy nietylko od ilości znajdujących się w otoczeniu fizycznych i chemicznych składników, ale nadto od przeciętnej skali jednostek danego typu biologicznego. Barwa skupienia nie jest ani mieszaniną barw składników fizycznych, ani wynikiem barwy powstających w ustroju chemicznych związków, ale, w znacznej mierze, następstwem biologicznego grupowania, przenoszenia, usuwania barwników. Powinowactwo chemiczne podlega tu pewnym ograniczeniom i skrępowaniom, czysto biologicznym, z kąd pochodzi właśnie niemożność wiekuistego przedłużania pewnych procesów chemicznych (odżywiania się) albo niemożność zupełnego zapobieżenia pewnym chemicznym sprawom

(tycie). W skupieniach psychicznych najwyższe przymioty skupienia potężnie oddziałują — bezpośrednio albo pośrednio — na wszystkie niższe własności składników. Wspomnijmy tutaj tylko o wpływie stanów ducha (smutek) na sprawy odżywcze, a przez nie na cały szereg zjawisk biologicznych, chemicznych i fizycznych, a mianowicie: barwę skupienia (bładość), jego rozmiary (wzrost), stopień ożywienia procesów biologicznych (działalność serca i wątroby), chemicznych i t. d. W skupieniach społecznych socyologiczne zjawisko walki klasowej — będące następstwem całego szeregu psychicznych, biologicznych i t. d. przymiotów jednostek, oraz działania warunków zewnętrznych — samo z kolei oddziałuje na podniesienie albo obniżenie przymiotów umysłu i serca jednostek, ich sprawności biologicznej, zachodzących tam spraw chemicznych i fizycznych.

Oto np. wylęła na gruncie owej walki (i będąca również po części jej źródłem) chęć odznaczenia się — czynnik psychiczny — popycha jednostki pewnej klasy do nadawania czaszkom kształtów dziwacznych (fakt socyologiczny) a tem samem do przeobrażenia: formy, wagi, rozmiarów, biologicznej i chemicznej sprawności ich organizmów. Psycholog, nie umiejący znaleźć w socyologii wytłumaczenia tych faktów, musiałby objaśniać je błędnie, np. zboczeniem umysłowem; biolog, nie uwzględniający wskazówek psychologii i socyologii, znalazłby może w zjawisku tem ślady atawizmu lub coś podobnego.

Musimy zobaczyć teraz: czy i o ile życie społeczne wywiera takie zwrotne działanie na t. zw. przez biologów dobór płciowy.

III.

**Spółeczna walka o byt.**

Biolog nasz zaznacza mimochodem, że stosunki towarzyskie bardzo często kępają przyrodzone działanie doboru płciowego; z drugiej strony pozwala mniemać, że gdyby owemu doborowi pozostawiono całkiem wolne ujście, byłby on zawsze nietylko umiejętnym i sprawnym krzewicielem najpiękniejszych przymiotów ciała, ale twórcą doskonałej harmonii duchowych znamion tak małżonków, jak i potomstwa. Pogląd taki najwidoczniej trąci optymizmem, a raczej pewną sumarycznością; poniekąd nawet można byłoby zgodzić się z autorem, ale po przejściu znacznie dłuższej drogi rozumowań, po należytem wyswietleniu ominiętych przez niego czynników społecznych, po wykazaniu, na czem mianowicie w życiu społecznem mogłoby polegać owo pozostawianie doborowi wolnego ujścia. Bądź co bądź jednak, nastęrcza się tu wiele wątpliwości i pytań, których biologia sama, pomimo najlepszych chęci, nie mogłaby rozstrzygnąć. Wiemy wszyscy, że nietylko stosunki towarzyskie kępają częstokroć wybór, lecz że niekiedy wybór, niczem nie kępowany, ujemnie wpływa na towarzyskie stosunki. Wiemy również, że idąc za popędem serca, nietylko jednostka dokonywa czasem wyboru nietrafnego — co autor łatwo, chociaż zbyt ogólnikowo, wytlómaczyłby nam omylnością instynktu — ale że nieraz wybór całych pokoleń ludzkości — z dobrej i nieprzymuszonej woli — zdąża w kierunku, który bynajmniej nie zadowolniłby biologa, a o którym wszakże socyolog nie może wydać sądu potępiającego. Jak wytlómaczyć to wszystko? Nie inaczej, jak tylko wprowadzając w grę socyologiczne czynniki zagadnienia, pominięte albo za mało uwzględnione przez Grant Allena.

Naprzód więc słówko o wspomnianem przez niego, ale niewyświetlonym «krępowaniu» miłosnego doboru w sferach stosunków towarzyskich. Przyczyną owego krępowania była po wszystkie czasy zbyt niska postać walki o byt, jaka w społeczeństwie danem się toczyła — zbyt niska, powstrzymująca ewolucję owej społeczności przez tłumienie rozwoju najlepszych jej jednostek. W stanie dzikim walka toczy się li tylko pomiędzy osobnikami i z przyrodą martwą. W społecznym życiu, już od najwcześniejszych jego zaczątków, walka o byt, o ile nie jest pokonywaniem wrogich sił przyrody, odbywa się pomiędzy grupami jednostek, współdziałających ze sobą wewnątrz grupy <sup>1)</sup>, (kasty, klasy, cechy, zawody, sekty, szkoły i t. p.). Z biegiem czasu rosnąca coraz bardziej czynnościowa współzależność części społeczeństwa każe coraz nieodwołalniej rozszerzać współdziałanie już nietylko na jednostki danej grupy, ale i na grupy same. Idealem i kresem tej sprawy jest współubieganie się jednostek i grup we współdziałaniu. Wszelkie klęski i niedole społeczne pochodziły zawsze stąd, że współzawodnictwo trwało jeszcze w takich zakresach, gdzie już powinno było rozszerzyć się współdziałanie. Wynikiem tak powolnych postępów współdziałania bywało zawsze stłumienie indywidualnego rozwoju jednostek, grupy albo grup napa-

---

<sup>1)</sup> Prof. Kariejew w świeżo ogłoszonej pracy swojej *Wwiedzenie w izuczenie socjologii* Petersb. 1897, zwalczając wogólności szkołę darwinistyczną w socjologii, powiada, że, jeśli altruizm jest nawet wytworem walki o byt, to jednak sam on walką o byt nie jest. Naszą krytykę dzieła prof. Kariejewa znajdzie czytelnik w *Przeglądzie filozoficznym*, (Zeszyt I r. 1898); tu zaznaczymy tylko, iż zastrzeżenie powyższe, jakkolwiek słuszne, nie obala najgłówniejszego założenia szkoły darwinowskiej, że walka o byt, pojmowana ewolucjonistycznie, jest najważniejszą dźwignią w rozwoju społeczeństw. Prof. Kariejew rozumie ją zbyt ciasno.

stowanych, tudzież wyrażanie się, uwstecznienie jednostek, grupy albo grup napastniczych. W liczbie tłumionych popędów i potrzeb niezaspokojonych znajdować się też mogły wymagania doboru miłosnego; cierpiały pod tym względem najprzód jednostki, które przypadkiem znalazły się na pograniczu pomiędzy dwiema walczącymi klasami.

Dobór miłosny, odbywający się już nie za sprawą chwilowego popędu lecz dłużej trwającego uczucia, możliwym staje się li tylko na lonie życia społecznego, lub przynajmniej jego zaczątków (trwalsze gromady zwierząt, stadła ptasie i t. p.). Z drugiej strony, następstwem jego nie jest już li tylko wytworzenie nowego osobnika, jako jednostki biologicznej, ale wytworzenie osobnika, mającego żyć w społeczeństwie — wytworzenie społecznej jednostki, która pod wpływem swego otoczenia staje się, nadto, jednostką mniej lub więcej uspołecznioną. Niezmiernie ważnym jest zrozumienie tego, że obdarowanie mającej żyć w społeczeństwie jednostki skłonnościami i wogóle przymiotami, do życia społecznego niezbędnymi, tak samo stanowi zadanie doboru miłosnego, jak np. obdarzenie mającej żyć na lądzie żaby zdolnością rozwinięcia w sobie płuc jest jednym z zadań doboru płciowego. Gdyby wskutek nietrafnego dobrania towarzysza lub towarzyszki w stadle żabim potomek tegoż stadła nie miał później dość żywotności w sobie, nie mógł przystosować się do wymagań środowiska, w którym żyć musi, stałaby się owa omyłka taką samą dla kijanki kłęską, jaką byłoby dla człowieka to, gdyby wskutek wadliwego dobrania się rodziców nie odziedziczył po nich zdolności przystosowania się do wymagań swego środowiska, do wymagań życia społecznego.

Biolog, domagający się ominięcia lub pogwałcenia pewnych wymagań społecznego życia dla instynktu płciowego, pomimo pozorów tej zawziętości biologicznej, jest

jednak za mało biologiem. Badając zwierzęta, uważa on za cechę biologiczną nie tylko np. kolor ich sierści, taki lub inny rodzaj dźwięków, przez nie wydawanych, ale nawet taki lub inny sposób budowania gniazd, legowisk, domków, takie lub inne środki łapania zdobyczy, oszukiwania wrogów i t. p. Widząc, iż osobnik budujący np. domki w pewien sposób, szuka na towarzysza czy towarzyszkę życia jednostki, któraby budowała je tak samo, biolog skłonny będzie do uważania tego uporu za nieomylny głos doboru płciowego. Zdaje się, że gdyby niektóre gatunki małp mogły czytywać Homera i szukały sobie na małżonka albo małżonkę osobników, posiadających również tę umiejętność, biolog uznałby w tem albo prawowite wymagania już istniejącego gatunku, albo też zapowiedź tworzenia się gatunku nowego. Natomiast, w stosunku do człowieka sąd bywa całkiem inny. Jestto skutek niepojmowania faktu owych oddziaływań zwrotnych, o jakich mówiliśmy wyżej, niepojmowania tego np. że dla potomstwa sekciarza, który, ulegając «pierwszemu popędowi», ożenił się z przedstawicielką innej wiary, późniejsze pożycie rodziców -- wśród ciągłego smutku i zgryzoty -- mogłoby się stać źródłem takich wad biologicznych, jak np. używanie przez ojca alkoholu w ilościach zbyt wielkich. Można utrzymywać, że w pewnym okresie społecznego rozwoju współzawodnictwo pomiędzy sektami ustąpić powinno współdziałaniu, ale odstręczający wpływ inowierstwa w sprawie wyboru towarzysza lub towarzyszki należy uważać za równie prawowitą i również, w pewnych wypadkach, pożyteczną dla gatunku wskazówkę miłosnego doboru, jak odstręczający wpływ innej sierści w sprawie doboru płciowego.

Być uzdolnionym do życia — to znaczy do walki. Życie, zarówno w biologicznem jak i w socjologicznem znaczeniu tego wyrazu, jest ciągłą, nieustającą walką.

Zbrojenie się, jednanie sprzymierzeńców, pokonywanie przeciwników lub wrogów — takimi oto są główne czynności wszelkiego życia. Nie inaczej też pojmowały tę sprawę wszystkie systematy religijne i filozoficzne: walka z wrogami bóstwa, albo z własnymi namiętnościami dla korzyści osobistej, czy też dla dobra przyszłych pokoleń, przejednywanie stwórcy za grzechy już popełnione, albo zaskarbianie cnotami jego łaski na przyszłość doczesną lub pozagrobową — takimi były nakazy religijne. W systematach filozoficznych, poczynając od epikureizmu, pojmowanego jak najpowszechniej, aż do chrześcijańskiego ascetyzmu, albo nirwany buddyjskiej, znajdujemy również li tylko przepisy tego, jak wyzyskać dary życia przelotne i nietrwałe, jak uniknąć jego pokus szatańskich dla zdobycia dóbr wiekuistych, albo jak się uwolnić od jego męczarni — w nirwanie.

Walka o byt zdyskredytowana została, pojęcie zaś o niej spaczono — przez ludzi dwóch całkiem odmiennych kategorii. Bezpośrednio powagę jej, jako czynnika społecznego postępu, starali się podkopać moralisci, nierozumiejący, że nawet obalając tę zasadę, nie robili i nie mogli robić nic innego, jak tylko wywalczać byt dla jednostek o zasadach innych. Z drugiej strony, zozydźli ją w oczach tłumu pewni jej obrońcy, jak np. Herbert Spencer, który, uznając rozwój we wszelkich dziedzinach życia, lecz zapoznając go w zakresie samej walki o byt, pragnął niższym jej postaciom, — współzawodnictwu jednostkowemu nie zaś klasowemu — nadać znaczenie kierownicze w takich okresach i dziedzinach życia społecznego, jakie domagają się już wyższej postaci walki.

Wrocie współzawodnictwo jednostek jest znamię życia dzikiego. W społecznym życiu ustępuje ono miejsca współdziałaniu. Ale współdziałanie owo — niezbędny warunek i wynik czynnościowej zależności — ogarnia zrazu

poszczególne grupy jednostek — jak np. klasy. Grupy same, jak również jednostki, poza obrębem grup stojące, pozostają względem siebie w stosunku wrogiego współzawodnictwa. W razie znacznej przewagi jednej z grup — klasy przodującej — wszystkie inne znajdują się względnie do niej we współdziałaniu przymusowym. Dobrowolne współdziałanie odbywa się li tylko w grupie przewodniej, w innych zaś o tyle jedynie, o ile usiłują one uwolnić się od przymusu. W ten sposób walka klas staje się czynnikiem, zmniejszającym stopniowo zakres współdziałania przymusowego. Z biegiem czasu — ze zmianą czynnościowej zależności klas — przodująca grupa traci na znaczeniu, zyskuje zaś inna, której czynność poczyna odgrywać rolę pierwszorzędą; szukając sprzymierzeńców, dopomaga też ona innym grupom do zrzucenia przymusu — i oto jeszcze jeden ze sposobów, jakimi walka klas rozszerza sferę współdziałania dobrowolnego.

Zmiana zależności czynnościowej odbywa się pod wpływem nierozwikłanego prawie działania i oddziaływania coraz to bardziej komplikujących się warunków zewnętrznych (środowisko, narzędzia, wynalazki) oraz właściwych czynników socyologicznych — czynników ideowo-uczuciowych; bez tych ostatnich, nawet w otoczeniu najbardziej przyjaznem społeczność ani powstać ani istniećby nie mogła, jak to widzimy na przykładzie zwierząt, żyjących w jednakiem środowisku bądź gromadnie, bądź też dziko — odpowiednio do instynktów swego gatunku.

Zwolennicy t. zw. materialistycznej teorii dziejów skłonni są do przeceniania wagi czynników zewnętrznych i do uszczuplania natomiast doniosłości ideowo-uczuciowych czynników. Niepojmowanie istoty sprawy sięga «w materialistycznych» umysłach tak daleko, iż nie uznaje się tam potrzeby badania wpływów uczuciowo-ideowych na kształtowanie się społeczeństw, a to z powodu, że wpływy

owe są niejako czemś stałym i działającym niezmiennie, o czym nie ma potrzeby przypominać sobie socyolog — tak samo, jak np. nie mamy potrzeby ciągłego pamiętania o tem, że chodząc, stąpamy po ziemi. Równie błędnie, jakkolwiek z większymi pozorami słuszności, można byłoby twierdzić, że warunki zewnętrzne: gleba, klimat, bogactwa przyrody, jako zmieniające się bardzo powolnie, a nadto, jako zawierające w sobie od tysiąca lat możliwość wszelkich wynalazków, nie powinny być brane w rachubę przez socyologię. Niedorzeczność pomijania milczeniem czynników ideowo-uczuciowych byłaby jednak mniej jaskrawą, gdyby czynniki te odznaczały się niezmiennością pod względem ilościowym i jakościowym: powszechnie wiadomy fakt szerzenia się oświaty rozstrzyga wątpliwość pierwszą, zaś porównanie subtelnych uczuć i rozległych poglądów Newtona z uczuciami i poglądami dahomejczyka — świadczyć może o postępie jakościowym. Nikt nie wątpi chyba, że sama już ilościowa różnica świadomości — wobec wszelkich zewnętrznych warunków jednakich — oddziaływałaby jakoś inaczej na kształtowanie się społeczeństw; cóż dopiero mówić o różnicy jakościowej. Nic to nie znaczy, że idee i uczucia przeszłości, bądź jako tradycja świadoma, skryształizowana w zwyczajach i obrzędach, bądź w postaci t. zw. objawów szczytkowych, kształtują jeszcze w pewien sposób stosunki społeczne już po odwiecznym zaginięciu narzędzi i wynalazków, jakie im niegdyś towarzyszyły; nic nie znaczy, iż z drugiej strony, świadomość klasowa wyprzedza o całe wieki konkretny stan społecznych stosunków, nadając im rozpęd i kierunek inny — «materyaliści» modlić się będą zawsze do kawałków drzewa, z których się nieci ogień, nie zaś do rozumu, który te ognie roznieca. Dość jałowy spór o pierwszeństwo działania idei i wynalazków mógłby rozstrzygnąć materyalista, stanąwszy na czele szeregu małych, kradnących owoce: je-

dynym wynalazkiem tych zwierząt są ich ręce, wynalazek ten wszakże nie uzdatnia innych przedstawicieli rodzaju małpiego do takich działań zbiorowych. Chcąc wykazać pierwszeństwo wpływów zewnętrznych, musielibyśmy wyjść z dziedziny socjologii i psychologii aż do biologii i chemii, gdzie zresztą sprawa nie byłaby jeszcze rozstrzygniętą, gdzie jeden metafizyk mógłby nadewszystko podnosić znaczenie oddziaływań zewnętrznych, drugi zaś wewnętrzne własności cząsteczek i atomów. Wkraczając do socjologii jednak, winniśmy przedewszystkiem pamiętać, że wchodzimy tam w towarzystwie jednostki, pożądaną obcowania z jednostką inną, oraz umiejacącej dobre strony tegoż obcowania zużytkować. Badania Espinasa zdają się świadczyć, że pożądanie owo nie jest zrazu zależnem od myśli o jakiegokolwiek bądź zbiorowej działalności przy pomocy «narzędzi i wynalazków», lecz ma jedynie na celu zadowolenie jednostki z oglądania istot jej podobnych.

W dziejach ludzkiej myśli fetyszizm materialistyczny posiada zasługę należytego wyświecenia wpływu niektórych czynników materialnych (z pominięciem jednak innych, również materialnych, jak rasa i klimat) na kształtowanie się społeczeństw; z drugiej jednak strony, przyczynił się on do zapoznania całkowitej doniosłości walki klasowej, przez materialistów samych zaznaczonej. Ten fakt, że umysł ludzki, dążący zawsze do polepszenia bytu, umiejący wyzyskiwać, zespalać przypadkowo przez się odkryte siły i własności przyrody, rozwijał się zawsze potężniej pod wpływem tych dokonanych przez siebie odkryć, a zwłaszcza ten fakt, że działanie owych odkryć i wynalazków kształtowało istotnie stosunki i budowę społeczną, do takiego stopnia olśnił umysły materialistów, iż wynalazkom i odkryciom przypisali oni rolę naczelną w sprawie owego kształtowania, zapominając, albo też nie

wiedząc, że zmiana ukształtowań odbywała się li tylko dzięki łącznemu działaniu rosnących ilościowo i rozwijających się jakościowo narzędzi zewnętrznych oraz czynników ideowo-uczuciowych <sup>1)</sup>, że działanie pierwszych całą swą socyologiczną skuteczność i sprawność zawdzięcza działaniu drugich, że w końcu głównym motorem rozwoju tak pierwszych jak i ostatnich była walka klasowa. Wszelkie ukształtowania stosunków społecznych, wszelkie społeczne ustroje możliwymi są teoretycznie i faktycznie przy wszelkich wynalazkach i narzędziach. Tak np. najbardziej ożywione wytwarzanie, najobfitsze żniwo «wartości dodatkowych» możliwem jest wobec wszelkich postaci stosunków klasowych — przy niewolnictwie, pańszczyźnie i najemnictwie. Naodwrot wszelkie formy wytwarzania — niewolnicza, pańszczyzniana, najemnicza i socyalistyczna — możliwemi są przy wszelkich najwyższych i najdalej posuniętych ulepszeniach technicznych i wynalazkach; niemożliwemi zaś stają się one i być mogą również przy wszelkim poziomie kultury technicznej — jedynie dzięki większemu ilościowo i jakościowo rozwiniętemu zasobowi świadomości społecznej, potęgującej się pod działaniem walki klasowej. W końcu zeszłego i w początkach bieżącego stulecia plantatorowie jamajscy miewali po 75 i 100 tys. f. szt. czyli do miliona rubli rocznie «wartości dodatkowych», które «zarabiali» na niewolnikach Murzynach. Przykład ten możemy zużytkować wszechstronnie. Mamy tu naprzód olbrzymią produkcję «towarową», bez najmu i obok niewolnictwa, prowadzoną przy po-

<sup>1)</sup> Z prac, wydanych już po ukazaniu się w druku słów powyższych, nieodzowność łącznego działania duchowych i materialnych czynników życia społecznego szczególnie głęboko uzasadnia małe studjum E. Abramowskiego: *Les bases psychologiques de la Socio-logie*. Paris, 1897 str. 8 i inne, zwłaszcza zaś str. 21.

mocy wszelkich wynalazków i ulepszonych narzędzi swego czasu. Mamy «zrzeszonych i skupionych» pracowników, trwających w niewolnictwie, a to pod osłoną najliberalniejszej podówczas konstytucyi, któraby, przy jako tako silniejszym z ich strony objawie świadomości klasowej, uwolniła ich znacznie wcześniej. Mamy dalej istotną przyczynę takiego stanu rzeczy — w braku owej klasowej świadomości. Mamy nakoniec prawdziwą przyczynę uwolnienia — walkę klasową: partya torysów, obawiając się groźnego współzawodnictwa jamajskich bogaczy, usilnie pracowała nad zniesieniem naprzód handlu niewolników (1807), następnie zaś, we 25 lat później samej instytucji niewolnictwa (1833). Mógłby ktoś powiedzieć, że tak nienormalny stosunek ekonomiczno-społeczny możliwym był jedynie dzięki temu, iż pracownicy pochodzili ze społeczeństwa innego, stojącego o wiele niżej, oraz że w danej społeczności wprowadzenie nowych narzędzi nieuchronnie musi pociągać za sobą rozwój świadomości klasowej. Zarzut taki byłby jednak ustępstwem na korzyść niezbedności pewnego stopnia rozwoju czynników ideowo-uczuciowych obok czynników materialnych i zdradzałby już tylko chęć uznawania wynalazków za przyczynę «najpierwszą». Ponieważ wszakże przekonaliśmy się faktycznie, że ani ulepszone narzędzia, ani zarabianie wartości dodatkowej, ani towarowa produkcya nie zawierają w sobie żadnej nieuchronnej, wewnętrznej konieczności takich mianowicie (np. najmniejszych) stosunków, nie mamy żadnej podstawy do uznawania wynalazków za *primum movens* w całej tej sprawie. Istnieje tu ciągle splatanie się czynników, ciągle ich działanie i oddziaływanie wzajemne tak ściśle, że badanie bądź samych «narzędzi», bądź samych idei i uczuć — zagadnienia tego nie rozstrzygnie.

Wskazać jakimi drogami kroczył rozwój obu tych kategorii czynników, jak wyrobione pod dobroczynnym albo

szkodliwym wpływem walki idee i uczucia przeszłości usuwały albo przyspieszały możliwość postępowego zużytkowania wynalazków nowych, jak wynalazki i narzędzia ułatwiały albo utrudniały powstawanie idei i uczuć, jak wszystkie te działania i oddziaływania potęgowały się i komplikowały wielokrotnie pod wpływem przykładu społeczeństw obcych — byłoby to poprostu napisać socyologię. Sprobujemy wszakże zaznaczyć tu główne etapy tego rozwoju — o tyle przynajmniej, o ile wymaga tego nasz przedmiot.

Chociaż psychiczne przymioty jednostki są niezbędnym warunkiem powstawania społeczeństw, zaś narzędzia sztuczne uważanymi były zawsze jako znamienna cecha życia społecznego w przeciwstawieniu do dzikiego życia, to jednak nie zawsze i nie wszystkie duchowe przymioty oraz narzędzia sztuczne zaprzętać mają uwagę socjologa; przyglądać się on im będzie dopiero wtedy, gdy w następstwie ich wpływu ukaże się elementarny fakt socjologiczny, a mianowicie współdziałanie — bądź dobrowolne, bądź też przymusowe, ale ze świadomością przymusu połączone. Przymioty duchowe istnieją w stanie dzikim, podobnie też ma się rzecz z najprostszymi wynalazkami: niektóre małpy-samotnice posługują się kijem, a z drugiej strony liczne społeczeństwa zwierząt nie mają żadnych innych narzędzi oprócz własnych organów oraz gromadzkiego instynktu. Nawet te przymioty duchowe, które umożliwiają powstawanie skupień społecznych, nie zawsze są i mogą być przedmiotem badań socjologa, a dosięgają one w stanie dzikim dość znacznego stopnia rozwoju. Prawie wszystkie zwierzęta dzikie inaczej zachowują się wobec jednostek swego gatunku, aniżeli w przytomności osobników gatunku obcego. Uciecha z oglądania istot podobnych, o jakiej mówi Espinas, musi dosięgnąć pewnego stopnia wyrazistości i natężenia, zanim stanie

się pobudką do tworzenia gromad. Nawiasowo chcielibyśmy tu zaznaczyć pewną niezależność owej uciechy zarówno od instynktu płciowego, jak i od zachowawczego instynktu, z jakimi zresztą zespala się ona później bardziej ściśle; jestto jak gdyby najpierwsze wypowiedanie się samowiedzy zwierzęcia, która z większą jasnością objawić się może li tylko wobec innej indywidualności podobnej. Zamknawszy ten nawias, możemy posunąć się o krok dalej w naszym rozumowaniu. Nieodzowność pewnej komplikacji znamion duchowych jest tylko potwierdzeniem owej ogólnej zaznaczonej przez nas prawdy, że przymioty, warunkujące powstawanie skupień nowej kategorii, muszą dosięgnąć naprzód pewnego stopnia złożoności w skupieniach kategorii uprzedniej.

Na zapytanie, jakim jest najogólniejszy wyraz społecznego rozwoju, możemy odpowiedzieć, iż streszcza się on we wzroście dobrowolnego współdziałania. Współdziałanie przymusowe danej grupy o tyle tylko obchodzi socjologa, o ile jest następstwem jakiejś powołującej je do życia organizacyi — a więc jakiegoś dobrowolnego współdziałania grupy innej. Poza obrębem tej spajającej siły zewnętrznej, przymusowe współdziałanie przestaje być tak samo przedmiotem socjologii, jak nie jest nim np. tłumna ucieczka zwierząt jednego nawet gatunku przed powodzią; instynkt gromadzki nie ma tu nic do roboty, a tem samem jesteśmy pozbawieni elementarnego faktu socjologicznego, któryby mógł usprawiedliwić powierzenie socjologowi badania tego ruchu. Ale wpływ owej grupy, zniewalającej do działania, przypomina nam, że oprócz dobrowolnej kooperacyi istnieje jeszcze inne zjawisko, wprost przeciwne współdziałaniu, a stanowiące jednak prawowity przedmiot badań socjologicznych. Zjawiskiem tem jest współzawodnictwo albo walka grup. Nawet w najbardziej bierniej grupie, współdziałającej przymusowo, spostrzegamy

pewne znamię, wspólne wszystkim jej osobnikom: żądę ponoszenia możliwie najmniejszych wysiłków na korzyść grupy zniewalającej. Żądza ta, nawet bezwiedna i nieujawniona, jest już zaczątkiem walki grup obydwóch. Ostatecznym kresem tej walki bywa, jak już wiemy, rozszerzenie dziedziny współdziałania dobrowolnego. Tak więc, dobrowolne współdziałanie jednostek w grupach, oraz współzawodnictwo grup stanowi prawowity przedmiot socjologii. Współzawodnictwo jednostek — pozostałość życia dzikiego, albo też objaw atawistyczny — o tyle tylko należy do dziedziny socjologicznych poszukiwań, o ile fakty dysolucyi badane być muszą w sprawie ewolucyjnej, o ile patologiczne procesy życia wchodzą do zakresu biologii ogólnej. W stosunku do jednostek socjologię obchodzić może tutaj li tylko fakt współubiegania się we współdziałaniu. Społeczną postacią walki o byt jest jedynie współzawodnictwo grup — współzawodnictwo, które, tem samem, każe domyślać się współdziałania.

Współdziałanie dobrowolne pozwala przypuszczać naprzód świadomość wspólnych interesów i dążeń, słowem to, co de Graef nazywa *consentement* (*Intr. à la Sociol. cz. I*), następnie zaś jakieś tegoż współdziałania narzędzia, jakieś warunki zewnętrzne. W ten sposób rozwój społeczeństwa jest wypadkową dwu głównych czynników: postępu świadomości, oraz postępu wynalazków. Skoro tak jednak, tedy widzimy odrazu, że wypadkowa ta może pozostać niezmienną, kiedy, powiększając jeden z czynników, zmniejszymy odpowiednio drugi. To znaczy, że przy pewnym nawet nawet dość niskim stanie społecznej świadomości, lecz wobec wysokiego stopnia kultury technicznej, albo też przy małym udoskonaleniu wynalazków, lecz przy znacznym poziomie świadomości — stopień i zakres dobrowolnego współdziałania może być jednako wielki. Idzie tylko o to, czy taki odwrotny stosunek zdarzyć się może w rzeczy-

wistości. Usuwając dla braku miejsca obszerniejsze teoretyczne i faktyczne uzasadnienie tej możliwości, naprzód zwrócimy tu uwagę, na fakt istnienia pewnych ludów pierwotnych (Badowie i Dhimalowie), u których wysokiemu stopniowi społecznej świadomości, oraz bardzo niskiemu poziomowi technicznych ulepszeń, towarzyszy powszechne prawie współdziałanie dobrowolne, następnie zaś zaznaczymy tylko, że wynalazki, służące do krzewienia świadomości, nie zawsze są identyczne z wynalazkami, bezpośrednio wprowadzającymi współdziałanie do zakresu rozmaitych funkcji społecznych, a natomiast zawsze przyspieszają pośrednio upowszechnienie już istniejących współdziałania narzędzi.

Ale zarówno idea jak i wynalazek nie zawsze mają stanowić przedmiot socjologii. Wynalazek — będący częstokroć sprawą przypadku, a zawsze dziełem umiejącej wyzyskać ten przypadek świadomości — przez długi bardzo czas może i musi pozostawać poza granicami poszukiwań socjologicznych. «Przed trzystu laty, powiada Gibier, pokazywano Leonowi X nowowynaleziony mikroskop, którym przez długi czas jeszcze bawiono się tylko». Posługując się terminologią Marksa, powiedzielibyśmy, iż do dziedziny socjologii wkracza wynalazek wtedy, gdy stanie się narzędziem społecznie niezbędnem. Chwilę taką nazwiemy socjologicznym momentem wynalazku. Socjologiczny ów moment odpowiada pewnemu dość znacznemu zakresowi upowszechnienia narzędzia, ale na tem nie koniec. Socjologa obchodzi on o tyle, o ile wprowadza zmianę w budowie, w ustroju społecznym; zmiana ta miewa zazwyczaj dwie fazy: fazę dysolucyjną — rozprzęganie porządku dawniejszego, oraz fazę ewolucyjną — wytwarzanie nowej budowy. Pierwszej odpowiada wzmożenie współzawodnictwa jednostek — fakt atawistyczny; drugiej — spotęgowanie współdziałania dobrowolnego — zna-

mię postępu. Otóż ta druga faza — głównie obchodząca tego, kto bada kolejne stadya rozwoju społeczeństw, zawsze domyślać się nam każe rozrostu społecznej świadomości. Ale i świadomość znaczenia wynalazku nie od razu staje się przedmiotem badań socjologa. Musi ona również osiągnąć pewnego stopnia upowszechnienia, to odbywa się za sprawą walki o byt. Zachodzi teraz pytanie, kiedy następuje socjologiczny moment owej świadomości. Przypominając sobie, że społeczną postacią walki o byt jest walka klas, przyjdziemy łatwo do wniosku, że socjologicznym momentem świadomości jest chwila, kiedy świadomość ta objawi się jako idea klasowa<sup>1)</sup>. Tak więc: wynalazek społecznie niezbędny oraz idee klasowe — oto dwa główne czynniki społecznego rozwoju; mówiąc inaczej, czynnikami tymi są narzędzia oraz świadomość, dosięgająca swego momentu socjologicznego.

Teorya idei klasowych w bardziej wyczerpującem opracowaniu, którego mamy nadzieję podjąć się zczasem, mogłaby ostatecznie wyświecić i rozstrząsać dyskutowaną od tak dawna i roztrząsaną sprawę znaczenia świadomości i żywiołowości w życiu społecznem. Karol Marks tak dalece olśniony był rozwiniętą przez siebie i udoskonaloną teoryą D. Ricarda i W. Thompsona, że uznał ją jak gdyby za pierwszy brzask świadomego rozwoju ludzkości. Nadto ponieważ reprezentowana przez niego idea klasowa, jak to się zdarza zwykle, o całe wieki wyprzedzała konkretny stan rzeczy, więc przyszedł on do wniosku, że świadomy rozwój ludzkości będzie znamiem dopiero czasów przy-

---

<sup>1)</sup> Podnosząc znaczenie idei, nie zapoznaję bynajmniej roli uczuć. Uczucie jest jak gdyby pobudką stałą działania, ale w idei uświadamia się forma tegoż działania. Wogóle ilekroć mówić będziemy o socjologicznem znaczeniu idei, rozumieć trzeba, że mamy na myśli cały psychiczny mechanizm działalności ludzkiej, dla której idea jest tylko jak gdyby symbolem.

szłych, zaś w przeszłości rozwój ten odbywał się żywiołowo. Pogląd taki, podzielany przez pierwszorzędnych socjologów dzisiejszych, jak Loria, Ward i inni, grzeszy co najmniej sformułowaniem nie dość ścisłym. Nikt nie zaprzeczy faktowi ilościowego wzmagania się społecznej świadomości; nikt również zaprzeczyć nie będzie temu, iż potęguje się ona jakościowo. t. j. że prawa społecznego rozwoju poznawane są coraz lepiej, zaś znajomość ich coraz lepiej jest stosowana. Socjolog wszakże, nie zadowalniając się znajomością tego ilościowego i jakościowego rozwoju, musi dokładniej określić jego mechanizm. Wzrost świadomości jest tylko ostatecznym wynikiem pewnego, bardzo długiego procesu, którego poszczególne ogniwa przedstawiają się jako idące po sobie kolejno okresy jej upadków i wzniesień. Jest to tak dalece prawdą, iż w najpierwotniejszych społecznościach spostrzegamy — jak np. u ludów wymienionych wyżej — wyższy stosunkowo rozwój świadomości, aniżeli u innych, o wiele dalej posuniętych w rozwoju. Zkąd się bierze owo wzmaganie się świadomości? Wytryska ona ze społecznej walki o byt i walki klasowej. Otóż rozwój klasy albo klas przewodnich zawsze odbywa się pod egidą tego, co nazwaliśmy ideą klasową, a więc świadomie. Kiedy całe społeczeństwo, jak to się dzieje u owych ludów pierwotnych, składa się z jednej właściwie klasy przewodniej, mającej tylko swoje organa rządów, wówczas świadomość stanowi cechę całego społeczeństwa. Wszelki wynalazek nowy byłby tam prawdopodobnie bardzo mało wpłynął na zmianę stosunków zależności czynnościowej, gdyż wobec rozwiniętej świadomości nie pozwolonoby go wyzyskać na korzyść jednostek a ze szkodą ogółu. Ale oto, z biegiem czasu, zazwyczaj pod wpływem zewnętrznych działań wojowniczych, zmienia się stosunek czynnościowej zależności: jedna część, współdziałająca dobrowolnie, staje się klasą przewodnią,

druga — przymusowo współdziałająca — klasą podrzędną. Sprawę tę poprzedza zwykle krótki okres dysolucyjny, usuwający uprzednią budowę społeczeństwa, a zarazem zmniejszający natężenie społecznej świadomości. Z chwilą jednak, gdy się ukaże nowe ukształtowanie, klasa przodująca działa już w myśl swojej idei przewodniej, świadomość społeczna osiąga swego momentu socjologicznego. Otóż, wzrost świadomości ztąd pochodzi, iż z samej przyrody społecznego rozwoju klasą przewodnią staje się coraz liczniejsza grupa osobników, dobrowolne współdziałanie ogarnia, jak wiemy, coraz szerszy zakres, a tem samem coraz to rozleglejszą staje się dziedzina idei klasowej. Kresem tej sprawy byłaby chwila, w której klasa przodująca stałaby się — jak to było na początku — synonimem społeczności całej. Ale z tego, że prawa społecznego rozwoju znane są dziś lepiej, niż znano je w przeszłości, albo też z tego, że interes klasy przewodniej ściślej się zgadza z interesem całego społeczeństwa, nie wynika bynajmniej, iżby świadomość nie miała w przeszłości odgrywać roli równie doniosłej, jak i dzisiaj. Przeciwnie, w swojej postaci społecznej — w formie idei klasowych — odgrywała ona rolę niezmiernie ważną. Nie mogę tu szerzej uzasadniać tej myśli, zwrócę więc tylko uwagę czytelnika naprzód na ową niespożytą władzę klasowych idei przeszłości, jaka przez wieki całe kształtowała, karmiła albo też tłumiała i szerzyła rozwój społeczeństw, z drugiej zaś strony przypomnę mu, aby błędnego pojmowania zjawisk i spraw społecznych albo też rozmyślnie opacznego ich prowadzenia przez dawniejsze klasy przodujące nie utożsamiał z brakiem świadomości, z brakiem udziału jej w rozwoju społeczeństw <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Sprawę tę rozważaliśmy nieco obszerniej w pierwszej części rozprawki p. t. „Geniusz i tłum“, zamieszczonej powyżej.

Przypominając sobie, że jednostki jednej grupy pozostają w stosunku współdziałania, zrozumiemy łatwo, iż szerzenie się świadomości społecznej podąża równoległe z coraz większym uwzględnieniem interesów jednostki.

Zapatrując się na społeczeństwo ze stanowiska biologicznego — nietylko jako na pewne skupienie, zespolone wewnątrz związkami czynnościowej zależności, ale też jako na całość, zmuszoną toczyć walki zewnętrzne — będziemy musieli przyznać, że w okresie najbardziej ożywionych zapasów pożądaną jest dlań największa sprawność tej klasy albo klas przewodnich, oraz najsilniejsze panowanie ich przewodniej idei. W interesie skupienia życzyć należy, aby do klasy owej nie wchodziły jednostki z cechami i przymiotami, mogącymi w sposób niepożądany zmienić właściwości klasy przewodniej, stanowiące o jej przewadze w zapasach zewnętrznych. Wobec tego żalność pasterza, nie mogącego zaślubić księżniczki, nie powinna już rozrzewniać biologa, tak samo, jak nie rozrzewnia go wykluczenie przez dobór płciowy wróbla z gromady jaskółek.

Ale oto pod wpływem czynników, po części już poznanych wyżej, zmienia się stopniowo stosunek czynnościowej zależności pomiędzy klasami; wskutek tego czynność klasy przewodniej przestaje być czynnością główną, sama zaś klasa, tracąc stopniowo na znaczeniu, podlega losowi organów nieczynnych: słabnie, wyradza się, zanika. Natomiast klasa, której czynność zyskała wagę pierwszorzędą, poczyną dochodzić do roli przewodniej: już nie poszczególni pastuszkowie, pasający trzodę pod oknami księżniczki, ale całe zastępy wysoce sprawnych i energicznych osobników przelamują szeregi klas, dawniej przodujących. Otóż, jeżeli wtedy klasowa idea owych schodzących z pola przewodników o tyle zapanowuje nad faktycznym, konkretnym stanem rzeczy — co się zdarza zawsze — iż kojarzenie się par różnoklasowych doznaje prze-

szkody, biolog wraz z socyologiem ma prawo uznać krępowanie takie za szkodliwe: współzawodnictwo trwa jeszcze wtedy tam, gdzie już powinno rozpocząć się współdziałanie.

Ale oprócz takich klasowych przeszkód dobór miłośny napotyka w lonie społeczeństw inną jeszcze zawadę, zasługującą na potępienie tak socyologa, jak i biologa. Przypomnijmy sobie ów krótki najczęściej okres dysolucyi, poprzedzający utworzenie budowy nowej; cechuje się on atawistycznym stanem współzawodnictwa jednostek, należących potencjalnie do jednej klasy, lecz nie zespolonych jeszcze klasową ideą. Ponieważ współzawodnictwo takie, odbywając się w sferze życia społecznego, a więc w zakresie jak najbardziej sobie nieodpowiednim, nie może często uzbroić jednostki należycie do walki o byt, nie może dać jej środków sprostania wymaganiom tegoż życia, którego prawa gwałci ono w zasadzie, więc bardzo często najróżnorodniejsze potrzeby jednostki, a w ich liczbie wymagania doboru miłosnego — zaspokojonemi być nie mogą. W praktyce wyraża się to pospolicie, jako niemożność ożenienia się lub zamążpójścia dla braku środków materialnych, wykształcenia i t. p. O ile stan podobny jest atawistycznym, jest jak gdyby powrotem do życia dzikiego, wnioskujemy nawet ztąd, że osobnik może wówczas zaspakajać jedynie potrzeby płciowego doboru (nie zaś miłosnego), ku czemu, jak wiadomo, istnieją odpowiednie instytucje. Współdziałanie w występku jest tu jak gdyby oddźwiękiem braku współdziałania w sferach właściwych.

Wpływ czynników ekonomicznych na instytucję rodziny bywał już tak często przedmiotem badań, że z książek i opracowań, zagadnieniu temu poświęconych, możnaby utworzyć dzisiaj kilkusettomową bibliotekę. Dzieła: MacLennana, Morgana Giraud-Teulona, Zibera, Robertsona Smitha, Howitta i Fissona, Starke'a i całego zastępu in-

nych nietylko podają nam to, co można byłoby nazwać ogólną ekonomiczną teorią rodziny, ale w oświetleniu owej teorii a ku dalszemu jej potwierdzeniu i rozwinięciu usiłują przedstawiać socyologiczne dzieje poszczególnych plemion i narodów. Takimi są np. monografie rodziny starożytnych Arabów albo też ludów australskich.

Natomiast pokrewny, jakkolwiek nie identyczny przedmiot — powstawanie klasowych typów miłosnych — dotąd, o ile wiem, bardzo mało zaprzętał uwagę badaczy. Dzięki wspólnym usiłowaniom biologów i etnografów zdołano już wykazać z wszelką możliwą pewnością, że dla danej rasy ideałem piękna, tak pod względem cielesnych przymiotów jak i psychicznych, jest przeciętny typ tejże rasy t. j. osobnik, streszczający w sobie w stopniu wybitnym fizyczne i duchowe jej znamiona. Wiemy już, że ze stanowiska socyologicznego obydwie te kategorie znamion mają doniosłość jednaką. Jeżeli skłonność do tłómaczenia i wyobrażania sobie zjawisk przyrody martwej w terminach właściwości ludzkich nazwano antropomorfizmem, jeżeli podobną skłonność przedstawiania życia pozagrobowego w postaci stosunków i urządzeń społeczeństw ziemskich ochrzczono niezbyt udatną — pod względem etymologii — nazwą socyomorfizmu, to owej dążności do odtwarzania ideału duchowego i cielesnego piękna w formie typu własnej swej rasy można byłoby nadać miano genomorfizmu.

Ale zarówno antropomorfizm i socyomorfizm, jako też genomorfizm są tylko poszczególnymi wypadkami albo objawami pewnej, bardziej ogólnej cechy wszelkiej umysłowości, a nawet wszelkich istot czujących; cechą tą jest skłonność do wyobrażania, pojmowania świata otaczającego w terminach własnej jaźni osobnika, można więc byłoby nazwać ową skłonność automorfizmem. Nie odrazu prawdopodobnie spostrzeże czytelnik całą doniosłość pojęcia automorfizmu w sporze o stosunek zewnętrznych i wewnętrz-

nych czynników społecznego rozwoju, a jednak w rzędzie rozmaitych ideowo-uczuciowych znamion jednostki automorfizmu staje się pierwiastkiem potężnym, kształtującym życie społeczne, uniezależniającym je w pewnej mierze od takich lub innych warunków otoczenia. Zanim w kilku słowach streścimy socyologiczne przeobrażenia automorfizmu, zauważmy tu jeszcze, iż wraz z naśladownictwem, którego stanowi jak gdyby przeciwwagę — mógłby on posłużyć za przedmiot rozległych badań socyopsychologicznych, torujących drogę należytemu pojmowaniu praw społecznego rozwoju wogóle, zaś w szczególności stosunku czynników materialnych do niematerialnych.

Automorfizm to właśnie bywa przyczyną tak niejednostajnego oddziaływania jednostek i grup społecznych na jednakie materialne czynniki i narzędzia społecznego rozwoju. Automorfizm też rodzi ową potężną siłę asymilacyjną, która sprawia, iż dany wynalazek, narzędzie albo idea poczynają wśród danej grupy nowej spełniać czynności całkiem inne, aniżeli spełniały tam, gdzie się ukazały pierwotnie. W przeciwstawieniu do innych przyczyn np. do wyższego albo niższego stopnia kultury, wpływającego na spotęgowanie lub osłabienie działań wynalazku czy też idei, automorfizm ów wpływa na p r z e z n a c z e n i e owych działań, na przystosowanie ich do właściwości nowej jednostki lub grupy. Ten wpływ przeobrażający łączy się niezawodnie z wpływami istniejących już w społeczeństwie czynników materialnych, niemniej jednak działania jego socyolog zapoznawać nie powinien, gdy pragnie przedstawić wszechstronny obraz społecznego rozwoju danej grupy.

Ale w życiu społecznym albo, mówiąc ogólniej, we wzajemnym obcowaniu jedno lub też różno-gatunkowych osobników automorfizm musi częściej wchodzić w zatarg z owym drugim, wzmiankowanym wyżej, podstawowym

przymiotem wszelkiej duchowości — z naśladownictwem. Naśladownictwo poprzedza zresztą, tak samo jak i automorfizm, najwcześniejsze nawet brzaski życia zbiorowego; jest ono psychicznym — świadomym albo nieświadomym — wyrazem tego, co w biologicznym świecie ukazuje się jako bezwiedne upodobnienie żyjącego ustroju do jego otoczenia (*mimicry*). Najpierwsze przebliski naśladownictwa spotrzegamy już w stosunkach organizmów do przyrody martwej: prawdopodobnem jest, że imitacya dźwięków natury była częściowem pra-źródłem nie tylko naszej mowy ludzkiej ale wszelkich zaczątków głosu. Łatwo zrozumiemy jednak, że w życiu społecznem i w obcowaniu z osobnikami tegoż gatunku naśladownictwo działać może łatwiej i potężniej. Jakkolwiek dziwnem się to wyda, przyczyną owej większej łatwości działania jest właśnie automorfizm, będący, jakśmy mówili, przeciwwagą naśladownictwa. Sprzeczność ta jednak okaże się tylko pozorną. Istotnie ponieważ automorfizm jest odtwarzaniem a więc naśladowaniem naszej własnej jaźni w pojęciach i wyobrażeniach naszych o wszechświecie, przeto tem łatwiejsze ujście tworzy się dla naszych skłonności naśladowczych, im podobniejszą do nas z samej przyrody swej będzie jednostka naśladowana — im naśladować ją będzie łatwiej. W razie wielkiego podobieństwa naśladowanie staje się najczęściej mimowolnem i obustronnem, łącno przechodząc w nałóg — gdy mowa o ustroju biologicznym, w zwyczaj, tradycyę, obrzęd — gdy mówimy o społecznem skupieniu.

Młody pies, igrający z dziećmi, zdaje się przypuszczać w nich pojmowanie wszystkich swych sposobów wyrażania stanów wewnętrznych: kładzie się on na grzbiecie tak samo, jak to czyni w obcowaniu z innymi psami, które chce sobie zjednać, gryzie łagodnie ich odzież i ręce, liże twarz, macha ogonem na znak radości, odbiegłszy na pewną odległość przypada do ziemi na przednich łapach, a za

zbliżeniem się dziecka zrywa się i udaje ucieczkę. Pomimo więc namacalnych dowodów inności istot ludzkich, wyobraża je sobie w sposób cynomorficzny (na obraz i podobieństwo psów). Tak samo też koń, witający nas rżeniem, liżący twarz i rękę pana, kładący mu głowę na ramieniu — traktuje go hipomorficznie, t. j. na obraz i podobieństwo konia.

Ale oto w dalszem obcowaniu z ludźmi pies nabywa przymiotów całkiem obcych jego pierwotnej psiej naturze. Nie mogąc zwykłymi psimi sposobami zjednać sobie przychylności pana, a nauczony doświadczeniem, staje on na tylnych łapach i w postawie tej wyczekuje należnego mu kąska, którego nie był w stanie zdobyć skomleniem lub naszczekiwaniem. Cynomorfizm jego nie mógł utrzymać się tutaj w pierwotnej swojej czystości, a to wskutek obcowania psa z istotami innymi, które umiały uzależnić go od siebie i do umysłowości jego wprowadzić pierwiastki nowe. Na powszechnie znany aforyzm, że gdyby psy mogły były powziąć koncepcję istot nadprzyrodzonych, wyobrażałyby je sobie nie inaczej jak w postaci potężnych psów, odpowiedzieć można, iż stosuje się to tylko do psów nieoswojonych, domowe z pewnością wyobrażałyby sobie swój Olimp w postaci zgromadzenia istot dwunogich. Niemniej jednak niepodobna zaprzeczyć, iż w owem pojmowaniu sprawy cynomorfizm byłby odgrywał znaczną rolę: mieszkańcy psiego Olimpu musieliby chyba znajdować przyjemność w rzucaniu się plecami na ziemię, w przy-padaniu na kończyny przednie w lekkim kąsaniu członków swoich towarzyszy we wzajemnem obwąchiwaniu siebie i t. d.

W stosunku do istot ludzkich najogólniejszą i, zauważmy to, najmniej indywidualistyczną postacią automorfizmu jest, ma się rozumieć, antropomorfizm. Jest on zapewne zdolnością przedstawienia sobie

wszechświata w terminach własnej jaźni osobnika, ale bez możliwości jeszcze wyobrażenia jakiegokolwiek jaźni odmiennej a więc bez poczucia różnicy, bez przeciwstawienia cech własnych przymiotom innego, a tem samem bez wyraźniejszego odczuwania własnej indywidualności. To też czysty antropomorfizm jest znamieniem życia dzikiego. W społecznem życiu — pod działaniem wiadomej już nam przyczyny — naśladowania jednostek najbardziej podobnych, przybiera on kolejno nowe, bardziej już wyspecjalizowane postacie; najważniejszą z nich jest genomorfizm — wyobrażanie sobie rzeczy w terminach jaźni osobników podobnych do siebie w pewien sposób ogólny, osobników tej samej rasy. Genomorfizm jest już nie tylko bardziej szczególną ale bardziej indywidualistyczną formą automorfizmu aniżeli antropomorfizm: obok ogólnego poczucia człowieczeństwa ukazuje się już tutaj poczucie różnicy pomiędzy osobnikami jednej rasy a drugiej. Uznając podobieństwo swe do jednostek innych, jako do ludzi, osobnik innej rasy odczuwa też zarazem pewne wyróżniające go znamiona. Dalsze działanie naśladownictwa wprowadza tu inne komplikacje, wzbogacając raz jeszcze indywidualność. Tak samo jak pośród psów oswojonych cynomorfizm nie mógłby utrzymać się w swojej czystości pierwiastkowej, a to wskutek obcowania ich z istotami wyższymi, tak też wśród rasy niższej jej genomorfizm podlega pewnym przeobrażeniom w razie zetknięcia się jej z wyższymi rasami: dla niektórych ludów australskich Europejczycy są powracającymi z za grobu mieszkańcami sfer nadziemskich.

Mówiąc ogólnie, owe przeobrażanie się automorfizmu pod wpływem naśladowania ras innych jest następstwem uznawania ich wyższości; ale samo to uznawanie przedstawia się jako wynik pewnej takiej właściwości naszego ducha, która również pomoże nam zrozumieć należycie stosunek czynników materialnych do niematerialnych. Uznawanie i na-

śladowanie wyższości jest znowu tylko dalszym rozwinięciem automorfizmu. Dzięki codziennemu doświadczeniu, mocą którego poznajemy ilościowe stopniowania przymiotów, uznawanych przez nas za złe, dobre lub obojętne, umysł nasz zdobywa władzę idealnego potęgowania owych ilościowych różnic, a to w zakresie o wiele przewyższającym konkretne warunki otoczenia. W taki to sposób — z porównywania większych i mniejszych obszarów przestrzeni i czasu, umysł nasz doszedł do pojęcia czasowej i przestrzennej nieskończoności, pojęcia, którego w faktycznym naszym doświadczeniu nic nie usprawiedliwia. Ta samorzutna rozszerzalność idei i uczuć występować musi w życiu społecznym jako pierwiastek czynny. Rzecz jasna, że o ilościowym stopniowaniu przymiotów ludzkich najłatwiej przekonywamy się w obcowaniu z jednostkami innymi, mówię «najłatwiej», gdyż obcowanie to nie jest bynajmniej jedynym źródłem poznawania ilościowych różnic przymiotów ludzkich. Wobec automorficznych skłonności człowieka, nawet obcowanie z przyrodą martwą może zrodzić w nim pojęcie owych różnic ilościowych: ryk wiatru silniejszym jest od jego własnego głosu; tym bardziej obcowanie ze zwierzętami innych gatunków może natchnąć go znajomością takich stopniowań, doprowadzając często do uznania wyższości zwierząt. «Wół jest silniejszy, a jednak umiera» — mówił pewien filozofujący Murzyn do misjonarza. Tak czy inaczej, samorzutna rozszerzalność naszych idei i uczuć jest tylko spotęgowaniem, jak gdyby «nasilaniem się» automorfizmu; dzięki właśnie temu dalszemu stadium jego rozwoju, naśladownictwo może przybrać nową swą postać — odtwarzania jaźni porządku wyższego.

Pominąwszy wcześniejsze i pośrednie ukształtowania społeczne, jakim automorfizm wspólnie z innymi czynnikami daje początek, przejdźmy do ugrupowań, ukazujących się

za jego sprawą w społecznościach wyższych. Przypominając sobie z jednej strony, że wyższą postacią społecznej walki o byt jest walka klasowa, z drugiej zaś pamiętając, że klasy, ukształtowane pod wpływem warunków jednaki, muszą oczywiście składać się z jednostek bardziej jeszcze do siebie podobnych, łatwo przyjdziemy do wniosku, że obok najogólniejszych postaci automorfizmu ludzkiego, obok antropo- i genomorfizmu, musi w tych grupach społecznych rozwijać się automorfizm klasowy, który w braku lepszej terminologii moglibyśmy nazwać klasomorfizmem. Klasowy ten automorfizm, będący wytworem ogólnych automorficznych skłonności naszych oraz warunków zewnętrznych, upodabniających i zespalających jednostki danej klasy, sam z kolei staje się pierwiastkiem czynnym w sprawie dalszego rozwoju jej i utrzymania. Mamy tu, jak zawsze, wzrastającą komplikację oraz ciągle splatanie się czynników materialnych i duchowych.

Klasomorfizm jednak nie jest ani najwcześniejszą, ani najwyższą postacią społecznego automorfizmu. W okresach najwcześniejszych zlewa się on prawie niedostrzegalnie z automorfizmem rasowym — z genomorfizmem, z którym właściwie daje się utożsamiać. Społeczne badania socjologiczne wykazują z coraz większą oczywistością, że pierwotne klasy społeczeństw były to tylko odmienne grupy rasowe. Rasa panująca jedynie zwolna i stopniowo — w miarę co raz większego rozwoju jej czynnościowej zależności od ras podbitych, w miarę zacierania się tradycji innego pochodzenia — stawała się panującą klasą. Z drugiej strony powinniśmy się też wystrzegać błędnego mniemania, że walka klas jest bądź najwyższą, bądź też jakąś wiekuiącą postacią społecznej walki o byt.

Pojęcie walki klas, głównie dzięki Marksowi, wszechpotężnie zapanowało w umysłach dzisiejszych badaczy socjologii. Niektórzy, nie rozumiejąc zresztą całej donio-

słości tego czynnika, skłonnymi są jednak przypuszczać, że walka klasowa pozostanie na zawsze najwyższą postacią walki o byt. Pogląd ten jest zupełnie błędny. Klasa nie stanowi ani najwyższego, ani jedyne, ani wiecznotrwałego typu ugrupowań wewnątrzspołecznych. Walkę klas można byłoby określić, jako zapasy takich skupień wewnątrz społeczeństwa, pomiędzy którymi współzawodnictwo ekonomiczne nie ustąpiło jeszcze miejsca ekonomicznemu współdziałaniu. Obok takiego współzawodnictwa interesów materialnych, od najdawniejszych już czasów odbywała się też walka duchowych interesów, kształtująca znowu budowę społeczną podług ugrupowań innych; tych najdawniejszym wyrazem mogą być pierwotne sekty religijne. Uwzględniając to wszystko, co powiedzieć można o wpływie czynników ekonomicznych i wogóle materialnych na powstawanie i kształtowanie się religii, jak również to, co można powiedzieć o zjawisku wprost przeciwnem — wpływu religii na czynniki ekonomiczne, nie możemy jednak walki dwu wyznań, sekt, kościołów uważać za walkę klasową. Tylko przedziwne splatanie się czynników życia społecznego każe nam niekiedy myśleć inaczej.

Wzajemne działanie i oddziaływanie zarówno owych dwu kategorii interesów, jak i dwu kategorii ugrupowań, uwydatniając przed nami raz jeszcze ścisłą spójnię czynników materialnych i duchowych, poucza zarazem, że szablon walki klasowej nie wyczerpuje jeszcze całej zawiloci społecznych stosunków. Przypuszczać wolno, że w zakresie interesów i stosunków materialnych, jako bardziej podległych bezpośredniemu doświadczeniu, jako bardziej podstawowych ze stanowiska samego istnienia społeczeństw, świadomość społeczna wcześniej i prędzej zdoła wprowadzić współdziałanie na miejsce współzawodnictwa, aniżeli w zakresie innych stosunków, mniej poddających się sprawdzaniom doświadczenia, mniej zasadniczo niezbe-

dnych do życia — słowem w dziedzinie interesów duchowych. Przypuszczać wolno np., że nawet w wypadku przewidywanego dzisiaj niejasno odkrycia motorów nieograniczonej prawie siły i taniości — w wypadku kiedy sama przyroda machin nie będzie już, tak jak dzisiaj, zniewalała pracowników do działania łącznego, że nawet wtedy jedyną postacią walki ekonomicznej pracujących osobno jednostek będzie współubieganie się we współdziałaniu. W ten sposób walka ugrupowań, ścigających bardziej odległe i mniej konkretne cele, będzie prawdopodobnie trwała znacznie dłużej, aniżeli walka klasowa <sup>1)</sup>.

Bądź co bądź wszakże, dzisiaj walka klasowa jest panującym typem społecznej walki o byt. Kiedy zaś, nadto, uwzględnimy owo ściśle splatanie się duchowych i materialnych czynników, o jakim mówiliśmy tyle razy, przyjdziemy do wniosku, że za współczesną nam formę naszego automorfizmu może być uznany automorfizm klasowy.

#### IV.

### Klasowe ideały miłosne.

Ogólna i najmniej indywidualistyczna postać ludzkiego automorfizmu, pierwotny antropomorfizm, oraz mniej ogólna i bardziej indywidualistyczna jego forma — dawniejszy genomorfizm ustąpiły obecnie miejsca automorfizmowi klasowemu. Że jest on mniej ogólnym, o tem nikogo nie trzeba przekonywać, ale nadto jest też on bardziej indy-

---

<sup>1)</sup> Zaznaczyć jednak należy, iż wszystkie te ugrupowania komplikują się i zmieniają jeszcze bardziej — w wypadku wzajemnego oddziaływania dwu albo więcej społeczeństw; ukazuje się wówczas automorfizm narodowy, państwowy i t. p. W wykładzie powyższym uwzględniona jest tylko społeczna nie zaś międzypoleczna walka o byt.

widualistycznym. Ostatni ten wniosek może obudzić niejakie wątpliwości w umysłach, nie dość silnie przeświadczonych, że jedyną atmosferą, sprzyjającą rozwojowi indywidualności jednostek, zniewolonych z natury swej do życia towarzyskiego — jest społeczeństwo, zaś jedyną dźwignią rozwoju owej indywidualności — społeczna walka o byt, przybierająca coraz wyższą postać.

Automorfizm klasowy pozwala jednostce wyraźniej odczuwać różnice jej nie tylko wobec innych osobników ludzkiego rodzaju, ale i wobec innych osobników tej samej rasy, dzięki czemu już w większej liczbie wypadków jej osobowość występuje w świadomości, jako coś zgoła odrębnego. Z drugiej strony znamiona wspólności ogólnoludzkiej albo rasowej (narodowej, państwowej) właśnie wskutek zestawienia ich z cechami odrębności (klasowej), stają się jej nabytkiem świadomym, zamiast tego, iżby, jak dawniej, miały być tylko bezwiednymi przyczynami antropomorfizmu lub genomorfizmu. Nadto, w tem tak wysokim już stadium rozwoju społecznego, zarówno różnice jak i podobieństwa dotyczą nie tylko znamion anatomicznych i biologicznych, ale w znacznej bardzo mierze cech przyrody duchowej i społecznej osobnika.

Automorfizm klasowy w terminach «własnej jaźni» wyobraża sobie nie tyle już ideały fizycznego piękna, albo, tem mniej, zjawiska przyrody martwej, ile ideały piękna moralnego, umysłowego oraz zjawiska życia w społeczeństwie. Po części z samej przyrody swojej, po części dzięki postępowi kultury nie dotyka on już tych dziedzin, jakie niegdyś kształtował antropomorfizm, pozwalając przez to jednostce zbliżyć się bardziej do prawd i ideałów klasowego automorfizmu. Pomimo to jednak, odrębność interesów klasowych — przeważnie jeszcze materialnych — nadaje bardziej materialny zewnętrzny charakter owym społecznym i psychicznym cechom.

Należy zrozumieć, że jeżeli badanie kolejnych przemian ludzkiego automorfizmu na łonie życia społecznego można byłoby zaliczyć do rzędu poszukiwań psychologicznych, a raczej psycho-socjologicznych, to już oddziaływanie i rola tegoż automorfizmu w sprawie kształtowania się ugrupowań, urządzeń i stosunków społecznych stanowi jak najzupełniej prawowity przedmiot socjologii. To samo powiedzieć należy o badaniu wpływów świadomości, naśladownictwa i wogóle czynników duchowych: pominięcie ich przez socjologa, a natomiast wyłączenie się jego zbadaniu wpływu czynników materialnych tak samo nie doprowadziłoby do naukowej syntezy socjologicznej, jak nie doprowadziłoby do niej drobiazgowo roztrząsanie np. wpływów elektryczności na stosunki społeczne, jakkolwiek wpływy takie niewątpliwie istnieją. Narzędzia materialne obchodzą socjologa o tyle, o ile oddziałują na stosunki społeczne — co znowu nie dotyczy wcale mechaniki; podobnie też duchowe przymioty o tyle tylko zajmują socjologa, o ile są czynnikiem społecznym, co nie interesuje zgoła psychologów. Ponieważ zaś przymioty owe rozmaicie wpływają na stosunki społeczne, a to odpowiednio do stopnia swego rozwoju, przeto socjolog, nie zadawalnając się ogólnikowym zaznaczeniem tych oddziaływań, musi uczynić z nich przedmiot troskliwego badania.

Im dalej cofniemy się ku początkom życia społecznego, tym bardziej charakter i sposoby społecznej walki o byt przypominają nam będą pierwotny stan dzikości, niemniej jednak tak w najdawniejszych, jak i w najpóźniejszych okresach spostrzeżemy zjawiska, świadczące, że walka o byt nie przestała kształtować i rozwijać stosunków społecznych. To, co Spencer nazywa okresem przemysłowym, jest również epoką walki, tylko toczonej już w pewien odmienny sposób, podobnie też to, co nazywa on okresem wojowniczym, było również dobą przemysłu, ale przybie-

rającego pewną właściwą sobie postać. Większa lub mniejsza doniosłość funkcji danej grupy społecznej w pewnym okresie rozwoju stanowiła o tem, która z klas ma być przewodnią, przodującą, która zaś podległą. Łatwo zrozumieć, że w epoce kształtowania się większych społeczności z małych, w okresie, kiedy walka klas w bardzo znacznym jeszcze stopniu była walką rasową — że wtedy ową rolę przewodnictwa pełnić musiała klasa wojowników. Odpowiadające temu stanowi rzeczy, formy walki o byt odznaczały się względnie największą prostotą, największą bezpośredniością zapasów pomiędzy jednostkami podbijającymi i podbitemi. O ile podboje owe prowadziły do zespalania coraz większych grup ludzkich, do ustanawiania kooperacyi na miejsce współzawodnictwa oraz do utrzymywania przy życiu zespoleń już utworzonych, o tyle przewodnictwo klasy wojowniczej było dla społecznego rozwoju jak najbardziej pożądanem, zaś przymioty, znamionujące wojownika, stawały się potężnymi czynnikami tegoż rozwoju. Automorfizm klasowy nie omieszkał z przymiotów tych uczynić ideału człowieka wogóle; dobór miłosny, działający na jednostki tej samej klasy, jak zawsze, tak i w tym wypadku, potęgował i utrwalał cechy najpożyteczniejsze na razie dla społeczeństwa, zaś w oczach klas innych — dzięki wspomnianemu już dawniej samorzutnemu rozszerzaniu się naśladownictwa — jednostki stanu wojowniczego otoczone były jakąś aureolą wyższości. Większa bezpośredniość zapasów wojennych nadawała pierwszorzędną wagę przymiotom cielesnym, jak wzrost, siła, postawność, oraz takim duchowym cechom, jakie najbliżej zdają się graniczyć z cielesnymi — wytrzymałość na ból fizyczny, zręczność i odwaga. Były to przymioty, odpowiadające zaczepnym albo odpornym aktom owych tak bezpośrednich jeszcze zapasów. Z drugiej strony, jako pożądane dla społeczności duchowe znamię wojownika w stanie pokoju,

ukazuje się pewna laskawość względem pokonanego już wroga, wspaniałomyślność, pozwalająca osiągnąć z podbitych takie zyski, jakie bez uśmiercania ich osiągniętymi być mogą. Obok tych przymiotów ukazują się inne, bardziej zewnętrzne, i będące jak gdyby następstwem tamtych — władza oraz wysokie stanowisko społeczne. Łatwo zrozumieć, jak dalece, schlebając tym przymiotom, dobór miłosny wpływał na rozwój indywidualności. Z liczby duchowych przymiotów, mających ściślejszy związek z zadaniem miłosnego doboru, wymienimy tu «wierność damie swojego serca». Wobec dosyć licznie nastroczających się wojownikowi pokus — w jego życiu wędrownem — i wobec wymagań społeczeństwa, opierającego się na monogamii i rodach rycerskich, to położenie szczególnego nacisku na cechę wierności stanie się dla nas zupełnie zrozumiałem. Tak więc silne, krzepkie i zwinne ciało, wytrzymałość, odwaga, wspaniałomyślność, wierność w miłości a nakoniec władza i wysokie stanowisko społeczne — oto są znamiona męskiego miłosnego typu klasy wojowniczej; nie potrzebujemy powtarzać, że wszystkie one, wzięte społem, stanowią ideal jednostki najwyższej i zarazem najpotrzebniejszej dla społeczeństwa w danym okresie rozwoju. Właściwa piękność — w postaci regularnych rysów — odgrywa tu rolę mniej ważną, a raczej utożsamiana jest z takimi przymiotami ciała, jakie dla pomyślności klasy bezpośrednio, pośrednio zaś dla społeczności większe mają znaczenie; często jednak nawet taki surogat piękności fizycznej staje się obojętnym w razie szczególnego rozkwitu owych znamion duchowych, mających dla klasy i dla całości doniosłość największą: okryty sławą bohater — bodaj brzydszy od dyabła — podbija serca kobiet najpiękniejszych. Jest to głos doboru miłosnego, ale przechodzący jak gdyby poprzez środowisko społeczne, w jakim żyje kobieta.

Kobiecy typ miłosny klasy wojowniczej można określić ogólnie jako przeciwstawienie a raczej uzupełnienie typu męskiego. Przedewszystkiem rycerz, wywalczający sobie sławę i miłość, musi mieć taką nagrodę swych trudów, któraby blaskiem zewnętrznym od razu świadczyła już o jego wartości; jakimkolwiek sam będzie, «dama jego musi być «piękną». Przy pewnej nieuchronnej potrzebie pomijania fizycznej piękności mężczyzn — to najpierwsze wymaganie miłosnego wyboru wojowników służy ku przywróceniu w ich klasie zakłóconej równowagi piękna cielesnego. Mocą kontrastu, lub też dla innych pobudek psychologicznych, szuka wojownik w «damie» tkliwości, ale przymiot ten jej znajduje natychmiast aprobatę w łonie całej wogóle klasy rycerskiej. Czy to dla ogólnych powodów — dla zlagodzenia zbytnej surowości, do jakiej usposabiać może żywot wojowniczy, czy też dla powodów szczególnych — dla zapewnienia opieki rannym — przymiot ten jest niezmiernie pożądanym dla danej klasy i dla danego rozwojowego okresu społeczności. Pobudki, o jakich mówiliśmy wyżej, każą wysoko cenić wierność w damie rycerza. Przymiot ten, jakkolwiek jednoimienny z jego wiernością, jest oczywiście jej uzupełnieniem. Przekraczając właściwy typ kochanki, zaznaczymy tu jeszcze wymagania rządności, gospodarczości i t. p. są to już przymioty żony, łatwo zaś zrozumieć jak silnie wiążą się one z pomyslnością klasy, w której mężczyzna — częstokroć nieobecny — po wojennym znoju pragnąłby zażyć wygod wszelakich. Tak tedy: piękność, tkliwość, wierność, a dalej rządność i gospodarność — oto są cechy kobiecego typu miłosnego klasy wojowniczej.

Zobaczmy teraz, w jaki sposób tworzenie się klasy mieszczańskiej wpłynęło na zmianę klasowych ideałów miłosnych warstwy przodującej.

Rewolucja francuska odbywała się w znacznej mierze

pod egidą r o z u m u. Hasło takie jak najbardziej odpowiadało interesom grup, wywalczających sobie wyższe stanowisko społeczne, można powiedzieć, iż była to dewiza *par excellence* mieszczańska. Nie chciałbym, aby mię zrozumiano błędnie. Bynajmniej nie jestem zwolennikiem owego nawiązania różnobarwnej nici wydarzeń dziejowych na wrzeciono jednej jakiejś ekonomicznej doktryny. Nie chcę też utrzymywać, że rozum jest wynalazkiem burżuazji, albo że którakolwiek z grup społecznych nie odniosłaby z niego pożytku, posługując się nim, jako narzędziem walki. Ale w owej smutnej epoce wiara występowała wrogo przeciwko rozumowi, a właściwie duchowieństwo przeciwko należytemu pojmowaniu spraw społecznych. Myśliciele niezależni spostrzegli całą szkodliwość takiego stanu rzeczy, bożyszczem ich stał się rozum, a hasło takie nie mogło nie znajdować posłuchu w sferze tych, którzy walczyli z przedstawicielami wiary oraz ich sprzymierzeńcami.

Ale rozum, jakkolwiek w mniejszym stopniu aniżeli talent i geniusz, jest tylko surowym materiałem ducha, nie wystarczającym jeszcze na potrzeby życia społecznego. Wznaganie się czynnościowej zależności grup i jednostek, a nadto ciągły rozwój sposobów i środków walki o byt sprawiają, że znajomość tak stosunków społecznych, jak i technicznych narzędzi ludzkiego postępu, staje się rzeczą niezbędną: ztąd wypływa nieodzowność wiedzy a więc i wykształcenia. Nawet w dziedzinie zapasów najbardziej bezpośrednich, w zakresie działań wojennych, umiejętność i znajomość rzeczy poczyna być niezbędnym sprzymierzeńcem wrodzonych zdolności strategicznych albo osobiściej odwagi, czasem je nawet zastępuje.

Przejście od stanu wojowniczego do przemysłowego ma przedewszystkiem ten skutek, że odpieranie albo podbijanie wrogów coraz częściej ustępuje miejsca takim aktom, które mają na celu zjednywanie sprzymierzeńców. Dzia-

lania i stosunki społeczne stają się coraz bardziej «pokojuowymi» — w znaczeniu dosłownem — coraz częściej przenoszą się do wnętrza domów, do pokojów. Już nietylko walki całych grup społecznych odbywają się nie na otwartym polu, lecz pod dachem parlamentów albo w kupieckich i bankierskich kantorach, ale i podboje miłosne tracą swój charakter wojowniczy: z tarasów zamkowych, przed którymi odbywały się turnieje — przenoszą się one do salonów. Rycerskość ustępuje miejsca salonowości, salon staje się miejscem popisów. Zmiana taka jak najbardziej odpowiada interesom klasy, której orężem w daleko znaczniejszej mierze stało się umiejętne zjednywanie sobie serc ludzkich, dla której ćwiczenie się w udanej nawet uprzejmości stało się potrzebą nieodzowną.

Z innych znamion charakteru moralnego — akuratiość, punktualność, słowność zyskują znaczenie cnót pierwszorzędných. Wobec spotęgowanej współzależności grup i jednostek, brak owych cnót stałby się taką samą dla mieszczaństwa klęską, jak zdrada w obozie walczącego rycerstwa.

«Pokojuowy» charakter zajęć i stosunków wpływa powoli na zmianę idealów piękna cielesnego. Mężka piękność ulega w pewnej mierze zniewieścianości; już nie tyle siła, ile zręczność i okrągłość ruchów, nie tyle wzrost, ile kształtność postawy, nie tyle wyraz męskiej odwagi, ile regularność rysów — poczynają występować w liczbie wymagań pleci kobiecej. Pośród drobniejszego mieszczaństwa dzięki klasowemu automorfizmowi, ideały owe dają to, co można byłoby nazwać typem fryzyersko-aptekarskim: piękne uczesanie głowy i zapach perfum odgrywają tu rolę niepoślednią. Łatwo zrozumiemy, o ile interes klasy mieszczańskiej sprzyja utrwalaniu się i potęgowaniu takich znamion.

Podobne też działanie utrwalające wywiera dobór miłosny. Jak zawsze, tak i teraz jest on jak gdyby echem

klasowego automorfizmu, odbijającym się w atmosferze instynktów płciowych. W ten sposób wykształcenie w zakresie przymiotów umysłowych, salonowość, układność a dalej akuratność, punktualność i słowność w dziedzinie znamion moralnych, na koniec, regularność rysów, zręczność w sferze cielesnych przymiotów — oto jakimi są cechy męskiego typu miłosnego klasy mieszczańskiej.

Bogactwo jednostki jest w tym okresie nie tylko oznaką społecznej wybitności, ale staje się jak najnieodzowniejszym narzędziem walki o byt dla klasy mieszczańskiej. Atrybucya ta wpływa też nieuchronnie na powiększenie uroku osobnika, mającego stanowić ideał miłosny; stosuje się to jednak do osobników płci obu, co do mężczyzn jednak, to w nich narzędzie to — bogactwo — może być zastąpione niekiedy przez inne narzędzie, do bogactwa i wysokich stanowisk prowadzące, mianowicie przez wykształcenie. Mówiąc o bogactwie, jako o atrybucyi, wpływającej na wyroki doboru miłosnego, nie mam bynajmniej na myśli owego świadomego, który każe jednemu z kochanków pomijać milczeniem rozmaite wady i braki drugiego — dla jego bogactwa. Mam raczej na względzie owe bezwiedne oklamywanie siebie, owe wpływy, usposabiające do miłości, w rzędzie których, jak zobaczymy później, znajdować się też może bogactwo. Głos doboru miłosnego załamuje się tu znowu w atmosferze interesów klasy mieszczańskiej — załamuje się fałszywie, gdy sprawę sądzić będziemy ze stanowiska biologicznego, zaś dobrze, gdy na nią spojrzemy ze stanowiska danego okresu rozwojowego, któremu klasa dana przoduje.

Nieodzowność zdobycia bogactwa z jednej strony, zaś niemożność skojarzenia go zawsze w ukochanej z pięknoscią fizyczną — z drugiej, doprowadzają w następstwie do tego, iż cielesna piękność kobiety przestaje być wymaganiem tak nieodzownem; na miejsce jej występują tak

zwane przymioty towarzyskie, talenty i t. p. Na kobietę nie przestaje się spoglądać, jak na narzędzie rozkoszy, zarazem jednak staje się już ona narzędziem zyskowego urządzenia życia. Sam fakt przeniesienia zapasów miłosnych i turniejów do «pokoju» sprawia, że przymioty i talenty towarzyskie mogą istotnie odnosić niekiedy zwycięstwo nad samą tylko pięknnością. Ta ostatnia wprost nie wystarcza już czasem wymaganiom takiego życia, które w znaczniejszej mierze przeniosło się na teren kobiecy, t. j. do wnętrza domów i to nietylko w postaci swojej rodzinnej ale i w formie obcowania towarzyskiego. Umiejętność «bawienia gości», będąca również jednym ze środków zjednywania sprzymierzeńców, zastępuje tu nawet przymioty rządności i gospodarności, przechodzące na płatną służbę i najemników. Położywszy nacisk na to wymaganie przymiotów *p o s ł u b n y c h*, zauważmy, że bogactwo, przymioty i talenty towarzyskie, zastępujące w pewnym stopniu pięknność fizyczną — są znamionami kobiecego typu miłosnego klasy mieszczańskiej.

Doniosłość i rola wykształcenia szczególnie jaskrawo uwydatniają się w sferze proletariatu inteligencji. Miłosne typy tej warstwy należą do dwu odmian wprost sobie przeciwnych, a to odpowiednio do tego: czy jednostki, tworzące tę różnobarwną całość, przechodzą do warstwy posiadaczy albo też pracowników.

Proletariat inteligencji jest jakby pobocznym produktem tej samej walki klasowej, której produktem głównym jest proletariat robotniczy. Ze stanowiska historycznego, ze względu na różnice powstawania, dwa te rodzaje proletariatu należałoby, jak sędzę, uważać za dwie odmienne kategorie socjologiczne. Wszelki proletariat wogóle jest produktem rozkładu, wytworem społecznej dysolucji; po skonsolidowaniu się zarówno jednostek posiadających w klasę burżuazyi, jak i też jednostek pracujących —

w klasę robotniczą, powstawanie proletaryatu t. j. grupy osobników, społecznie odosobnionych, wydziedziczonych ekonomicznie, niepewnych jutra, stanie się niemożliwością. Z jednej strony reglamentacja rządów i samoobrona warstw pracujących, z drugiej zaś solidarne kojarzenie się posiadających osobników — np. w syndykaty i trusty — zarówno dążą do ujęcia sprawy wywłaszczania jednostki w jakieś karby, pozwalające jej przewidywać zmiany losowe i przystosowywać się do nich zawczasu. Ale z pomiędzy dwu rodzajów proletaryatu robotniczy uważałbym za wytwór ścierania się dwu klas — wielkich i drobnych posiadaczy, gdy tymczasem proletaryat inteligencji byłby skłonny uznawać za produkt walki interesów jednostkowych wewnątrz tej samej grupy posiadającej albo też, co jeszcze częściej się przytrafia, za produkt ścierania się dwu jej podziałów: przedstawicieli kapitału oraz upadającego ziemiaństwa.

Wszelkie zmiany i przeobrażenia żywego ustroju społecznego równie trudno byłoby zawrzeć w jakimś określeniu statycznym, jak trudno jest np. otrzymać przecięcie bystro płynącego strumienia. Sądziłbym jednak, że nie należy utożsamiać terminów: inteligentny proletaryat oraz proletarynt inteligencji. Jakkolwiek często zdarza się mogło, że do sfery t. zw. inteligencji wstępowały, dzięki wykształceniu, jednostki pochodzenia najniższego, to jednak w znacznej większości wypadków proletaryat inteligencji składa się z osobników, pokonanych w walce wewnątrzklasowej, albo z ich potomstwa, nie zaś z jednostek, wpływających na powierzchnię życia towarzyskiego a zaludniających niegdyś najdalsze jego głębie. Wyplywanie podobno połączonym było z takimi trudnościami, iż pokonywać je mogły tylko jednostki wyjątkowo silne i zdolne, a ztąd zwracające na siebie powszechną uwagę. Wszelki obfitszy dopływ tego rodzaju byłby socjologiczną niemo-

żliwością; dla braku odpowiednich zajęć tłumna rzesza wykształconych jednostek z proletariatu robotniczego musiałaby powrócić do jego szeregów, musiałaby zająć miejsce pośród pracowników fizycznych, nie powiększając bynajmniej zastępów proletariatu inteligencji. Z drugiej strony tak znaczny przyrost wykształcenia w warstwach pracujących musi być współobjawem zmienionych warunków, te zaś domyślać się każą większej już konsolidacji osobników pracujących — w klasę. W taki to sposób dane społeczeństwo mogłoby posiadać inteligentny proletariat, nie posiadając prawie proletariatu inteligencji. Dwa te terminy tak dalece nie są synonimami, że niemal wykluczają się wzajem. Zresztą w pewnym rozumieniu rzeczy określenie: «inteligentny proletariat» jest socjologiczną sprzecznością. Istotnie, proletariat, jakżeśmy powiedzieli, jest produktem społecznej dysolucji; okres ewolucyjny dla tej gromady jednostek rozpoczyna się z chwilą, kiedy świadomość ich przybiera postać idei klasowej; znaczenie uspołecznionej formy inteligencji t. j. wykształcenia jest tu widocznem. Ale z chwilą przeobrażenia się luźnej kupy jednostek w klasę — członkowie jej przestają być proletaryuszami. Tak więc, proletariat inteligencji jest produktem dysolucji społecznej, inteligentny proletariat wytworem dalszej ewolucji; pierwszy — następstwem porażki jednostek, drugi — objawem powodzenia klasy. Ideały pierwszego, o ile nie są wyrazem celów i pragnień samolubnych, kształtują się w duchu wielkości minionej, ideały drugiego — w duchu nowych faz społecznej ewolucji.

Miłosne typy proletariatu inteligencji, wspinającego się po szczeblach drabiny społecznej do wyższych szeregów mieszczaństwa, niczem się prawie nie różnią od miłosnych typów burżuazji. Najważniejszy oręż walki — wykształcenie, zwłaszcza zaś wykształcenie fachowe — nabiera tu większego jeszcze znaczenia już nietylko wśród

mężczyzn ale i wśród kobiet, zastępuje broń inną — bogactwo materyalne. Wszyscy prawie pamiętamy dogorywający już dzisiaj okres owej bałwochwalczej czci rozumu i wykształcenia, jaką szczególnie w tej sferze odznaczała się pleć kobieca. Przez czas dość długi — w pewnej mierze dziś jeszcze — wykształcenie to stanowiło wyłączną cechę mężczyzn, a ztąd stawało się znamieniem ich płci, niwelującym i wynagradzającym poważne braki nie tylko moralne ale i cielesne. Dobór miłosny, jak zawsze tak i podówczas, działał w duchu najpilniejszych, najbardziej naglących potrzeb danej grupy społecznej.

Ale proletaryat inteligencji, jak wiemy, był przeważnie wytworem walki jednostkowej wewnątrz tej samej klasy. Oto dlatego samo wykształcenie nie mogło tu uchronić jednostek przed ślepyimi ciosami, których nie łagodziła żadna reglamentacja klasowa; to też obok wykształcenia, pierwszorzędną doniosłość zyskiwała mniej uspołeczniona forma rozumu, a mianowicie spryt osobisty. Doniosłość tej cechy atawistycznej zrozumiemy łatwo, przypominając sobie, że walka jednostek, należących potencjalnie do tej samej klasy, walka, toczona pod hasłem *laisser-faire*'yzmu, była objawem społecznej dysolucji.

Miłosne ideały i typy inteligentnego proletaryatu, mogące być dzisiaj tylko przedmiotem domysłów i filozoficznej spekulacji, kształtować się muszą już nie w walce jednostek, ale na arenie świadomie prowadzonej walki klasowej. O ile skonsolidowana klasa jednostek pracujących może być przedstawicielką interesów i dążeń ludzkości, o tyle ideały owe i typy odznaczać się będą charakterem ogólnoludzkim. Roztrząśnięcie więc przypuszczalnego ich rozwoju stanowić winno przedmiot dociekań, poświęconych «ewolucji doboru miłosnego» <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Po ogłoszeniu słów powyższych temat, przez nas podsuwany, podjął jeden z młodszych socjologów naszych p. Kazimierz Krauz,

Różnica pomiędzy socyologicznym, a biologicznym traktowaniem klasowych typów miłosnych najwydatniej może zarysowuje się przy zbadaniu zagasłych już dzisiaj ideałów romantyzmu.

Ze stanowiska teorii walki klas romantyzm był śpiewem labędzim konającego rycerstwa. Wszystkie hasła i godła tryumfującej burżuazji poszły tam w poniewierkę. Zarówno «mędrca szkielko i oko», jak «miarka i łokieć kramarzy», stały się przedmiotem szyderstwa. Tęskne spojrzenia wieszczów biegły w przeszłość, niezbyt może odległą, ale niepowrotną. Zbóje średniowieczni urastali na bohaterów, cienie czarownic opowiadały natchnionym bankrutom, gdzie są zakłete skarby — była to przenośnia — gdzie drzemią moce tajemne, gdzie błądzą duchy «przeżytych kształtów». Ruiny zamków, z których «bezduszny spekulant» budował komin fabryczny, zaludniały się znowu i rozbrzmiewały echem magnackiej kapeli, wygrywającej «taniec szkieletów». Takim był nurt główny: sływały do niego wszystkie skargi i bóle, wszystkie protesty niezadowolonych, wszystkie zawiedzione nadzieje tych, którzy naiwnie wierzyli w «równość, wolność, braterstwo» rewolucyi; szukano sprzymierzeńców pod strzechą, wierzone «w jeden tylko, jeden cud», chociaż chłop występował wyłącznie prawie w niewinnej roli «kmiotka». Ale romantyzm był, jak wiemy, protestem niemocy. Z uczuć ludzkich rozpacz i tęsknota syciły go najglówniej. Błada twarz, zapuszczone włosy, oko zamglone — takim był cielesny wyraz owego protestu. Ze stanowiska biologicznego nie podobna byłoby ani zrozumieć, ani wytłomaczyć, w jaki sposób owe znamiona choroby albo atawizmu mogły być stać się hasłem miłosnego doboru — gdyż starsi z pomiędzy

---

drukując w *Krytyce* krakowskiej studyum o miłosnych typach proletaryatu francuzkiego.

nas przypominają sobie dziś jeszcze owe dziewice, które piły ocet dla zdobycia cery niezdrowej, a z nią... serca mężczyzn. Ze stanowiska socjologii wybryki owe zrozumiałe są i usprawiedliwione. Cywilizacya nie prędko chyba zapomni zasług romantyzmu. Blade oblicza nie raz już odgrywały w historii rolę znaków mnemoniczych. Kobiety, pijące ocet, uchroniły może potomstwo swe przed stłuszczeniem serca.

## V.

### Dobór miłosny.

Najpierwej należałoby może usprawiedliwić wprowadzenie nowego terminu, który każe domyślać się, że dawniejsza nazwa: «dobór płciowy» uznana została za nieodpowiednią. Jedną z najglówniejszych pobudek zastosowania innego słownictwa była tu chęć uwydatnienia stanowiska socjologicznego, z jakiego, naszym zdaniem, mówiąc o życiu społecznym, należy zapatrywać się na sprawy, które w dzikim życiu związane są z działaniem doboru płciowego. Chwila zastanowienia wykaże nam, że zmiana podobna, nie zapoznając wcale biologicznych pierwiastków zjawiska, ma jedynie na celu uwzględnienie pierwiastków nowych, których pominięcie uniemożliwiłoby dokładną ocenę faktów i rozbiór zagadnienia. Przypominając sobie to, cośmy mówili o zwrotnem działaniu czynników wyższego porządku na niższe, wiedząc, iż życie społeczne oddziaływa nie tylko na duchowe ale i na cielesne, a nawet fizyczne i chemiczne własności ustrojów, z góry przypuszczać będziemy, że socjologiczne czynniki musiały w jakiś sposób oddziaływać na biologiczną i psychiczną stronę sprawy zachowania i rozradzania się gatunku.

Uzasadniewszy — w zarysach ogólnych — potrzebę odrzucenia terminu wyłącznie prawie biologicznego «dobór płciowy», postaramy się teraz usprawiedliwić podaną przez nas, bardziej, że tak powiem, psychologiczną nazwę «miłosnego doboru». Mówiąc ogólnie, pozostaje ona w zgodzie z tym faktem, że o bezpośrednich stosunkach składowych części społeczeństwa stanowią ich przymioty psychiczne; w szczególności zaś napomyka nam o zaznaczonej już na innym miejscu prawdzie, że w życiu społecznym dobór płciowy bywa następstwem nie chwilowego popędu, ale skutkiem długotrwałego uczucia (miłości). Różnica ta, jak zobaczymy później, staje się najgłówniejszą dźwignią całej dalszej ewolucji doboru płciowego, jaka się dokonywa na lonie życia społeczeństw.

«Krajowcy — powiada pewien podróżnik angielski — pokonywali czasem moich ludzi w jednorazowych popisach siły; kiedy jednak szło o jakiś długotrwały wydatek energii — ustępowali im zawsze». Ta przewaga wybuchowości oraz towarzyszący jej brak wytrwania należą właśnie do najwybitniejszych i najbardziej ogólnych znamion charakteru dzikich — w przeciwstawieniu do psychicznej przyrody człowieka cywilizowanego. Zdolność żywienia długotrwałych uczuć, wylęglých na podstawie działającego wybuchowo doboru płciowego, jest tylko poszczególnym tej prawdy potwierdzeniem. Ale właśnie ta zdolność, ułatwiająca i wzmacniająca obcowanie towarzyskie wogóle, a z drugiej strony znajdująca w niem dzielnego sprzymierzeńca, staje się najgłówniejszym źródłem, co nadaje «doborowi płciowemu» jego cechę socyologiczną, co czyni go «miłosnym doborem». Cechą ową jest mniej albo więcej trwale obcowanie dwu osobników płci odmiennej — poza obrobem wzajemnych oddziaływań biologicznych. Ten fakt trwałości spójni towarzyskiej, pomimo ustawiania cielesnej spójni — fakt, będący następstwem

wyższego duchowego rozwoju jednostek, sam z kolei oddziaływa na spotęgowanie siły i doniosłości psychicznych czynników w sprawie doboru, na usuwanie, od czasu do czasu cielesnych czynników z zakresu świadomości różnoplciowych jednostek, a wreszcie na powstawanie urzędzeń i skupień społecznych, sprzyjających zachowaniu i rozradzaniu się gatunku już nie tylko w znaczeniu biologicznym ale i socjologicznym. Gatunek taki nie przedstawia się nam jako prosta gromada rozpierchłych i luźnych osobników, lecz jako skupienie jednostek, mniej lub więcej stale związanych stosunkiem współzależności czynnościowej, a którym właściwe są i potrzebne do dalszego rozwoju pewne cechy socjologiczne na równi z biologicznymi przymiotami i własnościami.

Tak więc, usunięcie pierwiastków zmyslowych ze sfery świadomości kochających się osobników, przeniesienie środka ciężkości na duchowe pierwiastki, a w końcu, trwanie miłosnej spójni poza obrębem oddziaływań biologicznych — takie oto są najglówniejsze znamiona doboru miłosnego w przeciwstawieniu do doboru płciowego. Nie ma potrzeby nadmieniać, że zaczątki a nawet wysoki rozwój wszystkich tych znamion spostrzegamy już w świecie zwierzęcym.

Przypuszczać wolno, że podstawowe biologiczne czynności ustrojów tem znaczniejsze miejsce zajmują w ich świadomości, im będzie niższym stopień zróżniczkowania danej funkcji. Jakkolwiek słabymi są zaczątki świadomości ameby np., możemy utrzymywać, że sprawa asymilacji (przyswajania) pokarmów, w chwili odbywania się wypełnia całą tę świadomość. U wymoczka, którego zewnętrzna część organizmu zróżniczkowała się w stałe narządy ruchu i dotyku, świadomość przyswajania pokarmów, nawet w chwilach odbywania się asymilacji, musi od czasu do czasu ustępować miejsca świadomości innych spraw ustroju.

Prawo «szeregowości» naszych stanów świadomych, t. j. ten fakt, że stany owe, jedynie tylko idąc po sobie kolejno, mogą się w świadomości naszej ukazywać, że nigdy nie możemy być świadomymi kilku naraz stanów, sprawia, iż w wypadku zróżniczkowania funkcji jedne z jej ogniw muszą od czasu do czasu ustępować innym swego miejsca w naszej świadomości. Z drugiej strony natężenie świadomości danej sprawy ustrojowej zależnem jest od mniejszej lub większej łatwości jej odbywania się. Proces organiczny, przebiegający po drogach całkiem uTOROWANYCH, bardzo często nie dosięgnie progu naszej świadomości. Z pomiędzy rozmaitych ogniw funkcji wysoce zróżniczkowanej, ogniwa najpóźniejsze, najnowsze, przebiegać muszą po drogach najmniej ubitych, zaś dawniejsze, bardziej elementarne ogniwa zdążają najbardziej utartym już szlakiem. W ten sposób podstawowe czynniki organizmów, jako najdawniejsze, odbywające się od początku życia organicznego, najmniej mają szans ukazywania się w sferze naszej świadomości i zjawiają się tam jedynie wtedy gdy jakaś przeszkoda wewnętrzna lub zewnętrzna zatamuje ich przebieg. Oto dla czego sprawy asymilacji np. odbywają w naszym organizmie bez naszej wiedzy, poniżej progu naszej świadomości, zaś dosięgają teje jedynie wtedy, gdy jakaś przyczyna niezwykła utrudni nam t. zw. trawienie. Dawno utarty szlak organicznej czynności zostaje wówczas zatamowanym. Rozradzanie się jest dalszym ciągiem i następstwem sprawy odżywczej. W postaci najniższej — w formie «dzielenia się» — przedstawia ono bezpośredni skutek nagromadzenia się pewnej ilości materji zasymilowanej. Dzielenie się takie, będące podstawowym procesem sprawy rozrodczej, nie może nie zaprzętać świadomości ustroju w wypadkach, kiedy cały ten ustrój bezpośrednio zajęty jest wykonaniem owego aktu. Natomiast w razie większego zróżniczkowania się funkcji rozrodczej do wiadomości osobnika dochodzą tylko

późniejsze, mniej zasadnicze fazy procesu, zaś sprawa główna pozostaje poniżej proga świadomości. Zarówno w żeńskich, jak i w męskich organizmach tworzenie się elementów rozrodczych oraz bezpośrednio ich oddzielenie się od ustroju odbywają się bez wiedzy osobnika. Podobnie też dalsze a niemniej ważne ogniwa tej sprawy, jak zespolenie się dwu różnopleciowych pierwiastków, jak dzielenie się (segmentacja) jajka już zapłodnionego, do sfery świadomości macierzystego organizmu nie wchodzi.

Stopniowe usuwanie się zasadniczych spraw biologicznych ze sfery świadomości osobnika jest, jak wiemy, bezpośrednio następstwem zupełnego uitorowania dróg danej czynności ustrojowej; dzięki więc takiemu «torowaniu» drogi wszelki organizm dąży do automatyzmu. Ale oto za sprawą różnorodnych oddziaływań zewnętrznych na różne części organizmu posuwa się dalej dzieło różniczkowania, funkcya poczyna rozczłonkowywać się na ogniwa nowe, które, szukając dla siebie nowych dróg, tem samem, zasilają świadomość osobnika. Zautomatyzowanie funkcji podstawowej i usunięcie jej ze sfery świadomości pozwala ustrojowi częściej i dłużej ześrodkowywać uwagę na drugorzędnych owej czynności ogniwach, prowadzących jednak zawsze do celu głównego. W sprawie odżywiania się już nie sama asymilacja materji pokarmowej, lecz wrażenia smakowe, pośrednio tylko z asymilacją związane, stają się źródłem świadomej przyjemności ustroju. Na szczeblu wyższym krynicą gastronomicznych rozkoszy bywają wrażenia estetyczne, zaś jeszcze wyżej — społeczna uciecha współbiadnictwa. W ostatnim wypadku uczucie przyjemności obcowania we wspólnem spożyciu może niekiedy równoważyć przykrą ewentualność mniej smacznego albo obfitego posiłku. We wszystkich tych fazach odżywiania ogniwa późniejsze nie pozostają bez wpływu na podstawową sprawę asymilacji, ale oddziaływanie to staje

się coraz bardziej pośredniem: wrażenia smakowe, podniecając bio-chemiczne procesy organizmu, potęgują szybkość i sprawność przyswajania; estetyczne wrażenia czynią to samo, oddziaływając na czucia smakowe; towarzyska uciecha zdąża do takiegoż celu przez oddziaływanie na estetyczne i smakowe wrażenia. Oprócz takiego wpływu na organiczny dobrobyt osobnika uciecha owa wywiera jeszcze wpływ bardziej pośredni, a to przez zacieśnianie spójni towarzyskiej, ułatwiającej sprawę zdobycia posiłku. Ale poza tem kończą się już czysto-biologiczne oddziaływania czynnika społecznego, kończy się jego wpływ na dobrobyt jednostki, jako biologicznego ustroju, zaś rozpoczyna się oddziaływanie na nią, jako na cząstkę skupienia społecznego, ujawnia się wpływ na losy i ukształtowanie gatunku, jako całości. Oto dlaczego w wypadkach niektórych towarzyskie instynkty jednostki każą jej przekładać gorszy posiłek, spożywany społecznie, nad lepszy, spożywany w odosobnieniu. Ze stanowiska czysto biologicznego fakt taki byłby niezrozumiałym, ze stanowiska socjologii jest on całkiem naturalnym i pożądanym objawem, dzięki któremu wyrabiają się w osobniku przymioty, niezbędne do życia społecznego, to jest do takiegoż życia, w jakim zwierzę towarzyskie jedynie może osiągnąć pełni rozwoju cielesnych i duchowych zdolności, nawet pomimo chwilowych krzywd i niedomagań organizmu biologicznego.

O wiele bogatszem i bardziej jeszcze pouczającym jest zróżniczkowanie się funkcji rozrodczej. Zarówno w zakresie jej czysto biologicznym, jak w psychicznym i towarzyskim zakresie, spostrzegamy ogniwa nowe, bardzo pośrednio tylko związane z pierwotną sprawą dzielenia się, rugujące ją ze sfery świadomości różnopłciowych osobników i dające początek nowym ugrupowaniom oraz instytucjom społecznym.

Przedewszystkiem jednak zaznaczmy, że liczba no-

wych, czysto biologicznych ogniw procesu rozrodczego przed ukazaniem się jego faz psychicznych musi powiększyć się w stopiu znaczniejszym, aniżeli ilość nowych, czysto biologicznych stadyów sprawy odżywczej — przed ukazaniem się jej psychicznych i społecznych rozczłonkowań. Tak np. dwoiste zróżniczkowanie materji rozrodczej, dające później początek różnopleciowym elementom rozmnażania, musi ukazać się pierwej, aniżeli jakakolwiek bądź świadomość pożytku i potrzeby mieszania się zawartości dwu odrębnych, jakakolwiek na pozór całkiem jednakich organizmów. Zjawisko konjugacyi wodorostów każe mniemać, że czysto-biologiczna sprawa pokrzepiania się protoplazmy jednych komórek rozrodczych protoplazmą innych poprzedza w rozwoju szeregów ustrojowych sprawę takiego zespalandia się organizmów, któremu towarzyszy świadomość. W ten sposób na pewnym szczeblu rozwoju sprawy rozrodczej biologiczna jej strona — sama przez się t. j. niezależnie od świadomych czynników psychicznych — staje się podstawą przyszłych socyologicznych ugrupowań. Nie można tego powiedzieć o sprawie odżywczej, gdzie obcowanie we współbiedniectwie z organizmem innym wpływa wprawdzie na dzielność asymilacyi, lecz gdzie obcowanie takie nie jest niezbędnym warunkiem procesu biologicznego <sup>1)</sup>. Ale już od

---

<sup>1)</sup> Nastęrcza się nam tutaj pewna wątpliwość czysto-metafizyczna. Skoro świadomość ma towarzyszyć sprawom, przebiegającym po drogach nieutorowanych, skoro do wywołania jej potrzebnem jest to, co Anglicy nazywają »tarcieciem się« (friction) cząsteczek, tedy — w jakiż sposób najwcześniejsze stadya rozmnażania się pleciowego (u wodorostów), odbywającego się oczywiście po drogach najmniej utartych, mogą odznaczać się najmniejszym stopniem świadomości? Odpowiadamy na to: nie odrzucając hipotezy »tarcia«, przypuszczać wolno, iż nie jest ono jedynym świadomości warunkiem; najsilniejsze tarcie się cząsteczek maszyny elektrycznej nie wywołuje w niej chyba procesów świadomych. Poważalbyśmy się utrzymywać, że do tego, aby

najwcześniejszych stadyów rozradzania się płciowego ukazują się psychiczne ogniwa tej sprawy, wpływające przede wszystkim na pomnożenie jej ogniów biologicznych. Nigdzie może z równą wyrazistością nie zarysowuje się oddziaływanie czynników wyższych na niższe. Cały olbrzymi szereg t. zw. drugorzędnych cech płciowych, a nawet całe późniejsze zróżniczkowanie właściwych narządów płci pozostaje tu w ścisłej zależności od wpływów psychicznych. Jeżeli zrazu rozmnażanie się płciowe jest tylko przypadkową fazą sprawy rozrodczej wogólności, jeżeli pierwotna konjugacya następuje li tylko w czasie przypadkowego (i przytem jak najbardziej bezpośredniego) zetknięcia się osobników, to dzieje się tak dlatego, że w organizmach nie ma jeszcze wtedy żadnego czynnika, któ-

---

dany proces mógł być świadomym, potrzeba, żeby »trące się« cząsteczki posiadały pewne własności szczególne, np. pewien rodzaj tego, co Richet nazywa »pamięcią organiczną«. Pamięć taką — w wypadku obchodzącym nas tutaj, a więc pamięć stykania się i zespalania z cząsteczkami innej substancyi — mogłyby cząstki danej protoplazmy zyskiwać powoli i przekazywać drogą dziedziczności li tylko wskutek długotrwałych i niezliczoną ilość razy powtórzonych aktów konjugacyi bezwiednej. Pamięci tej, oczywiście, nie należy rozumieć w znaczeniu władzy duchowej; może być ona raczej podobną np. do nateżenia stalowej sprężyny, naciśniętej w kierunku przeciwnym jej prężności, świadomość mogłaby się zjawiać dopiero przy pewnym owej prężności nateżeniu. Dopiero wtedy, gdy — dzięki wielokrotnym aktom pierwotnej konjugacyi, znaczna liczba cząsteczek danej protoplazmy posiedzie w odległym pokoleniu ową pamięć organiczną, dopiero wtedy wzajemnemu ich »stareiu się« przy ponownym akcie zespolenia mogłaby towarzyszyć świadomość. Z drugiej strony, przypuścić wolno, że w świecie zwierzęcym najwcześniejszemu nawet stadium rozradzania się płciowego towarzyszy pewien zaczątek świadomości, lecz że na razie jest ona tylko dalszym ciągiem świadomości, jaka towarzyszyła sprawom asymilacyjnym, że dopiero z biegiem czasu poczyna się różniczkować, jako świadomość procesu rozrodczego.

ryby uczynił je zawisłemi od woli zwierzęcia. Czynniki te nie może być innym, jak tylko psychicznym<sup>1)</sup>. Zdolność odczuwania rozkoszy samego aktu, zdolność przechowywania tegoż czucia w pamięci, wytwarzający się ząd popęd płciowy — wszystko to wpływa na reglamentację przypadkowych niegdyś aktów zespolenia się. Ale wszystkie owe zdolności każą domyślać się większego zróżniczkowania funkcji organizmu wogóle, co znaczy, że nie cały już organizm ma być poświęcony czynności rozrodczej nawet w chwili samego aktu. Ponieważ nie cała już substancja dwu ustrojów, ale tylko ich cząstki zlewają się ze sobą, przeto sprawność samego aktu pozostaje teraz w co raz większej zależności od określonego topograficznego stosunku owych cząstek do całości ustroju. Im bardziej określonym będzie ów stosunek, tem większą przewagę posiadać będą w walce o byt gatunki, rozmnażające się przy udziale czynników psychicznych. Ukazanie się wewnętrznych i zewnętrznych narządów płciowych jest nieuniknionem następstwem stopniowego rozwoju tej sprawy. Ale zdolność pamiętania aktów płciowych oraz osobników płci odmiennej nieużyteczną byłaby w sprawie reglamentacji stosunków płciowych — bez możliwości poznawania owych odmiennych osobników; bez tej możliwości ewentualność zespolenia pozostawałaby w dalszym ciągu na lasce przypadku. Zdolność poznawcza chwytą skwapliwie wszelkie, bodaj najbardziej przypadkowe, zewnętrzne cechy płci innej, a dzięki temu — z biegiem pokoleń utrwalają się drugorzędne cechy płciowe, ułatwiające sprawę takiego poznawania i jeszcze

---

<sup>1)</sup> Nie-psychicznym może on być tylko wtedy, gdy działa poza obrębem organizmu zwierzęcia. Takim jest np. wiatr, wpływający na regulowanie aktów płciowych u roślin. Jest to niedźwiedzia przysługa, uniemożliwiająca rozwój świadomości.

bardziej uniezależniające ją od przestrzennych stosunków otoczenia (grzebień ptaków, grzywa samców niektórych zwierząt i t. p.). Bez psychicznej zdolności pamiętania i spostrzegania niemożliwym byłoby utrwalenie się owych czysto biologicznych znamion stroju. Ale utrwalenie się tych znamion drugorzędnych, możliwość poznawania osobnika innej płci w odległości znaczniejszej, świadomego dążenia ku niemu — każe domyślać się co raz dłuższego trwania drugorzędnych aktów płciowych w świadomości stroju i co raz częstszego usuwania się z niej aktu głównego. Powoli wszystkie owe akty drugorzędne stają się źródłem rozkoszy, rozmyślnie poszukiwanej i przedłużanej.

Na szczeblach późniejszych, wraz z rozwojem psychicznych zdolności organizmu, np. z rozwojem uczuć estetycznych, charakter owej rozkoszy komplikuje się jeszcze bardziej i więcej jeszcze oddala się od typu właściwej przyjemności płciowej: mamy tutaj już nietylko antycypację, nietylko przedsmak aktów zespolenia, ale bezpośrednią już uciechę estetyczną. W warunkach życia dzikiego wszystkie te dalsze kombinacje sprawy rozrodczej prowadzą do powiększenia dobrobytu osobnika, jako jednostki biologicznej. Wszystkie np. estetyczne nowonabywane cechy są wyrazem co raz większej sprawności i siły działań organicznych wogóle, zaś funkcji rozrodczej w szczególności. W życiu społecznym, jakśmy widzieli, niektóre znamiona estetyczne płci innej mogą pozostawać chwilowo w rozterce z biologicznymi interesami osobnika, zgadzać się zaś tylko z interesem gatunku, jako całości, mającej pewne potrzeby wyższego porządku np. potrzeby moralne (blade oblicza romantyków i romantyczek). Postęp doboru miłosnego polega w takich razach nie na usunięciu sprawy rozrodczej z pod owych wpływów wyższych, nie na pozostawieniu całkiem wolnego ujścia bardziej pierwotnym instynktom, lecz na zharmonizowaniu wymagań tych in-

stynktów z wymaganiami życia całości. Bynajmniej pożądanem nie jest, aby w kojarzeniu się danej pary stanowiła li tylko waga obu organizmów, ich wzrost, kolor włosów i t. p., aby zgodność albo niezgodność znamion moralnych, społecznych, politycznych, religijnych przekonań nie odgrywała żadnej roli w sprawie doboru. Pożądanem zaś jest tylko, aby te wyższe wpływy nie krępowały niższych. Krępowanie zaś takie ukazuje się zazwyczaj wtedy, kiedy wyższym czynnikiem życia społecznego grozi niebezpieczeństwo zagłady, kiedy zachowawczy instynkt grupy społecznej każe jej chwilowo przedłożyć owe interesy wyższe z pominięciem bardziej nawet podstawowych, biologicznych wymagań gatunku. Mówiąc ogólnie, okresy takiego niebezpieczeństwa dla czynników wyższych zdarzają się wtedy i tam, kiedy i gdzie współzawodnictwo trwa jeszcze ze szkodą współdziałania. Potężną dźwignią w sprawie różniczkowania i uduchowienia stosunków płciowych jest żądza przedłużenia i spotęgowania samej funkcji rozrodczej. Podobne wypadki duchowego przedłużenia czynności fizyologicznych spotykamy w zakresie wszystkich podstawowych procesów życia. Najbardziej znanym i przytaczanym najczęściej przykładem tego zjawiska — w sferze czynności odżywczej — jest bawienie się kota z myszą. W taki to sposób tłómaczymy sobie pochodzenie zabaw i turniejów zwierzęcych w okresie miłosnym, początek śpiewu słowika, płasy cietrzewi, tokowanie gluszców, dziwaczne ewolucje powietrzne niektórych gołębi i t. p. zaznaczywszy raz jeszcze, że podobny stan rzeczy możliwym bywa jedynie wtedy, gdy osobnik odznacza się wielką już psychiczną zdolnością pamiętania, wyobrażania, odtwarzania i t. d. Zwróćmy uwagę na to, że w miarę różniczkowania się owych psychicznych faz stosunków płciowych, oddalają się one coraz bardziej od właściwej czynności rozrodczej. Wynika to z samej przyrody zjawiska: wszel-

kie zbliżenie się do funkcji rozrodczej położyłoby kres owym ewolucjom, doprowadzając je do celu ich głównego, a tem samem uniemożliwiłoby przedłużanie rozkoszy, o co właśnie idzie. Podobnie też dzieje się u ludzi. Tańce miłosne np. będące zrazu jedynie przygotowawczymi aktami czynności rozrodczej, mającymi na celu tylko podniecenie organizmu, nadanie mu większej biologicznej sprawności — z biegiem czasu coraz bardziej oddalają się od swego pierwotnego typu. Ruchy ich nie są już odtworzeniem prostej rytmiki aktu biologicznego, ale wiążąc się z nim w sposób bardziej pośredni i odległy, odtwarzają złożone postępkę i poruszenia, towarzyszące zalotom, t. j. takim czynom i sytuacjom, które same są już tylko przygotowawczymi aktami funkcji rozrodczej, dość odległymi od niej. Wszelkie zbliżenie się tańca do typu owej czynności uniemożliwiłoby przedłużenie rozkoszy. Znanym jest roznamiętniający wpływ tańców lubieżnych (kankan). Nie potrzebujemy dodawać, iż w tej sferze zjawisk, tak samo jak i w wielu innych, środek powoli staje się celem, że w miarę oddalania się od celu pierwotnego, tenże coraz częściej poczyna ustępować ze świadomości. W ten sposób stajemy jeszcze raz wobec paradoksu, że trwalsze uczucie miłości tymbardziej jest możliwem, im mniej wyraźnie i uparcie w świadomości naszej zarysowywać się będzie cel jego główny. Paradoks ten jednak razić nas nie może, gdy wiemy, że miłość jest szeregiem aktów przygotowawczych, mających na celu przedłużenie krótkotrwałej rozkoszy, a których obecność stałaby się całkiem niepotrzebną i niemożliwą, gdyby świadomość nasza co chwila opanowywana była przez popęd, dążący do bezpośredniego urzeczywistnienia się w akcie biologicznym.

Ale w świecie zwierzęcym, jak również na niższych szczeblach rozwoju plemion ludzkich, wszystkie owe trzecio- czwartorzędne psychiczne fazy i czynniki doboru płcio-

wego nietylko same są mniej lub więcej odległym potomstwem funkcyi rozrodczej, ale też jedynie jej dobro, dobro osobników, jako jednostek biologicznych, mają na względzie. Nie tak się dzieje w stadyach późniejszych.

Trwałość uczucia (miłości), dążąca, jakeśmy widzieli, do oddalenia miłosnych aktów przygotowawczych od typu funkcyi rozrodczej, staje się również źródłem dalszego zróżniczkowania stosunków płciowych. Jakkolwiek dziwnem się to wyda, zauważymy tutaj, iż właśnie owa trwałość miłości wprowadza do sfery miłosnego doboru takie czynniki, które nic wspólnego nie mają ze sprawą odrębności płciowej. Istotnie, ostawanie się spójni miłosnej poza obrębem stosunków płciowych tembardziej staje się możliwym, im korzystniejszymi będą warunki obcowania dwu osobników — już nietylko jako organizmów płci odmiennej, ale jako jednostek czujących, myślących i działających w ogólności. Ztąd wypływa dalsza komplikacya stosunków, że obcowanie to ma odbywać się w pewnej dziedzinie szeregowej — w atmosferze życia społecznego.

Pozorny paradoks, że trwałość uczucia miłości wprowadziła do sfery stosunków dwojga płci czynniki, nie mające nic wspólnego z płciową odrębnością jednostek, stanie się prawdą aż nadto widoczną, gdy przypomnimy sobie, że najpierwszym owej trwałości skutkiem jest utrzymanie spójni miłosnej poza obrębem biologicznego obcowania ustrojów, że, dalej, obcowanie to odbywa się w pewnym środowisku szeregowym — w dziedzinie życia społecznego — a w końcu że, jak dotąd, główną owego życia dźwignią była walka klasowa. Uwzględnienie tych trzech momentów dalszego rozwoju doboru miłosnego pozwoli nam przewidywać z góry: 1-o iż w długotrwałem obcowaniu pozabiologicznem, nietylko duchowe czynniki miłości, ale i wszelkie inne czynniki duchowe będą mogły, a niekiedy będą musiały się ujawniać, ćwiczyć i rozwijać; 2-o że w roz-

woju swym owe czynniki ulegać będą wpływowi szczególnego otoczenia (społecznego), a więc podążą w kierunku pożądanym nie tylko dla jednostek ale i dla społeczeństwa, jako całości; 3-o że rozwijającym się ztąd przymiotom i skłonnościom walka klas będzie nadawała niekiedy pewne zabarwienie szczególne, częstokroć nawet niezgodne z interesami społeczeństwa jako gromady luźnych jednostek biologicznych, ale zgadzające się z interesami tegoż społeczeństwa, jako całości, która przebywa pewną fazę rozwoju; 4-o że w końcu tak ogólne, jak i poszczególne rozwinięte w tych warunkach przymioty jednostek ulegną szkodliwemu dla społeczeństwa stłumieniu albo wybujałości, kiedy współzawodnictwo trwać jeszcze będzie tam, gdzie już rozpocząć się powinno współdziałanie.

Takie przymioty, jak: dobroć, łagodność, współczucie nie mają wogóle zbyt wielkiego znaczenia dodatniego dla organizmu w atmosferze życia dzikiego, t. j. wtedy, kiedy w większości wypadków jednostkowa walka o byt zasada się na pokonywaniu wrogów nie zaś na jednaniu sprzymierzeńców. W poszczególnym zakresie stosunków płciowych tegoż życia dzikiego znaczenie takich przymiotów danego ustroju dla osobnika płci odmiennej również nie jest wielkiem, chwilowy stosunek biologiczny nie daje ujścia owym popędom wyższego porządku. Ale oto — już z ukazaniem się pierwszych, nawpół jeszcze biologicznych stadyów sprawy rozrodczej, mających na celu przedłużenie rozkoszy biologicznej, a tem samem przedłużających obcowanie dwu różno płciowych osobników — znaczenie towarzyskich jakkolwiek niepłciowych przymiotów jednego z nich zdobywa wielką wagę dla drugiego.

Przykładów dostarczyć mogą objawy uległości dzikiego i silniejszego samca wobec słabszej samiczki w tak zwanym okresie miłosnym. Z biegiem rozwoju doniosłość owych znamion danego osobnika dla jednostki płci innej

potęguje się w stopniu o wiele znaczniejszym, wprowadzając do rzędu wymagań miłosnego doboru takie, które z odrębnością płciową nie mają nic wspólnego.

Stosując podobne rozumowanie do przymiotów umysłu, jak roztropność, przezorność, albo do takich przymiotów charakteru, jak rzetelność, akuratność, zabiegliwość i t. p. osiągniemy wynik podobny. Nie potrzeba dodawać, iż jeżeli samo już obcowanie osobników, trwających w spójni miłosnej, sprzyja rozwojowi owych znamion nie-płciowych, to jeszcze silniej i prędzej rozwijają się one dzięki temu, iż obcowanie owo odbywa się w atmosferze życia społecznego, t. j. takiego życia, w którym podobne znamiona, niezależnie od czynników rozrodczych, rozmijać się mogą i muszą. Ten wpływ otoczenia bywa nie tylko ilościowym ale i jakościowym. Nawet w społeczności najbardziej pierwotnej, bezklasowej, nieróżniczkowanej, szczególną siłą i doniosłością dla życia społecznego mogą zdobywać raz jedne, raz znowu inne przymioty jednostek, a to w zależności od rodzaju życia (wojownicze, pokojowe, osiadłe, koczownicze); przymioty takie najniechybniej zostają wciągnięte do sfery wymagań doboru miłosnego. O ile zaś dobór miłosny w wymaganiach swych przystosowywać się musi do bardziej szczególnych wymagań życia społecznego, o ile staje się on bezwiednym sprzymierzeńcem lub wrogiem tegoż życia — widzieliśmy już, mówiąc o klasowych typach miłosnych.

Tak więc, trwałość uczucia, powodująca przedewszystkiem ostawanie się spójni miłosnej poza obrębem obcowania biologicznego, wprowadza naprzód do rzędu czynników miłosnego doboru pewne ogólne, niezbędne we wzajemnym stosunku, jakkolwiek nie-płciowe przymioty i popędy; następnie zaś, dzięki temu, iż obcowanie odbywa się w otoczeniu specjalnem, ta sama trwałość uczucia staje się źródłem pewnych szczególnych, jakkolwiek również nie-

pleciowych znamion i przymiotów. Nakoniec największego stopnia szczególności osiągają owe przymioty za sprawą wyższej postaci walki o byt — mianowicie walki klasowej.

Tak samo jak w dziedzinie biologicznej — w zakresie doboru płciowego — trwałość popędu staje się źródłem powstawania, rozwoju i utrwalania się drugorzędnych cech płciowych biologicznych, tak też w sferze duchowej — w zakresie miłosego doboru — trwałość uczucia stanowi przyczynę powstawania, utrwalania się i rozwoju tego, co można byłoby nazwać trzeciorzędniemi cechami płci, a mianowicie — powstawania płciowych znamion psychicznych. Zagadnienie to należy do najbardziej spornych w danym przedmiocie. Zarówno niektóre jednostki z szerokiego ogółu, jak i uczeni pewnej kategorii skłonni są do stanowczego negowania jakiegokolwiek bądź psychicznych znamion odrębności płciowej. Z drugiej strony, wielu bardzo psychologów, nie zdając sobie sprawy z samego procesu powstawania duchowych różnic płci dwojga, zbyt skwapliwie upatruje podstawowe, zasadnicze przeciwieństwa tych znamion tam, gdzie istnieją tylko odrębności przygodne. Dla należytego wyświetlenia sprawy niezbędnem jest bardziej szczegółowe roztrząśnienie procesów seksualizacji wogóle.

Nazwą powyższą — dla braku istniejącego terminu — oznaczyłbym zjawisko, w którym, dzięki pewnym wpływom szczególnym, rozmaite ogólne, mniej lub więcej zasadnicze procesy i przymioty ustroju — tak biologiczne jak i psychiczne — poczynają z biegiem czasu odgrywać rolę procesów i przymiotów jednej tylko z pomiędzy płci dwojga, słowem rolę znamion płciowych. Jakkolwiek dziwnem to się wyda, zaznaczyć należy, iż nawet w sferze najbardziej podstawowych oznak płciowej odrębności nie ma ani jednej, któraby nie była tylko zróżniczkowaną, spotęgowaną albo też osłabioną postacią, jakiejś własności ogólniejszej, wspólnej niegdyś wszystkim wogóle ustrojom.

O prawdzie tej napomknęliśmy już dość wyraźnie, roztrząsając sprawę powstawania drugorzędnych cech płciowych. Zrozumiałem jest i łatwem do przyjęcia, że drugorzędne znamiona jednej jakiejś płci są tylko silniejszym wywydatnieniem znamion, wspólnych niegdyś osobnikom płci obojga, znamion, które się rozwinęły pod wpływem przyjaznych stosunków <sup>1)</sup>. Tak np. większe rozmiary i ozdobność ciała osobników płci jednej są tylko spotęgowaniem ilościowej różnicy, jaka w dalekiej przeszłości istnieć musiała pomiędzy rozmaitymi osobnikami danego gatunku bez uwzględniania płci, a raczej pomiędzy rozmaitymi dwupłciowymi osobnikami jednej gatunkowej grupy. Od takiej lub innej organizacyi tych osobników zależało już, która z dwóch funkcyj aktu zespolenia — funkcyj bierna czy też funkcyj czynna — bywała źródłem większej rozkoszy osobnika, a tem samem, która z nich wybierana była przez organizm silniejszy, t. j. mogący zapanować nad sytuacją. W ten sposób już to funkcyj czynna, już bierna stawała się wyłącznym udziałem osobników silniejszych, albo, jak obecnie mówimy, płci silniejszej. Oto dlaczego w świecie zwierząt niektórych płcią silniejszą bywa pospolicie płeć męzka, gdy tymczasem w sferze innych ustrojów (robaki, pająki) większymi rozmiarami, siłą i ozdobnością bardzo często odznacza się płeć żeńska <sup>2)</sup>. Ale przykład ten powinien nas przekonać, iż

<sup>1)</sup> Mógłby ktoś zrobić zarzut, iż wprowadzanie nazwy nowej — seksualizacya — jest tu zbytecznem, gdyż sprawa ta mogłaby być oznaczona poprostu mianem ewolucyi płci. Ewolucya jednak jest terminem ogólniejszym: jestto sprawa, ogarniająca nie tylko seksualizacyę znamion nie-płciowych, ale również dalszy rozwój przymiotów już useksualizowanych, a nadto pewien wprost przeciwny proces — sprawę deseksualizacyi — o czem później.

<sup>2)</sup> F. Lester Ward w pracy swej, p. t. *Psychic Factors of civilization*, 1893, wywydatnia wpływ świadomości płci jednej na rozmiary i ozdobność drugiej.

ani większe rozmiary, ani siła większa, ani ozdobność nie są podstawową jakąś cechą płci jednej (np. męskiej), lecz że są one tylko spotęgowaniem znamion niepłciowych, które jedynie z biegiem czasu stały się wyłączną własnością płci jednej, czyli uległy procesowi s e k s u a l i z a c y i.

Takie tłómaczenie początku i rozwoju drugorzędnych znamion płciowych dość łatwo, jak mówimy, znajduje wiary nawet wśród profanów; ale stosuje się ono również do najbardziej podstawowych faz i procesów sprawy rozrodczej. Wiemy już o zupełnej — napozór przynajmniej — j e d n o s t a j n o ś c i dwu organizmów (roślinnych), zespalających się ze sobą w akcie konjugacyi. Zstępując jeszcze niżej, jeszcze głębiej — aż do pierwotnego zlewania się dwu całkiem jednostajnych bryłek protoplazmy, spostrzegamy, iż istotnie rozradzanie się płciowe jest, że tak powiemy, bezpłciowem: jest ono tylko dalszym ciągiem asymilacyi, jest jak gdyby antytezą pierwotnego dzielenia się drobnoustrojów. W tym ostatnim procesie bryłka protoplazmy dzieli się na dwie mniejsze, całkiem jednostajne bryłki; w antytezie owej, dwie całkiem jednostajne, mniejsze bryłki zlewają się w jedną — większą. Niepodobna oznaczyć, która z nich jest pokrzepiająca, która zaś pokrzepiana, albo, jak powiemy później, która jest zapładniająca, która zapładniana, która jest męzką, która żeńską.

Zachodzi teraz pytanie: jaka sprawa, albo raczej jakie sprawy, wspólne obu tym jednostajnym organizmom, muszą się zacząć różniczkować w sposób szczególny, muszą utworzyć mniej więcej wyłączną cechę bądź jednego z nich tylko, bądź drugiego, słowem, jakie sprawy muszą tam uleść s e k s u a l i z a c y i, abyśmy mogli już z większą pewnością powiedzieć, który organizm jest zapładniającym a który zapładnianym, aby można było tam dostrzedz bodaj ślady wyodrębnienia się płci? Odpowiedź na to pyta-

nie znajdujemy w prześlicznym dziełku Thompsona i Geddesa pod tytułem *Ewolucya płci (Evolution of the sex)* <sup>1)</sup>.

Sprawa odżywcza, albo raczej sprawa wymiany materji — przedstawia dwie fazy, wręcz sobie przeciwne, niemniej jednak wspólne wszystkim ustrojom żywym: fazę gromadzenia się, skupiania się cząsteczek, czyli tak zwaną fazę anabolizmu oraz fazę rozpraszania cząsteczek.

Pierwsza jest jak gdyby drobinowym równoważnikiem i synonimem bierności, druga — czynności. Czysto przypadkowa przewaga anabolicznych skłonności w danym organizmie najpierwotniejszym czyni go szczególnie podatnym do biernych procesów rozrostu; takąż przewaga katabolicznych skłonności ustroju czyni go szczególnie podatnym nietylko do rozpraszania, przestawiania własnych jego cząsteczek, ale też i cząsteczek wszelkiego innego organizmu, z którym się on zespoli. Bryłka przeważnie anaboliczna (skupiająca) przedstawia pewien szereg warunków, sprzyjających powstawaniu z niej bryłek nowych, łatwo gromadzi ona potrzebny ku temu materiał, to też, po osiągnięciu pewnych maksymalnych granic nagromadzenia — własne jej zdolności kataboliczne (rozpraszające) pozwalają jej tworzyć owe bryłki nowe, (dzielenie się bezpłciowe); ale zdolność tego tworzenia wznaga się przez pochłonięcie substancji o wybitnych dążeniach katabolicznych, zaś z biegiem czasu — przez wyspecjalizowanie się skupiających skłonności w jednej, zaś rozpraszających

---

<sup>1)</sup> G. J. Romanes w pracy swojej *Darwin and after Darwin* wydanie pośmiertne 1895 t. II. bardzo sceptycznie wyraża się o wartości odróżnień tak ogólnikowych, jak anabolizm i katabolizm. Sądźmy jednak, że w sprawie powstawania płci dwojga wielkie znaczenie posiada właśnie ta ogólnikowość, a raczej ten fakt, że anabolizm i katabolizm, będąc jeszcze znamieniem ogólnem, właściwem ogółowi istot żyjących, dają nam jednak podstawę do wytłomaczenia oznak pewnej odrębności szczególnej, odrębności płciowej.

w drugiej bryłce; pierwsza li tylko po wchłonięciu takiej substancji czynnej może stać się zdolną do wydawania ze siebie bryłek nowych. Mamy więc tutaj ukazanie się najpierwszego stadyum wyraźnej odrębności płciowej, mamy najpierwsze, najbardziej podstawowe znamiona płci dwojga. Przekonywamy się też zarazem, iż są one tylko następstwem seksualizacji dwu znamion zrazu niepłciowych, właściwych jednako wszystkim organizmom żyjącym.

Seksualizacja najwcześniejsza, powstanie zasadniczych, pierwszorzędných znamion płciowych jest więc jak gdyby wyspecjalizowaniem, uwylącznieciem na korzyść danego ustroju niektórych z pomiędzy najogólniejszych mikrobiologicznych własności materji; jest to najpierwszy podział pracy, jakiego — odnośnie do podstawowych procesów życia — przyroda mogła dokonać już nie w obrębie jednego osobnika, ale w grupie ustrojów. Powiadam: «niektórych» własności, gdyż nie wszystkie elementarne sprawy życia mogłyby być tak uwylącznionemi: asymilizacja np. nie mogłaby się stać wyłącznym przymiotem jednej tylko jakiejś kategorii organizmów. Jakaż jest przyczyna owego najwcześniejszego uwylączniecia się, dającego zaczątek zasadniczej odrębności płci? Przyczyny tej oczywiście szukać należy we wpływach otoczenia, np. w budowie materiałów odżywczych i t. p. Jeżeli uznamy — a uczynić to trzeba — że pierwotne bryłki protoplazmy odznaczają się jednaką skalą nateżenia spraw anabolizmu i katabolizmu, jeżeli zgodzimy się z tem, że w takiej bryłce musi być jednostajna, mniej więcej, ilość cząsteczek, skłonnych do skupiania się i rozpraszania, że przewaga jednej ich kategorii okazuje się znacznie później, tak, iż przez długi czas bryłka może się «dzielić», nie chłonec żadnej substancji zapładniającej, a nawet już po ukazaniu się odrębności płciowej może — w braku organizmu męskie-

go — radzić sobie sama (dzieworodztwo, zmiana pokoleń), jeżeli, słowem, uznamy, że uwylącznianie się spraw katabolicznych albo anabolicznych w jednej kategorii ustrojów jest tylko przypadkowym spotęgowaniem różnic mniej wybitnych, lecz cechujących niegdyś wszystkie ustroje w ogólności, to pytanie: z kąd wzięło się najpierwej takie spotęgowanie różnic, będziemy mogli sprowadzić do pytania: z kąd się wzięła przewaga anabolicznych albo katabolicznych cząsteczek i procesów? Nie możemy wyobrazić dziś sobie inaczej pierwiastkowych przyczyn ukazania się owej przewagi, jak tylko w postaci wpływów otoczenia, większej lub mniejszej obfitości materiałów odżywczych, nadających się do takiej albo innej sprawy — do katabolizmu albo też anabolizmu. Jest to jednakże przyczyna tylko najpierwotniejsza, najbardziej odległa. Bardzo już wczesnie występują tu, jako czynnik orzekający, wewnętrzne, mikrobiologiczne własności samego ustroju: bryłka, której udało się, dzięki o t o c z e n i u p r z y p a d k o w e m u, zgromadzić w sobie większą ilość cząsteczek np. anabolicznych — będzie już mogła potem we wszelkiem otoczeniu nadawać taki a nie inny kierunek swoim sprawom asymilacyjnym. Powoli, z biegiem bardzo długiego czasu — dziedziczność władzę ową utrwali. W ten sposób organizm uniezależnia się coraz więcej od otoczenia, sprawy biologiczne zapanowują w pewnym zakresie nad fizyko-chemicznymi sprawami, ukazuje się pierwszy objaw owego zwrotnego działania czynników wyższych na niższe, o jakim mówiliśmy tylokrotnie.

Z drugiej strony, powstawanie drugorzędnych znamion płciowych polega na seksualizacji, a więc na uwylącznieniu, wyspecjalizowaniu w danym organizmie pewnych, niezasadniczych już, makrobiologicznych przymiotów, wspólnych niegdyś wszystkim wogóle ustrojom żyjącym. Uwylącznieniu takiemu podlegają zazwyczaj

niektóre tylko przymioty organizmu, inne zaś pozostają w dalszym ciągu wspólną własnością płci obu. Powiadam «zazwyczaj», gdyż, jak zobaczymy później, uwylączenie owo na korzyść jednej płci ogarnia czasem prawie w s z y s t k i e przymioty makrobiologiczne, pozostawiając dla płci innej same tylko prawie elementarne, mikrobiologiczne znamiona, bez których niemożliwym już byłoby istnienie organizmu. Wogóle zaznaczyć wypada, że dany przymiot tem trudniej podlegnie seksualizacyi, t. j. uwylączeniu na korzyść płci jednej, im bardziej będzie podstawowym, im niezbędniejszym stanie się do życia organicznego w ogólności. Tak np. pewne przydatki skóry, jako niezbyt potrzebne do życia ustroju (grzebień, grzywy, brody, rogi), mogą z łatwością uleść seksualizacyi, ale sama powłoka skórna, w wysokim stopniu potrzebna, jako narząd nieodzownej w pewnym okresie rozwojowym czynności organicznej, nie może stać się znamiem jednej tylko z pomiędzy płci dwojga.

Jaka też jest najgłębsza przyczyna owych dalszych postępów seksualizacyi, dających początek drugorzędnym znamionom płciowym? Na jakim gruncie rozwijają się one? Mimowoli, chcielibyśmy zaraz odpowiedzieć, że gruntem owym są pierwszorzędne znamiona płciowe — owa zasadnicza przewaga anabolizmu albo katabolizmu. Ale już wzmiankowany wyżej przykład pewnej drugorzędnej cechy płciowej, mianowicie — większych rozmiarów i ozdobności ustrojów którejs jednej z płci dwojga, powinien uprzedzić nas, że stosunek pomiędzy przyczyną a skutkiem musi tu być jakiś bardzo pośredni. Istotnie, nie mamy prawa utrzymywać, że katabolizm albo też anabolizm jedynie może stawać się pra-źródłem większych rozmiarów zwierzęcia, skoro spostrzegamy, że ta drugorzędna cecha płciowa w pewnych grupach zwierzęcych jest wyłącznym znamiem płci męskiej, w pewnych zaś innych

wyłącznym znamieniem płci żeńskiej. Z konieczności więc przypuścić musimy, że do współdziałania z owym czynnikiem zasadniczym, elementarnym (anabolizmem albo katabolizmem) występują z biegiem rozwoju jakieś inne czynniki, które wpływ jego mogą osłabiać lub wzmacniać. Zawczasu przewidujemy już tutaj jakieś zwrotne oddziaływanie czynników wyższych na niższe; nie uprzedzając jednakże faktów, postaramy się roztrząsnąć stosunek drugorzędny znamion płciowych do pierwszorzędnych, postaramy się zbadać seksualizację wtórnych, makrobiologicznych przymiotów ustrojów na przykładzie stopniowego uwylączniania się większych rozmiarów i ozdobności ciała.

Ograniczając badania zakresem niektórych tylko gromad zwierzęcych, moglibyśmy sądzić, że większe rozmiary i ozdobność organizmów płci męskiej, stanowiące ich drugorzędną cechę płciową, są bezpośrednio następstwem owej cechy pierwszorzędnej, mikrobiologicznej, nazwanej katabolizmem, a polegającej na tem, iż w sprawie wymiany materji strona czynna — przestawianie i rozpraszenie cząsteczek — przeważa nad stroną bierną, nad prostem tylko gromadzeniem drobin substancji zasymilowanej. Ale, jakśmy widzieli, już sam fakt istnienia większych, silniejszych i ozdobniejszych organizmów żeńskich (pająki, robaki) nie pozwala nam zadowolnić się takim tłumaczeniem sprawy. Poza tem jednak istnieje inny fakt, bardziej powszechny i podstawowy, który tłumaczenie takie wprost uniemożliwia. Jeżeli zamiast obserwowania ustrojów wyższych, zwrócimy się do najwcześniejszych przedstawicieli dwu płci zróżniczkowanych, albo, co wyjdzie na jedno, do właściwych narządów rozrodczych najwyższego nawet ustroju — do jajka i ciała nasiennego — to spostrzeżemy, że przewaga rozmiarów ciała stanowić będzie stałą i powszechną cechę organizmów (albo narządów) żeńskich. Istotnie jajeczko zawsze jest większe od ciała nasiennego.

Jeśli więc podstawowa różnica płci — t. j. przewaga katabolizmu lub anabolizmu — wywiera jakiś wpływ bezpośredni na rozmiary ciała — na drugorzędną cechę płciową — to wpływ ten przedewszystkiem uwydatniać się musi i uwydatnia w większych rozmiarach osobników płci żeńskiej. Fakt taki jest zupełnie zrozumiały: pojmijmy łatwo, że szczególna zdolność skupiania materji powinna obdarzyć dany organizm większą objętością. Niezrozumiałym natomiast, przynajmniej na pierwszy rzut oka, musi być fakt przeciwny — większych rozmiarów organizmu płci męskiej, t. j. takiego organizmu, który odznacza się większą zdolnością rozpraszania zasymilowanych cząsteczek. Można byłoby powiedzieć, że jedynie normalny przebieg rozwoju płci dwojga spostrzegamy wśród takich istot, gdzie, jak u niektórych robaków np., samiczka dosięga rozmiarów coraz większych, zaś samiec, malejąc stopniowo, schodzi wreszcie na stanowisko prostego narządu samiczki. Ekonomia przyrody uwydatnia się tu z całą wyrazistością: ponieważ rola organizmu płci męskiej kończy się poza obrębem aktu zespolenia, więc pożytecznym jest dla gatunku, gdy męskie organizmy albo giną po spełnieniu swej funkcji, jak u niektórych owadów i pajaków, albo, przynajmniej, dosięgając rozmiarów najmniejszych, nie utrudniają zbytnio samiczkom sprawy żywienia się.

Jeżeli przeto większe rozmiary organizmów męskich zależą od katabolizmu, to zależność ta musi być tylko pośrednią.

Patrząc na rzeczy z pewnego stanowiska, wszelki organizm złożony można uważać za mniej lub więcej skomplikowany aparat, służący do wytwarzania produktów rozrodczych. Jest to zawsze tylko ogniwo owego *circulus vitiosus*, w którym jeden ustroj rodzi się i żyje po to, aby dać życie nowemu organizmowi, który ma stać się z biegiem czasu życiodawcą ustrojów innych i t. d. Na niższych

szczeblach drabiny ustrojowej owa czynność dawania życia nowym ustrojom tak dalece wyczerpuje całą treść istnienia jednostki życiodawczej, że kładzie zazwyczaj kres jej egzystencji, jako osobnika: brylka protoplazmy, podzieliwszy się na dwie nowe brylki, tem samem przestaje istnieć, jako indywiduum. Jest to ofiara osobnika na rzecz gatunku — ofiara w jej postaci najbrutalniejszej, najbardziej pierwotnej. Jednakże spostrzegamy ją jeszcze w tak wysokiej dziedzinie życia organicznego, jak państwo owadów. Wiadomo, iż niektóre przedstawicielki tej klasy istot organicznych giną, dając życie jednostkom nowym. Ale gospodarka rabunkowa nie zawsze bywa najzyskowniejszą: okazuje się, że pozostawienie przy życiu jednostki macierzystej, już po spełnieniu przez nią jej czynności rozrodczej, bywa dla gatunku pożyteczniejszym, aniżeli każdorazowe jej uśmiercanie. Jest to aparat droższy, aparat, którego utrzymanie kosztuje więcej, lecz który za to służyć może lepiej i dłużej. Przyroda, tak samo jak i ludzie, uczy się z biegiem czasu, że najdrożej kosztują rzeczy tanie. Jednem z następstw owego pozostawiania przy życiu organizmów macierzystych jest stopniowy rozwój ich indywidualności, ten zaś wpływa z kolei na poprawę losów gatunku. Obok bezpośredniego pożytku, jaki ma gatunek z większej trwałości organizmów rozrodczych, ukazuje się jeszcze inna, bardziej pośrednia korzyść tejże trwałości. Ukazanie się najniższych władz psychicznych, powstanie instynktu macierzyńskiego, wprowadza do życia organizmów młodych czynnik nowy, czynnik ochrony i opieki. W ten sposób pozostawienie organizmowi macierzystemu możliwości indywidualnego rozwoju z lichwą oplaca się gatunkowi; nie potrzebuje on stwarzać nieskończonej ilości młodych ustrojów, gdyż, nie będąc już bezbronnymi, nie podlegają one takiemu jak dawniej tępieniu i przedwczesnej zagładzie ze strony sił i organizmów wrogich. W pe-

wnem rozumieniu rzeczy wszelki organizm — tak męzki jak i żeński — jest ustrojem macierzystym. Każdy z nich wytwarza w sobie i wydaje na świat jak gdyby jedną polowę przyszłego organizmu dziecka. W wypadkach niektórych, przy tak zwanem zapłodnieniu zewnętrznym, (żaby, ryby) mamy wyraźne rozgraniczenie płci na męzką i żeńską, żaden z organizmów jednak nie może tam rościć sobie prawa do wyłącznej nazwy ustroju macierzystego, nazywa ta przysługiwać może obu ustrojom rodzicielskim. Jeden i drugi z tych ustrojów wydaje ze siebie produkty rozrodcze, które, spotykając się nazewnątrz ich, kojarzą się ze sobą i dają początek organizmom nowym. Zauważmy, że w takich wypadkach najczęściej męzkie i żeńskie ustroje są bliźniaczo do siebie podobne: anabolizm albo katabolizm jednego z dwojga nie sprowadza tu sam przez się większych rozmiarów albo ozdobności ciała.

Faktem jest pewnym, że wtórny podział ustrojów na męzkie i żeńskie odbywał się stopniowo i powoli już po pierwiastkowym zróżniczkowaniu się komórek rozrodczych na kataboliczne i anaboliczne. Innemi słowy, przyroda, dokonawszy pierwiastkowego, że tak powiem mikrobiologicznego podziału pracy, stworzywszy jajeczka i ciała nasienne, przez długi bardzo czas pozwalała produktom obu tych rodzajów rozwijać się w łonie wszystkich wogóle organizmów złożonych: każdy z tych organizmów był tak dobrze ojcowskim jak i macierzystym, każdy był aparatem, wytwarzającym tak nasiona jak i jajeczka, słowem, każdy był dwupłciowym. Jakoż zarówno w państwie roślin, jak i w państwie zwierząt ślady owej dwupłciowości nie przestały dotąd cechować gatunków najwyższych. Pierwiastkowo, zarówno funkcya czynna, jak i funkcya bierna mogła być wykonywaną w akcji zespolenia przez oba ustroje (pijawki). Z biegiem czasu jednak, bądź większa rozkosz, związana z którąkolwiek z tych funkcji, bądź też

jak u zwierząt wyższych, chęć uniknięcia przykrych dla osobnika następstw funkcji biernej (trudy macierzyństwa) sprawiały, że większe a więc silniejsze osobniki danego gatunku stale wybierały sobie taką a nie inną czynność płciową. Nie mówiąc zresztą o wyborze instynktowym albo świadomym, zauważmy, że z samej przyrody rzeczy starsza, silniejsza, występująca jak gdyby w roli zaczepnej, strona czynna najczęściej wykonywać musiała funkcję czynną aktu zespolenia. W ten sposób spostrzeżemy raz jeszcze, że nie większe rozmiary, siła, a dalej ozdobność organizmów męskich, ówdzie żeńskich były zrazu wtórna, drugorzędna cechą takiej albo innej płci, następstwem przewagi anabolizmu lub katabolizmu, lecz że, przeciwnie, ustroje pewne stały się osobnikami takiej a nie innej płci dzięki głównie większym rozmiarom i sile. Był to więc na-przód wynik pewnego ustosunkowania się dwu albo więcej organizmów w obcowaniu płciowym. Przypuszczać wolno, iż bez owej, czysto przypadkowej częstokroć, różnicy rozmiarów i siły pomiędzy dwupłciowymi osobnikami nie nastąpiłoby nigdy ponowne zróżniczkowanie się organizmów złożonych na męskie i żeńskie; mielibyśmy tam zapewne wieczny hermafrodytyzm; przyroda poprzestałaby chyba na pierwiastkowym zróżniczkowaniu produktów rozrodczych wewnątrz każdego pojedynczego osobnika. Ale organizmy męskie po wyodrębnieniu się swem stanęły wobec wielkiego niebezpieczeństwa: groziło im zwyrodnienie. W samej rzeczy przyroda, a raczej walka o byt nie długo znosiłaby koszt utrzymania darmozjadów, których przelotna, jakkolwiek doniosła funkcja nie wymaga bynajmniej wielkiego nakładu żywienia tak znacznej masy ciała. Co też mogło uratować sytuację? Co mogło zapewnić organizmom męskim nie tylko dalsze trwanie, ale i rozwój ich wybitnej indywidualności. Przypomnijmy sobie ów czynnik ochrony pokoleń młodych,

który odegrał znaczną rolę w sprawie utrzymywania organizmów macierzystych przy życiu — już po spełnieniu przez nie ich czynności rozrodczej. Przypominając to sobie, zwróćmy jeszcze uwagę na fakt dość pospolity, że największymi rozmiarami, siłą i ozdobnością organizmy męskie (w przeciwstawieniu do żeńskich) odznaczają się tam, gdzie działalność ich nie kończy się poza biologicznym aktem zespolenia, gdzie poczynają one odgrywać rolę narządów ochrony i przewodnictwa w obcowaniu z organizmami innymi — przeważnie (lecz nie wyłącznie) płci żeńskiej. Innymi słowy, ratuje ich przed uwstecznieniem ich rola społeczna (bawoły, jelenie, lwy, ptaki grzebiące i t. d.). Najtęższe organizmy samcze po wyodrębnieniu się swem ległyby, zmarniały w bezczynności, w biernem oczekiwaniu następnej kolejki swojej akcyi rozrodczej. Trutnie skazywane są na wygnanie i zagładę, samce pajaków zjadane bywają przez swe małżonki, samce robaków, jak wiemy, uwsteczniają się do roli prostego narządu samiczki — gdyż żadna czynność pozabiologiczna nie ratuje ich przed pogromem, nie czyni niezbędnymi dla gatunku.

Tak więc, spostrzegamy, że większe rozmiary, siła i t. p. samców, wskazując im niejako ich stanowisko społeczne, same z kolei, dzięki temuż stanowisku, rozwijają się dalej i utrwalają. Mamy tu niewątpliwy przykład zwrotnego oddziaływania czynników wyższych na niższe. Dodajmy, że jak w każdej innej dziedzinie, tak i tutaj potrzeba być przygotowanym na wyjątki. Wielka masa i siła organizmu, nagromadzone pod wpływem jakichkolwiek przyczyn, nie łatwo ulegną zagładzie. Osobnik, niezależnie od pożyteczności jego lub szkodliwości dla gatunku, dążyć będzie do możliwego wyzyskania życia na własną korzyść. Przyroda — przed postawieniem każdego dalszego kroku w rozwojowym swoim pochodzie — wykonywa wiele prób

poronionych. Gatunek może niekiedy uleść podejściu ze strony osobnika. Oto dlaczego spostrzegamy nieraz olbrzymie rozmiary i siłę ciała w ustrojach, których funkcje rodzicielskie kończą się na tak zwanem zapłodnieniu zewnętrznym (ryby). Osobnik, osiągnąwszy znacznych rozmiarów dla dobra i jak gdyby pod osłoną gatunku — wyłamuje się czasem z pod jego kontroli, żyje a nawet rozwija się dalej własnym rozpędem wskutek pewnej inercyi biologicznej.

Skoro tak pierwszorzędne, mikrobiologiczne cechy płciowe, jak i drugorzędne, makrobiologiczne znamiona płciowej odrębności są tylko następstwem seksualizacji znamion nie-płciowych, to z tem większą słuszością utrzymywać będziemy mogli, że trzeciorzędne — psychiczne cechy płciowe — o ile istnieją naprawdę, stanowią tylko wytwór seksualizacji ogólnych znamion duchowych, właściwych niegdyś wszelkim wogóle ustrojom żyjącym bez różnicy płci.

Uznanie i zrozumienie tej prawdy posiada pierwszorzędną doniosłość tak pod względem teoretycznym, jak i praktycznym. Teoretycznie ważną jest ta sprawa, gdyż roztrząśnienie jej pozwala raz jeszcze zbadać wzajemne stosunki i oddziaływania rozmaitych czynników tak osobniczego, jak i społecznego ustroju. Praktyczna jej doniosłość w tem tkwi najgłówniej, iż wiąże się ona ściśle ze spornymi zagadnieniami stanowiska dwu płci w społeczeństwie, czyli t. zw. emancypacji kobiet i t. d.

Dotąd nikt nie przytoczył ani jednej cechy duchowej, któraby stanowiła wyłączną własność mężczyzny albo kobiety, któraby w sposób stanowczy mówiła o różnicy ich jakościowej. Natomiast oświadczano dość często, że ilościowe różnice pewnych przymiotów ducha mężczyzny i kobiety są tak znaczne, iż same przez się mogą stanowić o całym wyrażnej psychicznej ich odrębności płciowej. Z dru-

giej strony — i to jest najważniejsza — istnienie owych różnic duchowych usiłowano tłómaczyć na podstawie cielesnej odrębności płci obu. W ten sposób różnicom owym nadawano znaczenie cech podstawowych, niezmiennych.

Zanim choć w kilku słowach będziemy mogli odpowiedzieć na pytanie, czy i o ile istnieją takie podstawowe psychiczne różnice pomiędzy mężczyzną a kobietą — postarajmy się oczyścić grunt naszych rozumowań z takich przynajmniej zawad i przeszkód, jakie najniewłaściwiej drogę im tamują. Mam tu na myśli owe rzekomo podstawowe różnice psychiczne, które jednak w sposób całkiem widoczny wyległy się nie bezpośrednio na gruncie cielesnych znamion odrębności płciowej, ale na gruncie społecznych stosunków, będących następstwem po części owych znamion, zaś po części — skutkiem zbyt słabego jeszcze oddziaływania czynników wyższych na niższe.

O ile wiem, Herbert Spencer w rozprawie o charakterze kobiet najpierwszy zaprotestował całkiem wyraźnie przeciwko zbyt biologicznej metodzie roztrząsania tej sprawy, z pominięciem metody socyologicznej. Mówiąc za dużo o wpływie płci na umysłowość kobiety, wpływie którego ani mechanizmu, ani przyrody nikt nigdy nie zdołał wyświecić w sposób dokładny i zrozumiały, pomijamy natomiast wpływ społecznego stanowiska kobiety na jej duchowość. A jednak wszystkie niemal zasadnicze znamiona duchowej odrębności kobiet rozwinęły się w nich dzięki właśnie owemu stanowisku. Spekulacje zwolenników dwupłciowości ducha ludzkiego, wsparte na fackie biologicznej odrębności płciowej, znajdują energiczne zaprzeczenie zarówno w etnografii, jak i w historii duchowego rozwoju dziecka.

Potrzeba byłoby całego tomu na systematyczne wyświecenie początku i rozwoju wszystkich owych «różnic»,

tutaj będziemy musieli zadowolnić się paroma przykładami.

W sferze uczuć i wzruszeń bardzo często wskazywano szczególną tkliwość i dobroć, lęklivość, zalotność i wstydlivość kobiet, jako znamienne cechy ich płci, mające wypływać z odrębnej organizacyi ciała. Zwłaszcza ostatni przymiot — wstydlivość — przyzwyczajono się uważać jako najzupełniej oczywistą psychiczną cechę płciową. Nie mówiąc o znanym «bezwstydzie» małych dzieci, z pośród których dziewczynki nie różnią się bynajmniej od chłopczyków, zwróćmy uwagę na fakty etnograficzne. Wyspiarki, powiada pewien podróżnik o mieszkańcach wysp Sandwich, chcąc dostać się do okrętu, rozbiegały się najzupełniej, brnęły przez wodę a wygramoliwszy się na pokład, najspokojniej poczynaly się ubierać wobec całej załogi. W okresie zanikania ludożerstwa wśród niektórych wyspiarzy Polinezyi jądanie mięsa ludzkiego stanowiło wyłączny przywilej mężczyzn — poprostu dlatego, dlaczego zanikająca zwierzyna staje się wyłączną własnością panów i władców. Z biegiem czasu utrwaliło się mniemanie, iż nie przyzwwoitością jest, aby kobieta jadła ludzkie mięso. Podobne zjawisko spostrzegamy u nas w owym towarzyskim zakazie, nie pozwalającym kobiecie palić tytoniu, zwłaszcza w miejscach publicznych, albo jeszcze w owej wstydlivości, z jaką wieśniaczki niektórych okolic zasłaniają się ręką, mając wypić kieliszek wódki; raczenie się trunkami upajającymi zawsze bywało przywilejem panów stworzenia. Zakaz używania niektórych pokarmów i napojów, z pozostawieniem wyłącznej używalności ich klasie panującej, znajdujemy na całym świecie. Spencer widzi w tem nawet wytłómaczenie indyjskich legend o owocu zakazanym. Jest to błędne tłómaczenie dokonanych faktów — w duchu panujących mniemań i poglądów.

Zalotność jest tylko pewną szczególną postacią chęci wyróżnienia się i przypodobania. W sztuce tej kobiety są jedynie naśladowczyniami swoich odległych przodków męskich. Kobiety niektórych plemion dzikich spędzają znaczną część dnia na czesaniu i malowaniu swoich mężów. Strojenie się jest wynalazkiem mężczyzn, z którego tak samo, jak z wielu innych, kobietom pozwolono korzystać znacznie później — kiedy pan stworzenia zmądrzał już o tyle, że w czem innym począł szukać uciechy i zaszczytów.

O ile większa łęklivość kobiet jest tylko następstwem braku oswojenia się z niebezpieczeństwami życia w otoczeniu, bardziej zabezpieczonem przeciw brutalnym siłom człowieka i przyrody, przekonać się możemy z bardzo wielu faktów. Do takich należy między innymi powszechnie znane tchórzostwo żydów, będące najglówniej następstwem ich tysiącoletniego odseparowania się od życia wojowniczego i wogóle od stosunków z otoczeniem, wymagającym większej odwagi. Każda przeciętna wieśniaczka z pewnością odważniejsza jest od zwykłego przedstawiciela rasy żydowskiej. A jednak, o ile wierzyć można podaniom, rasa ta odznaczała się niegdyś mężstwem i odwagą. Poza tem łęklivość kobiet może być i bywa nawpół bezwiednym, nawpół wyrozumowanym skutkiem względnej ich bezbronności, mającej znaczenie i wpływ tym większy, im znacniejszą jest w danym okresie doniosłość siły fizycznej.

Tkliwość i dobroć kobiet jest w ogromnej mierze owocem ich towarzyskiego i historycznego wychowania — pod wychowaniem historycznem rozumiem przeważnie wpływ tradycyjnie przekazywanych poglądów na powinności i przymioty kobiet. Przyczyną owej tkliwości i dobroci w pewnej mierze jest również słabość fizyczna, co należy rozumieć, iż dobroć jest najpotężniejszą, a częstokroć jedyną bronią słabości. Tutaj więc również spostrzegamy pewną zależność

tej cechy płciowej (o ileby istniała) od tego, jak wielką doniosłość w danym okresie rozwojowym posiada siła fizyczna. Ale ta sama słabość nadaje też okrucieństwu kobiet cechy najbardziej wstrętne: znęcanie się nad wrogiem, już pokonanym przez mężczyzn, jest wyłączną specjalnością kobiet wśród wielu wojowniczych plemion dzikich. W tym jednak wypadku wpływ położenia towarzyskiego jest również olbrzymi. Przypuszczać wolno, że jak o tem świadczy najzupełniej jednostajne «złoszczenie się» niemowląt płci obojga, jakaś podstawowa tego rodzaju różnica nie istnieje tu wcale. Do innych wniosków dochodzimy jedynie dzięki roztrząsaniu faktów w oświetleniu niewłaściwym i z niewłaściwej zaczerpniętych sfery. Z równą słusnością można byłoby utrzymywać, że mężczyzna jest łagodniejszy i lepszy, gdyż nie widziano prawie nigdy, aby częstował on niemowlęta «klapsami». Pochodzi to jednakże prosto ztąd, że z tak małemi dziećmi nie ma on prawie do czynienia. Rozprawiając o większej dobroci i łagodności kobiet, zapominamy np. o tem, że w sferze, gdzie dobroć ta jest wystawiona na poważniejszą próbę — w sferze stosunków z innemi kobietami — mamy prawie zawsze stan chronicznej, bardzo słabej, niemniej jednak łatwo mogącej wybuchnąć niechęci. Nietylko powieścio- i romansopisarze, ale psychologowie najsumienniejsi znaleźliby wśród kobiet daleko mniej przykładów trwałej przyjaźni, aniżeli wśród mężczyzn. Tak dalece wyspecjalizowaliśmy powołanie kobiety, jako sztukę «podobania się» mężczyznom, iż nie powinno nas dziwić, gdy wszystkie one pozostają względem siebie w stałym mniej lub więcej ostrym, mniej lub więcej złagodzonem stosunku jakiejś *jalousie de métier*.

Przypatrzmy się teraz cechom umysłu kobiet.

Z pomiędzy znamion umysłu kobiecego przytaczano wielokrotnie większą konkretność ich myślenia, skłonność do robienia zbyt pośpiesznych uogólnień, wnioskowa-

nie od szczegółu do szczegółu, nadewszystko zaś bardzo wielu psychologów i myślicieli ze szczególnym naciskiem podnosiło tak zwaną intuicyjność kobiet. Wszystkie wymienione na wstępie wady umysłowości kobiecej za- nadto widocznie są znamieniem mózgu mało wykształco- nego, karmionego lichą strawą prozy życiowej, nie znają- cego karbów ścisłej nauki i systematyczności, abyśmy nie mieli dostrzegać w nich li tylko pewnych następstw towarzyskiego położenia kobiety. Ale kilkakrotnie już sta- rałem się wykazać na innym miejscu <sup>1)</sup>, że i mniemana intuicyjność kobiet — w przeciwstawieniu do nieintuicyj- ności mężczyzn — jest również tylko następstwem tegoż braku systematyczności kształcenia ich umysłu, a dalej — skutkiem towarzyskiego ich położenia, które zbyt często każe im bronią intuicyi się posługiwać. Intuicje owe to poprostu objawy zgadywania ze strony istot, które — tak dzięki stosunkowi zależności względem mężczyzn, jak i z powodu braku wszelkich wskazówek systematycznych — na ciągle zgadywanie są skazane. Mężczyzna nie potrzebuje tyle zgadywać, jako panujący nad po- położeniem rzeczy, zaś nie może zgadywać tyle — dzięki rutynie, w jaką wtłaczają go szablony systematycznego kształcenia.

Złudzenie co do rzekomej intuicyjności kobiet można byłoby rozproszyć łatwo, przypominając sobie, jak nieod- zownym współobjawem intuicyi jest oryginalność, twór- czość i samodzielność, oraz jak dalece brak oryginalności, twórczości i naśladownictwo cechują ogół naszych kobiet, nawet najbardziej inteligentnych <sup>2)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Patrz niżej »Kobieta i mężczyzna«.

<sup>2)</sup> Oryginalność jest właściwie wynalazczością w zakresie my- śli, woli albo uczucia. We wspomnianem przed chwilą studyum zwal- czamy dowolność Ward'a, który nazwę intuicyi zachowuje li tylko dla

Wbrew upowszechnionemu mniemaniu, a zgodnie z poglądem, bronionym tutaj, nietylko w sferze twórczości literackiej, naukowej, artystycznej, ale w zakresie najbardziej sobie znanych działań i zjawisk kobieta jest upostaciowaniem bierności i braku inicjatywy. Poczynając od patarafeek i serwetek, które prawowita mieszczańska przez trzydzieści lat zmienia na kanapach i stołach, nie pomna, że jeszcze ani razu nie zdaly się one na nic, i kończąc na warstwie ryżowej mąki albo na kapeluszu cudackim, którymi twarzy swej nie może nie szpeci — zawsze i wszędzie ukazuje się nam jako niewolnica rutyny, tradycji, zwyczaju, mody, opinii i t. p. Nic w tem dziwnego: sfera owych działań jest właśnie tem dla niej, czem dla mężczyzny sfera systematycznego kształcenia się, wchłaniająca wszelkie zapędy do «intuicyjnego» zgadywania; jest to jedyna niemal sfera, w której kobieta otrzymuje mniej więcej systematyczny i skończony pogląd na rzeczy. Pośród tysiąca zrutynizowanych konwencyonalną estetyką i steroryzowanych opinią kobiet równie trudno jest znaleźć jedną, ubierającą się ze smakiem a samodzielnie, jak pośród tysiąca zapracowanych i zrutynizowanych podręcznikami mechaników młockarni — jednego Edisona. Dalej, złudzenia owej intuicyjności doznają — i piszą o niej zwykle — mężczyźni wprost dlatego, iż objawy jej ukazują się dość często w zakresie dla nich obcym. Pewien farbiarz sukna — po oślepieniu — doszedł do tak szalonej wprawy, iż za pomocą dotyku wyczuwał barwę materiałów. Nie była to jednak intuicyja.

Nakoniec w sprawie «intuicyjnego» zgadywania, odczuwania myśli i pragnień innego, olbrzymią rolę gra wy-

---

pewnych jej objawów, zabarwionych uczuciowo instynktem zachowawczym samicy albo matki, dopatrując się zasadniczej różnicy pomiędzy intuicyją a wynalazczością.

chowanie i codzienne nalogi kobiety. Mężczyzna w wielkim lesie międzyludzkich stosunków przywykł porozumiewać się za pomocą donośnych, daleko rozlegających się nawoływań i jaskrawych znaków. Kobieta — w nawpół oświetlonym kojcu domowego życia — nauczyła się sły-  
szyć i widzieć najłżejsze poruszenia piskląt, pana swego i ptaków obcych. Jest to jednak następstwo nie odrębnej organizacji duchowej, ale innej życiowej rutyny, innego sposobu i rodzaju działalności i bytowania.

Zagadnienie większej lub mniejszej intuicyjności kobiet można byłoby rozstrzygnąć stanowczo dopiero po ujednostajnieniu warunków średniego i wyższego ich wykształcenia. Co do mnie, to sądziłbym, że wykształcenie owo nie tylko odebrałoby im nazawsze pozory owej intuicyjności, ale uwydatniłoby lepiej bierność ich umysłu, skłonność do naśladownictwa, zamilowanie w szablonach. Że wykształcona kobieta niezgadująca byłaby pożyteczniejszym członkiem społeczeństwa, aniżeli ciemne i zgadujące (zwane intuicyjnemi) — to dla mnie nie ulega wątpliwości. O ile skromny zakres tego rodzaju doświadczeń w naszym kraju wnosić pozwala, przypuszczenia te sprawdzają się jak najzupełniej. Większość naszych kobiet «uniwersyteckich» utraciła niejako na lotności, bystrości, na osławionej «intuicyjności» umysłu to, co zyskała na głębokości jego i wykształceniu. Szablon nauki ujął je w swoje karby, «zgadywanie» pierzchło, umysł takich kobiet — w pewnym rozumieniu rzeczy — niedoleźniej, na podobieństwo zruty-nizowanego teoryami i eksperymentami umysłu mężczyzny, którego nauczono, aby przed każdym  $x$  życiowem pisał proporcye, mnożył i dzielił, podczas gdy kobieta, nie znająca się na regule trzech: albo rozstrzygnie sprawę w przybliżeniu, albo jej nie rozstrzygnie — czem nie zadziwi nikogo, albo odgadnie  $x$  — czem obudzi przeświadczenie o swojej większej intuicyjności.

P. Karol Lichtański, jeden z najbardziej oryginalnych, jakkolwiek zbyt metafizycznych, myślicieli naszych, uznający również większą «intuicyjność» kobiet, domaga się dla nich uniwersytetów całkiem innych, aniżeli dla mężczyzn; miałoby to być, jak się zdaje, jakieś szerokie zastosowanie metody pogładowej, pomijającej scholastyczne określenia i systematyczny wywód stosunków, a dającej natomiast rzeczowy ich obraz chwytającemu je w lot umysłowi. Nie roztrząsając tutaj ani praktyczności podobnych uniwersytetów, ani nawet możliwości ich urzeczywistnienia, zwróćmy uwagę na to, iż byłyby one tylko dalszym ciągiem owej «poglądowej nauki», na jaką od dziecka skazana jest kobieta, że najświetniejsze nawet rezultaty, jakieby dzięki im dało się osiągnąć — nie byłyby dowiodły bynajmniej większej intuicyjności kobiet, lecz mówiłyby tylko na korzyść bronionego tutaj poglądu, iż mniemana «intuicyjność» kobiet jest właśnie wytworem metody «przymusowego zgadywania»<sup>1)</sup>.

W zakresie czynów, w sferze postępowania wskazywano bardzo często wybuchowość charakteru kobiet, rządzenie się uczuciami i popędami ze szkodą sprawiedliwości, niestałość i zmienność, jako znamiona właściwe szczególnie płci kobiecej. Pomijając tutaj wypadki nerwowego rozdrażnienia, będące następstwem skrępowania albo spaczenia funkcji płciowych; pomijając objawy chorobliwe, które jakkolwiek z powodów innych, jednako wszelką płć mogą cechować, zauważmy, że wszystkie owe psychiczne właściwości kobiet są również w bardzo znacznej mierze następstwem ich towarzyskiego wychowania i położenia. Przede wszystkim zapominamy zbyt często, że nawet zaburzenia czysto-organiczne, mające niby klątwa jakaś ze szcze-

---

<sup>1)</sup> Poglądy swoje p. K. Lichtański rozwinął w broszurce p. t. *O metodzie wykładów na uniwersytetach niewieścich*. Warszawa 1893.

gólnem upodobaniem ściągać ustrój kobiety, są w znacznej większości wypadków następstwem ograniczeń i skrępowań sztucznych, jakim tenże ustrój w sferze życia towarzyskiego jest poddany. Z pomiędzy tych wymienimy tutaj tylko: nienormalne funkcyonowanie narządów rozrodczych oraz ubiór w wysokim stopniu niehygieniczny. Ale najbogatszym źródłem owych szczególnych przymiotów charakteru kobiety jest położenie jej towarzyskie. Oslawione rządzenie się uczuciami, gwałcenie wymagań sprawiedliwości jest takim samem zdążaniem ducha kobiety po linii najmniejszego oporu lub największego ciężenia, jak np. wysoce sprawiedliwy postępek — ze strony mężczyzny. Nie tylko kobiety, lecz wszyscy ludzie wogóle rządzą się uczuciami. Różnica polega tu tylko na tem, że uczucia kobiety są mniej liczne, prostsze, że są uczuciami niższego rzędu, że z wielką łatwością mogą one zapanować nad wyższemi uczuciami, znanemi jej tylko ze słyszenia, lecz nie będącemi nigdy przedmiotem ćwiczeń. W uczuciach potrzeba się ćwiczyć tak samo, jak w działaniach rozumowych. Drogi ich muszą być utorowane, jeżeli po tych drogach ma się wyładowywać energia ducha. Cóżśmy jednak uczynili, aby umożliwić kobietom ćwiczenie się w uczuciach wyższych, pozarodzinnych? Mężczyzna przebywa często w otoczeniu szerszem, zżywa się z niem ciałem i duszą, staje się jego częścią; kiedy więc znajdzie się wobec sprzeczności dwu interesów — np. pomyślności dziecka oraz pomyślności korporacyi, do której sam należy, w sercu jego toczy się walka dwu uczuć i niekiedy wyższe może odnieść przewagę. W sercu kobiety odbywa się walka pomiędzy uczuciem rodzinnem oraz s w i a d o m o ś c i ą o tem, że bywają jeszcze inne uczucia — wynik łatwy do przewidzenia. Jest to duch właściwy wszelkiemu sekciarstwu, wszelkim zacieśnionym widnokręgom serca i myśli, nie zaś następstwo odmiennej organizacyi cielesnej. Żydzi, rzucający

się tłumnie, a wbrew głosowi sprawiedliwości, na pomoc swemu, panującemu nad sytuacją, współwyznawcy, tak samo nie zdradzają w tej odrębności płci, jak nie okazują jej w nadmiernym i wyłącznym wybuchaniu uczuć rodzinnych. Sprawiedliwość jest wypadkową ważenia się dwu pobudek: kobieta bywa niesprawiedliwą nie wskutek przyrodzonych właściwości ustroju, lecz dzięki temu, że drugiej pobudki nie dano jej poznać.

Nie będziemy powtarzali wszystkich tych rozumowań w zastosowaniu do oznak duchowej odrębności mężczyzn. Zaznaczymy tylko, że działanie społecznego środowiska bywa tu zazwyczaj wprost przeciwne, a ztąd przeciwnymi też są działania tego wyniki.

Zachodzi jednak pytanie, czy obok tych wszystkich znamion psychicznej odrębności płciowej, będących tak widocznym następstwem seksualizacji ogólnych przymiotów ducha, uwylębnieniem ich na korzyść płci jednej w sferze szczególnych warunków towarzyskiego i społecznego środowiska — czy oprócz nich, nie istnieją też inne cechy psychicznej odrębności płciowej, pozostające istotnie w ścisłym a nieuchronnym związku z cieleśniami, pierwszo- i drugorzędnymi znamionami płciowej odrębności? Sprawę istnienia takich «prawdziwych» duchowych różnic płci roztrząśniemy najpierwej, sprawę nieuchronności ich, niezmienności — na końcu.

Wobec zupełnego niemal braku danych doświadczalnych kategorię odpowiedź na pytanie pierwsze jest niezmiernie trudna. Jedynym prawie sprzymierzeńcem spekulacji może tu być proste obserwowanie faktów, nie podlegających jednak naszej interwencji czynnej.

Wyraźne zmiany psychiczne, zachodzące w samiec-kach zwierząt wyższych w okresie lężenia się i karmienia młodych, zdają się wskazywać dowodnie, iż niepodobieństwem jest, aby cielesna organizacja kobiet, jako takich,

pozostawała bez wpływu na ich organizację duchową. Uczucie macierzyńskie — zwłaszcza w jego postaci najniższej, w formie pewnego rodzaju uczucia cenestetycznego — musi przedstawiać całkiem specyficzny stan świadomości, wyróżniający istotę płci żeńskiej. O ile jednak mamy przed sobą wyższe jego stadia, o ile sprawa dotyczy jego pierwiastków ideowych (wyobrażennych) i moralnych, o ile dotyczy owych szczególnych odczuć na widok istoty malej i słabej, owych dążeń do otoczenia małości tej i słabości opieką — uczucie macierzyńskie albo raczej macierzyńskie uczucia zbliżają się do uczuć ojcowskich, których poziomowi zresztą, jak dotąd, nie dosięgnęły jeszcze, jakkolwiek częstokroć przewyższały je siłą i głębością. O ile zaś w takim nieco wyższym zakresie oba te uczucia zbliżają się do siebie, o ile nie są one związane li tylko z taką lub inną organizacją płciową, widzimy z tych faktów, że niekiedy albo zastępują się one wzajem, albo też nawet ojcowskie uczucie ukazuje się jako jedyny czynnik opieki i ochrony pokoleń młodych. Stosuje się to szczególnie do takich dziedzin państwa zwierzęcego, gdzie sam mechanizm sprawy rozrodczej nie wytwarza żadnych szczególnych związków pomiędzy potomstwem a samiczką. Oto np. mały samczyk-ryba (*Chromys paterfamilias*) nosi w pyszczku swym młode aż do zupełnego wyklucia się, później strzeże ich, zapędza do gniazda i t. d. Bądź co bądź jednak, w świecie zwierząt ssących, a więc i u ludzi można wskazać nawet pewne fizyologiczne pierwiastki uczucia macierzyńskiego (działalność gruczołów mlecznych), dzięki którym, przynajmniej w niższej swojej postaci, różni się ono specyficznie od uczuć ojcowskich.

Pozatem wszakże niepodobna będzie nie zwrócić uwagi na to, że przyczyną tak niskiego rozwoju uczuć macierzyńskich, jak i nadmiernej a szkodliwej dla społecznego postępu ich wybujałości, przyczyną zarówno tego, że w uczu-

ciach owych zbyt mało jest pierwiastków szerszych, jak i tego, że owe instynkty i popędy macierzyństwa przenikają całe istnienie kobiety, wsiąkają we wszystkie zakątki jej działań, przyczyną tego, że dziecko dla matki zanadto jeszcze bywa li tylko ukochanem jej ciałkiem, najdroższą miniaturą jej samej i męża, za mało zaś obrazem przyszłych pokoleń ludzkości — słowem przyczyną tego wszystkiego, co najwięcej czyni z macierzyńskiego uczucia psychiczną cechą płciową — jest, powiemy to znowu — społeczne i towarzyskie położenie kobiet. Macierzyńskość tuczona bywa w kobietach sztucznie, tak jak drób w kojcu. Chroniczne opychanie się macierzyństwem, albo raczej łasowanie jego rozkoszy i babranie się w przykrościach jego — wszystko to byłoby znikło dość prędko, gdyby do sfery działalności kobiet wprowadzono czynniki nowe. Jednocześnie też takie rozszerzenie zakresu towarzyskiego życia kobiety byłoby wpłynęło na podniesienie rozwojowej skali samych uczuć macierzyńskich. O ile uczucia te wybujałość swą zawdzięczają głównie ograniczeniu życiowej sfery kobiet, przekonywa nas między innymi przykład tak zwanych kobiet «wielkoświatowych». W życiu ich, któremu warunki zewnętrzne otwierają szeroki, jakkolwiek tak płytki upust, macierzyństwo odgrywa rolę bardzo małą, obowiązki zaś jego bywają często niemiłym ciężarem. «Wystudzenie» uczuć macierzyńskich, jakim straszy nas zawsze konserwatyzm, gdy jest mowa o wyższym kształceniu kobiet, stało się oddawna faktem dokonany w tej sferze, tak zazdrośnie (jakkolwiek dość obłudnie) stojącej na straży wszelkich konserwatyzmów.

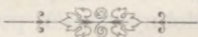
Możność zupełnego prawie rugowania uczuć macierzyńskich na rzecz innych, nie o wiele wyższych pod względem złożoności psychicznej, zaś niższych pod względem moralnego znaczenia, przekonywa nas, iż wogóle uczucia owe można zmieniać, rozwijać, przekształcać, do-

skonalić — zmieniając życiowy pokarm kobiety, rozszerzając zakres jej działania. Ojciec, powróciwszy do domu z parlamentu, z sądu, z pracowni naukowej, od inżynierskich robót, od łoża chorego i t. d. nie może nie spoglądać na syna, jak na przyszłego obrońcę bronionej przez siebie prawdy, szermierza, który będzie wydzierał przyrodzie jej tajemnice lub zwalczał jej zapory. Inaczej ma się rzecz z matką.

Musimy uprzytomnić tu sobie najważniejsze wyniki naszych rozumowań dotychczasowych.

Widzieliśmy, że trwałość uczucia wprowadza do sfery miłosnego doboru pierwiastki, nie mające nic wspólnego z odrębnością płci, lecz cechujące zawsze jednako wszystkie organizmy danego gatunku. Ale tak samo, jak z biegiem czasu odrębne przymioty mikrobiologiczne, tkwiące mniej więcej równomiernie we wszystkich ustrojach, poczynają podlegać procesowi seksualizacji, poczynają się wyłączać na korzyść jednej tylko kategorii osobników, tak też później w podobny sposób poczynają wyłączać się wspólne niegdyś makrobiologiczne przymioty, tworząc tak zwane drugorzędne znamiona płciowe. Stosunek drugorzędnych cech płciowych do pierwszorzędnych, o ileśmy widzieli dotychczas, był przeważnie pośredni: przypomnieć wolno, że np. większe rozmiary osobników jednej kategorii były łącznym wytworem ich katabolicznych i anabolicznych własności, że tylko dzięki pewnemu ustosunkowaniu się ich do organizmów innych poczęły wyłączać się cechowac płęć jedną. Spostrzegliśmy dalej, że trwałość uczucia, wprowadziwszy do sfery miłosnego doboru rozmaite psychiczne cechy niepłciowe, poczynają również poddawać procesowi seksualizacji. Przyczyną takiego ich wyłączenia bywają przedewszystkiem warunki życia społecznego. Nakoniec, znaleźliśmy, że obok tych, jak gdyby rzekomych psychicznych różnic płciowych, istnieją jeszcze

inne prawdziwe, t. j. takie, których przyczyną nie jest już towarzyskie położenie mężczyzny albo kobiety, lecz fizyczna przyroda ich organizacyi. Przykład takich różnic istotnych mieliśmy w uczuciach macierzyńskich, ale i na tym przykładzie mogliśmy się przekonać o całej potędze wpływów społecznych — o sile zwrotnego oddziaływania czynników wyższych na niższe. Jesteśmy więc usposobieni do przyjęcia z góry dwu twierdzeń następujących. Pomiedzy mężczyzną i kobietą mogą istnieć jakieś podstawowe różnice psychiczne, będące wynikiem odmiennej ich organizacyi. Różnice te z biegiem społecznego postępu zacierać się będą w miarę coraz większego zapanowywania czynników wyższych nad niższymi.



# KOBIETA I MĘŻCZYŻNA.

## I.

### Różnice psychologiczne.

Myśliciele i psychologowie, a nadewszystko romanso- i powieściopisarze tak długo prawili nam o «zasadniczych» różnicach, mających dzielić duchowy świat kobiecy od świata męskiego, że dzisiaj potrzeba pewnej odwagi do usunięcia wszystkich owych, sztucznie wzniesionych odgraniczeń. Najciekawszem jednak jest to, że w tej niezmordowanej pracy zgłębiania «tajników duszy niewieściej» wykryto mnóstwo znamion nieistniejących, przeocząc natomiast te, które naprawdę mogłyby stanowić o różnicy bardziej podstawowej. Należy mieć nadzieję, że rozwijająca się obecnie psychologia plemion dzikich i dzieci położy kres owemu dość mazgajowatemu apoteozowaniu wad i braków powstrzymanej w rozwoju albo potwornie ujednostronnionej przyrody ludzkiej.

Wykazawszy, iż wszystkie t. zw. «podstawowe» różnice psychiczne pomiędzy mężczyzną a kobietą albo nie istnieją zgoła, albo też są jedynie następstwem społecznego położenia kobiet, znaleźliśmy jednak, że w dziedzinie du-

chowych władz kobiety dają się spostrzegać takie, które, w pewnych przynajmniej okresach rozwoju, mogą być uważane za całkiem swoistą własność płci słabszej. Do takich stanów psychicznych należą — w świecie ludzkim — uczucia macierzyńskie, które specyficznie muszą różnić się od wszystkiego, cokolwiek uczuwać może mężczyzna, gdyż w sprawie powstawania owych uczuć czynnikami bywają pierwiastki fizyologiczne, całkiem obce mężczyznom ustrojowi, (np. działalność gruczołów mlecznych). Przytrafianie się takich stanów upoważniło nas do przypuszczenia, że naprawdę mogą istnieć pomiędzy kobietą a mężczyzną jakieś podstawowe różnice psychiczne, nie będące następstwem li tylko odmiennego ich położenia w społeczeństwie, ale raczej odmiennych a zasadniczych różnic ich organizacji. Jakąż jednak jest ta podstawowa różnica biologiczna? Poznaliśmy ją dawniej: jest nią katabolizm i anabolizm, czynność organizmów męskich i bierność żeńskich ustrojów. Nie przesadzając tymczasem zjawisk psychicznych a stojąc wyłącznie na gruncie biologicznym, spostrzegamy, że owa bardziej ożywiona czynność biologiczna i większa biologiczna bierność już od najwcześniejszych zaczątków płciowości stanowią zasadnicze znamię — pierwsza osobników męskich, druga — żeńskich.

Jeżeli, jakśmy to widzieli wyżej, większe rozmiary ustrojów męskich tam, gdzie są one większymi, można było tłumaczyć działaniem przyczyn dalszych — np. społecznych, nie zaś działaniem ich najpierwotniejszej cechy płciowej — katabolizmu, to natomiast większą ozdobność tej tak zwanej płci brzydkiej, przynajmniej we wcześniejszych stadiach rozwoju, można zrozumieć nie inaczej, jak tylko uwzględniając ową cechę katabolizmu, cechę bardziej ożywionej czynności, cechę większej ruchliwości cząsteczek, składających organizm męski. Niezliczone są prawie dowody owej większej czynności biologicznej.

Zacniemy od stadyów najpierwszych.

Niepowsiągniona ruchliwość wszelkiego rodzaju ciarek nasiennych — w przeciwstawieniu do spokojnej bierności komórek macierzystych, będących pierwowzorem jajka, jest faktem zbyt uderzającym i zbyt powszechnie znanym, aby potrzeba się było nad nim rozwodzić. Ale fakt ten jest też jak gdyby zapowiedzią takiej samej różnicy podstawowej pomiędzy płcią żeńską a męską na wszystkich wyższych i najwyższych szczeblach drabiny ustrojowej. Pogląd Rolpha, zapatrującego się na ciałko nasienne, jako na komórkę wiecznie głodną, zawsze dążącą do uśmierzenia tegoż głodu, a więc do jedynej niemal działalności, jaka w tem stadyum rozwoju jest dostępną, pogląd ten, mówimy, znalazł już potwierdzenie doświadczalne, a to w niezwykle silnem powinowactwie ciarek nasiennych względem substancyj wybitnie pożywnych, do których liczby należy też przedewszystkiem jajko.

Ala pominawszy nawet najbardziej podstawowe czynności płciowe, gdzie strona męzka ukazuje się nam jako wybitnie kataboliczna, czynna, zaś płęć przeciwna jako bierna, podlegająca katabolicznemu wpływowi tamtej, i przechodząc do drugorzędnych funkcyj i oznak odrębności płciowej, spostrzeżemy, iż świadczą one również o większej bierności żeńskich ustrojów. Takie drugorzędne cechy płciowe, jak np. jaskrawsze ubarwienie i wogóle większa ozdobność samców, wyrażająca się w rozmaitych dodatkowych częściach organizmu, szczególnie czynnych i wydających w okresie miłosnym — również bardzo często jest tylko bezpośrednim albo pośrednim objawem większego katabolizmu, bardziej ożywionej czynności ustroju. Profani nie wyobrażają sobie często, jak dalece ścisłym bywa ten związek, jak widocznie czynność — w przeciwstawieniu do bierności — stanowi odznakę tak zw. płci brzydkiej. Miescher zwrócił uwagę na ciekawy fakt, że w okresie

tworzenia się nasienia w lososiu reńskim ryba ta nie pobiera posilku. Ponieważ, jak wiadomo, muskulatura samców lososia znakomicie się zmniejsza wtedy, więc autor upatruje bezpośredni związek pomiędzy zanikiem mięśni bocznych ryby a tworzeniem się nasienia. Świetniejsze ubarwienie niektórych samców rybich w czasie kojarzenia się par jest następstwem pewnego rodzaju naskórnych wyrzutów, te zaś, oczywiście, świadczą o bardziejżywionej, nienormalnej działalności ustroju. W wypadkach dwupłciowości prawdziwej (hermofrodytyzm) — odpowiednio do położenia narządu męskiego i żeńskiego n. p. po obu bokach, albo z przodu i z tyłu i t. p. — spostrzegamy stosowne różnice ubarwienia: zwierzę pod tym względem z jednej strony bywa osobnikiem męskim, z drugiej żeńskim, albo też męskim z przodu, zaś żeńskim w części tylnej; przykładów odnośnych mogą dostarczyć śledzie, stokfisz, makrele, minogi. Podobne też zjawiska spostrzegamy u istot bezkręgowych, zwłaszcza zaś wśród motyli: widzimy tam niekiedy uderzającą różnicę w ubarwieniu skrzydełek; jedno jest ciemniejszej i jednolitej barwy, drugie jaskrawo upstrzone. Otóż w takich wypadkach okazuje się, że podobny motyl jest dwupłciowym, przyczem po stronie skrzydełka pierwszego leżą organy żeńskie, po stronie drugiego męskie.

To samo też należy powiedzieć o stosunku drugorzędnych cech płciowych u wielu zwierząt wyższych — do pierwszorzędnej cechy, do owej większej, bardziejżywionej czynności ustroju. O ścisłej zależności ich od katabolizmu elementów płciowych świadczyć mogą przede wszystkim znane skutki kastracy; zanik zarostu, zniechęcałość ducha i ciała bywają bardzo często jej wynikiem. Płynący ztąd wniosek co do większej «czynności» organizmów męskich w zakresie czysto biologicznym jest zbyt widoczny, aby dłużej potrzeba było za nim obstawać.

Jeżeli teraz od funkcji ustroju, pośrednio lub bezpośrednio związanych ze sprawą rozrodczą, przejdziemy do działań organizmu, również ze sprawą tą połączonych, to zobaczymy, że i w tej dziedzinie życia bierność i czynność nie przestają być znamionami cechami — pierwsza płci żeńskiej, druga — męskiej. W zewnętrznych stosunkach płciowych rola czynna przypada w udziale samcom. Ciekawem jest, że w szeregach zwierząt, odznaczających się jak gdyby pewną chroniczną biernością i powolnością, spostrzegamy niejako odwrócenie tego zwykłego porządku rzeczy. Samica pewnego gatunku żab bierze na siebie obowiązek opiekowania się jajami, samiczka jednego gatunku jaszczyrek zachowuje się w akcie płciowym zespolenia, jak samiec. Wspominaliśmy już o macierzyńskich czynnościach i instynktach niektórych samców rybk.

Mówiąc o działaniach płciowych, stoimy jeszcze na gruncie biologicznym, niemniej jednak spostrzegać się tu już daje udział psychicznych czynników. Wśród istot wyższych, jak np. u ludzi — tam gdzie dobór płciowy staje się coraz bardziej miłosnym doborem — udział owych czynników psychicznych zwiększa się coraz bardziej. Niemniej jednak bierność organizmów żeńskich w tej sferze działania oraz czynność męskich ustrojów nie przestają i tutaj być znamionami cechami płci dwojga. Pozorna obojętność kobiet jest jednym z najbardziej znanych i używanych najczęściej sposobów kokieterii. Postępując tak, odtwarzają one tylko świadomie w zakresie zjawisk wyższego porządku to, czego w zakresie niższym bezwiednie dokonywa jajko w stosunku do ciała nasiennego. Warunki towarzyskie, wiążące sprawę rozrodczą ze sprawami tak zwanego stanowiska, utrzymania i t. p. niejednokrotnie stają się sztucznym bodźcem, podniecającym działania kobiet w sposób, który właściwej ich przyrodzie nie odpowiada. Zdobywanie męża, nie będące zresztą zazwyczaj

zdobywaniem samca, a nawet sprzeczne niekiedy z wymaganiem tej ostatniej operacji, bardzo często wyprowadza je w sferze przedwstępnych działań płciowych ze stanu bierności. Poza tem jednak jest ona najbardziej przyrodzoną ich bronią. W zakresie popędów niższych pewnego rodzaju napawanie się samic możliwością aktu płciowego, w zakresie zaś popędów wyższych pochlebiana im myśl, że zwycięstwo odniesionem zostanie bez wysiłku, znakomicie sprzyjają utrwalaniu się owej bierności. Prawdopodobnie jakaś rozkosz, nieznaną ustrojom czynnym, tkwi w owem poczuciu, że samo tylko trwanie, w rozmaitych jego postaciach, może się stawać dla strony przeciwnej źródłem upojenia.

Niedorzecznością byłoby utrzymywać, że owa różnica tak wybitnie cechująca organizmy męskie i żeńskie w zakresie bądź funkcyj płciowych t. j. na gruncie czysto biologicznym, bądź działań, z funkcjami temi związanymi t. j. na gruncie biopsychologicznym — pozostanie bez wpływu w sferze innych działań i własności. «Každy się zgodzi, mówią Thomson i Geddes, że wybuchowe, nieprzeparte porywy działalności cechują mężczyznę — zwłaszcza w młodości, oraz wśród plemion mniej ucywilizowanych — zaś pewna cierpliwa ciągłość działania i mniej gwałtowne wyladowywanie się energii towarzyszą zazwyczaj pracy kobiecej». Ostatecznie, przychodzą oni do wniosku, że «samcy są obyczajów bardziej czynnych, samiczki — więcej biernych; u samców, biorąc cały świat ustrojów zwierzęcych, spotykamy pewną dążność do przybierania mniejszych rozmiarów, gdy tymczasem samiczki odznaczają się rozmiarami większymi i żyją dłużej». Ten fakt, że «kobiety płacą niższą składkę asekuracyjną, niż mężczyźni, tłumaczony dość pospolicie tem, iż bardziej zabezpieczonemi są one wobec nieszczęśliwych przypadków, znajduje daleko głębsze wytłumacze-

nie w większej długowieczności kobiet»; długowieczność zaś owa jest łatwym do zrozumienia następstwem bardziej anabolicznego, biernego usposobienia ich organizacyi.

Gdy uwzględnimy olbrzymi, jakkolwiek bierny wydatek energii, do jakiego powołany jest ustroj żeński, to zrozumiemy, że przypisywanie kobietom jednaki ch zdolności duchowych z mężczyzną, jednakiej twórczości, oryginalności, pomysłowości, byłoby właściwie przypisywaniem im zdolności o wiele wyższych. Istotnie organizm, któryby w stopniu tak znacznym jak samica, posiadał bierne zdolności anaboliczne, ową władzę gromadzenia cząsteczek materyi, któryby kosztem własnych sil i funkcyj życiowych musiał przyczyniać się do kształtowania owych nagromadzonych cząsteczek, a jednocześnie byłby obdarzony równie wielkimi zdolnościami katabolicznemi, jak mężczyzna t. j. władzą rozpraszania cząstek swego ustroju na działania, nie mające bezpośredniego związku ze sprawą rozrodczą, organizm taki byłby organizmem nie równym mężczyemu, ale o wiele wyższym.

Jakkolwiek mam nadzieję wykazać całą nagłą nieodzowność tak zmiany towarzyskiego położenia kobiet, jak wyższego kształcenia ich umysłu i serca, to jednak utrzymuję, że zarówno dzisiaj, jak i w przyszłości, w pewnych dziedzinach a raczej w pewnych rodzajach działań psychicznych będą one musiały zawsze ustępować mężczyznom. Przepowiednia ta dotyczy, mówiąc najogólniej, zakresu czynnej twórczości duchowej — tak na polach działań umysłu, jak i w sferze zmiany stosunków i urządzeń społecznych. Ze stanowiska zarówno ekonomii przyrody, jak też moralnej i umysłowej ekonomii życia społecznego, różnicy tej nie należy nazywać niższością; jest ona wyrazem stosunku nieuniknionego i w obecnym układzie sil wszechświata — pożytecznego. Ze stanowiska ewolucyi czynność i twórczość zapewne jest wyższą, niż bierność

i zachowawczość, ale całkowite usunięcie funkcyj biernych uniemożliwiłoby wszelką czynność i twórczość w ogólności.

Bierność ustrojów żeńskich w sferze funkcyj biologicznych nie pozostaje bez wpływu na przebieg ewolucyi, na losy dalszych pokoleń. «W ciągu rozwoju życia na ziemi», powiada Brooks, «ukazał się fizyologiczny podział pracy, czynności pierwiastków rozrodczych wyspecjalizowały się w dwu odrębnych kierunkach... Komórki męskie... stopniowo utraciły niepotrzebną dla nich i nieużyteczną władzę przekazywania cech dziedzicznych» (przekazująli tylko własne, nabyte), «samcy są zazwyczaj bardziej zmienni, aniżeli samiczki; w rozwoju nowych odmian samiec prowadzi, samiczka podąża za nim». Jestto fakt przyrodniczy, z którym nie można godzić się albo nie godzić: należy go tylko badać i tłómaczyć. Gdyby nie zaślepienie antropocentryzmu, gdybyśmy, nie wpadając w dogmatyczność i przesadę materialistów, umieli jednak korzystać ze światła biologii tam, gdzie z niego korzystać mamy jeszcze prawo, gdybyśmy, uznając całkowitą swoistość i odrębność władz duchowych, umieli jednak pojmować stosunek ich do biologicznego podścieliska, gdyby, słowem, antropologowie i socjologowie nie wyobrażali sobie, że są przedstawicielami nauki o istotach czterowymiarowych, wówczas względna zachowawczość i naśladownictwo kobiet w rzeczach umysłowych, moralnych i społecznych ukazałyby się w oświetleniu należytem. Wtedy zrozumielibyśmy, że tak samo jak z samej przyrody rzeczy ustrój kobiet jest *par excellence* zachowawczym w dziedzinie biologicznej, tak też, jeśli cielesne podścielisko ducha ma mieć zgoła jakiegokolwiek znaczenie — umysł ich jest wybitnie zachowawczym w zakresie życia duchowego wogóle i w sferze stosunków i urzędzeń społecznych w szczególności.

Bierność umysłu kobiecego, jego brak twórczości i ory-

ginalności — zbyt widoczne dzisiaj, aby im można było przeczyć — tłumaczy się pospolicie towarzyskiem ich położeniem. Uwzględniając olbrzymie szkody, jakie umysłowi kobiet tak wogóle, jak i w wypadkach niektórych wyrządzało ich towarzyskie położenie, nie możemy jednak nie zwrócić uwagi na to, że od czasów niepamiętnych istniały na świecie tysiące kobiet, których stan majątkowy, a nawet położenie towarzyskie były o wiele lepsze od położenia i stanu olbrzymiej większości początkujących wynalazców, myślicieli i reformatorów wszelkiego rodzaju. Tłumaczyć zawsze brak genialności i twórczości niepodobienstwem pokonania przeszkód — znaczy to tłumaczyć brak genialności brakiem... genialności.

Nie zatrzymując się jednak nad jalowym sporem, czy towarzyskie położenie kobiet jest jedyną i dostateczną przyczyną, tłumaczącą ich słaby udział na polu wszelkich dorobków ludzkiej umysłowości, i pozostawiając, jak to uczynić musimy, ostateczne rozstrzygnięcie tego sporu czasom przyszłym, zaznaczymy tutaj, że dowody owej bierności kobiecego umysłu znajdujemy nie tyle w tem, czego nie zrobiły one, ile w tem właśnie, czego już dokonały. Nie rozwodząc się zbyt długo nad powszechnie znanym i przytaczanym dość często faktem zbytniego konserwatyizmu kobiet w ich działalności na polu piśmiennictwa, etyki, urządzeń społecznych i t. p. zwróćmy raczej uwagę na pewną, o wiele rzadziej zaznaczaną a może nawet całkiem pominiętą okoliczność. Oto z pomiędzy rzeczy, przez nie dokonanych, najdobitniejsze świadectwo ich konserwatyzmowi składają takie czyny, w których były one ultra-postępowemi. Istotnie, nigdzie może tak jaskrawo nie wydatnia się brak oryginalności, bierne naśladownictwo, jak w owem doprowadzeniu do absurdu zasad i hasel, wygłaszanych przez myślicieli albo reformatorów mężczyzn. Działalność wielu kobiet « radykalnych » podobną bywa do

działalności kamienia, spadającego z szybkością, o wiele prześcigającą spadanie aeronauty, ale też nie mającą w sobie jego władzy czynnego i świadomego przyspieszania lub zwalniania ruchów — stosownie do wymagań celu, samodzielnie spostrzeżonego i pojmowanego.

Nie znaczy to zresztą, iżby kobiety nie miały olbrzymiego wpływu dodatniego na umysłowy i moralny postęp ludzkości. Był to najczęściej wpływ bierny, wpływ kawalka płótna, z którego zrobiono sztandar bojowy i z którym skojarzono idee i cele, nie mające nic wspólnego z płótnem. Mówimy umyślnie postęp, gdyż w sprawie moralnego zachowania społeczeństw wpływ ten był o wiele znaczniejszym — właśnie dzięki bierności kobiet. Kobieta szczepiła w ludziach miłość »wszystkiego co szlachetne i piękne« — niekiedy przykładem swym, czasem zachętą, często zaś kolorem oczu lub włosów; ale pierwotny owego piękna i szlachetności po wszystkie czasy musiał stwarzać i stwarzał mężczyzna. Inicytywa tak dalece przekraczała zawsze wiekiustą bierność jej natury, że aby stać się Joanną d'Arc musiała ona być... wizyonerką.

Nadto zauważymy tutaj, że istnieją pewne ogólne i szczególne przyczyny zewnętrzne, ułatwiające kobietom bratanie się z «nowszymi prądami» myśli i działań społecznych, a tem samem równoważące niejako przyrodzoną ich bierność. Do przyczyn takich należy przedewszystkiem położenie wydostającej się na swobodę niewolnicy. Wzmocniony dzięki takiemu położeniu nałóg protestu bardzo często skierowywa się przeciwko zjawiskom i urządzeniom przeżytym, jakkolwiek nie mającym nic wspólnego z właściwą sprawą emancypacji. Dalej ważniejszą może jeszcze przyczyną ogólną, ułatwiającą kobietom ruch postępowy w sprawie przeobrażeń społecznych, jest, że tak powiemy, ich pozaspoleczność. Kobieta, w pewnem rozumieniu

rzeczy, jest mniej członkiem swego społeczeństwa, aniżeli mężczyzna, żyje ona bardziej poza społecznością; zarówno słabsze pojmowanie, jak i odczuwanie mniej żywe doniosłości i znaczenia danej społecznej zmiany musi być nieuniknionem tego następstwem. Często więc da się ona uwieść względem bądź etycznym, bądź estetycznym, religijnym, erotycznym tam, gdzie mężczyznę powstrzymywać będą nalogi, nabyte w praktyce działalności społecznej, albo lepsze społecznych przeobrażeń pojmowanie. Nakoniec, trzecią ogólną przyczyną ultra-postępowości kobiet bywa sama ich bierność, wyrażająca się w naśladownictwie; mamy tutaj takie same zjawisko, jak w wypadku gorączkowego przyswajania sobie nabytków «ostatniej mody».

Z drugiej strony, w pewnych okolicznościach występować mogą przyczyny szczególne, również przeciwdziałające przyrodzonej zachowawczości kobiet. Przykłady mogłyby nam dostarczyć «najnowsze» prądy teozoficzne, spirytystyczne, telepatyczne i t. d. Cokolwiek powiemy o zjawiskach i faktach, które pewnych uczonych zniewolili do rozszerzenia dotychczasowych dziedzin nauki, nie ulega dla mnie wątpliwości, że czynny i żywy udział kobiet w tych «teozofiach» tem się najglówniej tłómaczy, iż rzeczy nowe mogły się tu łatwo zaszcześcić na starej, od bardzo dawna uprawianej i wcale niewyjałowionej jeszcze roli wierzeń mistycznych.

Zobaczmy teraz, jakim może być wpływ dalszej ewolucyi na tę podstawową różnicę psychiczną płci dwojga, oraz jak wobec niej zapatrywać się będziemy na sprawę t. zw. emancypacyi kobiet.

Widzieliśmy, na czem glównie polegała sprawa stopniowego wyodrębnienia się płci dwojga: odbywa się tam ustawiczna seksualizacya znamion nie-płciowych, t. j. ciągle uwylącznianie się przymiotów niegdyś wspólnych na korzyść osobników płci jednej. Nawet najbardziej podstawowe

i zjawiające się najwcześniej znamiona płciowej odrębności — katabolizm komórek męzkich i anabolizm żeńskich komórek — tkwią mniej więcej równomiernie w pierwotnej komórce bezpłciowej, albo raczej, przed płciową, gdyż zawierającej w sobie nieodróżniczkowane jeszcze własności płci obu.

Powstawanie i dalszy rozwój drugorzędnych i wyższych znamion płciowych dokonywa się po części na gruncie pierwszorzędnych przymiotów (anabolizmu i katabolizmu), po części zaś za sprawą działań zewnętrznych, a nadewszystko za sprawą zwrotnego oddziaływania wyższych czynników bio-psycho- i socyologicznych. W ten właśnie sposób niektóre cechy duchowe, jak np. rozum i wykształcenie, pod wpływem pewnych warunków społecznych, przy pomocy wyższej postaci walki o byt, t. j. walki klasowej, a za przewodem klasowych typów miłosnych — stają się cechami płciowymi, wybitnie i prawie wyłącznie znamionującami płć jedną (męską), i na wyższych szczeblach doboru miłosnego poszukiwaniami przez drugą (żeńską). To, co mówi Schopenhauer o zupełnej obojętności samicy ludzkiej na rozum mężczyzny, byleby mniej rozumne części jego ustroju odznaczały się należytą sprawnością — prawdziwym jest tylko w odniesieniu do pewnych rozwojowych okresów doboru; w okresach innych jest to tak dalece fałszem, że, jakeśmy widzieli, rozum poczyna odgrywać rolę przynęty płciowej — ze szkodą i niemal z pominięciem słusznych wymagań ciała.

Ale broniona przez nas zasada zwrotnego oddziaływania czynników wyższych każe nam silniej uwzględnić pewną fazę ewolucyi wogóle, zaś płciowej ewolucyi w szczególności — fazę, pominiętą w sformułowaniu spencerowskim. Nazwałbym ją okresem *deintegracyi ewolucyjnej*.

Ewolucya w dotychczasowem jej pojmowaniu przed-

stawia dwie główne sprawy: różniczkowania i całkowania, dyferencyacyi i integracyi. Natomiast wszelka deintegracya uważaną jest za objaw wsteczny, za synonim dysolucyi — rozprzężenia, zagłady. Jednakże tak samo jak dysolucya składa się nietylko z procesów deintegracyi, lecz w pewnych wypadkach — z procesów integracyi wstecznej<sup>1)</sup>, tak też jedną z najbardziej nieuniknionych wyższych faz ewolucyi musi być deintegracya, powstrzymująca rozpęd niższych ogniw ewolucyjnych i umożliwiająca ukazanie się wyższych.

Deintegracya ewolucyjna, polegająca na zburzeniu zcałkowań i zróżniczkowań uprzednich, różni się od dysolucyi tak pod względem wyników swych jak i przyczyn — czyli zarówno pod względem teleologicznym, jak i genetycznym. Następstwem jej nie jest ostateczna zagłada danego skupienia (np. ustroju), ale, jak mówię, umożliwienie wyższych faz ewolucyi; przyczyną jej bywają zazwyczaj zwrotne oddziaływania czynników wyższych na niższe, nie zaś, jak w dysolucyi — wpływy niższych czynników, wyłamujących się z pod kontroli wyższych<sup>2)</sup>.

Przykładów deintegracyi ewolucyjnej poszukamy najpród w zakresie biologii. Poczwaraki niektórych owadów, kształtując się podług pewnego typu archaicznego, dosięgają dosyć wysokiej już skali wykończenia. Ale oto w pewnym okresie ich rozwoju wszystkie niemal ukształtowane

---

<sup>1)</sup> Obacz w tej mierze godne uwagi dziełko Bland Sultona, w którym rozmaite choroby, a więc objawy dysolucyi, przedstawione są jako wsteczne fazy ewolucyjne, odtwarzające niższy typ rozwoju.

<sup>2)</sup> Działanie wyższych czynników na niższe bywa również dysolucyjnem niekiedy t. j. prowadzi do ostatecznego rozprzężenia; ale najpród w takich wypadkach to rozprzężenie nie stanowi zwykłej fazy rozwoju, lecz tylko przygodną, a powtórę oddziaływające tak ujemnie czynniki wyższe bywają zazwyczaj zewnętrznymi, nie zaś wewnętrznymi w stosunku do skupienia, na jakie działają.

już narządy i tkanki ich organizmu (np. mięśnie) ulegają zburzeniu, stłuszczają się i dopiero z tego chaosu zburzonych części budowy tworzyć się poczyna owad skończony. Można byłoby powiedzieć, że nabyty, dzięki dziedziczności, nalóg kształtowania narządów dawniejszego typu został powstrzymany w zapędzie przez nabytą później dążność do dziedziczenia narządów typu wyższego. Podobnem zjawiskiem w dziejach rozwoju organizmu człowieka jest np. tworzenie się w zarodku, a potem zanikanie tak zw. łuków skrzelowych, przypominających bardziej archaiczny typ organizacyi (ryby) oraz przeobrażanie się ich na organy wyższego typu np. na szczękę.

W dziedzinie psycho-biologicznej, psychologicznej i socyologicznej przykłady są również obfite, jednakże poznamy z pomiędzy nich tylko takie, które ściślej łączyć się będą z naszym przedmiotem głównym. W zakresie zjawisk społecznych objawem deintegracyi ewolucyjnej jest rewolucya właściwa, t. j. taka, w której przewrót odbywa się dzięki wpływowi czynników wyższych na niższe, nie zaś za sprawą niższych czynników (zjawisko rokосу).

Uznanie deintegracyi ewolucyjnej usposabia nas do przyjęcia tego wniosku, że nietylko tworzenie się różniczek nowych, ale i znikanie dawniejszych może być uważane za postępową fazę ewolucyi. Po tej uwadze przejdźmy już od razu do pytania, w jaki sposób objawia się deintegracya ewolucyjna w zakresie, który obchodzi nas tutaj bezpośrednio — w sferze doboru miłosnego?

Skoro różniczkowanie się płci dwojga polegało, jakśmy widzieli, na stopniowej seksualizacyi znamion dawniej nie-płciowych, tedy ewolucyjna deintegracya płciowości polegać będzie na stopniowym powrocie znamion już useksualizowanych do rzędu ogólnych, niepłciowych przymiotów osobnika, na stopniowej ich deseksualizacyi.

Zrózniczkowania płciowe pewnego archaicznego typu,

posunawszy się zbyt daleko, a popadłszy pod wpływ czynników wyższych, poczynają słabnąć i albo ustępują miejsca wyższym zróżniczkowaniom tej samej lub innej kategorii, albo, jeżeli dana grupa przymiotów jest już dla organizmu zbyt dużą w nowym jego stadium rozwoju i w nowym ukształtowaniu stosunków — ulegają całkowitemu zanikowi. Łuki skrzelowe naszych przodków rybich oraz inne narządy tymczasowe w zarodku ludzkim albo zanikają zupełnie, albo też dają początek szczęce, kości gnykowej i t. p.

Mówiąc o seksualizacji, widzieliśmy, że procesowi temu t. j. uwylączeniu pewnych przymiotów na korzyść płci jednej, mogą podlegać jedynie takie cechy, które dla organizmu nie są niezbędnymi; (sprawa odżywiania się nie mogłaby stać się wyłączną cechą płci jednej, jakkolwiek przykład tak zwanych samców dodatkowych wskazuje, jak dalece może się ona uwstecznić i zredukować u płci męskiej). Obecnie, uzupełniając nasze określenie dawniejsze, powiemy, że seksualizacji nie może ulegać cecha, niezbędna dla organizmu w danym okresie jego rozwoju. To znaczy, że jeśli jakaś cecha organizmu ulegnie nawet seksualizacji i zostanie uwylącznioną na korzyść płci jednej, zaś potem, na szczeblu wyższym okaże się niezbędną dla płci obu albo też wcale niepotrzebną, będzie musiała albo deseksualizować się t. j. powrócić do szeregu cech nie-płciowych, do szeregu znamion jednako odróżniających płci obie, albo też zniknąć zupełnie. W ten sposób nietylko stopniowe różniczkowanie się jednakich zrazu znamion nie-płciowych, ale i ujednostajnienie się przymiotów, stanowiących oznakę płciowej odrębności, należy do rzędu prawowitych procesów ewolucji płci.

Jak daleko posunąć się może sprawa deseksualizacji nawet czysto biologicznych znamion, sprawa cielesnego nawet ujednostajnienia płci dwojga pod wpływem czynni-

ków wyższych, roztrząsać tutaj nie będziemy. Nie jednemu dziwactwem wydałoby się przypuszczenie, że np. za sprawą wynalazków technicznych — działalność a z nią i samo istnienie gruczołów mlecznych kobiety ulegną stopniowej zagładzie. A jednak byłoby to tylko jednym z pomiędzy tysiąca podobnych procesów, jakie w łonie naszego organizmu odbyły się już w przebiegu ewolucyi, nikt np. dzisiaj nie dziwi się zanikowi mięśni usznych. Nas jednak obchodzi tu głównie deseksualizacja trzeciorzędnych i dalszych, t. j. psychicznych znamion płciowych. Aby lepiej zrozumieć tę sprawę, weźmy przykład — zobaczmy, jakimi mogą być koleje uspołecznionego rozumu, t. j. wykształcenia — które, jak wiemy, w pewnych okresach społecznego rozwoju stanowi 'psychiczną cechę płciową samców.

Przypominając sobie naprzód, że zarówno o bezpośrednich stosunkach składników danego skupienia jak i o istnieniu samegoż skupienia stanowią przymioty ich najwyższe, że o takichże stosunkach składowych jednostek społeczeństwa orzekają również znamiona ich najwyższe, a więc psychiczne, pamiętając dalej, że najogólniejszą formułą rozwoju społeczeństw jest «wzrost czynnościowej zależności ich części» oraz że formułą bardziej szczegółową tegoż rozwoju będzie «stopniowy rozrost współdziałania dobrowolnego», że współdziałanie to za sprawą walki klasowej ogarnia coraz szersze grupy jednostek, a z drugiej strony, uwzględniając jeszcze tę prawdę, że sprawność owego współdziałania zależną jest od zrozumienia jego, zaś zrozumienie to na pewnych szczeblach rozwoju domaga się uspołecznionej formy rozumu t. j. wykształcenia — przyjdziemy do wniosku, że wykształcenie stawać się musi coraz bardziej nieodzownym przymiotem składowych jednostek społeczeństwa, a tem samem, coraz trudniej ulegać będzie procesowi seksualizacyi, uwyłączeniu na ko-

rzyść płci jednej. Jakoż widzimy już dzisiaj powolną deskualizację wykształcenia oraz wszystkich związanych z niem a rzekomo «zasadniczych» psychicznych różnic płciowych między mężczyzną a kobietą.

Zobaczmy teraz, o ile można będzie oczekiwać zatarcia się owej podstawowej, uznanej przez nas psychicznej różnicy płciowej, związanej z katabolizmem męzkich i anabolizmem żeńskich organizmów, o ile też wolno przypuszczać, że pod wpływem czynników wyższych osłabnie twórczość, oryginalność mężczyzn albo też bierność i naśladownictwo kobiet.

Przedewszystkiem jednak należy położyć jak najsilniejszy nacisk na to, że uznanie owej różnicy podstawowej posiada raczej teoretyczną nie zaś praktyczną doniosłość, że nie trzeba przeceniać ani stopnia jej, ani znaczenia. Naprzód, jeżeli, biorąc ogólnie, cały rodzaj kobiecy mniej twórczym, mniej oryginalnym i bardziej naśladowczym jest od męskiego, to natomiast w wypadkach poszczególnych jednostki płci słabszej przewyższają nieraz o wiele przeciętną jednostkę płci silniejszej. Jakkolwiek w całym przebiegu dziejów umysłowego rozwoju Europy nie ma, jak się zdaje, ani jednego przykładu, aby kobieta, znajdująca się już nawet w położeniu o wiele korzystniejszym od początkującego wynalazcy, dała życie jakiemuś nowemu prądowi myśli, to jednak zdarza się niekiedy — a kraj nasz jest właśnie zdarzeń takich widownią — że, pochwyciwszy myśl, przez innych wypowiedzianą, kobieta może nawet stanąć na czele umysłowego ruchu społeczeństwa, którego mężczy przedstawiciele bądź dla szczególnych przyczyn spóźniają się w rozwoju, obstając przy hasłach i kierunkach przeżytych, albo też zbacząc ku zajęciom, nie wiążącym się bezpośrednio z ruchem intelektualnym. Słowem, w oceanie myśli i uczuć kobiecych złoto oryginalności i twórczości zdaje się zawierać w takiej mierze, iż «pra-

widlowa» jego eksploatacya może i powinna opłacić się społeczeństwu. Przypominając sobie nasze wysiłki w celu kształcenia idyotów i kretynów, nasze walki o prawo nauki uniwersyteckiej dla Murzynów i Hotentotów, znajdziemy, że rozprawy, mające wykazywać nieużyteczność wyższego kształcenia kobiet, są tylko próżną stratą czasu. Niemniej też niedorzecznymi stają się obawy o poniewieranie przez «takie» kobiety obowiązków rodzinnych — wobec tego, zazwyczaj mało uwzględnianego faktu, że z biegiem rozwoju społeczeństwa dobrze uorganizowane biorą na siebie coraz większą część owych obowiązków, już to zakładając szkoły i szkółki, poczynające uczyć dziecko w wieku, w jakim dawniej nie byłoby ono opuściło progów rodzinnych, już otwierając ochrony dla dzieci jeszcze mniejszych, a pozostawionych bądź stale, bądź czasowo bez opieki matek. Ale rozwijanie tych dowodów, dość zresztą znanych, przekracza nasze zadanie obecne, wiążąc się z niem tylko pośrednio.

Uprawiany oddawna i ożywiający się w chwilach walk społecznych kult bohaterów — najgłówniejsza dźwignia postępu w okresach, kiedy jeszcze ani wyższe i utrwalone już instynkty społeczne, ani kult ideałów nie dopomagają ludzkości w jej postępowym ruchu — usuwał nam z przed oczu pewną prawdę wielkiej doniosłości społecznej. Oto zachwyceni tem, czego dokazać mogła inicjatywa, twórczość, oryginalność jednostek, zapominaliśmy o tem, czego nie mogła ona dopiąć dzięki bierności, bezwładności, zachowawczości tłumów. Zślepienie to sięga tak daleko, że marząc ciągle i mówiąc o nowych środkach zaradczych na niedole ludzkie, o nieznanym a mającym nadejść mesyaszach, o panaceach wszelkiego rodzaju, zapominamy, że dawne środki i znani już dobroczyńcy ludzkości i znane już leki mogłyby ziemię uczynić rajem, gdyby znaleziono możność zastosowania ich, oraz że największą, najstrasz-

niejszą tamą takiego stosowania jest właśnie zbyt wielka odległość, dzieląca umysłowo-moralny poziom geniuszów od takiegoż poziomu tych, których geniusze ci mają zbawiać. Ale geniusz nie byłby geniuszem, gdyby rozum jego albo uczucia nie wznosiły się wysoko ponad tłumem; idzie więc tylko o to, aby tłumom owym w każdym wypadku dać możliwość jak najszybszego osiągnięcia nowych poziomów. Wartość wielkich idei i wynalazków nie na tem polega, iż sięgają one wyżyny niebotycznej, ale na tem, że ludzkiej rzeszy wyżynę tę oświetlają. Istnienie ideału tak samo nie jest jeszcze wystarczającym warunkiem szczęścia ludzkości, jak istnienie najrozkoszniejszej wyspy nie jest wystarczającym warunkiem szczęścia dla zgłodniałej gromady jednostek, oddzielonych od wyspy tej morzem i pozbawionych statku. Im większą zaś będzie odległość, im silniejszą fala — tym bardziej potężnym i zaopatrzonym lepiej musi być okręt. Łódka samotna, umiejętnie nawet kierowana, zginąć zawsze musi w walce z takim żywiołem. Zasada potęgowania zachowawczości w sferze jednostek z przyrody swej najbardziej zachowawczych jest zasadą samobójczą.

A. L. Ward wypowiedział i rozwinął pogląd, że w dobrze uorganizowanym społeczeństwie, rządzącem się metodą zachęty nie zaś przymusu — wady jednostek i grup społecznych zostają zużytkowywane na korzyść społecznego rozwoju. Jeśli istotnie duchowość kobiety jest bardziej bierną i mniej oryginalną, to zachodzi pytanie: czy i w jaki sposób bierność tę zdoła wyzyskać przyszły rozwój ludzkości?

Widzieliśmy, że mówiąc ogólnie, źródłem wielu klęsk społecznych i powolnego rozwoju społecznych organizmów bywał nie brak pomysłów, ale brak ich pojmowania, nie brak inicjatorów, lecz wykonawców. Sądzić jednak wolno, że z biegiem czasu brak ten, gdyby istniał, coraz więk-

szych nieszczęść musiałby się stawać przyczyną. Istotnie jedną z najwybitniejszych oznak życia dzikiego w przeciwstawieniu do cywilizacji jest, jakżeśmy to mówili, jego wybuchowość. Zarówno uspołeczniona forma rozumu t. j. wykształcenie, jak i uspołeczniona forma wzruszeń i uczuć t. j. «przekonanie» działają w sposób, dający się ujmować w pewne określone karby i pozwalający przewidzieć odległe nawet następstwa działań. Otóż, jeżeli brak wykonawców bywał przyczyną klęsk społecznych nawet w takim stanie rzeczy, kiedy genialne błyski rozumu, można było zastępować wybuchami uczucia, to tym dotkliwszą będzie przyczyna złego wtedy, kiedy brak uspołecznionej formy rozumu (wykształcenia) jedynie przy pomocy uspołecznionej formy uczuć i wzruszeń — przy pomocy organicznie zespolonego i nabywanego przez dłuższy czas przekonania — będzie można wetować. Rozszerzająca się coraz bardziej współzależność zjawisk i czynników społecznego życia, coraz większa ich zawilóść i złożoność sprawia w końcu, że wybuchy najlepszych nawet uczuć, że najszczerza chęć zdążania za przewodem nierozumianych bodaj ale budzących ufność przewodników — stanie się bezowocną. Innemi słowy, jedyna metoda postępu — naśladowanie przykładów wyższych — będzie niemożliwością wobec tego, że pomiędzy wzniosłym szczytem geniusza a padolem tłumów rozleje się coraz szerzej ów ocean zjawisk i stosunków, którego bez potężnych statków, bez busoli wiedzy nowożytnej przebyć nie będzie można.

Ale na tem nie koniec. Uznanie konieczności jak najwyższego kształcenia wszystkich ludzi sprowadzi w stosunku do sprawy, zajmującej nas tutaj, zmianę najmniej przewidywaną. Karby nauki porównać można do paska, na którym się prowadzi dziecko: krępuje on swobodę jego ruchów, ale zarazem umożliwia działanie istotnie, do działania niezdolnej. Jeżeli więc, z jednej strony,

zbyt ściśle przepisy i kanony wiedzy skrepują nieraz pomysłowość, zrutynizują oryginalność mniej wybitnych indywidualności męzkich, to natomiast umożliwią one postępowe działanie jeszcze więcej biernym, lęklwym i zachowawczym indywidualnościom kobiecym, które bez tego światła, bez tego przewodnika i drogi utworowanej nie ważyłyby się z miejsca poruszyć. W ten sposób złagodzona zostanie najbardziej podstawowa różnica psychiczna pomiędzy umysłowością żeńską a męską, nastąpi cząstkowa przynajmniej deseksualizacja katabolizmu i anabolizmu w sferze działań duchowych. Nakoniec, przypomnieć wolno, że właśnie owa bierność i naśladownictwo umysłu kobiecego oddadzą nieocenione usługi w zakresie wzorowego i dokładnego wykonania, to zaś pozwoli nam osiągnąć z wszelkiej myśli genialnej wszelkie możliwe jej korzyści. Dotychczas względem wielkich idei i szlachetnych uczuć zachowywaliśmy się tak, jak dziki wobec recepty lekarza, polykaliśmy je chciwie w postaci papieru; odtąd będziemy mieli legiony inteligentnych farmaceutów, którzy z drobiazgową dokładnością odtworzą leczniczy środek i podadzą go próbie życiowej.

## II.

### Tak zwana „intuicya kobieca“.

Dzięki uprzejmości jednego z pisarzy obcych jesteśmy w posiadaniu chwilowem kilku niewydanych oddzielnie szkiców znakomitego socjologa amerykańskiego Lester F. Warda. Ze względu na to, że ogromne jego dzieło *Socjologia dynamiczna* ma być wkrótce przyswojone naszemu piśmiennictwu, podamy tutaj w streszczeniu kilka pomniej-

szych utworów jego, aby duchowa fizyognomia mającego się pomiędzy nami ukazać pisarza wyraźniej zarysowała się przed czytelnikami.

Artykuł «Intuicya kobieca», napisany przez Mr. Grant Allena a ogłoszony w czasopiśmie *Forum*, zwrócił, powiada Ward, baczną moją uwagę nagłówkiem swym; spodziewałem się bowiem, że znajdę w nim nowe przedstawienie tego wielce spornego przedmiotu, roztrząśnięcie jego ze stanowiska nowożytniej biologii i psychologii. Prawie każdy jako tako upowszechniony pisarz wypowiadał się już w ten lub inny sposób o pewnych odrębnościach umysłu kobiecego, o tem, jak bardzo różni się on od męskiego umysłu; zwraca się przytem zwykle uwagę czytelnika na szybkość i zdumiewającą niekiedy trafność sądów kobiecych. Jedynem źródłem, z którego mogłoby pochodzić coś nowego w tej sprawie, jest społeczna biologia rozwojowa. Czytelnik spodziewa się też, że w roztrząsaniu swem Mr. Grant Allen posługiwać się będzie tem źródłem. Mr. Grant Allen, istotnie, usiłuje pójść taką mniej więcej drogą, uczenie rozprawia o doborze naturalnym i t. d., ale nie udaje mu się dokonać właściwego zastosowania zasad naukowych do intuicyi kobiecej. Powiada on, iż jest to pewna odmiana instynktu, że można spoglądać na nią jako na «szczątkową właściwość, dotyczącą głównie jednej płci, jakkolwiek częściowo dającą się też odnaleźć w niektórych przedstawicielach płci drugiej», ale twierdzenia te, o ile są prawdziwemi, nie przedstawiają nic nowego.

Jedno, co zaznaczyć należy o intuicyi ze stanowiska biologii nowożytniej — to to, że jest ona wysoce wyspecjalizowanym rozwojem pewnej zdolności, której celem jedynym była pierwiastkowo ochrona potomstwa oraz matki. Jest to część instynktu macierzyńskiego, to też tak samo, jak we wszystkich instynktach innych, bystrość jej i subtelność pozostają w stosunku prostym do ciasnoty za-

kresu jej działania. Potrzeby zwierząt ograniczają się do dwóch głównie przedmiotów ogólnych: żywności i ochrony; przyroda zaś ponosi wielki wydatek energii na wydoskonalenie zdolności, mających potrzeby owe zaspakajając. Wznosząc się ponad prosty instynkt, spostrzegamy, że w dalszym rozwoju swym przybiera on postać zdumiewającej niekiedy zmyślności. Jest to poprostu ześrodkowanie się zdolności duchowej za sprawą dziedziczności i naturalnego doboru na jakimś jednym przedmiocie, tak, że całokształt danej władzy duchowej dąży do tego jednego, najbardziej ze wszystkich praktycznego celu. Zdolność, rozważana tu przez nas, nie różni się więc prawie od innych tej kategorii uzdolnień.

Zdolność natychmiastowego i trafnego wnioskowania w wypadkach, groźnych dla jej własnego albo dzieci jej bezpieczeństwa, rozwinęła się w kobiecie w ciągu wczesnego okresu dziejów rodzaju ludzkiego, kiedy wynurzał się on ze zwierzęcości, przechodząc do stanu człowieczeństwa; jedynym zdolności owej celem i pożytkiem była ochrona matki i jej potomstwa wobec niebezpieczeństw, groźących im, a rosnących w miarę rozwoju zdolności umysłowych i rozpraszania się ludzi po powierzchni ziemskiej. Nakoniec z ukazaniem się i postępowaniem cywilizacji władza ta stawała się coraz bardziej złożoną, pozostając zawsze na straży rodziny przeciwko wszelkim, zkańdokolwiek bądź wymierzonym ku niej pociskom. W najwyższych okresach oświaty i społecznienia dotąd jeszcze, co dzień i co godzina służy ona bądź ku obronie enoty niewieściej, bądź ku wykrywaniu niewierności męża, osłonie dzieci od wszelkich pokus i wypadków, uniknięciu niesprawiedliwości ze strony złych mężów i ojców, powstrzymaniu finansowych wybryków ich i niedorzecznej rozrzutności. W takich sprawach sąd kobiety zdaje się być już jak gdyby utworzonym zawczasu w jej umyśle, jak gdyby odziedzic-

czonym w postaci zorganizowanego doświadczenia przeszłości zamierchłej, kiedy się zaś nastęrczy odpowiednia sposobność, ukazuje się on natychmiastowo — bez namysłu i bez zastanowienia. Niebezpieczeństwa, jakie groziły kobiecie i jej potomstwu w ciągu całych jej dziejów, nie pozostawiały zazwyczaj czasu na powolne działania umysłu. Musiała ona albo przedsiębrać coś natychmiast, albo ginąć, zaś dobór naturalny zachowywał przy życiu te tylko, które umiały działać w taki sposób — tak że wśród społeczności prawdą jest jeszcze, iż:

«Kobieta, która się namyśla, jest zgubioną»  
prawdą — w znaczeniu o wiele szerszem, niż przypuszczał Addison, autor słów powyższych.

Takim jest tedy zakres intuicji kobiecej; zakres ten nie zbyt ciasny, w każdym jednak razie wyraźnie ograniczony; jest to kobiecego instynkt zachowania przy życiu jej samej i gatunku. Ale przypomnieć tu należy, iż wszelki instynkt rozwinął się w zgodzie ze szczególnem otoczeniem danej istoty, oraz że poza obrębem tego otoczenia jest on nieużyteczny. Znamię jego «nieomyślności», którego nigdy nie zdobywa się całkowicie, znika z chwilą, gdy posiadacz instynktu usunięty zostanie z otoczenia, gdzie instynkt ów musiał się wytworzyć. Tak samo też ma się rzecz z owym dodatkowym współobjawem instynktu macierzyńskiego, zwanym przez nas intuicją kobiecą. Posiada on wartość oraz istnieje rzeczywiście tylko w oznaczonym wyżej zakresie swego działania zwykłego. Poza tą dziedziną sądy kobiet nie więcej są «nieomyślne» od sądów mężczyzn, do tego zaś, aby można ufać im jednako i wierzyć w ich dokładność, wymagają one takich samych danych i takich samych procesów rozumowania, jak i wywody, do jakich w sprawach życiowych dochodzą mężczyźni.

Takiem może być naukowe wytlómaczenie intuicji

kobiet: dziwnem też się wydaje, iż Grant Allen nie rozumiał tego zupełnie, że zaś nie rozumiał — to widać z jego, prawie wciąż jakąś przejętej postawy wobec przedmiotu jego artykułu. Zdaje się on spoglądać nań, jak na coś tajemniczego i czarodziejskiego, nadprzyrodzonego nawet, niedającego się ująć rozumem ludzkim i przekraczającego jak najzupełniej wszelkie znane prawa przyczynowości — widzi on w tem, jak gdyby pewnego rodzaju siłę «mityczną», wobec której zadawalniać się musimy admiracją i niemym podziwem. Spoglądając na intuicyę kobiet jak na pewnego rodzaju zdolność nadprzyrodzoną, nie widzi on, rzecz jasna, powodów, dla których zdolność owa nie miałyby objawiać się w jednym kierunku również dobrze, jak i w drugim — zupełnie tak samo, jak ci, którzy nie znając się na meteorologii, nie widzą powodów, dlaczegoby stacya meteorologiczna nie miała tak dobrze przepowiadać pogody na jeden rok, jak i na jeden dzień z góry. Jak już zauważono, intuicya — tak w mężczyźnie jak i w kobiecie — nie jest niczem innym, jak tylko sądem o danej sprawie, już wytworzonym (tkwiącym) w umyśle i opartym na jakichś danych prawowitych. Należy przyznać, że nałóg swój tworzenia wniosków natychmiastowych wiele kobiet rozciąga do takich dziedzin życia, w których nie posiadają żadnego zasobu nagromadzonych doświadczeń, z jakich można byłoby poprawnie wnioski takie budować; jakoż wywody te bywają zazwyczaj błędne. Owa to właśnie większa ze strony kobiet podatność na błędy w razie konieczności rozstrzygania szerszych zagadnień społecznych i państwowych zniechęca mężczyzn, a niekiedy same nawet kobiety, do otwierania im wstępu do takich dziedzin działalności, jakkolwiek, zresztą, podobnem to jest bardzo do zakazywania dziecku, aby nie wchodziło do wody, zanim nie nauczy się pływać.

Poza owym pierwiastkiem instynktu, nakłaniającym

kobiety do szybkiego myślenia i wnioskowania pośpiesznego o wszystkich przedmiotach, nie ma w istocie żadnej innej różnicy pomiędzy kobietą a mężką zdolnością wyprowadzania wniosków słusznych. Różnice, istniejące tutaj, wpływają z innej już przyczyny nie zaś z odmienności władzy: są one nadewszystko następstwem niejednakiej potęgi umysłowej oraz niejednakiego stopnia oświaty. Pod pierwszym z tych dwu względów mężczyźni, jak wiadomo, różnią się wielce pomiędzy sobą, czy zaś poziom ogólny umysłowości mężczyzn wyższy jest od ogólnego poziomu kobiecej umysłowości — to mogłoby być przedmiotem sporu. Niewątpliwie potęga owa większą jest u wielu kobiet, niżli u wielu mężczyzn. Co do drugiej przyczyny, to różnica pomiędzy dwiema płciami jest tu bardzo widoczną; ale dlaczego tak się dzieje? Jest to sprawa, podlegająca kontroli społeczeństwa, zagadnienie niezmiernie ważne: czy jednej płci mamy odmawiać środków wytworzenia zdrowych sądów, oraz żywienia poglądów słusznych i poprawnych mniemań o tem, co uważamy za najważniejsze zagadnienie życia ludzkiego? Jeśli nie poczytujemy tego za rzecz pożądaną, to zapobiedz złemu można przez wykształcenie, jakkolwiek wykształcenie owo musi być czemś więcej, niż to, co możemy osiągnąć z książek oraz z instytucyi nauczających. Te ostatnie należy zapewne otworzyć kobiecie, tak samo jak i mężczyźnie, ale potrzeba też udostępnić jej wszelkie inne źródła wiadomości; ostatecznie zaś jedynie bezpośrednie zetknięcie się ze sprawami świata uzdalnia zarówno kobiety, jak i mężczyzn, do należytego pełnienia właściwej im roli.

Nadto mniemane podobieństwo pomiędzy intuicyą kobietą a objawami geniuszu jest nietylko urojeniom i nietylko urojeniem i niedorzecznością, ale przedstawia właśnie opaczny obraz stosunku tych dwu właściwości ducha. Intuicya kobieca, jak to już wykazano i jak, zresztą, nieu-

chronnie wynika z samego sposobu jej rozwijania się i z samego jej celu — jest zasadniczo podmiotową i samolubną (egoistyczną) <sup>1)</sup>. Jedyńm jej przedmiotem jest sam osobnik oraz to, co się od niego prawie nie odróżnia (potomstwo). Jest ona osłoną osobowości swojej posiadaczki, jest najgłośniejszem domaganiem się istnienia osobistego, jak najsilniejszym wypowiedaniem się żądzy życia i jak najdalszą jest od wszelkiej kontemplacji jakiegokolwiek bądź prawdy dla niej samej, od zesrodkowywania zdolności umysłu nad czemś idealnem lub oderwanem. Nawet w najwyższych swoich postaciach zachowuje ona taki właśnie charakter, w społeczności zaś ucywilizowanej staje się ona wcieleniem wszystkiego, co jest prozą i praktycznością w życiu, przeciwstawieniem wszystkiego, co jest poetyczno-estetyczne.

Geniusz jest właśnie przeciwieństwem tego wszystkiego. Jest on czysto-przedmiotowy i nieosobisty; pomija własną jaźń i gardzi pospolitostami życia; neguje on i wyklucza żądze, zesrodkowuje się zaś całkowicie na rzeczach czysto idealnych i oderwanych. W każdej dziedzinie sztuki: w rzeźbie, malarstwie, poezyi, muzyce, piśmiennictwie nadobnem, filozofii, nauce — wszędzie, gdzie tylko istota geniuszu wypowiadać się może, podrzędniejsze potrzeby ciała zapomniane są albo ujarzmione, zamiłowanie życia i żądza jego uciech, zachowania i uwiecznienia gatunku są usunięte, wszystko zaś, co należy do tego świata, co może być uważanem za rzecz praktyczną, poświęconem bywa w pogoni za ideałem, za prawdą oderwaną, wyrażającą się w kształtach, barwie, dźwięku, głosie, lub faktie zewnętrznym.

Ale wszystko to powiedziano już oddawna. Wie o tem dobrze Grant Allen; to też dla wytłomaczenia sobie jego

<sup>1)</sup> Tej całkiem dowolnej a krytykowanej przez nas charakterystyki intuicyi, jako czegoś »samolubnego«, nie zarzucił też Ward w nowszej pracy swojej *Psychic Factors of Civilization*, 1893.

tak rażącego błędu należy przypuścić, iż nie rozumiał on zasadniczej przyrody i stanowiska psychologicznego roztrząsanej przez siebie intuicji kobiet.

Warto zaznaczyć tutaj, że istotną przyczyną tego, dlaczego kobiety zawsze zdawały się posiadać tak mało geniuszu w porównaniu z mężczyznami, była właśnie przewaga w nich owej zdolności intuicyjnej. Z przyrody swojej, jak objaśniono wyżej, nie daje się ona pogodzić z rozwojem wielkiego geniuszu; to też w miarę potęgowania się jego — ona musi zanikać. Co większa, chociaż geniusz jest czemś więcej, niżli «nieograniczoną zdolnością do pracy», to jednak wyrzeczenie to znakomicie może posłużyć ku rozproszeniu dość upowszechnionego przesądu, iż nie jest on od pracy zależnym. Geniusz każe nam z góry domyślać się istnienia nie tylko pracy, ale i jej materiałów. Jest on władzą wydobywania prawdy z pośród faktów, wszelka zaś prawda opierać się musi na podstawie faktycznej. Mężczyzna rozwinął w sobie większy geniusz, niż kobieta — w znacznej mierze dlatego, iż był w posiadaniu bardziej rozległego zasobu faktów, jedyne go materiału, z którego geniusz może czerpać i tworzyć, t. j. wiedzy. To też jeśli kobiety mają kiedykolwiek objawić takąż, jak mężczyźni, potęgę geniuszu, potrzeba dostarczyć im takich samych materiałów, materiałów surowych, materiałów, których żadne przymioty umysłu nie zastąpią nigdy. Ale gdy się je tak zaopatrzy, nie będzie żadnego powodu do powątpiewania, iż zdolnemi staną się one do równie potężnych polotów geniuszu; bliższe zaś zapoznanie się ich z mikrokosmosem społecznym mogłoby, jak napomyka Grant Allen, nadać geniuszowi ich znamiona swoiste.

Podług Grant Allena «wielcy ludzie zawdzięczają prawdopodobnie znaczną część swej wielkości zdolnościom imaginacji oraz intuicji, jakie nabyli po swoich matkach»; sądzi też on, że, podług jego spostrzeżeń własnych, ludzie

genialni bywali synami takich matek, w których przymioty tej intuicji kobiecej wysoce były «rozwinięte». Otóż, naprzód zdolność imaginacji i zdolność intuicji właśnie są zdolnościami wbrew przeciwnymi sobie, gdyż intuicja jest czysto postrzegawczą, percepcyjną zdolnością; stanowi ona przeciwieństwo z imaginacyjną czyli twórczą zdolnością geniuszu. Najpospolitszy pogląd, przez filozofów wyznawany, jak również uzmysławiany ciągle przez biografów, jest właśnie jak gdyby zaprzeczeniem zdania Grant Allena i świadczy, że «wielcy ludzie» i «ludzie genialni» bywali synami matek wyjątkowo inteligentnych i wykształconych; łatwo byłoby wyliczyć tutaj setki przykładów, w których podobne przymioty umysłu mężczyzn słusznie lub niesłusznie przypisywane były podobnej umysłowej wyższości ich matek, ale nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek przypisywano je wielkim zdolnościom emocjonalnym albo intuicyjnym postrzeganiom. Pan Grant Allen miał prawdopodobnie na myśli przykłady takie, w których kobiety wielkiego geniuszu były matkami mężczyzn jeszcze bardziej genialnych, skoro bierze za jedno geniusz oraz intuicję t. j. dwie rzeczy jak najbardziej do siebie niepodobne. Kobiety geniuszu istotnego mają bardzo słabe zdolności intuicyjne, są one pospolicie raczej obojętnymi na sprawy domowe, będące istotną dziedziną i ogniskiem takich zdolności.

Najbardziej upowszechniony pogląd, bez względu na jego słuszność lub niesłuszność, każe mniemać, że kobiety wielkich uzdolnień umysłowych, należących bądź do zakresu geniuszu, bądź talentu, albo też znanych pod nazwą bardziej pospolitą, jakkolwiek mniej określoną — inteligencji ogólnej, wyjątkowego wykształcenia, szerokości umysłu i kobiecej mądrości — przekazują je swemu potomstwu męskiemu. Nie bronię obecnie tej teorii, jakkolwiek, zdaje się, że spoczywa ona na poważnej podstawie faktów

oraz że prawdą być musi, iż przymioty owe wraz z innymi przekazywane bywają dziedzicznie. Chcę tylko wykazać, że Grant Allen nie zrozumiał owej teorii, że spaczył ją, stawiając natomiast własną, nie popartą faktami, a gwałcącą, prawa dziedziczności i przyczynowości, czyniącą pewną kategorię przymiotów duchowych rodzicielką przymiotów całkiem innych, nawet im przeciwnych.

Jeśli jest prawda w owej teorii popularnej, to świadczy ona tylko, że istotna droga postępu ludzkości prowadzi do jak najszerszego kształcenia matek. Posiadają już one intuicję, jakiej im potrzeba; przyroda zaopatrzyła je w nią w stopniu większym, niż tego wymagają dzisiejsze ich warunki. Jeżeli, jak to na niekorzyść własnej teorii utrzymuje Grant Allen, wzrasta ona z postępem cywilizacji, to niewątpliwie niemasz żadnej potrzeby sztucznego jej potęgowania, żadnej obawy, że płeć żeńska postrada ją przy wykształceniu. Ktokolwiek pokłada ufność w ewolucyi, nie sądzi, iżby zasadnicze znamiona płci, niezbędne do utrzymania ludzkiego rodzaju, doznały poważnych niebezpieczeństw ze strony jakichkolwiek teorii albo urządzeń ludzkich. Rodzaj nasz trwać będzie jak dotąd, jeżeli zaś niejakiemu uszczuplenie ilości oraz odpowiednia poprawa jakości tego dość obfitego lecz nigdy zbyt doskonałego rodzaju będzie wynikiem większego oświecenia kobiet, to rodzaj ów zyska tylko na tem. Ale w istocie, wzniesienie się kobiety do umysłowego poziomu, dorównywającego mniej więcej poziomowi mężczyzny, wpłynie raczej na pomnożenie nie zaś na uszczuplenie naszej rozrodczości. Dążność do nieplodności w klasach, wyżej stojących umysłowo, dążność, którą tak bardzo oplakuje Grant Allen, całkowicie wypływa z tego zaznaczonego przezeń wyraźnie faktu, że płci obie tak bardzo oddaliły się od siebie; mężczyzna wyspecjalizował się w «umysłowości logicznej», podczas gdy kobieta uczyniła specjalność swą z «emocji oraz in-

tuicyi», to bowiem równa się twierdzeniu, że podczas kiedy mężczyzna postępował naprzód, kobieta pozostawała poza nim, w zupełnej niezgodzie ze swoim wyższem i bardziej zawilem otoczeniem. Mężczyzna osiągnął wyżyn, na których więcej mu idzie o towarzystwo duchowe, niż o zaspokojenie instynktów rozrodczych i dopóki towarzystwa takiego w kobiecie nie znajdzie, nie chce przysługiwać się interesom gatunku kosztem własnego swego dobrobytu.

Jest tedy rzeczą prawie pewną, że intuicyi kobiecej, która w sposób, opisany wyżej, stała się prawie zwykłym jej trybem myślenia, nie można ufać, gdzie idzie o szersze sprawy ludzkiego życia i działania. Kobieta musi być albo utrzymywaną w owej ciasnej zagrodzie, w której ta zdolność intuicyjna się rozwinęła, t. j. mniej więcej w stanie ciągłego dzieciństwa, co proponował Comte, albo też, jeśli się ją dopuści do dziedzin bardziej rozległych, potrzeba będzie zaopatrzyć ją w coś więcej niżli ugruntowane doświadczenie przeszłości zamierzchłej, będące podstawą jej umysłowego działania, zwanego przez nas intuicyą.

Z pomiędzy dwóch teoryi Grant Allena i Warda, takiej, która w intuicyi kobiet widzi jakąś prawie cudowną, im tylko właściwą zdolność, i takiej, która ową zdolność uważa li tylko za rozszerzenie instynktu macierzyńskiego, nie moglibyśmy przystać na żadną. Dla uzasadnienia poglądu innego musimy przedewszystkiem postarać się o należyte określenie intuicyi; od tego, zresztą, powinien był rozpocząć dowodzenia swoje zarówno Grant Allen, jak i Ward. Pozwoliłoby to jednemu z nich, Wardowi, uniknąć nieuzasadnionego ograniczania intuicyi do sfery instynktu macierzyńskiego, zaś Grant Allenowi dałoby możliwość głębszego wejrzenia w istotę sprawy i wykluczenia z niej wszelkich pierwiastków cudowności.

Intuicyę możemy określić jako zdolność prawowitego kojarzenia takich wyobrażeń i wrażeń, które przedtem sy-

stematycznie i świadomie w umyśle danego osobnika wyjarzonemi nie były, innemi słowy — jest to zdolność wykrywania takich stosunków, jakich uprzednio nie wykrywało nam żadne badanie systematyczne. Wynika ztąd, że zakresem działania intuicji jest dziedzina nieuporządkowanych jeszcze, nie usystematyzowanych wrażeń i pojęć. Znaczyłoby to, że intuicję utożsamiamy z wynalazczością; jakoż tak jest istotnie: intuicja jest to wynalazczość w znaczeniu najobszerniejszem i najogólniejszem. Wszelki akt intuicji jest wynalazkiem, odkryciem czegoś nowego dla osobnika, jakkolwiek w życiu praktycznem nazwą wynalazków oznaczamy tylko pewną kategorię intuicji — tych tylko, które się uzewnętrzniają w postaci jakichś rzeczonych nabytków kultury. Wykrycie tego, że przyczyną smutku danej osoby jest powodzenie jej współzawodnika, nie różni się w istocie swej od wykrycia tego, iż para może poruszać tlokiem maszyny; jednakże w życiu praktycznem tylko to drugie odkrycie otrzyma miano wynalazku.

Bez względu na mniejszą lub większą intuicyjność danego umysłu, tym częściej będzie się on musiał uciekać do intuicji, im większą będzie sfera jego pojęć nieusystematyzowanych jeszcze i nieuporządkowanych; osobnik taki musi być intuicyjny z konieczności. Jedno z dwojga: albo zdoła on stosunkiem prawowitym połączyć dwa jakieś domagające się połączenia terminy, albo też pozostanie wśród chaosu przyczyn i skutków i zginie w walce o byt, jeśli tylko nie uratuje go naśladownictwo. Rzecz jasna, że dobór naturalny dąży do upowszechnienia takich jednostek, które w warunkach nowych okażą się najbardziej intuicyjnymi, zdanie to przypomni czytelnikom pokrewne poglądy Warda; różnica jednak polega tu na tem, że autor ów zdaje się stosować swoje prawo tylko do instynktu macierzyńskiego, podczas gdy u nas jest ono bardziej po-

wszechnym wyrazem tej sfery stosunków. Związanie intuicyjności kobiet z instynktem macierzyńskim daje Wardowi sposobność powiedzenia słów kilka o roli uczuć w intuicji; co do nas, to zauważymy tutaj, że, niezależnie od płci i wieku, nasze wywody intuicyjne bardziej podlegają dodatnim albo ujemnym wpływom uczucia, aniżeli wnioski w zakresie pojęć bardziej usystematyzowanych. Dzieje się tak naprzód dlatego, że rozmaite emocje — obawa, miłość i t. p. znajdują obszerniejsze dla siebie pole działania wobec stosunków nieznanych. Powtóre dlatego, że wzruszenia owe bywają właśnie najczęściej pobudką, zmuszającą umysł do wycieczek w sferę tych nieznanych stosunków. Po trzecie zaś bywa tak dlatego, że wskazówki i ostrzeżenia sformułowanych już dawniej i ustalonych sądów rozumu nie hamują tutaj działania wzruszeń niezasadnionych, tak jak w wypadku operowania umysłu pośród znanych mu stosunków.

Jeżeli sferą działania intuicji jest dziedzina pojęć nieusystematyzowanych, to wynika ztąd, że systematyczne kształcenie umysłu wpływa na zmniejszenie jego intuicyjności. Wpływ ten dwiema działa drogami: naprzód przez wytworzenie w umyśle nałogu systematycznego przechodzenia od przedmiotu do przedmiotu, od pojęcia do pojęcia, powtóre przez wprowadzenie do umysłu znacznej liczby pojęć i wyobrażeń, o które myśl w pośpiesznym pochodzie swoim zawadza częstokroć niepotrzebnie.

Wszystko, cośmy powiedzieli dotychczas, przygotowuje nas aż nadto do odrzucenia poglądu, uważającego intuicyjność za wyłączne znamię umysłu kobiet albo też widzącego w niej rozszerzenie instynktu macierzyńskiego. Nadto, nie uznając już w intuicji jakiejś płciowej cechy umysłowości ludzkiej, możemy tu zarazem powiedzieć: dla czego kobiety w porównaniu z mężczyznami odznaczają się istotnie większą a właściwie częstszą dozą owej zdol-

ności oryentowania się w sferze stosunków nieznanymi. Inaczej jak intuicyjnie rozumować one nie mogą dla tej prostej przyczyny, że umysł ich nie posiada ani materiałów, ani metod rozumowania systematycznego. Sądy ich intuicyjne w większości wypadków okazują się fałszywymi, błędność ich wszakże niczyjej nie zwraca uwagi, jako rzecz całkiem naturalna; trudno jest bowiem spodziewać się wniosku poprawnego od osoby, której nie dano możliwości poznania jego przesłanek. Natomiast wszelki sąd trafny, wydany w takich warunkach, zwraca na siebie baczną uwagę otoczenia, jako rzecz niezwykła, i wzmacnia ogół w dobrem mniemaniu o wyjątkowej intuicyjności kobiet.

Zrozumiemy również, o ile niesłusznym jest ograniczenie przez Warda intuicyjności kobiet do zakresu instynktu macierzyńskiego, w dziedzinie tej objawia się intuicyja ich poprostu dlatego, iż jest to najpospolitsza działy ich sfera, w której nadto najbardziej czynnymi są ich uczucia, popychające je do intuicyjnego sądu. W innych zakresach są kobiety i muszą być jeszcze bardziej intuicyjnymi, gdyż stosunki odnośne są im mniej znane, mniej uporządkowane przez ich umysłowość. Jeżeli zaś ogół nie dostrzega szczególnych objawów intuicyjności ich w owych zakresach, to jedynie dlatego, że, operując małymi ilościami danych, umysł kobiecy daleko rzadziej trafia tam na skojarzenia prawowite t. j. zwracające uwagę, niż w zakresie pojęć i wrażeń, jakkolwiek również nie usystematyzowanych niemniej jednak liczniejszych.

Kilka przykładów uzmysłowi nam twierdzenia powyższe. Naprzód postaramy się zrozumieć: w jaki sposób wykształcenie systematyczne — niezależnie od wieku i płci — zmniejsza intuicyjność naszego umysłu w zakresie stosunków już usystematyzowanych.

Wielokrotnie zdarzyło się nam słyszeć, że kobieta

w roli sędziego śledczego byłaby daleko prędzej dostrzegła winowajcę, niż mężczyzna, a to kierując się jedynie intuicyą, badając wyraz twarzy delikwenta. Pomoc taka w niektórych wypadkach byłaby zapewne cenną, ale nie o to idzie w tej chwili. Mamy raczej wysświetlić: dlaczego niekiedy niewyćwiczona w prawie kobieta trafniej odgadłaby winę lub niewinność, aniżeli prawnik wykwalifikowany. Badanie przestępców ułożyło się już w umyśle mężczyzny w pewien stały szemat teoretyczny: musi on przede wszystkim zaznaczyć wiek, miejsce urodzenia, i t. p. osobnika badanego, dalej — gwoli zapamiętaniem i tkwiącym w jego głowie wskazówkom nauki — musi przekonać się o istnieniu lub nieistnieniu dowodów rzeczowych; następnie, dzięki doświadczeniu swemu, wie on, że pozory częstokroć go zawodziły. Słowem, myśl jego musi przebywać dawno utworowane drogi, zawadzać o pojęcia i wspomnienia, które go nieraz od prawdy odciągają. Jeżeli zaś nawet — na podstawie praktyki długoletniej — odrazu oceni trafnie stan rzeczy, uczyni to nie intuicyjnie, ale jak najbardziej świadomie i ku uzasadnieniu poglądu swego będzie mógł przytoczyć dane wystarczające. Inaczej ma się rzecz z kobietą. Z pomiędzy nielicznych, w umyśle jej tkwiących pojęć i wyobrażeń z danego zakresu, ukazą się na widok zbrodniarza te tylko, których skojarzenie się w danym wypadku będzie jak najprawdopodobniejszym; myśl jej nie potrzebuje przebywać owej sieci dróg badania systematycznego, nie roztrąca się o niepotrzebne w tym danym razie, jakkolwiek niezbędne najczęściej, wskazówki teorii. Domyśl może okazać się trafnym, powodzenie zaś podnosi zasługę jej nadmiernie. W pewnym dworze zapaliła się owczarnia, obecna temu kobieta pochwyliła koźuch barani, a włożywszy go szerścią do góry, przybrała postawę czworonoga i wyprowadziła za sobą wszystkie owce. Można utrzymywać z całą pewnością, że w chwili,

kiedy na pomysł swój wpadała, w głowach mężczyzn, którzy tam byli, przesuwają się wyobrażenia: drabin, konewek, sikawek, łańcuchów z ludzi, mokrych płacht i wogóle cały ten szemat systematycznego ratowania budowli płonących, w jakim daleko częściej udział czynny biorą mężczyźni, niż kobiety. Mniej zrutyinizowany umysł kobiety dokonał tym razem skojarzenia bardziej szczęśliwego. W dziesięciu innych wypadkach natomiast ta sama kobieta — zarówno pod wpływem miotającej nią trwogi, jak i dzięki brakowi systematycznej znajomości spraw podobnych — wpadaćby mogła na pomysły i skojarzenia jak najniedorzeczniejsze, mogłaby «tracić przytomność» chwając np. z pośpiechem rzeczy bez wartości, gdy tymczasem umysł obytego z ogniem mężczyzny nigdy nie byłby zboczył tak bardzo z drogi należytej, jakkolwiek często mógłby niepotrzebnie przebiegać po jakiejś dawno utorowanej ścieżce, nie prowadzącej do celu w danym razie.

Jeżeli intuicyjność nie stanowi odrębnego znamienia umysłowości kobiet jako takich, jeżeli właściwą im jest w stopniu większym jedynie dlatego, że umysł ich mniej podlegał i podlega karność kształcenia systematycznego, to łatwo będziemy mogli odpowiedzieć tu na pytanie: jakie wogóle kategorie umysłów odznaczać się muszą większą intuicyjnością? Oczywiście, umysł bardziej wykształcony posiadać ją będzie — (w zakresie usystematyzowanych już przez wykształcenie pojęć) — w stopniu mniejszym, niżli umysł niewykształcony w ten sposób; a więc umysł człowieka pierwotnego będzie bardziej intuicyjnym, niż umysł przedstawiciela społeczeństw cywilizowanych, umysł dziecka — bardziej, niż umysł człowieka dojrzałego, umysł kobiety — więcej, niż umysł mężczyzny. Nie znaczy to, że wobec pewnych warunków danych człowiek ciemny, kobieta lub dziecko zawsze zachowają się przytomniej, niżli jednostka wykształcona, znaczy zaś tylko, że postępek ich

będzie wynikiem samorzutnego skojarzania się terminów, nigdy nie kojarzonych dawniej świadomie w ich myśli, podczas gdy wykształcony osobnik do swojego wniosku dojdzie drogą utartą powtarzanych już wielokrotnie rozumowań. W praktyce życia bardzo trudną tu bywa należyta ocena istotnego stanu rzeczy; zdarza się częstokroć, że tak zwane instynktowe, «intuicyjne», postępowanie prostaczka — np. wieśniaka wobec zbliżającego się a groźnego zjawiska przyrody — jest tylko aktem posłuszeństwa, względem jakichś odwiecznych, tradycyjnych przepisów mądrości życiowej, wyrobionych na podstawie doświadczenia przodków i przechowywanych w umyśle całkiem świadomie. Oto np. w czasie burzy chłop przypada do ziemi; nie jest to postępek, którego powody mógłby on sobie uzasadnić teoretycznie, ale kroku takiego nie możemy nazwać intuicyjnym, gdyż odnośny przepis, zupełnie sformułowany, całkiem świadomie tkwi w umyśle chłopca. Z drugiej strony, w świadomem i systematycznie przeprowadzonym rozumowaniu ludzi wykształconych zawiera się zawsze pewna doza intuicji — o ile sprawa dotyczy wykrywania stosunków nowych pomiędzy terminami, usystematyzowanymi już dawniej.

Myliłby się też bardzo ten, kto by sądził, że wykształcenie wpływa na słabnięcie intuicyjności umysłów wogóle: oddziaływa tak ono li tylko w sferze stosunków już usystematyzowanych przez się. Ponieważ jednak przy wszelkiem badaniu naukowem, przy wszelkiej przeto systematyzacji pozostaje to, co Lewes nazywa niezbadaną resztką (*unexplored remainder*) — a więc pozostaje jakaś ilość terminów nowych, które nowego domagają się usystematyzowania — tedy zarówno pole jak i środki działania naszej intuicji bynajmniej się nie zmniejszają. Polem jej nowem stają się nowo-wprowadzone do umysłu luźnie, nieustosunkowane terminy, środkami zaś — analogie stosunków, gdzie-

indziej przez badanie wykrytych. Oto np. chemik, badając rozmaite ciała i związki, natrafia na nowe pierwiastki chemiczne, na nowe ich połączenia: stanowią one materiał jego intuicyi a zarazem nowe jej pole działania; z drugiej strony analogie stosunków, poznanych dawniej, pozwalają mu już przed zbadaniem systematycznym ciał owych powiedzieć coś o możliwych ich połączeniach i stosunkach, a nawet wprost pozwalają przewidywać istnienie zgoła niepoznawanych jeszcze nigdy pierwiastków. Analogie te są środkami intuicyi. Wobec tego łatwo zrozumiemy, że im bardziej wykształconym jest człowiek, tym szersze pole otwiera się zdolnościom intuicyjnym, tym potężniejszemi stają się narzędzia ich działania — tam oczywiście, gdzie intuicya jedynie działać może, t. j. w zakresie pojęć jeszcze nieusystematyzowanych. Zarzuci ktoś może, iż dziełem intuicyi bywa nie tylko wykrywanie stosunków nowych, ale również burzenie ustalonych dawniej stosunków, ostatnia ta czynność jednakże jest jedynie następstwem wykrycia lub uwzględnienia nowego terminu, a więc następstwem działania w sferze terminów jeszcze nieustosunkowanych. Z naszego określenia intuicyi wynika, że geniusz odznaczać się nią będzie w stopniu niezwykłym; geniusz określić nawet można jako niezwykłą zdolność intuicyjnego wykrywania stosunków nowych. Określenie takie — wobec teorii spokrewniającej geniusz z obłąkaniem — należałoby uzupełnić tym jeszcze dodatkiem, że wykrywanie owo posiada zazwyczaj kierunek jednostronny, co spokrewnia tę czynność z monomanią.

Łatwo też możemy spostrzedz, jak dalece niepotrzebnem i płonnem jest usiłowanie Warda wykryć jakąś zasadniczą sprzeczność pomiędzy geniuszem oraz intuicyą kobiecą. Intuicya owa, o ile nie jest prostem, przymusowym zgadywaniem umysłu ciemnego, o ile istotnie w sfe-

rze pewnych nieusystematyzowanych jeszcze a życiowo dostępnych dla kobiety terminów wykrywa stosunki nowe — jest znamieniem geniuszu. Wyrokować o tem w każdym wypadku konkretnym bywa o tyle trudno, że nie wiemy, czy intuicyjne odkrycie nie jest li tylko szczęśliwym trafem. Gdyby jednak wykazano dowodnie, że dany umysł kobiecy w ograniczonym działaniu swego zakresie bardzo często natrafia na skojarzenia prawowite, nie mielibyśmy żadnego powodu nieuszanowania w tem objawów geniuszu. Nic to nie znaczy, że ten sam umysł w zakresie szerszym nie mógłby zadaniu podołać; o genialności stanowią tu nie zakres i nie materiał działania, ale sam charakter operacyi. Geniusz muzyczny, który poza szczęśliwem kojarzeniem tonów do żadnej innej pracy duchowej nie jest zdolny — nie przestaje być geniuszem.

Wszystkie, podane przez Warda, znamiona, mające niby odróżniać intuicyę kobiet od geniuszu, albo żadnej zgoła nie mają podstawy, albo są tylko odróżnieniem tego, co intuicyą nie jest, od tego, co ma na sobie piętno intuicyjności.

Przedewszystkiem znaczna część owych mniemanych różnic dotyczy zakresu moralności lecz nie działań umysłowych; jakkolwiek zaś, biorąc ogólnie, wyższemu rozwojowi rozumu towarzyszy, a nawet musi towarzyszyć wyższy rozwój etyczny, to jednak w wypadkach poszczególnych, a zwłaszcza pod wpływem pewnych nienormalnych warunków społecznych, genialność umysłu stawać się może nawet narzędziem atawistycznych instynktów moralnych. «Genialny złodziej» nie jest bynajmniej li tylko humorystycznym zestawieniem sprzeczności ale częstokroć wyrazem istotnego ustosunkowania terminów. Niższy stopień moralności kobiet nie jest ani znamieniem, ani współobjawem ich intuicyi, lecz stanowi poprostu następstwo towarzyskiego i społecznego ich stanowiska. Bardziej trafiają-

cem na pozór do przekonania jest przeciwstawianie abstrakcyjności geniuszu — konkretności umysłu kobiecego. Ale mniemana ta różnica również nie ma nic wspólnego z intuicyją. Genialność, jak wiemy, polega na intuicyjnym wykrywaniu stosunków nowych, ale ten fakt, że znani nam geniusze świata bywali zwykle ludźmi bardziej «abstrakcyjnymi» nie stanowi bynajmniej zasadniczej cechy ich genialności. Musimy to wyjaśnić. Zarówno genialnym jest intuicyjne wykrycie nowego stosunku pomiędzy terminami konkretnymi, jak i pomiędzy abstrakcyjnymi terminami; różnica jest tutaj tylko ilościowa, ale jakościowo oba te działania nie różnią się od siebie. Ponieważ jednak owocem skojarzenia terminów oderwanych bywa zwykle jakieś uogólnienie, dotyczące mnóstwa konkretnych terminów, więc łatwo zrozumieć, dlaczego większą uwagę naszą zwraca na siebie operacja pierwsza, podczas gdy tyśiące poszczególnych skojarzeń konkretnych przechodzą niepostrzeżenie. Główną rolę odgrywają tu naprzód względy praktyczne, a potem uwielbienie dla potęgi umysłu, który opanowuje materiał tak bogaty; ale charakter operacji tego umysłu pozostaje takim samym, jak przy intuicyjnym kojarzeniu dwu prostych terminów konkretnych. Umysłowość kobiet jest bardziej «konkretna» bynajmniej nie wskutek swojej intuicyjności, ale intuicyjność ich działa przeważnie w zakresie konkretów z przyczyn od siebie niezależnych, działa tak samo, jak intuicyja geniuszów niektórych w dziedzinie abstrakcji.

Zważywszy, o ile duchowy pokarm nawet prostego chłopca, biorącego udział w zebraniach gminnych, jeżdżącego tu i owdzie po szerokim świecie, jest bardziej abstrakcyjnym od umysłowej strawy jego towarzyszk, będziemy mogli zrozumieć «konkretność» intuicyji kobiet. Zrozumienie to jednak nie powinno podkopywać w nas

przekonania, że intuicyja owa — gdy tylko działa jako tako — jest istotnym objawem geniuszu.

Nie podobna wątpić, że dopuszczone do działalności szerszej kobiety w ich obecnym stanie kultury i społeczeństwa wyrządziłyby światu wielką szkodę, że intuicyjność ich, objawiająca się dziś w ciasnym ich zakresie, niewiele przyniosłaby pożytku, często zaś bywałaby przyczyną błędów. Nie miałyby one wówczas owych «analogii» umysłowych, o jakich wspominaliśmy wyżej, a jakie stanowią jak gdyby atmosferę, którą bezwiednie wchłania w siebie i z której bierze narzędzia swoje geniusz. Dalej, gdyby kobiety zaopatrzono we wszystkie, dostępne mężczyznom dobra kultury, ogół kobiet w szerszym zakresie działania intuicyjnością swoją nie więcejby się odznaczył, nie większy przyniósłby pożytek od ogółu mężczyzn. Ale świadczyłoby to tylko: 1) że z pomiędzy kobiet niektóre odznaczały się jedynie intuicyją przymusową, t. j. nie odkrywały lecz zgadywały prawdę, i 2) że nawet kobiety istotnie intuicyjne w zakresie szczerpłym nie zawsze mogą być takimi w szerszym zakresie, a to albo dla braku podniecających je szerszych uczuć, albo też poprostu dlatego, że ilościowo geniusz ich niższym jest od genialności tych, którzy intuicyjnie kierować się mogą w szerszej dziedzinie nieusystematyzowanych jeszcze stosunków. W żadnym jednakże razie nie świadczyłoby to, że intuicyjność ich umysłu, o ile ukazuje się naprawdę, jest przeciwstawieniem geniuszu pod jakimkolwiek bądź względem.

---

III.

**Darwinizm i kwestya kobieca.**

Obrońcy przywileju nie zawsze walczą bronią zużytą. Chęć utrzymania się na stanowisku dogodnem wkłada im do rąk taki oręż, jaki w każdym innym wypadku, w razie niezakłóconego niczem użytkowania z przywileju byłiby odrzucili z oburzeniem, jako «niebezpieczne nowatorstwo». Wiadomo wszystkim, iż nienawidzona przez zachowawców teoria darwinowska służyła im już nieraz ku usprawiedliwieniu... arystokracji rodowej. W podobny też sposób posługiwano się często Darwinem i jego «doborem naturalnym» dla uzasadnienia uprzywilejowanego stanowiska mężczyzny względem płci słabszej. Daleki jestem od przypuszczenia, że wszyscy szermierze starego rzeczy porządku kierują się w tej walce li tylko poczuciem interesu osobistego; sądzę, że, przeciwnie, jest pośród nich wielu, którym naprawdę się zdaje, że ewolucjonizm powinien jak najenergiczniej protestować przeciwko «uroszczeniom» kobiet, mającym na celu obalenie «przyrodzonego prawa». Wobec takiej możliwości przekonani zupełnie szczerych, tem pilniejszą i tem bardziej zajmującą staje się rzeczą roztrząśnięcie istotnego stosunku t. zw. kwestyi kobiecej do darwinizmu.

Mam przed sobą książeczkę angielskiego pisarza, Dawida Ritchiego, który, rozbierając stosunek zagadnień społecznych wogóle do darwinizmu, poświęca też osobny rozdział sprawie, o jakiej mówimy. Streszczenie jego poglądów, a dalej uzupełnienie ich kilkoma uwagami pozwoli, jak sądzę, czytelnikom pozbyć się wszelkich «ewolucjonistycznych» wątpliwości co do tej kwestyi, gdyby je nawet mieli.

«Żądanie przez kobiety równego z mężczyznami udziału w korzyściach i odpowiedzialności, płynących z wychowania i obywatelstwa, bardzo często spotyka się z zarzutem, iż uczynienie im zadość jest postępowaniem naprzekór przyrodzie. Kiedy zaś zarzut taki pochodzi od ewolucjonistów, posiada on pewien pozór słuszności za sobą. Wykażą oni może, iż rozwój organizacyi w przyrodzie postępuje obok coraz większego różniczkowania się płci; jak na biologów jest to twierdzenie zbyt pośpieszne, ale slyszalem jednego z nich, który tak mówił. Czyliż, spotykamy zapytanie, nie obrońcy to praw kobiety usiłują odwrócić ten porządek i stworzyć istotę moralnie bezpłciową?» Dalej przytacza się za Karolem Vogtem owo spostrzeżenie, że różnica objętości czaszek męzkich i żeńskich wzrasta w miarę postępów cywilizacyi.

Autor przystępuje do szczególnego rozważania tego ostatniego zarzutu. Dobrze, otóż to samo, co działy one dawniej w jednym kierunku, mogą działy w przyszłości — w innym. J e d n a k i e wychowanie, oraz j e d n a k a odpowiedzialność z biegiem czasu zrówna ogólny poziom umysłowy kobiet z poziomem mężczyzn. Naprzód, jeżeli cechy nabyte przechodzą z rodziców na potomstwo, wówczas owa domniemana niższość musi być następstwem braku ćwiczenia przez kobiety ich mózgu. Zmiana zwyczajna sprowadziłaby tutaj zmianę owego stosunku niższości. Powtóre, jeżeli cechy nabyte wskutek używania lub nieużywania narządów nie mogą tu służyć ku objaśnieniu sprawy, tedy owa różnica musi być następstwem albo naturalnego doboru, albo też doboru płciowego. Jeżeli przyczyną jej był dobór naturalny, to znaczyłoby to, iż w walce o byt zwyciężały takie plemiona lub narody, wśród których ogólny poziom mężczyzn wyższy był, niżli ogólny poziom kobiet. Istotnie, mogło być tak w okresie, kiedy ciągła walka fizyczna była nieuchronnym warunkiem bytu;

ale i wtedy nawet przyczyną powodzenia była chyba wyższość mężczyzn, nie zaś niższość umysłu kobiecego. Jednakże okoliczność ta nie świadczy bynajmniej, że dobór naturalny, który dotychczas w takim działał kierunku, będzie tak samo wpływał wtedy, kiedy ze zmianą warunków środek ciężkości walki przeniesie się do zapasów umysłowych. Wówczas to społeczeństwo oczywiście górę odniesie, którego wszyscy członkowie umysłową wyższością odznaczać się będą. Z pewnością bowiem nikt nie zechce utrzymywać, że względnie większa niższość kobiet cywilizowanych, w zestawieniu ich z takimiż mężczyznami, przyczyniała się do większej fizyologicznej sprawności ich organizmów, niż to widzimy wśród «dzikich» kobiet, mniej różniących się od swoich mężów i braci.

Dodałbym tu jeszcze, że względna niższość fizyologiczna naszych kobiet musi być w bardzo znacznej mierze następstwem niehygienicznego ich życia, oraz że jakkolwiek wiele można byłoby powiedzieć o zabójczym wpływie przeciążenia umysłowego na fizyologiczne czynności kobiet, to jednak: 1) zarzut ten stosuje się zarówno do naszych mężczyzn; 2) zniknie on zupełnie wraz z upowszechnieniem szkół higienicznych, racjonalnych sposobów nauczania oraz wychowania fizycznego, o czem dzisiaj nie mamy prawie pojęcia. Należyte ćwiczenie układu nerwowego i mózgu jest dla całości naszego zdrowia tak potrzebnem, jak ćwiczenia wszelkich narządów innych. Głupstwem byłoby utrzymywać, że dla większej sprawności rozrodczej funkcji kobiet mięśnie ich albo wątroba powinny być powściągane od działania, a jednak niedorzeczność podobną powtarzamy z lekkim sercem, mówiąc o kobiecym mózgu. Jedno tylko jest tutaj prawdą, że czynność nadmierna szkodzi organizmowi, ale prawda ta stosuje się do narządów wszelkich: nadmierne funkcyonowanie każdego z nich wywiera wpływ szkodliwy na wszystkie

inne. Co zaś okazałoby się nadmiernem dla umysłu kobiety w racjonalnym systemacie nauczania, nie wiemy jeszcze, tak samo jak nie wiemy, co byłoby wówczas nadmiernem dla mężczyzny; to wiemy tylko, że dzisiaj już erudycya nie umiejącego porządnie czytać i myśleć a wysuszonego zabójczem «kuciem» skazańca pedagogicznej rutyny nie może iść w porównanie z licznemi wiadomościami i rozgarnięciem umysłowem zdrowego i wesołego ucznia szkół dobrze urządzonych.

Z drugiej strony, powiada dalej autor, jeśli owa różnica objętości czaszek jest następstwem doboru płciowego, tedy musiałoby to znaczyć, iż mężczyźni wybierali chętniej takie kobiety, co nietylko same miały mózg niższy od ich mózgu, (jest to dość prawdopodobnem), ale, nadto, których potomstwo żeńskie odznaczać się miało takąż cechą niższości od męskiego potomstwa. Otóż, przypuszczając nawet, że tego rodzaju dobór byłby możliwym, uznać musimy, iż ze zmianą upodobań mężczyzny zmieni się również kierunek działania doboru: pierwszeństwem cieszyć się będą kobiety mądre przed głupimi, zaś matki mądrych córek przed matkami córek niemądrych. W ten sposób argument Karola Vogta, nawet gdy jest prawdziwym, nie przemawia bynajmniej na niekorzyść społecznego i politycznego równouprawnienia mężczyzn i kobiet; równouprawnienie takie bowiem musiałoby, podług wszelkiej a wszelkiej teoryi ewolucyjnej, doprowadzić w końcu do faktycznej ich równości. Można byłoby zresztą podejrzewać słuszność owego argumentu: małe dziewczynki z pewnością nie są bardziej tępe od chłopców, to też różnica późniejsza może być następstwem li tylko odmiennego wychowania, otoczenia, odmiennych zwyczajów i urzędzeń.

Przypuszczając jednakże, iż pewna ogólna różnica poziomów istnieje tu rzeczywiście, nie będziemy mogli nie powiedzieć o istotnej jej wielkości, gdyż kobiety dotąd nie

były jeszcze w całej rozciągłości dopuszczonemi do współzawodnictwa z plecią męską. Dotąd więc jeszcze, powiada autor, nie straciło wartości owo oświadczenie Platona, że jakkolwiek może istnieć pewna ogólna wyższość mężczyzn nad kobietami, to jednak wiele z pomiędzy nich przewyższa wielu mężczyzn.

W tem miejscu dodamy znowu od siebie słów kilka. Powszechnie przytaczany argument, mający przemawiać na niekorzyść kobiet — ich nieplodność w zakresie dostępnej dla nich twórczości muzycznej — domaga się pewnych wyjaśnień. Pomijam ten fakt, iż z olbrzymiej liczby kobiet grających wykluczyć należy znaczną bardzo większość tych wszystkich, co się uczą muzyki tylko dla mody, nie posiadając po temu ani uzdolnień odpowiednich, ani chęci — w przeciwstawieniu do mężczyzn, którzy oddają się tej sztuce w okolicznościach wprost przeciwnych. Pomijam fakt inny, że utalentowanym kobietom z ludu obyczaj nie pozwala faktycznie współzawodniczyć na tem polu z mężczyznami, nie pozwala im sięgać po laury grajków wiejskich, którzy, jak wiadomo, zasilali nieraz szeregi kompozytorów. Zwrócę natomiast uwagę na ten wzgląd tylko, że wszelka twórczość wiąże się prawdopodobnie naprzód z poczuciem pewnej duchowej i towarzyskiej niezależności, poczuciem obcem prawie kobietom wskutek warunków zewnętrznych; powtóre zaś, że nawet w objawach swych najniższych przerabia ona materiały surowe o wiele liczniejsze, niż tego domyślać się każe wytwór jej ostateczny: bogactwo skojarzeń, motywów, pobudek, celów, jest tu rzeczą, jak najbardziej niezbędną, zaś jak najzupełniej prawie niedostępną zacieśnionej atmosferze dotychczasowego życia kobiety. Ta okoliczność, że wszystkie prawie kobiety genialne «zrywały» z ciasnem swem otoczeniem, nie jest bynajmniej wyrazem li tylko «gorszącej» ich «ekscentryczności»; jest to jak najnieodzowniejsza potrzeba ich

ducha. Gorszący się ogół jest tutaj podobny do plantatora, który, podziwiając zdolności dyplomatyczne albo strategiczne swego zbiegłego niewolnika, byłby się oburzał na to, że «kanalia nie mógł inaczej stać się wodzem, jak tylko ucieklszy z niewoli».

Jeżeli, powiada autor dalej, prawdą jest, że z biegiem ewolucyi różnica pomiędzy jedną a drugą płcią wzrasta, nie zaś przeciwnie, to należy położyć jak najsilniejszy nacisk na to, że różnica nie jest jeszcze niższością. Właśnie dlatego, że istnieje owa różnica, państwo nie powinno pomijać mniemań i uczuć połowy, czasem zaś więcej niż połowy swojej ludności, czującej i myślącej inaczej, niżeli połowa, mająca udział w rządach. Sądziłbym, że autor niepotrzebnie podaje w wątpliwość fakt coraz większego różniczkowania się płci; fakt ten nie znajduje bynajmniej zaprzeczenia w nauce nowożytnej. Przeciwnie, piękne badania i spekulacye Thomsona i Geddesa, z którymi będę miał sposobność zapoznać czytelników, przemawiają wyraźnie na jego korzyść. Najogólniejszym różnicą tej wyrazem jest większa bierność płci żeńskiej. Ten względ ostatni mógłby nawet usposobić umysł badacza bardziej pesymistycznie, niż zdaje się być nastrojonym autor. «Zachowawczość» kobiet w oświeceniu takiego poglądu przedstawiałaby się już nietylko jako skutek ich położenia towarzyskiego, lecz jako następstwo ich organizacyi. Ale jakiegokolwiek będzie tu nasze przekonanie, logicznym z niego wywodem musi być nie odsunięcie kobiet od źródeł wiedzy i udziału w życiu społecznem, lecz, przeciwnie, raczej ułatwienie im dostępu i zrozumienia jednego i drugiego. Zapoznanie tej prawdy wyrządziło już ludzkości straty nieobliczone; do przypuszczalnej, hypotetycznej przyczyny zachowawczości kobiet dodawano przez tyle wieków przyczynę jak najrealniejszą, oczywistą. Zatrzymujemy kobietę na stadyum rozwoju, odpowiadającym ustrojowi patryar-

chalnemu, a jednocześnie chcemy, aby nie była ona konserwatystką wobec wymagań stadyów późniejszych. Dla idiotów i głuptasów, po których niewiele chyba pożytku spodziewać się może społeczeństwo, zakładamy szkoły kosztowne; jednocześnie zaś powstrzymujemy od źródeł wiedzy całą połowę ludności dlatego, iż przypuszczalnie jest ona w jakimś stopniu niższa duchowo od reszty, czyli dlatego, że więcej potrzebuje światła, aby nie krępować, nie utrudniać postępu całości.

Spencer — czytamy jeszcze — obawia się, że kobieta wniesie do społeczeństwa to, co on nazywa etyką rodziny, t. j. zasadę świadczenia dobrodziejstw największych osobnikom najmniej zasłużonym. Ma to stanowić przeciwieństwo z etyką społeczną, której zasadą jest świadczenie dobrodziejstw proporcjonalnie do zasług. Wskazana przez Spencera różnica dwu tych moralności istnieje tylko w jego wyobraźni. Z chwilą ukazania się poczytalności w osobniku — zarówno rodzina, jak społeczeństwo stara się zachowywać należyty stosunek pomiędzy zasługą a «dobrodziejstwami». Uchybienia tej zasadzie świadczą tylko o niedoskonałości natury ludzkiej albo o wadliwości ustroju, lecz nie o braku samej zasady. Z drugiej strony, wspomniane wyżej szkoły dla idiotów w społeczeństwie, zaś pielęgnowanie niemowląt w rodzinie — wskazują jednostajność ich «etyki» względem osobników niepoczytalnych. Zdarzające się dzisiaj zbyt często antagonizmy pomiędzy rodziną a społeczeństwem wynikają z czego innego: są one zwykle następstwem nieodpowiedzialności pomiędzy niższym typem społecznym, jakiego pozostałością może być dana postać rodziny, oraz typem wyższym, do jakiego dąży już społeczeństwo. Z innego stanowiska na sprawę tę patrząc, powiedzieć można, iż są to następstwa wcieleń zasady nieograniczonego współzawodnictwa jednostek i rodzin, sprzecznej z zasadą współdziałania ich, która

coraz dobitniej, coraz jawniej staje się wyrazem interesów społeczeństwa, jako całości. Tak czy inaczej wszakże, usunięcie owych antagonizmów nie będzie z pewnością nigdy owocem uwieżenia kobiety w sferze interesów rodzinnych.

#### IV.

### Rola kobiety i mężczyzny w sprawie ideałów.

#### I.

Przyswojono znowu naszemu piśmiennictwu jeden z tych utworów literacko-filozoficznych, jakimi strwożona burżuazya europejska probuje od czasu do czasu zażegnać grozę, przez siebie wywołaną. Zburzywszy w widokach własnych rodzinę dotychczasową, zawlokłszy nawpółsenne kobiety i dzieci do warsztatów i machin dla dobra ojczystego przemysłu, nieszczaństwo powierza swym uczonym i mężom stanu, poetom i dyrektorom banków, ekonomistom i akuszerom szczytne posłannictwo przekonywania tłumów, że jedynym zawodem kobiety jest macierzyństwo, oraz że we wszelkich powołaniach innych kobieta nigdy nie dorównywa mężczyźnie.

Dr. H. Fehling, rektor uniwersytetu w Bazylei, autor wspomnianej w nagłówku «mowy» o *Przeznaczeniu kobiety, stanowisku jej wobec rodziny i powołaniu*, wstępując na mównicę, miał zamiar «nic z tylekroć powtarzanych w tej materii komunalów nie potrącić», a natomiast «traktować rzecz ze swego wyłącznie punktu zapatrywania»; że zaś jest profesorem ginekologii i położnictwa, o wiele lepiej zdołał zrozumieć i uwydatnić różnice cielesnej organizacyi

kobiet, aniżeli odrębności jej duchowe i stanowisko w społeczeństwie dzisiejszem albo jutrzejszem.

Mimowoli więc i chęci autora «tylekroć powtarzane komunały», słuszne i fałszywe, zjawiają się w jego książeczce, gdy tylko wkracza on do zakresu psychologii albo socjologii. Kobieta jest dla niego, tak samo jak dla wielu innych, strażniczką pierwiastków idealnych. W roli tej utrzymać ją należy. «Nieświadomość w przedmiocie stosunku płciowego jest przecież normalnym stanem panny z uczciwego domu, wstępującej w związku małżeńskie». Nieświadomość taka stanowi jednak pewien rodzaj specyału, kultuwanego sztucznie i znamionującego panny; co do «ukształconych młodych dziewczyn», to nietylko pozwala im autor, ale i doradza szukać zarobku w akuszerii, a to dla dobra tychże idealnych pierwiastków pań, przez nie obsługiwanych. Myśl o równouprawnieniu wyprowadza bazylejskiego rektora z równowagi i znowu każe mu nos w nos spotkać się z komunałem. «Gdyby raz tę sprawę należycie postawiono, sama z siebie wyszłaby na wierzch potrzeba dania kontyngensu obronie kraju, a jakosć głucho o tem do tej pory w szeregach, domagających się równouprawnienia». Ciekawa rzecz, co byłoby wyszło na wierzch, gdyby od mężczyzn zażądano kontyngensu do rodzenia dzieci; zawód ten, jak mógł zauważyć autor ze «swego wyłącznie punktu zapatrywania», jest o wiele cięższym i pochłania więcej ofiar, aniżeli «wyszukanie, podniecenie i opanowanie płci drugiej», cechujące podług niego mężczyzn. Zresztą, zarzut co do «kontyngensu obrony» w przyszłości może już niedalekiej będzie wyglądał tak, jak np. dzisiaj wyglądałoby potępienie pań z towarzystwa za to, że «nie mają nawet odwagi policzkować się albo się okładać kijami na ulicy».

Mówiąc o różnicach duchowych, autor staje się kwaśnym komplemencista. Różnicę istotną, zdaniem jego, sta-

nowi «nie tęgość umysłu, ale jego rodzaj». O ile jednak obłudnem jest to twierdzenie, można się przekonać z mnóstwa oświadczeń innych, przepelniających książkę. «Kobieta w większości wypadków łatwo dopuszcza przewagi(?) uczucia nad rozumem, nie zawsze też udaje się jej rozróżnić okoliczności główne od pobocznych, wogóle sąd kobiecy podległy bywa łatwiej wpływowi, aniżeli męzki. Nie podlegające zarzutom próby wykazały, że wrażenia zmysłowe dotyku, temperatury, smaku i powonienia tak co do natężenia swego, jak i co do czasu trwania słabsze są u kobiety». W medycynie i sztuce położniczej «wiedza i praktyka niejedno kobietom zawdzięcza, ale co się tyczy wielkich pryncypiów leczenia, te, jak świadczy sama historia akuszerki, postawione zostały wyłącznie przez mężczyzn... kobieta, która przez tysiące lat uważała położnictwo jako swój atrybut wyłączny, zrobiła dla tej gałęzi wiedzy tak dobrze jak nie, podczas gdy wszystkie doniosłe zdobycze w tej nauce są dziełem mężczyzny...» To też powoli autor przechyla się na korzyść większej «tęgości» umysłu męzkiego, jakkolwiek nie mówi o tem wyraźnie. «Kobieta nie jest bynajmniej równą mężczyźnie, tym mniej uważaną być może jako wyższa; przeznaczeniem jej jest uzupełnić mężczyznę. Na otwartym gościńcu ku najwyższym zagadnieniom nauki dla wszystkich jest miejsce, a więc i dla kobiety, co z wami (studentami) współzawodniczyć zamierza, jeżeli jednak wy zużytkować zechcecie siły, które wam dała natura, to w przyszłości, zarówno jak od wieków, twórczy duch męzki będzie świat poruszać i przeobrażać».

Zdaje się, że dawny spór pomiędzy stronnikami niższości umysłu kobiecego oraz jego o d m i e n n o ś c i można byłoby rozstrzygnąć jeżeli nie ku zadowoleniu stron obu, to przynajmniej zgodnie z wymaganiami logiki i prawdy. Niższosc albo wyższosc umysłu bynajmniej nie

wylacza odmiennosci tegoż, tak samo jak niższość cielesnej organizacyi nie wylacza odmiennosci jej typu.

Sprawa ewentualnej niższości umysłu kobiecego nie posiada, jak sądzę, zbyt wielkiej wagi. Niepotrzebnie i niewłaściwie zespolono ją ze sprawą równouprawnienia, pomimo że w rozstrzyganiu innych zagadnień pokrewnych nie wahano się ujednostajnić np. wyborcze prawo profesorów uniwersytetu oraz zaledwie umiejących czytać robotników. W rozwiązaniu takim znaczenie orzekające miała oczywiście nie równość uzdolnień umysłowych, ale doniosłość danej warstwy, jako czynnika życia społecznego. Bardziej zajmującą pod względem praktycznym byłaby odpowiedź na pytanie, dotyczące odmiennosci kobiecego ducha; odpowiedź ta dałaby nam pewne wskazówki co do właściwego stanowiska i roli kobiet w pracach społeczeństwa.

Aby raz już skończyć z kwestyą «niższości», należałoby dokonać wyczerpującego i sumiennego rozbioru psychologicznego — w duchu badań nowożytnych. Dla uniknięcia możliwej stronności sądu, potrzeba byłoby zadać sobie naprzód pytanie wstępne: co stanowi wogóle znamię wyższości umysłowej — niezależnie od takiej lub innej płci osobnika. Rozbiór musiałby dotyczyć kolejno dziedzin rozumu, uczucia i woli, w każdej z nich roztrząsać szczegółowo pierwiastki i czynniki, a w końcu dokonać ich syntezy podług pewnej ogólnej skali wstępującej. Badanie czynników elementarnych w wielu razach mogłoby wtedy znaleźć całkiem przedmiotowy, doświadczalny probierz niższości (np. szybkość i natężenie wrażeń zmysłowych, sprawność uwagi, przypominania, kojarzenia się pojęć i t. p.). Na wyższych szczeblach skali porównawczej wskazówką mogłyby już być pewne wnioski ogólniejsze, osiągnięte z doświadczeń, miarą zaś pewne znamiona bardziej złożone i pochodne: zdolność analizy i syntezy, abstrahowania,

uogólniania i t. d. W zakresie uczuć można byłoby zadowolnić się bodaj spencerowskim podziałem ich na egoistyczne, ego-altruistyczne i altruistyczne, a szacując stosunkową ich niższość lub wyższość — uwzględniać nietylko przedmiot, źródło, ale w szczególności udział wyobrażeń (idei) i pojęć bardziej oderwanych.

W zakresie woli również dość łatwo, jak sądzę, byłoby można ustanowić porównawczą skalę «bezpłciową», t. j. nie uwzględniającą jeszcze inności stanów psychicznych, lecz tylko ich wyższość i niższość: popędowość i odruchowość działań, stałość i stanowczość woli, a nade wszystko zdolność otamowania (*inhibition*), powściągnięcia się — należałoby zbadać przedewszystkiem.

Badanie odmienności umysłu kobiecego również nie doczekało się dotąd pracy wyczerpującej i uwzględniającej metody i zdobycze psychologii dzisiejszej. W większości wypadków zadawano się tylko zestawieniem i powtarzaniem wyników grubej obserwacji codziennej, nie naukowej.

Przypuszczać wolno, że skala odmienności w zakresie rozumu zbiegłaby się prawie całkowicie ze skalą niższości. Wątpliwem jest — pomimo pewnych pozorów i twierdzeń wielu pisarzy — czy istotnie takie właściwości umysłu, jak zdolność uogólniania, wnioskowania, abstrahowania odznaczają się u kobiet czemś innym, oprócz pewnych nieprawidłowości, wynikających bądź z nieprawowitego oddziaływania uczuć, bądź też z mniejszej sprawności samego umysłu. Natomiast wyraźniejsze różnice jakościowe, (nie wykluczające, jak wyżej, ilościowych), wystąpiłyby, jak sądzę, w dziedzinie uczuć i woli. Szczególnie cenne wskazówki znalazłaby psychologia, badając w zakresie uczuć czucia organiczne: większa pojemność (*massiveness*) i mniejsza żywość ich reakcyi ustrojowej zabarwia je prawdopodobnie w sposób znamienny i odmienny. Przy zglębieniu

woli szczegółowe zbadanie zmysłu mięśniowego musiałoby również dać psychologom trwalszą od dotychczasowej podstawę do wyrokowania o inności lub tożsamości, wyższości albo niższości charakteru kobiet.

Rzecz prosta, że wszystkich tych badań przedsiębrać tu nie możemy. Nie stanowią też one, jak mówiłem, niezbędego przygotowania do rozpraw o równouprawnieniu kobiet z mężczyznami. Nie wyższość albo niższość, nie inność lub jednakowość ducha kobiety jest istotną pobudką, zagrzewającą przeciwników emancypacji.

Pomijając względy współzawodnictwa ekonomicznego, o których mówić tu nie będziemy, znaczenie najważniejsze mają w tej walce dwa głęboko zakorzenione przesady: 1) kobieta jest strażniczką pierwiastków idealnych, zaś równouprawnienie pozbawi ją tego charakteru; 2) istotnem powołaniem kobiety jest rodzina, zaś emancypacja jest wrogiem rodziny. Te właśnie nieporozumienia usuwać i zwalczać powinien publicysta, mąż stanu albo działacz praktyczny, nie zaś owe nie tak łatwe do usunięcia i rozstrzygnięcia i nie tak ważne spory o wyższości i odmienności.

Należy wykazać, że nie ku zagładzie ale ku zachowaniu pierwiastków idealnych, że nie na szkodę lecz na pożytek rodziny potrzebnem jest równouprawnienie. Przedewszystkiem więc rozważmy przesąd o «idealności» kobiet.

## II.

Gdyby słońce poezji nie ozlacało nizin naszego życia, gdyby gorący jego promień nie wypalał bagnisk cuchnących, nie rozsypywał w proch zarodów pleśni i zgnilizny — musielibyśmy albo ratować się naiwnym cynizmem zwierząt, albo się dławić atmosferą brudu i upodlenia,

świadomością Prometeuszów, rzuconych na dno kloacz-  
nego dołu.

Zdaje się, że przyroda zrobiła z nas godną siebie za-  
bawkę. «Wszystko nam dałaś, co dać mogłaś, pani!» —  
powiedziałby poeta. W krew naszą wlała popędy i pożą-  
dania wszystkich tworów swoich po to tylko, aby nasz  
nienasycony głód ideału pożerał je kolejno, tłumił, prze-  
kształcał, przetapiał, sycąc nimi własny swój płomień.  
Ciałom naszym sama nie pozwoliła oddzielić się przepaścią  
od brzydoty zwierzęcej, aby dokonała tego nieprzeparta,  
nie dająca nam wytchnienia żądza piękna; krwawiąc palce,  
wydzierał jaskiniowiec grudki ziemi czerwonej, ostrzem  
krzemienia wpijał się w pierś własną — byle tylko ozdo-  
bić się znamieniem człowieczeństwa, pokonać szpetność  
małpoludów, dokonać tego, co po wielu tysiącleciach, za  
cenę nieskończenie wyższą, robili komandorowie legii, albo  
ginące w jedwabiach i koronkach niewolnice tej samej żą-  
dzy tyrańskiej. Po trzęsawiskach zarosłych trzcina i w gąsz-  
czu leśnym tulać się musiał biedny Um-kul-um-kulu, w pie-  
czarach i jamach gnieździły się pierwsze zbiorowiska dwu-  
nogów, wśród których jednak żyli już praszczurowie  
przyszłych twórców piramid, ogrodów wiszących, bazylik  
i pałaców.

Ale najdłuższa, najbardziej nieubłagana i najbogatsza  
w tryumfy walka pomiędzy pierwotnym, zwierzęcym da-  
rem przyrody a czysto ludzkim dążeniem do nieznaných  
wyżyn toczy się w zakresie popędów rozrodczych.

Cyniczna w oszczędności swej przyroda nie chciała  
trudzić się nad takim rozgraniczeniem funkcji życiowych,  
które pozwoliłoby tonącym w rozkoszy kochankom nie  
zaznać nigdy dreszczów obrzydzenia. Poezja senty-  
mentalna nie jedną już lżę uroniła nad owem «splugawieniem  
najświętszych tajemnic bytu», nad nierozwikłanem prawie  
pomieszanem zarodów życia i jego szczytków najbardziej

upośledzonych. Bezmyślność zwierzęca przeszła nad tym grzechem przyrody do porządku, zakreślonego nakazami biernej, nieświadomej żyźności; ale twórczy duch człowieka stanął do walki z potęgą rozrodczą ciała.

Od losów tej walki zależała w ogromnej mierze przyszłość cywilizacji. Pozostawało do wyboru: albo, wzorem ustrojów niższych, zaspakajając doraźnie popęd zmysłowy, nie troszcząc się ani o formę tego zaspokojenia, ani o jego następstwa; albo też pierwotny dar przyrody upiększyć, brzydotę jego zatopić w blaskach poezji, kazać w nich kąpać się istotom, trawionym żądzą, a przedłużając w ten sposób i usubtelniając obcowanie płci dwojga, kształtować niezbędne po temu urządzenia — stwarzać kulturę. Jeżeli miłość jest cudowną rośliną odurzającą, to natura podała nam ją w skorupie zbyt pierwotnej i skażonej; cywilizacja, nie mogąc zdrzeć tej powłoki, musiała wyrzeźbić na nią wazon alabastrowy.

Ulubieńcem przyrody zdaje się być gatunek. Jednostka sama musi wywalczać sobie prawa — przemocą albo podstępem. Wiele tysiącoleci ubiegło już od owej chwili, kiedy osobniki najprostsze, bezkształtne grudki protoplazmy przedstawiały istnieć, ginęły, jako odrębna indywidualność, dając życie nowym, liczniejszym przedstawicielom gatunku. Z biegiem czasu organizm rodzicielski, płacąc ten haracz gatunkowi, zdobywał też dla siebie ustępstwa coraz znaczniejsze. Nietylko po ustaniu czynności rozrodczych zachowywał on dość długo zdolność samoistnego napawania się życiem, ale w latach dzieciństwa i wczesnej młodości, będących ze stanowiska interesów gatunku li tylko okresem przygotowania do służby rozrodczej, dzięki wyższemu rozwojowi ustrojów starszych, wzrostowi ich praw osobniczych, a dalej, dzięki postępom cywilizacji — zyskiwał, wykradał gatunkowi pasmo uroczych dni największej świe-

żości i żywości uciech, dobę najmniej odpowiedzialnego i najbardziej pielęgnowanego chłonięcia rozkoszy bytu.

Mimo to jednak i mimo znacznego już usubtelnienia sprawy rozrodczej, pozostawała ona zbyt wyraźnie służbą, a nawet niewolą u gatunku. Osobnikowi, jak gdyby odczepnego, dano w niej wprawdzie rozkosz zmysłową, której sam gatunek bezpośrednio do swoich celów nie potrzebował; ale rozkosz tę — istny nektar królewskiej biesiady — kazano niewolnikowi spijać w warunkach, zbyt szorstko przypominających mu jego niewolę, jego zależność od interesów władcy. Żądza piękna i głód ideału gnaly jednostkę do zmiany owych warunków.

Zdarza się czasem, że w brudnej szopie warsztatowej, gdzie mozoły pracy pogarsza nieraz jej treść odrażająca, pozwolą pracownikom wyprawić ucztę, np. gody weselne. Jeżeli pośród uczestników zabawy trud bydlęcy nie zagłuszył jeszcze pożądań bardziej «idealnych» i estetycznych pragnień — brzydka szopa zmienia się w salę balową. Kwiaty i draperye osłonią tu i owdzie nagość zczerniałych murów, barwne skrawki papieru owiną się, jak węże, dookoła słupów splekanych, światło lamp kolorowych w tysiącznych odbłyśkach załamie się po zakopconem sklepieniu. W podobny też sposób pracownię przyrody, powszedni warsztat gatunku osobnik umiał zamienić na wspaniały przybytek godowy przy pomocy kwiatów i obsłonek poezyi. Ciekawą jest rzeczą, w jaki sposób odbywała się ta sprawa zdobienia oraz jakim był w niej udział płci obu? Jakimi drogami postępowała «idealizacya» popędów rozrodczych i o ile przyczyniła się do niej każda z polów ludzkiego, albo mówiąc ogólniej, zwierzęcego świata?

### III.

Ze stanowiska embryologii ustrój męzki jest przyrządem, wytwarzającym nasienie, żeński — aparatem, służącym do wytworzenia i wyhodowania jajka. Albo raczej — mówiąc w myśl prawdopodobnej historii rozwoju nie osobnika już ale pokoleń, nie ontogenezy lecz filogenezy — pierwszy jest olbrzymim dodatkiem, który ku pożytkowi swemu zbudowały sobie ciała nasienne, drugi jest takąż «nadbudową» jajka. Aparat nasieniotwórczy musiał oczywiście kształtować się w duchu biologicznej czynności nasienia — w najdalszym jej rozwinięciu; nadbudowa jajka odpowiadać musiała wszystkim, coraz to wyższym biologicznym czynnościom tegoż. Zstępując aż na najniższe szczeble drabiny ustrojowej, spostrzegamy, że biologiczną funkcją nasienia było czynne (jakkolwiek nieświadome) wyszukiwanie i ożywienie komórki — jajka, biologiczną czynnością tejże komórki było bierne oczekiwanie podniety, a następnie rozrastanie się kosztem chłonięcych materii zewnętrznych i również bierne rozpadanie się czyli dzielenie. «Nadbudowy» obojga musiały, powtarzamy to, czynić zadość wymaganiom tych potrzeb. Czynność i bierność cielesnej i duchowej organizacyi zarysowała się też jako naturalne następstwo takiego podziału zadań. Przyroda tak zazdrośnie stała np. na straży bierności organizmów żeńskich (chyba dla zapewnienia potomstwu spokojnego, wolnego od wstrząśnień rozwoju), że w wielu wypadkach, nawet już po oddzieleniu organizmu nowego od ustrojowości macierzystej kazała tejże ustrojowości wyrabiać dla dziecka pokarm biernie, nieświadomie, kazała jej troszczyć się bezpośrednio o zaspokojenie osobistego tylko pragnienia lub głodu, a nawet z samego karmienia

uczyniła sprawę biernego pozbywania się przykrej, uciskającej zawartości gruczołów.

Dodajmy nawiasem, że topograficzne umieszczenie narządów karmicielskich odbywało się również podług ogólnie obowiązującej zasady oszczędności — gwoli gospodarczym potrzebom gatunku, nie zaś wymaganiom osobnika. Wyjątek, napotykanym np. w rodzaju ludzkim — znaczna odległość gruczołów mlecznych od właściwych narządów rozrodczych — jest tylko pozornym. Okoliczność ta niepoślednie miała znaczenie w sprawie idealizacji spraw rozrodczych, ale bynajmniej nie była ona skutkiem tejże idealizacji, ustępstwem dla estetycznych wymagań jednostki. Odległość taka, wobec prostej (pionowej) postawy karmicielki i wymiarów jej kończyn górnych, najlepiej odpowiadała znowu interesom gatunku — sprawie żywienia pokoleń nowych.

Zgodnie z ogólnym wynikiem wyżej wspomnianej walki osobnika z despotyzmem gatunkowym, jednostki — nie tylko męskie, lecz i żeńskie — musiały coraz więcej stawać się czynnymi; domyślać się tego każe chociażby coraz większy stopień niezależności osobnika od gatunku. Nawpół biologiczna i całkiem prawie bierna u innych ustrojów funkcya karmienia, u macierzystych organizmów ludzkich ukazuje się nam jako czynność, wymagająca współdziałania innych, nie karmicielskich narządów ciała, jako pewien aktywny wydatek energii.

Ale ten wzrost czynności i zmniejszanie się bierności nie w jednakim stopniu znamionował dwie kategorie osobników — męską i żeńską — w świecie zwierzęcym. W niektórych okresach sprawy rozrodczej względna bierność, stawała się wprost nieublaganym nakazem, prawem, warunkiem bytu ustrojowości żeńskiej. W innych — przyroda, domagając się nawet od niej czynnego udziału w żywieniu i pielęgnowaniu potomstwa, ujmowała tę czynność

w karby szablonu działalności rutynicznej. W ten sposób, jak napomknąłem, usiłowała ona zapewne osłonić ustrój karmicielki przed zakłócającym a szkodliwym dla karmionych wpływem wszelkich wstrząśnień i zaburzeń życiowych. Nakoniec w bardzo znacznej liczbie przykładów, na wszystkich niemal wyższych szczeblach rozwoju, obok matki, pielęgnującej potomstwo, ukazywał się też bądź ojciec, bądź, co jest jeszcze ważniejszym — społeczność, odpowiednio zorganizowana i rządzona. Obydwa te nowe czynniki życia pośrednio sprzyjały zachowaniu bierności organizmów żeńskich, ograniczeniu ich działań do funkcji biologicznych i na wpół-biologicznych, mniej świadomych, mniej czynnych, bardziej podległych rutynie. Tak czy inaczej, bierność — w przeciwstawieniu do czynności ustrojów męzkich — pozostawała najwybitniejszą, najmniej sporną cechą organizmu płci słabszej. Najdosadniej zarysowała się ta różnica w zakresie, w którym okazywać się i utrwałać zaczęła najwcześniej — w dziedzinie stosunków miłosnych. To, co dr. Fehling uważa za «ociężałość» organizmu kobiecego, co nazywa on «umiejętnością wyszukania, podniecenia i opanowania płci słabszej» jest właśnie wyrazem owej najbardziej zasadniczej z pomiędzy psychicznych różnic płciowych u człowieka i olbrzymiej wielkości tworów niższych.

Wpływ takiego ustosunkowania bierności i czynności w dwu połowach wszelkiej prawie pary rodzicielskiej — na sprawę «idealizacji» popędów i działań miłosnych był olbrzymi. Przedewszystkiem jednak, musimy dokładniej określić znaczenie samego terminu «idealizacja». To, co w życiu powszednim nazywamy tem mianem, nie o wiele różni się od psychologicznego pojmowania rzeczy. Idealizacja jest pewnego rodzaju abstrahowaniem, które, jak zwykle, odrywa cechy przypadkowe od ogólnych, a które, dzięki pewnym współobjawom uczuciowym, odbywa się

zawsze w kierunku unaocznienia znamion dodatniej albo ujemnej doskonałości przedmiotu oraz pominięcia oznak, psujących tę doskonałość. W mowie potocznej uwzględniamy zazwyczaj tylko idealizację dodatnią, stosując do ujemnej nazwy inne, jakkolwiek wytwór tej sprawy w obu razach otrzymuje miano ideału: ideału dobrego w pierwszym, ideału złego — w drugim wypadku.

Zanim dowiemy się, na czym właściwie polega idealizacja w miłości, zauważmy, że w znaczeniu powyższem, proces ten każe domyślać się współdziałania dwu czynników: 1) pewnej przewagi wyobrażeń ogólnych (idei) nad poszczególnymi wrażeniami, 2) silnego wpływu uczucia. Innemi słowy, sprawa idealizacji musi być znamionną cechą duchowości wybitnie czynnej. Charakter jeszcze bardziej czynny nadaje procesowi temu pierwiastek trzeci — pożądanía, wchodzący do zakresu woli i w sferze zjawisk niektórych zagłuszający wpływem swym dwa czynniki pierwsze.

Właściwa idealizacja popędów miłosnych, oraz ich przedmiotu jest zjawiskiem bardzo późnem w dziejach gatunku. Miejsce jej w okresach wcześniejszych zastępuje proces inny, do pewnego stopnia wprost jej przeciwny — mianowicie sensualizacja, zezmysłowienie idei bardziej oderwanych. Sprawa zasadza się tu początkowo nie na tem, że od wrażenia rzeczywistego odrywamy jego pierwiastki najbardziej konkretne, przypadkowe, zdążając ku idei abstrakcyjnej, lecz że ideom takim nadajemy zabarwienie, wzięte od wrażenia rzeczywistego. Nie usiłujemy np. przez usunięcie konkretnych, przypadkowych i harmonię psujących znamion danej osoby dojść do wytworzenia z niej ideału, lecz, przeciwnie, ideał człowieka ucieleśniamy właśnie w postaci tejże osoby. Przywiązanie się do wad i braków istoty ukochanej jest tego wyrazem najskrajniejszym. Zrozumiemy łatwo, że sensualizacja każe

domyślać się większej uległości wobec wrażeń konkretnych, a tem samem większej bierności ducha.

Jednakże «miłością idealną» szeroki ogół bynajmniej nie nazywa takiego uczucia, w którym przedmiot tegoż idealizowanym jest przez istotę kochającą. Idzie tu o sprawę całkiem inną — o promieniowanie popędów miłosnych na sfery ciała i ducha, nie mające z rozrodzością bezpośredniego związku. Właściwy pierwiastek erotyczny usuwa się tu niejako na plan drugi, staje się nawpółbezwiednym i uwydatnia się o tyle tylko, że owym niebezpośrednio płciowym cechom duchowej albo cielesnej osobowości nadaje charakter znamion odrębności płciowej. Tak samo jak z biegiem rozwoju a pod wpływem doboru płciowego powstarczyły się drugorzędne, wtórne cechy płciowej odrębności cielesnej, tak też później, z biegiem postępów kultury a za sprawą doboru miłosnego, tworzą się wtórne i dalsze jeszcze znamiona duchowej odrębności. Otóż «miłość idealna» polega na wzajemnem uzupełnianiu się tych znamion w dwu osobnikach różnopłciowych, na jak największem natomiast oddaleniu się od bezpośredniego zaspakajania rozrodczego instynktu. Za chwilę zobaczymy, jakim był rozwojowy mechanizm tej sprawy, jaką rolę odgrywali w niej przedstawiciele płci obu; teraz jednak, zapytajmy siebie: czem jest ona właściwie ze stanowiska psychologii? Samo oddalenie się od pierwiastkowego typu obcowania płciowego nie jest jeszcze jego idealizacją w znaczeniu powyższem, chociaż zarówno dla duchowego rozwoju ludzkości, jak i dla samej sprawy rozrodczej posiada doniosłość olbrzymią: dla rozwoju — gdyż ożywia, rozjaśnia i rozszerza najdalsze sfery duchowej działalności człowieka; dla sprawy rozrodczej — gdyż podniecając i przedłużając przygotowawcze stany erotyczne, sprowadza większe natężenie właściwych funkcyj i zupełniejszą dojrzałość właściwych wytworów rozrodczych. Oddalenie się takie ze stanowiska

psychologii jest wszakże tylko pewną komplikacją owego zezmysławiania znamion bardziej oderwanych o jakim mówiliśmy wyżej, jest ono poddawaniem cech i przymiotów bardziej abstrakcyjnych i oddalonych od rozradzania się — wpływowi naprzód ogólnego wrażenia odrębności płciowej, a następnie wpływowi nawpół-świadomego wyobrażenia bezpośrednich znamion tejże odrębności. Stosownie do tego, czy sensualizacji takiej dokona umysłowość więcej bierna, czy też bardziej czynna, na każdym nowo osiągniętym stopniu tej sprawy może się rozpoczynać idealizacja właściwa t. j. odrywanie znamion poszczególnych wrażenia, zdążanie ku idei ogólniejszej — w kierunku unaocznienia cech rzeczywistej albo urojonej doskonałości. Całkowita więc sprawa tak zwanej przez profanów miłości idealnej zawiera w sobie: 1) oddalenie się od bezpośrednich znamion płciowości, 2) zezmysłowienie, sensualizację cech, oddalonych od bezpośredniej odrębności płciowej, 3) idealizację tych uzmysłowionych wrażeń. O ile n. p. «łagodne» spojrzenie staje się synonimem spojrzenia kobiecego, wyrazem «kobiecości», mamy do czynienia z sensualizacją idei bardziej oderwanej, wrażenia więcej oddalonego od bezpośredniej odrębności płciowej; o ile zaś, odrywając się od poszczególnego wrażenia danych oczu łagodnych — zdążać będziemy ku znamionom bardziej ogólnym, w kierunku uwydatnienia mniemanej albo istotnej doskonałości moralnej i estetycznej — dokonamy idealizacji. Właściwy pierwiastek erotyczny, pamięć bezpośrednich, a nawet bardziej pośrednich znamion odrębności płciowej, znikają wtedy prawie zupełnie ze świadomości, myśl przenosi się w obszary, nie mające nic wspólnego ze sprawą rozrodczą, dla zauważonych znamion konkretnych szukamy wyrazu w sferach, gdzie znamiona te sięgają wyżyn doskonałości idealnej:

...że z tęczy wyszła i z obłoku piany  
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca...  
Tak pełną była niebieskiego świtu,  
Tak rozwidniona żrenicą z błękitu.

Mamy tu w streszczeniu «miłość idealną»: naprzód oddalenie się od cech bezpośredniej odrębności płciowej, dopatrzenie się tej odrębności w «żrenicach z błękitu»; dalej mamy domyślną sensualizację tej cechy, gdyż w strzelcu alpejskim poeta prawdopodobnie nie byłby «wnet rozkochany»; na koniec spostrzegamy idealizację owej cechy zezmysłowionej, gdyż należytego dla niej wyrazu szuka Słowacki w sferach «niebieskiego świtu» — w zakresie nie tylko doskonałej barwy, o jaką mu idzie, ale i najwyższej doskonałości moralnej.

#### IV.

W całej tej sprawie «oddalania się», zezmysławiania oraz idealizacji olbrzymią rolę odgrywały, jak mówię, bierność organizmów żeńskich i czynność (aktywność) męskich. Tę znaczniejszą bierność i czynność pozwolę sobie uważać za rzecz dowiedzioną w stosunku do olbrzymiej większości męskich i żeńskich osobników świata zwierzęcego. Gdyby komuś podobało się utrzymywać, że zaczęta rola mężczyzn i odporna kobiet w stosunkach miłosnych jest tylko sztucznym wytworem cywilizacji, jest owocem działania pewnych, nie wiadomo z kąd pochodzących, potęg moralnych, moglibyśmy zstąpić na niższe szczeble ustrojowości zwierzęcej, gdzie takiż stosunek bierności i czynności jest prawie powszechnym. Odwrócenie tego porządku rzeczy np. u pajaków, albo u niektórych zwierząt drapieżnych — spotyka się natomiast dość rzadko. Na koniec można byłoby zwrócić uwagę na to, że stosunek

ów jest właściwie najwcześniejszym i jedynie dla nas widocznym fizyologicznym wyrazem odrębności płciowej — zarówno w zakresie najprostszych ustrojów różnopłciowych, jak i najistotniejszych wytworów rozrodczych wyższej ustrojowości.

Zobaczmy teraz, jakimi musiały być następstwa tego zjawiska. Niemożność natychmiastowego i bezpośredniego zaspokojenia popędów rozrodczych zniewalała czynne osobniki męskie do zaspokojenń pośrednich. Mamy tu więc odrazu oddalanie się od znamion bezpośredniej odrębności i od funkcji pośrednio-erotycznej na korzyść znamion i funkcji niepłciowych. Nie mogąc uczynić zadość żądzy zespoleń się rozrodczego, zdobywca zespalał się inaczej, nie mogąc dojść do źródła rozkoszy największej, uprzyśtępiał sobie inne źródła rozkoszy. Że jednak sprawa ta odbywała się pod ciągłym wpływem popędu erotycznego oraz ze współdziałaniem nawpół świadomego, erotycznego wyobrażenia, albo (jak na szczeblach niższych) całkiem świadomego wrażenia bezpośredniej odrębności płciowej, więc zarówno nowe źródła rozkoszy, jak i owe bardziej pośrednie sposoby obcowania zabarwiała się erotycznie. Innemi słowy, następowała tu sensualizacja znamion bardziej oderwanych i seksualizacja znamion niepłciowych. Obie te sprawy obejmowały zakres coraz szerszy — w miarę przedłużania się przygotowawczych stanów erotycznych — ogarniając w końcu nietylko sferę niepłciowych znamion cielesnych lecz i duchowych.

Ale wybitnie czynna ustrojowość osobników męskich bardzo wczesnie przestała się zadawałniać samą tylko sensualizacją. Nie mówiąc już o tem, że i w tym zakresie robiła ciągle postępy, że do dawniej «wynalezionych», zrazu niepłciowych źródeł rozkoszy dodawała nowe, rozpoczęła ona nadto idealizację owych źródeł dawniej i później wykrywanych. Pocalunek stał się wtedy «nektarem bo-

skim», oczy siedliskiem «niebieskiego świtu» i t. d. Czynny duch męzki upajał się własną twórczością, tonął w błękitach marzeń, rozsnuty z paru atomów kobiecej tęczy, gorzał płomieniem własnych ogni, roznieconych z jednej iskielki ukochanych źrenic, w ustach widział «perły i róże», a od «każdej brylantowej lezki» oczekiwał pożaru nieba. Odurzony szalem własnej potęgi twórczej rozkazywał słońcu i ziemi, zstępował w otchłanie morza, ukochanej swej w królewskim upominku dawał:

I księżycowe korony w noc ciemną,  
I kryształowe pałace na głębi.

Doszło do tego, że rozkoszą największą, najglówniejszą, stała się dla niego ta halucynacja wszechwładzy nad światem, któremu coraz to inne nadawał barwy i kształty. Doszło do tego, że nie chciał już, nie pragnął rozkoszy bezpośredniej, bo im bardziej oddalonymi były gody miłosne ciała, tem dłużej trwać mogła orgia twórczości duchowej, im subtelniejszym było napomknienie — tem szerzej skrzydła roztoczyć mogła, tem wyżej wznosiła się wyobraźnia. Nie go wtedy tak nie «chwytalo za serce»

...jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,  
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

Idealizacja taka jest wytworem stosunkowo późnym. Inaczej dzialo się w zaraniu doby cywilizacyi. Najżywym blaskiem jaśniała jeszcze wtedy rozkosz bezpośrednia. Duch poety nie odbiegał od niej. «Zmieszali się ze sobą w miłości» — raz po raz naiwnie powtarza Homer, kreśląc miłosne dzieje swych bohaterów.

Trudno wyobrazić sobie, jak dalece większa czynność (aktywność) ustrojów płci męzkiej, wobec względnej bierności żeńskich organizmów, wpłynęła w świecie zwierzęcym na upiększenie i rozszerzenie stosunków miłosnych,

a dalej — na wyższy rozwój zwierzęcej i ludzkiej «kultury»<sup>1)</sup>. Naprzód na niższych stopniach rozwoju sama ozdobność ciała tak zwanej przez grzeczność płci «brzydkiej» — jak np. jaskrawsze ubarwienie samców ptasich — była bezpośredniem i nieświadomem następstwem bardziej ożywionej działalności organicznej w okresie miłosnym. Mieniające się barwy niektórych ryb «rozkochanych» są po prostu wyraźnym, do pewnego stopnia chorobliwym skutkiem tak wzmożonej działalności. Dalej nie innym też jest pochodzenie pewnych nowych, a w wypadku tym nieobojętnych przymiotów fizjologicznych, np. głosowych uzdolnień ptaków. Nakoniec, nie wychodząc jeszcze z granic zwierzęcości, znajdziemy, że ta sama czynność i bierność staje się przyczyną zaczątkowych objawów pewnej kultury zwyczajowej, pewnych określonych praktyk, rozszerzających zakres obcowania płci dwojga. Przykładem mogą tu być t. zw. «tańce» cietrzewi, puszenie się indyków, powietrzne obroty niektórych gołębi i t. p. O najdalszem i najbardziej zewnętrznem następstwie tego stanu rzeczy, o dorobkach kultury rzeczowej zwierząt pomówimy za chwilę, rozważając znaczenie bierności ustrojów żeńskich.

Tak zwane «zaloty» zarówno w świecie ludzkim jak i zwierzęcym zdają się wskazywać, że pożądanie, żądza stanowi wyłączną niemal cechę ustrojowości męskiej. Mówiliśmy wyżej, jak dalece ten stan duchowy, wchodzący już do zakresu woli, jest znamieniem organizacyi czynnej, gotowej do działania. Otóż niezrozumiałem jest na pierwszy rzut oka, w jaki sposób taka gotowość do czynu — w zakresie obchodzącym nas tutaj — może sprzyjać po-

---

<sup>1)</sup> Różnica pomiędzy kulturalnemi zdobyczami zwierząt a ludzi polega zapewne na większym udziale instynktów i na mniejszym wpływie świadomości w pierwszym wypadku, niż w drugim. Ale jest to różnica ilościowa — gdy uwzględnimy zwłaszcza dzieje powstawania wielu instynktów.

stępom idealizacji. Zwróćmy się do psychologii po odpowiedź. «Można dodać, powiada James Sully, że, jakkolwiek taka gotowość do działania potęguje bezpośrednio jedynie czynny wynik żądz, to jednak pośrednio dąży ona do wzmożenia samej żądz, jako całości. Dziecko zdrowe, silnie usposobione do działania w jakikolwiek bądź sposób, już dzięki temu tylko popędowi będzie bystrzejszem i wytrwalszem w przechowywaniu wszelkich wyobrażeń (idei) przedmiotów pożądaných, jakie się mu nastreczą. Z tego, co powiedziano wyżej, wynika, że to samo usposobienie czynne zapewni nam energiczne wykonywanie owych spraw uwagi, od których zależy trwałość i skuteczność pożądanía».

Dla nas ważnym jest tutaj nie ten ostatni wniosek, nie «skuteczność» żądz, ale jej wpływ na «przechowanie wszelkich wyobrażeń (idei)» i spotęgowanie «uwagi», która, jak wiadomo, jest *alfą* i *omegą* wyższego rozwoju ducha. «Przechowywanie wyobrażeń» pozwala nam zrozumieć, czem jest żądza dla postępów wyobraźni, ta zaś otwiera już przed nami cały obszar tworów urojonych, po którym czynny duch męzki błąka się, skracając sobie chwilę oczekiwania. W wędrówkach tych, do których zniewala go bierność strony przeciwnej, żądza bardzo często wikła się we własne sieci. «W wyczerpanem oczekiwaniu, w żywym wyobrażaniu rozkoszy nieosiągniętych, mówi tenże autor, np. przy czytaniu utworu wyobraźni, w pochłaniających stanach moralnego i religijnego dążenia, żądza upada, ustępując miejsca chwilowemu, złudnemu poczuciu napawania się rzeczywistego. Ta dostateczność rozkoszy żywego wyobrażenia jest przywilejem istot, obdarzonych wysokimi zdolnościami wyobraźni». Zdolności te, dodajmy, tłómaczą nam również ową tak często niezrozumianą i gorszącą tak wielu okoliczność — kochanie się poetów i ludzi talentu w kobietach gminnych. Do «anomalii» tej powrócimy

w przyszłości. Gorszy ona szczególnie kobiety, które nie chcą czy nie mogą zrozumieć, jak dalece obraz ukochanej jest dziełem kochającego, jak olbrzymią rolę odgrywa tu idealizacya, i jak bardzo idealizacyi owej dopomaga bierność «istoty gminnej».

## V.

Nie skończyliśmy jeszcze bynajmniej ze sprawą idealizacyi, nie poznaliśmy jeszcze jej warunków zewnętrznych, będących, co prawda, również wytworem większej czynności męskiej ale już nie w zakresie miłosnym, i wpływających na miłość drogą oddziaływań zwrotnych. Mamy tu na myśli potężne wpływy uczuć i pojęć towarzyskich, moralnych, religijnych, urządzeń społecznych i t. p. Ale działanie tych wpływów zrozumiemy lepiej, poznavszy uprzednio rolę bierności organizmów żeńskich, jako drugie z dwu głównych czynników idealizacyi.

Zdaje nam się, że właściwa przyroda owej bierności nie dość ściśle była tłómaczona przez wielu ewolucjonistów. Herberta Spencera można postawić na czele tych, którzy większą bierność samiczek, oporność ich w zakresie obcowania płci dwojga tłómaczą chęcią napawania się wyobrażeniem rozkoszy. Tłómaczenie takie ogarnia oczywiście tylko niektóre, znacznie wyższe stopnie drabiny ustrojowej. W całej dziedzinie istot niższych — gdzie nie może być mowy o wyobrażeniach — nie daje się ono zastosować. Bierność ustrojów żeńskich wcześniejszą jest, aniżeli ich zdolność napawania się «wyobrażeniami». Poznaliśmy już prawdopodobną teleologiczną (celową) jej przyczynę: gatunek chciał tutaj osłonić ustrojowość matki przed szkodliwymi wstrząśnieniami przygód życiowych. Przyczyna ta jest całkiem wystarczająca, przynaj-

mniej w stosunku do ustrojów niższych, cokolwiek zaś powiemy o wyższych — nie powinniśmy zapominać też o niej. Kierując się t. zw. «zdrowym rozsądkiem», można byłoby przypuszczać, że w ciągu swego biernego trwania umysłowość żeńska ma dużo czasu i możliwości na snucie wyobrażeń. Widzieliśmy jednak przed chwilą, jak dalece żywotność i trwałość tychże jest zależna od siły pożądania, od czynnej sprawności organizmu. Wogóle psychologia dzisiejsza zbyt silnymi węzły zespoliła trzy niegdyś rozrywane dziedziny — umysłu, uczucia i woli, aby je można było tak oddzielać.

Gatunek dla siebie aż nadto uzasadnił bierność ustrojów żeńskich; osobnikowi należało, zapewne, dać jakąś złudną pobudkę, aby go, jak zwykle, oszukać. Pobudką tą — w braku lepszej — mogły być wyobrażenia rozkoszy. Nie należy jednak przeceniać jej doniosłości, a nadewszystko nie trzeba sądzić, że stawała się ona bezpośredniem źródłem jakiegokolwiek działalności idealizacyjnie twórczej. Organizm żeński zachowywał się biernie przedewszystkiem dlatego, że był biernym. Co on przytem wyobrażał sobie, było to rzeczą dla sprawy idealizacji obojętną: wyobrażenia jego, popędy, uczucia, będące tylko słabem, nikłym odbiciem albo słabym zaczątkiem wyobrażeń, uczuć i popędów strony drugiej, nie odgrywały zatem żadnej roli czynnej w budowaniu gmachów poezji, sztuki, moralności, religii i t. d., jakkolwiek znaczenie ich bierności, jako bodźca dla twórczego ducha męczyzny, było olbrzymie. Wyobrażenia te powstrzymywały płęć przeciwną poprostu dzięki właśnie małej swej żywotności. Ilekroć pod wpływem podniety stawały się w końcu o tyle żywemi, o ile stany psychiczne tamtego były od początku, następowało zupełne porozumienie, często przewyższające nawet skalę wymagań nie-idealnych. W świecie zwierzęcym prawda ta staje się oczywistą: nikt nie zechce utrzymywać, że samiczki

cietrzewi zakreśliły im świadomie program idealnych za-  
lotów z «tańcami» na zakończenie. Zrozumiałym nato-  
miast będzie pogląd, że słabsze popędy i wyobrażenia spek-  
tatorek pod wpływem wynalezionej przez tancerzy środka  
dosięgają w końcu pożądanego stopnia żywości. W świecie  
ludzkim legendę o idealizującym (czynnie) wpływie kobiet  
utrzymują przy życiu okoliczności postronne, nie mające  
nic wspólnego z przyrodą ich stanów erotycznych, ale jak  
najściślej zależne znowu od ich bierności. Działają tu mia-  
nowicie wpływy moralne, religijne i wogóle społeczne, od-  
grywające w stosunku do popędu miłosnego rolę czynni-  
ków o t a m o w a w c z y c h, lecz nie idealizacyjnych w  
właściwym tego słowa znaczeniu.

W tworzeniu wszelkich dóbr kultury rzeczowej i du-  
chowej dziwnie jaskrawo i w sposób pouczający uwydatnia  
się rola bierności i czynności dwu połów świata zwierzę-  
cego. Praca ustrojów żeńskich jest tembardziej, że tak  
powiemy, biologiczną, męskich — mechaniczną; pierwsza  
jest częściej funkcją, druga, postępowaniem; działalność  
jednych częściej się wiąże z ustrojowością wewnętrzną, ze  
sprawnością najszerzej rozumianych narządów trzewnych,  
działalność drugich — ze sprawnością mięśni, ośrodków  
nerwowych i zewnętrznych (obwodowych) narządów zmy-  
słów. Kiedy się ukazują jakieś zewnętrzne «dorobki kul-  
tury» za sprawą ustrojowości żeńskiej, można być pewnym,  
że są one owocem jakiejś biologicznej, biernej, nawpół bez-  
wiednej funkcji tejże ustrojowości; takimi bywają np.  
oprędy wielu owadów, albo pajęczyna pajaków; ostatni  
przykład na szczególną zasługuje uwagę, gdyż pochodzi  
ze sfery, w której zkaładną ustrojowość wytwórcza żeńska  
góruje nad męską. Przeciwnieństwo pomiędzy czynnością  
zewnętrzną, mechaniczną, mięśniowo-nerwową oraz bier-  
nością ustrojów żeńskich, pomiędzy biologicznością a me-  
chanicznością, uwydatnia się bardzo wyraźnie w państwie

mrówek, gdzie bezpłciowy ustroj pracownicy powstać może kosztem skazania na niebyt narządów rozrodczych.

Wyjątki, zwłaszcza na szczeblach wyższych, zdarzają się dość często: wspólne budowanie gniazda, karmienie młodych, zastępcze wysiadywanie jaj i t. p.; typ stosunku nie przestaje wszakże być typem. Ale też na wyższych szczeblach, jak już napomknąłem, spostrzegamy pewne dodatkowe przyczyny, utrwalające bierność i czynność oraz stosunek ich do wytworów kultury rzeczowej albo duchowej. Wogóle powiedzieć można, że stosunek ten zależy od długości i trwałości związku pomiędzy ustrojem matki a potomstwem. Łatwo zrozumiemy, że związek dłuższy nietylko sprowadza większą «biologiczność» i rutyniczność jej pracy kulturalnej, ale że tem samem pozwala on a niekiedy zmusza organizm męzki do większej mechaniczności, pomysłowości, samoistności w działaniu, że częściej odwołuje się do narzędzi jego zmysłów zewnętrznych, każe mu badać szerszy zakres otoczenia, poznawać bardziej rozległe dziedziny zjawisk.

W takich wypadkach, gdzie elementarny wytwór rozrodczy (jajko zapłodnione) dość wczesnie opuszcza organizację macierzystą, albo raczej — kiedy oba niezbędne pierwiastki rozradzania się jednocześnie wychodzą z ustrojów rodzicielskich (zapładnianie zewnętrzne), interes gatunku nie wymaga już, aby czynność pielęgnowania młodych i wszelkie związane z nią pomocnicze funkcje biologiczne wykonywanymi były przez matkę. Przeciwnie, większa żywotność i energia ruchu ustrojów męzkich im raczej nie żeńskim toruje tu drogę do pracy — jeżeli wogóle praca taka będzie pożądaną i możliwą. Wtedy będziemy mogli obserwować «biologiczne» powstawanie dorobków kultury zwierzęcej za sprawą samców. Przykład taki znajdujemy wśród ryb niektórych, gdzie «ojcowie rodzin» budują gniazda przy pomocy pewnej wydzieliny spajającej.

W innych wypadkach obaj członkowie pary jednaki biorą udział we wznoszeniu «kamiennej budowli» dla przyszłych swych potomków.

Na szczeblach najwyższych, gdzie, jak już wiemy, ogólny przebieg walki osobnika z gatunkiem prowadzi do coraz większej czynności (aktywności) ustroje żeńskie, ich udział w tworzeniu rzeczowych dóbr kultury przestaje być «biologicznym». Niemniej wszakże, w udziale tym częściej przypada na nie bierna rola pielęgnowania i ochrony, aniżeli twórczości właściwej i początkowania. Jeżeli pierwotny barłóg samicy ludzkiej stał się tu i ówdzie rozkosznym buduaem, to nie dlatego znowu, że samica ta poddawała towarzyszowi swemu «wyobrażenia» coraz to lepszej siedziby, lecz dlatego, że gnany i podniecany żądzą zdobycia jej względów, współczuciem dla jej słabości i niemocy — szukał on po szerokim świecie nowych środków zaspakajania potrzeb ukochanej, a dzięki żywości wyobrażeń własnych, wysoko posuniętym zdolnościom kojarzenia, uogólniania i t. p. umiał nowo-poznawane wrażenia zespałać z dawniejszemi i stwarzać nowe całości. Ale najwydatniej może zarysowała się ta rola czynności i bierności w zakresie kultury duchowej.

## VI.

Religia, moralność, poezya, sztuka olbrzymi wpływ wywarły na rozważaną tu przez nas sprawę idealizacji stosunków miłosnych; ale jakże odmiennem było ich działanie w sferze ducha męzkiego i żeńskiego! Bierność ustrojów żeńskich i czynność męzkich zarysowuje się tu najwyraźniej.

Umysł idealizujący podążał zawsze, jak wiemy, w kierunku unaocznienia znamion cielesnej, etycznej, estetycznej

i t. d. doskonałości. Unaocznienia tego, po osiągnięciu wyższych szczebli rozwoju, szukał on w zakresie bardzo już od erotyzmu odległym, w dziedzinie uderzających pięknoscią swoją lub siłą zjawisk przyrody, blasków myśli, uczuć i czynów ludzkich, zrodzonych na szerszej nieraz widowni; nie tylko w miłosnem zespoleniu dwu osobników, ale i w żywiołowych starciach pokoleń, w walkach bohaterów; nie tylko w pościgu za spłoszoną samiczką, ale w pogoni za prawdą, w obozowiskach drogi mlecznej; nie tylko w zapalach kochanka-zwycięzcy, ale i w odurzeniu metafizycznych upojeń.

Wpływ podniecenia miłosnego na mnogość i bogactwo tych zdobyczy bywał już wielokrotnie przedmiotem badań: jedni wywyższali go może nad miarę, inni poniżali — na korzyść np. czynników ekonomicznych. W niektórych wypadkach — zwłaszcza na polu twórczości estetycznej — dość powszechnie uznawano miłość za potęgę wprost pierwszorzędą. W powstawaniu kultów, w kształtowaniu się systematów mytologicznych, w dziejach moralności i wielu społecznych urzędzeń potęga ta nie zawsze właściwie była rozumiana i nie wszędzie uwydatnioną naleźycie. Nie idzie nam jednak w tej chwili o wyświehlenie wpływu popędów rozrodczych na rozwój kultury — tembardziej, że, jak zaznaczono, wpływ ten nierozzerwalnie prawie łączył się i wikłał z innymi. Nadmienimy tylko, że pomimo pięknych prac Morgana, Bachofena, Warda, Starke'a i wielkiego mnóstwa innych, socyologia owych popędów czeka jeszcze właściwego twórcy, że w historii rozwoju społeczeństwa odgrywały one i odgrywają nie tylko rolę pobudki, co uwzględniali wszyscy, ale i rolę czynników kształtujących, których działanie nie w całej rozciągłości jeszcze i nie we wszelkich szczegółach zostało wyświehlenem.

Co do nas, to roztrząsać tu mamy raczej zjawisko wprost przeciwne: wpływ owych, tak lub inaczej powsta-

łych tworów społecznego życia na idealizację stosunków miłosnych. Oko w oko spotkamy się tu znowu z biernością i czynnością. Nigdzie może wzajemny stosunek umysłowości mężczyzn i kobiet nie był pojmovanym tak opacznie, jak tutaj. Nigdy tak chętnie i tak odruchowo nie wyrzekano się zdobyczy własnych, nigdy tyloma wieńcami własnej zasługi nie zasypywano «szczęśliwych», jak w ciągu owej, tysiącolecia już trwającej i przechodzącej z pokolenia na pokolenie halucynacyi, w której oszołomiony rozkoszą umysł czynny korzy się przed własnymi widmami, ubóstwa mary, i w nieustającej ofiarności, w nienasyconej żądzy wielbienia, jako daninę im przynależną, składa już nietylko «dyamenty i perły», wyrwane czeluściom ziemi i głębiom morskim, ale wszystko cokolwiek zdobył kiedykolwiek w bezmiarach fantazyi, co wydarł mózgom żywych i pergaminom umarłych, dojrzał w kryjówkach wiedzy, w świątyniach enoty, w boskich otchłaniach nieskończoności. Nic tu nie znaczy, że gąbczasta duchowość istot biernych nietylko stworzyć, ale wchłonąć w siebie wszystkich tych cudów nie może, nic nie znaczy, że część ich pochłonawszy, sama nie pozbędzie się jej dla innych nabytków — lepszych, piękniejszych, że tylko bierne uleganie naciskowi czynnemu albo ożywczym, nie przez nią stwarzanym, wichrom cywilizacyi, prądom nowych idei, nowych dążeń i pojęć uwalnia ją od treści dawniejszej, zatęchłej; nic to wszystko nie znaczy — obłęd bałwochwalczych zdobywców rozkoszy trwa ciągle.

Wspominaliśmy dawniej, że wpływ czynników kulturalnych na miłość kobiety jest raczej powściągający nie zaś idealizacyjny we właściwem tego słowa znaczeniu. Znamiona wszelakiej doskonałości unaocznia tu, jak zawsze, ideały wykazuje i stwarza czynny duch mężki. Za każdym razem, po wciągnięciu towarzyszkii swej na wyższy szczebel rozwoju — opuszcza ją na czas jakiś,

szukając drogi ku nowym wyżynom. Porozumienie się z tych wyniosłości bardziej odległych jest prawie niepodobieństwem: to, co dla niego staje się powoli atmosferą życia, dla niej jest jeszcze szczytem, budzącym trwogę, powściągającym śmielsze myśli i kroki. Potrzeba ją unieść znowu i na wyższym stopniu umieścić. Jedyłą prawie siłą bierności jest zachowawczość. Pierwiastek ten, którego dodatnie znaczenie dla cywilizacji przeceniono wielokrotnie, zabarwia we właściwy sposób całe dotychczasowe cywilizacyjne posłannictwo kobiet. Jednakże, zaznaczmy jak najspieszniej, że zachowawczość owa dotyczy prawie wyłącznie konserwacji, pielęgnowania wytworów cudzych oraz, że, jak świadczy już nie tylko historia ale i biologia, pozostawała ona zawsze na łasce i nielasce silniejszych i słabszych bodźców postępowości męskiej.

Zachowawczość i postępowość odsłaniają nam właściwy przebieg idealizacji stosunków miłosnych pod wpływem zewnętrznych czynników kultury duchowej. Ze stanowiska fizyki zachowawczość jest prawdopodobnie wraz z tą samą małą podatnością cząsteczek, która staje się przyczyną bierności. Mamy tu zapewne nieznaczny zasób energii napiętej, wyładowującej się «czynnie» pod wpływem lżejszych nawet wpływów zewnętrznych. Dopiero działanie dłuższe, prowadząc zmiany w układzie cząstek, przeobraża całość, dopiero pod jego wpływem gromadzi się w skupieniu jakaś taka zasób energii, która w danym razie może objawić się czynnie. Ze stanowiska fizjologii mamy tam prawdopodobnie częstsze promieniowanie energii po drogach wewnętrznych (głównie trzewnych) oraz bardzo częste i łatwe działania otamowawcze (powściągające), dzięki jednostajnemu względnie zróżniczkowaniu wszystkich układów ustroju, dzięki małej przewodzie albo raczej z powodu słabości układu mięśni i zmysłów zewnętrznych, dzięki miernemu utorowaniu, niektórych zwłaszcza, dróg odśrod-

kowych. Ze stanowiska psychologii — mamy tam przewagę emocjonalnych stanów otamowawczych, nadewszystko obawy (np. wobec rzeczy nowych, potrzeby silniejszego oddziaływania nazewnątrz) a dalej mamy łatwość tworzenia się nałogów wskutek tejże słabej odporności zewnętrznej. Nakoniec, ze stanowiska socjologii, obok działających w życiu społecznym urządzeń, które zmierzają ku utrzymaniu większej karności i posłuchu w połowie słabszej, mamy rozpaczliwie ciasny zakres doświadczenia życiowego, małą możliwość rozrywania i przestawiania raz utworzonych skojarzeń, prostowania pojęć, przeobrażania, potęgowania albo tłumienia uczuć, innego skierowywania dążeń i t. d.

Postępowość jest niejako przeciwieństwem zachowawczości: stanowi ona wynik znamion i przymiotów wprost przeciwnych, nadewszystko zaś, jak napomknęliśmy parokrotnie, wiąże się z lepszym rozwojem układów «życia nazewnątrz» (*vie de relation*) t. j. mięśni i zmysłów zewnętrznych, każe domyślać się większych zasobów energii napiętej i objawiającego się stopniowo zapanowywania interesów osobnika nad interesami gatunku.

Jednakże pamiętać należy, iż bierność i czynność są to właściwości ustrojów widoczne dla nas szczególnie z pewnego tylko stanowiska — mianowicie ze stanowiska działań i ruchów łatwiej dostrzegalnych, bardziej zewnętrznych, a w każdym razie łączących się z życiem zewnętrznym dośrodkowo lub odśrodkowo. Bierność ustrojów żeńskich nie jest biernością ze stanowiska ruchów mniej widocznych, funkcyj bardziej utajonych, ze stanowiska najistotniejszych interesów gatunku. Jakkolwiek zaś prawdopodobnym jest, że ostateczne porównanie mechanicznej pracy obu rodzajów, wyrażonej np. w kilogramometrach, wykazałoby znaczną przewagę po stronie organizacji męskiej, (odsłaniając tym sposobem korzystniejsze

jej położenie jako osobnika), to jednak nie trzeba zapominać, że «czynność» ustrojów męzkich nie jest całkowicie pozbawiona przeciwwagi, jakiegoś równoważnika pracy w t. zw. (z pewnego stanowiska) «bierności» żeńskiej.

Uwagi powyższe, jakkolwiek stanowią pewną rehabilitację ustrojowości żeńskiej — jeżeli wogóle, w rzeczach od woli niezależnych może być mowa o rehabilitacji — to jednak raz jeszcze przypominają nam, że w sprawie czynnego udziału, początkowania, torowania dróg nowych ustępować ona musi organizmom męskim, że wyzwolenie jej, jako *i n d y w i d u m*, emancypacja z pod wszechwładzy gatunku nigdy nie będzie tak doskonałą, że po wszystkie czasy rola jej zasadzać się będzie w najglówniejszej mierze na pielęgowaniu materialnych i duchowych dóbr kultury <sup>1)</sup> oraz że w dziejach dotychczasowych idealizacja stosunków miłosnych nie za jej odbywała się przewodem, zaś pomimo jej uczestnictwa o tyle, o ile idealizujący wpływ stwarzanych przez mężczyznę czynników ideowych, moralnych, religijnych i t. d. musiał walczyć z rutyną, z nałogiem, z *z a c h o w a w c z o ś c i ą* narzuconych jej dawniej i «pielęgowanych» pierwiastków tejże kategorii.

## VII.

W dobie największego może z przewrotów społecznych, w okresie narodzin jednożeństwa, groźny dla ówczesnych urządzeń nowator, twórca rodziny zaborczo-egzogamicznej (porywanie żon przemocą) burzył prastarą moralność kobiety, którą nauczono, że winna być nałożnicą plemienia. Po trupach ojców jej i braci zdobywał on żonę.

---

<sup>1)</sup> Rzeczą cywilizacji jest starać się, aby pielęgowanie to nie było upartą zachowawczością.

Występkiem miała być odtąd dla niej jej cnota dawniejsza — jednaka uległość wobec każdego z mężczyzn, należących do danego skupienia społecznego. Długo toczyła się walka, zarówno egoizm mężki jak i zachowawczość kobiet broniły tu do ostatka praw dawnych: pożycie przynajmniej z braćmi zdobywcy, pozostawienie przywileju dla jednostek najwybitniejszych, jak wodzowie i kapłani, przechodzenie na wyłączną własność dopiero po upływie pewnej, dłuższej lub krótszej, epoki «obcowania» wspólnego, odszkodowanie dla obżalowanych eks-mężów w postaci okupu, a nakoniec schronienie się tępionej cnoty w tak zwanej «prostyucyi religijnej» — oto główne stadya tej walki. Stało się: z dawniejszej oblubienicy ludzkiego stada, bronionej w tem dostojęństwie przez innych i broniącej się zachowawczością własną, zwycięzki monogamista uczynił w końcu «cnotliwą matronę» w znaczeniu bardziej nowożytnem — w znaczeniu nie uległości już dla wielu panów, lecz wyłącznego obcowania płciowego, czyli tak zwanej potem «wierności małżeńskiej». Ile krwi i trudu, ilu gwałtów, ilu podstępów, wysilków wyobraźni, obietnic, pochlebstw kosztowało to twórców «wyższego ideału» moralności płciowej, któż powie; ale już w zaraniu poetyckich dziejów ludzkości przyszłe matrony miały gotowy wzór do naśladowania, miały ideal, marę, którym kłaniał się genialny ich twórca. Długo, długo zresztą, Penelopa musiała bawić się krosnami, aż inne jej towarzyszkę «przekonały się» do takiego spędzania czasu nawet pod nieobecność mądrych Ulisesów, którzy, *en attendant*, «mieszali się w głębokich pieczarach». W zachowawczej, biernej umysłowości moralność monogamiczna stała się powoli takim samym nalogiem, obrzędem, jakim była dawniejsza. Ideal jej oddziaływać począł, jak zwykle, powściągająco — przez otamowywanie pierwiastków erotycznych, nie zaś ich idealizację właściwą. To też ilekroć ze strony czynnej posunie się

dalej sprawa idealizacji, ilekroć zjawi się żądza zastąpienia fikcyi monogamicznej istotnem jednożeństwem ducha i ciała, zachowawczość zasłania się sakramentalnem *noli me tangere*.

To działanie powściągające ciągle trzeba mieć na pamięci, aby nie zrozumieć opacznie udziału kobiet w idealizacji i udziału mężczyzn. Podobnym też jest ich stosunek do poezyi, sztuki, religii, o ile, rzecz prosta, nie mamy na myśli wręcz przeciwnego działania tych czynników (sensualizacya miłości), o czem później.

Te najwyższe moce życia ludzkiego zstępują niejako na umysłowość bierną i zaćmiewają jej zmysły. Natomiast, gnany żądzą duch czynny nie waha się przekroczyć z nią przybytków najświętszych. Nie zna on świętości, której ulękłaby się, wobec której musiałaby zblednąć, której nie przewyższyłaby jego miłość. Nie przez stłumienie pożądań ale przez wywyższenie ich tworzy on sobie rozkosze bardzo subtelne — słowem przez ich idealizację.

Kwiaty polne jej dają beznamietność konwalii, dla niego lilia jest obrazem bogdanki; zorza wieczorna spija purpurę z jej twarzy, on modli się do niej jak do jutrzejnki, jutrznię uszczęśliwia porównaniem z oczami ukochanej. Co prawda, w dawnej i w nowej poezyi kochanek bywał słońcem i dębem, królem i panem, ale pochlebstwa te mężczyźni zawdzięczają sobie bezpośrednio albo pośrednio.

Łagodny wzrok Bogarodzicy każe jej zapomnieć o ziemi; dla niego «madonna» staje się jego Fornarina; widok nieba nie pozwala jej myśleć o ukochanym, onieśmiela mowę i spojrzenie; on ściga w świecie pozagrobowym Beatrycę, zmusza ją iść przed sobą przez wszystkie kręgi nieba i piekła, wmawiając, zresztą, uprzejmie w siebie i w innych, że był przez nią oprawdzany.

Wmawianie to odbywało się tak długo i wytrwale,

że w końcu suggestya większej «idealności» kobiet stała się powszechną. Wbrew wszelkiemu świadectwu logiki i faktów, uczyniono kobietę nietylko strażniczką «pierwiastków idealnych», ale wprost źródłem wszelkich idealnych dążeń i uszlachetniających dorobków kultury. Było w tem może dziejowe odszkodowanie dla niewolnic gatunku, którym ich rola biernie rozrodcza nie pozwalała na wytwórczość czynną, ale nie było w tem ani prawdy, ani znajomości istotnego przebiegu dziejów. Widzieliśmy, gdzie należy szukać przyczyn takiego omamienia. Z jednej strony zachowawczość kobiet w umysłach niekrytycznych wyrabiała im sławę «strażniczek», pomimo, że w olbrzymiej większości wypadków bywała ona tylko ochronnym wałem rutyny przeciwko nowym prądom — bardziej «idealnym». Z drugiej strony — bierną rolę podnieć, przyspieszających obieg krwi w organizmie męzkim, utożsamiono z początkowaniem świadomem, z pobudką czynną, co pozwalało wszystkim niemal zdobycze cywilizacyi składać zawsze u stóp królowej cywilizacyjnego turnieju. Kulturę wyobrażano tu sobie jak twierdzą, którą brali szturmem rycerze, upojeni nektarem miłosnym — pojeni, zresztą do innych zgoła szturmów.

Ale istnieje jeszcze źródło tej sławy «ideali-zatorek społeczeństwa» — najgłębsza, najbardziej niewyczerpana krynica chwaleczego natchnienia poetów, istne *sanctuarium* cywilizacyjnych zasług kobiety, najmniej znieważane przez odszczepieńców, krynicą tą jest łagodość kobiet, mająca przeciwdziałać popędowi wojowniczym, podsycać altruizm.

Łagodność, będąca najmłodszym i najlepszym dzieckiem tej samej bezbronności, która przed nią wydała już na świat: obludę, podstęp, służalczość, tehórzostwo, nikiemność i t. p., mogłaby istotnie w pewnych okolicznościach stanowić najpiękniejszą ozdobę w wieńcu kultu-

ralnych zasług kobiety; natomiast, w warunkach dotychczasowego rozwoju społeczeństw działanie jej ujemne, burzycielskie, czasem znakomicie przewyższa, niekiedy udaremnia wpływy budujące, dodatnie. Ale całą tę kwestyę zgłębnimy lepiej, rozważając inną stronę zagadnienia — cywilizacyjną rolę kobiety, jako członka rodziny. W sprawie tworzenia idealów nowych i czuwania nad nimi różnić trzeba, co najmniej, dwie fazy: bojującą i tryumfującą. Pierwszemu z tych dwóch okresów wszelkiej dalszej idealizacji towarzyszy jeszcze trzeci okres idealizacji uprzedniej, okres upadku, rozprzęgania się idealów, urzędzeń i wierzeń dawnych. Otóż, właściwie czynna rola twórców i strażników przypada w okresie bojującym silniejszej połowie ludzkości; to samo można też powiedzieć o wszelkich wstrząśnieniach i zaburzeniach okresu tryumfującego. Istotnym strażnikiem idealów bywa wtedy zawsze pięść mężczyzny albo jego maczuga — w dobie wcześniejszej, zaś wynalazki bardziej złożone — później. W okresie tryumfującym, do którego w charakterze nawróconej i «przekonanej» najpóźniej wchodzi kobieta — stanowisko strażniczek i strażników staje się niepotrzebnem. Idzie wówczas tylko o pielęgnowanie gotowych, zwyciężkich i narzuconych marudom przekonani i urzędzeń. Pielęgnowanie to, zrazu pożyteczne, doprowadza, jak wiemy, do automatyzacji, która ukazuje się tym prędzej, im mniejsza doza świadomości towarzyszyła uznaniu i przyjęciu idealów narzuconych. Z całą wyrazistością zarysowuje się tu znowu stosunek czynnego przodownictwa i ulegania biernego, stosunek, którego nie pozwala dojrzeć tylko właściwa umysłowości męskiej idealizacya.

We wszystkich trzech klasycznych dziedzinach duchowego rozwoju ludzkości — w sferze prawdy, piękna i dobra spostrzegamy to samo.

Nietylko o tworzeniu nowych, ale i o pielęgnowaniu

dawnych ideałów umysłowych przez kobiety nikt nigdy nie mówił poważnie. Nie o takie też «strażnictwo» cywilizacyjne idzie obrońcom idealności kobiet.

Konwencyjonalne kłamstwo o czuwaniu nad losami «piękna», o wrodzonym kobiecie zmyśle estetycznym znajduje natomiast wielu zwolenników i, co ważniejsza, posiada pewne pozory prawdy, którym tylko pilniejszy rozbiór może właściwie wyznaczyć miejsce.

Podobną też a może większą wziętością cieszy się inne pochlebstwo romantycznych socyologów i myślicieli — o wielkich zasługach kobiet w strzeżeniu ideałów moralności. Pozory i tutaj każą zapominać chwalcom, że jakkolwiek pielęgnowanie np. cnoty dziewiczej powierzono westalkom, to jednak za zmarnowanie tego skarbu nie kto inny tylko augurowie zrzucali je ze skały Tarpejskiej.

Pominąwszy więc strażnictwo prawdy, zastanówmy się bliżej nad «idealizacją» piękna i dobra.

### VIII.

Nie uciekając się do przykładów ze świata zwierzęcego, w którym wszakże znaleźlibyśmy nie jeden dowód na korzyść większej estetyczności samców — zwłaszcza na wyższych szczeblach skali rozwojowej — zwróćmy się od razu do estetyki ludzkiej. Tutaj również nie zatrzymujmy się przy objawach wydatniejszej i jak gdyby umyślnie wyodrębnionej, biologicznej ozdobności strojów męzkich — w przeciwstawieniu do piękności organizmu kobiecego, która całkowicie prawie zlewa się z cielesną ich odmiennością, mającą na widoku nie piękno, lecz pożytek, nie estetyczną uciechę osobnika, lecz rozrodczą służbę u gatunku. Przejdźmy natomiast do świadomych oznak popędu estetycznego oraz do jego skutków, zależnych od woli.

Najprostszy objaw tego popędu — zdobienie własnego ciała, ukazuje się najwcześniej wśród mężczyzn. Świadczą o tem zarówno naskórne «malowidła» niektórych plemion Polinezyi, jak i pretensjonalne a kunsztowne fryzury pewnych wytwornisiów rasy murzyńskiej. Próżność tych nawpóldzikich elegantów, żądza prześcignięcia współzawodnika nieraz mogłyby pozostawić za sobą najżarliwszą z europejskich kapłanek mody. Ktokolwiek zauważyłby tutaj, że zdobienie się owo mówi tylko o większej swobodzie i możliwości zdobycia upiększeń, przysługującej od początku mężczyznom — ten uprzedziłby jedynie nasz wywód i byłby poparł twierdzenie dawniejsze, iż mężczyzna znajdował się zawsze w położeniu lepszym, jako osobnik, oraz że, tem samem, czynność tworzenia i narzucania ideałów była przeważnie jego czynnością. A jednak późniejsze naśladowanie owych najprostszych popędów estetycznych, (które w mężczyznach słabną już, ustępując miejsca wyższym), do dziś dnia stanowi jedną z przyczyn rozpowszechnionego komplementu o większej estetyczności kobiet!...

Zbyt łatwem i, jak sądzimy, niepotrzebnem byłoby przekonywanie czytelnika, o ile przodowniczą i twórczą od początku aż do chwili obecnej okazywała się rola mężczyzn we wszelkich innych zakresach działalności estetycznej, w dziedzinie malarstwa, rzeźby, poezyi, muzyki, budownictwa i t. d.

Pozostawimy nierozstrzygniętem pytanie, o ile przyczyną nieprodukcyjności kobiet na tych polach była przyrodzona bierność ich ustroju, zaś o ile wpływało na nią społeczne położenie kobiety. Pojedyncze wypadki, w których kobieca twórczość estetyczna dosięgała poziomu bardzo wysokiego, usuwają na bok przypuszczenie zupełnej ich w tej mierze nieudolności i jak najwyraźniej przemawiają na niekorzyść tych, którzyby chcieli na zawsze po-

zbawić ludzkość cywilizacyjnych dorobków bardziej samostnej i szerszej pracy kobiet w zakresach dotąd niedostępnych. Dalej, cokolwiek powiemy o samorodności i samorzutności geniuszów, niewątpliwem jest, że zarówno stanowisko społeczne mężczyzn, ich tradycja, możność obejmowania widnokręgów szerszych, większa łatwość wydostania się z atmosfery ciemnoty, z ciasnego koła spraw parafialnych — wywierały potężny wpływ na twórczość artystyczną, nawet w takich, na pozór mało intelektualizowanych rodzajach sztuki, jak muzyka albo rzeźba. Z drugiej jednak strony, przykład tejże muzyki, uprawianej przez wiele kobiet z powodzeniem tak miernem (pomimo, że swobody towarzyskie kobiet bogatych częstokroć przewyższały o całe niebo nędzne położenie samorodnego geniusza z tłumu, że kobiety owe miały już o wiele mniej zawad do usunięcia), przytoczony wyżej przykład malej wytwórczości kobiet na polu teorii i praktyki położnictwa (obok znacznej wynalazczości nieoświeconych robotników fabrycznych i rzemieślników) a nakoniec, przeważnie n. śladowczy charakter twórczości kobiet na polu tak licznie uprawianej przez nie beletrystyki — znowu przypominają nam o wpływie i znaczeniu przyrodzonych właściwości ich organizmów.

Ale ostateczna i najważniejsza przyczyna tego tak nierównego uczestnictwa w sprawie tworzenia nowych ideałów estetycznych jest dla nas obecnie rzeczą obojętną; samemu faktowi nierówności nikt, o ile wiemy, nie przeczył, zaś wobec pochlebnych komunałów o strzeżeniu przez kobiety ideału piękna, o większej ich «estetyczności», właśnie faktyczny przebieg tej sprawy posiada doniosłość największą.

Należy wykazać, że czegokolwiek strzegły w tej sferze kobiety, było im narzucone przez mężczyzn, że we własnej swej działalności estetycznej bywały one tylko

mniej albo więcej nieudolnemi naśladowczyniami wzorów gotowych albo wykonawczyniami gotowych przepisów, że nie za ich inicjatywą ś w i a d o m ą, lecz, przeciwnie, wbrew ich rutynie wyższe ideały estetyczne we wszelkich a wszelkich zakresach, nie wyłączając sprawy zdobienia ich ciała, wywalczały sobie prawo obywatelstwa. Przedewszystkiem jednak dla usunięcia różnych, nawpół bezwiednie nurtujących nas wątpliwości, musimy rozważyć niektóre przyczyny owego tak powszechnego złudzenia co do większej «estetyczności» kobiet.

Najważniejszym tego omamienia źródłem była wspomniana już przez nas bierna [rola podniety zmysłowej, działającej na czynny i miotany żądzą organizm mężczy. Ożywiona, chorobliwa nieraz, czynność tego organizmu, doprowadzająca, jak wiemy, do bezwiednej jego, biologicznej ozdobności — później, na wyższych szczeblach rozwoju, stawała się pobudką estetyki świadomej, wspomnianego przed chwilą zdobienia ciała, a dalej przyozdabiania siedziby i wogóle środowiska — w znaczeniu coraz szerszem <sup>1)</sup>. Otóż, o ile ciało kobiety stawało się mimowolną, bierną przyczyną estetycznych pożądań mężczyzn, można wpływ jej «idealizacyjny» wysławiać z równą słusnością i w jednakiem znaczeniu, jak np. idealizacyjny wpływ gruczolu trzustkowego, który, dopomagając nam w trawieniu, przyczyniał się pośrednio do wynajdywania coraz to innych, coraz lepszych, coraz bardziej «idealnych» sposobów zaspakajania głodu; albo jeszcze można wpływ ten wysławiać na takiej samej zasadzie, na jakiej sławilibyśmy zna-

---

<sup>1)</sup> Przykłady tego szerszego zastosowania uzdolnień estetycznych pod wpływem popędu płciowego znajdujemy już w świecie zwierzęcym. Ptaszek *amblyornis inornata* urządza przed gniazdem siedzącej na jajach samiczki istne trawniki i klomby, ozdobione płatkami kwiatów, jagodami i kamykami.

czenie ciężkiej bryły kamiennej, niezbędnej do zbudowania gmachu i zmuszającej ciężarem swym ludzi do wynajdywania coraz idealniejszych dźwigni, bloków i t. p.

Zanim przejdziemy do wyliczania innych, niezależnych od miłości płciowej źródeł estetycznego popędu i estetycznej twórczości mężczyzn, zwróćmy tu znowu uwagę na właściwy stosunek strony podniecającej i podniecanej (kobiety i mężczyzny) do sprawy idealizacji estetycznej.

Przesadna ocena roli kobiet, jako przyczyn estetycznego podniecenia, kazała nam zapomnieć naprzód, że obok kobiecej, biernej podniety miłosnej, działającej «estetycznie» na mężczyzn, istniała zawsze czynna miłosna podnieta mężka, która jednak nie zdołała podnieść estetyczności kobiet ani o jeden szczebel nad poziom estetycznego naśladownictwa, pomimo że w kierunku rozbudzenia namiętności płciowej doszła, jak zobaczymy, aż do granic zupełnego wynaturzenia ogółu kobiet (zniesienie okresowości ich pożądań zmyslowych). Ciekawa rzecz, czy tę wstrzemięźliwość w estetycznym postępie chwalcy kobiet policzą im za zasługę?

Ale, pominąwszy już tę sprzeczność zasadniczą i zmuszającą nas znowu szukać przyczyn mniejszej estetyczności kobiet w podstawowych różnicach bierności i czynności ustrojów, zobaczymy, w jakim kierunku podążała biernie przez kobietę podniecona estetyczna idealizacja mężczyzn. Przekonajmy się, czy i o ile mogła tu być mowa o świadomem początkowaniu albo nawet o strażnictwie połowy słabszej.

Świadomy, kierowniczy albo przynajmniej bezwiednie kształtujący wpływ kobiet w sprawie estetycznego odtwarzania rzeczywistości szerszej, przedmiotowej, nie mógł być oczywiście znaczny. Kobieta musiała tu stać się, co najwyżej, słuchaczką i admiratorką cudownych opowieści o dalekich kniejach, morzach i górach, o dziwnych two-

rach, którym fantazyja «podniecowego» przez nią nadawała kształty i barwy zupełnie od kontroli jej niezależne. Samoistność tego rodzaju twórczości estetycznej i późniejsze narzucanie jej plodów kazałyby nawet entuzyastom większego «idealizmu» kobiet powściągnąć się w uniesieniach. Ale w dziejach sztuki istnieją fakty, które znakomicie podnoszą znaczenie owej samoistności i redukują «kształtujące» znaczenie podniet tam nawet, gdzieby się tego najmniej spodziewano. Mam tu na myśli idealizację ciała kobiety w sztukach plastycznych.

Jedynym znamieniem kobiecości cielesnej, w którym wymagania rozrodczej służby u gatunku szczęśliwie skojarzyły się z wymaganiami piękna, jest tak zwana «okrągłość kształtów»<sup>1)</sup>. Ze stanowiska teleologicznego (celowości) była ona prosto wynikiem nagromadzenia się zapasów tkanki, mogących się przydać rodzicielce. Możliwym jest nadto, że dobór płciowy wpłynął z biegiem czasu nie tylko na ilościowy stosunek tych zasobów, lecz i na ich umiejscowienie. Większą «estetyczność» linii krzywych w przeciwstawieniu do ostrych zarysów psychologia usiłuje wytłumaczyć tem, że, dzięki łagodnym i stopniowym przejściom, oko widza łatwiej przystosowuje się do kolejnych wrażeń zewnętrznych i kojarzy je w harmonijną całość. Z tego więc względu można powiedzieć, że «okrągłość kształtów», jakkolwiek pośrednio wiąże się w kobiecie z jej płciową odrębnością, posiada również pewną este-

---

<sup>1)</sup> O drugim wypadku szczęśliwego skojarzenia właściwości płci z wymaganiami estetycznymi — o delikatności tkanek i subtelniejszej ich barwie, nie mówimy tutaj naprzód dlatego, że przymioty owe są w bardzo znacznym stopniu wynikiem sztucznie wytworzonych przez męczyznę warunków kulturalnych, powtóre, że środki najlepiej znanej nam i najwyższej rozwiniętej sztuki starożytnych (rzeźby) nie pozwalały na uplastycznienie żadnego z tych dwu znamion.

tyczną wartość niezawisłą. O tyle też mogła ona odgrywać rolę czynnika już nietylko podniecającego, ale i kształtującego w twórczości estetycznej, rolę modły lub wzoru<sup>1)</sup>, nawet niezależnie od wpływu odrębności płciowej.

Natomiast inne, drugo i trzeciorzędne znamiona tej odrębności, bądź związane bliżej ze służbą rozrodczą i korzystne dla niej (większe rozmiary miednicy, krótkość kończyn dolnych), bądź też stanowiące dalszy już skutek tej służby (słabszy rozwój tkanki mięsnej i nerwowej, mniejsze rozmiary głowy, nizkość czola), albo pod silnym i pacyzącym wpływem popędu płciowego, a nadewszystko za sprawą przyzwyczajenia oka widzów, stawały się wzorami estetycznymi ze szkodą wyższych postaci piękna, albo też, o co idzie nam głównie, ulegały same kształtującemu wpływowi estetycznej twórczości męskiej. Wogóle zauważyć trzeba, że w sztuce klasycznej t. zw. piękność «zmysłowa» miała znaczenie bardzo skromne. Klasyczną piękność nazywamy częstokroć chłodną, nie myśląc, co zawiera w sobie to określenie. A jednak w owej chłodnej piękności mamy właśnie opanowanie i przekształcenie niby kształcących estetycznie czynników kobiecości przez idealizacyjną twórczość mężczyzn.

Szczególnie w stosunku do wymiarów kończyn dolnych i miednicy idealista-rzeźbiarz sceptycznie zdawał się zachowywać względem podanego mu przez naturę kobiecą

---

<sup>1)</sup> Estetyczna wartość tej modły jest zresztą bardzo umiarkowana, dzięki zbytniej prostocie. Zobaczymy później, o ile wyższe pierwiastki piękna, nadewszystko zaś duchowego, sprzeczne są ze względną martwością takich linii. Nieskończenie trudno jest nam dzisiaj zdobyć się na bezstronny sąd estetyczny wobec ciała kobiety. Przekonamy się potem, jak dalece względy postronne podnoszą tu skalę uciechy estetycznej i paczą wyrok.

wzoru. Niemniej też w innych wypadkach odtwarzał on kształty kobiece ze szkodą okrągłości i kobiecości, a gwoli wymaganiom harmonii, niekoniecznie zgodnej z interesami i czynnościami macierzyństwa. Służebnicę wyzwałal on w wyobraźni z jej więzów, dając żeńskiemu osobnikowi urojone bodaj zwycięztwo nad gatunkiem... Dopiero później macierzyństwo zdobyło prawa estetyczne, ale już w charakterze czynnika niebiologicznego lecz społecznego, w postaci umysłownienia rodziny monogamicznej, wytworzonej i uświęconej przez idealizatorów wbrew zachowawczym instynktom matek okresu uprzedniego.

Późniejsze dzieje artystycznego odtwarzania kształtów kobiecych jeszcze wyraźniej uwydatniają nam ową przewagę męskiej idealizacyi nad wskazówkami estetyczności kobiecej. Wywołane przez geniusz mężczyzn mary zaziemskie, zbudzone przez nich niebieskie i piekielne potęgi znęcały się nad kobiecością i okrągłością przez całe wieki. Krańcowym wyrazem takiego odkobiecania kobiet były niewieście symbole bizantynizmu. Nie idzie tu o to, czy bizantynizm stanowił postęp czy też uwsteczniczenie w sztuce, ale o wykazanie błędności poglądu, który estetyczne wpływy kobiet przedstawia w duchu świadomej i czynnej idealizacyi, zapominając, że nawet w zakresie artystycznego tworzenia, najbardziej podległego wpływom kobiecości, właściwym idealizatorem był mężczyzna.

Ilekró symbolistyka taka dosięgała granic zupełnej martwoty i automatyzmu, odrodzenie przychodziło, co prawda, dzięki zwrotowi estetycznej twórczości mężczyznu ku bardziej realnym kształtom i barwom kobiecości — po to jednak, aby wcześniej czy później kobiecość owa uległa przeobrażającym wpływom idealizacyi. Zwracanie się do realnych kształtów nie było jakimś lekarstwem mistycznym, lecz stanowiło tylko jeden z objawów szukania no-

wych źródeł życia estetycznego, ratowania się przed szablonem.

Z biegiem społecznego postępu liczba takich źródeł zwiększała się: z podań ludowych z krwawych i niekrwawych kart historii narodu, z dramatów myśli ludzkiej tryskały niemniej ożywcze prądy natchnienia, zatapiające nieraz pierwotną kobiecość. Prawdą jest również, że ciało kobiety, jak owej czarownicy średniowiecznej — wyrzucało się zawsze na ich powierzchnię... Ale też nie idzie tu bynajmniej o zatajenie «podniecającego» pod względem estetycznym wpływu tego ciała, idzie tylko o wskazanie właściwych czynników estetycznej idealizacji. Otóż dla nikogo chyba wątpliwem nie jest, że ilekroć sztuki plastyczne zbaczały zbyt wyraźnie w kierunku większego posłuszeństwa względem realnych wskazówek kobiecości fizycznej, w kierunku tak zwanego dzisiaj naturalizmu — mogła być mowa o wszystkim, tylko nie o «uszlachetniającym wpływie kobiet na sztukę». Naturalizm dzisiejszy — jeżeli o nim mówić będziemy mogli — ukaże się nam, jako zjawisko bardzo zawile i ze sprzecznych składające się pierwiastków, zjawisko, w którym obok czynników pewnego ustroju społecznego spotrzeżemy nadto wpływy ogólnego postępu kultury ideowej, w którym odnajdziemy nawet oznaki wzmiankowanej uprzednio właściwej (najpóźniejszej) idealizacji popędów rozrodczych, ale zarazem zobaczymy, że idealizacja ta odbywa się kosztem najbardziej może zażartej walki idealizatorów z okrągłością i kobiecością. Osobnik usiłuje tu zanurzyć syrenią łódź, służącą od wieków interesom gatunku, w głębiach swojej własnej świadomości tychże interesów, w ideowym ich przeobrażeniu, w ujarzmieniu ich na rzecz interesów własnych.

Inne objawy samoistnej idealizacji męskiej w tym zakresie artystycznej pracy, najbardziej podległym wpływowi kobiet, zrozumiemy dokładniej, poznavszy inne, nie-

pliciowe już i przeważnie wyższe, bardziej złożone czynniki twórczości estetycznej.

Aż dotąd nie opuszczaliśmy jeszcze zakresu piękna cielesnego, uwzględniając przytem jak gdyby statyczną stronę wzorów kobiecości, mających niby kształtować twórczość mężką, lecz w rzeczywistości podległych wpływom, męskiej idealizacyi. Obecnie, nie wychodząc jeszcze również z dziedziny ciała, jako z najmocniejszej warowni przypuszczalnego oddziaływania kobiety na sztukę, rozważmy dynamiczną stronę estetyki niewieściej.

Drugą przyczyną, podsycającą złudzenia o większej «estetyczności» kobiet i o działaniu ich uszlachetniającem w sferze piękna, jest rzekomo «wrodzona» kobietom harmonia, łagodność, jak gdyby płynność ruchów. Czynnikiem ten, którego wszystkich współobjawów i skutków niepodobna prawie wyświecić, nie uwzględniając wzmiankowanej już uprzednio łagodności duchowej i bezbronności, (co będziemy musieli uczynić później), jest bezpośredni następstwem wytworzonych przez mężczyznę i niejako podarowanych kobiecie warunków kulturalnego jej otoczenia. Nietylko nie może tu być mowy o jakiejś harmonii wrodzonej, ale w wypadku tym, tak samo jak w wielu innych, twórczość mężka musiała idealistycznie... klamać. Ani większa stosunkowo długość tułowia, ani krótkość kończyn, ani szerokość miednicy nie należą do upominków, któremiby przyroda miała zamiar spotęgować ową harmonię ruchów. Typowo-kobiecy chód, przypominający niektóre ptaki wodne, sprzyja może dobrobytowi rozwijającego się w łonie matki nowego przedstawiciela gatunku, ale znowu z pewnością nie uwzględnia estetycznych wymagań i potrzeb osobnika. Wiecznie ta sama niewola i służba! To też dla przykrycia jej więzów artysta, jak mówimy, musiał idealizować. Przypomnijmy sobie raz jeszcze «chłodne» piękności klasyczne. Jeżeli w posagach

diskobolów, atletów, Laokoonów Merkureych, rzeźbiarz starożytny nie wahał się odtwarzać siły i harmonii ruchów ciała męskiego, to natomiast wszystkim swym Aryadnom, Psychom, Wenerom — nie bez powodu kazał on zawsze trwać w postawie mniej lub więcej rozkosznego unieruchomienia; kiedy zaś Dyana, jako szybkołotna władczyni borów, nie mogła przystać na klątwę tej boskiej rozlazłości — artysta dawał jej nogi dłuższe, stosunkowo zwężał przez to miednicę i tworzył w ten sposób cudowny zlepek dynamicznej harmonii mężczyzny ze statyczną okragłością kobiet.

Pokrzywdzona od natury służebnica, bujająca się na krótkich swych kończynach, zmuszona unosić brzuch niepomierne duży, nie prędko też doczekała się odszkodowania ze strony cywilizacyi. Dźwigając ciężkie brzemię w sobie i na sobie, wlokąc za mężem broń i żywność, której tylko resztki dostawały się jej w udziale, spełniając czynności jucznego bydłęcia, skwarząc się na słońcu przy zbieraniu trawy, marznąc po kilka godzin w wodzie, gdy łowiła skorupiaki i ryby, wiecznie zgarbiona albo skrzywiona bólem, pracą, ciężarem, strachem — nie mogła ona, nie miała ani czasu, ani możności, ani prawa prostować błędów swojej budowy, łagodzić okrucieństw przyrody i powołania. Pan i władca jej wyrabiał w sobie tymczasem, szybkość — ścigając się z jeleniem, siłę — walcząc z niedźwiedziami lub wrogiem, zwinność i subtelność ruchów, czając się do gniazd ptasich, wygrzewał się tylko w słońcu, które ją piekło, szukał ochłody w strumieniu, który mroził jej stopy, karmił się do syta mięsem, które dźwigała ona.

Powoli jednak zbliżała się chwila odwetu. Praca w domu i dokoła domu nie wymagała już tak częstych wysiłków, gwałcących przyrodzoną bierność ustroju i wydabiających jego nieudolność dynamiczną; «krzątanie się» kobiety zniewalało ją do ruchów drobnych, umiarkowa-

nych łagodniejszych. aż w końcu, przynajmniej w warstwach niektórych, prześlizgiwanie się pomiędzy nagromadzonemi przez mężczyznę cackami, sprzącikami, flakonikami, gablotkami stało się istną a ciągłą gimnastyką poruszeń subtelnych, gdy, z drugiej strony, stąpanie po miękkich kobiercach, legiwanie na sprężynach i aksamitach, nurzanie się w jedwabiach, muślinach i koronkach kształtowało ową «płynność», najlepiej odpowiadającą lubemu rozleniwieniu, najskuteczniej osłaniającą brak harmonii w ruchach bardziej energicznych, a nadto niepospolicie przydatną w położeniu i usposobieniu istot, wiecznie wyczekujących, niepewnych, albo łagodzących gniewy i zapędy panów stworzenia. Podziwiamy «dłoń niewieścią» w urządzeniu np. improwizowanej sypialni albo jadalni w podróży, na majówkach, w obozowisku pogorzalców, wielbimy zwinność kobiet, ich umiejętność radzenia sobie z powłóczystemi sukniami w biegu, w tańcu i t. p., mówimy z tego powodu o «wrodzonym» ich smaku i wdzięku, nie zastanawiając się, jakim jest w takich razach wpływ środowiska i przyzwyczajenia. A jednak, widząc kowala, który paroma uderzeniami młota kształtuje brylkę żelazną, albo operatora, który wychodzi zwycięzko z gmatwaniny poszarpanych mięśni, naczyń i nerwów — nikt nie myśli o «wrodzonych» zdolnościach mężczyzn do wyrabiania podków albo dokonywania amputacji.

Ale pominąwszy już sprawę wrodzoności albo sztuczności «płynnych» ruchów kobiety, nie mówiąc o tem, czy i o ile są one wytworzonym przez kulturę zamaskowaniem wad przyrodzonych, zastanówmy się nad właściwą ich doniosłością w rzeczach idealizacji estetycznej i wogóle w estetycznej twórczości.

Znaczenie to okaże się bardzo miernem<sup>1)</sup>. Naprzód,

<sup>1)</sup> Przeciwno dwom pokusom winien uzbroić się tutaj umysł,

właściwa kobietom zachowawczość i bierność, wzmiankowana wyżej skłonność do ulegania nalogom i rutynie, a w dodatku pewne wymagania towarzyskie sprawiają, że całe ich postępowanie, a więc i ruchy wszelkie popadają rychło w stan ugodowego automatyzmu. Słynne niegdyś przepisy o układaniu «usteczek w *pomme*», «rączek w małdrzyk», znana postawa matron, drzemiących na kanapach sali balowej, zabójczo jednostajne splatanie się dłoni dwu pensyonarek, obcujących z «panem», rozpaczliwie stereotypowe poprawianie ręką włosów przez młode dziewczęta, pragnące uwydatnić «alabastry widne choć zakryte», obowiązkowo uroczę przechylanie głowy na ramię towarzysza lub towarzyszki, klaskanie w dłoni, lekkie wydymanie warg, skubanie fartuszków, kwiatów i t. d., uzmysławiają tę prawdę. Są to wszystko odłamy pięknego kruszcu, z których w mennicy konwenansów powykuwano liście, wytarte już dzisiaj, liczmany i grosze. Będąc kapłankami szablonu i mody na innych polach, kobiety i tutaj przyrodzonemu czy nabytemu wdziękowi łatwo nadają słodycz... karmelków, stemplowanych marką etykiety. Szablon jest grobem arcyzmu. To też, estetyczna twórczość «idealizatorów» niezbyt chętnie szuka dla siebie karmi w salonach, a oglądając rozmaite «Ewy», «Fryny z Eleusis» i z Monachium, «Demony», zarówno «W kąpielni» jak i «Na kwiatkach», kobiety mogą przekonać się, jak mały wpływ na panów wywiera ich wdzięczne splatanie rączek albo poprawianie włosów, jak wiele miałyby etykieta do uzupełnienia w stroju Nany, w niedbałym zachowaniu się panienki, zasypiającej na różach. Nie koniec na tem Nawet

nieprzywykły do analizy: przeciw pokusie popędu erotycznego i moralnego zmysłu. Pierwszy każe mu widzieć piękno tam, gdzie będzie tylko pożytek... gatunku. Drugi — przypomni raz po raz o wpływie tych «drobnych» ruchów na złagodzenie obyczajów i znowu niewłaściwie wywyższy znaczenie ich estetyczne.

malarstwo buduarowe wzorem starożytności woli odtwarzać obraz spoczynku, niż ruchu, a trzymając się jako tako, gdy idzie o «Zadumane», «Zatęsknione», «Oczekujące», już «Na wieczorze» albo «Po balu» pozwala niewiastom wyznawać etykietę, wobec której karcenie niesfornego warkocza jest bardzo niewinną reklamą dla alabastrów.

Powtóre, jakkolwiek użytek robią mistrze sztuki z uroczych darów kobiecości, jakkolwiek dary te podlegają «samoistnej idealizacyi» (nie zaś przeciwnie), należy pamiętać, że ze stanowiska czysto-artystycznego, t. j. po usunięciu paczących nasz smak wpływów erotycznego popędu — zarówno statyczna okragłość ciała kobiety, jak i «uwdzięczone» jej ruchy pozostawać muszą w przed-sionku olbrzymiej świątyni piękna. Sądzę, że ani powódź lubieżnych romansideł, ani histerya rzeźbiona albo malowana, ani tłumy, zbiegające się do Nany lub Demona, nie odbiorą nam tutaj poczucia prawdy. Wiemy wszyscy, jakiego rodzaju «natężenie wrażenia» znieprawia tu zwykle nasz sąd estetyczny i tym lub owym pozwala mniemać, że nietylko babiniec, ale cały ów przybytek piękna zapchany będzie po wszystkie czasy Frynami i Wenerami. Jest to złudzenie tych, którzy, tonąc w objęciach okragłości i kobiecości, albo podziwiając męzkość i sprężystość, nie przewidują, nie spodziewają się estetycznego tryumfu człowieczeństwa.

Wdzięk i pewien rozkoszny spokój, które ze wszystkich czynników artystycznych są najbardziej niezaprzeczonem znamięniem owych łagodnych linii i ruchów, nie stanowią bynajmniej ani wyższego, ani szczególnie ożywczego tonu w nieskończonej harmonii piękna, w zwyciężkim hymnie twórczości estetycznej. Za chwilę przekonamy się o tem dowodnie.

IX.

Rozważywszy główne przyczyny złudzenia co do idealizacyjnego wpływu kobiet w zakresie piękna (podnięta zmysłowa, łagodność), sprowadziwszy do właściwej miary działanie tych wpływów, wykazawszy stosunek ich do samoistnej estetycznej idealizacji męskiej, zobaczymy teraz, jakimi były inne jeszcze źródła i czynniki twórczości artystycznej, jak w dalszym ciągu przekształcały one wskazówki kobiecości, a nakoniec, czy rola tej ostatniej coraz ważniejszą, czy też, przeciwnie, coraz bliższą staje się w dziejach sztuki. W ten sposób, zbliżymy się częściowo do wyводу ostatecznego, wykazując, o ile dla dalszych losów piękna niezbędną jest kobiecość, zaś o ile ustąpić ona musi przed człowieczeństwem, o ile potrzebnem będzie pozostawienie kobiety w dotychczasowej służbie u gatunku, zaś o ile możliwem pomnożenie jej praw osobniczych, czyli, mówiąc prościej, o ile niezbędnem, możliwem i pożądanem będzie położenie dotychczasowe kobiety, albo też jej równoprawnienie?

Popęd płciowy nie jest bynajmniej jedynem podścieliskiem potrzeb i pożądań estetycznych. Jeżeli, zgodnie ze Spencerem i wieloma innymi, uznamy, że fizyologicznym współodpowiednikiem najprostszej estetycznej uciechy jest pewne łagodne a przyjemne podniecenie czynności ustroju wogóle, zaś funkcji którekolwiek z narządów zmysłów w szczególności, to zrozumiemy łatwo, że oprócz bodźców płciowych może istnieć wiele innych źródeł takiego podniecenia. Nie koniec na tem. Zwolennicy piękna niezależnego i «sztuki dla sztuki» spostrzegą tu chyba, że w zakresie bodźców płciowych bezinteresowność, niezależność i estetyczna czystość (t. j. niemieszaność) uciechy jest może najbardziej podejrzaną. Istotnie odrazu zastanawia nas tam

okoliczność, że tak skromne pierwiastki estetyczne, jak wspomniane przed chwilą «wdzięk» i «spokój», jak łagodność linii i ruchów stanowią podnieętą tak potężną. Wytłómaczenie tej zagadki znajdujemy w fakcie, że działają one do spółki z popędem rozrodczym. Zwolennicy «sztuki dla sztuki», którzy każą nam pod wszelkimi postaciami podziwiać kawałki kobiecego ciała, nie domyślają się nawet, jak dalece padli ofiarą złudzenia. Zarówno sami oni, jak miłośnicy ich tworów, oglądający nagie kobiety «na kwiatkach», w sobolowych futrach i wogóle w położeniach, których nie następuje rzeczliwość, wielbią istotnie sztukę malowania lub rzeźby dla sztuki... zachowania gatunku. Analizując uwielbienie to dalej, znajdziemy, iż żywość podniecenia pozostaje tam bardzo często w stosunku odwrotnym do wspomnianych pierwiastków estetycznych, zaś w prostym — do czynników, budzących pożądanie płciowe, aż w końcu, zwłaszcza, gdy uwielbienie przenosi się z kopii na oryginał, najwyższym uniesieniem erotycznym towarzyszy w zwykłych warunkach zupełny prawie zanik estetycznych wymagań, potrzeb i pierwiastków. Mówiąc raz jeszcze o najpóźniejszej idealizacji popędu miłosnego i o naturalizmie dzisiejszym, zobaczymy z czasem, w jaki sposób idealizacja taka w razach wyjątkowych usuwa, a przynajmniej łagodzi tę sprzeczność obu popędów.

Z uwag powyższych wyprowadzimy dwa ważne wnioski. Pierwszy, że gdy idzie o estetyczne wzory kobiecości, nie możemy ręczyć ani za czystość (niemieszanie) estetycznych podnieć, ani za bezinteresowność i niezależność uciechy estetycznej; drugi — że większy stopień zadowolenia estetycznego zależnym bywa od działania pewnych czynników postronnych, oczywiście potęgujących wspomniane wyżej fizyologiczne, łagodne a rozkoszne podniecenie czynności ustroju i narządów zmysłów.

Postaramy się teraz oznaczyć główne źródła i pierwiastki uciechy estetycznej, niezależne od popędu płciowego, jak i również niezawisłe czynniki rozwoju estetycznej twórczości. Mając w pamięci probierz «łagodnego a przyjemnego podniecania czynności narządów zmysłów» zauważymy prędko, że każdy z tych narządów (z wyjątkiem płciowych) znajduje w otoczeniu swem mnóstwo bodźców, podniecających «przyjemnie» jego czynność, lecz nie uwzględniających bezpośrednio sprawy rozradzania się gatunku. Nie dość tego: przeglądając skalę estetycznych uciech, zdążając od zmysłów niższych ku wyższym, podług powszechnie uznawanego miernika ich estetyczności — znajdziemy, że nawet sprawa utrzymania gatunku przy życiu w danej chwili (np. przez odżywianie się jego przedstawicieli) odgrywa coraz mniejszą rolę w wyższych uciechach estetycznych; tam zaś, gdzie pozostaje ona składowym pierwiastkiem wyższego estetycznego zadowolenia, skuteczność swą zawdzięcza działaniu bądź wyższych zmysłów ciała (wzroku, słuchu), bądź też czynnikom postronnym bardzo wysokiej miary (społecznym, towarzyskim). Istotnie, przyjemne i najprzyjemniejsze wrażenia smaku, tego najmniej «estetycznego» ze zmysłów<sup>1)</sup>, prawie powszechnie i bez wyjątku wiążą się ze sprawą odżywiania. Rozkoszne wrażenia węchowe, mające już znacznie większy zakres uciech «niezależnych», są jednak najglówniej sprzymierzeńcami smaku. Co do słuchu i wzroku, to wiadomo każdemu z nas, jak łatwo

---

<sup>1)</sup> W wyliczeniu naszym pominęliśmy zmysł dotyku, zajmujący bodaj miejsce najniższe. Stoi on niejako na pograniczu pomiędzy zmysłami zewnętrznymi a wewnętrznymi (układowymi albo ustrojowymi, jak zmysł mięśniowy, trzewny, oddechowy, płciowy). Przyjemne wrażenia tego zmysłu bardzo często związane są bądź z odradzaniem się, bądź z utrzymaniem gatunku. (Znanym jest ogromny udział dotyku we wrażeniach smakowych).

i jak często wrażenia tych dwu zmysłów nie kojarzą się bezpośrednio ani z odradzaniem się, ani z utrzymaniem gatunku, jak wyłącznie służyć one mogą estetycznym potrzebom osobnika.

Już na bardzo niskich szczeblach drabiny ustrojowej znajdujemy przykłady «łagodnego a przyjemnego podniecenia», nie związanego bezpośrednio <sup>1)</sup> ani z odradzaniem się, ani z utrzymaniem. Mrówki doznają bardzo żywego zadowolenia w promieniach żółtych. Działanie światła na usposobienie wielu zwierząt znanem jest powszechnie. Niemniej wiemy wszyscy o zdumiewającym niekiedy wpływie muzyki na niektóre twory; jakkolwiek zaś tu i owdzie dałoby się wykazać związek tych wrażeń z podnieceniem popędu płciowego lub głodu, to jednak wiemy również, jak znaczną większość wypadków ogarniają estetyczne uciechy niezależne.

O bezpośredniości albo pośredniości związku uciechy estetycznej z odradzaniem się lub utrzymaniem gatunku stanowi liczba ogniów (wrażeń, wyobrażeń, nieświadomych procesów ustrojowych) pomiędzy daną uciechą a sprawami rozrodczemi i odżywczemi. Z tego stanowiska sprawy, najbliższej obchodzące gatunek (zapłodnienie i przyswojenie pokarmów), są niejako «hypestetyczne» t. j. znajdują się poniżej proga estetyczności, gdyż należą do bezwiednych. To, co się znajduje ponad nimi — rozkosz ero-

---

<sup>1)</sup> Pośrednio wszystkie przyjemne wrażenia wiążą się z dobrobytem gatunku, podsycając żywotność osobników. Sądzimy, iż podnoszona przez biologów przeciwstawność pomiędzy zadowoleniem (rozkoszą) a pożytkiem — nie istnieje. Zadowolenie jako takie nigdy nie bywa szkodliwym dla ustroju. Zabójczą może stać się tylko biologiczna przyczyna zadowolenia (ruch cząsteczek) wskutek małych np. zasobów organizmu, ale i wówczas subiektywne uczucie zadowolenia (jako podnieta żywotności) bywa jedyną jaśniejszą stroną tego smutnego zjawiska — tak samo jak przyjemny dźwięk zerwanej struny może być jedynym odszkodowaniem właściciela skrzypców.

tyczna i smakowanie — jest, jak wiemy, ustępstwem na korzyść osobnika i wymaga też pewnych szczególnych urządzeń, nie bezpośrednio potrzebnych do wykonania danej czynności (rozrodczej lub asymilacyjnej), wymaga owej nadbudowy, o jakiej mówiliśmy dawniej, a jaką pierwiastkowy organizm najprostszy kształtował z biegiem stuleci wprawdzie dla celów gatunku, lecz z coraz większym uwzględnianiem rozkoszy osobniczej. Domyślmy się, że im wyżej się piętrzyła «nadbudowa», tym wyraźniej występowały interesy osobnika, tym bardziej (albo tym zdradniej) chowały się w głębiach ustroju interesy gatunku. Ztąd największa pośredniość związku pomiędzy podstawowymi sprawami gatunku a estetyczną uciechą zmysłów wyższych, rozwiniętych najpóźniej (słuchu i wzroku), ztąd też możliwość pewnej szczególnej skali estetyczności, skali, polegającej na większym lub mniejszym oddaleniu się owej uciechy od spraw podstawowych, na względnym wyzwoleniu interesów osobnika od interesów gatunku.

Obok takiej skali wysokości wrażeń estetycznych, musimy uwzględnić inną jeszcze — skalę ich pojemności. Rozumiemy przez to większą albo mniejszą ilość pierwiastków, jak gdyby «stopionych» we wrażeniu estetycznym a potęgujących owo «przyjemne podniecenie czynności ustroju i poszczególnych zmysłów», o jakim robiliśmy wzmiankę. Przykład wzmocnienia jakiejś niższej rozkoszy estetycznej pod wpływem takiego zlewania się z nią bądź wyższych estetycznych wrażeń, bądź też czynników z dziedziny innej (moralnej, religijnej i t. p.) najlepiej nam rzecz tę wyjaśni. Weźmy uciechy smaku. Wrażenia węchowe i dotykowe zlewają się ze smakowymi tak dalece, że z trudnością oddziela je analiza. Krem «z wanilią», kartofle tarte albo zwyczajne mówią nam o powszechnej znajomości tego zjawiska i o sposobach jego

wyzyskania. Nadawanie potrawom pięknych barw i kształtów przypomina o potęgującym smakowitość wpływie wrażeń w z r o k o w y c h. Słuchając odpowiedniej m u z y k i (np. «wypił Kuba do Jakuba») niejeden z większym zadowoleniem osusza kufle. Są to najprostsze niemal przykłady zjawiska, które w dalszym rozwoju prowadzi do wchłonięcia olbrzymiej liczby czynników przez dane wrażenie estetyczne i otwiera przed nami rozległe a dla wielu nowe widnokreśli.

Wyborny przykład «stapiania się» wielu wrażeń estetycznych w jednym — smakowem, podaje Guyau, opisując, jak po uciążliwej wycieczce na szczyt góry w chacie pasterza dostał kubek przepysznego mleka. Gdy chłonał ożywczy napój, zdawało mu się, że razem z nim wchłania w siebie: świeżość górskiego powietrza, wonie ziół alpejskich, uroczą dal krajobrazów, blaski słońca, zachodzącego za góry, zieloność kobierców trawy, dalekie odgłosy dzwonek pasącego się bydła i t. d. i t. d. Autor przytoczył to opowiadanie, broniąc estetyczności wrażeń nawet smakowych; my zwrócimy tymczasem uwagę tylko na to, że owe «stopione» czynniki nie-smakowe potęgowały żywość z a d o w o l e n i a, wywoływanego bezpośrednio przez wrażenie smaku. Zauważmy jeszcze, że wszystkie te pierwiastki dodatkowe należały również do zakresu doznawań estetycznych.

Ale posuwając się dalej w tym samym kierunku, spostrzeżemy zjawiska bardziej złożone. Już nietylko różnogatunkowe (np. smakowe i wzrokowe) ale i różnorodne (np. estetyczne i moralne) pierwiastki zlewają się ze sobą w podobny sposób, podnosząc skalę estetycznego zadowolenia. Liche wino smakuje lepiej, jako toast spełniany za powodzenie jakiegoś upragnionego przedsięwzięcia. Estetyczne zadowolenie matki, podziwiającej np. rysunek własnego dziecka, nie odpowiada wartości «dzieła».

Bliższe rozważenie dwu postawionych przez nas problemów wysokości i pojemności wrażeń estetycznych (odległość od podstawowych spraw zachowania albo utrzymania gatunku oraz ilość różnogatunkowych i różnorodnych pierwiastków, «stopionych» we wrażeniu estetycznym), wyprowadziłoby nas na pełne morze sporów i roztrząsań, stanowiących oddawna ulubione i, jak dotąd, dość jałowe zajęcia estetyków z zawodu. Musielibyśmy tu dotknąć sprawy tendencyjności i beztendencyjności sztuki, stosunku piękna do użyteczności, zastanowić się nad dwiema wprost przeciwnymi teoryami: tą, która widzi w sztuce li tylko «zabawę» (Spencer), i tą, która zespala ją z poważniejszymi zadaniami życia (Guyau). Zagadnień tych będziemy tu mogli dotknąć o tyle tylko, o ile wymaga tego nasz przedmiot.

Przedewszystkiem należałoby tu usunąć pewne nieporozumienie, które najwięcej może przyczyniało się zawsze do paczenia estetycznego sądu, zwłaszcza pośród artystów. W naszych wrażeniach estetycznych wobec dzieł sztuki olbrzymią rolę odgrywa uczucie podziwu dla wykonawcy, który potrafił naśladować przyrodę, wywołać w nas złudzenie rzeczywistości. Z tego stanowiska dobrze t. j. wiernie odtworzony patyk może budzić i budzi większą uciechę, większe zadowolenie w widzach, aniżeli miernie namalowany krajobraz lub portret. Do ulegania takiemu podniecającemu wpływowi realizmu twórczości estetycznej szczególnie skłonny są artyści, jako ludzie wiecznie dążący do pochwylenia i odtworzenia otaczającej ich prawdy <sup>1)</sup>. Otóż zauważyć trzeba, że ów realizm wykonania, mówiąc ściśle, nie ma nic a nic wspól-

---

<sup>1)</sup> Mając, nadto, w wyobraźni swej najwierniejszą podobiznę rzeczywistości, są oni również mniej wrażliwymi od jednostki przeciętnej na wyższą, zkądiną, estetyczność twórców źle wykonanych.

nego z estetycznością wrażenia, jako obrazu, jako pewnej grupy czynników, budzących w nas samoistnie «łagodne podniecenie» czynności danego zmysłu. Przy ocenie pięknych tworów i zjawisk przyrody względ powyższy wcale w grę nie wchodzi, zaś przy ocenie «estetyczności» dzieła sztuki powinien on stanowić czynnik wprawdzie stały, ale zarazem jak gdyby hypestetyczny t. j. znajdujący się poniżej proga estetycznej świadomości. Porównyując estetyczność dwu obrazów, podług skali ich wysokości i pojemności, z góry przyjmujemy, że pod względem właściwego sobie realizmu są one równe, oraz że oceny ich pod tym względem dokonała już nie estetyka, ale właściwa gałąź wiedzy technicznej. Realizm odtworzenia tak samo nie powinien wpływać na ocenę estetyczności przedmiotu, jak np. wierność opisów jakiegoś zjawiska przyrody nie stanowi o doniosłości jego dla spraw ludzkich albo dla gospodarstwa wszechświatowego. Zjawisko opisane wiernie może być blahym czynnikiem w przebiegu dziejów, zjawisko błędnie i omyłkowo przedstawione może odgrywać rolę potężną.

Jeszcze jedna uwaga o realizmie. Wspomnieliśmy przed chwilą o jednakowości realizmu, właściwego danym przedmiotom. Przymiotnik ten każe nam pamiętać, że realizm, w pospolitem rozumieniu tego wyrazu, nie daje się zastosować do wielu tworów np. do tworów fantastycznych. Właściwym realizmem nazwalibyśmy tutaj nie stopień zgodności odtworzenia z prawdą przedmiotową, ale subiektywne wrażenia widza, mówiące mu o większej lub mniejszej prawdziwości albo nawet tylko możliwości przedmiotowych wzorów dzieła sztuki. Idzie tu nie o faktyczne podobieństwo utworu sztuki do prawdy przedmiotowej, ale o wrażenie takiego podobieństwa. W rozbiorze najpóźniejszym wrażenie estetyczne bez owego «właściwego» realizmu, bez wiary w prawdopodobieństwo szczegółów przed-

miotowych jest niemożliwe, ale wiara ta i owo prawdopodobieństwo są, jak mówimy, hypestetycznymi warunkami wrażenia estetycznego. Obrazy Böcklina, przedstawiające potwory morskie kształtów rybio-ludzkich, bez realizmu rybiej łuski, skrętów węzowatego ciała i t. p., dawałyby nam tylko niesmaczne wrażenie jakichś rzuconych na kupę plam barwnych; ale o estetyczności tych obrazów stanowi właśnie to, co realizmem nie jest — a mianowicie skojarzenie owych realnych szczegółów. Podobnie też o genialności mechanika, budującego nową maszynę, stanowi nie to, że koła zębate, dźwignie i t. p. mają zęby, są zrobione (nie przez niego nawet) ze stali, ale nowe skojarzenie tych kół zębatach, dźwigni i t. p. Za dobre wykonanie kół i drągów należy się pochwała rzemieślnikowi od rzemieślników, za całość nagrodę wyznaczać muszą inżynierowie. Przy ocenie dwu machin z góry przyjmujemy, że części ich składowe są jednako dobrze wykonane pod względem rzemieślniczym (technicznym), ale tylko w oczach ciemnego ślusarza, ceniącego nad wszystko «gładkość» roboty, pierwszeństwo może otrzymać machina, dobrze «odrobiona», jakkolwiek nieudolna w pomysle.

Zastrzegłszy się jak najwyraźniej co do uznawania niezbędności realizmu (właściwego) w dziełach sztuki, jako hypestetycznego warunku ich estetyczności, tym śmieiej możemy teraz mówić o większej lub mniejszej estetyczności w uzależnieniu od dwu postawionych przez nas probierców.

Nieszczęściem estetyki było to, że do jej teorii brali się bardzo często artyści t. j. ludzie z samej przyrody swego umysłu jak najmniej zdolni do myślenia naukowego. Istotnie, pomiędzy artystyczną a naukową twórczością istnieje pewne przeciwieństwo, niepospolicie utrudniające pracę na obu polach umysłowi artystycznemu. Kiedy w nauce nadewszystko cenioną jest abstrakcja, dająca się

zastosować do największej liczby wypadków, lecz nie uwzględniająca przykładów danych — sztuka wojuje konkretnością. Kiedy potęgą nauki jest refleksja (zastanowienie, rozważa, namysł), sztuka zwycięża odruchem. Nauka uogólnia szczegóły, sztuka indywidualizuje prawdy ogólne, nauka wyzwala osobnika z niewoli gatunkowej pośrednio, dając mu poznać prawa gatunku, sztuka — budząc w nim siłę osobniczą, prowadząc do zwycięstw bezpośrednich. Ale zjawiska twórczości artystycznej, raz już poznane przez uczonego, podlegają w jego umyśle ogólnym prawom naukowego opracowania. Nie tak jest z artystą. Będąc — na podobieństwo dziecka — niewolnikiem wrażeń konkretnych, nie może on zdobyć się na uogólnienie albo też uogólnia zbyt pośpiesznie. Modny dzisiaj nihilizm estetyczny, nie uznający żadnej estetycznej teorii, powstał właśnie dzięki wielkiemu napływowi umysłów wyłącznie artystycznych do dziedziny «filozofii piękna». Przyczyną tego jest upowszechniona więcej niż dawniej znajomość sztuki czytania i pisania wśród ludzi, którzy w sposób naukowy sztuki tej wyzyskać nie mogą z samej przyrody rzeczy. W przeciwstawieniu do wyjątkowych, genialnych umysłowości czasów dawniejszych i obecnych, do ludzi niezwykle wszechstronności, którzy na wszelkich polach bywali odnowicielami życia i myśli, większość artystów, szara ich masa znajduje się na stanowisku przeciętnych kobiet, dzieci, albo w najlepszym razie ludzi niewykształconych, którym, jak wiadomo, teroryzm poszczególnych faktów i fakcików nie pozwala nigdy zdobyć jakichkolwiek szerszych uogólnień. Doszło do tego, że większość artystów lubuje się dzisiaj w tej estetycznej hysterii, robiącej prawo estetyczne z zupełnego bezprawia. Bardzo niedawno jeden z naszych krytyków artystycznych (sam artysta) unosił się nad niepochwytnością praw estetycznego tworzenia. «Któż zbada! Któż zdoła przewidzieć» i t. p. są to wykrzykniki, z lu-

bością powtarzane przez takich estetyków-nihilistów. Zapomina się tutaj, że nietylko estetyka ale żadna z nauk nie zdoła przewidzieć, jak się odbędzie zjawisko w danym wypadku konkretnym. Mając ogólne pojęcie o trawieniu, pożywności pokarmów i t. d. możemy jednak nie wiedzieć, że kanał pokarmowy Jana lub Pawła posiada pewne właściwości, które sprawią, iż zaszkodzi mu to, co pomaga innym. Ale po zbadaniu poszczególnego faktu szkodliwości w wypadku danym, będziemy już mogli «przewidzieć» i powiedzieć: z jakimi ogólnymi prawami przyrody on się zgadza, albo jakie odsłania nam widnokreśli nowe — również ogólne. Podobnie też nie możemy «przewidzieć», że w mózgu Alfreda, malującego np. «majowe nabożeństwo pod krzyżem», tkwi z lat dziecińczych wspomnienie dwu sarn, które, wyszedłszy z pobliskiego lasu, przypatrywały się zdumione gromadce pobożnych; ale zbadawszy to, powiemy, dlaczego sarny wywołały ogromny efekt artystyczny i, objechawszy Europę, zjednały autorowi niespożyta sławę. Rozumiemy, jakim ogólnym prawom artystycznego tworzenia albo estetyczności wrażeń stało się tu zadość. Zjawisko jest tu poprostu bardziej złożone, gdyż w grę tam wchodzi czynniki nietylko psychologiczne, społeczne, ale fizyczne i fizjologiczne; nietylko prawo kojarzenia się myśli ale i prawa trawienia. Nie znaczy to jednak, aby dziś już nawet wymykało się ono wszelkiej klasyfikacji, aby urągało wszelkim prawom naukowego szeregowania faktów.

Artyści dość już powszechnie uznają wspomniany tu przez nas probierz w wysokości wrażeń i tworów estetycznych (pośredniość albo odległość tychże wobec podstawowych spraw zachowania i utrzymania gatunku). Probierz ten przez myślicieli niektórych był nawet uznany za jedyną miarę estetyczności. Ztąd to właśnie wyłonił się pogląd Spencera na sztukę, jako na pewnego rodzaju «zabawę», pogląd tak gorąco zwalczany przez Guyau'a. Sądzę,

że pod pewnym względem obaj ci pisarze nie mieli słuszności. Myliliby się ten, kto by «poważniejsze czynniki życia» pragnął wyłączyć z uciechy estetycznej, ale też błędem byłoby przypuszczać, że czynniki owe wchodzą do tej uciechy w charakterze innym, jak w charakterze zabawy. Należy tylko właściwie określić i zrozumieć znaczenie zabawy. Określenie to może nam dać psychologia. Zabawą nazwiemy wszelką przyjemną działalność ustroju, w której doskonale przystosowanie się uwagi wyklucza zupełnie świadomość wysiłku oraz świadomość postronnych, nieestetycznych celów tejże działalności. W ten sposób widzimy, że o psychologicznej «zabawności» danego zajęcia stanowi nie jego przedmiot lecz sposób wykonywania, poczucie subiektywne i estetyczność celu. Przesypywanie piasku może być tak dobrze zabawą dla dziecka, jak gra w szachy, albo układanie równań różniczkowych dla dorosłego <sup>1)</sup>. Zabawa — a więc estetyka i sztuka — nie wyłącza ani ciężkiej pracy fizycznej, ani abstrakcyjnych wywodów myśli, ani potrzeb i pragnień moralnych, ani religijnych uczuć, ale wszystkim tym czynnikom pozwala wejść do estetycznej uciechy pod warunkiem, że nie obudzą świadomości wysiłku, że nie podsuną nam świadomości własnych swych celów postronnych, lecz tylko służyć będą do spotęgowania przyjemności.

Niektórzy z estetyków (przeważnie artyści), pozostając dotąd na stanowisku owych mrówek, rozkoszujących się światłem żółtem, jak najusilniej opierać się będą dopuszczaniu takich czynników «postronnych» do dziedziny estetyki. Podług ich teorii, dobrze «zrobiony» kwiatek posiada taką

<sup>1)</sup> Naodwrot też, wszelka zabawa może stać się pracą, gdy wymaga wysiłku uwagi i kiedy podejmowana jest w jakimś celu postronnym, np. w moralnym celu »rozerwania« chorego. Praca starszych bywa dla nich równie często zabawą, jak zabawa dzieci pracą. Zabawa dzieci — to nie czeza igraszka, powiada Froebel.

samą wartość estetyczną, jak i obraz, przedstawiający np. «Ukrzyżowanie Chrystusa». Ma się tu zapewne na myśli jednaką wierność odtworzenia rzeczywistości, ale nawet taki niewłaściwy probierz nie uratuje tego poglądu. W zakresie mechaniki nikt nie poważy się utrzymać, że dobrze zrobiona muterka posiada taką samą wartość mechaniczną, jak i most kolejowy. Można powiedzieć tylko, że oboje mogą być wykonane jednostajnie dobrze, ale dobra muterka pozostanie zawsze tylko dobrą muterką, most — mostem. Z takich aforyzmów i zestawień nic nigdy nie można było wywnioskować. Estetyk, porównujący dobrze namalowany kwiatek ze źle namalowanym obrazem historycznym, uchybia zasadniczemu prawidłu wszelkiego porównania. Logika porównań wymaga, aby stosunek dwu danych właściwości wyprowadzany był z zestawienia tylko ich samych przy domyślnem ujednostajnieniu wszystkich przymiotów innych. Mówiąc, iż żelazo wytrzymalsze jest od drzewa, nie wezmę dla wykazania tego cienkiej żelaznej igły i grubego pnia dębowego. Podobnie też, gdy chcemy porównać estetyczność «róży» i «zdjęcia z krzyża», niedorzecznością byłoby wyprowadzać wnioski z zestawienia poprawnie namalowanego kwiatu z nędznym bohomazem. Nie koniec na tem, należy też ujednostajnić wszelkie przymioty, uważane za niezbędny warunek estetyczności, jak artystyczny temperament, harmonię barw, indywidualizm postaci i t. d. Dopiero wtedy można będzie przystąpić do porównania estetyczności obu utworów. Jeżeli jeden z nich okaże się wyższym — łatwiej znajdziemy przyczynę tej wyższości, nie gubiąc się w nagromadzonych dowolnie i utrudniających porównanie różnicach techniki malarskiej. Otóż, po usunięciu tych wszystkich różnic wyższym okaże się zawsze utwór bardziej «odległy» od podstawowych spraw ustroju i bardziej «pojemny» t. j. taki, w którym zespoliło się więcej pierwiast-

ków estetycznych oraz czynników «postronnych» (moralnych, religijnych i t. d.), doprowadzonych, że tak powiemy, do poziomu estetycznej obojętności.

Ci, którzy opierają się takiemu dopuszczaniu pierwiastków postronnych, domyślnie pozwalają sobie na kilka ograniczeń i zastrzeżeń nieprawowitych. Naprzód ograniczają oni zjawiska piękna li tylko do zakresu dzieł sztuki. Powtóre, w dziedzinie tworów sztuki ludzkiego uwzględniają jedynie sztuki plastyczne; po trzecie, nie zdają sobie jasnej sprawy ani z właściwych środków tej gałęzi twórczości, ani z rozwoju związanych z nią pojęć i uczuć estetycznych.

Większa odległość od spraw podstawowych ustroju pozostawia znaczniejsze pole zabawie właściwej, nie doprowadzając nas jeszcze do wykonywania «pożytecznych» czynności, nie budząc w nas świadomości pracy organizmu dla celów nieestetycznych. Większa pojemność sprzyja podnieceniu pierwiastkowej uciechy estetycznej przez dołączenie nowych pierwiastków, potęgujących estetyczne zadowolenie. Ze stanowiska techniki malarskiej i sztukmistrzostwa większa odległość domaga się większej subtelności w odczuciu i odtworzeniu szczegółów, nie bezpośrednio podsuwających widzowi myśl o czynnościach podstawowych; większa pojemność żąda od artysty opanowania znaczniejszej liczby czynników, zaś w słuchaczach lub widzach każe domyślać się dłuższego i wyższego rozwoju uczuć estetycznych, w ciągu którego czynniki «postronne» miały już możliwość i czas osiągnięcia poziomu estetycznej obojętności.

Stopniowe oddalanie się od podstawowych spraw gatunku jest jednym z najbardziej niezaprzeczonych znamion rozwoju sztuki. W niektórych jej zakresach zjawisko to bywa prawie powszechnie uznawanym synonimem samego rozwoju. Walka uczuć i żądań w dramatach nowo-

żytnych coraz rzadziej posługuje się bronią bezpośrednich odruchów i t. zw. «grubych efektów». Zamurowywanie kobiety, albo wnoszenie na scenę trumny w *Mazepie* Słowackiego nie tylko nie podnosi, ale osłabia w widzach żywość rozkoszy estetycznej. Pomimo powtarzanych do przesyty ogólników, że «człowiek zawsze będzie człowiekiem», że «natura ludzka zawsze jest ta sama», wątpliwości Hamleta, subtelne niepokoje Fausta byłyby niezrozumiałymi dla bohaterów i bohaterek tragedyi starożytnej. Tak samo, jak w zapasach orężnych od maczugi, bezpośrednio miażdżącej czaszkę wroga, doszliśmy do dział Kruppa, przy których, zamiast uderzać i gruchotać, żołnierz musi przedewszystkiem wykonać pewien rachunek matematyczny, pozostawiając właściwą pracę burzycielską nagromadzoną w armacie przez kulturę i ustosunkowaną w pewien sposób narzędziom i siłom, tak też w walce duchowej drogą odczuć subtelnych albo wyrafinowanego rachunku bierzemy za cel pocisków tylko najdelikatniejsze i najpóźniej rozwinięte uczucia przeciwnika, pozostawiając właściwe dzieło zniszczenia czynnikom i potęgom, nagromadzoną przez cywilizację i dobór naturalny w jego własnym ustroju: nie upijamy się gorącą krwią wroga — zatruwa ją powoli słówko rzucone od niechcienia; nie raczymy się jego mózgiem — wysusza go umiejętnie zbudzona nieufność, podejrzenie zdrady, płomień tajonej ambicji i t. p.

Napływ pierwiastków demokratycznych na arenę życia estetycznego zdaje się przeczyć naszemu pogładowi. Sprzeczność jest tylko pozorna. Żywiły demokratyczne, dostarczając pewnych bardzo cennych dla sztuki nabytków (wzrost skali pojemności), pod niektórymi względami wpływają na czasowe jej uwstecznienie: musi ona na innych, szerszych podstawach rozpocząć na nowo dawny swój krąg przeobrażeń, oddalając się znowu coraz bardziej od spraw podstawowych.

Myliłby się zresztą ten, ktoby sądził że subtelność i «pośredniość» efektów sztuki wyłącza potęgę ich skutków. Pierwotny ludożerca, stojąc z maczugą obok kanoniera, mógłby w podobny sposób chwalić większą skuteczność swojej broni, a nie widząc wroga tuż przed sobą, mógłby nawet wątpić, czy pocisk dosięgnie go kiedykolwiek. Estetyczna potęga subtelności na tem polega, że w słuchaczach lub widzach budzi ona nieskończony łańcuch skojarzeń, dających im złudzenie samodzielnej twórczości artystycznej. Cokolwiek powiemy o intelektualizmie dzisiejszym, jakkolwiek słusznie spostrzegamy w nim krańcowy skutek ujednostrobnienia życia, słusznie witamy z radością dopływ silniejszych i bardziej wyrazistych uczuć, rehabilitację zapoznanych praw ciała i siły fizycznej, epidemię sportów i słōjdów, to jednak, zdaje się, nie ulega wątpliwości, że te nowo-wprowadzone, tak niezbędne czynniki uzupełniające nie przekroczą właściwego sobie poziomu, że nie do kości i ścięgien, ale do nerwów i mózgu przyszłość sztuki należy, że nie w cyrkach ale w teatrach, nie w orgiach mięśni łydkowych ale w grze twarzowych — ludzie znajdując będą najwyższe zadowolenie estetyczne. Łatwo się będzie z tem pogodzić, mając w pamięci przykład maczugi i armaty. Wyznawcy estetycznego rozczochnia smucić się tu będą na myśl o stopniowym rugowaniu konwulsji i histeryi z dziedziny artystycznej. Smutku ich nie będziemy mogli ukoić przed rozważeniem skali «pojemności».

Wielokrotnie, co prawda, zdarzało się nam słyszeć skargi na «przeczywilizowanie» ludzi społecznych, na zbyt delikatności, na brak silniejszych uczuć i wrażeń. Należy właściwie znaczenie tych skarg rozumieć: nie wytworność i subtelność, nie owa «pośredniość» jest ich źródłem istotnem. Uskarżamy się na tyranję szablonu, na kłamstwo życiowe, pragnące uchodzić za prawdę. W podobny też sposób bylibyśmy się odwracali z niesmakiem

od szablonowych tragedyi, najeżonych pojedynkami, pławiących się we krwi, ziejących trucizną. W utworach nowożytnych tego rodzaju środki artystyczne — o ile nie tłómaczy ich zasilona nowymi pierwiastkami, ale zarazem uwsteczniiona pod pewnym względem atmosfera życia — muszą szukać dla siebie usprawiedliwienia całkiem szczególnego. Świadczą o tem np. dziwaczne koleje psychopatów Ibsena, a nadewszystko właściwy mu «mistycyzm». Ten ostatni szczególnie czynnik, otwierając wyobraźni słuchacza lub widza pole olbrzymie, pozwala jego uwadze nie zatrzymywać się zbyt długo nad efektem «skakania z wieży» i t. p. albo raczej przedstawia tę okropną okropność, jako błahy szczegół okropności daleko większej — ukazywanych w oddaleniu, subtelnie zarysowanych tajemniczych potęg.

Oddalenie się od spraw podstawowych gatunku, większa «pośredniość» stanowi też nie mniej znamienny, jakkolwiek mniej może uznawany objaw rozwoju innych sztuk pięknych. Zrozumienie tej prawdy znakomicie utrudnia nam rosnąca jednocześnie «skala pojemności», dla usunięcia więc zawady zastanowimy się chwilę nad tym drugim probierzem postępu sztuki.

Zwróćmy przedewszystkiem uwagę na pewien czynnik, będący niejako wspólnym gruntem, wspólną przyczyną obu probierzów. Czynnikiem tym jest coraz wyższy duchowy rozwój jednostek, podziwiających piękno, coraz większa złożoność umysłu samego słuchacza albo widza, coraz większe ich bogactwo duchowe. Uwieczniona w przysłówiu domyślność «głów mądrych» przypomina nam, że zbyt wyraźne i bezpośrednie bodźce estetyczne są jak gdyby obrazą dla nich, gdy tymczasem napomknienie subtelne nietylko wystarcza zupełnie, ale, jak wyżej, pozostawia rozległe pole własnej ich twórczości estetycznej. Szczegółowy przegląd kolejnych stopni rozwoju wszystkich

narządów zmysłów byłby aż nadto unaocznili nam tę potęgującą się ciągle subtelność, nawet w dziedzinie dostępnej miarom i wagom fizjologii.

Bogactwo duchowej treści widzów albo słuchaczy sprawia, z jednej strony, że nawet prostsze bodźce estetyczne wywołują w ich umyśle cały szereg skojarzeń, z drugiej zaś, że bodźce bardziej złożone głośniejszy i bardziej różnolity znajdują tam oddźwięk. Ztąd właśnie pochodzi ów ciągły wzrost pojemności doznań estetycznych. Dalecy już jesteśmy dzisiaj od owej prostej, jednolitej, wyłączenie prawie fizjologicznej uciechy mrówek, rozkoszujących się światłem żółtem. Jakkolwiek zaś chorobliwie ujednostronnione oko malarzy-kolorystów radeby było zatrzymać nas na owym poziomie, to jednak dla ludzi normalnych widocznym jest, o ile najpiękniejsze «plamy» nawet dla samychże sprawców swoich nie są już jedynym i wystarczającym źródłem artystycznej rozkoszy. Harmonia barw, gra światła i cienia, łamanie się barw miejscowych, a ponad to wszystkim podziw dla mistrza, który to wszystko odtworzyć albo stworzyć umiał, oto pierwiastki, znieprawiające estetyczną prostotę najgorliwszego bodaj z wyznawców estetyki mrówczej. Obok tych pierwiastków urzędowo-estetycznych, ale wkraczających już coraz głębiej w dziedzinę psychologii, bardzo wcześnie z najpierwotniejszymi objawami uciechy «mrówczej» łączą się czynniki «postronne», będące wytworem rozwoju tak jednostki, jak i życia społecznego i jak najgorliwiej, chociaż nie najskuteczniej wyganiane przez mrówczych artystów z zakresu twórczości estetycznej i z dziedziny estetycznych wrażeń. Zamiast fizjologicznych czynników, bezpośrednio podniecających przyjemną działalność ustroju i narządów zmysłów, spotykamy coraz częściej czynniki psychologiczne, które działalność taką podniecają tylko pośrednio — przez skojarzenie i przypomnienie — aż w końcu wskutek sko-

jarzeń ilościowo częstych i stałych ogniwa, łączące myśl naszą ze stanem bezpośrednio przyjemnym, same stają się źródłem rozkoszy, środek poza-estetyczny staje się estetycznym celem.

O ile w dziejach nowożytnego dramatu można było wyraźnie śledzić «stopniowe oddalanie się od spraw podstawowych», o tyle znów historia budownictwa mogłaby nam dostarczyć wybornych przykładów «wzrostu pojemności» t. j. owego wcielania się nowych pierwiastków estetycznych w dawne estetyczne wrażenia. Nietylko ogólne kształty budowli wszelkich, budzące zachwyt estetyczny, bywały pierwiastkowo wynikiem pewnych właściwości materiału budowlanego albo warunków gleby, klimatu i t. p., bywały wytworem uznania pożytku, zanim stały się przedmiotem podziwu estetycznego, ale i najmniejsze ich ozdoby takąż samą przebywały drogę. Inny szereg przykładów podobnych odsłania nam etnografia w historii ubiorów. Nakoniec, że wymienimy tutaj tylko dowody, najłatwiej dające się ująć i sprawdzić — antropologia w sposób najmniej nieprzyjemny dla estetyków «czystych» wyświetli nam tajemnicę piękności ludzkiego ciała i oblicza: znamiona rasy najpożyteczniejsze i nieuniknione w danych warunkach otoczenia stają się wyrazem cielesnego i duchowego piękna. Płaskie nosy, wydatne łuki policzkowe, wargi grube, skóra czarna, żółta lub czerwona, małe ukośne oczka budzą estetyczne zadowolenie w tych, którym wielką przykrość sprawiłby widok białej twarzy, delikatnie zarysowanych ust, dużych oczu niebieskich i t. d.

Artysta-krytyk, nie uznający prawowitości owych pozaestetycznych lecz uestetycznionych pierwiastków w dziedzinach powyższych, słusznie mógłby pomówionym być o nieuctwo. Kiedy jednak, jak to bywa często, domaga się on niepokalanej «czystości» dla innych wrażeń estetycznych, np. w malarstwie, nie tłumaczymy tego ani brakiem

wykształcenia krytyka, ani chorobliwą jednostronnością i «fizyologicznością» jego postrzeżeń wzrokowych, ani ubóstwem duchowej jego treści, lecz skłonni bywamy uważać pomyłkę jego za «teorię».

Uznając, że prozaiczne przewiasło na pęku trzciny stało się z biegiem czasu gzemsem kolumny doryckiej, którego domaga się dzisiaj nasze oko jako ozdoby, krytyk taki nie może jednak zrozumieć, że w podobny sposób siła, rozum, dobroć i t. p. wcielając się z biegiem pokoleń w rysy twarzy, również stawały się samoistnymi bodźcami estetycznej uciechy — niezależnie od koloru farby, od twardości materiału i t. p. Wzmiankowane wyżej uczucie podziwu dla realizmu twórczości artystycznej nie pozwala mu, nadto, zrozumieć, iż *caeteris paribus* wyższą jest estetyczność owych uestetycznionych pierwiastków dodatnich, aniżeli ujemnych. Będąc na każdym kroku chwałcą i wielbicielem przyrody, krytyk nasz zapomina, że w przyrodzie pierwiastki ujemne, jako takie, wywołują w nas stan wprost przeciwny zadowoleniu estetycznemu, że estetyczność ich w sztuce jest zapożyczona od artyzmu twórcy, od jego zdolności odtwarzania zjawisk otaczających, zdolności, która, jak wiemy, nie powinna w grę wchodzić przy ocenie estetyczności wrażeń.

Trudno wyobrazić sobie, jak wcześnie i jak ściśle z prostemi napozór wrażeniami estetycznymi spletają się pierwiastki postronne, a po osiągnięciu tego, cośmy nazwali poziomem estetycznej obojętności, potęgują rozkosz estetyczną. Tylko brak wprawy w analizowaniu własnych wrażeń i odczuć nie pozwala stronnikom «czystego» piękna zrozumieć, że np. przy słuchaniu wielkiego chóru, przy oglądaniu olbrzymiej, falującej powierzchni morza, oprócz doznawań czysto wzrokowych lub słuchowych, a więc urzędowo-estetycznych, budzi się w nas zaczątkowa, niejasna świadomość potęgi człowieka albo przyrody, świado-

mość rzeczy i zjawisk pozaestetycznych, niemniej jednak służących w danym razie li tylko do wzmożenia estetycznej uciechy. Rozważając tu fakty tego rodzaju, jak najusilniej powinniśmy się bronić przed logiczną woltą krytyków «czystych», która, jak wiadomo, polega na tem, że udatne i możliwie «czyste» dzieło sztuki porównywa się domyślnie z utworem nieudanym, w którym na spotęgowanie wrażenia tłumów wpływają zmieszane z niem pierwiastki postronne <sup>1)</sup>. Musimy stale i ciągle pamiętać, że jedynie prawowitą skalą porównawczą jest tutaj skala pojemności, stosowana po domyślnem ujednostajnieniu w wszystkich innych warunków estetyczności dzieła (sztuki albo przyrody).

Dzieje stopniowego rozwoju, zboczeń i uwstecznień skali pojemności w tworach i utworach piękna są niepospolicie zawile i długie. W wypadkach najprostszych zespalają się ze sobą dwa albo więcej pierwiastków czystoestetycznych jednorodnych np. dwa dźwięki, tworzące *unisono*. Dalej, mamy zespolenie różnorodnych estetycznych czynników, np. barwy i tonu. Rytmiczne następstwo jednorodnych albo różnorodnych elementów estetycznego doznawania uważalibyśmy za wypadek dość już podejrzaney «czystości» estetycznej, a to dlatego, że w takich razach niezmiernie wcześnie, obok czysto-fizyologicznej rozkoszy rytmiczności, ukazują się zaczątki albo ślady pojęć ładu, porządku, prawidłowości i wogóle pojęć z zakresów pozaestetycznych — wiedzy, obyczajowości i t. p. Z biegiem

---

<sup>1)</sup> Znana powszechnie niższość artystycznych i naukowych utworów «dodatnich», produkowanych jak gdyby na urząd, dla rehabilitacji po znakomitem dziele «ujemnem» (Gogola druga część *Dusz martwych*, Kanta *Krytyka rozumu praktycznego*, typy dodatnie niezliczonego mnóstwa komedyi i powieści oraz wiele innych) w przedziwny sposób zdaje się popierać zasadę estetyków «czystych». Przyczynę owej niższości poznamy później.

rozwoju sama tylko rytmiczność doznawań może wywołać i wywołuje taką masę skojarzeń czynników postronnych, potęgujących wrażenie estetyczne (rytm tańca narodowego, pieśni religijnej), że doprowadzenie ich wszystkich do poziomu estetycznej obojętności wymagać będzie bardzo długiego czasu.

Przykłady większej pojemności spostrzegamy wtedy, gdy obok znacznej liczby różnorodnych, zespolonych ze sobą pierwiastków estetycznych jasno występują już postronne czynniki uestetycznione, t. j. służące tylko do wzmożenia estetycznej rozkoszy i nie budzące wyraźnej świadomości własnych swych celów (piękno twarzy ludzkiej, będące w znacznym stopniu wytworem uestetycznienia pożytecznych, nieuniknionych, cielesnych i duchowych, zaś wogóle pozaestetycznych znamion rasy). W wypadkach skrajnych takie czynniki postronne jak najskuteczniej wpływają na upiększenie przedmiotów i zjawisk obojętnych lub nawet brzydkich. «Pięknie» rozwijająca się gruźlica budzi nieklamany zachwyt estetyczny w kierowniku kliniki i młodych jego słuchaczach. Nie koniec na tem. Zdarzać się może np., że zboczenie od jakiejś normy, uznawanej za miarę piękna li tylko dzięki domieszce pewnych czynników «postronnych», potęgujących, jak wyżej, uciechę, po osiągnięciu poziomu estetycznej obojętności pocznie znowu z biegiem czasu, a za sprawą innych «postronnych» pierwiastków, uchodzić za wyraz estetyczności dzieła albo zjawiska. W miłośnikach i znawcach odmian psa domowego tak zwane *cwajnosy* budzą jak najrzetelniesze zadowolenie estetyczne — tym większe, im większą jest ich brzydota. Podobny też zachwyt, całkiem już niezależny od świadomości pożytku, (doprowadzonej do poziomu estetycznej obojętności), wywołuje w dobrej gospodyni widok spasionego wieprza, będącego karykaturą i tak już niezbyt estetycznych kształtów swego rodu.

Kilkakrotnie wspominaliśmy o doprowadzeniu czynników «postronnych» do poziomu estetycznej obojętności. Termin powyższy nie znaczy bynajmniej, że czynniki owe stają się obojętnymi pod względem estetycznym, lecz, przeciwnie, że obojętnieją dla nas w dziedzinie sobie właściwej, z której przybyły do zakresu piękna — ku spotęgowaniu estetycznej uciechy, oraz że tylko do takiego celu mają służyć. Zobojętnienie podobne jest koniecznym ale też wystarczającym warunkiem prawowitości udziału ich w doznawaniach estetycznych. Jakkolwiek estetyka «czysta» pragnęłaby obalić tę prawowitość, przytoczone wyżej przykłady wielkiego chóru, powierzchni morza, twarzy ludzkiej, kolumny, ubiorów i t. d. wykażą nam całą beznadziejność tych «czystych» usiłowań. Istotnie, uciekając przed pogonią czynników postronnych, zrozpaczony artysta, np. malarz, musiałby chyba poprzestać na zachlapaniu płótna jaskrawymi «plamami» — ku wyłącznej radości własnej oraz współwyznawców swoich z Monachium, Rzymu, Paryża i Nowej Kaledonii. Ale jakże prędko już przy chlapaniu samem estetyka mrówcza przestaje mu wystarczać! Nawet powszechne i niezmiennie napozór anatomiczno-fizjologiczne podstawy «przyjemnego podniecenia» przeobrażają się i doskonałą. Nie uciekając się do ryzykownej teorii o postęпах wrażliwości naszego oka na barwy od czasów homerowych, można jednak zauważyć, że prosta i bezwzględna jaskrawość i pstrocizna barw, wystarczająca Nowokaledończykom i dzieciom narodów europejskich, bardzo wczesnie staje się udręczeniem oka cywilizowanego. Zjawia się pragnienie harmonii — zarówno w dziedzinie barw, jak tonów. Z wystąpieniem na widownię kształtów estetyka mrówcza chowa się jeszcze głębiej: symetria i asymetria, rytmiczność w czasie i przestrzeni upominają się o swoje prawa; obok odczuć bezpośrednich niezbędnymi się stają postrzeżenia, pierwiastki psychiczne

tłoczą się coraz natarczywiej, a żadna moc ludzka nie zakaże im czerpać siły i wyrazistości w dziedzinach, z których pochodzą. *Spiritus flat ubi vult*. Poza obrębem wypadków chorobliwej jednostronności wzroku albo sluchu, imponującej niekiedy profanom, największych zadowoleń estetycznych może doznawać człowiek nietylko rozwinięty wszechstronnie pod względem fizycznym, co zdaje się nie ulegać zaprzeczeniu, nietylko wyżej stojący pod względem nmysłowym, co również uznawanem jest dość powszechnie, ale człowiek wyższej moralności i wogóle wyższej skali społecznienia. Znaczniejszy rozwój estetyczny polega tu na tem, że duch jego wciąga coraz większą liczbę faktów i zjawisk w swe czarodziejskie koło doznawań estetycznych; to znaczy, że dzięki długiemu okresowi cywilizacji, wprawy, ćwiczenia, uwaga jego doskonale przystosowywa się nawet w tych najwyższych dziedzinach życia, przez co właściwa im świadomość nie budzi się już za każdym razem, świadomość właściwego im celu usuwa się na plan dalszy, zaś bez tej świadomości środek, wiodący do celu, zyskuje znaczenie podniety estetycznej.

Musimy rozważyć mechanizm tego podniecania. Nie należy sądzić, że działają tu tylko czynniki uczuciowe, np. moralne, religijne i t. p. Owszem, jakkolwiek niepodobna nie uznać ich wpływu na zadowolenie estetyczne, to jednak można byloby powiedzieć, że dopóki nie dosięgnie on proga estetycznej obojętności, czystość wrażeń estetycznych zbyt wiele pozostawia do życzenia. Ta właśnie okoliczność daje tak często broń w rękę wyznawcom estetyki czystej. Ale czynniki postronne, oprócz pierwiastków natury uczuciowej, prowadzą za sobą inne jeszcze elementy, ściślej związane z działalnością umysłu, z postrzeganiem, z percepcją. Pochodząc zazwyczaj z dziedzin, dobrze już znanych widzowi albo słuchaczowi, z dziedzin, uporządkowanych w pewien sposób w jego umyśle, ula-

twiają one znakomicie sprawę przystosowania się u w a g i, a tem samem stają się źródłem zadowolenia *par excellence* estetycznego. Nie potrzebujemy dodawać, że podstawą owego postrzeganego porządku jest taka albo inna rytmiczność w czasie lub w przestrzeni, rytmiczność w znaczeniu najobszerniejszem, w znaczeniu wszelkiej wogóle prawidłowości; czynnik ten w dziedzinie moralnej, religijnej, społecznej jest tylko środkiem, budzącym radość moralną, religijną, towarzyską — ze względu na swoje skutki; estetycznym bywa on wtedy, gdy sam staje się celem, gdy prawidłowość budzi w nas uciechę li tylko jako prawidłowość. Znakomitym przykładem estetycznego przeobrażania się rytmiczności działań w rozmaitych dziedzinach, przykładem pożądanego jej dla niej samej, z pominięciem celów owym dziedzinom właściwych, może być trojaki pochodzenie tańców: miłosnych, wojennych, religijnych. Zrozumiemy też łatwo, że w każdym z tych wypadków na spotęgowanie rozkoszy estetycznej wpływają również zaczątkowe albo szczątkowe pierwiastki uczuć, odpowiadające właściwym działaniom rzeczywistym, ale doprowadzone już do proga estetycznej obojętności: tylko po przekroczeniu tego poziomu zabawa może się stać pracą, działaniem pozaestetycznym np. taniec — bójka, romansem albo obrzędem.

Uznanie rytmiczności — tak prostej jak i najbardziej złożonej — za podstawowy czynnik doznań estetycznych zgadza się też z fizyologiczną zasadą «przyjemnego podniecenia ustroju i narządów zmysłów». Podniecanie to w braku rytmiczności zbyt prędko wyczerpywałoby organizm, sprowadzając antyestetyczną świadomość w y s i ł k u. Ale ta sama rytmiczność, zwłaszcza w nieprawowicie zacieśnionem rozumieniu wyrazu, zdaje się być wrogiem wolnej, niczem nie skrepowanej twórczości artystycznej,

a już niewątpliwie jest nieprzyjaciółką tak drogiego dla wielu artystycznego rozczochania.

Obawa tego rodzaju więzów twórczości jest płonna. Krytycy autoramentu «czystego», uciekający przed tą rzekomą niewolą, są tak samo ofiarą własnej bezkrytyczności, jak i wtedy, gdy usiłują uniknąć pierwiastków postronnych. Co gorsza, nawet wówczas, kiedy sądzą, że się wyzwolili zupełnie, ulegają złudzeniu. Niestety, porządek, prawidłowość, rytmiczność są tutaj prawem niezłomnem: prawo to nie napróżno wszechświatowi naszemu zjednało u starożytnych nazwę kosmosu, nazwę, której pokrewieństwo z pięknem, z ozdobnością odgadnie profan, chociażby przypominając sobie znaczenie i przeznaczenie kosmetyków. Jakże niewinnym i pozornym tylko wykrętem od tego prawa jest tak zwany «nieład artystyczny», jak żywo czujemy, że nie jest on naprawdę nieładem, że od chaosu wyróżnia się... rytmicznością kontrastów, asymetrią, która harmonijnie a nieuchronnie spaja się w umyśle widza z jakąś nieobecną lecz subtelnie «napomkniętą» całością. Oto książka otwarta i od niechcenia rzucona na sofę: właściciel jej, znużony pracą pendzla lub dłuta, przyjdzie za chwilę, legnie na wygodnym materacu, orzeźwi się dźwiękami sonetu albo ballady. Oto parę zapomnianych napozór i zlekka przywiedłych gałązek jaśminu zdobi róg napoczętego płótna: modelka, jeżeli nie kochanka, przyniosła je przed godziną i wsunęła za listwę «dla pamięci». Oto dziwacznie spiętrzony stos metalowych i drewnianych, szklanych i perłowych, jedwabnych, aksamitnych i płóciennych rupieci przed szafą nawpół otwartą: artysta z gorączkowym pośpiechem szukał tu starej fajki porcelanowej, której cudackie zarysy świtają już na płótnie poniżej ust naszkicowanego «ekonoma» albo «szaraczka».

Nieład artystyczny odznacza się subtelnem napom-

knieniem celu, pewną sugestją logiczności czynników, które go spowodowały.

Niema ratunku, niema ucieczki przed tą tyranią porządku i prawidłowości w naszych doznawaniach estetycznych. Bohater na szalejącym rumaku skacze w otchłań wodną. Ten chyba wyrwał się już z więzów marnej rytmiczności i prawidłowości! Cóż za siła, co za niepohamowana swawola ruchów! Zapewne, ale tajemnica tej siły, tej cudownej wyrazistości tkwi w mistrzowskiem przystosowaniu wszystkich szczegółów do jednego celu, w harmonijnem ich zespoleniu. Potęga jest tu wynikiem dość wczesnego jej zahamowania, ujęcia w nieublagane karby logiki spraw fizyologicznych. Nadajmy rozpędowi podkurczonych kopyt siłę dwa, trzy razy większą, znikną one w czterech głębokich ranach jamy brzusznej, a z obrazu zrobi się niezrozumiała i bezsilna «plama».

W najdzikszym krajobrazie, w największym poplochu bitwy, pożaru, powodzi nie co innego tylko ta logika swoista, prawidłowość przygodna, wyrażająca się w pewnym porządku gwałcenia prawideł trwałych, stanowi o estetyczności wrażenia. Obraz bitwy, nie pozwalający widzowi dopatrzeć się ruchów całości, robi wrażenie salcesona; krajobraz, w którym dla uwydatnienia «dzikości» artysta każe siłom niszczącym zburzyć wszelki a wszelki ślad potęgi twórczej, a potem zagmatwać ostatecznie porządek własnego ich działania — nie będzie mógł odtworzyć nawet kupy gruzów, gdyż każdy odłam skały albo gałęzi, strzępek liścia przedstawia już pewną całość, o tyle zrozumiałą, o ile części jej podległy prawom jakiejś logiki wydarzeń; nie będzie nawet kupą atomów, bo kupa musi posiadać kształty zgodne z logiką siły ciężkości.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom krytyków nie dość krytycznych zaznaczymy tu jak najspieszniej, że w myśl tego poglądu sztuka musi być wrogiem wszelkiej szablo-

nowości. Na prawidłowość i rytmiczność patrzymy jak na sprzymierzeńców piękna w tem znaczeniu, że przyspieszając sprawę przystosowania uwagi, znosząc świadomość wysiłku, ułatwiają one powstawanie naszych doznań estetycznych. Ale zmiana jest rdzennym warunkiem rytmiczności, prawidłowość jest drogą, jest łożyskiem, po którym nieokiełzany dawniej, rozpierzchły chaos sił twórczych zdąża ku nowym ciągle widnokręgom, ku użyznieniu i ożywieniu nowych łąnów, nowych obszarów sztuki, przyrody, myśli i czynów ludzkich. Szablonowość jest kresem przedczesnym tego zwyciężkiego pochodu, jest zatamowaniem w biegu ożywczego strumienia zharmonizowanych potęg twórczości. Dokładniej można byłoby określić stosunek sztuki do szablonu, mówiąc, że jest ona ustawicznym tworzeniem szablonów nowych przy pomocy dawnych. Szablonowość rozpoczyna się wtedy, gdy owe dawniejsze nie dają już nic nowego. Stronnicy estetycznego rozczochrania nie domyślają się nawet, jak dalece są bezsilnymi niewolnikami szablonu. Różnica pomiędzy nimi a geniuszem istotnym polega tylko na tem, że oni burzą i rozprzegają szablony dawne, nie tworząc nic nowego; geniusz — przy pomocy tamtych, stwarza nowe całości. Jest to naśladowanie odwiecznej, niezmordowanej pracy przyrody: z iluż szablonów drobinowych, komórkowych, tkankowych, narządowych, układowych, powstaje cudowny szablon, zwany później ciałem Kleopatry, Mesaliny, Aspazyi. Powiemy więcej. Łatwo przewidzieć, że nowy utwór wywrze wrażenie tem trwalsze i bardziej powszechne, tem łatwiej stanie się szablonem dla potomności, im większą w nim będzie przewaga pracy twórczej nad burzycielską. W rzadkich wypadkach udatnego zburzenia kilku lub kilkunastu szablonów dawniejszych i zbudowania z ich szczątków jakiejś estetycznej całości (np. wspomniane wyżej obrazy Böcklina) wrażenie estetyczne (pomimo chwilowej żywości) na mniej-

szą może rachować trwałość i mniejszą przedstawiać estetyczną wydajność dla czasów przyszłych, dla późniejszego rozwoju sztuki, aniżeli szablon nowy, w którym siła konstrukcyjna widoczną ma przewagę. Ze stanowiska rozwojowych praw życia i jego celów jest to całkiem zrozumiałe: trwałe siedliska w wyobraźni nie może znaleźć to, co nigdy ani etapem, ani ideałem rozwoju nie będzie. W budownictwie wszelkiem, nietylko świątyń i gmachów kamiennych albo drewnianych lecz również przybytków myślowych i uczuciowych, zasada użyteczności stanowi jedyny materiał, najłatwiej poddający się «estetycznieniu», zaś obrazy przeważnie «destrukcyjne» zbyt słabo zasadę tę uwzględniają. Trwające od wieków smoki skrzydlate albo rogi obfitości do kategorii, o której mówimy, nie należą. Są to albo plody głębokiej wiary w pewne istnienie rzeczy wiste — ztąd ich trwałość, albo symbole, (o których znaczeniu mówić będziemy niżej) — ztąd ich potęga. Malowany dyabeł — t. j. człowiek z kopytami kozła, nosem krogulczym i t. d. przeraża tłumy; ale też jest on dla nich wyrazem rzeczywistości, jak najgłębiej je obchodzącej, wstrząsającej ich nerwami — jest rzeczywistym i wcale nie obojętnym «etapem» bytowania. Dla jednostek wykształconych obraz taki będzie tylko albo symbolem, albo też obudzi w nich żywsze uczucie ironicznym czy złośliwym wyrazem twarzy, wykończeniem kopyt, realizmem szerści — słowem odtworzeniem jakiegoś «etapu» lub «ideału» rzeczywistego. Pogląd nasz streszcza się w powszechnie uznawanem twierdzeniu, że fantastyczność winna mieć granice — w zasadzie, usiłującej sprostować gminne i błędne pojmowanie fantazyi, jako władzy robienia siczki lub bigosu z możliwie znacznej liczby pokawałkowanych całości.

Szczególną postacią szablonów są tak zwane symbole. Znamieniem symbolu jest niezwykle wielka poddawaw-

czość (sugestyjność), Szablon jest unieruchomionem, stereotypowem odtworzeniem takiej rzeczywistości, jaką usiłuje przedstawić; symbol nie odtwarza, nie naśladuje żadnej, ale podsuwa myśl o wielkich, niekiedy o niezmiernych dziedzinach bytowania, nie dającego się często uzmysłowić plastycznie. Ciekawą ze wszech miar kwestyę prawowitości albo nieprawowitości symbolów w sztuce rozstrzygnęlibyśmy w ten sposób, że prawowitymi są one jako sugestywa rzeczywistości, bądź nie dające się odtworzyć konkretnie, bądź też niemożliwej do odtworzenia obok treści głównej ze względu na rozmiary. Natomiast, nieprawowitymi bywają symbole, usiłujące zastąpić konkretne odtworzenie rzeczywistości. Sylwetka krzyża nie uwalnia artysty od obowiązku wyrażenia w rysach twarzy nastroju osoby klęczącej.

Z pomiędzy mnóstwa tłoczących się tutaj zagadnień estetycznych, nie tak ściśle już związanych z naszym przedmiotem, poruszymy tylko sprawę tendencyjności i bez-tendencyjności sztuki. Z tego, cośmy mówili wyżej o psychologicznym charakterze «zabawy», wynika, że nie ma tak poważnych albo tak oderwanych prawd czy wydarzeń, któreby nie mogły być przedmiotem estetycznego odtwarzania w tej albo innej dziedzinie piękna. Z drugiej strony, rozważana przed chwilą, ciągle rosnąca skala pojemności, stapianie się coraz większej liczby pierwiastków postronnych w naszych doznawaniach estetycznych, każe przypuszczać, że działalność estetyczna zataczać będzie kręgi coraz szersze, wciągając z biegiem czasu takie nawet czynniki i elementy, od jakich dotąd stroniła. Nie przedmiot, jak wiemy, ale sposób postrzegania go, odtwarzania, cel twórczości i podmiotowe odczucia widzów albo słuchaczy stanowiąc będą o estetyczności wrażeń i twórców. Idzie tylko o środki estetyczne. Pismiennictwo nadobne nie zna zadań zbyt trudnych, przedmiotów «niemożliwych». Poło-

żenie sztuk innych jest pod tym względem o wiele gorsze, jakkolwiek nie beznadziejne. Najbogatszem w środki jest malarstwo, mniej zasobnemi — muzyka, budownictwo, rzeźba. W odtwarzaniu przedmiotów i zjawisk, trudniej dających się uzmysłowić ich sposobami, będą one musiały dość często uciekać się do symbolów. Przyszłość ta nie powinna przerażać miłośników piękna. W przeszłości sztuka nie robiła nic innego, ilekroć nie mogła odtworzyć danej rzeczywistości bezpośrednio. Zaciśnięte pięści i brwi zmarszczone nie odtwarzają bynajmniej uczucia gniewu, one tylko gniew symbolizują. Patrząc na tak zmarszczoną «plamę», nie mamy prawa powiedzieć, czy oryginał jej złożył się, czy tylko złość udawał. Człowiek «śmiejący się» może albo doznawać radości, albo mieć poderżnięte mięśnie policzkowe, albo podlegać działaniu elektryczności. Konsekwentny antysymbolista powinien byłby poważnie zastanowić się nad różnaitością znaczeń tego symbolu i, jak wyżej, wziąć się do chlapania plam barwnych. Różnica pomiędzy symbolizmem przeszłym a przyszłym polegać będzie naprzód na większej lub mniejszej powszechności symbolów, oraz na większem oddaleniu się ich od spraw podstawowych. Na temat: «Ostatnia spowiedź», «Przed sądem», «Wydziedziczenie» i t. p. można tworzyć przepiękne obrazy, które jednak bez symbolów: zielonego sukna, habitu, stroju komornika i t. d. nie byłyby obrazami, lecz tylko zbiorami smutnych albo pobożnie nastroszonych figur, bez symbolu obwisłych mięśni twarzowych, podniesionych powiek, ust zaciśniętych nie byłyby zbiorami figur wyrazistych, lecz zbiorami nie mówiących nic ludzkich postaci; bez symbolu surdutów i spodni — przestałyby znamionować pewną epokę kulturalną i t. d. i t. d. W przeciwstawieniu do antysymbolistów powiedzielibyśmy, iż sztuka stoi tem niżej, tem bardziej skazaną jest na budzenie li tylko bezpośrednich odczuć fizyologicznych — im

mniej może posługiwać się symbolami, im słabszą odznacza się zdolnością poddawania skojarzeń, potęgujących zadowolenie estetyczne. Jako działo ciężkiego kalibru antysymbolista wytacza argument, że symbol żalobny np. nie jest powszechnie rozumianym, że barwy żalobne u jednych ludów godowemi są u innych. Zapomina on jednak, iż są ludy, które płaczą wtedy, gdy my się śmiejemy, że jego najsubtelniejsze «plamy» i tony byłyby całkiem obojętne dla wyspiarzy, lubiących jaskrawe barwy i wrzaskliwe dźwięki. Ograniczając zazdrośnie prawo najwyższych uciech estetycznych do szczupłego koła wybrańców, smuci się on jednocześnie, iż Patagończyk nie zrozumie tragizmu żebraka ze spłowiałą wstążeczką legii, albo tryumfu astronoma przed tablicą, pokrytą kręgami i elipsami.

Najwyższa ze sztuk pięknych — poetyczna proza — jest też najbardziej symboliczną. Poza pewną rytmicznością, wpływającą wprost na podniecenie «przyjemnej działalności ustroju i narządu zmysłów» (słuchu), poza nielicznymi słowami, odtwarzającymi bezpośrednio dźwięki przyrody — wszystkie jej środki — zwykłe a nieuchronne — to jeden nieskończenie długi zastęp symbolów (wyrazy). Poezya właściwa posiada już więcej środków «bezpośrednio estetycznych» (rymy i rytm stały). Malarstwo rozporządza jeszcze znaczniejszym ich zasobem. Najmniej symboliczną jest muzyka: istotnie, zarówno rytmika jej jak i tony są tylko środkami bezpośredniego odtwarzania dźwięków przyrody i nastrojów człowieka albo zwierząt. Ztąd to pochodzi owa tak częsta dowolność w tłumaczeniu utworów muzycznych, ilekroć zapragną one wyrazić coś takiego, czemu naśladownictwo dźwiękowe i rytmiczne poddać nie może.

Prawda, że we wszelkich prawie dziedzinach twórczości estetycznej szczególnie pięknymi nazywamy takie właśnie sposoby i środki, które największą odznaczają się

«bezpośredniością». Porównania i przenośnie w poezji, żywość barw w malarstwie, dźwięki naśladowcze w muzyce są dowodem tych upodobań. Ale naprzód, upodobania najbardziej upowszechnione nie zawsze należą do najwyższych. Powtóre, nie podobna nie zauważyć w naszych zamilowaniach estetycznych pewnego postępu, który zdaje się odbywać w kierunku wprost przeciwnym. Już samo zastąpienie pierwotnej jaskrawości barw przez ich subtelność i harmonię, t. j. zastąpienie żywszych i bardziej bezpośrednich odczuć fizjologicznych przez takie, w których pierwiastek umysłowy odgrywa pewną wydatniejszą rolę, mogłoby na myśl tę naprowadzić. Porównania i przenośnie nowożytne coraz częściej szukają u zmysłowień w sferze umysłowej a przynajmniej nie tak bezpośrednio zmysłowej. Zamiast okrzyku: «piękna jak róża», słyszymy niekiedy inny: «piękna jak marzenie». Sądziłbym, że zmysłowa plastyczność środków estetycznych jest znamieniem jednego z rozwojowych okresów sztuki, nie zaś całych jej dziejów. Przeciwiństwo pomiędzy bezpośredniością odtwarzania artystycznego a symbolicznością naukowego odtwarzania stopniowo słabnie. Sprawa ta zależy poprostu od większego lub mniejszego oswojenia się widzów i słuchaczy z taką lub inną dziedziną twórczości duchowej, od większej lub mniejszej znajomości danego zakresu zjawisk. Z jednej strony, rozwój życia społecznego, mnogość faktów i rzeczy, budzących w nas żywe zajęcie, lecz niemożliwych do odtworzenia w całej rozciągłości; z drugiej — rozwój ducha ludzkiego, pomnażanie się odczuć i stanów wewnętrznych, również nie dających się odtworzyć bezpośrednio — popycha sztukę do większej pośredniości sposobów, a więc do symbolizmu; działają tu: wzrost skali pojemności i oddalanie się od spraw podstawowych.

O prawdopodobnem wzmaganii się symbolistyki w przyszłym rozwoju sztuk pięknych uprzedzają nas

pewne fakty z przeszłości. Rozwój mowy, zarówno ustnej jak i pisanej, jest w tym razie bardzo pouczający. Od znaków i dźwięków, bezpośrednio naśladujących zjawiska przyrody, doszliśmy do dźwiękowych i znakowych symbolów.

Nie chce się nam wierzyć, że i w innych zakresach odtwarzania nastąpi to samo. Podobnie też ludożerca pierwotny nie uwierzyłby, że widok ludzkiego mięsa będzie kiedyś budził obrzydzenie w jego odległych potomkach, podobnie dziecko nie uwierzyłoby nigdy, że obraz szarej, zgarbionej «chaty na pustkowiu» sprawi mu kiedyś żywsze zadowolenie estetyczne, niż dzisiaj kawałki pokrajanej czerwonej wysypki, niebieskiej woalki i mosiężna przykrywka do samowara. A jednak już dzisiaj mamy mnóstwo dowodów mniejszej zmysłowości środków i przedmiotów estetycznego odtwarzania. Jaskrawe powieścidla, pełne szczegółów konkretnych, łatwo dających się ująć zmysłami, zstępują coraz częściej na niziny uciech estetycznych, pożądaných i dostępnych tym, którzy zaledwie pierwsze stadya w rozwoju estetycznym przebyli. Czytanie *Głodu* Hamsuna, *Bez dogmatu* Sienkiewicza, zapuszczanie się wraz z autorem w głębie ducha ludzkiego, słowem, cała ta subtelna psychologia powieściowa, pozbawiona szekspirowskich «grubych efektów» zmysłowych, byłaby męczarnią, ciężką pracą dla prostaczków.

Jeżeli dobrze namalowana dynia choć przez chwilę jeszcze zatrzymuje naszą uwagę, jeżeli wogóle wrażliwymi jeszcze bywamy na dzieła sztuki, za które nie przemawia nic oprócz realizmu odtworzenia, to resztki tej sympatii zawdzięczają one wspomnianemu dawniej podziwowi dla sztukmistrzostwa artysty. W przyrodzie pominęlibyśmy takie realności obojętnie — chyba że dzięki pewnym skojarzeniom zewnętrznym zbudziłyby w nas one jakieś inne czynniki doznawań estetycznych. Tak np. wygrzewająca

się na słońcu dynia mogłaby podsunąć myśl o spokoju wiejskiej zagrody, prostaczym sybarytyzmie ludzi niewybrednych i t. d. Otóż szczególnie w zakresach tego naiwnego realizmu na osłabienie naszego podziwu, a więc na zagładę jedyne go niemal czynnika uciechy estetycznej, mogą wpłynąć i wpływają coraz częściej postępy techniki. Gładko wyheblowany kawałek drzewa byłby wywołał jak najżywsze uwielbienie dla mistrza i zrodził jak najrzetelniej estetyczną rozkosz pośród dzikich, którym znane są zaledwie najprostsze sposoby ociosywania; ale co do nas, to, nie zastanawiając się nawet nad estetycznością gładkości przedmiotów, (wszystkie doznawania dotykowe wygnaliśmy już prawie zupełnie z dziedziny estetycznej), uważamy ją za obowiązek stolarza; podobnie ma się rzecz z okrągłością, kulistością i t. p. Tokarz-realista nie budzi w nas zachwytów; poprostu nie placimy mu tylko za robotę, gdy wyrób jego zechce być jedynie... symbolem kuli, nie zaś kulą prawdziwą. Podobnie dzieje się też w zakresie «sztuk», uznawanych jeszcze za piękne przez wyższą kulturę. Najwspanialszy oleodruk ciężko walczyć musi o palmę pierwszeństwa z nędznym bohomazem ręcznym. Ale postępy techniki podkopują też coraz bardziej sławę arcydzieł ręcznych. Granic tych postępów przewidzieć niepodobna. Fotografia momentalna pozbawiła artystę zasługi pochwycenia i zatrzymania w jego artystycznej wyobraźni najbardziej znamiennych szczegółów zjawiska albo przedmiotu, wprowadzając zamiast tej zdolności pracę systematycznego porównywania zdjęć kolejnych oraz świadomego wyboru okazów najlepszych. Udoskonalenie fotografii odbierze mu zasługę pamiętania barw i subtelnych odcieni tychże, odtworzenie perspektywy powietrznej uczyni w znacznym stopniu umiejętnością rzemieślniczą; nawet «żrenica oka» wszystkich kolorystów, źródło ich dumy — tak zwane

barwy lokalne przestaną budzić uwielbienie smakoszków. Fonografy oraz ulepszone ich odmiany osłabią znakomicie zasługę chwywania uchem dźwięków naśladowczych. Trudno wyobrazić sobie, jak dalece wynalazki tego rodzaju osłabią znaczenie realistycznego «sztukmistrzostwa». Jeżeli dzisiaj z jakim takim powodzeniem można utrzymać jeszcze, że nawet dobrze namalowana kupa gnoju może budzić rozkosz estetyczną, to twierdzenie takie stanie się niedorzecznością, później — kiedy w środkach technicznych i w świadomej pracy systematycznego wyboru utoną dwa najglówniejsze bodźce tej wątpliwej rozkoszy: realizm odtworzenia i pochwycenia oraz zatrzymanie w artystycznej pamięci niezwyklego «indywidualizmu» kupy. Wystawmy sobie naród z wysoko już rozwiniętą sztuką malarską (Ateńczycy), lecz nie mający najmniejszego pojęcia o fotografii. Cudzoziemiec jakiś przywozi tam (na wystawę) dobrze odrobioną, barwną fotografię pożaru, bitwy, walki byków, balu, fotografię wybraną z pośród wielu najlepszych zdjęć momentalnych. Cóż za niezrównany realizm postaci, co za bogactwo rysów indywidualnych, jakie życie w ruchach osób działających, jakie mnóstwo barw i tonów. Artyści miejscowi dobrowolnie oddają palmę pierwszeństwa przybyszowi. A jednak byłby to tylko jakiś Troczewski albo Mieczkowski przeszłości, tak samo nie żywiący żadnych uroszczeń do malarstwa, jak dzisiejsi jego imiennicy. Dodajmy nawiasem, że rozmaite «szytywności» i «martwoty», jakie dziś — częstokroć zbyt skwapliwie — odnajdujemy w fotografii, znikają stopniowo, że na nasze postrzeganie owych szytywności wpływa wielce świadomość ogólna, iż mamy przed sobą fotografię, że świadomość ta rodzi się głównie dzięki pewnym ogólnym znamionom dzieła, podobnie jak świadomość tego, czy mamy do czynienia z obrazem olejnym czy z akwarelą. Na hypotetycznej, wspomnianej przed chwilą wystawie fotografia

uchodziłaby poprostu za nowy rodzaj malowania. Realistyczne namalowanie kupy gnoju lub nawet mniej odrażające popisy realizmu — po należytem udoskonaleniu środków technicznych będą miały znaczenie niesmacznego konceptu.

Z rozumowań tych wpływa pewien wniosek niezwykle prosty, jakkolwiek przez wielu odrzucany ze wstrętem: pięknymi wśród utworów sztuki nazywać się będą tylko utwory... piękne. Brzydkie przedmioty i zjawiska przyrody, o ile wogólności zdołają się utrzymać w sztuce samoistnie, t. j. nie w przeciwstawnem zespoleniu z pięknem — poczną odgrywać rolę dzieł tendencyjnych, zdobędą może znaczenie środków pedagogicznych, kształcących albo umoralniających, środków służących interesom nauki, obyczajowości, religii, ale nie estetyki.

Po usunięciu zasług realistycznego odtwarzania indywidualność artysty nie przestanie jednakże wpływać na potęgowanie naszych doznawań estetycznych. Artysta wypowiadać się będzie częściej nie w realistycznym traktowaniu i ujmowaniu szczegółów konkretnych, co zrobi za niego fabrykant albo rzemieślnik, ale w estetycznym unacznieniu takich rzeczy i zjawisk, których konkretnego uzmysłowienia przyroda nam nie daje. Sztuka stanie się bardziej twórczą. Symbolistycy otworzy to ujścia nowe. Do takiegoż wyniku doprowadzi artystyczne opracowywanie faktów, których uzmysłowienia konkretne znajdują się w przyrodzie, ale realistycznie odtworzonymi być nie mogą ze względu na warunki przestrzeni albo czasu, gdy, z drugiej strony, estetyczne oddanie ich a raczej «poddanie» sprawiałoby zbyt wielką rozkosz masom, ogarniającym już myślą i uczuciem szersze widnokregi, aby artysta nie uczuł żądzę pokonania trudności w jakikolwiek sposób. Ścieranie się dwu cywilizacji, zwycięstwo jednej z nich, konanie drugiej, odbiją się zapewne w wielu, w niezliczonych epizo-

dach poszczególnych. Ale na pewnym poziomie duchowego rozwoju całokształt tego zjawiska, nie dający się chyba odtworzyć realistycznie, budzi już w jednostkach światlejszych nieokreśloną zrazu, lecz coraz bardziej natarcywą świadomość potrzeb estetycznych. *A bon entendeur — salut.* Szczęśliw ten, co potrafi potrzeby te odczuć i zaspokoić w jakimś całokształcie plastycznym.

Pozostawiając twórczości artystycznej tak szeroki, nieograniczony prawie wybór przedmiotów, tem śmieiej oświadczamy się przeciwko sztuce tendencyjnej. Oświadczenie to robimy tylko w imieniu estetyki. Ze stanowiska moralności, religii, spraw i potrzeb życia społecznego tendencyjność może być nieocenioną. Jest ona po prostu pewnym środkiem pedagogicznym. Ale estetyka musi ją potępić.

Tak samo jak estetyczność utworu, podług naszych poglądów, zależała nie od jego przedmiotu, (byle przedmiot ten był środkiem zabawy nie pracy), tak też tendencyjność dzieła sztuki nie ma nic wspólnego z przedmiotem, zależy ona całkowicie od sposobu tworzenia. Tendencyjnym może być obraz róży, szwajcarskiego sera, kanarka oraz wszelkiej najpiękniejszej lub najniewinniejszej rzeczy. Bez-tendencyjnym może być obraz bitwy pod Sedanem, nędzy górników sycylijskich, wypędzania Jezuitów — lub jakiejkolwiek okropności politycznej, ekonomicznej, społecznej. Przedmioty zmieniają się z biegiem czasu, z postęпами kultury. Romantynom ani się śniło szukać poezyi tam, gdzie ją pełnemi garściami czerpią współcześni. *Pieniądz* Zoli i *Fortuna* Kiellanda, wprowadziwszy czytelnika do kantoru bankierskiego, każą mu tak samo drżeć ze wzruszenia, jak dziadowie jego drżeli wśród ruin zamczyska, albo na sabacie czarownic. Prozaiczne złoto — naprzód w czeluściach życiowych a później w ogniach sztuki — topi się, płynie

ławą ognistą, pali, pożera, chlonie serca i mózgi nie gorzej od tatarskiej dzicyz albo upiorów średniowiecznych.

Tendencyjnym jest obraz szwajcarskiego sera, gdy sprzedawca, znajdujący się na malowaniu, świadomie postanowi sobie odtworzyć ten przysmak na szyldzie — w celach reklamy a nie dla wywołania uciechy estetycznej; zdarzyć się może, iż mając na względzie korzyść osobistą i pragnąc uwydatnić zalety sera, przeholuje on i na przekroju «odtworzy» więcej oczek, (cenionych przez smakoszów), niż ser szwajcarski posiada. Beztendencyjnym będzie obraz nędzy górników sycylijskich — kiedy artystę uderzy nagle widok biednych cieniów ludzkich, wynurzających się z otchłani podziemnej, widok bladych, pokaleczonych wyrostków, uginających się pod kosztami siarki, widok bólu i cierpienia, męki, i kiedy odruchowo zapragnie on unaocznić tę scenę na płótnie, marząc o wywołaniu takiego wrażenia estetycznego, jakiego sam doznał. Czynniki postronne, brutalna świadomość celów obcych nie spaczają tu jego twórczości. Prawda obrazu zależeć będzie tylko od jego uzdolnień artystycznych, artystycznej pamięci, wyobraźni i t. p. Władze te nie pozwolą mu np. przedstawić chłopca z tyłoma ranami, bliznami, sińcami, z koszem tak wielkim, że noszenie siarki w podobnych warunkach wyda się widzowi fizyczną niemożliwością. Nie potrzebujemy dodawać, że w innych wypadkach postacie i przedmioty mogą się wynurzać nie z «otchłani podziemnej», ale z głębin własnego ducha artysty. Odruchowość twórczości i jej cele stanowiąc będą dostateczną rękojmnię beztendencyjności obrazu. Łatwo też zrozumiemy, że z biegiem stuleci, z postępem duchowego rozwoju mistrzów oraz ich wielbicieli — z głębin tych wynurzać się mogą postacie coraz to inne, oko artystycznej wyobraźni więzić i czarować będą coraz to nowe zjawiska, coraz bardziej pojemne i od spraw podstawowych oddalające się

coraz bardziej. Nie na tem polega beztendencyjność, aby przedmiot, zatrzymujący uwagę artysty, był koniecznie bezmyślną «plamą», nie zaś wypadkiem politycznym, naukowym zjawiskiem, ekstazą religijną, ale na tem, aby postrzeżony, odczuty i odtworzony był artystycznie artystycznymi środkami i w celach artystycznych. Ani przedmiotów, ani środków, ani odczuć w rozwoju nie powstrzymamy.

## X.

Łatwiej będziemy mogli zrozumieć teraz, o ile przesadną była ocena biernych, a nadewszystko czynnych zasług kobiecości w dziedzinie piękna i wykazać, że «czegokolwiek strzegły w tej sferze kobiety, było im narzucone przez mężczyzn, że we własnej swej działalności estetycznej bywały one tylko mniej albo więcej nieudolnemi naśladowczyniami wzorów gotowych albo wykonawczyniami gotowych przepisów, że nie za ich inicjatywą s w i a d o m ą lecz, przeciwnie, w b r e w ich rutynie wyższe ideały estetyczne we wszelkich zakresach, nie wyłączając sprawy zdobienia ich ciała, wywalczały sobie prawo obywatelstwa».

Zasada stopniowego oddalania się w sztuce od podstawowych spraw gatunku przygotowała nas do myśli, że ciało kobiety jak gdyby usuwało się coraz dalej na krańce estetycznych widnokręgów; z drugiej strony, rosnąca ciągle skala pojemności — ustawiczne przybywanie i «stapianie się» w dziełach sztuki coraz to nowych czynników i zjawisk życia społecznego, w którem kobiecie tak długo i tak powszechnie odmawiano czynnego udziału, usposabia nas do uznania tej prawdy, że nawet w wyższej, bardziej uidealnionej postaci niezbyt wielką rolę odegrała ona w roz-

woju sztuki nowożytnej, że już nietylko ciału jej ale i duchowi, spętanemu i upośledzonemu, nie pozwalano ani czynnie, ani biernie uczestniczyć w twórczości estetycznej. Nakoniec, spostrzeżemy bez zdziwienia i zrozumiemy, że tam, gdzie kobieta występuje w utworach prawdziwie nowoczesnych, t. j. stojących już dość wysoko zarówno pod względem skali odległości, jak pojemności, kobiecość jej staje się czynnikiem drugorzędym, nieraz całkowicie przygodnym, zawsze ukazuje się nam w postaci, zmienionej nie do poznania przez inne czynniki życia i przez twórczość mężką, i coraz wyraźniej podlega przeobrażającemu wpływowi symbolizacyi. Nie jako właściwa kobiecość, lecz jako pewne znamię człowieczeństwa, coraz bardziej oderwane, coraz subtelniej łączące się z podstawowemi sprawami gatunku — występuje tam ona.

Przeszkodą do zrozumienia i uznania tego poglądu będzie przede wszystkim niepomierny rozkwit naturalizmu tak w sztukach plastycznych, jak i w piśmiennictwie; kierunek ten, schodzący już dzisiaj z pola, zdaje się urągać wszelkim zasadom oddalania się i pojemności. Owszem, zbliżono się jak można najbardziej do «spraw podstawowych gatunku», do procesów rozrodczych przynajmniej, odrzucono wszelkie czynniki «społeczne», uproszczono rzecz niemożliwie. W robocie tej posunięto się do krańców ostatecznych: nie dość, że ciału kobiety bez obślonek, w sposób jak najbardziej bezpośredni, kazano drażnić zmysły widzów, zwrócono szczególną ich uwagę na takie jego części, przymioty i czynności, które celu drażnienia i podniecania dosięgnąć mogły najpewniej.

A jednak ten pozorny wyjątek w sposób niezrównany potwierdza tylko nasze prawo ogólne: przekonywa on nas dowodnie, że wobec rosnącej skali odległości i pojemności z jednej strony, z drugiej zaś pozostawiania kobiety na poziomie dawniejszym, kobiecość albo wcale nie wpływa

na postęp sztuki, albo ją uwstecznia, albo wreszcie wchodzi do wyższych jej dziedzin li tylko dzięki nadludzkim wysiłkom męskiej idealizacji, dzięki symbolizmowi.

Powieści «bez romansu» są rzeczą całkiem nową; nie w tem znaczeniu, aby historia sztuki nie znalazła ich zgoła, gdyż w rozwoju estetycznym rozmaite cywilizacje dosięgały już stopni nie niższych od naszego, ale w tem, że po przejściu odpowiednich stadyów, lechących instynkty bardziej podstawowe, ludzkość zbliżyła się do szczebli, na których różnaitość i wysokość zjawisk życiowych pozwala, a nawet zmusza zapomnieć o rzeczach najbardziej «kobiecych»<sup>1)</sup>. Na tę sferę i kierunek estetycznej twórczości chciałbym położyć nacisk jak największy. Ogarniają one nietylko takie utwory, w których kobieta nie odgrywa żadnej roli, ale i takie, w których ukazuje się ona jako postać bardzo podrzędna, nie występuje w roli wybitniejszej — bo nie ma jej w życiu.

Pomińmy jednak te dowody bezpośrednie i zwróćmy się do «wyjątku». Cóż to są owe Nany, owe «przepyszne zwierzęta ludzkie», wciągane przemocą na widownię cywilizacji niemal najwyższej? Należałoby zauważyć przede wszystkim, że naturalizm — ta nadpsuta «dynia», wygrzewająca się niegdyś na słońcu mieszczańskiej pomyślności, nie był wcale wyrazem jakiejś szczególnie wysokiej i wszechstronnej miary społecznienia. Dopiero czasy ostatnie, rozszerzające znakomicie szranki życia społecznego, przekonały nas, o ile ograniczonym, co większa, o ile nawet płytkim, pomimo wszelkich pozorów, było dotąd udoskonalenie moralne i estetyczne społeczeństw.

Cokolwiek powiemy o samolubnych instynktach bur-

---

<sup>1)</sup> Zwróćmy uwagę na to, że w zakresie innym malarstwo krajobrazowe uważa się powszechnie również za wytwór czasów nowszych.

żuazyi, w walce, jaką toczyła ona, sobkostwo posługiwało się środkami, znamionującymi nieraz kulturę bardzo wysoką. Nie dość na tem, tu i ówdzie wykształcenie umysłowe rodziło potrzebę uciech intelektualnych, a więc czysto ludzkich. Pozostawała wszakże cała sfera dość jeszcze żywych i bardzo słabo uśpionych popędów zwierzęcych, które tem gwałtowniej domagały się zaspokojenia, im obfitszemi i łatwiejszemi do zdobycia okazywały się źródła rozkoszy. Czy można było zaspakajać te popędy? Ależ owszem! Cała niemal obora cielec człowieczych, umyślnie lub nieumyślnie pozostawionych na poziomie bydlęctwa, czekała tylko na rozkazy. Kobieta, jako taka, mogła wejść do życia z warunkiem, że zaspakajać będzie tę sferę wymagań, nie przekraczających poziomu o wiele wcześniejszej fazy społecznego rozwoju, albo raczej wymagań pierwotnych, ale spaczonych przez bardziej wyrafinowane upodobania kultury wyższej. Sztuka, niewolniczo odtwarzająca rzeczywistość, (gwoli błędnie szacowanym zaletom realizmu), nie miała nic pilniejszego do roboty, jak pozbierać i odtworzyć «dokumenty» tego otwarcia obory i wpuszczenia jej mieszkańek do salonów i buduarów, obok których rozsiadły się bogate księgozbiory, pracownie naukowe i kantory bankierskie.

Ale oprócz czynników szczególnego ustroju społecznego na rozkwit naturalizmu wpływały inne jeszcze, ogólniejsze pierwiastki cywilizacyjne, a nadto, co jest tu dla nas najważniejszym i co wyda się paradoksem na pierwszy rzut oka, wpływały nań idealizacyjne popędy twórców. Do najważniejszych tej sprawy motorów zaliczymy: osłabienie religijnych karbów moralności i upadek ideałów ascetycznych, oraz potężny rozwój nauk przyrodniczych, prowadzący za sobą rehabilitację długo zapoznawanych praw ciała.

Bardzo często niesprawiedliwymi bywamy w ocenie

mniemań tak zwanych zachowawców. Tak samo, jak fanatyzm konserwatyzmu każe zamykać wyznawcom swym oczy na wszelkie dodatnie zdobycze nowych czasów i dążeń, tak też fanatyzm postępu pozbawia stronników jego niezbędnej jasności sądu w stosunku do wierzeń i urządzeń przeszłości. Tymczasem błąd zachowawców bynajmniej nie na tem polega, że uznają oni zbawiemość i pożytek pewnych urządzeń dawniejszych, ale na tem, że pożyteczność ową chcieliby rozciągnąć na przyszłość nieograniczoną. Ten, kto mówi, że skorupka jaja była pożyteczną osłoną dla kurczęcia w pewnym okresie jego rozwoju — mówi jak najrzetelniejszą prawdę. Fanatykiem zachowawczości staje się on dopiero z chwilą, gdy pocznie utrzymywać, że kurczę nigdy nie powinno było pozbywać się skorupki, że żaden organ jego ciała nie zastąpi mu w przyszłości tej wapiennej osłony. Wtedy też jedynie możemy mówić o niezgodności fanatyzmu z prawami rozwoju, postępu i t. d.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że osłabienie wierzeń religijnych może przyczynić się do zepsucia obyczajów. Nie możemy zaprzeczyć, że rozluźnienie więzów religijnych wyzwalalo pewną sumę czynników rozkładowych, antyspołecznych: osłonięnym od stóp do głów niewiastom obrazów kościelnych, wykrygowanym, jakkolwiek nie pozbawionym alabastrów (widnych i nie zakrytych) damom starych sztychów i malowideł pozwalano teraz swobodnie wylegiwać się «na kwiatach», tańczyć «wśród mieczów», chodzić przy wszystkich «do kąpieli» i t. d. Robiło się to dla dobra sztuki, należałoby jednak zrozumieć, że w tem żerowaniu głodnych i żądnych pornografii owieczek na pastwiskach, oznaczanych dotąd zakazową wiechą kościelną, niepospolicie czynny udział brała chęć odwetu długo tłumionych i krępowanych instynktów naturalnych. W ten sposób niezwykle spóźnione ukazanie się ciała ko-

biety na widowni twórczości estetycznej przedstawi się nam, przynajmniej poniekąd, nie jako nowy etap w rozwoju sztuk pięknych, lecz jako epizod przygodny, znajdujący wytlómaczenie w cząstkowym atawizmie uczuć i upodobań estetycznych — upodobań, w których czynniki «postronne» (popęd płciowy) bynajmniej nie dosięgły jeszcze proga estetycznej obojętności.

Jeżeli upadek wierzeń religijnych biernie przyczynił się do rozkwitu naturalizmu w sztuce, wyzwalając popędy, dawniej trzymane na uwięzi, to natomiast drugi z pomiędzy dwu wymienionych wyżej pierwiastków — rozwój wiedzy przyrodniczej — przyczyniał się do tego w sposób jak najwyraźniej czynny. Przyroda, materya, ciało (pojęcia te prawie utożsamiano) stały się bożyszczem, któremu trzeba było, któremu należało stawiać ołtarze. Nowo odkrywane prawdy jaśniały dziewiczym blaskiem świeżości. Gatunek, gnębiony i zapoznawany w swych prawach przez tyle wieków, z niepowstrzymaną siłą upomniał się o nie. Osobnik czuł się szczęśliwym, mogąc występować jako ich obrońca. Świadomość tych praw napelniała go dumą, kazała wierzyć w posłannictwo wysokie, w misję odwetu. Ta wiara była jednak grobem naturalizmu. Ciało kobiety przestawało już wysługiwać się podejrzanym estetycznym uciechom; stawało się ono widowym znakiem walki, którą toczono w imię praw zapoznanych, stawało się symbolem. Nie znam bardziej genialnego odtworzenia tej metamorfozy naturalizmu na symbolizm pod wpływem czynników ideowych, jak *Dzieło (L'oeuvre)* Zoli. Kobieta-samica, przedstawicielka wcześniejszej doby życia gromad ludzkich i wcześniejszej pory estetycznej, jeszcze raz uległa wszechpotężnemu, przeobrażającemu działaniu męskiej idealizacji. Tej, której celem jedynym było zaspokojenie zwierzęcych namiętności, a w najlepszym razie namiętności «dyamentów i perel»; tej, która kazała artyście «plwać na sztukę»,

wyrzekać się jej dla wdzięków i pieszczot rozbestwionej samicy — tej samej męzki duch twórczy kazał być symbolem jakichś potęg, niezrozumiałych dla niej, nienawistnych. Streszcza się w tem, istotnie, wpływ kobiety na sztukę, na estetyczną działalność mężczyzn: bierna podnieta, nie wiedząca nawet, nie przewidująca dokąd zaprowadzi podnieconego — oto sformułowanie tego wpływu.

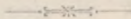
Mówimy tu wyłącznie o wpływie ich na dzieła sztuki. Co do oddziaływania kobiet na podniesienie męzkiej «estetyczności» wogóle — wiemy już co o tem trzymać należy i jak dalece nawet dodatnie skutki większego wdzięku i łagodności ich obyczaju, zrodzone za sprawą otoczenia, wytworzonego i podarowanego im przez męzyczną, giną i marnieją w uściskach szablonowości. Niektóre z przyczyn owego tak upowszechnionego przesądu co do większej przyrodzonej estetyczności kobiet rozważyliśmy wyżej. W liczbie główniejszych można też umieścić ich odruchową wrażliwość i pobudliwość. Zatabaczony Niemiec nie wyjmie przy dzieciach z kufra odświętnej nowej kamizelki w żółte i zielone kraty, nie wywołując w potomstwie okrzyków uwielbienia i zachwytu. Czyż dlatego ktokolwiek mówi o czynnym, kształcącym wpływie dzieci na rozwój estetyczności mężczyzn?

Zaznaczenie przez nas wzrastającej symbolizacji sztuki mogłoby niejednemu podsunąć myśl, że buławę hetmańską w dziejach twórczości estetycznej oddajemy tak zwanym dzisiaj symbolistom. Nie przychodziło to nam do głowy. Symbolizm dzisiejszy jest niewątpliwie znamienym objawem chwili i ogólnych dążeń artystycznych ludzkości, ale szkoła symbolistów bynajmniej nie budzi w nas zbyt żywych uniesień. Świadome smarowanie całych mil kwadratowych płótna w celu tworzenia symbolów — może nie doprowadzić do niczego. Geniusz artystyczny nie będzie się «nosił z myślą» usymbolizowania np. miłości Pawła

dla Pauliny w taki sposób, aby ani Pawła ani Pauliny nie było widać na obrazie. Wyobraźnię jego twórczą uderzy zjawisko jakieś, idea, epoka historyczna, stan duchowy i t. p. nie dające się uzmysłowić realnie, odtworzy on to jakoś, w sposób sobie właściwy, ale tak, że dla wszystkich ludzi — przynajmniej pewnego poziomu umysłowego, pewnej kultury — będzie zrozumiałem, co chciał powiedzieć. Pachołkowie mogą sobie przez ten czas uwijać się z wiechciami farb olejnych i wodnych, nic to nie szkodzi, niech probują sił i uzdolnień.

Ale symbolizm dzisiejszy może napomknąć nam raz jeszcze, o ile niedostatecznymi były «podniecające» wpływy kobiet z innego okresu rozwojowego na postęp sztuki, o ile brakiem tym musiał radzić po swojego idealizujący duch męzki. Symbolizm odbiera nam złudzenie, pozwalające mniemać, że popchnąwszy jedną połowę ludzkości na najwyższe stopnie cywilizacyi, można drugą połowę bez uszczerbku dla sztuki zatrzymać na poziomie niższym, rachując na wrodzone estetyczności i subtelności. Z grzęzkiej i miękkiej gliny artysta istotnie wznosić może gmachy, ale nadawszy jej uprzednio postać cegieł. Prawdziwie posągowe kształty i rozmiary monumentalne mógłby on nadać gmachom ceglany nie inaczej, jak wynalazłszy sposób robienia z gliny gładów twardych i trwałych.

Oddalenie się od spraw podstawowych i rosnąca wciąż skala pojemności powinny, jak mówię, uprzedzić nas, że w sztuce wpływ kobiet musi stawać się coraz bardziej odległym i zamglonym, o ile udział ich w życiu nie przekroczy poziomu społecznego poddaństwa. Ani miejsce, ani cierpliwość czytelników nie pozwolą mi już wykazać, że to samo zastrzeżenie stosuje się również do oddziaływania kobiety w zakresach życia rodzinnego, moralności i religii.



# WROGOWIE NAUKI.

## I.

Każda nowo odkryta prawda jest kolebką prawd-niemowląt i grobem zgrzybiałych aksjomatów przeszłości, każda jest piecem, przetapiającym sterane, zardzewiałe narzędzia naszej walki z przyrodą — na inne, ostrzejsze i bardziej celne. Teorya Kopernika, najwięcej rewolucyjna i przewrotowa ze wszystkich kataklizmów nowożytnej myśli, odsłaniając przed nami widnokreśli szersze od dawnych, pożarła niebo i Ptolomeusza. W ogniu nauki Darwina spłonęły stare księgi chaldejskich podań, a z ich popiołów narodził się feniks genezy ewolucjonistycznej. Teorya flogistonu rozplynęła się w bardziej oderwanej i szersze ogarniającej kręgi hipotezie chemicznego powinowactwa. Barwy przedmiotów znikły, jak cień, w olbrzymiej koncepcyi ruchu cząsteczek eteru, spokrewniającej to zjawisko świetlne z niewidzialną dla nas elektrycznością ciepłem, i t. d.

Strasznym, oślepiającym być musi blask prawdy ostatecznej, bo w miarę doskonalenia się wzroku ludzkiego ducha ona, jak gdyby nie chcąc kalectwa naszego, oddala się od nas, «gdzie wzrok nie sięga». Czyciele jej z rado-

ścią powiedzieć mogą, że właśnie ta rozległość widnokręgów, te odsłaniające się przed nami obszary, ten przedsmak nieskończoności zbliżają nas do niej. Kiedy w otchłaniach przestrzeni i czasu pochycimy w końcu najpierwszy jej promień — na całym bezmiarze światów i wszechświatów naszych rozpocznie się najrozkoszniejszy i ostatni dramat poznania. Jak ciemne plamy na słońcu, tak wszystkie nasze prawdy poszczególne, wszystkie wykryształone w naszej nieudolności odłamy wszechwiedzy, wszystkie złudzenia zmysłów, oszukujących umysł, i umysłu, który karmi się złudzeniami złudzeń — spadną w jednej chwili na pierś płomiennej swej rodzicielki i roztopią się w niej jako zużyte, niepotrzebne. Wszystkie nasze pojęcia zasadnicze: ruch i materya, czas i przestrzeń, życie i świadomość — ukażą się nam jak blade i nikłe cienie tego, co naprawdę będzie istotą wiedzy. Wobec takiego objawienia najbardziej naukowe z pomiędzy naszych zdobyczy i mniemań wydadzą się nam tak nieudolnym odtworzeniem prawdy, jak indyjska legenda o słoniach, utrzymujących kulę ziemską — wobec newtonowskiej teorii ciężenia. Nikt płakać nie będzie po tych zabawkach dziecięctwa ludzkości, nikt ich nie będzie żałował, jak astronom, badając tęczę, nie żałuje bańki mydlanej, która była dla niego najpierwszem siedmiobarwnej prawdy odbiciem.

Dziś jednak ilekroć wniesie kto pochodnię do niezbadanego jeszcze zakątka przyrody, chmara nietoperzów z piskiem i jękiem zlatuje na nią ze wszystkich pni spróchniałych, ze wszystkich kryjówek mroku. Dla czu, nawykłych jedynie do blasków próchna, światło przodowników nauki jest męczarnią.

Ale w przybytku wiedzy, obok tulącej się po kątach gromady płochliwych tworów są jeszcze rabini prawd uznanych i bonzowie patentowanej mądrości. Jedni przy bładem świetle tradycyjnej smarkatki, zapominając o słońcu,

grzęzną we wzorach kabalistycznych, drudzy, zbudowawszy sobie młynki modlitewne, na skrzydła ich, jako ofiarę dla niezgłębionego bóstwa, rzucają od czasu do czasu pechy własnej erudycji.

Te dwa zastępy istot — żyjących w mroku albo uznających jedynie światło kaganków stemplowanych — po wszystkie czasy walczyły z każdą myślą nową i utrudniały jej postęp: instynkt ideożerczy jest wspólnem znamięm mózgu nietoperzów myśli i bóżów; duchowe ich powinowactwo głębiej sięga i zespala ich mocniej, niż się pospolicie przypuszcza. Tu i tam widzimy nieprzepartą dążność do najciaśniejszych horyzontów, do poziomów najniższych. Jednym i drugim skłonność do fetyszyzmu każe więzić żywe siły przyrody w obrzędowych zaklęciach, albo w formułach talmudyzmu naukowego. Grom niebieski nie istnieje dla nich: istnieje tylko staruszek z bębmem, albo maszynka elektryczna o sile tylu a tylu amperów. Niema też oceanu życia w przyrodzie, są tylko gadające drzewa, smoki, ziejące ogniem — albo płatki, słupki, centki, kropki, kropeczki.

Nowa grupa faktów, stwierdzonych już dzisiaj przez kilkunastu pierwszorzędných badaczów, lecz nie zgłębionych jeszcze, nie zespolonych z dawniejszą naszą wiedzą o tyle, abyśmy mogli porobić z nich trwale ogniwa w łańcuchu przyczyn i skutków, zwabiła już ku sobie nietoperzów myśli i zdążyła ściągnąć pogardę uczonych talmudystów. Mówię tu o zjawiskach, którym z gmatwaniny nazw spirytystyczno-mediumicznotelepatycznych nie umiałbym wskazać nietylko właściwej, ale najodpowiedniejszej.

Dość często wyrażano już ubolewanie z powodu stosunku arcyministrów i królów nauki względem tej nowo odkrytej dzielnicy badań. Zamiast przedsięwzięcia jej «okupacyi» i «aneksyi» na rzecz naukowego mocarstwa, pozwalają oni awanturnikom wszelkiego rodzaju i piratom

albo rabować skarby niezbadane, albo wyzyskiwać tłumy pątników, szukających wszędzie i zawsze cudu. Czasem zresztą garstka uczonych albo pojedynczy ochotnik przedsięwzię wyprawę na własną rękę; państwo nauki jednak tyle tylko zyskuje na tem, że o nieznanym kraju pewniejsze trochę zdobywa wiadomości, ale przyłączenie jego do głównych dzierżaw pozostaje dotąd sprawą otwartą.

Nie będziemy tu mówili o tej obojętności albo gluchocie świata naukowego; dopóki organizacya prac umysłowych nie stanie się faktem dokonanym, dopóki obowiązkiem nie będzie wysyłanie dobrze uzbrojonych oddziałów szermierzy naukowych na wszelką, fałszywą nawet wieść o pojawieniu się młodego potwora, mającego pochłaniać teorye stare, dopóki ogół pracowników wiedzy nie zrozumie, że większe dobrodziejstwo rozwojowi ludzkiego ducha świadczy ten, kto obala poglądy utarte, aniżeli ci, którzy nadają im kształt niewzruszonych dogmatów — dopóty skargi na zeszytnienie mózgu uczonych rozlegać się nie przestaną.

Obszerniej chcieliśmy tu roztrząsnąć antypostępową działalność innej kohorty nieprzyjaciół nauki — już nie tych, którzy, przed młynkiem siedząc, zapomnieli o życiu, ale takich, co wszelki ożywczy strumień poznania radzi byłiby skierować na młyńskie koła i skrzydła, co w nurtach strumienia pragnęliby zgasić wiedzy pochodnię.

Imię ich legion. W odkryciu prawd nowych nie dostrzegą oni nigdy zwycięstwa nauki, lecz tylko jej porażkę; radują się nie z tego, że nowy promień światła przybywa, ale z tego, że dawne świeczniki bledną lub gasną; nie cieszy ich widok dzisiejszej prawdy, ale omylnność ducha naszego w poznawaniu prawd wczorajszych. Żerując tylko na trupach myśli ludzkiej, ciągną zdobycz do mrocznych barłogów, a zamiast zgaszonych pochodni wynoszą ztamtąd amulety ze świecącego się próchna. Nic to dla nich

nie znaczy, że łuną swych światel nowych nauka rozjaśnia większy, niż dawniej, szmat nieba i ziemi, nie znaczy, że ideały jej ploną blaskiem piękniejszym, że błędy minionie z lichwą wynagradza i wznosi nowy drogowskaz; najadłszy się obumarłych, opadłych liści z drzewa poznania, czują oni sen niezmożony, ślepną i głuchną, nie widzą, nie chcą oglądać świeżych kwiatów i zawiązków przyszłości.

Zaledwie ukazały się pierwsze brzaski wzmiankowanych wyżej faktów... bezimiennych, zwiastujących, jak się zdaje, możność bezpośredniego przenoszenia się myśli z jednej czaszki ludzkiej do drugiej, albo też możność przeobrażania się, jak mówi Lombroso, energii nerwowej w pracę mechaniczną, w światło, dźwięk i t. p., gdy oto we wszystkich ciemnych norach i dziuplach rozległ się pisk radosny z powodu «pohańbienia dotychczasowych metod nauki».

Jednym z najdzielniejszych orężów naukowego badania była i jest dzisiaj tak zwana «metoda doświadczalna» — stwierdzanie i sprawdzanie zjawisk przy pomocy świadectwa naszych zmysłów, działających w pewnym, umyślnie dokonaniem skojarzeniu warunków zewnętrznych. Otóż wszystkim niedoperzom wydalo się, że «beziemienne» owe zjawiska podkopują albo obalają powagę tej najcenniejszej metody naukowej. Tymczasem, jeżeli ogół uczonych nie uznał jeszcze «telepatyi», «medyumizmów» i t. p., to właśnie dlatego, że nie zdolano dotychczas ani określić dokładnie, ani wskazać sposobu doświadczalnego ich badania, od którego jedynie, tak samo jak wszystkie inne naukowe prawdy, mogą one oczekiwać sankcyi swej ostatecznej.

Myśliciele poważni i naukowci oddawna już o tyle pogłębili i rozszerzyli pojęcie doświadczenia oraz po-

jęcie świadectwa zmysłów, że nie obawiają się one wszelkich napaści tryumfującego bezmyślnie ideożerstwa.

Wyraz doświadczenie dwojako bywa rozumiany: albo oznacza on eksperyment, albo też wszystko to, czego dzięki zmysłom swym doznają organizmy — bądź w ciągu życia danego osobnika, bądź w rozwojowym pochodzie gatunku i przodków jego dalszych. W pierwszej postaci swojej doświadczenie jest właśnie jądrem metody naukowej, o jakiej mówilem wyżej; w drugiej postaci jest ono jedynem źródłem, a jednocześnie też probierzem wszelkiego poznawania. Wciągnięcie do rachunku doświadczenia pokoleń przodków pozwoliło nauce wytłómaczyć takie instynkty i popędy danego osobnika, jakie w osobistym jego doświadczeniu tłómaczeń i objaśnień szukać nie mogły: niemowlę, wykonywające zaraz po urodzeniu ruchy ssania, czyni to nie dzięki własnemu swemu doświadczeniu, lecz dzięki pewnej budowie nerwów i mięśni, odziedziczonej po przodkach, a nabytej i wyćwiczonej przez nich za sprawą doświadczenia ich zmysłów. (Karmiąc noworodka «z łyżeczki», po dniach już kilku odbieramy mu zdolność czy umiejętność właściwego korzystania z piersi karmicielki).

W taki to sposób nauka usunęła, między innymi, potrzebę uznawania tak zwanych «idei wrodzonych», przy których pomocy usiłowano dawniej tłómaczyć pewne zjawiska życia.

Ale, rozszerzywszy zakres doświadczenia w czasie, przyrodznawstwo rozszerzyło go również w przestrzeni. Obok klasycznych pięciu zmysłów zewnętrznych, uwzględniono też wewnętrzne zmysły — organiczne, zwane przez niektórych układowymi (*systemic*) — dlatego że za ich współdziałaniem umysł nasz dowiaduje się o stanie tego lub innego układu (systemu) naszych narządów wewnętrz-

nych. Tu należą np. zmysł trzewny, oddechowy mięśniowy i t. p. Wspólnym wynikiem działania wszystkich tych zmysłów jest t. zw. przez naukę *cenestezja*, czyli nasze ogólne poczucie takiego lub innego «miewania się». W zwykłym biegu rzeczy, mówi Ribot, nie jesteśmy nawet świadomi tego, że wszystkie te narządy wewnętrzne przesyłają nam od siebie ciągle wieści, jak to czyni oko, kiedy patrzymy, albo ucho, kiedy dochodzą nas dźwięki głosu; ale niech tylko która z owych stacyj odległych przestanie znosić się z nami — spostrzegamy to zaraz: mówimy np., że noga nam zcierpla; otóż wrażenie zcierpienia niczem innym nie jest, jak tylko brakiem wrażeń normalnych, jakie w stanie zwykłym od kończyny dolnej odbieramy. W podobny sposób nie słyszymy ciągłego huku we młynie, śpiąc w najlepsze, zaś zrywamy się «na równe nogi», gdy nagle zapanuje cisza, gdy koła staną.

Doświadczenie zmysłów wewnętrznych może tak samo, jak doświadczenie zewnętrznych zmysłów, podlegać kontroli eksperymentu: uciskając przez jakiś czas nogę i wywołując jej zdrętwienie, poddajemy próbom zmysł mięśniowy, zażywając narkotyku — wpływamy na zmianę *cenestezji* i t. p.

Gdyby nawet szamanizm albo fakiryzm mogły się stać kiedykolwiek metodą badań naukowych — nie w czem innym, jak tylko w doświadczeniu czerpałyby swą prawomocność.

Drugim manewrem wstecznicstwa, utrudniającym bardzo pochod wszelkiej myśli nowej w ogólności, zaś szczególnie owym hipotezom i napomknieniom «beziemiennym», jest zespalanie z nimi wszelkich pogrzebanych przesądów przeszłości. Bardzo trudno byłoby znaleźć np. spirytystę «czystego». Jest to zazwyczaj mieszaniec, w którego mózgu gościnne przyjęcie znajdują nadto: Kabała i Koran, ho-

meopatya i wegetaryanizm, okultyzm i teozofia, alchemia i astrologia, chiromancya i czarnoksiężtwo pospolite, biała i czarna magia, słowem — nietylko teorye i kierunki niesłusznie piętnowane przez naukę i nie mogące się doczekać jej uśmiechu, nietylko zapoznane poglądy, co można byłoby tłumaczyć żądzą pomszczenia prawd skrzywdzonych, ale i wszelkie niedorzeczności, na jakie zdobywała się kiedykolwiek umysłowość ludzka, wszelkie matactwa, z jakich korzystać umiała ludzka pomysłowość. Czaszka takiego pożeracza tajemnic staje się nietylko *salon de refusés* — galerią arcydzieł, odrzuconych przez akademickich niewolników rutyny, ale istną stajnią bestyj apokaliptycznych, pożeranych na surowo — z kopytami i szerścią — co już oczywiście świadczy zgoła nie o żądzy bezstronnych badań naukowych, ale o nienasyconym głodzie wszelkich «cudłów», o skłonności do uznawania i przyjmowania na wiarę wszystkiego, co trąci polewką czarownic, co każe nie badać lecz wierzyć, nie uczyć się ale się obawiać i wykonywać praktyki kalchasowe.

Do liczby tych praktyk należy też jedna, którą można byłoby nazwać *szamanizacją* rzeczy zrozumiałych i dostatecznie wyświetlonych przez naukę: hypnotyzm np. przestaje tu być stanem duchowym, znajdującym wytłumaczenie w dobrowolnem lub narzuconem ześrodkowaniu uwagi pacyenta, musi on być natomiast jakimś opętaniem lub nawiedzeniem; zwykła sugestya hypnotyczna słowem albo ruchem nie jest już li tylko następstwem panowania potężnych względnie wyobrażeń i wrażeń na opustoszałem polu świadomości uspiętego, nie jest już cennem narzędziem badań psychologii doświadczalnej, ale przelaniem woli z jednego osobnika do drugiego — woli, która umysłem zszamanizowanym przedstawia się, w najlepszym razie, jak gaz subtelny, a może nawet jak plyn albo delikatny proszek.

Nakoniec nie mniej skutecznym sposobem odstręczenia nauki od badań nowych jest «modernizacya», unowocześnianie starych poglądów. Pochłonawszy, jak wyżej, całą filozofię i kosmogonię ludów pierwotnych, mieszaniec oznajmia, że właściwie nie różniła się ona od ostatnich wyników naukowego badania, lecz była tylko ich zapowiedzią: nadając pleć kamieniom i metalom, Dahomejczyk albo Kafer oczywiście myśleli o ujemnej i dodatniej elektryczności, żeniąc gwiazdy z księżycem lub naodwrot, wyprzedzili tylko — szczęście gdy nie przewyższyli o całe niebo — teorye Kantów, Laplace'ów, Newtonów. Otóż, o ile godnem pochwały jest przypominanie najmniejszych nawet zasług przeszłości względem pokoleń współczesnych, o tyle wstrętną ta namiętność, z jaką ideożercy tłumią wszelką wiarę w postęp ludzkiej myśli. Pobudką działania jest tu ten sam nienasycony głód szamańszczyzny: szczęki umysłowego troglodyty, gdy zasiądzie on do uczty duchowej, nie umieją powstrzymać się od schrupania zeschłego mułu, gniazd, skorup w których legły się kiedyś najpierwsze zarodki myśli człowieczej i człowieczej tęsknoty do prawd nieznanych.

## II.

Dziwnem byłoby, gdyby artykuły dra Ochorowicza o doświadczeniach rzymskich z Eusapią nie zbudziły żadnego oddźwięku w naszym czasopiśmiennictwie; jeszcze dziwniejszem — gdyby wywołały odgłos przychylny. Ochorowicz, jak wiadomo, jeździł do Rzymu dla zbadania «cudów» Eusapii Palladino; powrócił przekonany zupełnie o rzeczywistości faktów — i przeświadczenie swe wypowiedział w *Kuryerze Warszawskim*.

Z dwu stron przeciwnych uderzono na zuchwałego ciekawca: jękiem zbolalej duszy ozwała się *Biesiada Literacka*, głosami urażonej «wiedzy pozytywnej» zagrzmiało od strony *Prawdy i Przeglądu Tygodniowego*.

*Biesiada* ma bardzo słuszne i zrozumiałe powody utyskiwania.

Inaczej ma się rzecz z pozytywistyczną lewicą: tam dogmatyzm jest jeszcze krewkim i niepewnym jutra młodzieńcem.

Należy więc co chwila przypominać owieczkom, iż wiedzieli oni wszystko, wszystko poznali, zbadali, opisali, że cokolwiek nie było przez nich sformułowanem, jest herzyą i może sobie nawet istnieć jako fakt, ale poza obrębem naukowej Walhalli. Nauka już skończyła się: duch jej siadł na złocistym tronie, aby nagradzać nie ciekawych lecz posłusznych, karać nie leniuchów ale zuchwałych. Ciało jej zabalsamowaliśmy wonnościami, wysmażonemi w mózgach, i ujęli w powijaki formuł; pozwólcieź więc, niech stanie się ono przyzwoitą mumią, niech prawa jej przybiorą kształt nietykalnych dogmatów, niech metody badania staną się obrzędem.

Największen może niebezpieczeństwem myśli ludzkiej jest ciągle jej dążenie do równowagi stałej, najwyższym, najtrudniej dającym się osiągać stanem — równowaga ruchowa. Nie dziwna, że każdy z wielkich mistrzów starożytności starał się o zdolnych uczniów, którzyby myśl jego rozwijali dalej, którzyby nie pozwolili jej zakrzepnąć w obrzędowości. Bez tych zdolnych następców wszelki geniusz rychło musiałby ukazywać się w pamięci potomnych, jak zmumifikowana nieomylność.

Dzieje każdej nauki, każdej teorii są historią wiary, historią pewnego kościoła. Zrazu gromadka wyznawców bezpośrednio przygląda się dziełom naukowego cudotwórcy: nie mają oni potrzeby wierzyć, gdyż wiedzą, wiedzą zaś

dlatego, że widzą. Potem, ukazuje się sława, rozgłos, a z nimi podziw; ten właśnie jak najspieszniej sprowadza ukochaną córkę swą, wiare — i kościół staje. Mnoży się z każdą chwilą liczba błogosławionych, którzy «nie widzieli a uwierzyli». Teorya nie zdąży jeszcze wykryć i uwydatnić polowy faktów, przemawiających na jej korzyść, a już ogromna większość prostaczków wierzy w nią bez żadnego faktu — na mocy powagi imienia jej twórcy. Imię to staje ponad wszystkimi argumentami i dowodami, teroryzuje oponentów, zapewnia stronnikom zwycięstwo bez walki. Imiona Arystotelesów, Cuvierów, a w czasach późniejszych — Darwinów, Marxów, Wundtów same przez się zdolne były powstrzymać niejedno z nowych słońc, wschodzących na widnokręgu ludzkiej myśli, nakazać milczenie faktom, onieśmielić i ubezwładnić prawdę — nie dlatego, aby teorie ich domagały się takiego prawdożerstwa, ale z powodu, że tłumy wiernych z naukowej teoryi, mogącej i pragnącej żyć, robiły niezmienną, stereotypową... antyfonę.

Ilość teoryi pogrzebanych wielokrotnie przewyższa liczbę żyjących. Nowe teorie tuczą się krwią i ciałem dawnych, pozwalając tylko duchowi ich błąkać się w krańce filozoficznych albo naukowych upiorów; cały zasób nagromadzonych, uporządkowanych i ukłasyfikowanych przez poprzedniczkę faktów staje się zdobyczą nowego światopoglądu, tłómaczenie tych faktów błędnie i znika, jak cień, uchodząc przed tłómaczeniem nowem, przed duchem nowej teoryi. Taką od wieków była kolej postępu myśli ludzkiej. To też słusznie zauważono, że większą doniosłość dla nauki posiada jeden fakt, podkopujący jakąś teoryę, aniżeli dziesięć takich, które ją stwierdzają. Teorie nowe są jak owych siedem krów chudych, pożerających tłuste. Przychodzą one do nauki z wielką żarłocznością i z bardzo małym zasobem faktów własnych. Dopiero po-

chlonięcie faktycznych bogactw, nagromadzonych przez «tluste», daje im wzrost i potęgę.

A jednak, jak za dni Archimedesowej hekatombi, robcocze woły nauki zaczynają ryczeć, ilekroć pożąta ma być teoria dawniejsza, ile razy odkryta zostanie nowa prawda. Jak dalece zaś mózgi ludzkie skłonny są do obrzędowości i dogmatyzmu, o ile historia nauk odtwarza historię wierzeń, o tem najlepiej przekonywa taktyka walki z nowo-ukazującym się wrogiem. Sposoby i środki w obu wypadkach są wprost identyczne: ta sama nieznamość i lekceważenie zwalczanego wroga, ten sam animusz w przekręcaniu faktów i twierdzeń, to samo zastawianie się powagą imion i odwoływanie się nawpół z placzem — już nie do logiki, ale do szlachetności, nie do rozumu, lecz do uczucia słuchaczy.

Artykuł Ochorowicza umyślnie pominął wszelkie uogólnienia teoretyczne, zadawalniając się jedynie opisem faktów. P. Herz napada na teorię, tłómaczącą fakty owe, a nawet na teorię najmniej znajdującą chętnych słuchaczy wśród uczonych, na teorię spirytystyczną. W krytyce tej bez skrupułu zdradza zupełną nieznamość tak piśmiennictwa przedmiotu, jak i zwalczanych faktów; zajmuje on zanadto uprzywilejowane stanowisko naukowego bonzy, aby miał się poniżyć do poznania tego, kogo wyklina.

Zjawiska owe, zdaniem pana Herza, znajdują się w zupełnej sprzeczności ze znanymi prawami przyrody, zdobytymi w ciągu dziesiątków stuleci długą i mozolną pracą «najlepszych, najmędrszych i najszlachetniejszych» przedstawicieli rodu ludzkiego; «mamyż więc wyrzec się Archimedesów, Galileuszów i Newtonów?»...

To się nazywa być pozytywistą sentymentalnym.

P. Herz, jako biegły dyplomata, nie mówi nam, że np. w sprawie teorii światła on sam i dzieci jego wyrze-

kli się «najszlachetniejszego» Newtona, że z poglądów Arystotelesa połowy ani on, ani jego krewni nie uznają dzisiaj.

Przedewszystkiem, bardzo niewłaściwą jest rzeczą teroryzowanie opinii takimi mądrymi nazwiskami. Ani dla nauki, ani dla ludzkości nie było ważnem to, czy mamy się wyrzec flogistonu sympatycznego Stahla, lecz głównie i najglówniej fakt, czy przy paleniu się ciał waga ich naprawdę rośnie, czy też zmniejsza się, jak twierdziła zdobyta «mozolnym trudem» teoria dawniejsza? W ocenie poglądów Darwina nie o to przedewszystkiem chodziło, czy mamy wypowiedzieć służbę «najmędrszemu» Cuvierowi, lecz o to, czy istotnie gatunki się zmieniały i zmieniają. Przedewszystkiem należało fakt stwierdzić niezbiecie, a potem można już było mówić o tem, o ile i czego mamy się wyrzekać. To samo stosuje się do faktów «medyumizmu». Gdyby jedyną ich zbrodnią było to, że grożą Newtonom, że Kopernikom chcą przysłużyć się tak, jak Kopernikowie przysługiwali się Ptolomeuszom, albo Darwinowi Cuvierom — świadczyloby to jedynie, że jak najspieszniej powinni zająć się nimi specjaliści różnych powołań. Nowe a sumienne badania pokazałyby nam, czy p. Herz, po wyrzeczeniu się szlachetnej teorii wpływów ma jeszcze odmówić Newtonowi kredytu w innej dziedzinie, czy też prawo ciężenia np. okazało się poszczególnym wypadkiem pewnych ustunkowań materyalnych, któremu medyumizm nie przeczy tak samo, jak magnetyzm?

W walce Darwinów z Cuvierami ścierały się dwie potęgi naukowe, dwie sformułowane teorie. «Ale, zapytuje sentymentalny pozytywista, czyż mamy się wyrzec Galileuszów dla Eusapii?» Bynajmniej. Eusapia jest sobie skromnym faktem. Wyrzekać się teorii, jeśli do tego przyjdzie — będziemy dla jakiejś teorii innej, którą zbuduje może najbliższy z przyjaciół p. Herza, gdy fakty zostaną

stwierdzone stanowczo i opisane w sposób naukowy. Przed Darwinem hodowcy bydła wiedzieli o pewnych faktach ewolucyi organicznej, przed Lyellem starsi mieszkańcy okolic nadbrzeżnych wiedzieli o podnoszeniu się i opadaniu gruntu. Czy dla tych mieszkańców wyrzeczono się teorii kataklizmów i gatunków niezmiennych? Pan Herz, który również wyrzekł się owych teorii, nie zna pewno ani jednego z hodowców, ani jednego staruszka z nad zatoki fińskiej. Tradycyjne jabłko Newtona, mięczaki darwinowskie z Ameryki południowej, pęknięta czaszka owcy, (podająca Goethemu myśl jego wspaniałej teorii rozwijania się czaszek z kręgów grzbietowych), lampa Galileusza, żaba Galvaniego — wszystkie te fakty nie są ani gorsze ani lepsze od faktu, zwanego Eusapią. Nie wiemy jeszcze czy ten ostatni fakt jest również prawdziwym i o to tylko mamy się dowiadywać. Natomiast jakże ślamazarną niedorzecznością byłoby zapytywać siebie i bliźnich: czy «mamy się wyrzec pewnych poglądów dla głupiej żaby, skorupiaka, lampy, jabłka, czaszki baraniej» i t. p.

Ale przepowiednia o wyrzekaniu się jest, co najmniej, przedwczesną, jeżeli, ma się rozumieć, sentymentalny pozytywizm nie zdążył jeszcze obrać sobie papieża, uczynić dogmatu z nieomyślności i nadać sformułowaniom praw przyrody znaczenia i postaci kanonicznych, niezmiennych przepisów. Cokolwiek przyniesie nam medyumizm, ani jednej z wielkich zdobyczy ludzkości nie będziemy musieli odrzucić, ani jeden listek z wieńca Newtonów i Galileuszów nie odpadnie. Stosunek Newtona do przyrody nie jest romanssem, przyroda nie jest jego kochanką, nauka nie jest zamkniętym buduaem, do którego nikomu wejść nie wolno. Przyroda nikomu jeszcze nie oddała się zupełnie; tajemnice jej są jeszcze do zdobycia.

Z tego, że ciała przyciągają się w pewien sposób i w warunkach danych, nie wynika bynajmniej, że tak

samo przyciągać się będą w innych warunkach. Widząc ruch żelaza pod wpływem magnesu, albo ruch krzesła pod wpływem ręki Eusapii, Newton ani na chwilę nie zwątpiłby o działaniu swego prawa, jak to czynią pacholkiwie, okadzający jego posąg. Newton usiłowałby tylko zobaczyć, co w jednym i w drugim wypadku zawiesiło działanie siły ciężkości, a raczej jakie działanie nowe skojarzyło się z ciążeniem powszechnem. Dla umysłu Newtona widocznem byłoby, że, jeśli krzesło posunęło się o trzy cale, nie zaś o dziesięć lub piętnaście, to dlatego, iż taką musiała być w wypadkowi siły ciężkości oraz innej, niezbadanej jeszcze przez niego, postaci energii. Krzesło posunęło się tak, jak się posunęło, nie pomimo prawa Newtona, nie wbrew temu prawu, ale z powodu, że prawo to istnieje, że nie pozwoliło mu ono posunąć się inaczej.

Trudno o bardziej nienaukową postawę umysłu, nadto sentymentalne rozpamiętywanie: jakim teoryom zaprzeczyłby fakt dany, gdyby się okazał prawdziwym. Szerząc tego ducha sekciarstwa i dogmatycznego przeczenia, sentymentalny pozytywizm wyobraża sobie, że służy sprawie nauki. Tymczasem robi on tylko to, co w innej epoce względem niego robił dogmatyzm inny. Skutek ztąd zawsze jednaki: prawda odrzucana, odręczana przez naukowych augurów, wypędzana z gabinetów i laboratoryów, nie ujęta w karby ścisłego badania, nie wyłożona tłumom należycie, nie zespolona ani z prawdami innych teoryj, ani z postępami człowieka — tuła się po jarmarcznych budach, paczy umysły, koszlwi sumienia; to, co powinno posłużyć do lepszego poznania, do szerszej kontroli praw przyrodzonych, służy do zaciemnienia ich, do pogmatwania; to, co powinno wprowadzić ducha naukowej metody i praw naukowych do sfery tak zwanej cudowności, wprowadza cudowność do poznanych już i uporządkowanych zjawisk przyrody.

Uczyniwszy z nauki religię, wykończoną już i zamkniętą, zrobiwszy uczonych nieomylnymi papieżami albo patronami świętymi, sentymentalny pozytywizm nie omieszkiał też tak zwanym prawom przyrody nadać znaczenia nieomylnych i niezmiennych dogmatów.

Dogmatyzacya polega nietylko na unieruchomieniu zewnętrznych sformułowań prawa, nietylko na tem, że prędzej niebo i ziemia przeminą, aniżeli sentymentalny pozytywista odmieni choć jedną jotę w formule danego prawa przyrody. Dogmatyzacya owa zasadza się głównie na tem, że prawom przyrody przypisuje się jakąś wewnętrzną moc rządzenia światem. Przeniósłszy analogię z życia społecznego do dziedziny zjawisk fizycznych, chemicznych, astronomicznych i t. p. umysł dogmatyczny przeniósł wraz z nią coś jeszcze. W życiu ludzkim poza wszelkiemi prawami znajduje się zawsze jakaś siła, dająca im życie i stojąca na straży ich wykonania. Pozytywizm dał sobie uroczyście słowo nie zaglądać poza widzialne i namacalne zjawiska świata zewnętrznego, nie wdzierać się w tajemnice przyrody, nie szukać przyczyny sprawczej jej praw najogólniejszych; wogóle postanowił on nie wdawać się w żadną metafizykę; jakże prędko i jak surowo został ukarany za takie zapoznanie zasadniczej potrzeby czy też przymiotu umysłowości ludzkiej! Obiecawszy sobie nie szukać sprawczej przyczyny praw przyrodzonych poza niemi, umieścił ją w nich samych! W ten sposób to, co było prostym opisem albo sformułowaniem pewnego porządku odbywania się zjawisk w danych warunkach, dla pozytywizmu stało się jakimś nakazem egzekucyjnym, posiadającym swoistą moc prawną. Dzięki nakazowi temu licytował on wszystkie wielkie i największe tajemnice wszechbytu, sprzedawał je za bezcen — za parę tuzinów drobnych fackików,

obnoszonych jako najprzedniejsza zdobycz nauki «prawdziwej».

Oto np., zauważono, że w pewnych, jak się zdaje bardzo powszechnych, warunkach ciała dążą wzajem ku sobie. Spostrzeżono dalej, że dążenie owo odbywa się w pewnym określonym porządku. Porządek ten nazwano prawem powszechnego ciężenia. Otóż sentymentalny pozytywizm bynajmniej nie zadowolnił się stwierdzeniem tego porządku oraz uwagą, że porządek ów sam jest li tylko wypadkową pewnych przyczyn, że wypadkowa ta może się zmieniać wraz ze zmianą składników. Przeciwnie, z prawa ciężenia zrobiono dogmat, wystarczający sobie, będący przyczyną siebie samego i skutkiem. Napróżno filozofia od czasów niepamiętnych ostrzega naukę przed takim pojmowaniem a raczej niepojmowaniem rzeczy, napróżno nawet fakty, wykryte później albo lepiej zbadane, zaprzeczają powszechności i bezwzględności prawa. Sentymentalny pozytywizm, słysząc o jakimś nowym zjawisku, w którym prawo to zostało zawieszone lub pominięte, nie uczuje nawet chęci sprawdzenia faktu. Zadowolni się on wprost oświadczeniem, że fakt jest «niedorzecznością logiczną», gdyż przeoczy «prawo przyrody».

Pan Herz w swojej krytyce domniemanych zjawisk medyumicznych poszedł jeszcze dalej. Zdaniem jego, posuwanie się krzesła bez żadnej ze znanych nam przyczyn widocznych przeczy już nietylko prawu powszechnego ciężenia, obraża nietylko Newtona, ale... neguje prawo przyczynowości. Zdaje się, że gdyby sentymentalny pozytywista wziął w pacht całą przyrodę, gdyby, jako porządny gospodarz, poznał wszystkie a wszystkie jej zakątki, jeszcze nie mógłby powiedzieć, że zbadał już wszelkie przyczyny przyczyn i przyczyn przyczyny.

W obecnym stanie nauki musi on powiedzieć wraz z ogółem ludzi rozsądnych, że w olbrzymiej większości

wypadków nietylko nie pojmuje właściwego owych przyczyn działania, ale nie pojmie go nigdy, o ile sposoby i środki naszego umysłu nie zmieniają się zasadniczo.

Nie wynika ztąd jednak, abyśmy dobrowolnie mieli wyrzekać się coraz wyższych stopni tego pojmowania, abyśmy nie chcieli przechodzić kolejno od praw ogólnych do innych, jeszcze ogólniejszych, których pierwsze są tylko wypadkami poszczególnymi, abyśmy nadewszystko nie starali się przedstawiać praw znanych w postaci tak względnej i tak pojemnej, do jakiej upoważnia nas dany okres wiedzy i filozofii, a jaka natomiast pozwoli nam przyjąć i wytłumaczyć w razie potrzeby możliwie znaczną ilość faktów i prawd nowych.

Określając w podobny sposób prawo ciężenia, powiemy, iż jest to pewien porządek zbliżania się ciał «ważkich» ku sobie pod wpływem pewnych przyczyn. Definicja ta nie przesądza z góry, czyli cząsteczki ciał ważkich z samej przyrody swojej dążą ku sobie, czy też nie. Gdyby się więc okazało np., że dwie kule żelazne, lub wogóle że dwie jakies małe albo duże cząstki materii odpychają się wzajem, gdyby się okazało nawet, że wogóle atomy i cząsteczki materii z «samej przyrody swojej», t. j. pozostawione samym sobie — odtrącają się nie zaś przyciągają, oraz że »przyciągają się« jedynie jak gdyby pod przymusem; że przyciąganie to jest właściwie «spędzaniem ich do kupy» przez jakiś czynnik zewnętrzny, np. przez cząsteczki materii «nieważkiej» lub nawet przez coś takiego, co zgoła różni się od materii — nie potrzebowalibyśmy łamać rąk nad pohańbieniem prawa powszechnego ciężenia, a tymbardziej prawa przyczynowości: określenie nasze przewidziało, niejako, podobne wypadki. «Porządek zbliżania się pod wpływem pewnych przyczyn» jest sobie tylko porządkiem zbliżania się pod wpływem pewnych przyczyn i do niczego więcej preten-

syi nie rości. O ile wpływ owych przyczyn pozostanie jednakim, nie zmieni się też porządek; tyle twierdzić możemy i w takim też rozumieniu «prawo» ciężenia powszechnego jest dla nas czemś niezmiennem, jest dla nas prawem.

Sprawiedliwość nakazuje wyznać, że właśnie pozytywizm (angielski) najwięcej może przyczynił się do tak racjonalnego pojmowania praw przyrody; ale sentymentalny pozytywizm, nie mający nic wspólnego z filozofią i dążący do jak najrychlejszego ufundowania pozytywistycznej religii ze świętym Newtonem i Darwinem na czele, zdziwiłby się mocno, słysząc o takich wymaganiach myślicieli. Dzięki temu, tak samo jak przed wiekami, tak i dzisiaj, historia myśli ludzkiej może zaznaczać pewne paradoksalne napozór zjawisko: oto wszelkie poznanie faktycznej strony przyrody na czas bardzo długi kładzie tamę poznaniu jej ducha. Przekonawszy się, że w pewnej ograniczonej przestrzeni i czasie zdarzają się pewne zajścia, pewne przemiany materyalne, natychmiast wyobrażamy sobie, że stanowią one jądro tajemnic przyrody, że są czemś niezmiennem, stałym, powszechnem, istotowem. Czasy nowe, niezwykle obarczone, żeby nie powiedzieć przeladowane zdobycami faktycznymi, szczególnie też grzeszą mnogością owych praw niby — niezmiennych, niby — powszechnych. Zbadawszy jako tako porządek lub porządek zjawisk w tej albo owej dziedzinie, mnóstwo ludzi wyobraziło sobie, że poznali istotę rzeczy, że wtajemniczyli się niemal w osobiste usposobienia, plany, zamiary i widoki bożka-przyrody. Tymczasem, właśnie epoka nasza i właśnie jej niezliczone zdobycze faktyczne najsilniej i najpierwej powinny byłyby przekonać nas o niezmierzonej odległości, dzielącej umysłowość ludzką od poznania praw ostatecznych, o powierzchowności i płytkości wszelkich naszych, najgłębiej nawet sięgających uogólnień, nie w tem

znaczeniu, aby uogólnienia te były fałszywe, lecz w tem, że dotyczą one zaledwie powierzchni, a raczej wierzchołka olbrzymiej piramidy zjawisk przyrodzonych, że pod niemi dopiero kryć się muszą, kryją się uogólnienia coraz szersze, coraz bardziej zasadnicze, istotowe.

Rzekome czy też prawdziwe zjawiska medyzmu będą miały jedną wielką zasługę — bez względu na to, czy znajdziemy w nich cokolwiek oprócz oszustwa, halucynacyi, hipnotyzmu, histeryi i t. p., czy też nie znajdziemy. Oto zniewalają nas one, że tak powiem, do filozoficznej rewizyi wszystkich naszych, najbardziej «niezachwianych» praw naukowej konstytucyi. Widzieliśmy już, że prawo ciążenia może ostać się w całej swej nietykalności nawet w razie rzeczywistego istnienia tych zjawisk; z drugiej strony — nawet bez tych zjawisk — może ono być tylko złudzeniem naszych umysłów, może być «spędzaniem do kupy» gwiazd i planet, co my, w naiwności naszej bierzemy za szczerzy wyraz jakiejś szczególnej wzajemnej sympatyi tych ciał niebieskich.

Jednym z najbardziej podstawowych zarzutów apriorystycznych, tamujących medyzmowi drogę do gabinetów i wszechnic, jest ta okoliczność, że zjawiska medyumiczne zdają się świadczyć o jakimś szczególnym, zgoła niezwykłym stosunku tak zwanego ducha czyli władz psychicznych do materii. Podług niektórych stosunek ten przeczy stanowczo najbardziej zasadniczemu i, powiedzmy wprost, najukochańszemu prawu wiedzy nowożytnej — zasadzie zachowania energii. Inni znów widzą w nim taki cios dla psychologii dzisiejszej, po którym ona nigdy nie zdołałaby się wznieść do godności nauki.

Co do prawa zachowania energii, to filozoficzna jego rewizya jest bardzo pożądaną — właśnie dlatego, że prawo to, jak się zdaje słusznie, uchodzi za tak podstawowe.

Należałoby zauważyć przedewszystkiem, że dalszy rozwój badań naukowych aż nadto może postawić nas wobec takiej niespodzianki, iż w danym wypadku osieroceni będziemy przez owo najbardziej zasadnicze prawo. Innemi słowy, możemy się znaleźć w takim położeniu, że pewna ilość pewnej energii zniknie nam bez śladu, albo też ukaże się ni ztąd ni zowąd, bez żadnego upoważnienia ze strony naszej fizyki, chemii czy astronomii.

Co właściwie głosić powinna zasada zachowania energii? Mówi nam ona naprzód, że energia nie może powstać z niczego albo się w nic obrócić, a dalej, że dana ilość dostępnej naszym zmysłom energii zamienić się może w daną ilość energii innej, również dostępnej zmysłom. Twierdzenia te nie przesądzają z góry: czy istnieje czy też nie istnieje jakaś postać energii, niedostępnej naszym zmysłom; nie mówią też one, że dana ilość energii dostępnej nie może zamienić się na pewną ilość niedostępnej, a w ten sposób unicestwić się dla nas; mówią zaś tylko, że jeżeli dostępna zamienia się na dostępną, to pomiędzy ilościami ich zachodzi stały, określony stosunek.

Czy istnieją pewne postacie energii, niedostępne naszym zmysłom? Najniewątpliwiej. Poczynając od przykładów najłatwiejszych i, że tak powiem, przejściowych, przypomnijmy sobie, czem właściwie jest dla nas «energia utajona». Czyliż nie dowiadujemy się o niej tylko pośrednio — przez wnioskowanie, czyż o równoważności jej z innymi postaciami energii (czynnej) nie przekonywamy się dopiero wtedy, gdy sama ona przestanie być «utajoną?»<sup>1)</sup> Obok takich przeobrażeń energii utajonej w czynną mogą zachodzić i zachodzą niewątpliwie przeobrażenia

---

<sup>1)</sup> Na tej zasadzie p. A. Mahrburg odmawia energii utajonej miana energii, gdyż «czem jest ona, nie wiemy» (*Monizm współczesny* i t. d.).

jednej postaci energii utajonej w inne, również utajone. Przeobrażenia takie, zawodząc w pewnych wypadkach nasze oczekiwania energii czynnej, mogłyby robić na nas wrażenie zupełnego zniknięcia energii. Naodwrot, w pewnych wypadkach niezwykle znaczne, nagromadzone stopniowo i niewymierzone przez nas, zasoby energii utajonej, dając pod wpływem pewnych nieznanych, niezauważonych albo niepoznawalnych czynników niezwykle znaczny zasób energii czynnej, wywołałyby w nas przypuszczenie, że energia ta powstała z niczego. Nakoniec wprost i bez zastrzeżeń możemy przypuścić, że istnieją pewne postacie energii, bądź jeszcze niepoznanej, bądź też zgola zmysłom naszym niedostępnej. Przykład takiej klasycznej struny drgającej, której ruchy w przerwie pomiędzy falami dźwiękowymi a świetlnymi, t. j. od 16.000 do 400 bilionów drgań na sekundę, nie istnieją dla nas w ciemności; inny przykład drgań powyżej 800,000,000,000, których przy pomocy wzroku wykryć już nie możemy — świadczą jak dalece różnorodnymi i zawilymi są warunki objawiania się energii zmysłom naszym, a zarazem przygotowują nas do przypuszczenia, iż mogą istnieć pewne warunki, w których objawy danej energii ani dla wzroku naszego, ani dla słuchu, ani dla żadnego innego ze zmysłów dostępnymi nie będą.

Wiadomo, że dla dzikich, oraz dla osób niewykształconych istnieje już dzisiaj mnóstwo wypadków tworzenia się «z niczego» albo obracania się w nicłość: parowanie, tajanie, palenie, rośnięcie drzew i zwierząt należą właśnie do liczby takich przykładów, budzących w umyśle ciemnym przeświadczenie o tworzeniu się *ex nihilo* albo też o znikaniu. Człowiek nieco wyżej wykształcony różni się pod tym względem od dzikich tylko ilościowo. Gdyby zasada zachowania energii została sformułowana przed poznaniem elektryczności, gdyby sprawiedliwość jej stwier-

dzono tylko np. w stosunku do światła, ciepła, siły mechanicznej i t. p., wówczas pierwsze spostrzeżone objawy elektryczności wprawiłyby uczonych w kłopot nielada: znalezioneby, że mechaniczne pocieranie pałeczki szklanej dało pewną ilość ciepła, nie taką jednak, jakiejby oczekiwać kazał równoważnik jego mechaniczny, nawet po strąceniu pewnej straty na promieniowanie. Z drugiej strony, zbliżenie dwu takich potartych pałeczek spowodowałoby wybuch, niczem nie dający się wytłómaczyć. W wybuchu tym, po którym żadna widoczna zmiana ani w kształcie, ani w układzie, ani w składzie chemicznym pałeczek nie zaszła, którego nie można byłoby przypisać działaniu utajonego ciepła, powinowactwa, przyciągania i t. p., dopatrzonoby się bez wątpienia jakiejś dziwnej, *ex nihilo* wyłęgłej formy energii. Podobny pogląd mógłby się ukazać nawet wtedy, gdyby tu i owdzie, od lat niepamiętnych wiedziano o skromnych «sztuczках» bursztynu, który podnosi w pewnych warunkach małe skrawki materii.

Od lat niepamiętnych słyszymy już o sztuczках «medyumicznych». Dopóki zjawisk tych nie zbadamy należycie, dopóki nie wykryjemy i nie oznaczymy w nich nowej postaci energii, niektórzy sądzić będą, że wiązuje się tam jakaś energia *ex nihilo*, albo że znika bez wieści.

Zresztą co do medyumizmu, to tymczasem jego «objawy» nietylko nie przeczą zasadzie zachowania energii, ale jak najwyraźniej na korzyść jej przemawiają. Medyum po wszelkich dowodach swej potęgi słabnie na czas dłuższy lub krótszy. W razie medyumicznego letargu nastrój życiowy całego organizmu zstępuje do minimum. Z drugiej strony «zjawiska» medyumiczne słabną najwidoczniej pod wpływem światła. Stojąc na gruncie dobrej wiary i uznając rzeczywistość tych zjawisk, musimy zaznaczyć, że w takim słabnięciu trudno nie dopatrzeć się nowego

dowodu działania tutaj tej samej zasady. Czy zachodzi tam interferencja fal świetlnych z falami energii medyumicznej, czy fale światła dopomagają rozpraszaniu się tamtych, czy stawiają im opór — dość, że mamy tu oczywiście do czynienia z dwiema walczącymi z sobą postaciami energii. Walka, jak tego mógłby chcieć najprawowierniejszy wyznawca zasady zachowania, objawia się w osłabieniu skutków mechanicznych, świetlnych, dźwiękowych i t. p.

Pozostaje nam jeszcze obrona nieszczęśliwej psychologii fizjologicznej wobec niespodziewanego jej wroga.

Najbardziej, najuporczywiej dogmatycznym jest sentymentalny pozytywizm w takiej dziedzinie badań, w której do nieomyślności i poznania istoty rzeczy najmniejsze może rościć prawo. Jakkolwiek cała psychologia współczesna jest właściwie jednym wielkim przyznaniem się nietylko do tego, że istoty ducha nie znamy, że nie znamy właściwego związku jej z materją, ale i do tego, że ani owej istoty, ani związku żaden wysiłek ludzkiej myśli poznać i wyobrazić nie może, a prawdopodobnie nigdy nie potrafi, to jednak ogółowi psychologów, a zwłaszcza ogółowi ludzi wykształconych ciągle się zdaje, że zagadka została rozwiązana w sposób, pozwalający wykazywać związek przyczynowy tam, gdzie go właściwie wykazać nie możemy. Chociaż najodważniejsi i najrozumniejsi zarazem psychologowie powtarzali nam aż do przesytu, że nie mamy prawa uważać objawów cielesnych za przyczynę zjawisk duchowych, że jedno i drugie są raczej współobjawami (*concomitants*), których właściwego stosunku nie znamy, chociaż zastrzeżenia i ostrzeżenia podobne wychodziły z pod pióra wszystkich bez wyjątku znakomitszych przedstawicieli nauki, wszystkich Spencerów, Wundtów, Ribotów, Bainów, Jamesów, Lewesów, wszystkich najzdolniejszych i najrozumniejszych obrońców pozytywnej metody i pozytywnej myśli, to jednak każdy prawie z owych

mistrzów, po wypowiedzeniu sakramentalnego *memento*, pozwalając sobie w dalszym ciągu rozumowań i wywodów przybierać nieraz taką postawę i posługiwać się takim językiem, jak gdyby o przyczynowym związku pomiędzy duchem a materią nie chciał mówić tylko przez skromność. Jeżeli, pomimo wyraźnych zastrzeżeń i gruntownej znajomości przedmiotu, psychologowie ulegali od czasu do czasu takim pokusom, to cóż dopiero mówić o całym tłumie specjalistów innych oraz o szerokiej publiczności? Dla nich tajemnica nie istnieje zgoła. Ośmieszane wielokrotnie i przypisywane materialistom przyrównanie procesu psychicznego do czynności wątroby, myśli do żółci — mimo powierzchownego zaprzaiństwa stanowi jednak najgłębszą treść psychologicznego światopoglądu wykształconych tłumów. Zdaje się im, że coś rozumieją, że jeżeli nie profanom, to przynajmniej psychologom udawało się zapewne nieraz łapać myśl na gorącym uczynku parowania, sączenia się, albo nawet wysypywania się z komórek mózgu.

Nie koniec na tem. Wyobrazivszy sobie, że «psychologia fizyologiczna» pozwala im na tak barbarzyńskie tlómaczenie sprawy, profani najmocniej są przeświadczeni, że barbarzyństwo to jest bardziej zrozumiałe, aniżeli teoria ich przeciwników. Uznając w zupełności, że duch może być wytworem materii, albo, przynajmniej, że zjawiska duchowe mogą być skutkami materialnych przyczyn, oburzają się oni na samą myśl odwrócenia tego związku przyczynowego: nie chcą słyszeć o przypuszczeniu, że materia może być wytworem ducha, że materialny skutek może mieć bezpośrednią przyczynę psychiczną.

A jednak w dzisiejszem pospolitem rozumowaniu psychologii fizyologicznej obydwa te stosunki «przyczynowe» nie są ani do pojęcia, ani do przyjęcia w stopniu

zupełnie jednakim. Sprobujmy przedstawić rzecz w taki sposób, aby obydwaj stały się jeżeli nie jednako zrozumiałymi, to przynajmniej możliwymi na równi. Filozoficzna rewizja naczelnego prawa psychologii fizjologicznej jest jak najbardziej niezbędną nie tylko do takiego przedstawienia rzeczy, ale wogóle do uwolnienia tej gałęzi wiedzy od nieuzasadnionych oskarżeń i zaszczytów niezasłużonych.

Co właściwie mówi nam owa najprzedniejsza zasada psychologii fizjologicznej? Oznajmia ona, że pomiędzy zjawiskami psychicznymi a cielesnymi zachodzi pewien stosunek współlistnienia, pewna, jak gdyby, równoległość. Oznajmienie to nie przesądza z góry ani o istocie świadomości wogóle, zaś świadomości osobowej (samowiedzy) w szczególności; ani o tem, czy związek ducha z ciałem jest nierozzerwalny, czy świadomość jest wytworem działania pewnych sił organicznych, czy też działanie to jest li tylko jednym z wielu warunków objawiania się świadomości; ani o tem, czy energia fizyczna, której działaniu towarzyszy świadomość, czynną bywa li tylko w organizmie, czy też działa ona poza ustrojem; czy organizm stanowi dla niej kolebkę i grób zarazem, czy też jest on tylko czemś w rodzaju ciała przezroczystego, przez które przepływają fale owej energii, czy energia ta może skupiać się i ześrodkowywać w warunkach pozaorganicznych, dając wyniki odpowiednio różne, czy też organizm jest jedynie jak gdyby soczewką, mogącą zbierać rozprzeczłej jej promienie? Wszystkie te pytania są tak dalekie od wszelkich rozwiązań pozytywnych i naukowych, że psychologia fizjologiczna nie zadaje ich sobie wcale. Nie znaczy to jednak, iż otoczyła się ona murem chińskim wobec wszelkich faktów przyszłości, mogących doprowadzić do odpowiedzi na którekolwiek z owych zagadnień. Twierdząc stanowczo, że pewne, znane jej zjawiska psychiczne od-

bywają się li tylko w związku z znanymi jej stanami albo zjawiskami nerwowymi, nie utrzymuje ona bynajmniej, iż w pewnych, nieznanych jej dzisiaj warunkach pewne podobne albo pokrewne zjawiska psychiczne nie będą się odbywały w związku z zupełnie innymi stanami nerwów, albo też w znacznem od owych stanów uniezależnieniu. Gdyby się np. okazało, że zauważone przez dra Rochas'a, Lodge'a i Gibiera fakty uzewnętrzniania się (eksterioryzacji) uczucia są prawdziwemi, gdyby się okazało, że bodziec, mogący, jak sądzono, działać na nasze nerwy li tylko w bezpośredniem z nimi zetknięciu, może działać w znacznem oddaleniu od nich, psychologia fizyologiczna wcale nie byłaby zmuszoną wyrzekać się wszystkich swoich zdobyczy i teorii; w warunkach przez nią poznanych i badanych bodziec istotnie musiał zawsze działać w zetknięciu bezpośredniem. Stany głębokiej hipnozy, przy których, podług dra Rochas'a, ma się zjawiać uzewnętrznienie uczucia, są stanami nowymi dla psychologii, stanami innymi, stanami, których ona jeszcze nie badała.

Nie psychologii więc fizyologicznej, nie owemu jej twierdzeniu naczelnemu przeczyłyby nowe fakty, ale dogmatyzmowi, z którym nie ma ona nic wspólnego, przeciw któremu zastrzegala się wielokrotnie; nie owej zasadzie, że w badanych przez nią wypadkach i warunkach pewnym stanom psychicznym odpowiadały pewne stany ciała, ale nieprawowitemu, niefilozoficznemu rozszerzeniu tej zasady: że owe stany psychiczne pozostają w przyczynowym związku z cielesnymi, że, nadto, jest to jedyny związek przyczynowy, jaki istnieje pomiędzy owemi dwiema kategoriami zjawisk, albo że jest to związek nieuchronny.

W pewnych wypadkach, w razie zdobycia faktów niektórych, psychologia, nie doznając najmniejszej porażki

i upokorzenia, tylko znakomicie rozszerzyłaby swój widnokrąg, tylko zbliżyłaby się ku rozwiązaniu pewnych zagadnień podstawowych, wobec których dzisiaj jest całkiem bezsilną. Gdyby np. stwierdzono ostatecznie i uznano fakt, uznawany już dzisiaj przez wielu uczonych niepoślednich, fakt bezpośredniego oddziaływania myśli jednego osobnika na świadomość drugiego, gdyby, słowem, uznano fakt «sugestyi myślowej», myślowego poddawania, wówczas, jak sądzę, bez zuchwalstwa można byłoby mówić o istnieniu swoistej «energii mózgowej» i spokrewniać ją pod względem jej przyrody (sposobu szerzenia się, zamienności i t. p.) z ciepłem, światłem, elektrycznością i t. d. Przypuszczam, iż żaden prawowierny melamed psychologii fizyologicznej nie miałby wówczas powodu do bładania nad profanacją swojej świętej nauki. Gdyby profani wiedzieli, jak dalece ostrożnym i łagodnym jest dzisiaj ton wielu najnowszych, bardzo pozytywnych zresztą, i bardzo «grubotomowych» podręczników psychologii fizyologicznej wobec zagadnień podobnych i półgębkiem uznawanych już faktów, zrozumieliby łatwo, że nawet po uznaniu tychże zupełnie i po stwierdzeniu psychologia fizyologiczna żyć będzie dalej i rozwijać się jak najpomyślniej.

Jeżeli zbadanie stosunku ducha do materji jest niezmiernie trudnem, to niepodobna nie zauważyć, że trudność tę potęguje naiwna metafizyka materializmu. Metafizyka ta, przeniesiona na grunt umysłów płytkich, staje się wprost filozoficzną impertynencją.

Dzięki usiłowaniom myślicieli zdołaliśmy już ogolocić materję na rzecz energii z wielu jej właściwości. Wiemy np. że barwa przedmiotów, jako taka, w przyrodzie nie istnieje, wiemy, że jest ona następstwem oddziaływania pewnej postaci energii na naszą świadomość. Przedmiotową przyczynę tych naszych wrażeń podmiotowych wyo-

brażamy sobie jako coś takiego, co materią nie jest. W podobny sposób możemy wyobrazić sobie inne przymioty materii, jako skutki oddziaływania pewnych form energii na nasze zmysły. Pozostaje wszakże zmysł jeden, bardzo podstawowy co prawda, najbardziej nieokrzesany, najmniej subtelny, który w żaden sposób nie chce się dać przekonać, że działa nań tylko jakaś energia, że nie ma on przed sobą czegoś rzeczowego, czegoś dającego się ująć w ręce, pokrajać, posiekać. Zmysłem tym jest dotyk. Otóż materializm potoczny ani chce słyszeć o materii niematerialnej, o materii, która będąc tylko pewną postacią energii, tak samo wywołuje w nas wrażenie oporu, twardości, jak w innych wypadkach wywołuje wrażenie barwy, ciepła i t. p.

W jaki sposób od takiej «kawalkowatej» materii przejść do czegoś niematerialnego? jest to pytanie bardzo kłopotliwe przynajmniej dla filozofów. Materialista rozstrzyga je, robiąc z ducha własność materii, a nawet uzależniając, jakeśmy widzieli, pierwszego od drugiej, jak się uzależnia skutek od przyczyny. Dokonawszy tego, jest on zupełnie zadowolony. Oburza go tylko wszelka próba wędrówki odwrotnej: przyczynowego uzależnienia materii od ducha.

Szczęściem nikt nie jest dzisiaj obowiązany do tych karkołomnych skoków i do utrudniania sobie zagadnień, które bez tego są już nieskończenie trudne.

Materialność ciał uważa dziś «psychologia fizjologiczna», (o ile pozwala sobie mówić o takich rzeczach), tak samo za wynik oddziaływania pewnej postaci energii na nasz zmysł dotyku, jak barwę uważa ona za wynik oddziaływania pewnej postaci energii na zmysł wzroku. Podług tego poglądu w przyrodzie istnieją tylko pewne postacie energii.

Jeżeli wogóle w jakikolwiek sposób możemy zbliżyć się do wyobrażenia sobie ducha, to wyobrażamy go nie inaczej, jak tylko w postaci energii świadomej.

Czy pewien równoważnik świadomości towarzyszy wszelkiej wogóle postaci i wszelkiemu zasobowi energii, czy też jest on jak gdyby «odwrotną stroną», współobjawem niektórych tylko form i niektórych ilości energii, są to pytania, leżące na krańcach metafizyki. Monizm konsekwentny musiałby, jak sądzę, być panpsychicznym. Musiałby on wypowiedzieć się na korzyść przypuszczenia, że jeżeli wogóle przyczynowość jest «prawem», obowiązującym całą przyrodę, tedy wszelkim postaciom i zasobom energii musi «drugostronnie» odpowiadać jakiś równoważnik świadomości. Bez tego równoważnika późniejsze jej ukazanie się byłoby czemś bezprzyczynowym. Należy tylko zrobić uwagę, że równoważnikowi temu hipoteza nie każe nadawać takiej treści świadomej, jaką spostrzegamy w wyższych i najwyższych postaciach świadomości. Tak samo, jak mówiąc o pierwiastkach soli kuchennej, nie możemy nie uznać, iż w każdym z nich tkwi jakiś pierwotny warunek późniejszej «słonności», chociaż żaden z tych pierwiastków słonym nie jest, tak też mówiąc o najmniejszym zasobie energii najprostszej, nie możemy nie uznać w niej «drugostronnego» równoważnika świadomości, który jednak nie jest świadomością.

W wypadku obecnym sprawa ta nie obchodzi nas bliżej. Możemy więc poprzestać na zaznaczeniu tego, co zdaje się być niewątpliwem: 1) że we wszechświecie istnieją rozmaite formy energii, 2) że w pewnych wypadkach owym formom towarzyszy czy też odpowiada «drugostronnie» świadomość, 3) że wszelkie zjawiska przyrody są pewnymi przeobrażeniami czy też zmianami energii, a nakoniec 4) że niektóre ze sposobów bytowania energii

działają na nas jako wrażenia oporu, twardości, barwy, słowem jak wrażenia materji.

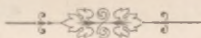
Kiedy jakaś energia, oddziaływająca już na nasz zmysł najsubtelniejszy, na wzrok, przybierze postać, oddziaływującą na dotyk, doznajemy wrażenia «materyalizacji».

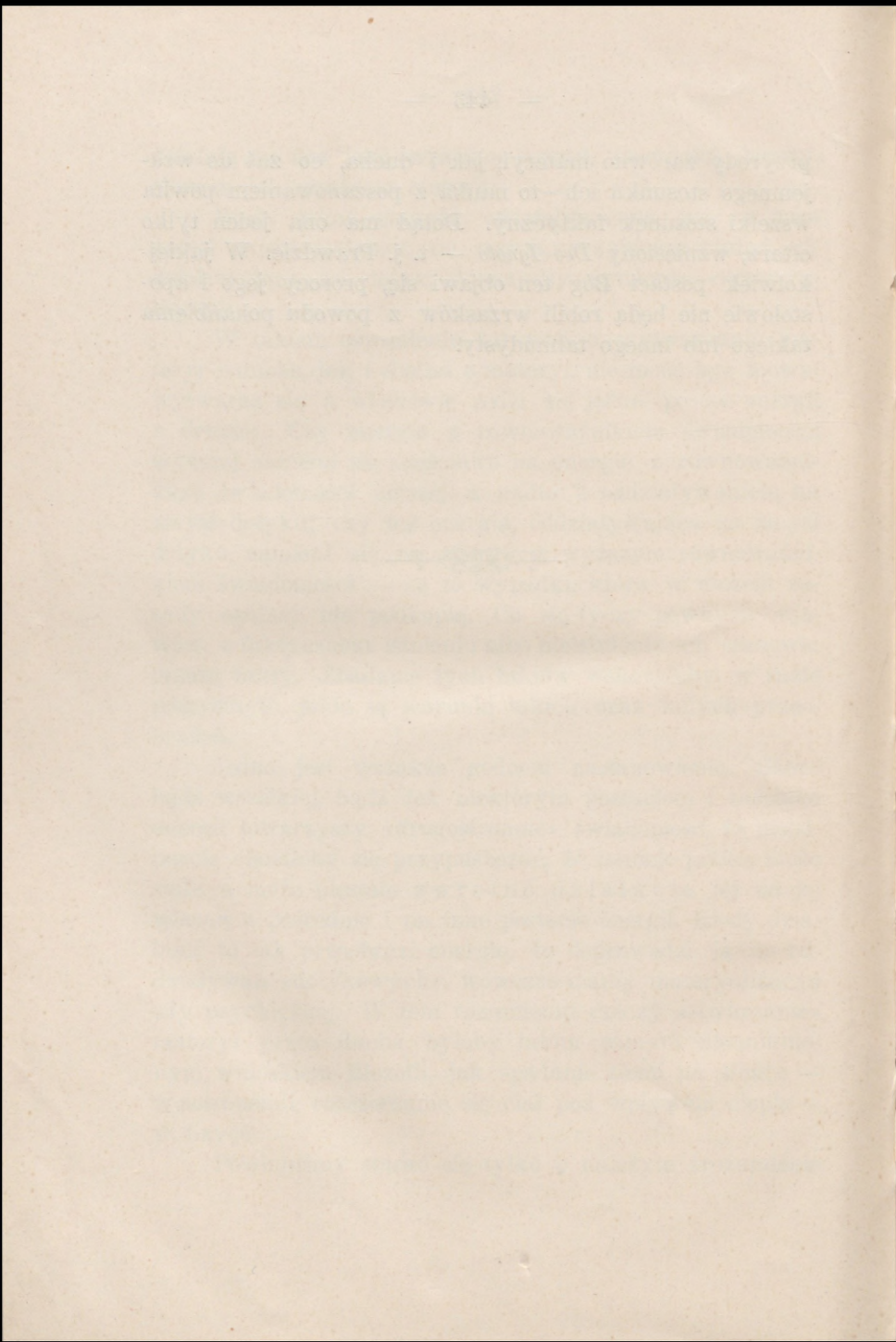
W takim oświetleniu zarówno o wytwarzaniu materji z ducha, jak i ducha z materji, nie może być mowy: wytwarza się a właściwie rodzi się jedna postać energii z drugiej. Czy energia z równoważnikiem świadomości wyższej zamieni się częściowo na energię z równoważnikiem świadomości niższej a nadto z oddziaływaniem na zmysł dotyku; czy też energia, oddziaływająca na zmysł dotyku, zamieni się na energię z wyższym równoważnikiem świadomości — są to wypadki, które w niczem zasady ogólnej nie podkopią. Co się tyczy pewnych objawów, o faktycznym istnieniu albo nieistnieniu ich stanowiąc muszą fakty. Zbadanie tych faktów wskazałoby, w razie pomyślnym, jakie są warunki takich oraz innych przeobrażeń.

Jedno jest wszakże godnem zastanowienia. Skoro bądź wszelkiej, bądź też niektórym postaciom i zasobom energii towarzyszy «drugostronnie» świadomość, to nieodparcie chciałoby się przypuszczać, że istnieje jakieś, może stałe a może niestałe z wrotne działanie jej na jej własną a pośrednio i na inne postacie energii. Kiedy działanie to tak przeobrazi energię, że doprowadzi ją do oddziaływań «dotykowych», wówczas mamy materjalizację siły psychicznej. W tem rozumieniu rzeczy «stwarzanie» materji przez ducha byłoby takim samym nieuniknionym wnioskiem filozofii, jak spadanie ziemi na słońce — w astronomii, rozszerzanie się ciał pod wpływem ciepła — w fizyce.

Powinniśmy starać się tylko o należyte zrozumienie

przyrody zarówno materyi, jak i ducha, co zaś do wzajemnego stosunku ich—to nauka z poszanowaniem powita wszelki stosunek faktyczny. Dotąd ma ona jeden tylko oltarz, wzniesiony *Deo Ignoto* — t. j. Prawdzie. W jakiegokolwiek postaci Bóg ten objawi się, prorocy jego i apostołowie nie będą robili wrzasków z powodu pohańbienia takiego lub innego talmudysty.





## SPIS RZECZY.

---

	Str.
PRZEDMOWA . . . . .	1
<b>Współzawodnictwo i współdziałanie</b> . . . . .	3
<b>Spoleczeństwo jako organizm</b> . . . . .	71
<b>Geniusz i tłum</b> . . . . .	119
<b>Dobór miłosny</b> . . . . .	162
Współzależność zjawisk i nauk . . . . .	173
Spoleczna walka o byt . . . . .	185
Klasowe ideały miłosne . . . . .	212
Dobór miłosny . . . . .	226
<b>Kobieta i mężczyzna</b> . . . . .	269
Różnice psychologiczne . . . . .	269
Tak zwana »intuicya kobieca« . . . . .	289
Darwinizm i kwestya kobieca . . . . .	310
Rola kobiety i mężczyzny w sprawie ideałów . . . . .	317
<b>Wrogowie nauki</b> . . . . .	412

---





30459/

12